

Lynn Kurland
Zwaśnione serca

Prolog

Anglia, 1215 Artane

Dziewczynka stała w drzwiach chaty uzdrowiaczki i spoglądała na dziedziniec, na błoto i bruk dzielące ją od wielkiej sali. Ocenivszy odległość jako możliwą do pokonania, puściła ościeżnicę, której dotąd kurczowo się przytrzymała, i zeszła po trzech stopniach. Potem mocniej ścisnęła służący jej za podparcie kij i powoli, z bólem, ruszyła przez dziedziniec.

Promienie słońca połyskiwały w jej jasnoblond włosach i na złotych haftach ciężkiej aksamitnej sukni. Choć było stanowczo za gorąco na taki strój, młódka nalegała. Suknia pozwalała ukryć szkaradne łubki unieruchamiające jej nogę od stopy do biodra.

Dziewczynka podniosła wzrok i przekonała się, że drzwi donżonu są już blisko. Na jej napiętej twarzy nie zagościł wszakże uśmiech ulgi; jeszcze nie dotarła do celu.

- Szpetna Anne z Fenwyck!

- Cierń w ogrodzie Artane!

Okrzyki dopadły jej tak niespodzianie, że się potknęła. Wsparła się ciężko na chromej nodze. Zacisnęła zęby, powstrzymując okrzyk bólu, po czym zwiesiła głowę i przyspieszyła kroku.

Otoczyli ją kołem nazbyt szerokim, by zadać jej ból inaczej niżli tylko słowami, te jednak raniły wystarczająco dotkliwie. Grupę tworzyli giermkowie, z jednym godnym odnotowania wyjątkiem: do grona dręczycieli dołączył młodzieniec niedawno pasowany na rycerza, który przecież powinien był mieć nieco więcej rozumu. Krążyli wokół niej, urągając jej bezlitośnie, kiedy kuśtykała kamienną ścieżką wiodącą do donżonu. Rycerz splótł ręce na piersi i roześmiał się, gdy z trudem wspinała się po schodach.

- Skąd ten pośpiech, kuternogo?

Dziewczynka nie trwoniła czasu na lzy. Od bezpieczeństwa dzieliły ją zaledwie cztery stopnie. Ignorując towarzyszące jej wysiłkom śmiechy, kontynuowała wspinaczkę.

Otworzyły się drzwi i pan zamku porwał ją w ramiona, mocno tuląc do siebie. Jej kij ze stukotem zsunął się po schodach, lecz nie miała serca po niego wracać. Przyłgnęła do swojego protektora, słuchając jego kojącego, niskiego głosu, kiedy wciągał ją do środka. Mężczyzna sięgnął, żeby zamknąć drzwi, zawahał się jednak, a na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka, zanim wreszcie pchnął drewniane skrzydło.

Gdyby dziewczynka wyjrzała na dwór, nim drzwi się zatrzasnęły, zobaczyłaby ciemnowłosego czternastoletniego młodzieńca o szarych oczach stojącego na schodku przed chatą uzdrowiaczki, dokąd przybył po codzienną porcję zabiegów. Zobaczyłaby malującą się na jego twarzy furję i zaciśnięte przy bokach pięści - był świadkiem ostatnich chwil jej udreki. Kontynuując obserwację, poznałaby dalsze wydarzenia. Młodzieniec odtrącił ramię podtrzymującego go brata i zawołał coś gniewnie do młodego rycerza. Ten zbliżył się niespiesznie, a jego kpiące prychnięcia przerodziły się w głośny śmiech, kiedy usłyszał wyzwanie.

Nie mogło być mowy o równej walce. Chłopiec minione pół roku spędził w łóżku trawiony gorączką i jeszcze całkiem nie wyzdrowiał. Rycerz był od niego o pięć lat starszy, a przy tym bez skrupułów korzystał z każdej okazji do poniżenia pańskiego syna.

Starcie skończyło się, zanim na dobre się zaczęło. Ciemnowłosy młodzieniec runął twarzą w błoto zmieszane z obornikiem. Opuściły go resztki sił, tak że tylko wił się na ziemi. Brat wystąpił w jego obronie, a ten gest kosztował go dwa złamane palce. Rycerz wyszczerzył do pokonanych zęby w uśmiechu, po czym oddalił się w świecie starszych chłopców chichoczących zza dłoni przesłaniających usta i młodszych, którzy opuszczali scenę ze wstydem i zakłopotaniem, jakie wzbudził w nich młodzian niezdolny podnieść się z ziemi.

Dziewczynka nie widziała tych zdarzeń. Delikatnie zaprowadzono ją do izby sypialnej, którą dzieliła z przybranymi siostrami, gdzie zaznała tego luksusu, że mogła ronić łzy upokorzenia w samotności.

Łzy jej obrońcy mieszały się z błotem. Rozdział 1

Anglia, rok 1225

Młoda kobieta z wyżyn wierzchowca spoglądała na drogę wiodącą do zamku. Jako że w ciągu swojego dziewiętnastoletniego życia przemierzała ów trakt wielokrotnie, czuła się dość dobrze zaznajomiona z jego nierównościami. Jednakowoż pilno jej było pokonać tę ostatnią przeszkodę i w końcu zsiąść z siodła, zatem przyglądała się jej bystro. Ocenivszy dzielącą ją od celu odległość jako możliwą do pokonania, mocniej chwyciła wodze i popędziła konia.

Podróż jej się dłużyła. Za nią jechał swatający ją uparcie ojciec, ani chybi rozmyślając o półtuzinie kawalerów, którzy pozostali w Fenwyck - mężczyźni dostatecznie mocno pożądanego bogactwa, by wraz z nim przyjąć jego córkę. Przed sobą widziała już dom, gdzie dorastała i gdzie zostawiła serce, dom, który opuściła blisko pół roku temu jedynie dlatego, że ojciec brutalnie ją stamtąd wywłócił. Straciła nadzieję, że kiedykolwiek ponownie ujrzy to miejsce.

Teraz wszakże wyrwała się z zamku ojca, zaś Artane znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Tyle jej wystarczyło. Musiało wystarczyć. Przypuszczalnie na nic więcej nie mogła liczyć.

- Święci pańscy, rad schronię się przed tym przeklętym deszczem - utyskiwał jej rodzic, zrównując się z nią. - Jakimż to sposobem, pani, dałem ci się nakłonić do tego nonsensownego przedsięwzięcia przy tak piekielnej pogodzie? Nadasz mi się w Fenwyck, nie tutaj!

Anne spojrzała na ojca. Nieśmiały promień jesiennego słońca musnął jego jasne włosy i rozblysnął na złotych haftach zdobiących ciężki kaftan.

- Dobrze się prezentujesz, ojczy - powiedziała, modląc się, by tymi słowami odwrócić bieg jego myśli, jako że komplement nie mógł przemknąć niezauważony.

- Jak by w tych okolicznościach zany wygląd na cokolwiek mi się zdał! Miło z twojej strony, że zabrałeś mnie do Artane - kontynuowała, trzymając się obranego kursu.

- Bardzo chciałam pożegnać sir Montgomery'ego na łożu śmierci.

- Spóźnimy się, moim zdaniem - mruknął ojciec. - Umrze, nim dotrzemy na miejsce.

Jednak ze sposobu, w jaki zaczął obciążać na sobie ubranie i przeczesywać palcami włosy, Anne wywnioskowała, że jej rodzic pragnie pokazać się od najlepszej strony, nawet jeśli owa prezentacja miałaby nastąpić na pogrzebie.

Skoncentrowała się na ważniejszych kwestiach, mianowicie na utrzymaniu się w siodle, dopóki nie dotrą do zamku. Jej noga marnie znosiła trudy podróży. Choć Fenwyck dzieliły od Artane zaledwie cztery dni niespiesznej jazdy, Anne podejrzewała, że bardziej by jej posłużyło, gdyby pokonała ów dystans pieszo. Zastanawiała się, czy zdoła ustać na nogach, kiedy te męki wreszcie się zakończą.

Pomimo tej jakże realnej troski, serce Anne rosło z każdym drażniącym, ciężkim stąpieniem jej wierzchowca. Surowe kamienne mury warowni wznosiły się na tle szarego nieba: prawdziwy bastion dający poczucie bezpieczeństwa. Święci pańscy, jakże rada była je widzieć. Ojciec nie przestawał utyskiwać, ale puszczała jego słowa mimo uszu, pozwalając im płynąć w poszukiwaniu baczniejszego słuchacza. Zbyt mocno zagłębiła się we wspomnieniach, by zważać na narzekania.

Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy zawitała do Artane. Na zamek składało się wówczas niewiele więcej niż konary, wytyczające granice murów zewnętrznych, i gałęzie, wyznaczające kontury zabudowań w ich obrębie. W jej odczuciu budowa postępowała bardzo szybko, co przypuszczalnie wynikało z faktu, że Anne czas upływał tak szczęśliwie w otoczeniu rodziny, pod której opieką trafiła.

Znalazła tu siostrę, swoją rówieśnicę, a także braci, aczkolwiek w tamtym czasie niewiele o nich dbała. Pan i pani wznoszonego właśnie donżonu traktowali ją jak rodzoną córkę i za to żywiła wobec nich ogromną wdzięczność.

Potem zaś nadeszła chwila, gdy po raz pierwszy zwróciła uwagę na najstarszego z synów pana na Artane. Trudno go było zignorować. Zaanonsował swoją obecność, wrzucając jej robaka za kołnierza sukni.

Koń stąpił tak nieszczęśliwie, że Anne omal nie odgryzła sobie języka. Zaciśnęła zęby i zmusiła się do skupienia uwagi na wierzchowcu. Wspomnienia czyniły jej chyba więcej szkody, niż była skłonna się przyznać, zwłaszcza gdy zdążyły w tym konkretnym kierunku, jako że przecież nie było sensu rozmyślać o najstarszym synu pana na Artane.

Podniósłszy wzrok, odkryła, że znajduje się już niemal na wyższym dziedzińcu. Rzadko jakiś widok sprawiał jej większą radość niż ten teraz, gdy spoglądała na donżon przed sobą. Podziękowania za to należały się dowódcy przybocznych Artane'a, albowiem jedynie wezwanie do łoża śmierci Montgomery'ego z Wyeth mogło wyrwać ją z duszących murów Fenwyck.

Anne ostrożnie obierała drogę przez zatłoczony dziedziniec. Artane tętniło życiem, kwitł tu handel, roiło się od wychowanków, a liczni wasale nieustannie szukali sposobów, by przypodobać się swojemu seniorowi. Przypuszczała, iż lordowi Rhysowi sprawia przyjemność, że jest tak poważany i ceniony, ona sama wszakże czułaby się szczęśliwsza, gdyby wokół nie panował taki tłok. Wówczas o wiele łatwiej przebiłaby się do wielkiej sali.

Stłumiła grymas, kiedy jej koń wreszcie się zatrzymał. Dzięki Bogu, dobrze wyszkolone zwierzę stało spokojnie. Anne przyglądała się ziemi pod kopytami wierzchowca, zastanawiając się, jak na niej stanąć, unikając niewdzięcznego upadku nosem w błoto. Odetchnęła głęboko, okręciła się i, przytrzymując się siodła, wolno zsunęła z konia.

- Anne! - wykrzyknął Geoffrey, dorzucając przekleństwo. - Powiedziałem, że ci pomogę.

- Wszystko w porządku, ojczy - odparła, zmuszając się do zachowania wyprostowanej postawy, jakkolwiek pragnęła jedynie wesprzeć głowę o kłęb konia i zapłakać.

Ból w nodze był oślepiający, lecz za ów stan rzeczy mogła winić tylko siebie. Odrzuciła propozycję ojca, który chciał ją tu przywieźć dwukółką. Podobnie jak nieustannie odmawiała, kiedy nalegał na urządzenie postoju.

- Zaczynam się zastanawiać, dlaczego w ogóle cię tu posłałem - stwierdził szorstko Geoffrey. - Słowo daję, że wpoili ci tu upór, z pewnością bowiem nie odziedziczyłaś go po mnie. Bardziej by ci posłużyło, gdybyś została w Fenwyck.

Anne nie przyszła do głowy żadna dopuszczalna odpowiedź, chociaż jej pierwsza myśl brzmiała: „Niebiosom niech będą dzięki, że mnie odesłałeś”. W wieku dziewiętnastu wiosen była zbyt dojrzała na takie dziecinne odzywki, jednakowoż każdego dnia błogosławiła możliwość dorastania w donżonie Rhysa de Piageta. Zapewne postąpi roztropniej, zachowując dla siebie tego rodzaju spostrzeżenia. - Wejźmy do środka - rzekł ojciec takim tonem, jakby absolutnie nie miał na to ochoty. - On po nas przyjdzie, jeśli będziemy zwlekać.

- Pani Gwennelyn rada cię zobaczy, ojciec - podsunęła Anne.
- A jakże, lecz jej uprzykrzony małżonek również tam będzie. Z czego miałbym się cieszyć? Przypomnę sobie tylko, że wybrała jego zamiast mnie.

- Jeśli tak mówisz - rzekła Anne, krzywiąc się z bólu, kiedy przeniosła ciężar ciała na chromą nogę.

- Gwen pragnęła mnie - oświadczył Geoffrey. - I to zaiste okrutnie.

- Oczywiście, ojciec - zgodziła się Anne, skoncentrowana wszakże na innej kwestii: starała się nie rozciągnąć jak długa w błocie.

Spojrzała ku wejściu do wielkiej sali. Dzieliła ją od niego odległość, choć większa, niżli Anne by sobie życzyła, wydawała się możliwa do pokonania.

Odetchnąwszy głęboko, odepchnęła się od konia. Ostrożnie ruszyła po bruku, który przemierzała przez większą część swojego życia, uspokajając się pod wpływem dotyku tych dobrze sobie znanych kamieni. Święci pańscy, jakże tęskniła za tym miejscem. Jakim cudem przeżyła minione pół roku w Fenwyck? Jak przetrwałaby tam dzieciństwo? Chwała niebiosom, że nie musiała poznać odpowiedzi na to ostatnie pytanie. Dopiero niedawno w pełni pojęła, jakie spotkało ją szczęście. Gwennelyn z Artane hojnie obdarowała ją miłością i troską, jakich Anne nigdy nie zaznałaby w domu swojego ojca.

Oczywiście, jej pobyt w Artane był możliwy jedynie dzięki długiej znajomości pani Gwennelyn z ojcem Anne. Zwykłej znajomości, jako że - wbrew przechwałkom Geoffreya - tych dwoje nigdy nie pałało do siebie nadmierną miłością.

Jeszcze mniej ciepłych uczuć łączyło Geoffreya z Rhysem de Piagetem, aczkolwiek każdy z mężczyzn uważał tego drugiego za swojego lojalnego sojusznika. Anne nasłuchiwała się wystarczająco dużo opowieści o ich dawnych utarczkach, by wiedzieć, jak kształtują się relacje między nimi, jednakowoż ani pan, ani pani na Artane nie wypowiadali się ubliżająco na temat jej ojca. On nigdy nie odpłacał im podobną uprzejmością. Na szczęście stosunki Geoffreya z Artane pozostawały dostatecznie przyjacielskie, żeby Anne mogła znaleźć się wewnątrz dopiero wznoszonych murów warowni - i za ów fakt dziękowała niebiosom.

- Chodźmy zatem - rzekł Geoffrey, ujmując ją pod rękę i ruszając do donżonu. - Wejźmy do środka.

Z każdym krokiem noga cierpła jej coraz bardziej, tak że Anne była już niemal gotowa poprosić ojca, żeby się zatrzymał. Taka prośba zaowocowałaby wszakże wyliczeniem jej dziecięcych szaleństw, wywołała falę utyskiwań na niedbałość Rhysa, ponieważ na nie pozwolił, i sprowokowała wiele innych komentarzy, których Anne nie miała chęci wysłuchiwać. Spojrzała w górę schodów i zaklęła cicho na widok panującego na nich tłoku. Cóż, nie pozostawało jej nic innego, jak tylko utorować sobie drogę w tym ścisku, jeśli pragnęła znaleźć jakiś fotel. Zaciśnęła zatem zęby i policzyła stopnie dzielące ją od wielkiej sali, gdzie będzie mogła usiąść.

Nagle drogę zagroziła jej czyjaś postać. Podniósłszy wzrok, Anne wzdrygnęła się, nim zdołała nad sobą zapanować.

- Skąd ten pośpiech, pani? - zapytał rycerz. - Z pewnością masz za sobą męczącą podróż.

Anne stłumiła grymas niechęci. Ze wszystkich osób, które mogła spotkać w tym tłumie, musiała natknąć się akurat na tego gbura.

- Proszę, oto szarmancki człowiek - rzekł Geoffrey. Odepchnął Anne na bok, spiesząc ucisnąć dłoń mężczyzny. - Przypuszczam, że powinienem cię znać?

Rycerz skłonił się uprzejmie.

- Baldwin z Sedgwick, panie. Dobrze znam twoją córkę.

A jakże, nie kłamał. Jego znajomość z Anne sprowadzała się wszakże do dręczenia jej, ona zaś nie tęskniła za kolejnymi docinkami. Nie sądziła, żeby Baldwin odważył się obrazić ją w obecności jej ojca, lecz świadomość tego nie czyniła towarzystwa rycerza mniej odstręczającym.

Ojciec obejrzał się, spoglądając na nią znacząco, Anne zaś bez problemu wyobraziła sobie, co pragnął powiedzieć: „No popatrz, uparciucho. Oto kolejny mężczyzna, którego dałoby się nakłonić do poślubienia cię w zamian za stosowną ilość złota”. Ominęła wzrokiem rodzica i popatrzyła na Baldwina. Nie zdziwił jej tradycyjny już wyraz pogardy malujący się na jego obliczu. Być może starczy mu jednak śmiałości, aby zakpić z niej przy Geoffreyu. Kiedy wszakże jej ojciec odwrócił się znów do Baldwina, powitał go jedynie uprzejmy uśmiech.

- Masz już żonę? - zapytał beceremonialnie Geoffrey. - Jesteś dziedzicem Sedgwick, nieprawdaż?

- Nie, panie - odparł Baldwin, kręcąc głową. - Jest nim mój brat, niedawno zresztą pobłogosławiony synem, Williamem. Jak zatem widzisz, panie, mam marne szanse na dziedziczenie.

Geoffrey odchrząknął.

- No cóż, pragnieniu drobnej poprawy własnego losu zawsze da się jakoś zaradzić. Moja córka jest na wydaniu. Ma swoje wady...

- Chromą nogę - podsunął Baldwin.

- Właśnie - zgodził się Geoffrey.

Anne nie mogła uwierzyć, że rozprawiają o niej tak otwarcie, nie miała też ochoty dłużej tego słuchać. Święci pańscy, z mężczyznami, których zapraszał do Fenwyck, żeby obejrzeni sobie Anne i jej wiano, ojciec rozmawiał nad wyraz bezpośrednio. Co się zaś tyczyło Baldwina, niewątpliwie będzie się o niej wypowiadał coraz bardziej złośliwie; wiedziała przecież doskonale, co sądzi na jej temat. Czyż nie wysłuchiwała jego

przytyków, odkąd się poznali? Wyminęła ojca i oddaliła się, wkładając wiele wysiłku w to, żeby zanadto nie utykać.

Drzwi wielkiej sali otworzyły się, zanim do nich dotarła, i Rhys we własnej osobie wystąpił na rześkie jesienne powietrze. Nim zdążyła się odezwać, pokonał dzielące ich stopnie i zamknął ją w silnym uścisku. Anne ogarnęła taka ulga, że ugięły się pod nią kolana. Dotarła bezpiecznie do domu. Być może mimo wszystko uda jej się tu pozostać.

Usłyszała narzekania ojca na długo przed tym, nim stanął za nią.

- Przyjazd tu był głupotą, ona jednak nalegała - oświadczył Geoffrey. - Nie powinna podróżować z tą swoją nogą.

Anne zgrzytnęła zębami. Rhys nigdy nie przypominałby wychowawce o jej ułomności ani też nie nalegał co chwila, żeby na siebie uważała. Przeciwnie, pozwoliłby jej walczyć do ostatka, potem zaś po prostu podniósłby ją i posadził w fotelu. To ze względu na Rhysa spędziła całe miesiące, ucząc się na nowo chodzić po wypadku, dla jego aprobaty każdego dnia przekraczała granice wytrzymałości. A przynajmniej tak sobie powtarzała. Prawdziwy powód, dla którego pragnęła pokonać ułomność, był tak bolesny, że rzadko dopuszczała go do swoich myśli. Szukała uznania kogoś, kto nigdy nie spoglądał na nią ponownie, jeśli absolutnie nie musiał, kto szybko zdobył rycerskie ostrogi i wyruszył na wojnę. Nie, jego aprobaty Anne nigdy nie uzyska.

Przykre, że właśnie jego zdanie najbardziej się dla niej liczyło.

Rhys uściśnął ją delikatnie, zanim się od niej odsunął. Nigdy widok innej osoby nie uszczęśliwił Anne tak jak w tej chwili, kiedy patrzyła na tego jednego jedynego człowieka, który mógł ocalić ją przed bezzwzględnymi matrymonialnymi knowaniami jej ojca.

- Odebrałaś długą podróż, moja droga - powiedział Rhys. - To poświęcenie wiele znaczy. Tym mocniej zasmuca mnie, że muszę przekazać ci takie wieści.

- Widzisz? - wtrącił znacząco Geoffrey. - Mówiłem jej, że jedziemy na próżno. - Prychnął z odrazą. - Taki kawał drogi tylko na pogrzeb.

Anne wydawało się, że na jej szyi zaciska się pętla.

- Nie zdążyliście nawet na pogrzeb - rzekł ponuro Rhys. - Nie mogliśmy dłużej zwlekać.

- Wobec tego z pewnością nie zabawimy tu długo - oświadczył Geoffrey. - Mam wobec niej plany w domu.

Anne przymknęła powieki i pomodliła się żarliwie. Oby jakiś święty ulitował się nad nią i podsunął sposób, by mogła tutaj pozostać. Z całych sił pragnęła oglądać odjazd ojca z powrotem do Fenwyck zaa bezpiecznej osłony blanków Artane. Spakowała nawet dodatkową suknię czy dwie na taką okoliczność.

- Montgomery bardzo lubił Anne - powiedział Rhys. - Bez wątpienia ucieszyłby się, widząc ją znowu.

- Nie myślę... - zaczął Geoffrey.

- A jakże, często ci się to zdarza - uciał Rhys. - Wejdz do środka, Geoffreju. Gwen chętnie cię zobaczy.

Anne obserwowała, jak jej rodzic się waha, a następnie rozważa propozycję. Najwyraźniej uroda pani Gwennelyn nadal potężnie nań działała, albowiem, wymamrotawszy pod nosem z niechęcią coś jeszcze, wkroczył do donżonu, nie spierając się więcej. Anne odetchnęła głęboko, potem zaś podniosła wzrok na swojego protektora.

- Jak sobie radzisz, panie? - zapytała. Rhys uśmiechnął się ponuro.

- Całkiem nieźle. Montgomery był dobrym przyjacielem, będzie mi go brakować. Ucieszyłby się wszakże, że wróciłaś do domu.

Z ulgą skonstatowała, że jej protektor dobrze znosi tę stratę. Sir Montgomery był ostatnim z pierwotnych przybocznych Rhysa, a teraz odszedł w objęcia śmierci. Niespełna dwa lata wcześniej Rhys stracił bliźniaków Fitzgeraldów, co było dla niego poważnym ciosem. Utrata Montgomery'ego również musiała srodze go zasmucić.

- Przykro mi, że się spóźniłam - powiedziała.

- Nie mogłaś wiedzieć. - Ujął ją pod rękę, zawracając w górę schodów. - Pod jakimż to głupim pretekstem ojciec tak długo trzymał cię z dala od twojego prawdziwego domu?

- Konkury - odparła Anne, wzdrygając się.

- Biedna dziewczyna. Przypuszczam, że nie przedstawił ci zbyt wielu interesujących kandydatów?

- Nie.

- Pozostaw go mnie - rzekł Rhys. - Wiem, jak zmienić bieg jego myśli.

A jakże, kierując je ku licznym sińcom, uzyskanym w trakcie walki, pomyślała Anne, dodając zaraz: O tak, nie zaszkodziłoby. Nie odezwała się wszakże. Od ciepła i wygody wielkiej sali dzieliły ją zaledwie trzy stopnie, których przebycie całkowicie ją teraz zaprzętało.

Kiedy pokonała ostatni schodek i zamknęły się za nią drzwi sali, przystanąła roztrzęsiona. Spojrzała na drogę, jaką musiała jeszcze pokonać, by dotrzeć do kominka i zgromadzonych przy nim wygodnych foteli i stołków, i pomyślała, że się rozplacze, jedynie дума powstrzymywała ją przed osunięciem się na kolana. Rhys jej nie odstępował. Wiedziała, że będzie po prostu cierpliwie czekał u jej boku, dopóki nie odzyska woli działania - i ta świadomość dodawała jej sił.

Zanim jednak zdołała zgromadzić w sobie choć odrobinę energii czy odwagi, do wielkiej sali z furkotem spódnic wpadło z góry czarnowłose zjawisko i pędem przecięło wyścielające podłogę maty. Anne przygotowała się na powitalny uścisk, który groził mało delikatnym powaleniem jej na plecy.

- Świeci pańscy, nareszcie! - Słowem tym towarzyszyło objęcie i pocałunek. - Anne, słowo daję, bałam się, że twój ojciec nigdy nie wypuści cię z Fenwyck!

Anne przytrzymała się przybranej siostry, wzdychając z ulgą. .

- Z pewnością zakrawa na cud, że się tu znalazłam - przyznała.

Amanda z Artane odsunęła się, żywiłowo przewracając oczami.

- Jakichże to ramoli przedstawił ci do wyboru/ - chciała wiedzieć. - Wyobrażam sobie, że żaden nie był ciebie wart.

- Zaś dyspozycja do tego rodzaju wyobrażeń - odezwał się Geoffrey, ukazując się zniechęca za Amandą - przywiodła do zguby i bez wątpienia nadal gubi twoją matkę. Lepiej zatem powściągnij w sobie ową skłonność.

Kiedy Amanda odwróciła się, żeby spojrzeć na mówiącego, Anne zwalczyła chęć, by ukryć się za jej plecami, tak by nieunikniona kłótnia nie objęła także i jej osoby. Amanda była boleśnie szczera, bez względu na konsekwencje. Anne wahała się, czy powinna ją uciszyć, czy raczej zachęcić do ataku. Być może Amanda zdołałaby przekonać Geoffreya, że Anne na razie nie zamierza wychodzić za mąż - a już na pewno nie za mężczyznę, którego on dla niej wybierze.

- Zaczynasz panie Fenwyck - powiedziała Amanda, skłaniając głowę - cóż za przyjemność cię widzieć, jak zawsze zresztą.

- Odziedziczyłaś po matce urodę - mruknął Geoffrey. - Niestety, dotyczy to także jej niewyparzonego języka.

- Jedno i drugie poczytuję sobie za dar - przyznała Amanda. - Co się zaś tyczy konkurentów...

- Wybrałem kilku znamienitych mężów...

- Ani chybi dwakroć od niej starszych...

- Nie znasz sprawy - odparował ostro Geoffrey. - Ty zaś, pani, dawno już przekroczyłaś wiek, kiedy jakkolwiek rozsądny mężczyzna pojąłby cię za żonę i poskromił.

- Jeśli którykolwiek potrafiłby tego dokonać...

Anne obawiała się, że lada moment dojdzie do rękoczynów, oszczędzono jej jednak tego widoku, bowiem Rhys wkroczył między swoją córkę a Geoffreya.

- Dość tego - rzekł surowo. - Amando, zaprowadź Anne do kominka. Fenwycku, pójdź ze mną. Odbyleś długą podróż, ja zaś mogę zaproponować ci coś na rozgrzewkę w mojej komnacie. Rozgościsz się tam wygodnie.

- Byłoby lepiej, gdyby rozgościł się w Fenwyck - mruknęła Amanda.

Anne przygryzła wargę, powstrzymując uśmiech, kiedy odprowadzała wzrokiem Rhysa prowadzącego za sobą jej ojca. Nie pohamowała jednak krótkiego wybuchu wesołości, gdy Amanda odwróciła się ku niej z nachmurzoną miną.

- Och, Amando - sapnęła - pewnego dnia naprawdę powiesz za dużo i napytasz sobie biedy.

Amanda zbyła te słowa machnięciem ręki, jakby odpędzając uprzykrzoną muchę.

- Gdybyś znała myśli, które zachowuję dla siebie, oceniłabyś mnie jako zaiste wielce powściągliwą. Chodź, usiądziemy przy ogniu. Wyżalisz mi się, a ja zapłacę wraz z tobą. Kiedy nadejdzie matka, powtórzmy jej twoją smutną historię, ona zaś pomówi z twoim rodzicem. Wiesz, że potrafi go przekonać, iż postępuje jak głupiec.

Anne podejrzewała, że takie zadanie przerastało nawet możliwości pani Gwennelyn, lecz zawsze warto żywić nadzieję. W tej chwili wszakże marzyła tylko o tym, by usiąść w ciepłe, wsparła się więc na towarzysze i z jej pomocą dokużyła do kominka, gdzie zadowolona spoczęła na czymś, co się nie poruszało.

Zgodnie z zaleceniem Amandy opowieść Anne trafiła najpierw tylko do jej uszu. Potem dołączyli inni, by posłuchać o przeżytych przez nią udrękach. Pomruki niezadowolenia, okrzyki wściekłości i groźby pod adresem jej ojca brzmiały dla Anne niczym muzyka; odkryła, że uśmiecha się po raz pierwszy od tygodni.

Znalazła się w gronie najbliższych sobie osób, chwilowo wolna od niepożądanych zalotników. Nieważne, co przyniesie jutro. Ostatecznie wyrwała się z zamku ojca, choć wcześniej sądziła, że zdoła opuścić te mury wyłącznie u boku niechcianego męża. A jednak była tutaj, siedziała wygodnie przy ogniu w otoczeniu istot najdroższych swojemu sercu. Sprawiało jej to przyjemność dokładnie tak wielką, jak się spodziewała.

Wieczór upłynął spokojnie. Członkowie rodziny, jak to mieli w zwyczaju, zgromadzili się przy kominku w komnacie Rhysa. Anne udała się z nimi, poczytując to sobie za nie lada przywilej. Choć w Artane przebywało wielu wychowanków, wyłącznie ją dopuszczono do ścisłego kręgu rodzinnego. Okoliczność ta była zresztą niewątpliwie jednym z powodów, dla których Baldwin z Sedgwick jej nienawidził. Mimo że był krewniakiem Rhysa, nie zyskał wstępu do jego komnaty. Wszelako Baldwin nie był osobą, której owa sytuacja dokuczala najbardziej. Jego siostra Edith także zamieszkała w Artane i Anne podejrzewała, że wykluczenie z grona zaufanych i odsunięcie od pańskich rozrywek ogromnie jej doskwiera.

W tej chwili jednak Anne nie musiała się przejmować Baldwinem ani jego siostrą, ani w ogóle kimkolwiek. Wróciła do domu, tyle jej wystarczyło. Siedziała w fotelu obok Amandy i z przyjemnością spoglądała po zgromadzonych.

Jej protektorowie usiedli blisko siebie, trzymając się za ręce, najwyraźniej tak samo radzi sobie jak w dniu, kiedy Anne ujrzała ich razem po raz pierwszy. Ich szczęście rzucało się w oczy, podobnie jak duma, jaką napawały ich dzieci. Nic dziwnego. Potomstwo tych dwojga, dzieci przysposobione i te z własnej krwi, tworzyło gromadkę naprawdę godną pozazdroszczenia.

Anne spojrzała na ich najstarszą córkę, Amandę, czując tradycyjny przyływ zazdrości, czy może raczej czegoś w rodzaju łagodnego rozżalenia, że nie urodziła się tak piękna jak jej przybrana siostra. Zresztą Anne marzyła nie tylko o urodzie Amandy; ta dziewczyna miała w sobie ogień i ducha rzadko spotykane u kobiet. Zarazem długie lata obserwacji przybranej siostry przekonały Anne, że takie cechy mają swoją cenę - Amanda żywiłowo ścierała się z Rhysiem na temat tego, jak powinno potoczyć się jej życie. Amanda kroczyła wyboistą ścieżką, wszelako Anne kochała ją tak czy owak i ceniła sobie jej przyjaźń.

Siedzący tuż obok Amandy Miles był jej bliski także wiekiem. Z wyglądu bardzo przypominał swojego ojca, co czyniło go szalenie przystojnym. Różnili się tym, że o ile Rhys zwykle prezentował pogodne oblicze, o tyle na twarzy jego syna nieustannie malowała się zaduma. Jednakże Anne bardzo lubiła Milesa, bowiem choć często popadał w ponury nastrój, przejawiał wyśmienite poczucie humoru. Cieszyła się, że wrócił do domu po zdobyciu ostróg. Podejrzewała, że nie zabawi tu długo, zamierzała wszakże radować się jego towarzystwem, póki miała po temu okazję. Młodsza od Milesa Isabelle przypominała Amandę wyglądem, lecz nie temperamentem. Była niezwykle miła i tak uległa, jak należałoby oczekiwać od osoby nieustannie przebywającej w towarzystwie Amandy.

Najmłodszy w tej gromadce byli bliźniacy. Szczęśliwie dla reszty potomstwa Rhysa i Gwen przyszli na świat jako ostatni, Anne przypuszczała bowiem, że w przeciwnym razie pozostałe dzieci nie zostałyby poczęte. Psoty tych dwóch zapierały dech w piersiach, ani chybi były też powodem większości siwych włosów na głowie Rhysa.

Jednak nawet po uwzględnieniu najmłodszych chłopców, obrazek przed kominkiem nie był kompletny. Brakowało na nim dwóch najstarszych synów Rhysa, co wszakże nie dziwiło. Robin i Nicholas terminowali jako giermkowie w innej warowni, by tuż po zdobyciu ostróg, w młodym wieku dziewiętnastu wiosen, na krótko powrócić do domu. Zaraz potem podjęli decyzję o przyłączeniu się do krucjaty. Nicholas nigdy tak naprawdę tego nie chciał, lecz Robin przekonał go, że udział w wyprawie krzyżowej jest ich obowiązkiem. Stracili jedynie czas, kiedy bowiem dotarli do celu, napotkali pokonanych rycerzy powracających do domu. Konkretnie powody, dla których Robin chciał wyruszyć na wojnę, pozostawały nadal tajemnicą. W każdym razie Anne nie oglądała dziedzica Artane od ponad pięciu lat.

Ten stan rzeczy mógł w każdej chwili ulec zmianie, jako że przed trzema miesiącami Rhys posłał po syna. Święci pańscy jedynie wiedzą, dlaczego Robin zwlekał z przybyciem. Tego popołudnia Anne podsłuchiwała służbę spekulującą na temat przyczyn tej zwłoki; licytowano się przeróżnymi wyjaśnieniami, od tego, że Robin pozostaje uwięziony w lochu jakiegoś zagniewanego ojca, któremu zhańbił córkę, po sugestie, że wybrał się do Ziemi Świętej, żeby zgromadzić sobie harem. Anne nie interesowały te rozważania, tak więc spieszenie wycofała się z kuchni.

Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie nawet nie ujrzy Robina, zanim ojciec sprzeda ją jakiemuś dwakroć od niej starszemu mężczyźnie, któremu będzie całkowicie obojętna.

Zmieniła pozycję, ponieważ noga zaczęła jej dokuczać. Tutaj przynajmniej nikt się na nią w takiej chwili nie gapił. W Fenwyck złośliwe oczy namierzały jej chromą nogę, mężczyźni wlepiali w Anne wzrok, jakby nie mogli uwierzyć, że jest tak jawnie szpetna, zaś żona Geoffreya i jej córka traktowały ją jak osobę beзуżyteczną, nadającą się co najwyżej do tego, by siedzieć w kobiecej izbie i wyszywać. Przyjazd do Artane przyniósł Anne ulgę, nawet jeśli oznaczał powrót do miejsca jej wcześniejszych upokorzeń, gdzie mury szeptały dawne obelgi, gdy przechodziła. Potrafiła je wszakże zignorować, zwłaszcza jeśli udawało jej się unikać Baldwina z Sedgwick. Poważniejszym wyzwaniem była świadomość, że gdziekolwiek by się udała w obrębie tych murów, Robin był tam przed nią. Jego duch przesładował Anne na jawie i we śnie. Chciała, żeby wreszcie przestał. Czy aby na pewno?

W tej chwili sama już nie wiedziała, co byłoby gorsze. Nie wątpiła, że nawet gdyby miała spędzić resztę życia nękana wspomnieniami o Robinie, byłoby to znacznie znośniejsze niż rola elementu inwentarza u jakiegoś nieznanego pana.

Te kwestie pozostawały wszakże sprawą przyszłości. Teraz wystarczyło jej, że jest w domu, otoczona rodziną, na której łonie dorastała. O wiele przyjemniej było skupiać uwagę na wydarzeniach toczących się wokół niej, niż snuć przypuszczenia na temat tego, co dzieje się we Francji. Święci pańscy tylko wiedzą, jaki wyskok planował obecnie Robin. Zapewne wymagało to udziału jakiejś przygodnej kobiety, Anne zaś absolutnie nie miała ochoty wyobrazić sobie związanych z tym odgłosów. Otworzyła oczy i odkryła, że ojciec się w nią wpatruje. Zasznurował usta i znacząco pokręcił głową. Anne bez trudu odczytała niewypowiedziane przesłanie: „Nie przyzwyczajaj się do tego, dziewczyno”.

Na jej ramieniu spoczęła dłoń Amandy. Przybrana siostra pochyliła się ku niej.

- Przysięgam, że nim miną dwa tygodnie, pokrzyżujemy mu szyki - szepnęła jej do ucha.

Anne skinęła głową, wdzięczna za odwrócenie uwagi. Rozumiała, że nawet Amanda nie mogłaby tego dokonać, lecz rozważania na ten temat przynajmniej pozwoliły jej oderwać myśli od Robina. Żywiła głęboką nadzieję, że bez względu na to, w czym łożu właśnie się zabawia, znajduje się tam też kilka garści szczęśliwych, upartych pluskiew, które są powodem okrzyków nieświadczących bynajmniej o rozkoszy.

Rozdział 2

Robin z Artane poważnie traktował przyjemności, jakich dostarczały mu rozrywki.

Gdy zatem teraz doświadczał takowej, dobrze na nią uprzednio zapracowawszy, delectował się nią z równym zadowoleniem jak wówczas, gdy zakosztował podobnego doznania po raz pierwszy. Przymknawszy powieki, rozkoszował się potem spływającym mu po twarzy, drzeniem kończyn i gwałtownym biciem serca, które niemalże wrywało się z piersi. Poczucie odniesionego zwycięstwa, pokonanego wyzwania, pełnego wykorzystania znakomitych umiejętności: doprawdy, czy cokolwiek zdołałoby sprawić mu więcej satysfakcji? Gdyby mógł w tej właśnie chwili zasnąć, być może choć raz zaznałby przyzwoitego odpoczynku.

Szkoda, że stał pośrodku placu musztry z trzema warstwami błota i gnoju oblepiającymi mu buty, zamiast leżeć w pościeli z powabną dziewczyną.

Niestety, taki żaloszny stan rzeczy w jego przypadku wydawał się ostatnio szczytem łaskawości fortuny.

Robin przyjmował każdy dar losu, tak więc, nadal z zamkniętymi oczami, rad wdychał woń potu, skóry i gnoju. Mogło być znacznie gorzej.

Radość ze zwycięstwa nigdy nie trwała tak długo, jak by sobie tego życzył, albowiem nieustannie czekały nań nowe wyzwania, duma zaś nie pozwoliłaby mu pozostać bezczynnym. Rękawem otarł pot z oczu, po czym spojrzął na gromadę stojących w pobliżu mężczyzn. Trzymał ich w potrzasku, tak że nie mogli mu uciec. Dostrzegając w tym jedyną zaletę jego przedłużającego się pobytu w warowni brata we Francji. Z kolei zdecydowanie niepokieszony był faktem, że odkąd Nicholas zadomowił się wygodnie w jednej ze swoich rezydencji, niechętnie wypuszczał się na poszukiwanie wojennych rozrywek. Robin włożył wiele wysiłku w przekonanie brata, uciekając się do pochlebstw, gróźb i wymachiwania mieczem, lecz bez skutku. Nicholas wolał miękki fotel przed kominkiem, w którym zagłębiał się z nogami w górze, mając na swoje usługi kilka niebrzydkich dziewczek spełniających każdą jego zachciankę. Robin przypuszczał, że łatwiej przyszłoby mu nakłonić grupę mniszek do zrzucenia ubrań, aniżeli oderwać brata od jego wygod. Niech go diabli!

Robin w każdej chwili mógłby sam wyruszyć w drogę, lecz Nicholas był, mimo wszystko, jego rodziną, a rodzinę zawsze dobrze mieć przy sobie. Nawet jeśli ceną za to okazuje się utrata przyzwoitej bitwy.

Nachmurzył się. Narzekanie w niczym mu nie pomoże. Zwrócił zatem myśli z powrotem ku bieżącym kwestiom, żywiąc nadzieję, że tym sposobem poprawi sobie nastrój.

- Następny - zachrypiął.

Chyba spędził tego popołudnia zbyt wiele czasu, wrzeszcząc na przybocznych swojego brata. Ludzie Robina stracili siły już wcześniej. W efekcie pozostało niewielu mężów chętnych się z nim mierzyć. Nie zapowiadało to udanego wieczoru.

- Sir Guyu, staw mi czoła, a przekonamy się, czyś jest równie zniewieściały jak twój pobity towarzysz.

Sir Guy dobył miecza i z przekleństwem ruszył na Robina. Nie brakowało mu umiejętności, mimo to Robin z łatwością utrzymywał go na dystans. Lata wojowania, czy to dla króla, czy we własnym imieniu, wyćwiczyły w nim odruchy do tego stopnia, że zapewne mógłby walczyć z zamkniętymi oczami bądź umysłem zamroczonym napitkiem. Kontrował ciosy Guya bez chwili namysłu, uważnie obserwując przeciwnika w oczekiwaniu na pierwszy objaw osłabienia bądź wahania. W przypadku Guya przyszło mu czekać dłużej niż przy jego poprzedniku, lecz moment ten w końcu nastąpił, Robin zaś w pełni wykorzystał okazję, wytrącając rycerzowi miecz z dłoni i przykładając mu sztych do piersi na wysokości serca.

- Pokój - rzekł ciężko Guy.

Robin odstepił.

- Następny.

I tak to szło, aż wreszcie Robinowi nie pozostał żaden przeciwnik. Rozejrzał się i zaklął sfrustrowany. Zanosilo się na to, że na dzisiaj skończył. Przynajmniej mógł żywić pewne nadzieje na jutro. Jakkolwiek utyskiwał, że tkwi za murami, w istocie codzienne potyczki sprawiały mu większą przyjemność niż niepewne rozrywki wojenne. Bitwy nie następowały tak często, jak by sobie tego życzył. Zbyt wiele czasu upływało podczas przemieszczania się z miejsca na miejsce, oczekiwania, aż oblężenie wykurzy zwierzynę z nory, i przysłuchiwanie się, jak jego ludzie fetują zwycięstwo, podczas gdy on nie miał ochoty świętować wraz z nimi.

Robin schował miecz do pochwy i pomyślał o wieczery. Być może szybki posiłek przywróci siły paru tutejszym rycerzom. Niewykluczone, że Robin zażyje jeszcze odrobiny rozrywki, nim uda się na spoczynek - sam, jak najwyraźniej było mu pisane.

Doprawdy, żaloszny stan rzeczy.

Ciężkim krokiem ruszył z powrotem do donżonu brata. Uzmyslowił sobie, że powalił na ziemię swojego giermka, dopiero kiedy niechęć nań nastąpił.

- Nieuważny dzieciak - powiedział Robin, stawiając na nogi szesnastoletniego młodzieńca. - Patrz, gdzie idziesz.

- Tak jest, panie. - Jego młody kuzyn, Jason z Ayre, cofnął się o krok z pospiesznym ukłonem. - Wybacz mi, panie. Lord Nicholas czeka z listem z Artane. Mniemam, że przysłała go twoja matka, a wiadomości są złe...

- Złe? - powtórzył Robin.

Odepchnął Jasona, nie czekając, aż giermek wyjawi więcej. Pobiegł do donżonu, pozostawiając chłopakowi decyzję, czy podąży za nim. Serce boleśnie ścisnęło mu się w piersi. Święci pańscy, jakież to nieszczęście spadło na jego rodzinę? Nie powinien był tak długo przebywać poza domem. Nie miał dobrego powodu, żeby pozostawać we Francji. W gruncie rzeczy były dwa takie powody, lecz o tych sprawach starał się nie myśleć, jeśli tylko potrafił. Z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi wielkiej sali i rozejrzał się w poszukiwaniu swojego jasnowłosego brata. Nicholas stał przy kominku z pergaminem w dłoni. Robin podszedł do niego i odebrał mu list.

- Jeszcze nie skończyłem - zaprotestował Nicholas.

- Teraz skończyłeś - mruknął Robin.

Doczytał do informacji o ciężkiej chorobie Montgomery'ego, kiedy z kolei Nicholas wyrwał mu pergamin. Robin nie walczył z bratem. Cokolwiek jeszcze było w liście, zapewne dotyczyło rodziny, Robin zaś w tej chwili nie miał ochoty zapoznawać się z tym.

Zdawał sobie sprawę, że od czytania wieści z domu powstrzymuje go dotkliwe poczucie winy. Leżałoby wszak w jego interesie pokazać się od czasu do czasu w Artane, tak by chłopci rozpoznali go, gdyby coś się stało jego ojcu. Co gorsza, sam ojciec posyłał po niego raz po raz w ciągu ostatnich miesięcy. Robin dawno powinien był wrócić.

Nie wrócił jednak, toteż nie miał serca czytać nowin z domu. Wolał, gdy Nicholas referował mu te wiadomości, które uznał za istotne.

Matka pisała wcześniej, że Montgomery odniósł ranę. Robin usłyszał o tym od Nicholasasa. Spodziewał się, że mężczyzna wyzdrowieje; najwyraźniej się mylił. Wprawdzie rodzice powinni poradzić sobie z tą stratą o własnych siłach, być może jednak nadeszła pora, żeby Robin zawitał z krótką wizytą w domu. Spędzi nieco czasu z ojcem i przekona się, jak rodzinna warownia przetrwała minione lata. Przy okazji rzuci okiem na własne ziemie. A jakże, było parę spraw, którymi mógłby się zająć, kiedy zamarudzi kilka dni w Anglii. Im szybciej się tam uda, tym prędzej stamtąd wyjedzie.

- Powinniśmy wyruszyć - oświadczył z westchnieniem Robin. - I to w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Nicholas nie odrywał oczu od lektury.

- Och, pospiesz się z tym, do diabła - rzucił Robin.

Brat go zignorował.

Robin założył ręce na plecy i stanął tyłem do kominka. Przynajmniej nieco się ogrzeje, medytując nad licznymi tajemnicami życia, z których sporo w taki lub inny sposób go dotyczyło.

Chociażby tajemnica jego brata. Robin z niezadowoleniem spojrzął na Nicholasasa. Jakże przyjemnie musi być wieść tak niefrasobliwe życie. Przyglądał się, jak Nicholas rozprostowuje nogi i mości się w fotelu, jakby nie ciążyły mu żadne troski. Bo też jakie troski mogłyby go zaprzętać? Nie jest najstarszym synem.

Podobnie nie kłopotowało Nicholasasa jego pochodzenie. Jeśli przejmował się, że jego matka była dziewczką służebną, ojciec zaś Bóg wie kim, nigdy tego nie okazywał. Istotnie, dlaczego miałby się tym przejmować? Jako ukochany przysposobiony drugi syn jednego z najpotężniejszych panów w Anglii posiadał własny zamek we Francji i liczne włości na wyspie, co czyniło go naprawdę majątnym człowiekiem. Kobiety garnęły się do niego, Nicholas zaś jakimś cudem unikał płodzenia bękartów. Robin nie potrafił tego pojąć i nie umiał też nic poradzić na to, że mocno go ta okoliczność irytuje. Robin miał tak wiele trosk, że nie zdołałby ogarnąć ich umysłem za jednym posiedzeniem. Mimo że został usynowiony przez Rhysa de Piageta podobnie jak Nicholas, dziedziczył Artane, z czym wiązało się wiele powinności. Nie było tajemnicą, że jego rodzonym ojcem był zmarły baron Ayre. Po jego śmierci matka Robina poślubiła dowódcę swoich przybocznych, Rhysa z Artane. Robin nie miał najmniejszego problemu z zaakceptowaniem Rhysa w roli rodzica. Odkąd pamiętał, pragnął stać się jego synem naprawdę. Jakkolwiek na dziedzicu Artane spoczywały ciężkie obowiązki, od których Robin się nie uchylał.

Nieustannie go obserwowano. Jego ludzie, inni szlachetnie urodzeni, każdy członek rodziny królewskiej znajdujący się przypadkiem w pobliżu - wszyscy czyhali na jego pierwsze potknięcie, pierwszą oznakę słabości, pierwszą porażkę na placu ćwiczebnym. Zawsze tak było i ani chybi tak już pozostanie. Od Robina zależał nie tylko jego własny honor, lecz również honor jego ojca. Nicholas w ogóle nie odczuwał tego rodzaju brzemienia. Jeśli nie popisał się na turnieju, co zresztą zdarzało się rzadko, zbywał porażkę wzruszeniem ramion i zaspokajał się z ładną dziewczką. Robin nigdy nie podchodził do tych kwestii równie bez troski. Każda konfrontacja, każde starcie oznaczały dlań sukces lub hańbę. Nie wolno mu było przegrać. Nie przegra. Prędzej umrze, niż znów wystawi się na pośmiewisko.

- Ooo - rzucił przeciągle Nicholas. - A to ciekawe.

- Co takiego? - zapytał Robin, zastanawiając się, jakąż to informację jego bezmózgi brat uznał za godną uwagi.

- Matka posłała wiadomość do Fenwycka.

Robin zmarszczył brwi.

- Do Fenwyck? Po co? Tak jakby Fenwyck żywił dla Montgomery'ego ciepłe uczucia.

- Wątpię, że pragnęła przekazać wieści akurat Fenwyckowi.

- A kogóż jeszcze mogłyby tam one obchodzić? - Robina także niewiele zajmowała ta kwestia, lecz Nicholas wydawał się zdeterminowany, by doprowadzić wątek do końca.

- Jak to? - Nicholas spojrział na Robina, mrugając ze zdziwieniem. - Anne, oczywiście.

- Anne? Co z Anne?

Nicholas nadal mrugał niczym sowa, jakby nie potrafił zebrać myśli, by wygłosić choć jedno inteligentne zdanie.

- Matka ani chybi posłała wieści do Anne z Fenwyck - rzekł wreszcie.

Robin poczuł skurcz w żołądku. Bez wątpienia z głodu. Powinien był się posilić, zanim zaczął słuchać bzdur wygłaszanych przez brata.

Anne była w Fenwyck? Musiała udać się do zamku ojca z coroczną dwutygodniową wizytą. Dziwne jednak, że wyjechała, skoro Montgomery nie domagał. Bardzo lubiła staruszkę.

- Nie mówiłem ci?

- O czym mi nie mówiłeś? - zapytał Robin.

Jeszcze dziwniejsze, że matka musiała słać wieści o chorobie Montgomery'ego. Przecież Anne tak czy owak wkrótce by wróciła.

- Anne jest w Fenwyck od przedwiośnia.

Robin spoglądał na Nicholasę. Wiele trudu kosztowało go ukrycie zaskoczenia.

- Od przedwiośnia?

- Nie mówiłem ci?

Robin włożył niewyobrażalny wysiłek, by oddychać tak, jakby wieści niemal go usypiały.

- Od przedwiośnia? - powtórzył bez przekonania, przeklinając się za to, że nie jest w stanie wykrztusić nic innego.

Nicholas skinął głową, po czym znów zagłębił się w lekturze.

- Jej ojciec szuka dla niej męża. Znając go, pokazuje ją jak kłacz na targu. Matka donosi, że nawet jeśli Anne zostanie zwolniona, żeby pożegnać Montgomery'ego, raczej nie zabawi długo. Fenwyck niemal musiał dobyć miecza, żeby zmusić ją do opuszczenia Artane, zanim...

Od przedwiośnia? Zatem Anne spędziła w murach Fenwyck blisko pół roku. Zakrawało na cud, że dotąd nie została wydana za mąż.

Wówczas kolejna myśl uderzyła Robina z siłą tarana.

Anne od pół roku była w Fenwyck, a Nicholas nic mu o tym nie wspomniał.

Robin wyszarpnął z rąk brata pergamin i odrzucił go na bok, potem zaś poderwał bęcwała na nogi. Solidnie nim potrząsnął.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?! - wrzasnął.

- Powiedzieć ci o czym? - zapytał spokojnie Nicholas.

- Myślałem, że ona jest w domu, głupcze!

- Nie sądziłem - rzekł powoli Nicholas - że ta sprawa cokolwiek dla ciebie znaczy.

Robin stłumił chęć spoliczkowania samego siebie. Święci pańscy, co też wyczyniał? Ostatnie, czego potrzebował, było dostarczanie temu półgłówkowi pożywki dla jego romantycznych wyobrażeń! Zmusił się do rozwarcia pięści zaciśniętych na tunice brata, potem zaś starannie wygładził materiał, usiłując przywrócić go do stanu przed swej napaści. Odstąpił od brata i głęboko odetchnął.

- Bo nie znaczy - rzekł. - Nic a nic.

- Ach tak? - upewnił się Nicholas.

- Nie obchodzi mnie, gdzie ona przebywa - ciągnął Robin. - Złości mnie jedynie, że nie przekazałeś mi wszystkiego, o czym pisała matka.

No proszę, takie wyjaśnienie brzmiało sensownie.

- Cóż - rzekł Nicholas, uśmiechając się nieznacznie - jest coś jeszcze, o czym ci nie powiedziałem.

Robin przygotował się na najgorsze.

- Tak?

- Żądania matki dotyczące naszego powrotu zawierały nieco więcej szczegółów.

- Bez wątpienia - mruknął Robin.

- Zagroziła, że osobiście przybędzie do Francji i przegna cię z placu ćwiczebnego własnym mieczem.

Robin zadrzał, wyobrażając sobie tę scenę. W istocie, jego matka umiała podźwignąć miecz, niekiedy też udawało jej się skierować go we właściwą stronę, lecz nieuchronnie zmierzała ku rozczłonkowaniu każdego, przeciw komu zwróciła oręż. Zarazem Robin dobrze znał matkę i wiedział, że nie rzuca słów na wiatr. Powinien wrócić, jeśli nie chciał jej sprowokować.

W rzeczy samej, wypadało powrócić do Anglii jak najszybciej, by przekonać się, jak się sprawy mają w Artane. Tak, nie ma sensu zwlekać z tym choćby chwili. Kto wie, jakich przygód oszczędzi tym sposobem matce. Ojciec z pewnością mu za to podziękuje - jeszcze jeden powód, by jak najprędzej ruszyć w drogę. Robin przytrzymał siadającego właśnie brata za tunikę, nim ten zdołał opaść na fotel.

- Pakuj manatki. Wyruszamy natychmiast.

- Skąd ten pośpiech?

- Matka będzie nas potrzebować.

Kącik ust Nicholasa zadrgał.

- Zamyślasz uratować Anne przed odrażającymi zalotnikami?

- Ojcu zapewne także się przydamy - ciągnął Robin, ignorując uśmiech brata. - Poza tym nie lubię mitrzyć czasu w podróży.

- Przypuszczalnie dotrzemy do domu zbyt późno, żeby ją spotkać - zauważył Nicholas. - Chyba że naprawdę się pospieszymy. A popatrz tylko, jak tobie okrutnie zależy na pośpiechu.

Robin z chęcią powaliłby brata na podłogę i wdeptał go w sitowie, żeby zetrzeć mu z twarzy ten przeklęty uśmiezek; dolałby tym wszakże tylko oliwy do ognia.

- Pospiesz się - rozkazał, po czym przeciął wielką salę, nie zważając na to, co ani chybi było bezsensowną paplaniną Nicholasa.

W drzwiach natknął się na swojego giermka.

- Przekaż ludziom, żeby się szykowali. Za godzinę wyruszamy.

- Tak jest, panie. - Jason kiwnął głową, robiąc wielkie oczy. - Wedle twojej woli.

Robin wrócił na plac potyczek. Jason zajmie się ekwipunkiem; wołał trzymać się od tych przygotowań z daleka. Zaczął biec. Jego ciało rozgrzało się przyjemnie, kiedy sadził susami wzdułuż zewnętrznego pierścienia murów. Radowała go także krew grzmiąca mu w uszach, jako że nieomal zdołała zagłuszyć nękające go myśli. Święci pańscy jeno wiedzą, że nie poszczęściłoby mu się w poszukiwaniach dziewczki, która wspomogłaby go w owym zadaniu - jego porywczosć zdawała się popychać je wszystkie w ramiona Nicholasa. Biegał, aż nie mógł złapać tchu. Dopiero wtedy zatrzymał się i stanął przygarbiony, wspierając ręce na udach i haustami chwytając powietrze. Nie chciał wracać do domu, wiedział jednak, że musi. Matka będzie go potrzebować, ojciec także. Montgomery był drogi im obojgu. Robin nie zdobył się na wizytę w domu, by uczestniczyć w jakimkolwiek pogrzebie przez minione pięć lat; chyba wreszcie powinien uczynić ten wysiłek.

Ponadto, im prędzej przybędzie, tym szybciej nada się rodzicom. Znajdą z bratem statek, który zabierze ich jak najdalej na północ. Oszczędzą dzięki temu czas, jaki zajęłoby im podróż konno z Dover. Tak, zamysł brzmiał rozsądnie. Jeśli postanowi zostać w Anglii dłużej, pośle po swój ekwipunek.

Robin podejrzewał, że spędzi w domu dwa tygodnie, góra miesiąc, akurat tyle, by upewnić się, że wszystko jest w porządku, potem zaś pospieszy na dwór królewski. Jeśli szczęście wyjątkowo mu dopisze, uda mu się nie oglądać Baldwina z Sedgwick, bez wątpienia panoszącego się nadal w Artane z tą samą arogancją, która tak irytowała go jako czternastolatka. A jakże, na twarzy Baldwina ani chybi zagościłby ten sam uśmiezek, który Robin widział, kiedy rycerz złamał Nicholasowi dwa palce. Pamiętał ten grymas zaskakująco dokładnie, jeśli uwzględnić, że oglądał go przez oblepiające mu twarz i oczy błoto.

Z rozmysłem rozwarł pięści, starając się zignorować fakt, że w ogóle je zacisnął. Nic na to nie poradzi. Nigdy świadomie nie wracał wspomnieniem do tamtego popołudnia, czasem wszakże dopadało go ono z zaskoczenia.

Niestety, jego waśń z Baldwinem z Sedgwick trwała znacznie dłużej niż jedno popołudnie i niewykluczone, że właśnie dlatego ta kwestia tak mu dokuczwała. Baldwin stawiał się w Artane praktycznie w chwili, kiedy ukończono budowę warowni. Jego wuj przysłał go na terminowanie, choć wówczas Robin nie pojmował po co, skoro młodzieńca niewiele dzieliło od zdobycia ostróg. Niemniej Baldwin przybył do Artane i zdawał się z tego powodu równie nieszcześliwy jak Robin, widząc kuzyna u bram.

Między nimi dwoma natychmiast zrodziła się niechęć, kiedy zaś Robin znalazł czas, by się nad tym zastanowić, uzmysłowił sobie, że Baldwin nienawidzi go z powodu jego prawa pierworództwa. Ostatecznie, z czasem, Robin zostanie seniorem Baldwina. Rhys nie miał planów wobec Sedgwick ani też jego mieszkańców, zatem kuzyni nie musieli się martwić, że utracą dach nad głową. Robin nigdy nie widział tego miejsca, słyszał jednak tyle opowieści na temat jego nędznej kondycji, że pragnął trzymać się od niego z daleka.

Nawet gdyby Robin posiadał łatwość wysławiania się, która pozwoliłaby mu poinformować Baldwina o swoim nastawieniu, podejrzewał, że ów puściłby jego słowa mimo uszu. Podły nieokrzesaniec korzystał z każdej nadarżającej się okazji, żeby dręczyć i judzić, aż w końcu Robin z ulgą uciekł z własnego domu, by giermkować u innego pana. Odjechał zadowolony, uwalniając się od udreki, postanawiając pojąć taką sprawność we władaniu mieczem, aby przy następnym spotkaniu Baldwin oniemiał ze zdumienia.

Robin wyprostował się i ciężko westchnął. Był świetnie wytrenowany, stał się mężczyzną i chyba nadszedł już czas, by dał pokój wspomnieniom ze szczenięcych lat. Baldwin mu nie podolał. Robin bez trudu pomści każdą zniewagę. Wróci do domu, odwiedzi stare kąty i zrobi, co w jego mocy, żeby nie odgrzebywać dręczących go nadal wspomnień. Z łatwością będzie unikać Baldwina.

I być może uda mu się także unikać innej istoty, która nieustannie nawiedzała obrzeża jego świadomości.

Nie chciał o niej myśleć. Nie chciał oglądać jej oczyma wyobraźni. Z pewnością też nie życzył sobie, by jego puls przyspieszał na myśl o przebywaniu z nią w tym samym donżonie. Anne...

Święci pańscy, nigdy by się nie spodziewał, że jej ojciec porwie ją tak nagle.

Choć w zasadzie nie miał prawa czuć się zaskoczony. Liczyła sobie dziewiętnaście wiosen, dostatecznie dużo, żeby już dawno zostać zaślubioną. Robin powinien był działać, lecz tego nie zrobił. Nie mógł - z większej liczby powodów, niż zgodziłby się przyznać.

Znów ruszył biegiem, zmuszając nogi do kolejnych ciężkich kroków. Odepchnął na bok przykre myśli, modląc się, żeby ćwiczenia zmęczyły go na tyle, by utrzymał je z dala, dopóki nie pochłona go trudy podróży. Czekał go powrót do domu, lecz im mniej będzie nad tym dumał, tym łatwiej przyjdzie mu zrealizować ten zamiar. Taką w każdym razie żywił nadzieję.

Rozdział 3

Anne ostrożnie szła korytarzem, dokładając wszelkich starań, by uniknąć spotkania z ojcem. Nie widziała go tego ranka i cieszyła ją to. Możliwe, że jego uwagę zaprzątną inne problemy, zapomni o córce i odjedzie. Możliwe, że Rhys przekona go, że powinien poświęcić energię na nauczanie męża swojej pasierbicy zarządzania włościami Fenwyck, zamiast szukać dla Anne małżonka, który już posiadał tę umiejętność. Możliwe, że jakiś przystojny szlachcic wkroczy przez bramy Artane, spojrzy na Anne i wyzna jej dozgonną miłość.

Możliwe, że Anne wyhoduje sobie nową nogę i nabierze dość powabu, żeby zatrzymać takiego mężczyznę.

Westchnęła, przystając przed komnatą Rhysa. Jeśli dopisało jej szczęście, zastanie pana na Artane spragnionego pogawędki. Nie zauważyła pod drzwiami kolejki chętnych do rozmówienia się z nim, była zatem szansa, że jej życzenie się spełni. Chciała z nim przedyskutować kilka kwestii. Niewykluczone, że znał miejsce, gdzie mogłaby się ukryć, dopóki jej rodzic nie zapomni, że ma córkę na sprzedaż. Nim wszakże podniosła rękę, żeby zapukać, przez drzwi wyraźnie przebiły się gniewne słowa Rhysa.

- Dlaczego? - dopytywał się Rhys. - Dlaczego tak przy tym obstajesz, Geoffreju?

- Przy czym? - odparował Geoffrey. - Żeby wreszcie znaleźć jej męża?

- A juści - rzekł Rhys. - Jej przyszłość jest tutaj!

- Z kim? - zapytał obcesowo Geoffrey. - Z Robinem?

- Tak, z Robinem...

- Gdzież on się tedy podziewa? - rzucił Geoffrey. - Gdzie był, kiedy ukończyła dwanaście wiosen, wkraczając w wiek pozwalający na zawarcie związku małżeńskiego? Gdzie przepadł na ostatnie siedem lat, kiedy mógł pojąć ją za żonę? Gdzie przebywa dzisiaj?

- Wyjechał...

- A jakże, wyjechał - warknął Geoffrey. - Wyjechał, by oddawać się święci pańscy wiedzą czemu, podczas gdy moja córka z godziny na godzinę staje się coraz starsza.

- Jej miejsce jest tutaj - nalegał Rhys.

- W jakiej roli? Możliwej ciotki bandy dzieci Robina, poczętych z każdą, byle nie z nią? Nie wydam jej za drugiego syna, tym bardziej za trzeciego czy czwartego. Dostanie dziedzica, jest zaś oczywiste, że twój nie wykazuje zainteresowania!

- Gdybyś zechciał dać tej sprawie nieco dojrzeć...

- Ona musi wyjść za męża, na mnie zaś spoczywa obowiązek znalezienia kawalera, który ją zechce.

- Niejeden rad by ją wziął - odparował gniewnie Rhys. - Gdybyś tylko spróbował dostrzec więcej, niżli...

- Niżli kogo? Kaleką dziewczynę skąpej urody, której młodość przemija z każdym dniem...?

Wypowiedź Geoffreya coś raptownie przerwał. Anne podejrzewała, że to Rhys przyłożył pięścią w usta jej ojca, jako że jej uszu dobiegł przytłumiony hałas, potem zaś liczne padające z obu stron przekleństwa. Roztrzaskiwane meble gromko protestowały. Nie ulegało wątpliwości, że takie nieokrzesane zachowanie spowodzi tu wkrótce panią na Artane, Anne zaś nie zniosłaby teraz spotkania z Gwen.

Odwróciła się i umknęła z powrotem korytarzem najszybciej, jak mogła. Z chęcią pospacerowałaby brzegiem morza, dopóki jej serce by się nie uspokoiło. Niestety, po niedawnych trudach podróży taka wyprawa przekraczała jej możliwości, zatem Anne ruszyła ku blankom. Wspinaczka na szczyt donżonu będzie dostatecznie wyczerpująca.

Nikt jej nie zatrzymywał, kiedy powoli pokonywała stopnie, nikt też nie bronił jej wstępu na mury. Posuwała się wolno wzdłuż parapetu, przytrzymując się kamienia. Jej zmysł równowagi nie spisywał się najlepiej na ziemi; przebywanie tak wysoko nad poziomem gruntu przyprawiało Anne o dreszcze. Mimo wszystko było to jednak mniej dotkliwe, niż wysłuchiwanie tam, na dole, jak inni dyskutują na jej temat, więc zносиła dzielnie tę niewygodę.

Przystanąła w upatrzonym miejscu i zwróciła się ku morzu. Wiatr zdmuchnął jej włosy z twarzy z powrotem na plecy. Poczowała, jak smaga ją po policzkach. Dopiero wówczas uzmysłowiła sobie, że są mokre od łez. Nie chciała płakać. Naprawdę, nie było nad czym. Rozumiała, że ojciec nie zamierzał być okrutny. Troska o nią ścierała się w Geoffreju z pragnieniem ujrzenia swoich włości w rękach godnego zięcia. Jednak wysłuchiwanie, jak inni tak otwarcie rozprawiają o jej defektach, nie należało do rzeczy przyjemnych.

Najbardziej bolała ją świadomość, że Geoffrey przypuszczalnie nie mylił się co do Robina. Wiedziała, że Robin jej nie chce, wbrew temu, czego życzyłby sobie jego ojciec. Mimo to, głupia, nie potrafiła opędzić się od marzeń, by sprawy ułożyły się inaczej. Być może stałoby się tak, gdyby była piękna. Gdyby miała dwie proste, sprawne nogi. Gdyby wyglądem bardziej przypominała Amandę. Jedyne, co mogło świadczyć na jej korzyść, to fakt, że nie odziedziczyła po ojcu szpary w przednich zębach. Ów szczegół stanowił wszakże niewielkie pocieszenie w obliczu pozostałych faktów. Robin mógł ją poślubić przed laty, gdyby tylko zechciał. Nie chciał jednak.

Tym sposobem Anne wkroczyła na drogę, która z każdym kolejnym krokiem stawała się dla niej coraz trudniejsza do zniesienia.

Przetarła rękawem oczy i skierowała wzrok ku wodzie. Wiatr dał okrutnie, niemniej ten chłód wydawał się pożądany, jako że pomagał choć trochę ukoić jej duszę. Być może jej ojciec nie ma innego wyboru, jak tylko spoglądać poza Artane. Musi znaleźć kogoś, kto zatroszczy się o jego włości. Mężczyzna, którego poślubiła córka jego żony, nie radził sobie z własnym ryszunkiem, a cóż dopiero z ziemią. Anne była jedyną nadzieją dla Fenwyck, zapewne więc ojciec czynił po prostu to, co musiał.

Ach, lecz te jej głupie marzenia! Właśnie myśl o ich porzuceniu bolała ją najbardziej. Anne zapatrzyła się na fale z niezachwianą wytrwałością omywające brzeg. Zastanawiała się, czy jej luby ogląda podobny widok i nad czym w takich chwilach дума. Czy poświęca Anne choćby jedną krótką myśl o czasie do czasu?

Nie, uznała ponuro, na pewno nie. Jego myśli krążyły wokół wojny, rozlewu krwi i miłosnych podbojów. Słyszała więcej opowieści na temat żniwa zebranego przezeń w Anglii, a także w Normandii i całej Francji, niż była w stanie zdzierżyć. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło mu się o niej думаć, robił to co najwyżej z ulgą, że nie musi znosić jej obecności.

- Marzenia mego serca - wyszeptała - zdają się głupie nawet mnie samej...

- Anne!

Zachwiała się pod wpływem tego okrzyku. Przekleństwa, jakie po nim nastąpiły, nie pozostawiały wątpliwości, że to ojciec ją odnalazł.

- Co ty tu robisz? - dopytywał się ostro Geoffrey. - W dodatku mówisz sama do siebie, jakbyś była niespełna rozumu? Do diabła, dziewczyno, myśl trochę! Chcesz, żeby taka plotka wyprzedzała cię w drodze do każdego zamku na północy?

- Kiedy ja...

- Chodź na dół! - krzyknął szorstko Geoffrey, a zarazem z niespodziewaną delikatnością położył jej dłoń na ramieniu. - Musimy porozmawiać.

Anne poczekała, aż dotrą do górnego korytarza, zanim uciekła się do jedyne go fortelu, jaki jej pozostał.

- Słabo mi - skłamała. - Czy mogę oddalić się na chwilę do sypialni Amandy i Isabelle, ojcze? Dołączę do ciebie, kiedy poczuję się lepiej.

Jej ojciec zdawał się zbity z tropu, jakby zniweczyła jego wreszcie skryzalizowane plany. Anne skorzystała z okazji i przyłożyła dłoń do czoła w nadziei, że zdoła zasymulować cierpienie.

- Dobrze - rzekł niechętnie Geoffrey. - Porozmawiamy później. - Odprowadził ją korytarzem pod same drzwi sypialni. - Przyjdź do mnie, kiedy odzyskasz siły.

Na to zaś będzie mi trzeba co najmniej dwóch tygodni, pomyślała Anne, schroniwszy się za zamkniętymi drzwiami. Przyłożyła ucho do drewna, nasłuchując oddalających się kroków ojca. Kiedy upewniła się, że choć na krótko znalazła się w bezpiecznym odosobnieniu, wsparła czoło o futrynę i westchnęła ciężko.

Chyba nadeszła pora, żeby spojrzeć prawdzie w oczy i pogodziła się ze swoją trudną sytuacją. Pragnienia jej serca straciły znaczenie, skoro musi zaakceptować fakt, że Robin nie zamierza przygłupować na karym rumaku, aby uratować ją ze szponów chciwych zalotników. Jej wybór ograniczał się do poślubienia mężczyzny, którego wybierze jej ojciec, albo też znalezienia sposobu na pozostanie w Artane w roli innej niż synowa.

Z głębokim westchnieniem oderwała się od drzwi i pokuśtykała do łóża. Usiadła, potem zaś położyła się i zapatrzyła w baldachim. Będzie musiała wyjść za mąż. Nie ma innego wyjścia. Włości jej ojca są zbyt rozległe, a jej posag jest zbyt łakomym kąskiem, żeby zdołała uniknąć tego losu. Jedyne, na co mogłaby wpłynąć, to pora jej podróży do małżeńskiego więzienia. Choć od blisko sześciu miesięcy pozostawała na łasce ojca, nie udało mu się znaleźć dla niej małżonka, jako że Anne dokładała wszelkich starań, aby zniechęcić kolejnych kandydatów. Niewykluczone, że uzyska od ojca zgodę na pobyt w Artane przez następne pół roku, jeśli w zamian obieca mu pełną współpracę po powrocie do Fenwyck. Podejrzewała wszakże, że dla jej ojca ten argument może okazać się niewystarczający.

Niemniej warto spróbować. Dopóki zaś nie obmyśli sposobu na przekonanie rodzica, będzie go unikać.

I będzie się modlić o cud.

* * *

Słońce dawno już zaszło, gdy Anne zmusiła się do opuszczenia sypialni dziewcząt. Zrezygnowała z wieczery i towarzystwa w wielkiej sali i ruszyła do kobiecej izby pani na Artane. Spędziła w niej niezliczone godziny, które pozostawiły ciepłe i przyjemne wspomnienia. Bez wątpienia nawiedzi ją tam jakiś dobry pomysł. Przy tym jej ojciec raczej nie będzie jej tam szukał, a ta dodatkowa korzyść była pokusą, której trudno było się oprzeć. Przy odrobinie szczęścia Anne zastanie izbę pustą. Niestety, szanse na to wydawały się nikłe, jako że zwykle przesiadywały tam liczne dworki i wychowanki Gwen.

Anne zniosłaby obecność dworek Gwen, podobnie jak wielu innych dziewcząt, przyznawała jednak w duchu, wspinając się po schodach, że widok Edith z Sedgwick sprawiłby jej wątpliwą przyjemność. Nie dlatego, że Edith jest niemiła. Anne żywiła wszakże przekonanie, że dziewczyna zazdrości jej pozycji w rodzinie Artane. Ponieważ zaś nie wiedziała, jak długo jeszcze przyjdzie jej cieszyć się ową pozycją, nie potrafiła znieść myśli, że ktoś będzie jej okazywał dezaprobatę z tego powodu. Schody i korytarz tonąły w ciemności, co przecież nie wydawało się niczym niezwykłym. W donżonie zdarzały się przeciągi, jako że morskie wiatry nieustannie

atakowały jego mury. Pochodnie często gasły. Anne szła korytarzem na pamięć i zatrzymała się tuż przed drzwiami. Zmarszczyła brwi.

Drzwi zwykle zamknięte, teraz stały otworem.

Wtedy usłyszała ciche brzęknięcie.

Dostała gęziej skórki. Zdławiła chęć, by rzucić się do ucieczki i spieszenie weszła do izby. Zastała ją pustą, lecz to nie przyniosło Anne spodziewanego zadowolenia. Z drugiej strony, być może właśnie ciszy i spokoju potrzebowała. Odwróciła się, żeby zamknąć drzwi.

Zawahała się z ręką na zasuwie. Lepiej, by pozostały otwarte, gdy będzie na nowo rozniecać ogień. Wówczas upewni się, że izba i korytarz rzeczywiście są puste.

Odetchnęła głęboko, wolno wypuszczając powietrze. Była w domu. Nie stanie jej się tu żadna krzywda. Podeszła do kominka, na którym nadal się żarzyło. Uklękła na podłodze, pochyliła się i dmuchnęła, starając się rozbudzić ogień do życia. Po krótkiej chwili usiadła i rozejrzała się za kawałkiem drewna lub odrobiną torfu, żeby zasilić skromny płomyk, jaki udało jej się wzniecić.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Anne poderwała się na równe nogi i okręciła na pięcie, żałując rozpaczliwie, że nie ma w ręku miecza ani też umiejętności pozwalających uczynić z niego użytek. Co sobie myślała, przychodząc tu samotnie?

- Kto tu jest? - zawołała, przeklinając drzenie swojego głosu.

Nikt się nie odezwał. Wolno wypuściła powietrze. Tak jakby należało oczekiwać odpowiedzi.

Potem powrócił jej rozsądek. Pochodnie zgasły, nieprawdaz? To był tylko przeciąg. W donżonie drzwi często zatrzaskiwały się za jego sprawą.

Wytarta dłonie o suknię. Popelniła błąd, przychodząc tutaj. Powinna była ułożyć się do snu, zamiast wędrować po donżonie niczym niespokojny duch. Zebrała w sobie całą odwagę i przecięła kobiecą izbę krokiem tak statecznym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. Opuściła pomieszczenie i ruszyła korytarzem.

Przysięgłaby, że usłyszała ten sam brzęk.

Ani chybi chodziło o drobiazg, niemniej jej wyobraźnia nie próżnowała. Anne głośno nabrała powietrza, zebrała spódnicę i pędkiem pokuśtykała w stronę schodów. Dobiegające z dołu głosy były jak światła na końcu tunelu. Anne chwiejnie pokonywała stopnie, krzywiąc się, ilekroć musiała przenieść ciężar ciała na chromą nogę. Jakże nienawidziła jesiennych chłódów!

Potknęła się na ostatnim stopniu i byłaby się rozciągnęła jak długa na podłodze, gdyby przed upadkiem nie uchroniły jej mocarne ramiona. Rhys pomógł jej odzyskać równowagę, po czym zmarszczył brwi na widok jej twarzy.

- Anne, córko, co ci dolega? - zapytał.

- Nic takiego - odparła słabo. - Chyba jestem przemęczona.

Rhys zawahał się, lecz potem skinął głową i pochylił się, całując ją w czoło.

- Zmykaj zatem, dziewczyno! Wyśpij się porządnie.

Przytaknęła i pokuśtykała korytarzem do izby sypialnej, którą od dziecka dzieliła z Amandą i Isabelle. Zamknawszy za sobą drzwi, oparła się o nie z westchnieniem. Z chęcią spędziłaby w piernatach kolejne dwa tygodnie. Niestety, tylko pogorszyłaby tym sytuację. Jakkolwiek się przed tym wzdragała, będzie musiała wstawać każdego ranka. Gdyby tego zaniedbała, noga zeszytywniałaby jej tak bardzo, że trwałoby całe dnie, nim znów mogłaby czynić z niej użytek. Przecięła pomieszczenie i ostrożnie usiadła na łożu.

Wszystkie jej zmartwienia wynikały z faktu, że Anne, licząc sobie skromne dziewięć wiosen, pozwoliła się sprowokować i dosiadła nieujeżdżonego ogiera jedynie po to, żeby uciszyć Baldwina wytykającego jej braki urody. Wspomnienie upadku pozostawało w niej ciągle żywe. Oczyma wyobraźni widziała, jak koń potyka się i następuje jej na nogę, miażdżąc kość w udzie. Ach, ta męka, kiedy nie mogła zemdleć...

- Anne?

Drgnęła, kiedy otworzyły się drzwi. Odwróciła się, żeby spojrzeć na Amandę.

- Tak?

- Na litość boską, co ci się przydarzyło?

- Nic - odparła Anne. - Po prostu czuję się zmęczona.

Amanda podeszła i usiadła obok niej.

- Masz za sobą ciężki dzień, Anne. Chodź, pomogę ci się położyć.

Anne nie protestowała, kiedy Amanda asystowała jej przy układaniu się na łożku, a potem okrywała ją kocem po samą brodę niczym małe dziecko.

- Cieszę się, że wróciłaś - oświadczyła z uczuciem Amanda. - To były najdłuższe miesiące w moim życiu.

Anne uśmiechnęła się z przekąsem.

- Szczerze w to wątpię. Ruszył wyścig o twoją rękę, Amando. Nawet mężczyźni, którym prezentowałam mnie mój ojciec, nieustannie paplali o twojej urodzie.

- Głupcy - oznajmiła Amanda. - Postrzegają mnie jako zło konieczne, warunek zdobycia mojego wiana. Przed miesiącem przybył tutaj Guy z Yorku i, słowo daję, sądziłam, że lada moment zajrzy mi w zęby albo zapyta ojca, jak wiele jadam.

- Nie zrobiłby tego. - Anne się roześmiała.

- A i owszem. Nazwałam go końskim zadem i poradziłam, żeby szukał kłaczy w innej stajni. Mówią mi, że nie dbają o ziemię ani złoto, a widzę, jak rachują w myślach, nawet gdy kroją dla mnie mięsiwo przy stole. Nie zamierzam uchodzić za przedmiot handlu.

- Przynajmniej masz ten luksus, by tak myśleć - skonstatowała z westchnieniem Anne. - Przypuszczam, że nawet rozległe włości mojego ojca nie kompensują mej szpetoty...

- Przestań! - wykrzyknęła Amanda. - Anne, kiedy po raz ostatni przeglądałaś się w polerowanym lustrze, liczyłaś sobie trzynaście wiosen. To było sześć lat temu, siostrze. Nikt nie jest ponętny w tym wieku.

- Och, Amando, wiesz, że to nieprawda. Ty jako trzynastoletka byłaś równie piękna jak teraz. Albo spójrz na Isabelle. Rycerzom z tutejszej drużyny zapiera dech w piersiach, kiedy koło nich przechodzi.

Amanda popatrzyła na nią bezradnie.

- Anne...

Anne mruganiem odpędziła łzy upokorzenia.

- Błagam, zarzuć ten temat.

- Nonsens - oświadczyła Amanda, jej ton był wszakże łagodny. - Anne, dorastałam, zazdrozcząc ci jasnych włosów i zielonych oczu. Uważałam cię za najbardziej uroczą istotę, jaką kiedykolwiek widziałam. Z czasem jeszcze wypiękniałaś. Masz twarz anioła, słodki charakter, a dobroć promienieje z ciebie jasnym blaskiem. Jeśli chcesz znać powód, dla którego mężczyźni nie zabiegali dotąd o twoją rękę, podam ci go. Ojciec zawsze domagał się dla siebie prawa wyboru ci męża, twój rodzic zaś uparcie mu go odmawiał. Nadal się o to spierają...

- Mam dziewiętnaście lat! - wykrzyknęła Anne. - Dawno powinnam była wyjść za mąż!

Pochyliwszy się, Amanda pocałowała ją w policzek.

- Śpij, siostrze, i nie kłopotz się tym więcej. Tego lata ojciec położył nowy kamień na ścieżkach w ogrodzie, tak że są gładkie i wygodne. Jutro wybierzemy się tam na spacer.

Anne skinęła głową, kiedy Amanda się podniosła. Niewykluczone, że jej siostra miała rację i nie warto było się dalej zadreć. Jaki bowiem płynął z tego pożytek? Anne wiele się nauczyła u boku Gwen, mogła zatem zaoferować mężowi trochę wiedzy i umiejętności. Nadal nie zapanowała nad swoją wybuchowością, lecz być może poszczęści jej się na tyle, że znajdzie mężczyznę, który nie będzie jej prowokował ani też dbał o kobiece piękno.

Przykre, że jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek pragnęła, zupełnie nie pasuje do powyższego opisu.

Z westchnieniem przewróciła się na bok, zmęczona nieustającym bojem z myślami. Ruch jej nie pomógł. Również szykujące się do snu Amanda i Isabelle nie wytrąciły jej z tego stanu. Jakiś szczegół nie dawał Anne spokoju, lecz nie potrafiła stwierdzić, o co chodzi, ani też zignorować owego wrażenia.

Kiedy wreszcie zrozumiała, serce zatłukło jej się w piersi tak głośno i gwałtownie, że nabrała pewności, że Amanda obudzi się i nakaze jej być cicho.

Nadzieja na sen przepadła bezpowrotnie. Anne miała szczęście, że żyje. Piekierne szczęście. Nie była aż tak głupia, by nie zdawać sobie sprawy, że drzwi zatrzasną się same jedynie za sprawą przeciągu z otwartego okna. Tego wieczoru w kobiecej izbie wszystkie okna były zamknięte.

Rozdział 4

Edith z Sedgwick stała w izbie północno - wschodniej wieży Artane, przez strzelnicę obserwując, jak zapada zmierzch. Nie trwało długo, nim ciemność zawładnęła niebem nad morzem, czekała zatem cierpliwie, aż nastanie całkowity mrok. Czekanie nigdy jej nie ciążyło, cierpliwość bowiem, jak skromnie przyznawała sama przed sobą, była drugą w kolejności jej wielką zaletą. W rzeczy samej, czy ktokolwiek podałby w wątpliwość to twierdzenie, gdyby tylko poznał jej sytuację? Czyż nie cierpliwość właśnie zapewniła jej miejsce w zamku Rhysa de Piageta? Zasiała w umyśle swojego ojca ziarno przekonania, że powinna udać się na północ wraz z bratem. Trwało lata, nim dało ono plon, w końcu jednak mogła się nim cieszyć.

Oczywiście, nie powitano jej tu z otwartymi ramionami, jako że przybyła z Sedgwick, zaś między jej rodem a Artane brakowało zażyłości. Lecz także i ta okoliczność ulegnie zmianie, była tego pewna. Czyż kłopoty, w których się obecnie znalazła, nie dowodziły najlepiej, jak daleko gotowa jest się posunąć, żeby zrealizować swoje pragnienia? Zamiast korzystać z wygody pomieszczeń donżonu, przeprowadzała swój zamysł w pełnej przeciągów wieży strażniczcej.

Cierpliwie.

Gdyby wszakże poddający ją osądowi znał całą prawdę, przyznałby, że - jakkolwiek na cierpliwości Edith nie zbywało - jej największą zaletą była umiejętność planowania intrygi. Niestety, obecnym knowaniom groziła katastrofa za sprawą tej głupiej dzierlatki stojącej teraz przed nią. Edith spojrzała na dziewczynę, usiłując stłumić irytację. Kusiło ją mocno, by spoliczkować dziewczkę, i to wiele razy. Obawiała się jednak, że tym sposobem wytrzebi jej z głowy resztki rozumu. A Maude z Canfield i bez tego nie grzeszyła bystrością. Edith odetchnęła głęboko, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

- Bez wątpienia - rzekła spokojnie - źle cię usłyszałam. Co zrobiłaś?

- Zatrzasnęłam drzwi kobiecej izby. Mało się nie posikała ze strachu! - Maude roześmiała się radośnie. Bransoletka zamigotała w blasku świecy, kiedy dziewczyna gestykulowała z ożywieniem. - Czmychnęła niczym królik. To znaczy... kulawy królik.

Edith spoglądała na dziewczkę, rozważając, czy nie popełniła fatalnego błędu, wybierając właśnie ją. Jaką wszakże miała alternatywę? Maude wydawała się idealna dla jej celów - przy założeniu, że da się ją kontrolować. Edith spokojnie zaplotła ręce na piersi. W ten sposób przynajmniej nie będzie jej kusiło, żeby ich użyć.

- Na przyszłość - powiedziała - ogranicz się do wypełniania zadań, które ci wyznaczę.

Drastyczna zmiana nastroju Maude była niemalże niepokojąca.

- Nie będziesz mi rozkazywać - rzekła ostro dziewczyna. - Ja także mam w tym swój udział!

- Omawiałyśmy tę kwestię, Maude.

- Nie będziesz mi dyktować, co mam robić! Jestem córką barona!

- A jakże, najmłodszą z gromady spółdzonych przez pomniejszego tudzież pozbawionego wpływów pana - stwierdziła Edith.

- Bardziej wpływowego niż twój - odparowała z ogniem Maude. - Sedgwick to dół kloaczny. Aż dziw bierze, że zdołałaś się wyczołgać... ach, wyczołgać z...

Edith przyglądała się, jak do Maude stopniowo dociera, że posunęła się za daleko. Najwyraźniej w dziewczynie duma walczyła ze strachem. Edith obserwowała, jak emocje przemykają przez twarz dziewczki. Było to zaiste fascynujące widowisko. Potem zaś Maude ewidentnie zebrała się na odwagę.

- Nie boję się ciebie - wypaliła.

Edith przechyliła głowę.

- Dlaczego miałabyś?

Maude coraz bardziej traciła pewność siebie.

- No cóż, nie boję się.

- Oczywiście, że nie. Wszelako na przyszłość zarzuć własne plany. Anne nie jest naszym celem.

- Nie lubię jej - oświadczyła Maude, krzywiąc się z niechęcią.

Edith uśmiechnęła się.

- Nie wyrządziła ci żadnej krzywdy...

- Nie byłaś z nim w łóżku, kiedy wykrzykiwał jej imię zamiast mojego! - wybuchnęła Maude.

Drzwi izby zatrzasnęły się z hukiem. Edith podniosła wzrok i zobaczyła stojącego w nich brata. Baldwin spiorunował Maude spojrzeniem.

- Zmiataj, głupia. Ukryj się w kuchni, dopóki nie będziesz potrzebna.

Edith zasznurowała usta, kiedy Maude umykała z izby, potem zaś z dezaprobatą spojrzała na brata.

- Ona jest użyteczna.

- Raczej bezmózga. Gdzie ją znalazłaś? - zapytał, przyciągając sobie krzesło.

Dobywszy sztyletu, zaczął dłużyć nim sobie w zębach. Edith milczała chwilę, dając tym wyraz swej pogardzie dla takiego braku manier.

- Natknęłam się na nią przypadkiem w izbie pełnej dworek - udzieliła bratu najkrótszej odpowiedzi, jaka przyszła jej do głowy. - Gdzieżby indziej?

- Tak też myślałem - odparł z chrząknięciem Baldwin.

W gruncie rzeczy, trudno byłoby o wyjaśnienie dalsze od prawdy. W dzieciństwie Edith opanowała wiele przydatnych umiejętności, w tym tę najbardziej użyteczną - zdobywania informacji z każdego podejrzanego źródła, jakie się nadarzy. Uśmiechnęła się do siebie ponuro. Przynajmniej pełne udręki lata młodości w Sedgwick nie poszły całkiem na marne. Ledwie kilka miesięcy zajęło Edith wydobyć na światło dzienne przeróżnych wartych zainteresowania faktów, które zwłaszcza jedna osoba pragnęłaby utrzymać w sekrecie.

Kiedy zaś zdobyła parę imion, pod pozorem wyprawy na pielgrzymkę przedsięwzięła podróż na południe. Jej pierwszy postój w Berkhamshire okazał się bezowocny, wszakże u celu, w Canfield, uzyskała więcej, niż się spodziewała. Wzgardzona Maude pałała wściekłością, wyraźnie też popadła w niełaskę u uwielbiającego ją wcześniej ojca, który nie pojmował, dlaczego córka uparcie odmawia poślubienia każdego mężczyzny, którego dla niej wybrał. Edith wiedziała, za kim tęskni Maude, orientowała się też, kiedy tych dwoje po raz ostatni kładło się razem, i wielce podziwiała wytrwałość i cierpliwość dziewczyny.

Z melancholią pomyślała, że pod tym względem są do siebie podobne.

Ostrzyżona głowa i chusta zakrywająca pozostałości blond włosów przemieniły Maude w służebną dziewczkę rozpaczliwie proszącą o zmiłowanie. Padło kilka pytań, zaś udzielonych na nie bez wahania odpowiedzi nikt nie podawał w wątpliwość. Albowiem Edith, w przeciwieństwie do swojego starszego brata, cieszyła się łaskawością lorda Artane od chwili, kiedy dostarczono ją do jego warowni niczym zbędną rzecz. Znała zasady gry i skrupulatnie się do nich stosowała. Rzadko o coś prosiła, a kiedy już tak się działo, jej życzenia zwykle łaskawie spełniano. Wszelako owa łaskawość nigdy nie wynagrodziła jej doznanych krzywd.

- Bezmózgie stworzenie - zrzędził Baldwin. - Zniweczy nasze plany, siostrzo. Wspomnisz moje słowa.

Edith o wiele bardziej martwiła się Baldwinem niżli Maude. Maude, chociaż głupia, pozostawała, mimo wszystko, zaledwie niewiastą. Baldwin dorównywał dziewczynie tępotą, cechowało go wszak także typowo męskie okrucieństwo. Gdyby Edith nie była przekonana, że brata również zdoła kontrolować, zapewne by się go bała.

- Maude wierzy, że są sobie przeznaczeni, Baldwinie - rzekła cierpliwie. - Kobieta wiele uczyni w imię takiej miłości.

- Biedna siostrzyczka - zakpił Baldwin. - Zżera cię zazdrość o nią? Czy też zazdrość o Anne? Chcesz Robina dla siebie?

Edith milczała, nie dając się sprowokować. Brat zawsze rad wszczywał bójki; ona знаła lepsze sposoby na spożytkowanie energii. Zresztą był głupcem, jeśli sądził, że Edith przejmie się Maude czy Anne z Fenwyck. One obie były zaledwie przeszkodami, które usunie się w stosownym czasie.

- Musisz nad nią zapanować - narzekał Baldwin. - Nie pozwolę, żeby zrujnowała moją intrygę.

Jego intrygę? Edith przygryzła wargę, by nie wytknąć bratu, że jego umysł nie jest w stanie wzbić się do poziomu intrygi. Myśli Baldwina nie sięgały dalej aniżeli na dno kubka bądź do ostrza miecza. Tymczasem jej brat wstał i spacerował teraz po izbie.

- Ani chybi on wkrótce wróci do domu. Niech go piekło pochłonie! Należało go wykończyć, kiedy była po temu okazja...

Edith oparła się plecami o ścianę, przygotowując się do wysłuchania tyrady. Pewnego dnia krótkowzroczność Baldwina przyczyni się do jego zguby. W tej chwili wszakże przynajmniej jego gniew się ukierunkował, z czego mogła robić użytek.

Oczywiście dopóty, dopóki plany Baldwina pozostawały w zgodzie z jej zamysłami.

Wszakże ten element umiała na razie kontrolować. Robin z Artane niedługo wróci, Baldwin zaś niech sobie z nim poczyna, jak mu się żywnie podoba. Do pewnego momentu.

- Tym razem go zabiję - warknął Baldwin, przyspieszając kroku.

- Jeśli tu będziesz.

Baldwin spojrział na nią z niechęcią.

- Słyszałaś więc? Pan na Artane posyła mnie, żebym zajął się jego sprawami w kilku przeklętych lennach. Pewno zdaje sobie sprawę, że ubiję mu syna, jeśli tu zostanę.

Edith podejrzewała, że Rhys odsyła jej brata po prostu dlatego, żeby uwolnić się od jego obecności. Z całą pewnością natomiast wiedziała, że Baldwin wyrusza w tę podróż jako przyboczny wasala Rhysa, nie zaś przedstawiciel pana na Artane. Przypuszczała, że ów szczegół jej brat wolał zignorować.

- Na jego miejscu bym się bał - oświadczył mrocznie Baldwin. - Drżałbym o żalosny kark Robina.

Edith oderwała się od ściany.

- Bracie - ozwała się cicho - jakim sposobem jego śmierć cię pomści?

- Będzie martwy! - wykrzyknął Baldwin, dysząc ciężko. - Brak ci choćby krzty rozumu?

Edith zmarszczyła brwi, jakby zebranie myśli rzeczywiście kosztowało ją sporo wysiłku. Baldwin uważał ją za bezmózgą, jak zresztą każdą kobietę, ona zaś nigdy go nie zawiodła. Tak było wygodniej.

- Wszelako - powiedziała wolno - kiedy zginie, stracisz sposobność dręczenia go.

- Ha! - rzucił pogardliwie Baldwin. - Chcesz go dla siebie i zasmuca cię, że zgnije w ziemi.

Edith przywołała na usta bojaźliwy, pełen nadziei uśmiech.

- Cóż, poniekąd także.

- Wiedziałem - oświadczył z odrazą. Splunął jej pod nogi. - On ma to, co powinno należeć do mnie. Dostanę Sedgwick, i to bez niego jako mojego seniora.

Edith z trudem powstrzymała westchnienie. Regularnie wysłuchiwała tej samej litanii, odkąd zamieszkała w Artane, a zatem przez dziesięć długich lat. Baldwin miotał się niczym złapany w potrzask dzik, daremnie wszakże. Robin większość tego czasu spędził poza domem, tak że Baldwinowi pozostało jedynie wyładowywać swój gniew na Anne. Zaś nawet Edith przyznawała, że Anne była marną namiastką. To nie była sprawiedliwa walka. I nie chodziło o to, że Edith nadmiernie dbała o sprawiedliwość. Z pewnością sama nigdy nie zakosztowała jej owoców.

- Bękart - wypluł Baldwin.

No cóż, ta kwestia również zasługiwała na omówienie, niemniej Edith zdecydowała, że chwila nie jest ku temu stosowna. Baldwin popadał w coraz większy patos, a taki stan ducha skłaniał go zwykle do wyprawy na dół, do piwnicy, do beczek piwa, czego jedynym efektem był uporczywy ból głowy nazajutrz. Edith powinna wytrącić go z rytmu, kiedy jeszcze mogła to zrobić.

- Jeśli nawet pozbędziesz się Robina, zostaną ci czterej inni bracia - zauważyła.

- Ich także ubiję.

Takie rozwiązanie miało swój powab, lecz Edith odłożyła je na później. Nie po to ściągnęła tu Maude z Canfield, żeby stać bezczynnie i przyglądać się, jak Baldwin wycina w pień cały klan de Piagetów. Pozostałymi braćmi zajmą się we właściwym czasie. Teraz to Robin był jej zwierzyną, z innych zresztą powodów, niż Baldwin sobie wyobrażał.

Nie chciała, żeby zginął, zanim zada mu odrobinę wyrafinowanego cierpienia. W kogo zaś najlepiej uderzyć najpierw, jeśli nie w jego ukochaną?

Nieistotne, że dotąd po nią nie wrócił. Uczyni to. W minionych latach Edith bacznie obserwowała tych dwoje. Robin przybędzie tu po Anne. A wówczas Edith rozpocznie swą zemstę.

Baldwin przystanął na środku izby tak raptownie, że Edith spojrzała na niego uważniej. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie. Potem Baldwin uśmiechnął się szeroko.

Ten widok zaś, gdyby na moment zapomniiała, że chodzi o jej brata, przypawiłby Edith o dreszcz.

- Zabiję wszystkich synów, a potem poślubię Amandę - oznajmił Baldwin. - Tym sposobem zdobędę kontrolę nad Sedgwick.

- Przecież Amanda nie jest z krwi Rhysa - zauważyła Edith. - Jej ojcem był baron Ayre.

Na obliczu Baldwina pojawiła się konsternacja.

- Pani Gwennelyn została zaślubiona Alainowi z Ayre - przypomniała mu Edith. - Amanda nie jest z krwi de Piagetów.

- Ale ją uznał - spierał się Baldwin.

- Lecz czy to wystarczy?

Baldwin potrząsnął głową, jakby odpędzał uprzykrzoną muchę.

- Zastanowię się nad tym później. Najpierw trzeba zająć się braćmi.

Edith nie miała nic przeciwko temu, by do woli roztrząsał kwestię dziedzictwa Amandy lub jego potencjalnego braku, byleby tylko nie zabił nikogo przedwcześnie. Nie dopuści do tego, żeby brat pokrzyżował jej plany.

- Zacznij od upokorzenia Robina - poradziła łagodnie. - Wszak pragniesz zemsty.

Baldwin przystanął, w zadumie gładząc brodę. Jednak najwyraźniej myśl o Amandzie była dlań pokusą nie do odparcia, bowiem znów się uśmiechnął, po czym zarechotał.

- A jakże, piękna jest - stwierdził.

- Zemsta - przypomniała mu Edith.

Zmarszczył brwi, a potem zaklął.

- Pomyślę o tym po powrocie. Ty zaś nie waz się robić niczego pod moją nieobecność.

- Oczywiście - potaknęła Edith, lecz Baldwin właśnie opuszczał izbę.

Drzwi zatrzęsły się za nim z hukiem.

Edith z westchnieniem wycofała się do wnęki okiennej. Postawiła świecę na ławie naprzeciwko i usiadła. Baldwin będzie zajęty przynajmniej przez pewien czas, co pozwoli jej przeprowadzić własny plan.

Brat częściowo zdołał ją przejrzeć, ten fakt martwił Edith. Niepokojące, że jej intencje bywały tak czytelne.

Albowiem pragnęła Robina.

Chciała go wszakże dostać dopiero wówczas, gdy wszystko, co kocha, zostanie metodycznie zniszczone na jego oczach. Niech Baldwin ma satysfakcję z wyrznięcia bliskich Robina. Edith starczyłoby determinacji, żeby samodzielnie dokonać tego dzieła, nie było jednak powodu, by odmawiać bratu odrobiny przyjemności. O tak, wszystko, co drogie sercu Robina, zniknie na zawsze, jemu zaś przyjdzie cierpieć samotnie.

Kiedy zaś będzie w udęcie klęczał u jej stóp, intryga Edith dobiegnie końca, jej krzywdy zostaną pomszczone.

Edith zamknęła oczy. A jakże, doczeka się pomsty, on umrze w nędzy, wtedy zaś ona zazna spokoju. Na taki finał może poczekać. Teraz powinna ponownie przemyśleć plany, by się upewnić, że niczego nie pominęła. Bez wątplenia dziedzic Artane przybędzie tu na dniach, a wówczas rozpocznie się jej dzieło. Jest tyle sposobów na to, by go zranić, że wybór sprawiał Edith trudność.

Później podejmie tę decyzję. W tej chwili posiedzi zatopiona w myślach, rozkoszując się ciszą. Kobieta o wielkiej cierpliwości powinna od czasu do czasu oddawać się temu zajęciu. Dla ukojenia duszy.

Rozdział 5

Robin stał na dziobie statku, radując się chłodnym wiatrem przedświt. Przez większą część nocy bił się z myślami. Święci pańscy, był w żalonym stanie ducha. Niewątpliwie był to skutek przebywania w zamknięciu. Kapitan zabronił mu spacerów po pokładzie, natomiast ładownia zupełnie nie zaspokajała potrzeb Robina w tym względzie. Teraz wszakże kapitan spał, zaś pierwszego oficera nakłoniło do uległości odpowiednio groźne spojrzenie. Niestety, nawet cała długość statku wydawała się niewystarczająca. Robin przeciągnął dłonią po włosach, po czym oparł się o nadburcie, poddając bitwę. Niech myśli nadpłyną. Niewykлучzone, że gdy poświęci im nieco uwagi, stracą moc, jaką nad nim mają.

Nie mógł uwierzyć, że Anne spędziła minione pół roku w Fenwyck. Święci Pańscy, musiała się czuć ogromnie nieszczęśliwa. Bez wątpienia nie pojechała tam z własnej woli. Dlaczego miałyby tam jechać, skoro jej domem jest Artane? Robin zastanawiał się niekiedy, jakie naprawdę żywiła uczucia wobec swojego rodzica; bez wątpienia nie znała go zbyt dobrze. W dzieciństwie co roku udawała się do ojca z wymaganą dwutygodniową wizytą, płacząc, kiedy opuszczała Artane, i desperacko marząc o powrocie, ledwie dotarła do Fenwyck. Czy jego rodzice nie traktowali jej jak własnej córki? Czyjego ojciec nie łąał jej jak każdego innego swojego dziecka? Niemniej czynił to rzadko, jako że zdruzgotany wyraz twarzy Anne wystarczył, by na wiele dni skazać Rhysa na piekło poczucia winy.

Jeden z najgorszych takich momentów, pomijając ten, kiedy jej noga została zmiążdżona, zdarzył się, gdy Anne liczyła sobie dwanaście wiosen. Któryś giermek podjudził ją, żeby dosiadła potężnego rumaka bojowego Rhysa. Radziła sobie nieźle, dopóki nie nadszedł Baldwin i nie spłoszył ogiera. Robin przebywał akurat w Artane i zapewne powinien był ją powstrzymać, ale akurat trenował jak szaleniec, tak że zanim się zorientował, ona już siedziała w siodle. Przerażony, z otwartymi ustami obserwował, jak utrzymuje się na grzbiecie wierzgającego ogiera z wytrwałością, jakiej pozazdrościłby jej każdy rycerz. Zanim Robin zebrał myśli i przystąpił do działania, ojciec wyrwał Anne z siodła, potem zaś potrząsnął nią, aż szczęknęły jej zęby. Następnie zbeształ tak, że Robin poczuł na karku gęsią skórę. Rhys wściekł się tak bardzo z powodu owego wyczynu ze względu na chromą nogę Anne i wizję tego, co mogłoby się stać, gdyby ją zawiodła. Anne łkała potem godzinami, przybita faktem, że rozczarowała uwielbianego protektora.

Robin pragnął udać się do niej i wyjaśnić, że Rhys wpadł w złość, ponieważ ją kochał i dopiero co niemalże utracił. Wszelako słowa te nie przeszły mu przez gardło. Chciał zachować się wobec niej czule i delikatnie. Okazało się to niemożliwe. Jak mógł pocieszyć Anne, skoro najchętniej by ją udusił?

W dodatku z tego samego powodu co jego ojciec?

- Nie możesz spać?

Z zaskoczenia Robin omal nie wypadł za burtę.

- Święci pańscy, aleś mnie wystraszył - rzekł słabo.

Nicholas oparł się o nadburcie.

- Snujesz się, Rob?

- Masz ochotę popływać, Nick? - warknął Robin.

W odpowiedzi Nicholas jedynie się uśmiechnął, zaś w jego oczach, równie szarych jak oczy Robina, zamigotało rozbawienie. Robin zamrugnął, nie po raz pierwszy zastanawiając się, jakim sposobem on i Nicholas stali się tak do siebie podobni. Być może dlatego, że spędzali ze sobą tyle czasu. Przynajmniej powierzchowność Nicholasa nie odrzucała - to znaczy, tak Robin przypuszczał, nie uważając się przecież za znawcę w tej materii. Jeśli zatem musiał być do kogoś podobny, lepiej, że padło na jego brata aniżeli kogoś znacznie szpetniejszego.

- Raczaj sobie przydałaby się kąpiel w morzu - zauważył Nicholas. - Wyglądasz na kompletnie skołowanego.

- Do diabła, Nick, zostaw mnie w spokoju - sarknął Robin. - Mam dość twojej głupiej gadaniny. Wysłuchuję tego niemal od tygodnia.

- Nie bądź taki drażliwy.

- Nie jestem drażliwy! - wybuchnął Robin, piorunując brata wzrokiem. - Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem. I zaznać nieco spokoju - dodał z naciskiem.

Nicholas z westchnieniem spojrzął przed siebie.

- Od miesięcy doskwiera ci ponury nastrój - stwierdził. - W istocie, jesteś nie do zniesienia, odkąd opuściliśmy Anglię. Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale z wyjątkiem paru marnych wizyt na dworze królewskim tudzież owego katastrofального dwutygodniowego pobytu w Canfield, którego szczegóły pominiemy milczeniem, nie gościliśmy w kraju od blisko pięciu lat. Jak to możliwe, że tak długo jesteś nieustannie poirytowany?

Robin spojrzął nań wilkiem.

- Dręczy mnie wiele kwestii.

- Jak na przykład?

- Jakkolwiek trudno w to uwierzyć, Nicholasie, nawet ja oddaję się czasem rozważaniom nad tajemnicami życia.

Nicholas parsknął śmiechem.

- Ach, Rob, wiem, że w istocie nie jesteś tak płytki i nieczuły, jaki się wydajesz.

- Czy doprawdy chcesz, żebym wyrzucił cię za burtę? Czy też sam zaraz dokonasz żywota, zdruzgotany faktem, że kochanka zostawiła cię, bowiem nie potrafiłeś jej już zaspokoić?

- Nie dlatego odeszła - warknął Nicholas.

Robin nieomal się uśmiechnął. Ach, jakże miło było znać choć jeden sposób na zburzenie owego godnego pozazdroszczenia spokoju brata. Nicholasa rzadko udawało się zdenerwować, a sukces w tym względzie nieodmiennie dostarczał solidnej porcji rozrywki.

Nim wszakże Nicholas zdołał udzielić riposty bądź wziąć odwet siłą, Robin podniósł dłoń na znak, że się poddaje. Miał nieodparte wrażenie, że zemsta brata przyprawiłaby go o nie lada dyskomfort, na to zaś miał nie większą ochotę niż na dalsze wysłuchiwanie uwag Nicholasa.

- Wiem, że nie dlatego - przyznał z westchnieniem.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na rozświetloną blaskiem księżycą wodę.

- Nie będę cię więcej prowokował.

- Mądra decyzja - zgodził się Nicholas. - Święci pańscy wiedzą, jak bardzo by mnie w przeciwnym razie kusiło, żeby ci pokiereszować tę śliczną facjatę.

Robin tylko odchrząknął.

- Może pomówimy o twoich licznych zgryzotach zamiast o moich? - zaproponował Nicholas. - Ani chybi dostarczą nam one zajęcia na dłuższy czas.

Jakkolwiek ogarnęła go wielka pokusa, żeby rozluźnić się i otwarcie zwierzyć z tego, co mu leży na sercu, Robin zbyt nawyki chronić swoje uczucia. Nawet w najspokojniejszych godzinach nocy rzadko przyznawał się do nich sam przed sobą. Jak zdołałby wyznać cokolwiek głośno? Spojrzenie brata wwiercało mu się w bok głowy, zignorował je wszakże. Ostatnie, czego pragnął, było dyskusowanie o najskrytszych sekretach z tym marzycielem, a potem słuchanie jego śmiechu.

- Dobrze zatem - odezwał się wesoło Nicholas. - Skoro nic nie przychodzi ci do głowy, służę pomocą. Pomówmy o Anne.

Robin zgrzytnął zębami, zmilczał jednak.

- Jak myślisz, dlaczego tak długo pozostawała poza domem? - zagadnął Nicholas.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- Jest ci tak zupełnie obojętna?

Jakby miał zamiar wyjawiać bratu coś takiego!

- Anne z Fenwyck cechują skłonność do brawury, upór i przekora - oświadczył Robin. Przynajmniej nie mijał się z prawdą. - Kiedy wezmę sobie żonę, a niech święci pańscy ulitują się nade mną, gdy nastanie ów nieszczęsny dzień, wybiorę kobietę, która będzie mi powolna, miast co rusz przeciwstawiać własne zdanie mojemu.

- Rozumiem - oznajmił domyślnie Nicholas.

- Zatem nie odpowiada ci ogień Anne.

Robin jedynie chrząknął.

- Pragniesz kobiety potulnej i posłusznej - ciągnął Nicholas.

- Właśnie.

- Takiej jak matka.

- A jakże.

Robin pożałował swoich słów już w chwili, gdy opuszczały jego usta. Jego matka z pewnością nie była posłuszna, ojciec zaś kochał w niej właśnie ognistego ducha. Wszakże prędzej diabli go porwą, niż pozwoli Nicholasowi tak łatwo się osaczyć.

- Niewiele brakuje, a przeciągniesz strunę - ostrzegł Robin, wkładając w tę wypowiedź maksimum irytacji, co zresztą nigdy mu nie sprawiało trudności, kiedy Nicholas mu dokuczał. - Nie trzeba mi twoich komentarzy ani też nie proszę cię o radę. Kiedy obudzi się we mnie pragnienie spłodzenia prawowitego dziedzica, zwiążę się ze spokojną kobietą, która nie będzie mnie dręczyć, gdy wezmę sobie kochankę, ani też nękać z racji tego, że będę ją latami ignorował, jak to mam zamiar czynić.

- Poza tym Anne nie jest urodziwa - mówił powoli Nicholas. - Przypuszczam, że ten aspekt również wziąłeś pod uwagę.

- Uroda nie gra dla mnie roli.

- Bo też, nie da się ukryć, Anne fortuna jej poskapiła...

Robin spiorunował brata spojrzeniem.

- Jej obliczu niczego nie brakuje, a jeśli rzekniesz jej co innego, odpowiesz przede mną.

- No i to jej usposobienie - kontynuował Nicholas, wzdrygając się. - Nader nieprzyjemne.

- Jej usposobieniu także nie sposób niczego zarzucić!

Nicholas otaksował go spojrzeniem.

- No cóż, Robinie, moim zdaniem kochasz tę dziewczynę.

Gwałtowny skok Robina omal nie posłał ich obu za burtę. Nicholas parsknął zduszonym śmiechem, leżąc na pokładzie, przygnieciony ciężarem Robina, który zaciskał mu ręce na gardle.

- Niewiele brakowało - stwierdził Nicholas.

- Masz tyle pomysłu co głupiutki dojarka - warknął Robin.

- Doprawdy? - zapytał Nicholas, nadal szczerząc zęby jak idiota, którym zresztą był.

Jednakowoż był to znaczący uśmiech, wręcz przerażający za sprawą kryjącej się za nim wiedzy. Do diabła, tylko tego było Robinowi trzeba: Nicholasa rozpowiadającego wszem wobec, co jego zdaniem kryje się w sercu brata. Należało wyprowadzić głupca z błędu i wybić mu z głowy te idiotyczne wyobrażenia, póki nadarzyła się po temu okazja.

- Poświęcam Anne mniej uwagi niżli kolorowi tuniki, jaką nakładam danego dnia. Jest koścista niczym chłopak i mniej więcej tak powabna - warknął Robin. Kłamał, oczywiście, lecz wypowiedź brzmiała przekonująco, trzymał się więc obranej taktyki. - Gdybym pragnął kobiety, wybrałbym taką, która ma trochę ciała i oblicze niewzbudzające we mnie odrazy.

Szczęka zabolęła go tak potężnie, że odruchowo zwolnił luźny uchwyt na gardle Nicholasa. Runął na plecy, zdrowo uderzając głową o pokład. Zanim otrząsnął się na tyle, żeby skłąć brata, został postawiony na nogi.

- Ani słowa więcej - wycedził cicho Nicholas. - Myśl sobie o niej, co chcesz, lecz nie mów tego głośno. I, na litość boską, nie mów jej tego. Jeśli to zrobisz, przyrzekam, że pożałujesz.

- Nigdy bym tak nie postąpił - sarknął Robin, odpychając od siebie brata. Gniewnie potarł tył głowy. - Wracaj na koję, Nick. Matka zobaczy twoje cienie pod oczami, uzna je za dzieło mej pięści i zło mi skórę.

Nicholas zawahał się.

- Mam cię tu zostawić zmagającego się z myślami?

- Idź, ośle. Obejdę się bez twojego wsparcia.

Nicholas zasznurował usta.

- Nie kraż tu całą noc. Anne zmartwi się, widząc cię wymizerowanym.

- Idźże wreszcie - rozkazał popędliwie Robin.

Nasłuchiwał oddalających się kroków brata, a później z westchnieniem oparł się o nadburcie.

Naturalnie, Anne wcale nie była szpetna. Nicholasowi zaś odjęło rozum, jeśli sądził, że Robin kiedykolwiek powiedziałby coś, co by ją zraniło. Jakkolwiek był mało szarmancki w obejściu, wiedział, kiedy należy się postarać. Zresztą nigdy nie wygłosi komentarza na temat wyglądu Anne, nie będzie miał bowiem ku temu okazji. Jakże miałby mieć, skoro nie zamierzał przebywać z nią w tym samym pomieszczeniu, a tym bardziej z nią mówić?

A jakże, wydawało się to roztropną decyzją. Do diabła, ani trochę o nią nie dbał. Nigdy. Była uparta, przykra i czerpała perwersyjną przyjemność z postępowania mu na przekór. Jak ktokolwiek mógłby wymagać, żeby Robin znosił coś takiego przez resztę życia?

Jego problemy nie wiązały się z osobą Anne, ani chybi też nie ona stanowiła na nie remedium. Robin powinien trzymać się jak najdalej od niej.

Nie kochał jej.

Z pewnością nie zamierzał jej poślubić. Nie zamierzał też więcej o niej śnić.

* * *

Pięć dni później Robin ściągnął wodze swojego wierzchowca i zapatrzył się na zamek w oddali. Przypuszczalnie zdołałby nakłonić kapitana do żeglugi dalej na północ, co oszczędziłoby mu wyczerpujących dwóch dni na końskim grzbiecie, nie chciał jednak alarmować rodziny swoim przybyciem. Niech wygląda to tak, jakby właśnie wrócił do sali po ćwiczeniach na placu. Jego bliscy będą zajęci codziennymi obowiązkami, Robin zaś wejdzie do domu i poczuje się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał.

Z tym, że ostatni raz widział dom pięć lat temu. Jak bardzo się tam zmieniło? Jak bardzo zmienili się jego najbliżsi? Nicholas odkaszlnął.

- Gotów? - zapytał.

- A jakże.

- Matka zapewne nie spodziewa się nas wcześniej niż za tydzień.

Robin skinął głową, po czym spojrzął na brata.

- Nie pozna cię. Nabrałeś ciała.

- Ty także - odparł z powagą Nicholas. - Pomijając owo puste miejsce między uszami.

Znalazł się daleko, nim Robin pogodził się z faktem, że schwycił powietrze zamiast tuniki brata. Robin spiął konia ostrogami, wprowadzając go w galop, żeby dogonić Nicholasa.

Zanim dotarli do zewnętrznej bramy, Robin zdażył zapomnieć, dlaczego zamierzał ukatrupić brata.

Serce rosło w nim z każdym przybliżającym go do domu stąpieniem konia. Zbyt długo włóczył się po świecie. Niewykluczone, że zabawi tu dłużej niż dwa tygodnie. Ostatecznie Artane będzie kiedyś jego. W interesie Robina leżało pozostać przez jakiś czas bliżej domu. Posiadał w Anglii inne lenna, gdzie mógł się schronić w razie konieczności. Francja? Nie, tam nie powróci zbyt szybko. Być może należało to uznać za

słabość, jednak kochał swój dom. Artane było miejscem magicznym, przy czym Robin skłaniał się ku podejrzeniu, że ta okoliczność jest zasługą jego rodziny.

Ściągał się z Nicholasem długą drogą wiodącą od zewnętrznej bramy, śmiejąc się ze złorzeczeń i przekleństw, jakimi obsypywali go uskakujący przed nim w popłochu ludzie Rhysa. Zwolnił, kiedy zbliżył się do wewnętrznego pierścienia murów, po czym wprowadził konia na wyższy dziedziniec. Wyprostował się w siodle i odetchnął pełną piersią. Ach, spędzić noc we własnym łóżku, posilić się u stołu ojca, odprężyć przed kominkiem w wielkiej sali i nie mieć się ciągle na baczności!

Akurat gdy rozważał, jak wkroczyć do domu, by osiągnąć pożądany efekt, otworzyły się drzwi i na dwór wyszedł jego ojciec, pocierając ramiona i przytupując dla rozgrzewki. Rhys zamrugał, po czym jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Zsiadłszy z konia, Robin przyglądał się, jak Nicholas mijają ojca, pozdrawiając go zaledwie niedbałym uniesieniem dłoni. Rhys równie mocno starał się nie zwracać nań uwagi. Osobie z zewnątrz takie zachowanie wydawałoby się dziwne, jednakże bracia poczynili takie ustalenia dawno temu: Nicholas witał się najpierw z matką, Robin zaczynał od ojca. Metoda sprawdziła się tak dobrze za pierwszym razem, że przy niej pozostali. Robin pokonał kilka stopni i natychmiast zatonął w potężnym uścisku. Pocałował ojca soczyście, klepiąc go po plecach.

- Dobrze cię widzieć, ojczu. Co na wieczerek?

Rhys spojrzał nań wilkiem.

- A pomyśleć, że mówiłem twojej matce, iż za tobą tęsknię...

- Czy możemy kontynuować nasze czule powitanie w środku? Diabelnie tu zimno. Zapomniałem, że Anglia jest piekielnie lodowatym miejscem.

- Za dużo przeklinasz - mruknął Rhys, wciągając Robina do sali. Kiedy znaleźli się za drzwiami, raz jeszcze uściskał syna, aż Robina zdjęła obawa, że popękają mu żebra. - Do diabła, Robinie - rzekł ochryple - nie musiałeś tak długo włożyć się po świecie.

- Musiałem - odparł Robin, czując, że oczy pieką go w wielce niepożądany sposób. - Musiałem sobie czegoś dowiedzieć. Tutaj by mi się to nie udało.

Rhys nie odpowiedział, ale poklepał go po plecach tak żywiołowo, że Robin aż się wzdrygnął. Wreszcie Rhys odstał, mrugając szybko.

- Urosłeś - stwierdził.

- Widziałeś mnie rok temu na dworze - rzekł z przekąsem Robin. - Ile mogłem urosnąć od tamtego czasu?

- Cóż, mnie się zdaje, że jednak trochę - odparł Rhys. - Nie przecz mi, kiedy jestem w takim sentymentalnym nastroju.

Robin poprawił płaszcz.

- Chętny na próbę sił, byś mógł się przekonać, jak daleko sięga ta zmiana, czy też poczekamy, aż się pokrępie?

Rhys ujął go za kark i nim potrząsnął.

- Po wieczery. Posilek sprawi ci znacznie większą przyjemność, jeśli spożyjesz go, zanim dostaniesz cięgi, zamiast po fakcie.

- Bez wątpienia - przyznał Robin.

W rzeczy samej, rad był zetrzeć się z ojcem, aby pokazać mu, że pięć lat wojaczki uczyniło z jego syna mężczyznę, z którym należy się liczyć.

W porównaniu z temperaturą na dworze w sali panowało rozkoszne ciepło. Na kominku płonęły potężne kłody, zaś liczni członkowie rodziny skupili się przy ogniu, otaczając Nicholasą. Robin poczuł, że zaczynają mu się pocić dłonie, i skłął się w duchu. Święci pańscy, nie miał najmniejszych powodów do zdenerwowania.

Owo przeświadczenie nie przeszkodziło mu rozglądać się wokół zapewne bardziej, niżli uchodziło. Po wielkiej sali krążyło wiele osób. Czemu nie miałby się przekonać, kto zaczął? Obejrzał się na drzwi wyjściowe, kiedy zaś odwrócił się znowu, zamrugał ze zdziwieniem. Biegła ku niemu młoda kobieta. Naszło go podejrzenie, że jest jego siostrą. Stęknął, gdy rzuciła mu się na szyję.

- Och, Robby!

Robin ciężko chwytał powietrze.

- Święci pańscy, Isabelle, ważysz więcej niż mój koń!

Isabelle uczepiła się go mocno.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam, Robinie. Co mi przywiozłeś z Francji?

Zeslizgnęła się na ziemię, Robin zaś przyjrzał się jej zadziwiony. Kiedy jego najmłodsza siostra dorosła? Liczyła sobie jedenaście wiosen, gdy wyjeżdżał. Z trudem rozpoznawał ją w tej smukłej dziewczynie, która z pewnością nie była już dzieckiem. Czy zdążyła się zaręczyć?

- Podarki, Robby - upomniała się Isabelle.

Co stracił, nie obserwując jej dorastania? Zniemacka ogarnęła go żal tak wielka, że prawie wycisnęła mu łzy z oczu, podejrzewał bowiem, że ominęło go nie tylko to jedno. Wtedy siostra zaczęła go przeszukiwać.

- Isabelle - wykrztusił z trudem - przyglądałem się, jak Nick wydaje fortunę na podarki dla ciebie i kolejną, żeby je posłać do domu.

- Niezwykle hojny brat - stwierdziła, pracowicie eksplorując zakamarki jego płaszcza.

- Dlaczegoż, na Boga, widząc jego poczynania, miałbym okazać się na tyle głupi, by samemu przepuścić na ciebie jeszcze więcej złota?

Uśmiechnęła się doń tak słodko, że w istocie omal się nie rozpląkał.

- A jednak coś mi przywiozłeś - odrzekła, wzdychając uszczęśliwiona.

- Nic ci nie przywiozłem, chciwa szelmo - odparł, tuląc ją gwałtownie.

Opuściwszy powieki, pomodlił się, żeby okazując emocje, nie przynieść sobie ujmy niegodnej męża.

- Robinie... - poskarżyła się.

Zajrzał jej w twarz i szybko ją pocałował.

- Tęskniłaś za mną szczerze?

- A juści!

- No, dalej, stać cię na więcej.

Zastanowiła się.

- Rozpaczliwie?

- Niewykluczone, że przywiozłem ci jakąś błyskotkę.

- Robinie, nie sypiałam z tęsknoty za tobą - zapewniła żarliwie. - Czy widzisz bruzdy, jakie zmartwienie wyźłobiło na mojej twarzy?

- Dobrze. Przywiozłem ci kilka drobiazgów, lecz nie zobaczysz niczego, dopóki sam o tym nie zadecyduję. - Szykował się, żeby wygłosić wykład na temat chciwości, albowiem w istocie widział, że ogromnie zabrakło tu jego przewodnictwa, lecz spostrzegł inny godny uwagi obrazek. - Pomówimy o tym później, kiedy znajdę czas. W tej chwili moi ulubieni mali niewolnicy najwyraźniej niecierpliwie czekają na audiencję.

Isabelle usunęła się akurat w porę, żeby uniknąć stratowania przez Montgomery'ego i Johna. Bliźniacy ściskali Robina, aż ten udał, że z trudem łapie oddech. Ci dwaj także ogromnie się zmienili, choć zarazem pozostali dziećmi. Musieli mieć teraz po jakieś trzynaście lat. Robin przypominał sobie, jak unosił ich obu nad głowę, każdego jedną ręką, oni zaś wyli ze śmiechu. Jakże kochał swoich najmłodszych braci, nieprzeciętnych urwisów, których psoty nawet u niego wzbudzały podziw! W tej chwili zastanawiał się, czy zdołałby ich w ogóle oderwać od podłogi. Ależ urosli przez te pięć lat.

- Z drogi, chłopaki - rozległ się niski głos, po czym ktoś chwycił każdego z chłopców za tył tuniki, dźwignął i odstawił na bok.

Cóż, najwyraźniej był jeszcze człowiek zdolny podołać temu wyzwaniu. Robin poczuł, że opada mu szczęka.

- Miles? - zapytał.

- Któżby inny? - Miles puścił bliźniaków i pokłonił się Robinowi nisko. - Rycerz Miles, do usług.

- Święci pańscy, aleś wyrósł - rzekł ze śmiechem Robin. - Jeśli mnie pamięć nie myli, przy naszym ostatnim spotkaniu to ja podnosiłem ciebie.

- Wątpię, by teraz ci się to udało - odparł Miles, prężąc muskuły na ramieniu. - Chcesz spróbować?

Kątem oka Robin dostrzegł matkę. Zmierzała ku niemu groźnie, aczkolwiek widział, że z oczu płyną jej łzy.

- Później - powiedział, odsuwając brata z drogi.

Dopadł do matki akurat, kiedy rozpoczęła gruntowną połajankę, i pociągnął ją w stronę kominka. Nie widział powodu, żeby nie ogrzać nieco innych części ciała, skoro już płonęły mu uszy.

- Przysięgam, Robinie de Piagecie - oznajmiła matka, racząc go swoją najgroźniejszą miną - że gdyby upłynął jeszcze jeden miesiąc bez choćby kilku skreślonych spiesznie zdań od ciebie, osobiście rozstrzygnęłabym twoje bitwy, potem zaś pokazała ci, co myślę o takim lekceważeniu!

Robin objął matkę, wspierając brodę na jej głowie, tak że nie mogła widzieć, jak uśmiecha się na jej słowa. Kontynuowała niezwykle drobiazgowo wyliczanie starań, jakie zamyślała podjąć, żeby zaszczepić mu choć odrobinę dobrych manier, przy czym dla podkreślenia wagi swoich słów szarpała Robina za włosy. Przymknął oczy i z uśmiechem kontemplował niezwykłość wykorzystywania matki jako podpórki pod szczękę. Choć rychło ją przerósł, nieustannie na nowo zaskakiwało go, że jest od niej wyższy.

Zanim się spostrzegł, zalała się łzami. Trzęsła się od płaczu, Robin zaś wkrótce odkrył, że także po jego policzkach toczą się łzy. Być może nie przystało mężczyźnie tak srodze tęsknić za matką, lecz nie dbał o to. Kochał ją i niech diabli porwą każdego, kto zechciałby kpić zeń z tego powodu.

Gwen odsunęła się i zaczęła sprawdzać, czy nie odniósł ran. Ze śmiechem poddał się tym oględzinom.

- Jestem nietknięty, matko - zapewnił, uśmiechając się łagodnie.

- Tak bardzo urosłeś - stwierdziła, marszcząc brwi. - W tej sytuacji trudno cię besztać. Chyba powinnam odszukać mój oręż, kiedy będę mieć do ciebie poważną sprawę.

- Niech święci mają mnie w swej opiece - odparł ze śmiechem. - Obiecuję, pani, że przyniosę ci stołek, żebyś mogła mnie łącać ze stosownej wysokości.

Z westchnieniem pokręciła głową.

- Zaiste, ledwie rozpoznaję w tobie tego mojego słodkiego chłopca, którego zwykłam rugać, spoglądając nań z góry.

- Wiem - stwierdził. - Ów chłopiec wyruszył na wojaczkę, żeby stać się mężczyzną.

- Byłeś mężczyzną już wcześniej, synu.

Ach, jakże pragnął móc się z nią zgodzić! Usadził ją w fotelu, przyciągnął sobie stołek i usiadł przed nią. Zdał jej krótką relację ze swoich ostatnich podróży, pomijając co bardziej niesmaczne fragmenty, aczkolwiek odnosił wrażenie, że ona doskonale wie, jakie detale przemilcza jej syn. W trakcie tej opowieści kątem oka nieustannie obserwował schody wiodące na górne piętra donżonu. Przecież warto wiedzieć, kto schodzi do wielkiej sali.

Pytania matki na moment odwróciły jego uwagę, kiedy zaś ponownie spojrzął na schody, zstępowała z nich młoda kobieta. Zamrugał, zastanawiając się, czy patrzy na swoją siostrę, czy też na zjawę własnej matki. Usłyszał, że Gwen cicho się śmieje.

- Niesamowite, nieprawdaż?

- Rzekłbym raczej, że przerażające - stwierdził Robin, przecierając oczy. - Z pewnością odziedziczyła twoją urodę, szkoda wszelako, że nie anielski charakter.

Trzępięty mocno w tył głowy Robin spiorunował wzrokiem Nicholasa, który przeciął pomieszczenie i zawirował z Amandą w ramionach. Mars na czole Robina pogłębił się, kiedy brat przywiódł dziewczynę do ognia. Płakała. Cóż, niech sobie płacze. Zawsze najbardziej kochała Nicholasa, i dobrze, albowiem Robin nie mógł zdzierżyć jej ciętego języka i braku manier.

- Widzę, że nie zapomniałeś swoich srogich min - skomentowała Amanda, z kpina dygając przed nim nisko.

- Jestem w domu zaledwie kilka uderzeń serca, a ty już działasz mi na nerwy - warknął Robin.

- Czyżbyś spędzała bezsenne noce, obmyślając, jak mi zaleźć za skórę?

- Nie trudziłabym się tak dla ciebie, Robinie.

Nicholas roześmiał się i zasłonił sobą Amandę, kiedy Robin podniósł się z groźnym pomrukiem.

- Robinie, jesteś żałośnie łatwym łupem. Nie dawaj się jej podpuścić. Mnie już zdążyła rzec, że jestem beznadziejnym wymoczkim i przydałoby mi się kilka godzin więcej ćwiczeń na placu każdego dnia. No, pocałuj dziewczynę na pojednanie i niechże choć raz zapanuje między wami zgoda. Liczyłem, że przez te pięć lat nieco dojrzałeś. Amando, wyjdź z ukrycia i nie wbijaj Robinowi szpilek, kiedy on stara się zachowywać przyzwoicie.

Robin spiesznie uściśnął Amandę, dostatecznie mocno, żeby na chwilę ją uciszyć, po czym zdawkowo cmoknął ją w oba policzki.

- No, zmykaj, szelmo, zanim przypomnę sobie zniewagi, za które winienem ci odpłacić.

- Nicholasie - odezwała się Gwen, sięgając po rękę syna - pobiegnij do kaplicy po Anne, dobrze? Zasiadła się, a jak dla niej jest tam dziś stanowczo za zimno.

- Ja pójdę - oświadczył Robin. Wstał i odepchnął na bok brata, zawczasu ucinając sprzeczkę. - Nick tylko by ją zirytował swym nadszkakiwaniem.

- Nie waż się zranić jej uczuć - ostrzegła Amanda, wymierzając mu solidnego kuksańca w ramię, kiedy ją mijał. - Policzę się z tobą, jeśli to zrobisz.

Robin przez chwilę rozważał koncept uduszenia siostry, lecz ostatecznie go zarzucił. Ze zdenerwowania jego ręce zrobiły się śliskie od potu, tak więc zapewne nie zdołały ich dobrze zacisnąć na jej szyi. Może później, kiedy odzyska spokój.

Aczkolwiek ani trochę nie rozumiał przyczyn tego piekielnego zdenerwowania. Nie udawał się przecież na audiencję u królowej. Chodziło zaledwie o Anne z Fenwyck, jasnowłose dziewczę dorastające w tym domu, tak boleśnie nieśmiałe, że ledwie je zauważał. Jęknął, zatraskując za sobą drzwi wielkiej sali. Od kiedy to był takim kłamcą?

Ciężkim krokiem przeciął dziedziniec, szczelniej otulając się płaszczem. Diabelnie zimny kraj, ta jego Anglia. Co go napadło, żeby tu wracać? Powinien był raczej udać się na południe, do Hiszpanii. Przeżył tam kiedyś wiele szczęśliwych miesięcy. Spędzałby teraz całe dnie, wylegując się u boku pewnej hrabiny, która swego czasu znalazła w nim upodobanie, nocami zaś spacerowałby wzdłuż wybrzeża, rozkoszując się orzeźwiającej bryzą.

Jednakże od owych plaż dzieliło go pół świata, zatem dumanie o nich niczemu nie służyło Robin dotarł do kaplicy, położył dłoń na kłamce i odetchnął głęboko. Czy ona ucieszy się na jego widok*? Czy też go zignoruje, minie obojętnie i zostawi stojącego tam jak głupiec?

Pod wpływem tych rozważań pożałował, że nie ogarnął się nieco przed tym spotkaniem. Zanim jego myśli zawędrowały w jeszcze dziwniejsze rejony, otworzył drzwi i wślizgnął się do tonącego w półmroku wnętrza, cicho zamykając je za sobą. Zapomniał, jak niewielkie jest to pomieszczenie; najwyraźniej jednak wystarczyło na potrzeby rodziny. Stał w bezruchu, czekając aż oczy przywykną do ciemności. Przynajmniej na

coś mu się teraz przyda umiejętność skradania się. Zerknie na Anne, nim ona zda sobie sprawę z jego obecności, i przekona się, czy pamięć nie płatała mu figli.

Spostrzegł ją natychmiast. Jednym z jego największych atutów na polu bitwy był sokoli wzrok pozwalający rozróżnić kolor czyichś oczu z odległości pięćdziesięciu kroków. W tej chwili wyłowił z mroku postać klęczącą przy jednym z bocznych ołtarzy przed wizerunkiem świętego Krzysztofa, patrona tych, którzy wyruszyli na wojnę.

Robin nie pozwolił sobie na rozważania nad znaczeniem dokonanego przez nią wyboru. Postąpił dwa kroki do przodu i raptem znieruchomiał. Wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy doświadcza omamów, czy też piękność w ciemnozielonej sukni istnieje naprawdę.

To musiała być Anne. Jej jasnozłoty włosów nie pomyliłby z niczymi innymi. Światło świecy migotało w nich, kiedy opadały na jej ramiona i plecy niczym wodospad złotych nici. Smukłe dłonie splecione razem wsparła przed sobą na ołtarzu. Głowę trzymała pochyloną, jej usta poruszały się bezgłośnie. Robin niemalże sam opadł na kolana. Nigdy w życiu nie oglądał obrazu takiego spokoju, dobroci, czystości. Zniknęła pospolita, piegowata dziewczynka o zbyt wielkich oczach i uszach, które zdawały się nie pasować do reszty twarzy. Jej miejsce zajęła śliczna młoda kobieta.

Wolno przeszedł na przód kaplicy i po omacku usiadł na ławce w pobliżu Anne. Usiłował wymyślić coś mądrego, od czego mógłby zacząć rozmowę - a przynajmniej jakieś słowa brzmiące mniej głupio, niż się czuł.

Święci pańscy, nigdy by nie oczekiwał, że to będzie widok zapierający mu dech w piersiach. Nie potrafił oderwać od niej oczu. Już samo patrzenie na nią kołło jego serce. Po raz pierwszy od pięciu lat poczuł, że uchodzi zeń napięcie. A wszystko za sprawą kobiety, której przyrzekł sobie unikać.

Rozdział 6

Kiedy Anne klęczała przy ołtarzu świętego Krzysztofa, jej ręce musnął lekki powiew, zignorowała go wszakże. Podejrzała, że to ojciec przyszedł ją stąd zabrać, i pragnęła jak najbardziej opóźnić ten moment. Wstrzymała zatem oddech i z dłońmi nadal splecionymi przed sobą czekała na nieuniknione, pełne zniecierpliwienia męskie chrząknięcie.

Jednak kroki zatrzymały się z dala od niej, tak że odetchnęła z ulgą. Zresztą jej strach przed odkryciem wydawał się głupi. Ojciec nigdy nie przyszedłby jej tu szukać; to miejsce stanowiło jej azyl. Ktokolwiek właśnie do niej dołączył, zapewne przybył tu w poszukiwaniu wyciszenia, tak jak i ona. Przy odrobinie szczęścia nawet Anne nie zauważy.

Zwiesiła głowę i kontynuowała modlitwę. Ten rytuał przynosił jej ukojenie. Codziennie odbywała pielgrzymkę do ołtarza świętego, żeby u jego stóp modlić się o bezpieczeństwo Robina, tak by cały i zdrow powrócił do domu. Nie ważyła się prosić o spełnienie pragnienia jej serca. Takiego cudu nie sprawiłby nawet najpotężniejszy święty. Noga drżała jej od klęczenia na twardej drewnianej podłodze, Anne nie poruszyła się wszakże. W jej odczuciu owo poświęcenie mogło przesądzić o życiu bądź śmierci Robina. Mimo że on nigdy się o tym nie dowie, a choćby i wiedział, nie dbałby o jej ofiarę, Anne ponosiła ją ochoczo. Kiedy zatroszczyła się już o potrzeby Robina, poświęciła kilka chwil własnym.

Pozwól mi pozostać w Artane. Przynajmniej jeszcze parę dni.

Nie śmiała modlić się o więcej. Żaden święty nie zdołałby dłużej powstrzymać jej ojca. Kroki rozbrzmiały ponownie, zbliżając się ku niej, lecz nadal je ignorowała. Zapewne przyszedł po nią Miles lub jeden z bliźniaków. Mógł chwilę poczekać, podczas gdy ona wzniesie jeszcze kilka prośb.

Kiedy już naprawdę nie potrafiła dłużej wytrwać na klęczkach, przeżegnała się i otworzyła oczy. Wstać będzie trudno, da wszakże radę. Chyba nie przyniesie jej ujmy, jeśli poprosi o niewielką pomoc.

- Milesie, czy mógłbyś... - zaczęła, odwracając głowę, żeby spojrzeć na przybysza.

Tylko że to nie Mileśa ujrzała. Zobaczyła Robina.

Nie zdziwiłaby się bardziej, nawet gdyby to sam święty Krzysztof przyoblekł się w ciało wskutek jej żarliwych prośb. Wlepiała oczy w mężczyznę, za którego wznosiła modły. Nie potrafiła oderwać odeń wzroku. Żywiła cichą nadzieję, że wygląda nieco mniej głupio, niż jej się wydaje. Uczyniła drobny wysiłek, zamykając usta, lecz na więcej nie umiała się zdobyć. Święci pańscy, Robin był ostatnią osobą, którą spodziewała się dziś ujrzeć. Siedział na sąsiedniej długiej ławie, ciężkim udem miażdżąc jej płaszcz. Anne chłonęła jego wizerunek, odnotowując zmiany. Ciemne włosy, długie i niesforne, opadały mu na czoło i przesłaniały oczy. Twarz utraciła chłopcę krągłość, miękkość i wdzięk. Minione pięć lat przekształciło młodego rycerza w zahartowanego wojownika. Na jego opalonym, osmaganym wiatrem obliczu malował się ponury wyraz. Był szeroki w barach, miał mocarne ramiona i wielkie dłonie. Jego buty oblepiało błoto, ubranie nosiło ślady trudów podróży.

Nigdy w życiu nie oglądała piękniejszego widoku.

Ich oczy się spotkały, lecz nie potrafiła nic wyczytać z jego spojrzenia. Po prostu się w nią wpatrywał. Z łatwością odtworzyła sobie bieg jego myśli, jako że długo przebywała w kaplicy, a panowało tu dokuczliwe zimno. Zapewne miała czerwony nos i trupio blade dłonie. Tego rodzaju obrazek rzadko skłania mężczyznę, by padł na kolana i ślubował dogonną wierność.

Anne pojmowała, że nie ma innego wyboru, jak tylko powstać z klęczek. Być może wysiłek sprawi, że odnajdzie choć odrobinę rozsądku. Odwróciła się i wsparła dłoń o ołtarz, modląc się, by udało jej się podnieść. Za nic nie chciałyby okazać słabości przed Robinem. Zaciśnięła zęby i spróbowała wstać, opierając się na zdrowej nodze, a rękami odpychając od ołtarza. Głównym efektem owych zabiegów był rumieniec wstydu na jej policzkach. Jeśli nie zachowa ostrożności, rozciągnie się jak długa u stóp Robina.

Nie tak sobie wyobrażała przebieg pierwszego po latach spotkania z młodym dziedzicem Artane.

Ołtarz nie był zanadto stabilną podporą, noga zaś drżała pod nią tak bardzo, że Anne poczuła, że zaczyna się niebezpiecznie chwiać. Zniemacka silne ręce ujęły ją w tali, ustabilizowały, a potem postawiły do pionu.

Kompletnie upokorzona, Anne wyrwała się z uścisku. Wskutek tego szarpnięcia omal rzeczywiście się nie przewróciła.

- Święci pańscy - wysapała. - Nie potrzebuję pomocy!

Robin odkasznął.

- Cóż, ja tylko...

Anne wyprostowała się i spojrzała nań z całą godnością, na jaką potrafiła się zdobyć. Niewielka to pociecha, w tej chwili jednak tylko duma jej pozostała.

- Wstałabym sama, dziękuję - rzekła, siłąc się na opryskliwość.

Z pewnością nie życzyła sobie, żeby Robin postrzegał ją jako osobę niezdolną samodzielnie ustać na nogach.

Na obliczu Robina pojawił się mars. Nie wróżyło to dobrze, lecz w swoim zawstydzeniu Anne ani myślała się nim przejmować.

- Głupiec ze mnie, że chciałem zachować się szarmancko - burknął Robin.

- Powiedziałam już, że nie potrzebuję twojej pomocy.

- Nie próbowałem ci pomóc - odparł szorstko. - Chciałem cię tylko obmacać. Czy ta świadomość poprawia ci humor?

Anne zamruwała z wściekłością. Niech ją licho, jeśli pozwoli, żeby swoim źle skrywanym współczuciem upokorzył ją jeszcze bardziej. Wskazała drzwi.

- Twój brak szacunku kała nas oboje, odejdz przeto.

- Wyjdę, kiedy mi się spodoba, do diabła...

- Słuchaj - warknęła. - Po raz ostatni: nie potrzebuję twej pomocy ani też jej nie chcę.

- Nigdy nie przypuszczałem, że jest inaczej - odrzekł równie ostro.

Minął ją i oddalił się z przekleństwem, od którego spuchły jej uszy. Poczekwała, aż sobie pójdzie, zanim podniosła z ławy płaszcz i otuliła się nim, walcząc, żeby nie załamać się, wybuchając płaczem. Noga jej pulsowała, serce zaś bolało tak, jakby rozpadło się na niezliczone kawałki.

Nie tak sobie zaplanowała ponowne spotkanie z ukochanym mężczyzną. Miała wdzięcznie siedzieć w wygodnym fotelu, elegancka i królewska, obdarowując go najpiękniejszymi uśmiechami. On ukląkłby u jej stóp, przepaszając wylewnie za długą nieobecność, a potem zasypałby ją komplementami na temat przymiotów, o których posiadanie nawet się nie podejrzewała. Teraz zaś, za sprawą zaledwie kilku ostrych słów, zrujnowała wszystko. Cóż, może to i lepiej? Jeśli odtrąci Robina, nie da mu szansy, żeby postąpił tak pierwszy.

Sztynnym krokiem ruszyła do wyjścia, usiłując przemóc skurcz w nodze. Bez szans. W kaplicy panował ziąb większy niż zwykle, zatem Anne przyjdzie zapłacić za kilka chwil tutaj cierpieniem przez resztę dnia i część wieczoru.

Wyszła na zimne powietrze, zamykając za sobą drzwi. Drgnęła na widok stojącego tuż obok Robina. Tylko spiorunował ją spojrzeniem. Zignorowała go i ruszyła ku schodom. Do diabła, co za dureń zdecydował, że do kaplicy wiodą wszystkie te stopnie? Później czekało ją jeszcze osiem kolejnych, szerszych, z którymi musiała się zmierzyć, zanim znajdzie się w wielkiej sali. Zwalczyła w sobie chęć, by usiąść i zapłakać.

Spostrzegła, że Robin rusza ku niej, więc szybko podniosła rękę.

- Nie potrzebuję...

- Uparciucha - wymamrotał pod nosem, otulając ją swoim płaszczem. - Teraz przynajmniej nie zamarzniesz, przez resztę popołudnia pokonując dziedziniec.

Anne mruganiem odpędziła łzy.

- Nie musiałeś czekać. Nie prosiłam o to.

Nie odpowiedział, a po prostu dotrzymywał jej kroku, kiedy z bólem zstępowała po schodach. Gdy stanęła na dziedzińcu, zagroził jej drogę i bez pośpiechu poprawił na niej swój płaszcz. Anne podziękowałaby mu za tę szansę na złapanie oddechu, gdyby nie czuła się tak zakłopotana. Odepchnęła go i ruszyła w kierunku donżonu, bacznie patrząc pod nogi. Jeden fałszywy krok i za - ryje twarzą w błoto na oczach jedyne go mężczyzny, którego opinia się dla niej liczy.

Podniosła wzrok, żeby ocenić odległość, i ujrzała wychodzącego właśnie z wielkiej sali Nicholas. Pokonał schody, poruszając się z charakterystyczną swobodą. Ten jego leniwy chód, tak niepowtarzalny, wywołał uśmiech na twarzy Anne. Jakże Robin i Nicholas się od siebie różnią! Pierwszy był czystym ogniem i furją, nieokrzesaniem i siłą; drugi zdawał się spokojny i zabójczy niczym doskonale wypolerowane ostrze.

Ponadto Nicholas roztaczał urok osobisty, jaki zapewne nigdy nie stanie się udziałem Robina. Nawet jako chłopiec Nicholas potrafił oczarować spojrzeniem każdą kobietę, od matki począwszy, po najbardziej zrzędliwą szaf arkę sprawującą pieczę nad spiżarnią. Anne niejednokrotnie korzystała ze zdolności Nicholas do wyżebrania paru jabłek. Robin mógłby błagać o sukno do obwiązania zagrażającej życiu rany, a kucharka usunęłaby go z drogi kopniakiem niczym obrzydliwy odpadek. Robinowi brakowało właściwego Nicholasowi miłego sposobu bycia.

- Głupcze! - wykrzyknął Nicholas, posyłając bratu mordercze spojrzenie. - Nie widzisz, że ona cierpi? Pozwól, Anne, że zaniosę cię do środka. Nie powinnaś przebywać na tym zimnie.

- Zostaw ją - warknął Robin. - Nie jest kaleką.

- Jest kobietą, głupcze - odparł Nicholas, odpychając brata. - O kobiety należy dbać. Najwyraźniej jeszcze się tego nie nauczył. - Nicholas położył dłonie na ramionach Anne i uśmiechnął się do niej. - Święci pańscy, jakże miło znów cię widzieć. Gdy na ciebie patrzę, zaczynam się zastanawiać, co mnie opętało, żem wyjechał, miast pozostać w domu i sycić oczy twoim widokiem.

Na policzki Anne samowolnie wypłynął rumieniec. Rzadko doświadczała takiego niezwykle niepokojącego uczucia.

- Nicholasie - odezwała się wreszcie zakłopotana - stałeś się nie lada pochlebcą podczas tych swoich podróży.

- Pochlebstwa? Mówię najszczerzą prawdę. - Przeciagnał dłonią po jej włosach. - Anne, dech mi zapiera.

Wpatrywała się weń z otwartymi ustami. Nicholas znów się uśmiechnął tak olśniewająco, że niemal powalił ją tym na kolana, później zaś wsparł dłonie na ramionach Anne, nachylił głowę i, ku jej kompletnemu

zaskoczeniu, pozwolił sobie na śmiały czyn, jakiego nigdy by się po nim nie spodziewała. Pocałował ją. A potem pocałował ją ponownie.

Za trzecim razem jego wargi musnęły jej usta tak delikatnie, że opamiętała się na tyle, by zacząć oddychać. Trwała w jego objęciach, czując się nad wyraz niedorzecznie, i analizowała doznanie, kiedy wargi Nicholasa napierały na jej własne.

Były ciepłe.

I miękkie.

Po czym raptem zniknęły.

Anne otworzyła oczy akurat w porę, by zobaczyć, jak Robin szarpnięciem odrywa od niej Nicholasa i wymierza mu cios pięścią w szczękę, posyłając na ziemię. Nicholas przetoczył się, usiadł, potem zaś przyłożył palec do kącika ust i przyjrzał się widniejącej na nim krwi.

- Nie rób tego więcej - warknął Robin.

Po chwili wahania Nicholas podparł się z tyłu na rękach, wolno krzyżując w kostkach wyprostowane nogi. Jego leniwe ruchy ani chybi miały rozdrażnić Robina. Nicholas podniósł spokojne spojrzenie na brata, w kącikach ust błąkał mu się uśmiech. Anne podziwiła jego opanowanie w obliczu potężnego gniewu Robina.

- Dlaczego nie? - zapytał Nicholas. - Czy to ci przeszkadza?

Anne pożałowała, że nie ma pod ręką czegoś ciężkiego i niszczycielskiego, czym mogłaby cisnąć w drugiego syna Rhysa.

Robin pochylił się, chwycił brata za przód tuniki i poderwał na nogi.

- Nie tobie ją całować, do diabła. Trzymaj się od niej z daleka! - Pchnął Nicholasa w stronę donżonu.

- Odprowadzę ją do środka.

- Ona nie powinna więcej chodzić, Robinie - rzekł Nicholas, zaś w jego szarych oczach zapłonął taki sam ogień, jaki Anne dostrzegała w spojrzeniu Robina.

- Nie chce pomocy. Już mi to powiedziała.

Nicholas prychnął.

- Znając cię, nie zaproponowałeś jej swych usług w stosowny sposób.

- Nie dała mi szansy czegokolwiek zaproponować, nim posłała mnie do diabła! - wykrzyknął Robin.

Nicholas odepchnął brata na bok. Zanim Anne zorientowała się w jego zamiarach, uniósł ją w ramionach.

- Anne dość się już dziś nachodziła, Robinie - rzekł stanowczo Nicholas. - Idź, otwórz drzwi.

- Niech cię diabli, Nick...

- Drzwi, Robinie.

Anne odprowadzała wzrokiem Robina, kiedy ciężko wspinał się po schodach, przeklinając z wściekłością. Otworzył drzwi i tak je zostawił, znikając we wnętrzu donżonu.

- Nicholasiu, nic mi nie dolega...

- Cicho - skarcił ją z uśmiechem Nicholas. - Anne, dawniej nie byłaś aż tak uparta. Gdzie, na Boga, nabrałaś tej niekobiecej cechy?

- U boku Amandy - wyjaśniła, uśmiechając się blade.

Nicholas parsknął śmiechem.

- Nie wątpię. Ta dziewczyna wywiera na ciebie fatalny wpływ. Najwyraźniej nie mam innego wyboru, jak tylko podjąć się wytrzebień z ciebie owej przywary.

Patrzyła na jego usta, kiedy wnosił ją po schodach. Pocałował ją. Dlaczego nie drżała na całym ciele? Nicholas należał do najbardziej rozchwytywanych młodych rycerzy w królestwie. Nawet za Robinem nie uganiało się tak wiele kobiet, chociaż to akurat zupełnie Anne nie interesowało. Powinna była mdleć z radości, że Nicholas zwrócił na nią uwagę. Omiotła wzrokiem jego twarz i przyjrzała się rozcięciu na wardze.

- Boli cię, Nicky? - zapytała.

Nicholas puścił do niej oko, stopą zamykając drzwi wielkiej sali.

- A co? Zamierzasz ukoić mój ból kolejnym pocałunkiem?

Znienacka jego głowa odskoczyła do tyłu. Spojrzawszy ponad jego ramieniem, Anne zobaczyła, że to Robin zaciska w pięści włosy brata.

- Postaw ją na ziemię - warknął Robin.

Nicholas szarpnięciem uwolnił głowę.

- Wypowiadasz się, jakby chodziło o twą wybranekę, bracie.

- Postaw ją.

- Przy kominku.

- Teraz, Nick.

Westchnąwszy, Nicholas delikatnie opuścił Anne na nogi. Następnie okręcił się na pięcie i powalił Robina na podłogę. Widok bójkę nie poruszył Anne. Jeśli na tym świecie było cokolwiek pewnego, to właśnie fakt, że Robin i Nicholas będą się bić przynajmniej raz dziennie. Nigdy nie widziała, żeby bracia byli sobie bliźsi - ani też bardziej skorzy do robienia użytku z pięści. Nawet bliźniacy de Piagetowie nie ścierali się tak często.

Wiedziała, że waśń nie potrwa długo. Za godzinę Robin i Nicholas będą się razem śmiać, jakby nic się nie zdarzyło.

Ominęła nabierającą tempa bijatykę i ruszyła przez salę. Uśmiechnęła się, kiedy młody Montgomery podskoczył do niej i ją uściskał.

- Wesprzyj się na mnie, Anne, i podejźmy do ognia. Skąd masz płaszcz Robina? Jest niemożliwie brudny, czyż nie? I cuchnie. Założę się, że rada go z siebie zrzucisz.

Anne opierała się o Montgomery'ego, kiedy pomagał jej dotrzeć do kominka, wdzięczna za asystę. Nie zgadzała się z nim wszakże w kwestii płaszcza Robina. Owszem, był brudny i nie roztaczał zanadto świeżej woni, lecz Robin podarował go Anne dla jej wygody.

Zaskoczył ją szczęk mieczy, odwróciła się więc, by się przekonać, co on wróży. Robin i Nicholas właśnie z wigorem skrzyżowali oręż. Anne żywiła szczerą nadzieję, że Robin nie posieka brata na kawałki.

- Święci pańscy! Wyoście się z tym sporem na dziedziniec, głupcy! - krzyknęła ze swojego miejsca przy kominku Amanda. - Od waszych idiotyzmów boli mnie głowa!

W drodze na dwór walczącym towarzyszyły liczne przekleństwa i paskudne zniewagi. Anne usiadła przy ogniu, otulona płaszczem Robina, zastanawiając się, czy starczy jej bystrości umysłu, aby poprawnie zinterpretować niedawne wydarzenia. Nicholas ją pocałował. Robin wściekł się z tego powodu.

Teraz zaś opuścili donżon, żeby rozstrzygnąć spór przy użyciu mieczy.

Anne ukryła twarz w dłoniach i parsknęła śmiechem. Z pewnością nie przewidziała, że ten dzień przyniesie takie rewelacje. Nie mogła się już doczekać tego, co nastąpi wieczorem. Wątpliwe wszakże, by cokolwiek zdołało dorównać temu, czego właśnie doświadczyła.

Rozdział 7

Robin rozparł się wygodnie w fotelu, unosząc w dłoni czaszę z winem. Rodzina, jak często wieczorami, przeniosła się do pańskiej komnaty. Cieszył się z tego, albowiem zmagał się z myślami i nie życzył sobie, by którykolwiek z tutejszych rycerzy obserwował go, usiłując dociec przyczyny tego stanu ducha. Tyle chociaż, że chwilowo ominęła go konfrontacja z Baldwinem z Sedgwick. Kilka dni wcześniej Rhys wysłał Sedgwicka, żeby załatwił dlań kilka spraw, i nie spodziewano się powrotu rycerza wcześniej niż za tydzień. Robin czuł ulgę. Teraz przynajmniej zdąży się przygotować na pierwsze po wielu latach spotkanie. Postanowił sobie, że zakończy się ono nader niepomyślnie dla jego wroga.

Napił się wina i spróbował poddać się jego rozluźniającemu działaniu. Tego wieczoru, inaczej niż zwykle, nie zabawiał ich żaden trubadur ani goszczący w Artane szlachcic, który przynosiłby wieści z innych zakątków wyspy. Zadanie dostarczenia rodzinie rozrywki spadło zatem na Robina. Rozpoczął opowieść o swoich podróżach, rychło wszakże zgubił wątek. Dokuczał mu podły nastrój, więc w końcu szorstko poprosił Nicholasa, żeby go zastąpił.

Doskonale znał przyczynę swojego fatalnego samopoczucia. Niech diabli porwą Nicholasa za to, że jako pierwszy skradł słodki pocałunek z ust Anne! Jeśli wyraz twarzy dziewczyny mógł być jakkolwiek wskazówką, ani chybi nigdy wcześniej jej nie całowano. Zuchwałstwo brata oszołomiło Robina do tego stopnia, że tylko stał i się gapił. Nie umiał stwierdzić, czy pocałunek sprawił Anne przyjemność.

W istocie nie zależało mu na poznaniu prawdy w tej kwestii.

Ukradkiem zerknął na Anne i zmusił się, żeby oddychać normalnie. Święci, ale się zmieniła! Ów pierwszy rzut oka na nią w kaplicy nie dał mu pełnego obrazu tej transformacji. Kiedy Robin wyjeżdżał stąd pięć lat temu, Anne była przeciętną, niezbyt urodziwą czternastoletnią chudziną. Teraz na wprost niego, po przekątnej rodzinnego kręgu, siedziała całkiem inna Anne.

Robin pociągnął solidny łyk wina, po czym odstawił naczynie. Odchylił się, skrywając się w cieniu, i sycił oczy widokiem piękności przed nim. Jego ojciec powtarzał, że Anne pewnego dnia rozkwitnie, Robin wszak w to nie wierzył. Najwyraźniej jednak Rhys miał rację.

Siedziała w fotelu obok Nicholasa, podwinąwszy pod siebie zdrową nogę. Robin zdołałby przywołać setki wspomnień Anne zajmującej dokładnie taką samą pozycję, kiedy słuchała snujących krwawe historie bitew braci Fitzgeraldów lub wysławiających urodę jego matki trubadurów albo obserwowała zabawiających rodzinę zonglerów.

Zniknęła mała urodziwa dziewczynka, która oplatała ramionami kolano i jasnozielonymi oczami obserwowała panujące wokół zamieszanie. Jej miejsce zajęła dojrzała kobieta. Nie zakryła głowy, a blask ognia połyskiwał w jej jasnych włosach. Jedną jej szczupłą dłoń spoczywała na kolanie, a długie palce nieświadomie ugniatały fałdy sukni. Lewą rękę wsparła na podłokietniku, Robin zaś zmarszczył brwi, jako że znajdowała się ona diabelnie blisko dłoni Nicholasa. Czy braci się spotkały. Nicholas jedynie uśmiechnął się w reakcji na mars na czole Robina, po czym kontynuował swą opowieść.

Anne poruszyła się w fotelu, a spojrzenie Robina powędrowało ku jej długim włosom spływającym z ramion. Z wysiłkiem przeniósł wzrok wyżej, prześlizgując się po doskonałej szyi, i wpatrzył się w jej wargi. Były lekko rozchylone, Robina zaś dopadło pragnienie, żeby poderwać Anne z fotela i wpić się w jej usta tylko po to, by przekonać się, czy smakują również słodko, jak to sugerował ich wygląd.

Przygryzła wargę, Robin zaś drgnął - i napotkał jej oczy. Zesztywniał, uzmysłowiwszy sobie, że przyłapała go, jak się na nią gapi. Nie uśmiechnęła się, co nasunęło mu myśl, że uznała go za głupca, jakim w istocie był. Zerwał się gwałtownie z miejsca, piorunując Anne spojrzeniem. Niech ją diabli, jeśli zamierzała go wyśmiać.

Szorstko życzył rodzinie dobrej nocy i sztywnym krokiem wspinał się po schodach aż na blanki. Potrzebował solidnej dawki świeżego powietrza, żeby oczyścić umysł. Nie powinien był wracać do domu. Gdyby starczyło mu rozumu, żeby zostać na kontynencie, czułby się teraz kontent i szczęśliwy. A tak, proszę. Pozwalał, by to wątłe dziewczę zrujnowało mu wieczór i zmieliło serce na miazgę. Kiedy oparł się o mur, silny wiatr od morza, ostudził targające nim namiętności. Robin zadrzał, potem zaś z niedowierzaniem pokręcił głową. Co on wyrabia? Co go obchodzi zdanie Anne z Fenwyck? Może się zeń śmiać, ile dusza zapagnie. Jak na jego gust, była zbyt drażliwa i nieprzyjemna. Ponadto, aczkolwiek nabrała nieco kształtów, nadal wydawała się nadmiernie krucha. Lubił kobiety o większych krągłościach, ogniste w łóżku, a poza nim prawie niezauważalne. Kilka minut później wrócił wreszcie do środka. Przydałoby mu się zdrowe chędożenie. Może pospieszy na dół, do kuchni, znajdzie pierwszą z brzegu chętną, powabną dziewczkę służebną i weźmie ją tam, na miejscu? Może przy piątej czy szóstej dziewczce zazna wreszcie ulgi? Ulgi od katuszy, jakie zadawała mu Anne.

Jednakże to nie do kuchni poniosły go nieomylnie nogi. Nim się spostrzegł, stanął przed drzwiami izby sypialnej, którą dzielił z braćmi. Ustąpił z westchnieniem. Więc dzisiejszej nocy nie znajdzie sobie kobiety, podobnie jak nie udawało mu się to od miesięcy. Nawet się nie dziwił tej sytuacji. Wszedł do izby i zapalił świecę. Przez chwilę mógł cieszyć się samotnością i zamierzał z tego skorzystać. Przetrzęsał swoje rzeczy, dopóki nie znalazł poszukiwanego przedmiotu. Wziął świecę i swój skarb, wycofał się do wnęki okiennej, gdzie rozsiadł się wygodnie na kamiennej ławie. Postawił świecę, po czym wziął na kolana drewnianą szkatułkę.

Kryła jego najcenniejszy dobytek i Robin nigdy się z nią nie rozstawał. Podniósł wieko i zaczął przeglądać zawartość.

Znajdował się tu list, który matka napisała do niego przed jego pasowaniem, sygnet z herbem, który otrzymał od Rhysa, gdy wyruszał na wojaczkę, oraz gemma, od pokoleń przekazywana z ojca na syna w rodzie de Piaget. Rhys chciał, żeby Robin wprawił klejnot w rękojeść miecza, lecz Robin nigdy się na to nie zdobył. Przypuszczał, że nadejdzie taki dzień, gdy zapragnie przekazać gemmę swojemu pierworodnemu. Zatrzymał się przy tej myśli. Syn. No cóż, to przynajmniej będzie powód do dumy.

Musnął palcami cztery przyozdobione jego herbem wstążki, po czym odsunął je na bok. Cenił je sobie wielce, lecz nie tego w tej chwili szukał. Z głębi szkatułki wydobyl w końcu właściwy przedmiot. Odwinął chroniący go kawałek sukna i uniósł drobiazg do światła.

Złoto było tak jasne, że zdawało się niemal białe. Dotkliwie przywodziło mu na myśl jej włosy. Bładość szmaragdu nie dość dobrze oddawała barwę jej oczu, niewiele jej wszak brakowało. Robin wsunął pierścień na koniuszek małego palca i przyłożył dłoń do serca. Gdyby Nicholas usłyszał o tej głupocie, pokładałby się ze śmiechu.

Choć może i nie. W swej niefrasobliwości Nicholas gotów był uznać koncept za romantyczny. Robin, jako człowiek praktyczny, dostrzegł idiotyzm pomysłu. Ona nigdy nie przyjmie jego pierścienia. Roześmieje mu się w twarz. Albo mimo wszystko go zechce?

W tej chwili sam nie wiedział, co byłoby gorsze.

Nie, gorszy byłby śmiech. Niegdyś, jako chłopiec, w ogóle by się taką sytuacją nie przejął. Później jednak zaczął unikać śmieszności za wszelką cenę. Odkąd po raz pierwszy został wystawiony na pośmiewisko, poprzysiął sobie, że nigdy więcej nie pozwoli się w ten sposób upokorzyć. Zdziwiał, że proste zdarzenie z dzieciństwa może stać się takim ciężarem dla dorosłego mężczyzny.

Jednakowoż Anne nie będzie miała okazji nim wzgardzić, albowiem Robin nie zbliży się do niej bardziej niż na dwadzieścia kroków.

Zresztą, tak czy owak, nie darzy jej uczuciem. Jest uosobieniem kłopotów, wzburza jego serce i zakłóca spokój umysłu. Nigdy jej nie kochał i nigdy nie pokocha.

Drgnął zaskoczony, kiedy raptownie otworzyły się drzwi. Do diabła, tylko tego było trzeba, żeby do końca zepsuć mu wieczór.

- Robinie, jesteś tu? - zapytał Nicholas. - Matka obawiała się, że źle się poczułeś.

Robin upchnął wszystkie drobiazgi z powrotem do szkatułki i zatrzasnął wieko, zanim Nicholas cokolwiek zobaczył. Spiorunował wzrokiem stojącego przy wejściu brata.

- Nic mi nie dolega - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Chciałem jedynie odpocząć od twej bezrozumnej gadaniny.

- Oczywiście, panie - odparł Nicholas, kłaniając się. - Z radością poinformuję matkę, że nie zachorowałaś, a jeno się snujesz.

- Nie snuję się!

Nicholas tylko się roześmiał, po czym odwrócił się i opuścił izbę. Robin podążyłby za bratem, żeby sprać go do nieprzytomności, lecz tego popołudnia już na Nicholasie się wyżył. Wystarczy na dzisiaj, zwłaszcza jeśli dodać do tego zmęczenie podróżą.

Z pewnością, chociaż nie zamierzał narażać swego nieszczęsnego serca na tortury, jakie czekałyby je w ojcowskiej komnacie. Przez chwilę Robina kusilo, żeby sprawdzić, czy któryś z jego ludzi będzie chętny stanąć z nim w szranki, lecz rychło zarzucił również i ten koncept. O tak późnej porze najrozsądniej postąpi, udając się na spoczynek.

Niestety, podejrzewał, że będzie się jeno rzucał i wiercił, prowokując tym braci do snucia rozmaitych spekulacji.

Oparł się o ścianę i zapatrzył w tonącą w półmroku izbę sypialną. Przypuszczał, że powrót do domu będzie trudny. Nie wyobrażał sobie wszakże, co tu będzie nań czekało. Aczkolwiek czy nie dlatego kazał zrobić dla niej ten pierścień?

Opuścił powieki, zgrzytając zębami. A sądził, że to Nicholasa cechuje nadmierna skłonność do romantyzmu!

Robin wstał, odłożył na miejsce swój skarb, po czym zległ w pościeli. Trzeba mu było przyzwoitego snu i solidnej dawki porannego treningu. Nazajutrz zrobi przegląd drużyny ojca i przekona się, czy zdoła rozprawić się ze wszystkimi przed noną. Cel wydał mu się zacny, a przy tym leżał w zasięgu jego możliwości.

Tego rodzaju sprawy rozumiał. Nie dla niego natomiast było całe to zamieszanie z miłością, romansowaniem i sercem tłukącym się w piersi na najmniejszą myśl o pewnej kobiecie. Jeśli kiedyś popadnie w omdlenie, to wyłącznie wskutek całodziennego ciężkiego wysiłku w palących promieniach słońca, nie zaś dlatego, że Anne raczyła obdarzyć go spojrzeniem. Jeśli miałyby doświadczać skureczów żołądka, niechże odpowiada za nie podejrzany kawałek mięsiva, nie zaś strach, że ona poślubi innego. Jeśli zaś przyjdzie mu zapłakać, niech to będą łzy zwycięstwa, kiedy zmiażdży wroga. Nie zamierzał ronić ich nad dziewczyną, która

odniosła jedną z najcięższych ran, jakie widział w życiu, a mimo to zachowała odwagę, jakiej pozazdrościłby jej każdy z jego ludzi.

Prychnął. Odwaga? Nie, kierował nią upór, a także perwersyjne pragnienie pognębienia Robina. O tak, był tego pewien.

Jak Anne udawało się tego dokonać przy tak niewielkim wysiłku z jej strony, pozostawało dlań tajemnicą, której wszakże ani myślał zgłębiać.

Nie, Robin zdecydowanie wolał plac ćwiczebny i znajdzie się tam, kiedy tylko o wschodzie słońca przekona ludzi ojca, by stawili mu czoło. Zdecydowanie lepiej mierzyć się z wyzwaniem, które rozumiał, i z którymi sobie radził, niż starać się rozwikłać zagadki kobiecej natury.

Przewrócił się na drugi bok, naciągnął koc na głowę i przywołał sny o wojnie i rozlewie krwi. Wydawały się znacznie bezpieczniejsze niż ich alternatywa.

Rozdział 8

Obudzwszy się, Anne odkryła, że przez kotary łoża usiłuje się przebić przyćmione światło. Chwilowo niezdolna wstać, po prostu ułożyła się wygodniej w pościeli, odsuwając moment, kiedy będzie zmuszona opuścić przyjemne ciepło. W izbie sypialnej panowała cisza, Anne założyła zatem, że Amanda i Isabelle już stawiły czoło zimnu, rozpoczynając dzień. Ten jeden raz nie oburzała się, że pozwolono jej spać. Kto wie, ile jeszcze zazna takich poranków, kiedy będzie mogła marudzić do woli. Wkrótce i tak wstanie, a następnie poszuka schronienia w izbie Gwen w towarzystwie jej dworek. Czekają ją trochę szycia i misternego wyszywania, a także wiele innych zajęć, które zaprzątną jej myśli. Przynajmniej tego dnia nie musiała przejmować się ojcem, zaś podziękowania za to należały się Rhysowi.

Minionego wieczoru, kiedy Geoffrey wkroczył do komnaty Rhysa, głośno rozprawiając o rychłym powrocie do Fenwyck, pan na Artane zaczął go kusić wizją polowania. Miles zabawiał się chowem psów, Anne zaś wiedziała, że tego rodzaju przynęta nie pozostawi jej ojca obojętnym. Rhys oświadczył, że przygotowania potrwać co najmniej tydzień, zaś sam wypad - trudno orzec, jak długo. Kiedy Anne uzmysłowiła sobie, że otrzymała jakieś dwa tygodnie łaski, oddaliła się do swojej izby sypialnej i prawie skakała z radości. Wolałaby zostać w Artane jeszcze dłużej, niewykluczone wszakże, że później Rhys zdoła przekonać jej ojca innym argumentem. Aktualne odroczenie wyroku w pełni ją satysfakcjonowało.

Nie zamierzała podejmować zbytecznego ryzyka spotkania z ojcem. Najlepiej poszuka czegoś do jedzenia, po czym uda się do izby Gwen. Tym sposobem zostaną jej także oszczędzone inne niepożądane spotkania - aczkolwiek spodziewała się, że osoba, której z całego serca pragnęła unikać, będzie z równą chęcią schodziła jej z drogi.

Westchnęła, rezygnując z prób zgłębienia przyczyn zachowań Robina. Minionego wieczoru w jednej chwili patrzył na nią jak na szczególnie smakowity barani udziec, a wkrótce potem tak, jakby włożyła mu do butów garść łajna. Co takiego zrobiła, żeby zasłużyć sobie zarówno na jedno, jak i na drugie, pozostawało dla niej tajemnicą. Anne zwyczajnie nań patrzyła.

Zwykłe doznania dawno przestały być udziałem Robina. Dla niego wszystko stawało się kwestią życia lub śmierci. Nie potrafił stanąć w szranki dla czystej rozrywki; dla niego znaczyło to zawsze wygrać lub zginąć. Nawet szachy traktował teraz jak pole bitwy. Niedługo tak nie było. Grywali często w trakcie jego choroby i wręcz śmiał się, kiedy po raz pierwszy go pokonała. Ow psotny chłopiec, który spędzał z nią tyle czasu, odszedł bezpowrotnie. Jednego dnia się śmiał, następnego zaś kłął gorzko. Nie mogła pojąć, jakie zdarzenie tak go odmieniło, on zaś stanowczo odmówił rozmowy na ten temat. Od tamtego dnia nieustannie ją odtrącał. Wtedy wielce ją to bolało. Lubiła wierzyć, że uporała się z bólem, lecz nawet samo rozmyślanie nad tą sprawą rozbudzało go na nowo. Święci pańscy, co spowodowało w nim tę zmianę?

Nie zawsze był taki chmurny i drażliwy. Pamiętała wiele jego psot z czasów, gdy trwała budowa Artane, a cała rodzina przebywała na miejscu. Pewnej nocy Anne oddaliła się na spoczynek do namiotu, który dzieliła z Amandą, i znalazła w pościeli węża, na szczęście martwego. W odwecie podłożyła Robinowi pod poduszkę truchło szczura. Wraz z Amandą spędziły cały dzień na szukaniu zwierzęcia, potem zaś to Amanda je zabiła, albowiem Anne zabrakło odwagi. Jakże Robin wył, kiedy znalazł niespodziankę! Owo wspomnienie nadal wywoływało uśmiech na jej twarzy.

Wszelako pomimo tej chłopięcej skłonności do psot Robin nosił w sobie serdeczność, którą nauczyła się cenić. Wydawało się równie prawdopodobne, że sprezentuje jej bukiet wonnych kwiatów, jak i stwora podejrzaną proweniencją. Uwielbiała go.

Potem nadeszła gorączka, uśmiercając połowę mieszkańców pobliskiej wioski. Robin zachorował jako jedyny z rodziny i Anne przez pewien czas obawiała się, że on także umrze. Zapewne straciłby życie, gdyby nie fakt, że w wieku czternastu wiosen był już bardzo silny. Sama wtedy zdrowiała, lecz spędzała z nim tyle czasu, na ile jej pozwolono. Kiedy starczało mu sił, godzinami grali w szachy. Gdy zaś ogarniało go zmęczenie, czytała mu, dukając zgłoski, albo zajmowała go wymyślanymi przez siebie historiami.

Trwało niemal rok, nim w pełni wydobrzeł. W trakcie owych miesięcy zaszła w nim zmiana. Anne wstała już z łóżka i kuśtykała, zabawiając go, jak tylko potrafiła. Aż pewnego dnia jej starania ostro odrzucono. Ilekroć wchodziła do jego pokoju, pragnąc uprzyjemnić mu czas, natychmiast ją wypraszał. Nawet kiedy do niej mówił, nieodmiennie cedząc szorstkie słowa, unikał patrzenia na nią.

Rozpoczął szaleńczy trening. Kiedy inni odpoczywali w wielkiej sali, Robin wytrwale zaprawiał się na placu. Stał się tak brutalny i agresywny, że jedynie jego ojciec i Nicholas zgadzali się z nim ćwiczyć, przy czym ten drugi zostawał zwykle błyskawicznie rozgromiony.

Wkrótce z Robinem nie mógł się mierzyć nikt poza Rhysem. Robin zdobył ostrogi tuż przed swoimi dziewiętnastymi urodzinami, przy czym rzeczywiście na nie zapracował. Pan, u którego terminował jako giermek, nieustannie skarżył się Rhysowi, że Robin ściera jego ludzi na pył.

Potem Robin wyruszył na wojnę. Anne myślała wtedy, że postąpił tak, żeby więcej jej nie oglądać. Z czasem zaczęła podejrzewać, że chciał się sprawdzić. Niemniej prawdy nie pozna, jako że Robin z pewnością sam jej tego nie powie, ona zaś oczywiście go nie zapyta.

Usiadła powoli, krzywiąc się na ból w nodze. Dziś nie będzie czuwania w kaplicy. Chyba dobrze, że Robin wrócił do domu. Jej ciało potrzebowało wytchnienia.

Sztynno wstała i pokuśtykała do okna. Rozwarła okiennice i oparła się o kamień otworu. Niebo zasnuwały chmury, co jej nie zaskoczyło. Nad wyraz lubiła deszcz, jednakowoż jej ojciec, odkąd tu przybyli, nieustannie utyskiwał na szarugę. Odetchnęła głęboko, rozkoszując się zarówno pachnącym morskim powietrzem, jak i ciszą wolną od narzekań. A wraz z ową lekkością w sercu i na umyśle nadpłynęły uczucia, których nie mogła się wyprzeć.

Przyjazne uczucia.

Wobec tej niezwykle trudnej i skomplikowanej osoby uparcie nawiedzającej jej myśli.

Jakże zdołałaby uodpornić swoje serce na ów słodki dołek pojawiający się w jego lewym policzku przy tych rzadkich okazjach, kiedy Robin się uśmiechał, albo niecny błysk w jego oku, gdy planował jakiś fortel? Był równie przystojny jak Rhys, co wydawało się dość zadziwiające, jako że Robina spłodził przecież Alain z Ayre. W rzeczy samej, choć Anne nigdy nie poznała lorda Ayre, nie potrafiła opędzić się od myśli, że Robin wykazuje ogromne podobieństwo do Rhysa.

Zastanawiała się, z czego ono wynika.

Oderwała wzrok od zasnutej odłowianymi chmurami nieba, kierując uwagę na dziedziniec. Liczyła, że jakiś ciekawy widok oderwie ją od rozważań nad sprawami, których nigdy nie zdoła wyjaśnić. Przy odrobinie szczęścia nie będzie to jej ojciec czekający, aż Anne wstanie, żeby oznajmić jej, że zmienił zdanie i niezwłocznie chce wracać do Fenwyck.

Jednakże to nie jej rodzic się w nią wpatrywał.

To był Robin.

Jego widok teraz zaskoczył Anne nie mniej niż wcześniej w kaplicy. Odskoczyła od okna, z hukiem zatrzaskując okiennice. Zbyt długo tu mitrężyła. Nie zostanie dla niej nic ze śniadania, jeśli zaraz nie pospieszy na dół.

Ubrała się szybko i przeciągnęła grzebieniem po długich włosach. Zamierzała zakryć głowę, lecz odrzuciła ten koncept. I tak nikt nigdy na nią nie patrzył. Nikogo nie obrazi. Posili się prędko i schroni w izbie białogłowskiej, zanim dorwie ją ojciec.

Niemniej jednak wkrótce Anne przekonała się, że w wielkiej sali nie jest tak pusto, jak się spodziewała. Przy nadal nakrytym stole w pobliżu kominka zgromadzili się mężczyźni. Rhys siedział u szczytu, mając po lewej ręce Nicholasa. Robin właśnie zajmował miejsce po jego prawicy. Dostrzegła przybocznych Rhysa, a także mężów, którzy najpewniej przybyli wraz z Robinem i Nicholasem, jako że żadnego z nich nie rozpoznawała. Wyglądali na zatopionych w rozmowie.

Rozbrzmiał gardłowy śmiech i Anne ogarnęły wątpliwości, czy chodzi o poważną dyskusję. Przynajmniej nigdzie nie widziała ojca. Tak czy owak, Anne nie zamierzała wpraszać się do grona radzących wojów. Nim wszakże zdołała umknąć, Rhys odwrócił się i skinął na nią. Jakkolwiek nadal nęciło ją, żeby uciec, zdawała sobie sprawę, że wystawiłaby się tym na śmieszność, pozostała zatem przy obranym kursie.

Wszyscy przy stole wstali, kiedy się zbliżyła. Poczula, że po raz drugi w niedługim czasie wściekle się rumieni. Nicholas gapił się na nią z otwartymi ustami. Anne potoczyła wzrokiem po pozostałych mężach, by stwierdzić, że wpatrują się w nią mniej więcej w ten sam sposób. Wszelako Robin zdawał się zaciskać szczęki. Nie zdziwiło jej to.

Niemniej jednak zbiorowe zainteresowanie, jakim ją obdarzono, poważnie ją zdenerwowało. Znienacka Anne naszła potworna myśl, więc spieszenie spojrzała w dół, przeświadczona, że ujrzy wyjątkowo krępujące niedociągnięcie w swoim stroju.

Zmarszczyła brwi. Wszystko wydawało się w porządku. Znow podniosła wzrok i ze zdumieniem skonstatowała, że kilku mężczyzn uśmiecha się do niej szelmowsko. Spłoszyło ją to do tego stopnia, że się potknęła. Natychmiast jeden z obecnych podskoczył, ofiarując ramię.

- Sir Richard z Moncrief na twe usługi, pani - rzekł, kłaniając się jej nisko.

Spojrzała nań z otwartymi ustami, świadoma, jak mało pociągająco się prezentuje, niezdolna wszak temu zaradzić. Dlaczego ten głupiec zachowuje się tak dwornie? I czemu, święci pańscy, tak nedorzecznie się przy tym uśmiecha? Doskonale wiedziała, kto zacz, jako że należał do drużyny Rhysa. Dlaczego więc przedstawiał się jej niczym jakiejś wielkiej pani?

- Nie potrzebuję pomocy - wykrztusiła, przywoławszy nieco godności.

- Czy zatem pozwolisz, pani, przynajmniej towarzyszyć sobie w drodze do stołu?

Nastąpiło poruszenie, gdy kilku mężczyzn rzuciło się ku odsuniętym pod ścianę krzesłom. Przyniesiono jedno i ustawiono obok Rhysa. Anne z chęcią zapadłaby się pod podłogę. Przywołała całą swoją dumę, żeby przejść przez salę, nie utykając nadmiernie, potem zaś jak najwdzięczniej usiąść. Nadal wszelako pozostawała w centrum uwagi.

- Anne, jesteś piękną - rzekł Nicholas, sięgając ponad ojcem, żeby ująć ją za rękę. - Zgodzicie się, chłopcy?

Rozległ się chór entuzjastycznych potakiwań. Anne uwolniła dłoń i spojrzała na Rhysa.

- Panie - zaczęła, lecz głos jej się załamał.
Rhys otoczył ją ramieniem.
- O co chodzi, córko?
Nachyliła się ku niemu.
- Wszyscy się na mnie gapią - szepnęła gorączkowo.
- Po prostu zachwyca ich twoja uroda - odszepnął Rhys. - Najwyraźniej wszakże ich maniery wymagają poprawy.
- Zajmę się tym - mruknął siedzący obok niej Robin.
- Ach, popłynie nieco krwi - stwierdził Nicholas, z entuzjazmem zacierając ręce. - Uwielbiam, kiedy Robin broni słusznej sprawy.
- Nie - rzekł Rhys, gwałtownym gestem powstrzymując Robina przed skokiem przez stół.
- Żadnych takich, jeśli można. Anne, zechciałabyś przynieść mi wina?
Anne rada przyjęła podsuniętą jej przez Rhysa wymówkę, żeby opuścić salę.
- Natychmiast, panie.
Połowa mężczyźni poderwała się na nogi. Rozbrzmiało tyleż propozycji udzielenia jej pomocy przy realizacji przedsięwzięcia, że Anne odwróciła się i uciekła, gdyby tylko była w stanie.
- Sama sobie poradzi z tym piekielnym winem - warknął Robin. - Siadać, każdy jeden.
Mężczyźni posłuchali go z ociąganiem, wszyscy poza Nicholasem.
- Nick, nawet o tym nie myśl.
Anne oddaliła się, zanim przyszło jej oglądać, jak Robin i Nicholas znów na siebie ruszają. Starła się nie doszukiwać znaczenia ich słów i poczynań. Robin zapewne po prostu miał coś do omówienia z zebranymi przy stole i nie życzył sobie, żeby ktokolwiek opuszczał salę z powodu głupstwa. Z kolei Nicholas usiłował rozdrażnić brata i znalazł na to doskonały sposób.
Chyba zrobiłaby najlepiej, wracając do łóżka.
Pokręciwszy głową, poszła do kuchni. Wzięła butelkę wina i drewniany półmisek, na którym piętrzyły się uwielbiane przez Rhysa słodkości. Wróciła do wielkiej sali, modląc się, by udało jej się niezauważonej dotrzeć do stołu i od razu uciec.
Zanim w pełni uzmysłowiła sobie, co się dzieje, poczuła, że się ślizga. Podjęła rozpaczliwą próbę utrzymania butelki, półmiska i swojego ciała w pozycji pionowej, jednak bez powodzenia. Butelka wyslizgnęła jej się z rąk, półmisek i słodkości wzleciały w powietrze, Anne zaś zamknęła oczy, szykując się na niewdzięczne tudzież bolesne spotkanie z matami.
Nie dosięgła wszak podłogi.
Silne ramiona pochwytyły ją i uniosły. Spojrzała w twarz Robina, oddaloną od jej twarzy zaledwie o szerokość dłoni. Pragnęła zarzucić mu ramiona na szyję, wtulić się w jego pierś i tam szukać schronienia. Jej plany na ten ranek nie uwzględniały zrobienia z siebie ostatniej idiotki.
Jedynie wpatrywała się w jego szare oczy z nadzieją, że on wyczyta w jej spojrzeniu wdzięczność za ratunek.
Nie poruszył się. Biorąc pod uwagę, że mógł ją po prostu upuścić na ziemię tam, gdzie stał, ów bezruch był w odczuciu Anne całkiem pomyslnym sygnałem.
- Dziękuję - wykrztusiła.
Najwyraźniej wyrwała go tym z otepienia. Postawił ją na nogi z zadziwiającą delikatnością, po czym cofnął się o krok.
- Butelkę da się zastąpić - rzucił szorstko na odchodnym.
Anne stała w wielkiej sali pośród skorup, rozlanego wina i rozmoczonych słodkości, niezdolna ruszyć się z miejsca. Dygotała. Rozważała, czy nie wybuchnąć płaczem, ale ten zamysł wydał jej się mało pociągający. Potrzebowała czasu, żeby zastanowić się nad tym, co się właśnie zdarzyło. Robin ocalił ją przed upadkiem. Aby zaś tego dokonać, musiał obserwować ją, kiedy szła przez salę. Butelkę da się zastąpić? Czy chciał przez to powiedzieć, że Anne zastąpić się nie da?
Pokręciła głową, licząc na to, że wytrzyma z niej głupie myśli, tak że dołączą do śmieci na podłodze. Wyrósł przed nią Nicholas, przyglądając się jej z troską. Tuż za nim postępowało kilku przybocznych Rhysa. Jeden z młodszych rycerzy ukląkł przed Anne.
- Pani, błagam o wybaczenie. Minionego wieczoru w trakcie wieczerzy rzuciłem psu kość i widziałem, że niósł ją w tę stronę. To z mojej winy się poślizgnęłaś.
- Jeśli sobie życzysz, Anne, dopilnuję, żeby zapłacił za ów postępek - zapewnił żywo Nicholas.
- Czy możemy wrócić do naszej dyskusji? - wykrzyknął Robin ze swojego miejsca przy stole. - Mamy męskie sprawy do omówienia!
Nicholas zasznurował usta, machnięciem ręki zwolnił przybocznych, po czym uśmiechnął się do Anne.
- Pal diabli męskie sprawy. Co powiesz na spacer w ogrodzie?
- Na dworze jest potwornie zimno, Nicky - odparła, najbardziej na świecie pragnąc uciec na górę.
- Wiem.

Spojrzała nań zaskoczona.

- Wiesz?

- Doskonała wymówka, bym dokładał starań, żeby cię rozgrzać.

Roześmiała się mimo woli. To była największa niedorzeczność, jaką usłyszała tego ranka.

- Chyba lepiej zrobię, udając się po płaszcz.

- Teraz obrażasz mą rycerskość - oświadczył Nicholas, a na jego czole pojawił się mars przypominający łagodniejsze grymasy Robina. - Mój honor został splamiony, domagam się satysfakcji.

- Rozstrzygniemy sprawę na miecze? - zapytała, uśmiechając się pod wpływem jego uroku osobistego. - Czy też zdecydujemy się na mniej krwawe rozwiązanie?

- Zastanowię się - odparł. - Poczekaj na mnie, przyniosę dla ciebie mój płaszcz.

Uklonił się jej nisko, pocałował ją w rękę, po czym oddalił się spieszenie w poszukiwaniu stosownego okrycia. Zerknęła ukradkiem w stronę stołu, żeby się przekonać, że mężczyźni skrupulatnie omawiają kwestie wojaczki i treningu. Robin nader znacząco pokazywał jej plecy. Przywykła wszakże do takiego jego zachowania, więc nie sprawiło jej przykrości.

Zresztą Nicholas z Artane planował zabrać ją na spacer po ogrodzie. Czy zdołałaby spędzić bardziej interesujący poranek?

* * *

Znacznie później tego dnia Anne siedziała na swoim zwykłym miejscu w kobiecej izbie. Z kominka roztaczało się przyjemne ciepło, towarzystwo dopisywało, Anne zaś pracowała nad wyjątkowo piękną robótką. Odłożyła pracę, czerpiąc radość z przebywania w domu. Opuściła powieki i wyobraziła sobie, jak wyglądałaby jej przyszłość, gdyby tego rodzaju przyjemność stała się jej udziałem na resztę życia.

Obudziła się z drgnięciem. Rozmowy przycichły, zbliżała się pora wieczery. Anne hołubiła nadzieję, że jej drzemka przemknęła niezauważona; na pozór nikt nie zwracał na nią uwagi. Rozejrzała się ostrożnie po kończących pracę kobietach.

Były tu trzy żony przybocznych Rhysa. Jej macocha nigdy nie przestawała z kobietami zajmującymi niższą od niej pozycję, Anne zaś nieodmiennie podziwiała u Gwen owo lekceważenie konwenansów. Bardzo lubiła towarzystwo tych kobiet, miłych i dowcipnych.

Oczywiście w izbie przebywały także Amanda i Isabelle, aczkolwiek Amanda niewątpliwie chętniej spędzała czas na placu ćwiczebnym, siejąc spustoszenie łukiem bądź innym równie niebezpiecznym orężem. Niekiedy Anne zastanawiała się, czy sama nie powinna się nieco podszkolić w tej materii. Tego rodzaju umiejętności przydałyby się jej, gdyby została kiedyś zaatakowana. Poza samą Gwen w izbie obecna była jeszcze tylko Edith z Sedgwick. Anne z zadumą popatrzyła na nią spod opuszczonych rzęs. Edith przybyła do Artane jako dziesięcioletka. Anne liczyła sobie wówczas osiem wiosen, żywo wszak pamiętała tamten moment. Dziewczynka wyglądała tak, jakby od lat nosiła to samo ubranie, jako że jej spódnice kończyły się wysoko nad kostką, materiał znaczyły zaś liczne dziury, tylko po części zacerowane. Cuchnęła nader paskudnie, a jej oczy płonęły dzikością.

Gwen i Rhys przyjęli ją pod swój dach bardziej dlatego, że potrzebowała pomocy, niż ze względu na jej pokrewieństwo z Rhysem. Jako że jego matka wywodziła się z Sedgwick, Rhys powinien był zostać panem tych włości, Anne wiedziała wszakże, że nie miał na to najmniejszej ochoty. Lenno objął kuzyn pana na Artane, pozostając mu podległym, przy czym Anne podejrzewała, że rola wasala de Piageta niezbyt temu człowiekowi odpowiada.

Baldwina, bratanka lorda Sedgwicka, zapewne niespecjalnie tam hołubiono i z tej też przyczyny przy pierwszej nadarzącej się okazji odesłano go do Artane. Rhys przyjął chłopca bez większych oporów, chociaż głównie dlatego, by zawsze wiedzieć, co aktualnie knuje. Anne знаła te argumenty, jednakowoż ich logika nie wzbudzała w niej zachwyty. Gorzko żaliła się Rhysowi na Baldwina dręczącego zarówno ją, jak i innych słabszych od siebie. Rhys trwał przy swoim. Baldwin zostanie, lecz będzie bacznie obserwowany. Najwyraźniej wszakże ów dozór nie przeszkadzał młodzieńcowi, jako że zawsze z chęcią biesiadował przy stole Artane'a.

Edith znacznie różniła się od brata, nigdy się bowiem nie skarżyła ani też nie dopuściła żadnego niecnego postępu.

Anne spojrzała na jej ciemną głowę pochyloną nad szyciem; uśmiechnęła się przepraszająco, kiedy Edith przyłapała ją na obserwacji. Uznała, że dziewczyna jest niebrzydka, a przy tym nader przyjemna w obyciu, jeśli porównać ją z bratem. Gwen dosyć ją lubiła.

Wszelako Anne, podobnie jak wówczas, gdy po raz pierwszy ujrzała tamtą obszarpaną dziewczynkę, trwała rozdarta pomiędzy współczuciem a przestachem, bowiem jej zdaniem, pomimo prezentowanego na zewnątrz obycia, dzikość nigdy całkiem nie opuściła oczu Edith.

- Moje panie, dosyć na dzisiaj - oświadczyła Gwen, wstając. - Anne, kochana, idziesz także?

- Za moment, matko - odparła Anne, spragniona kilku chwil spokoju, żeby przemyśleć zdarzenia o wiele bardziej interesujące aniżeli wyszywanie tudzież babskie plotki.

Kobiety opuściły izbę, Anne zaś pozostała w fotelu wpatrzona w płomień. Miała za sobą naprawdę niezwykle dzień. Nie chciała, żeby cokolwiek - wieczera, jej ojciec czy inne osoby - przeszkodziło jej w analizie owych zajęć. Nicholas zabawiał ją całe popołudnie. Robin ocalił ją przed upadkiem.

Ani chybi było dobre wytłumaczenie obu tych zdarzeń, Anne wszakże nie miała ochoty na zgadywanki. Przypuszczalnie Robin żywi do niej coś w rodzaju braterskiego sentymentu, Nicholas zaś postanowił dokuczyć bratu, krzyżując mu szyki, kiedy tylko się da. Nie wierzyła w szczere zainteresowanie Nicholasa, a jeszcze bardziej naiwna wydawała jej się myśl, że Robin darzy ją jakimkolwiek uczuciem innym aniżeli najbardziej neutralne.

Z westchnieniem wrzuciła robótkę do koszyka ustawionego u swoich stóp i wstała. Zapadła już ciemność, Anne dokuczał głód. Dawno powinna była zejść do nagrzonej kominkiem wielkiej sali. Wyszła z izby. Pochodnie znów zgasły. Jakkolwiek nie wydawało się to niczym niezwykłym, poczuła niepokój. Wyteżyła wzrok, zaglądając w głąb mrocznego korytarza, lecz nic nie dostrzegła. Odwróciła się i spiesźnie pokuśtykała ku schodom, potem zaś ruszyła na dół. Na widok nikłego blasku padającego zza węgła odetchnęła z ulgą.

Wtedy jej uszu dobiegi cichy dźwięk.

Podobny odgłos wydają ocierające się o siebie klucze lub na przykład łańcuch.

Zanim zdołała autentycznie się przestraszyć, uzmysłowiwszy sobie, że słyszała ów dźwięk już wcześniej, straciła oparcie dla stóp i potknęła się. Wyrzuciła ręce na boki, żeby odzyskać równowagę, lecz bez powodzenia. Chroma noga załamała się pod nią i Anne stoczyła się z ostatnich stopni, z krzykiem objając się o ich krawędzie. Wyładowała u podnóża schodów i leżała skulona, bojąc się poruszyć.

- Anne!

Usłyszała wołanie Nicholasa, a później stukot jego butów, gdy biegł korytarzem. Po chwili już przy niej klęczał, delikatnie dotykając jej ramion i nóg.

- Nie ruszaj się - polecił, kiedy spróbowała usiąść.

- Nic mi nie jest - zapewniła, odpychając jego ręce.

Dopiero wtedy odnotowała ból w nadgarstku, który zwiększył się, gdy poruszyła dłonią. Nicholas ujął ją za przegub i ostrożnie zbadał bolące miejsce.

- Nie ma złamania - orzekł, marszcząc brwi. - Owiniemy ci nadgarstek sztywnym sukmem, żeby go unieruchomić...

- Do wszystkich diabłów, co tu się dzieje? - ryknął Robin z głębi korytarza.

Anne z jękiem opadła na plecy. Z pewnością nie marzyła o tym, żeby Robin oglądał ją w pozie równie uchybiającej godności. Niezdarnie usiłowała poprawić na sobie spódnice, zakrywając kolana.

- Nick, głupcze, z drogi - warknął Robin, odpychając brata na bok. - Anne, co ci się przytrafiło? Kiedy nauczysz się bardziej uważać? Te schody są zdecydowanie za strome na to, żebyś chodziła po nich po ciemku. Czy naprawdę musisz postępować za tobą krok w krok, pilnując, byś się nie zabiła?

Anne zniosłaby tę tyradę w milczeniu, wszelako nie mogła zdzierżyć, gdy mocnymi dłońmi obmacywał jej kończyny, delikatnie poszukując dalszych obrażeń.

Potem dotknął jej pokiereszowanego uda. Gwałtownie odtrąciła jego rękę i usiadła, odsuwając się od niego.

- Nie - wydyszała.

- Anne...

Nie mogła uwierzyć, że poczynął sobie tak śmiało. Czy nikt mu nigdy nie powiedział, że pewnych części ciała kobiety mężczyzna po prostu nie dotyka?

- Zostaw mnie - wykrztusiła. - Nic mi nie dolega.

- Rozumiem - rzeki sztywno. - Nicholas może cię zbadać, lecz mnie tego zabraniasz.

- On mnie nie obłapiał za nogę! - wykrzyknęła.

- Wierz mi, nic się za tym nie kryło - warknął Robin.

Jakkolwiek powinna była się tego spodziewać, te słowa ją zabolowały.

- Ucierpiał wyłącznie mój nadgarstek i sama go sobie zawinę - powiedziała. - Zaszczyć inną dziewczkę swoim nic nieznaczącym dotykaniem.

Oczy Robina załśniły w blasku pochodni.

- Niejedna za tym tęskni, zapewniam cię.

- Znajdź sobie zatem którąś i skorzystaj z jej wdzięków - odparowała Anne, odwracając twarz. - Ja się sama o siebie zatroszczę.

- Zrób to zatem i nie zwracaj mi więcej głowy swoimi wypadkami.

Stęknienie Nicholasa kazało się domyślać, że Robin utorował sobie drogę kuksańcem. Odszedł, syjąc przekleństwami, które stopniowo zamierały w oddali. Anne leżała w ciszy, rada bólowi w nadgarstku, albowiem zagłuszał ból w jej duszy. Robin nigdy jej nie zechce. Dlaczego w ogóle pozwoliła takim marzeniom zagnieździć się w sercu?

Odtąd będzie trzymać się od niego z dala, modląc się, żeby postanowił wkrótce wrócić na kontynent. Być może kiedy wyjedzie, Anne raz na zawsze wy - zbędzie się wszystkich głupich wyobrażeń. Nawet prosty

człowiek nie wzięłyby sobie za żonę kaleki. Robin nie był prostym człowiekiem, lecz przyszłym panem na Artane. Miał niewiele cierpliwości i jeszcze mniej serca. Ani chybi Anne lepiej wyjdzie na małżeństwie z mężczyzną, którego wybierze dla niej ojciec. Przynajmniej będzie wiedziała, że pragnął jej dla jej wiana.

Z tych rozmyślań wyrwał ją odgłos rozdieranego materiału. Podniosła wzrok i zorientowała się, że Nicholas zdjął tunikę i drze ją właśnie na pasy. Anne odwróciła oczy od jego nagiej piersi. Wciąż patrzyła w bok, kiedy mocno zawijał jej nadgarstek. Potem pomógł jej wstać.

- Będę musiał cię karmić, żebyś dała nieco odpocząć temu skrzydłu - stwierdził z uśmiechem. - Wyświadczysz mi tę grzeczność? Minęło wiele miesięcy, odkąd po raz ostatni miałem zaszczyt usługiwać pannie tak powabnej i uroczej. Westchnęła.

- Nicholasie, proszę cię, przestań.

Nicholas otoczył ją ramieniem i poprowadził w dół ostatniej partii schodów wiodących do wielkiej sali. Usadził ją przy stole, obdarzając uśmiechem.

- Pobiegnę się odziać. Pilnuj mi miejsca. Inaczej zmuszony będę zabić śmiałka, który je zajmie - rzekł z żartobliwie srogą miną. - Ojciec zaś nie pochwaliłby rozlewu krwi przy swoim stole.

Anne w rozkojarzeniu skinęła głową, po czym zmarszczyła brwi, kiedy Nicholas przykucnął przy jej krześle.

- Źle się czujesz, Anne?

Pokręciła głową.

- Nie. Dlaczego?

- Zastanawiałem się, czy nie straciłaś równowagi z powodu tego, że zakręciło ci się w głowie. Bo straciłaś równowagę?

Potaknęła, zmuszając się do uśmiechu.

- Oczywiście, Nicholasie. Po prostu niezdara ze mnie. W przyszłości będę ostrożniejsza.

Skinął głową i wstał, wyraźnie usatysfakcjonowany jej wyjaśnieniem. Westchnęła z ulgą, kiedy sobie poszedł. Przynajmniej nie będzie zadawał więcej pytań, czym zmusiłby ją do kolejnych kłamstw. Nie, nie straciła równowagi. Została popchnięta.

Rozdział 9

Edith stała we wnieście izby na wieży i wyglądała przez okno. To ją uspokajało. Sedgwick leży daleko od wybrzeża, rzadko też wieje tam wiatr, który unosiłby nieprzyjemne zapachy zamkowego życia.

Tutaj mogła zachwycać się morzem.

Dzikim.

Gwałtownym.

Pięknym.

Właśnie to najbardziej kochała w Artane. Z tego także powodu nie chciała nigdy opuszczać tego miejsca.

I, oczywiście, nie miała takiego zamiaru.

Kłótnia za jej plecami stała się tak głośna, że Edith nie potrafiła dłużej skupić się na kontemplacji morskich fal. Spór trwał już od jakiegoś czasu, zdecydowanie dłużej, niż gdyby Edith brała w nim udział. Zapewne wynikało to z faktu, że zarówno Baldwin, jak i Maude nie byli najbieglejsi w walce na słowa. Ani chybi też obojgu fortuna poskąpiła rozumu. Edith odwróciła się od okna, słuchając, jak nedorzecznie wrzeszczą na siebie.

- Dosyć! - odezwała się głośno.

Spojrzeni na nią zaskoczeni.

- Słychać was w całej warowni - rzekła nieco ciszej Edith. - Uwzględnijcie ten szczegół, zanim ochrypniecie od tych wrzasków.

Baldwin i Maude mogli zatem tylko wściekle piorunować się wzrokiem. Edith spojrzała najpierw na dziewczynę. Wskutek pospiesznej ucieczki do izby na wieży odzienie Maude było w nieładzie, a w jej oczach czaiło się szaleństwo. Baldwin wyglądał równie nieporządnie, wynikało to wszakże z faktu, że dopiero co wrócił do Artane. Najwyraźniej nie powiodła się misja, z jaką wysłał go Rhys, bowiem pozostawał w terenie zaledwie parę dni. Edith przypuszczała, że jej brat wracał rad. Zaprzątała go myśl o pozbyciu się Robina, tak więc ciężka mu każda chwila spędzona poza warownią.

- Ja zaś mówię - odezwał się Baldwin - że powinnaś zostawić ją w spokoju. Nie dawaj mu powodu do unikania placu ćwiczebnego.

- On jej nie kocha! - wykrzyknęła Maude.

- Ciebie zaś tak? - zapytał Baldwin.

Przykre, lecz prawdziwe, pomyślała Edith. Przyglądała się, jak Maude czerwienieje z gniewu. Ani chybi moment wyciszenia dobiegł końca.

- Pozostaw Anne nam - zwróciła się Edith do brata. - Ona nie będzie przeszkodą.

- Dopilnuj tego - rzekł Baldwin. - I trzymaj tę tutaj - wskazał głową Maude - z dala ode mnie. Nie znoszę jej skrzeczenia.

- Będziesz na placu? - zapytała Edith. - Szlifując swe umiejętności?

- Czekając, aż bojaźliwie wystawi nos z wielkiej sali, żeby stawić mi czoło - odparł Baldwin. Ruszył ku drzwiom. - Oczywiście, natychmiast go pognębię.

- Lepsze to, niżli zabić go zbyt szybko - zgodziła się Edith.

Baldwin jeno chrząknął, po czym opuścił izbę. Kiedy wyszedł, Edith odwróciła się do Maude.

- Popychanie jej było głupie - oświadczyła bez ogródek.

Maude wzruszyła ramionami, odymając wargi.

- Była tam. Ja także. Wydało mi się to najlepszym rozwiązaniem.

- Mogłaś ją zabić.

- A jeśli nawet? - rzuciła wyzywająco Maude.

- Lepiej dla ciebie, że nie wiesz, co by cię spotkało, gdybyś to zrobiła - odparła wesoło Edith. - A teraz skupmy się na radośniejszych kwestiach. Powinnyśmy ją trochę podręczyć, owszem, lecz nie na śmierć. Zrozumiano?

Maude nie wyglądała na przekonaną. Edith westchnęła. Da dziewczce jeszcze jedną szansę, zanim przedsięwzięcie przeciw niej jakieś kroki. Nie może sobie pozwolić na kolejne nieposłuszeństwo. Zbyt starannie opracowała swoje plany, żeby dopuścić do odstępstw. Wręczyła Maude skórzany mieszek.

- Dosyp tego do wina i dopilnuj, żeby je wypić. Wszelako tylko odrobinę.

Maude zamrugnęła.

- Trucizna?

- Bardzo mocna. Użyj tylko odrobiny - powtórzyła Edith.

Maude sprawiała wrażenie szczęśliwszej niż kiedykolwiek. Ściskając w dłoni skarb, bez słowa opuściła izbę.

Edith odwróciła się, wracając na swoje miejsce przy oknie. Morskie fale przetaczały się bez wytchnienia, cierpliwie, z szumem tak cichym, że niemal na granicy słyszalności. Kochała morze. Dziwne, że odkryła je dopiero po przybyciu do Artane. A jakże, oczywistym jest, że teraz, gdy je odnalazła, nigdy nie będzie zmuszona go opuszczać. Zachowa tę przyjemność na resztę życia. Ten szczegół także brała pod uwagę w swoich skrupulatnie opracowywanych planach.

Rozdział 10

Robin zdecydowanym krokiem opuszczał wielką salę, a za nim posłusznie dreptał giermek. Zapewne kolczuga powinna hamować tempo jego marszu, Robin wszakże przywykł do jej ciężaru. Nie przywykł natomiast do silnego podenerwowania tudzież poczucia dotkliwie zranionej dumy - stanu ducha grożącego spadkiem umiejętności koncentracji.

Zmierzał na plac potyczek, bardziej niż kiedykolwiek pragnąc oderwać myśli od bieżących spraw. Aczkolwiek, po prawdzie, wątpił, by mógł stać się bardziej rozkojarzony, aniżeli był w tej chwili. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni dobrze spał, doskwierał mu też brak apetytu. Gotów byłby pomyśleć, że cierpi na jakąś przewlekłą chorobę, gdyby nie wiedział, co mu dolega.

Niestety, doskonale znał źródło frustracji, dlatego ucieczki przed nią zamierzał szukać na placu ćwiczebnym, gdzie całkowicie wyrzuci Anne ze swych myśli. Nie będzie duma! ani o niej, ani też o tym, że unikała go przez ostatnie dwa dni, wybierając kompanię jego bezrozumnego brata. Duma Robina mocno ucierpiała z powodu upodobań Anne w kwestii mężczyzn. Przecież Nicholas w żadnej mierze nie przewyższa go aparycją!

Umiejętności lecznicze Nicholasa również nie zasługiwały, by je opiewać w pieśniach. Robin prędzej powierzyłby swoje cenne zdrowie rękóm pomywaczki niżli niekompetentnego młodszego brata. Takóż usposobienie Nicholasa pozostawiało wiele do życzenia. Umiał jeno wdziękzyć się i stroszyć piórka. Jeśli Anne uważała go za bardziej pociągającego od prawdziwego mężczyzny, niechże folguje swoim głupim kaprysom, przy czym Robin żywił szczerą nadzieję, że dziewczyna dostanie niestrawności od nadmiaru słodczy.

Dotarłszy na plac potyczek, zatrzymał się i rozejrzał, usiłując zdecydować, na jakiego rodzaju rozrywkę ma w tej chwili największą ochotę. Jak zwykle, mógł skorzystać z słupa do ćwiczeń z kopią lub wybrać walkę z bliskiej odległości. Za łukiem nie przepadał, zatem ta akurat perspektywa go nie nęciła.

Wówczas to spostrzegł Baldwina z Sedgwick. Swoje przeznaczenie, jedynego człowieka, którego nienawidził z całej duszy. Zatem łotr powrócił ze swojej misji, na czymkolwiek ona polegała. Ani chybi prostak włączył się po okolicy, rabując nieostrożnych podróżnych i dopuszczając się innych tego rodzaju łajdactw, gdzie tylko się dało. Teraz jednakże zawitał do domu, Robin zaś znajdował się akurat w odpowiednim nastroju na taką rozrywkę. Uśmiechnął się. Poranek zapowiadał się nader przyjemnie.

W przeszłości Robin przeklinał ojca za to, że trzyma Baldwina w Artane, Rhys wszelako obstawał przy swoim. Wyznawał teorię, że znacznie wygodniej jest obserwować wroga z bliska, aniżeli pozwolić mu odejść i obmyślać, gdzie zadać cios. Patrick z Sedgwick był zasadniczo wujem Rhysa, lecz nikt w Artane nie utrzymywał stosunków z łajdakiem. Matka Rhysa uciekła z Sedgwick przed brutalnym traktowaniem i Rhys stosunkowo późno odkrył pokrewieństwo.

Nienawiść między Artane a Sedgwick sięgała głęboko, przy czym nikt nie pielęgnował jej tak mocno jak Robin. Dręczyło go podejrzenie, że pewnego dnia to przyczyni się do jego zguby, na razie wszakże był młody i silny, Baldwin zaś nijak nie mógł się z nim równać. Nastał czas, by odplacić łotrowi za kilka zniewag.

Robin podszedł do bliższego końca placu potyczek i przejął od giermka wodze swojego konia. Wskoczył na siodło, wyrwał nieszczęsnemu młodzieńcowi tarczę i chwycił kopię. Tymczasem Baldwin opierał się leniwie o mur na przeciwnym końcu placu. Robin uniósł się w strzemionach.

- Sedgwick! - huknął. - Jesteśli na tyle mężczyzną, żeby stanąć przeciw mnie, czy dalej lgnął będziesz do muru niczym niewiasta?

Baldwin zareagował natychmiast. Robin usadowił się w siodle z ponurym uśmiechem, zawczasu obmyślając strategię.

- Rob, twój hełm! - krzyknął stojący przy murze Nicholas.

Robin zlekceważył słowa brata, co było bez wątpienia głupotą, jednakowoż w tej chwili rozsądek go opuścił. Zresztą Baldwinowi nie starczyłoby odwagi, żeby pechnąć go kopią w oko - nie przy tylu świadkach. Robin poczekał, aż przeciwnik będzie gotów, po czym wbił ostrogi w boki konia bojowego. Kierował wierzchowcem jedynie kolanami, ustawiając we właściwej pozycji tarczę i kopię. Uderzył Baldwina centralnie w pierś, wyrzucając go z siodła. Zawrócił konia, po czym zsiadł. Za taką właśnie rozrywką tęsknił. Niecierpliwie czekał, aż Baldwin wstanie, potem zaś jeszcze chwilę, nim wreszcie zaatakuje.

- Sukinsyn - wypluł Baldwin, ruszając nań zajadle.

- Dla ciebie: lord sukinsyn, sir Baldwinie. Nieustannie zapominasz o manierach. Chyba winienem wpoić ci ich nieco tego ranka.

Największą wadą Baldwina, przy tym zaiste zgubną, była jego porywczosć. Jako niedoświadczony chłopiec Robin nie potrafił obrócić jej na swoją korzyść, długo jednak obserwował Baldwina, odnotowując jego słabości, żeby w przyszłości skorzystać z tej wiedzy. Teraz dorósł i ta przyszłość właśnie nadeszła.

- Tym razem cię zabiję - warknął Baldwin z ogniem w oczach.

- Doprawdy? - wycedził Robin. - I przed nastaniem nocy zadyndasz na sznurze, jak przypuszczam. Nie martwiłbym się wszelako tą wizją, Baldwinie. Moje siostry pogromiłyby cię w walce na miecze. Śmiem wierzyć, że ja także podołam temu wyzwaniu.

Za plecami Robin usłyszał serdeczny śmiech Nicholasa, wiedział tedy, że jego brat, a zapewne także i ojciec, obserwują tę scenę. Niegdyś obecność ojca wielce by go zdenerwowała. Pięć lat wojaczki wytrzebiło zeń ową niepewność. Ufał swoim umiejętnościom i nie wątpił, że potrafi pokonać każdego. Oprócz, być może, ojca. Mimo czterdziestu pięciu lat na karku Rhys z Artane nadal pozostawał mistrzem w każdej dziedzinie.

Jednakowoż Robin wdał się w ojca i dobrze opanował swoje rzemiosło. Bawił się z Baldwinem, udając, że się cofa, po to tylko, by zaraz odparować cios z taką siłą, że przeciwnik oniemiał ze zdumienia.

Kiedy zaś wreszcie Baldwin obniżył gardę, Robin odtrącił jego miecz, postąpił krok do przodu i grzmotnął mężczyznę pięścią pod brodę. Wróg runął na ziemię bez zmysłów.

Robin poczuł się wspaniale. Po raz pierwszy od miesiący jego twarz rozjaśnił szczerzy uśmiech. Wbił swój miecz w ziemię, dziarsko uderzył pięścią o pięść i prawie zaczął bić się w pierś, żeby obwieścić radość ze zwycięstwa.

- Zapasy! - zawołał młodzieńczy głos.

- A jużci, zapasy!

Obejrawszy się, Robin odkrył, że pędzą ku niemu dwaj najmłodszy bracia. Uśmiechnął się pobłaźliwie, dając zarazem znak giermkowi, żeby uwolnił go od kolczugi. Niech chłopcy zaznają tej przyjemności. Chociaż tyle mógł zrobić, odniósłszy już taki sukces.

Podjął ich wyzwanie, dwóch na jednego, i pozwolił im wygrać. Oczywiście zmagania trwały długo, żeby chłopcy w pełni odczuli słodki smak zwycięstwa.

- Mamy cię! - wrzasnęła Montgomery, siedząc na piersi Robina i triumfalnie wymachując pięścią nad głową.

- Łatwo poszło - zgodził się John, wtórując w bojowym okrzyku, od którego Robinowi zadzwoniło w uszach.

Robin leżał w błocie, przygnieciony ciężarem ich obu, i śmiał się z tych przechwałek. Zaspokoiwszy tak potężnie własną dumę, gotów był ulec w każdej innej bitwie. Wsunął ręce pod głowę i westchnął z zadowoleniem.

Niczego więcej nie oczekiwał od życia. Wreszcie ktoś ściągnął zeń braci i podał mu dłoń. Robin przyjął pomoc, stając na nogi.

- Znośnie, jak na szczenię twojej postury - stwierdził szorstko Rhys.

Robin roześmiał się i poklepał ojca po plecach.

- Ach, cóż za wylewna pochwała, ojczu. Chyba się zarumienię.

- Pójdźmy się posilić, po południu zaś zmierzysz się ze mną. Brakuje mi godnego przeciwnika i obawiam się, że moja biegłość we władaniu mieczem na tym ucierpiała. - Chwytał Robina za kark i potrząsał nim. - Rad widzę cię w domu. Być może wreszcie zaznam przyzwoitej rozrywki.

Nie mogło być większego komplementu. Robin zakasłał, maskując uśmiech zadowolenia. Nicholas jęknął.

- Ojczu, jego buta już teraz przekracza wszelką miarę. Błagam, nie dostarczaj jej zbędnej pożywki.

Rhys zasnurował usta.

- Wam obu buty zbywa, i nie wychodzi wam to na zdrowie, lecz nie będę narzekał. Ponarzekam natomiast na twoje krótkie pobyty na placu ćwiczebnym, Nick. Przypuszczam, że ty i ja jako jedyni możemy się mierzyć z Robinem, jeśli wszak nie zaczniesz cięższej trenować, wkrótce nie będziesz mógł stanąć przeciw niemu.

Nicholas lekceważąco machnął ręką, ruszając z powrotem do donżonu.

- Doglądałem Anne, ojczu. Zadanie to jawi mi się ważniejsze niżli doглядanie Robina.

Robin zeszczywniał. Natychmiast dopadłby brata, gdyby nie fakt, że ciężka dłoń ojca usadziła go na miejscu.

- On cię podjudza, Robinie - rzekł cicho Rhys.

- Jego poczynania wobec Anne nic mnie nie obchodzą - oświadczył Robin, siląc się na obojętny ton. - Pozwól mu ją poślubić, jeśli taka jego wola. - Obejrzał się na giermka. - Zajmij się moim rynsztunkiem, Jasonie. Będę w środku.

- Wedle twojej woli, panie.

Robin odwrócił się i u boku ojca przeciął plac potyczek. Rhys milczał, dopóki nie dotarli do podnóża schodów wiodących do wielkiej sali. Tutaj przystanął. Robin uzbroidł się wewnętrznie, świadom, że lada moment przyjdzie mu wysłuchać nader ważnego przesłania. Jego ojciec przybrał ów charakterystyczny wyraz twarzy. Nieczęsto obnosił się z taką miną, wszelako Robin nauczył się mieć w takich chwilach na baczności. Pozostawało mu żywić nadzieję, że zdoła spokojnie przyjąć słowa, jakie zaraz padną.

- Anne jest wyjątkową kobietą, Robinie - przemówił wolno Rhys. - Zdobycie jej zaufania wymagać będzie zdecydowanych działań i lojalnego serca.

Robin odnosił wrażenie, że powinien coś rzec, jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Ojciec trafił w sedno. Jeśli Anne czegoś brakowało, to właśnie lojalnego serca.

- Nicholas nadskakuje jej do przesady, lecz ona nie dba o takie umizgi.

- Mówiłem mu to - wymamrotał Robin.

- Nie tą drogą się ją zdobędzie - ciągnął Rhys.

Robin czekał, lecz najwyraźniej ojciec nie zamierzał wygłaszać kolejnych mądrości bez ponaglenia z jego strony. Robin nie był pewien, czy chce usłyszeć resztę. Odwrócił głowę i z marsową miną omiół wzrokiem dziedziniec. Wypełniały go duchy, cienie jego i Anne z czasów, kiedy dorastali razem, dokuczając sobie nawzajem i wspólnie dokazując. Robin nadal pamiętał, jak otaczała go niemalże czcią, jemu zaś świadomość tego faktu dodawała skrzydeł, a zarazem uczyła pokory. Ach, te żarliwe przysięgi, jakie składał jako nieopierzony podrostek - że stanie się mężczyzną, z którego ona będzie dumna, mężczyzną godnym jej dobroci!

Potem Anne została stratowana, on zaś doznał upokorzenia. Ona się wycofała, zaś duszę Robina wypełniły gniew i gorycz. Czy postąpił jak głupiec? Czy rzeczywiście dało się przekreślić przeszłość i zdobyć Anne?

Wziął głęboki oddech, wolno wypuszczając powietrze. Wyprostował się. Lepiej wyrzuci z siebie to pytanie i uzyska na nie odpowiedź, zanim opuszczą go resztki odwagi.

- Jakim tedy sposobem mężczyzna ją zdobędzie? - zapytał ostrożnie. Rhys poklepał go po plecach.

- A cóż ci po tej informacji?

Robin z otwartymi ustami odprowadził wzrokiem ojca wchodzącego do donżonu, sam pozostając na schodach. Nie poczułby się bardziej zaskoczony, gdyby Rhys wymierzył mu prztyczka w nos. Zarazem w słowach ojca tkwiło ziarno prawdy. Cóż Robina obchodzi, jak ją zdobyć? Problem polegał na tym, że jednak go obchodzi.

Kiedy znów otworzyły się drzwi wielkiej sali, Robin spodziewał się, że to ojciec wraca dokończyć rozmowę. Niestety, na schody wstąpił nie kto inny, jak Geoffrey z Fenwyck. Robin z trudem przywołał na twarz nikły uśmiech.

- Panie.

Geoffrey spojrzał z nieskrywaną niechęcią.

- Och. To ty.

Robin pokłonił się mężczyźnie. Ukłon z pewnością nie zaszkodzi. Kiedy się wszakże wyprostował, przekonał się, że Geoffrey spogląda na niego jak na parującą kupę gnoju, w którą dopiero co omal nie wdepnął. Potem Fenwyck chrząknął i minął Robina bez słowa. Najwyraźniej droga do zdobycia dziewczyny nie wiedzie przez jej ojca.

Robin pacnął się dłonią w czoło na tyle mocno, że aż się wzdrygnął, aczkolwiek zapewne nie dość silnie, żeby wyzbyć się niemądrych myśli. Zaczynał się zastanawiać, co okazałoby się dlań gorsze: zdobycie Anne czy porażka w tym względzie. Jeśli sukces na trwałe wtrąciłby go w taki stan ducha, przypuszczalnie lepiej mu będzie bez niej.

Wkroczywszy do sali, Robin dostrzegł Nicholasa i Anne, siedzących przy kominku. Nicholas pochylał się nad nią niczym nad półmiskiem słodkości, które zamierzał pochłonąć w pośpiechu, z nikim się nie dzieląc.

Robina ogarnęła przelotna pokusa, żeby usunąć brata siłą, lecz zarzucił ten concept. Zarazem Nicholas nie powinien zanadto przyzwyczajając się do bliskości Anne.

- Nick, pozwól na słówko! - zawołał Robin tak obojętnie, jakby chodziło o kwestię nie większej wagi niż ta, jakie potrawy pojawiają się wkrótce na stole.

- Jestem zajęty - odparł Nicholas, nie odrywając oczu od Anne.

Robin uznał, że bratobójstwo to mimo wszystko wcale niegłupi pomysł. Zgrzytnął zębami i ruszył przez salę, starając się trzymać dłonie luźno po bokach, miast sugestywnie formować je w pięści. Zatrzymał się tuż obok brata.

- Twój koń zgubił podkowę - oznajmił. - Powinieneś się tym zająć.

Nicholas tylko spojrzał na niego, unosząc brew.

- Jak mniemam, ojciec ma od takich spraw kowala. Może sam zaprowadzisz do niego moje zwierzę? Jak widzisz, jestem w tej chwili bardzo zajęty.

- Winienes osobiście tego doglądać. Nie chciałabyś chyba, żeby koń ci okulał przez twoje zaniedbanie?

- Mój koń z pewnością wytrzyma jeszcze jakiś czas.

Robin spojrzał na Nicholasa, licząc na to, że brat wyczyta w jego oczach zapowiedź własnej śmierci. Ten tylko uśmiechnął się pogodnie. Świadomość, że brat doskonale się bawi, dodatkowo podsyciła gniew Robina.

- Powinieneś iść - warknął. - Teraz.

- Nie mogę - odparł radośnie Nicholas. - Trzymają mnie tu ważne sprawy.

W Robinie się zakotłowało. No cóż, w tej sytuacji pozostawało mu tylko chwycić dumnia za ucho i wywlec z sali, jeśli chciał oczyścić dla siebie pole. Wówczas dostrzegł obok Anne wolny stołek.

Usadowił się na nim ze skwapliwością świni pałaszującej świeże pomyje. Spojrzał zadziornie na Nicholasa, zachęcając go, by rzucił wyzwanie - dowolne wyzwanie, które dostarczyłoby Robinowi pretekstu, żeby stłuc brata do nieprzytomności.

- Masz we włosach błoto - zauważył Nicholas. - A także coś jeszcze, co pachnie dość podłe. Nie poszedłbyś się umyć?

Robin już wstawał, zaciskając pięści, kiedy w pełni dotarło doń znaczenie słów brata. Czy rzeczywiście śmierdział?

Jakkolwiek mało szarmancki i pozbawiony ogłady, nawet on wiedział, że mężczyzna nie wywrze korzystnego wrażenia na pannie, jeśli cuchnie gnojem. Zamarł zatem w niewygodnej pozycji, przykucnięty nad stołkiem, węsząc ukradkiem, żeby przekonać się, czy Nicholas ma rację.

Wyczuł woń łajna, lecz ono mogło znajdować się na jego butach. Robin żywił głębokie przeświadczenie, że na butach łajno jest do przyjęcia.

Wtedy właśnie, akurat gdy usiłował postanowić, czy powinien się wyprostować, czy też z gracją opaść z powrotem na stołek, ktoś musnął jego ramię.

- To tylko odrobina błota, Nicky.

Głos należał do anioła, zaś sens tej wypowiedzi spłynął na Robina niczym kojąca fala. Nie śmiał na nią spojrzeć z obawy, że ujrzy czającą się w jej oczach kpinę, nie zdołał się wszakże powstrzymać. Patrzyła w inną stronę, tak że nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy, ręka jednakowoż nadal spoczywała na jego ramieniu. Zanim rozwikłał tajemnicę jej dotyku i odkrył jego znaczenie, zabrała dłoń, splatając ją z drugą na podolku. Więcej nie było mu trzeba. Usiadł. Spiorunował brata wzrokiem.

- To tylko odrobina błota, idioto - rzekł z groźnym pomrukiem.

- Nie pachnie jak błoto - oświadczył Nicholas, węsząc energicznie. - To zdecydowanie łajno. Anne, bacz, żebyś nie omdlała od tego smrodu.

Znienacka Robin napotkał jasnozielone oczy i wpatrzył się w nie, mrugając głupkowato. Potem ona leciuteńko się uśmiechnęła, czym niemalże zwała go ze stolka.

- Montgomery i John przechwalali się swoim zwycięstwem - przemówiła. - Miło z twojej strony, żeś pozwolił im wygrać, zwłaszcza że tym sposobem to tobie przypadło tarzać się w błocie.

- W gnoju - poprawił ją Nicholas. - W gnoju. Lub w czymś jeszcze gorszym. Jak sądzisz, Anne? Wyczuwasz coś bardziej obrzydliwego niż gnój? W każdym razie Robin sobie tego nie żałował.

Anne odwróciła głowę, zainteresowana niewielkim poruszeniem przy drzwiach, a wtedy Robin zgromił Nicholasa wzrokiem.

- Zginiesz - wyrzekł bezgłośnie.

W odpowiedzi otrzymał wielce wymowne spojrzenie, którego treści nie mógł odczytać mylnie. Jego brat zamierzał zalecać się do Anne. I chciał, żeby Robin zszedł mu z drogi.

Zanim Robin zdążył powstać, żeby udusić brata, Nicholas uklonił się Anne i przeciął salę, by powitać nadchodzącego właśnie Fenwycka.

- Doskonale - wymamrotał Robin.

Odwrócił się do Anne, chcąc jej zaproponować wspólną ucieczkę, nim oboje dostaną mdłości, przyglądając się, jak Nicholas przypochlebia się jej ojcu, ona wszakże właśnie się podnosiła.

- Lepiej dogładną wieczery - rzekła.

Po czym odeszła.

Robina kusiło, żeby zaofiarować jej swoją asystę, wszelako tym sposobem nie usłyszałby rozmowy Nicholasa z Geoffreyem, a nie zamierzał uronić z niej ani słowa, jeśli tylko zdoła to wytrzymać. Wszak nie zaszkodzi dokładnie poznać zamiary brata.

Dzięki temu będzie wiedział, co powiedzieć, żeby oczarować tego głupca Geoffrey'a.

Albowiem nawet z pomocą sił niebiańskich czy piekielnych Nicholas de Piaget nie będzie zalecał się do Anne ani też jej nie zdobędzie. Robin nie pojmował, dlaczego rozpoczął ten dzień z tak przyćmionym umysłem. Anne należy do niego. Od zawsze. Jeśli zaś Nicholas sądził inaczej, czas najwyższy, żeby Robin wyprowadził go z błędu.

Następnie zastanowi się nad sposobem zdobycia Anne.

Wtedy poczuł własny zapach. Być może Nicholas jednak miał rację. Cóż, nie należało dostarczać Fenwyckowi bądź jego córce powodu, żeby myśleli o Robinie źle.

Wybiegł z sali, zamierzając szybko się umyć, potem zaś wrócić i podsłuchiwać.

Rozdział 11

Anne stała w pobliżu paleniska i obserwowała rozgrywające się na jej oczach wydarzenia. Trwały przygotowania do wieczerzy - normalna rzecz. Anne zjrzała do kuchni, upewniając się, że wszystko postępuje tak, jak życzyłaby sobie tego Gwen, po czym wróciła do sali, by przyglądać się, jak nakrywano do stołów. Jako że zgłodniała, widok tej krzątającej miała dla niej swój powab, nie na tym wszakże koncentrowała uwagę.

Jej ojciec gawędził z Nicholasem. Anne poniekąd cieszyła ta okoliczność, albowiem oszczędziła jej znaczących spojrzeń rodzica. W istocie, odkąd przed godziną Geoffrey rozpoczął rozmowę z Nicholasem, jakby zapomniał, że winien jej takowe posyłać.

Do sali wszedł Robin. Z włosów kapąca mu woda, miał także mokrą tunikę. Najwyraźniej słowa brata mimo wszystko zmotywowały go do działania. Podszedł do Nicholasa i jej ojca. Brat odepchnął go łokciem i stanął doń plecami, ewidentnie blokując mu dostęp do Geoffreya. Robin po prostu przesunął się, zajmując miejsce u drugiego boku Nicholasa.

Tym razem to jej ojciec go odepchnął. Anne ze zdumieniem obserwowała ten taniec. Święci pańscy, o co im chodzi?

- Wszystko wskazuje na to, siostrzo, że zostaniesz tu dłużej, aniżeli podejrzewasz - odezwała się Amanda, pojawiając się przy niej niespodzianie.

Anne spojrzała na przybraną siostrę.

- Co masz na myśli?

- Usiłują wkraść się w łaski twego ojca - wyjaśniła ze złością Amanda. - Widziałam takie sceny wiele razy. Robinowi chyba nieszczególnie się wiedzie.

- Mój ojciec go nie lubi.

Amanda prychnęła.

- Z bólem ci to mówię, Anne, lecz w pełni go rozumiem. Robin jest niemożliwy. Nie do zniesienia. Nie pojmuję, co ty w nim widzisz.

Westchnienie wymknęło się Anne, nim zdołała je powstrzymać. Skoro zaś już się tak stało, wypadało uzupełnić je słowami.

- Jest piękny - powiedziała.

Amanda stęknęła wielce nie po kobiecemu.

- W tym względzie przynaję ci słusność, wszelako jego maniery niweczą cały efekt.

- Potrafi być bardzo słodki - sprzeciwiła się Anne. Amanda spojrzała na nią z otwartymi ustami.

- Słodki? - powtórzyła.

- Czasami - doprecyzowała Anne.

- Wątpię, czy twój ojciec podzieliłby tę opinię.

Spojrzawszy na trwający nadal taniec, Anne przekonała się, że Nicholas i Geoffrey czynią wszystko, żeby wykluczyć Robina z rozmowy.

- Niewykluczone, że Nicky stara się o twoją rękę - stwierdziła cicho Amanda.

Anne pokręciła głową.

- Kieruje nim chęć dokuczenia Robinowi, aczkolwiek nie pojmuję, dlaczego sądzi, że tym sposobem osiągnie cel.

- Mężczyźni - skomentowała ponuro Amanda. - Dlaczego nie ograniczą swoich rozgrywek do pola bitwy?

- Pragną dreszczu zwycięstwa - odparła Anne. - Czegóż by innego?

- Uch - mruknęła Amanda. - Nadchodzą. Spoliczkuję obu, jeśli tu zostaną.

Odeszła, unosząc z sobą ostatnią nadzieję Anne na udany posilek. Podniósłszy wzrok, Anne dostrzegła Robina i Nicholasa, zmierzających ku niej ramię w ramię. Ich twarze wykrzywiały wściekły grymas.

Nie pojmowała, dlaczego Nicholas z Artane niemalże nie odstępował jej ani na krok. Nie wierzyła, by był nią zainteresowany. Poza tym jej ojciec nigdy by mu Anne nie oddał, jako że Nicholas pozostawał drugim synem, a takiego rozwiązania Fenwyck nie brał pod uwagę.

Zresztą Nicholas winien uznać się za szczęśliwca, jeśli przetrwa dzisiejszy wieczór - biorąc pod uwagę spojrzenia, jakie posyłał mu Robin. Być może Nicholas zawczasu podda bitwę. Nie dlatego, że stoczenie jej przyniosłoby mu jakąkolwiek korzyść. Serce Anne należało do Robina, nieważne, czy sam zainteresowany o tym wiedział i czy tego chciał. Przyglądała mu się, gdy ku niej się zbliżał, dumając, dlaczego tak doskonale go rozumie, obserwując go z oddali, natomiast cały jej rozsądek gdzieś się ulatnia, ilekroć dzieli ich mniej niż dziesięć kroków. Gdy przygwałdził ją spojrzeniem połyskujących gniewnie oczu, natychmiast brała w niej górę złość. Albo też wycofywała się i płakała. W przeszłości czyniła tak wielokrotnie. Udawana pogoda ducha wystarczała Anne akurat na tyle, by pozwolić bezpiecznie dotrzeć do izby sypialnej.

Drgnęła nieznacznie, uzmysłowiwszy sobie, że Nicholas stoi naprzeciwko, spoglądając na nią z uśmiechem.

- Do twarzy ci w zielonym - oświadczył, unosząc jej dłoń do ust. - Wszelako to samo mógłbym rzec o każdym kolorze, jaki nosisz. Anne, jesteś ośniewająca!

- Nick, przestań się nad nią roztkliwiać. - Robin odepchnął brata i ujął jej rękę. - Chodź, Anne, usiądź. Chce obejrzeć twój nadgarstek.

Wyrwała mu dłoń tak gwałtownie, że zachwiała się i oparła o Nicholas'a. Równie szybko odstąpiła od tego drugiego.

- Mój nadgarstek ma się świetnie. Święci pańscy, przestań mnie nękać. Obaj przestańcie.

Nicholas usunął Robina z drogi i zaofiarował jej ramię.

- Czy pozwolisz, pani, bym odprowadził cię do stołu?

- Nie, ja...

Anne odwróciła się i odeszła, zanim trzasnęła ich głowami o siebie. Być może ich bawiła ta gra, dla niej wszakże stawała się coraz bardziej nieznośna.

Zajęła miejsce przy stole i natychmiast została oskrzydłona przez najstarszych synów Artane'a. Każdy z nich przysunął swoje krzesło najbliżej, jak tylko się dało. Anne chwilowo skapitulowała, jako że i tak nie miała szansy uciec, chyba że zakasałaby spódnicę i wspięła się na stół. Siadła wygodnie, żywiąc głęboką nadzieję, że Robin i jego brat nie potraktują jej zaraz jak pola bitwy.

Służka pochyliła się, nalewając wina do czaszy, którą Anne dzieliła z Nicholasem. Przy tej okazji mocno trąciła ją łokciem w plecy, tak że Anne odwróciła się i obrzuciła dziewczynę nieco rozdrażnionym spojrzeniem.

Rozdrażnienie zmieniło się wszak w zaskoczenie, kiedy odkryła, że dziewczka wpatruje się w nią z nienawiścią.

Anne zamrugnęła zdziwiona. Tymczasem twarz dziewczyny przybrała znamionujący długotrwałe cierpienie, ponury wyraz, doskonale znany Anne z domu jej ojca. Tutaj jednak był to obrazek niezwykle. W Artane służbę traktowano dobrze; Fenwyck nie mogło się poszczycić podobną sprawiedliwością.

Dziewczka wycofała się, Anne zaś na powrót skupiła uwagę na stole, wzruszeniem ramion strząsając z siebie zdumienie. Ponosiła ją wyobraźnia. Służka zapewne sądziła, że to Anne weszła jej w drogę. Wtedy uszu Anne dobiegł dźwięk, od którego dostała na karku gęsiej skórki. Niemożliwy do pomylenia brzęk bransoletki.

Zaskoczona, obejrzała się za siebie, lecz dziewczka służebna już znikła. Anne omiotła spojrzeniem biesiadników, zastanawiając się, czy nie popada w szaleństwo. Wokół szczękały cynowe kufle, kiedy nimi o siebie stukano, grzechotały łyżki, brzękały uderzające o nie noże. Potem w głębi stołu Anne spostrzegła Isabelle, unoszącą w górę ramię. W blasku ognia połyskiwała bransoletka. Anne odetchnęła z ulgą, którą potęgowała świadomość, że nie okazała się na tyle głupią, by komukolwiek wspomnieć o swoich obawach. Święci pańscy wiedzą, jakie wywołałaby tym plotki - tym razem na temat stanu jej umysłu.

Nicholas upił łyk wina, potem zaś odwrócił czaszę, przytrzymując ją dla Anne. Spojrzała na złote naczynie, wiedząc, że powinna przyłożyć wargi w miejscu, którego wcześniej dotykały jego usta. Był to zwyczaj kochanków. Anne podniosła oczy, zaglądając w łagodne oblicze Nicholas'a.

- Pij, kochana.

Właśnie miała to zrobić, kiedy gwałtownie powstrzymało ją muskularne ramię. Robin zabrał czaszę i przelał jej zawartość do dzbana stojącego za nim giermka.

- To wszystko dla ciebie, chłopcze - mruknął.

- Dziękuję, panie!

Anne zamierzała zaprotestować, kiedy spostrzegła wściekle spojrzenie Robina ponad głową skierowane na brata. Zamknęła usta i odchyliła się na oparcie krzesła.

- Jeśli wy dwaj chcecie się bić, wyjdźcie, proszę, na dwór - rzekła z westchnieniem.

- Robin jest dziś odrobinę drażliwy, kochana - oznajmił radośnie Nicholas. - Obawiam się, że nie spał zbyt dobrze.

- Ona nie jest twoją „kochaną” - warknął Robin.

- Spójrz, Anne, na te wyśmienite mięsiwa - powiedział Nicholas, delikatnie zamykając palce na jej zwichniętym nadgarstku. - Na co masz ochotę? Ptactwo prezentuje się dziś wyjątkowo zachęcająco. Albo może zjesz węgorza? Nie, chyba zacniemy od dzika. Nawet stąd czuję woń wybornego sosu.

Przyglądała się, jak palce Nicholas'a zostają usunięte z jej przegubu, a ich miejsce zajmują palce Robina. Ten drugi delikatnie pociągnął ku sobie prawe ramię Anne, aż wreszcie musiała obrócić się na krześle twarzą ku niemu.

- Usiłuję jeść - stwierdziła wymownie. - I to z twoim bratem, jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Nick może cię karmić, podczas gdy ja będę oglądał twoją rękę - odparł szorstko Robin. - Nie ufam jego metodom leczniczym.

Anne zmusiła się, żeby nie drzeć pod jego dotykiem. Nic nieznaczący czy nie, okazał się subtelny. Wpatrywała się w długie, opalone palce Robina, kiedy odwijał opatrunek z jej nadgarstka, potem zaś poczuła zgrubienia jego skóry, gdy delikatnie badał pokryty sińcami przegub. Podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Boli cię jeszcze?

Nie umiała zebrać myśli, żeby mu odpowiedzieć. Minęły lata, odkąd ostatnio znajdowała się tak blisko Robina. Czy też, dokładniej, znajdowała się tak blisko Robina, nie wrzeszcząc nań ani nie uśmiechając się sztucznie na chwilę przed tym, nim umknęła, żeby w odosobnieniu lkać z powodu jego opryskliwości.

On zaś nie był już tamtym skorym do wybuchów dziewiętnastoletnim młodzieńcem. Chłopiec stał się mężczyzną, zaś obecna bliskość, dotyk jego dłoni na jej skórze, wzbudzały w Anne pragnienie, żeby rzucić się do ucieczki. Albo zemdleć. Nie potrafiła się zdecydować. - Anne? Zamrugła.

- Nadal trochę boli, kiedy poruszam dłoń.

- Czy tedy nie przyszło ci na myśl, żeby trzymać ją nieruchomo?

Szykowała się do wygłoszenia ostrej riposty, kiedy spostrzegła ulotny błysk w jego oku. Zamrugła, przekonana, że wzrok płała jej figle. Wszak nie mógł się z nią przekomarzać. Robin całe lata temu zapomniał, jak się żartuje.

- Sukno nie jest chyba wystarczająco sztywne - wykrztusiła.

- Zaczniemy od tego, że od razu powinnaś była pozwolić się tym zająć mnie - rzekł, znów ze swoją zwykłą energią, odchylając się na oparcie. - Wezmę nadgarstek w łubki. Po wieczery. Przypuszczam, że będę musiał sam sobie usługiwać, skoro ty nie jesteś w stanie mnie w tym wyręczyć.

Anne zasznurowała usta. Najwyraźniej brak manier pozbawił go towarzystwa przy posiłku, jako że Robin nie miał z kim dzielić swojej pajdy chleba. Nicholas otoczył Anne ramieniem.

- Nie zwracaj nań uwagi, Anne. Zapomina, że znajduje się w cywilizowanej sali, nie zaś w namiocie ze swoimi ludźmi. Proszę, wybrałem dla ciebie najlepsze kawałki mięsiwa. Mam cię nakarmić, czy sama podołasz?

- Święci pańscy, Nick, ona nie jest bezradna. Przestań tak nad nią skakać.

- Będę nad nią skakał, ile tylko zechcę, Rob. Nie jesteś jej panem. Jeśli nie będzie sobie życzyła, bym jej usługiwał, sama mi to powie.

- Ona nie lubi, kiedy robi się wokół niej zamieszanie, ty głupcze.

Anne siedziała, słuchając, jak rozmawiają o niej, jakby jej tu nie było. Robin pałał gniewem, w Nicholasie zaś szybko narastało rozdrażnienie. Stłumiła w sobie chęć wczolgnięcia się pod stół.

- Ja zaś twierdzę, że wokół kobiety zawsze należy robić zamieszanie. Tak po prostu uchodzi.

- Traktujesz ją jak kalekę! Jej noga jest słaba, nie bezużyteczna, ręce zaś ani chybi zdołają donieść jedzenie do ust. Nie lituj się nad nią.

- Usiłuję się do niej zalecać - warknął Nicholas.

- Ona nie jest dla ciebie - odparował równie złowrogo Robin.

- A ktoś ty taki, żeby decydować, komu się ona należy?

Robin wstał tak nagle, że jego krzesło zachwiało się niebezpiecznie.

- Na zewnątrz.

- Z chęcią.

Anne westchnęła, kiedy oni dwaj gniewnie kroczyli przez maty. Kolejny spokojny wieczór w domostwie de Piagetów.

Najwyraźniej wszakże walczyli z jej powodu, a tej kwestii warto było się bliżej przyjrzeć. Anne zastanawiała się, czy ktokolwiek spostrzeże, jeśli oddali się od stołu, żeby delektować się owym cudem. Rozejrzała się ostrożnie.

Ojciec zdawał się zatopiony w rozmowie z Gwen, co zwiększało szanse Anne na dyskretne opuszczenie sali. Pozostali biesiadnicy z zapalem raczyli się wieczera, przez co w pomieszczeniu panował niebywały hałas. Anne ześlizgnęła się z krzesła. Wspięła się po schodach. Być może odrobina świeżego powietrza rozjaśni jej umysł.

Aczkolwiek nie była pewna, co takiego powinna dostrzec. Nicholas jej się przypochebiał, lecz bezsprzecznie nic się za rym nie kryło. Święci pańscy jeno wiedzą, o co chodzi Robinowi. Niewykluczone, że pożądał jej bogactwa. Albo po prostu starał się pokrzyżować plany bratu. Całkiem możliwe, że w trakcie swojej pięcioletniej tułaczki postradał zmysły.

Pacnęła się dłonią w czoło i skupiła na tym, żeby dotrzeć do blanków, nie zabijając się po drodze. Wspomnienie tego, jak została zepchnięta, niemal skłoniło ją do powrotu do światła i bezpieczeństwa wielkiej sali.

Wtedy wszakże musiałaby stawić czoło najstarszym synom Rhysa, kiedy wrócą tam po bijatyce, wątpiła zaś, czy podołałaby temu zadaniu. Zresztą na szczycie donżonu krążyły liczne straże.

Ani chybi będzie bezpieczniejsza tam, na górze, niżli ściśnięta między dwoma braćmi Artane skłonnymi pozabijając się nawzajem.

Rozdział 12

Kiedy tylko znaleźli się na dworze, Robin określił się na pięcie i pchnął brata na drzwi wielkiej sali.

- Zostaw ją w spokoju - warknął. - Nie jest twoja i nigdy nie będzie.

- Pozwól, że Fenwyck o tym postanowi - odparował Nicholas.

- Niech cię diabli! - wrzasnął Robin. - Ona nie jest kłaczą na targu! Nie będziesz jej oglądał, a potem decydował, czy schadzki z nią dostarczą ci rozrywki na zimę. Ona nie chce męża, choćby zaś zechciała, nie ty zostaniesz jej wybrankiem!

Nicholas oparł się plecami o drzwi, splatając ręce na piersi. Na jego twarz wypłynął leniwy uśmiech.

- Doprawdy? - wycedził.

Robin chwycił brata za przód tuniki i powlekł na dół, uznając, że wygodniej będzie go obić do nieprzytomności na gołej ziemi niż u szczytu schodów.

- Ona nie jest na sprzedaż - warknął Robin, puszczając Nicholasa.

- Najlepiej tedy przekaż te wieści drużynie, albowiem znam paru takich, którzy sądzą inaczej.

- Kogo? - dopominał się Robin.

- Ostrożnie, bracie - odparł z uśmiechem Nicholas. - Gdybym nie znał cię tak dobrze, pomyślałbym, żeś zazdrosny.

Robin znów złapał brata za tunikę i nim potrząsnął.

- Imiona!

Odpowiedział mu kolejny szeroki uśmiech.

- Nie ośmieliłbym się skazywać tych młodzieńców na cięgi od ciebie, panie. Sam musisz ustalić ich tożsamość.

- Tożsamość jednego już znam - rzekł znacząco Robin. - I ów mąż wykaże się roztropnością, jeśli wybierze sobie inny obiekt zainteresowania.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał przekornie Nicholas. - Tyś nie zgłosił pretensji do jej ręki.

Jako że Robin nie potrafił temu zaprzeczyć, zadowolił się, pakując pięść w brzuch brata. Potem zagniewany wspiał się z powrotem po schodach. Dla bezpieczeństwa Anne powinien ją odtąd uważnie obserwować. Pierwszy młodzieniec, który spojrzy na nią poządliwie, skona powolną i bolesną śmiercią. Robin uznał to za doskonały powód, żeby nie spuszczać jej z oczu. Wkroczywszy do sali, natychmiast odnotował, że Anne nie ma przy stole. Przygwoździł Amandę groźnym spojrzeniem.

- Gdzie ona jest?

Jego siostra uśmiechnęła się pogodnie.

- Poszła sobie.

- Dokąd?

- Przypuszczam, że postanowiła schronić się na blankach przed twoimi nieprzyjemnymi wybuchami.

Często tam chodzi...

Robin przeskoczył przez stół i potruczał ku schodom. Najchętniej puściłby się pędem, lecz nie chciał stwarzać wrażenia, że się niepokoi. Święci pańscy, mogła spać i się zabić, a nikt by się nawet nie zorientował, dopóki nie znaleziono by jej ciała rozplaszczonego na ziemi! Co też opętało jego ojca, że pozwalał jej waleśać się samej tam, na górze?

Biegiem pokonał kilka partii schodów dzielących go od blanków, po czym wypadł na ścieżkę dla patroli. Od razu spostrzegł Anne i podszedł do niej bez wahania. Odwrócił ją od parapetu i zaczął ciągnąć do wejścia.

- Co robisz? - wysapała.

- Zabieram cię na dół.

- Ale...

- Wyłącznie okoliczność, że cię prowadzę, powstrzymuje mnie przed skręceniem ci karku tutaj, na ścieżce. Nie kłóć się ze mną!

Nie zrobiła tego. Nie mógłby powiedzieć, że szła z entuzjazmem, lecz zarazem również się nie opierała. Robin nie był pewien, czy powinien odczuwać z tego powodu zadowolenie czy przerażenie. Zaprowadził Anne do kobiecej izby, stopą zamykając drzwi.

- Rozpalał ogień, dobrze? - poprosiła szybko.

Napotkał jej wzrok i ogarnęła go słabość. Święci pańscy, ależ wypiękniała. I nie chodziło jeno o gładkość jej oblicza. Promieniało z niej teraz to spokojne wewnętrzne piękno, które zawsze w sobie nosiła. Nic dziwnego, że pół drużyny pragnęło starać się o jej rękę. Chwała niebiosom, że Fenwyck nie odda córki nikomu mniej znaczącemu aniżeli pierwszy syn możnego pana. Przynajmniej Robin nie musiał się obawiać, że sprzątnie mu ją sprzed nosa byle rycerz.

- Robinie?

- Ogień - rzekł. - A jakże, pamiętam. Nie zaczynaj od razu zrzędzić, Anne.

Odwróciła twarz. Robin zaprowadził ją do fotela przy kominku, przeklinając pod nosem. Nie zamierzał ranić jej uczuć. W istocie sam nie wiedział, czego chce. Przez tydzień wściekał się, że nie potrafi oderwać Anne

od Nicholasa, teraz zaś, gdy wreszcie miał ją dla siebie, marzył o ucieczce. Tyle wystarczyło, by zapragnął wyrzucić w górę ręce w geście poddania.

Rozniecił ogień, po czym przysiadł na piętach i spojrzał na swą panią. Kiedy tylko ich oczy się spotkały, umknęła wzrokiem. Zatem nie żywiła wobec niego ciepłych uczuć. Nie mógł jej za to winić. Sam za sobą ostatnimi czasy także nie przepadał.

Usiadł w fotelu, sięgając po drewno na rozpalkę. Należało unieruchomić jej nadgarstek. Nicholas powinien był mieć więcej rozumu i nie zostawiać takiego urazu samemu sobie. Robin kłął cicho, strugając łubki. Trzeba było usztywnić i owinać jej przegub natychmiast po zdarzeniu. Teraz bez wątplenia przyjdzie jej zdrowieć dwa razy dłużej. Zaszeleścił materiał i Robin podniósł wzrok, żeby przekonać się, że Anne wstaje.

- Dokąd się wybierasz? Siadaj z powrotem.

- Nie zamierzam tu pozostawać, słuchając, jak mnie przeklinasz - odparła oficjalnie.

- Przeklinałem Nicholasa, nie ciebie. Powinien był założyć ci łubki. Siadaj. Po raz drugi nie będę za tobą gonił.

Zawahała się, po czym wolno opadła z powrotem na fotel.

Poczuł się tym nieco dotknięty - zapewne dlatego, że zdawał sobie sprawę, że ją rani. Czyż nie wiedziała, że goniłby za nią za każdym razem, kiedy by sobie tego zażyczyła? Czy nie pojmowała, że to z jej powodu przez pięć lat unikał domu? Czy nie rozumiała, że między innymi dla niej trenował co dzień do upadłego? Nigdy, przenigdy nie dopuści, żeby dopatrzyła się u niego jakichś braków.

Jej niepewność łamała mu serce. Słodka, urocza Anne zasługiwała na dni pełne uśmiechów, zaloty szarmanckiego rycerza oraz doskonale ciało, któremu obcy byłby jakikolwiek ból.

Co otrzymała zamiast tego? Chromą nogę i gburowatego rycerza, niezdolnego sklecić najkrótszego choćby przyzwoitego komplementu.

Robin znów poświęcił się struganiu, nierad szalejącym w nim emocjom. Nigdy nie zdoła sprostać potrzebom Anne, nigdy nie stanie się jej godnym - i był głupcem, jeśli tego pragnął. Przygotowawszy łubki, wetknął nóż z powrotem za pas. Rozejrzał się za sukнем, którym uprzednio był owinięty nadgarstek Anne. Podała mu je. Rozpostarł materiał na podołku Anne, potem zaś ułożył na nim jej przegub.

- Przytrzymaj łubki, mała Anne, kiedy będę owijał ci rękę - rzekł, umieszczając deszczułki w odpowiednim miejscu.

- Jak mnie nazwałeś?

Uniósł wzrok, napotykać jej jasne oczy.

- Nie pamiętam - skłamał.

Te słowa mu się wymknęły, zdradzając jego myśli. Nie zawołał jej tak od dnia, kiedy doświadczył upokorzenia z rąk Baldwina. Niegdyś było to pieścizotliwe miano, jakim się do niej zwracał, roszcząc sobie do tego wyłączne prawo. Złamał Nicholasowi nos, kiedy ten po raz pierwszy zawołał ją w ten sposób.

Podjął swoje dzieło, czując się nader niezręcznie. Delikatność nie leżała w jego naturze. Obce mu były ciepłe słowa czy głupie czułości. Był wojownikiem, nie zaś niewiastą, i nie miał czasu na bzdury.

- Nie używaj tej ręki - polecił, związując końce sukna. - Żadnego szycia, gotowania, dźwigania. Jeśli przyłapię cię na czymś takim, pożałujesz, a bądź pewna, że przez następny tydzień będę cię bacznie obserwował, żeby się przekonać, czy mnie posłuchałaś.

- Nie jestem jednym z twoich ludzi, Robinie. Wsunął palce pod jej dłoń, kciukiem pocierając jej knykcie.

- Wiem o tym, Anne.

Uniósł jej dłoń do ust i szorstko pocałował. Nie odważył się spojrzeć jej w oczy. Potem uzmysłowił sobie idiotyzm swojego postępku. Spiesznie puścił jej rękę i powstał.

- Pora, żebyś zaznała snu. Dołożę jeno do ognia i odprowadzę cię na dół. Nie chcę, żebyś znów się potknęła.

Doglądnął ognia, otrzepał ręce i odwrócił się, żeby spojrzeć na Anne. Trwała w bezruchu, wpatrując się w swoją dłoń, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Robin znów otrzepał ręce i zrobił dwa kroki, zatrzymując się tuż przed nią. Sięgnął ku niej, wypowiadając cicho jej imię. Podniosła nań wzrok; jej oczy były pełne łez. Zwalczył w sobie pragnienie ucieczki. Anne podała mu dłoń, on zaś delikatnie pociągnął ją na nogi.

- Jesteś przemęczona - rzekł szorstko. - Trzeba ci odpoczynku.

Skinęła głową, nie poruszyła się wszakże. Robin zawahał się, rozważając, jak daleko sięga jego śmiałość. Marzył, by porwać ją w ramiona; przerażała go myśl, że ona odepchnie go z obrzydzeniem. Albo wyśmieje? Tego nie zniósłby... Drzwi otwały się gwałtownie i w progu stanął zdyszany Nicholas. Napotkał wzrok Robina.

- Ten giermek - rzekł, przytrzymując się ościeżnicy. - Ten, któremu dałeś moje wino. To był Stephen z Hardwiche, czy tak?

- Tak. Co z nim?

Nicholas spojrzał nań szeroko otwartymi oczami, w których malowały się szok i zgroza.

- Chyba nie żyje.

Rozdział 13

Edith szła niespiesznie korytarzem, dokładając starań, żeby sprawiać wrażenie spokojnej. Iście królewskimi skinieniami głowy pozdrawiała mijaną służbę i dyskretnie przemykała obok przybocznych Artane'a. Dotarła do podnóża schodów na wieżę, wzięła głęboki oddech i wolno ruszyła na górę. Stanąwszy na podeście, po raz wtóry dla uspokojenia głęboko odetchnęła, po czym weszła do izby. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, zebrała w sobie resztki samokontroli i zadała pytanie, niezdolna uwierzyć, że musi je wygłosić.

- Martwy? - zagadnęła uprzejmie.

Maude kuliła się przy ścianie, drżąc i pochlipując. Baldwin stał nad nią z uniesioną pięścią. Odwrócił się, żeby posłać Edith wściekle spojrzenie.

- A juści, martwy - warknął. - Za sprawą tego tutaj bezmózgiego stworzenia.

Potem zaś dopuścił się czynu, który na zawsze potępił go w oczach Edith. Z całej siły uderzył Maude. Jedną rzeczą jest zabić mężczyznę. Nawet torturowanie mężczyzny w pewnych okolicznościach wydaje się dopuszczalne. Również do dręczenia niewiasty można się posunąć, jeśli jej przewina okaże się dostatecznie ciężka. Wszelako bicie kobiety, która kuli się na podłodze, bezbronna, niezdolna oddać ciosu...

Edith zdawała sobie sprawę, że trudno będzie pogodzić takie zapatrywania z jej działaniami wobec Anne, lecz w tej chwili widziała na miejscu Maude siebie w czasach, gdy usiłowała umknąć pięściom i kopniakom swojego rodzica.

Z drugiej strony, w Baldwinie płynie krew Sedgwicków. Czegóż innego można po nim oczekiwać?

- Przestań - powiedziała.

Przecięła izbę i odepchnęła brata, stając między nim a Maude.

- Zajmę się nią.

Baldwin odwiódł rękę do ciosu, ani chybi zamierzając spoliczkować Edith, wszakże nie ustąpiła pola. Nie wątpiła, że brat dostrzega w jej oczach nienawiść. Kiedy nieco stracił rezon i opuścił ramię, pojęła, że wygrała przynajmniej tę bitwę.

- Ciebie także powinienem ukarać - warknął.

- Zrób to, a pożałujesz - odparła spokojnie.

- Nie ośmieliłabyś się.

- Pewność w tym względzie zdobyłbyś jeno wówczas, gdybyś mnie w tej chwili zabił.

Zdawał się rozważać tę koncepcję, aż wreszcie zaklął szpetnie i odwrócił się do niej plecami.

- To byłoby zbyt proste - warknął.

Oczywiście. Edith zasznurowała usta, dotknięta jego pogardliwym tonem, ale nie powiedziała nic więcej. Poniżanie go niczemu by nie służyło. Robin dostatecznie go upokorzył tego ranka. Obserwowała ich walkę, widziała więc, że Artane powalił Baldwina niemalże bez wysiłku. Jeśli jej brat teraz szalał, ani chybi w znacznej mierze z powodu zranionej dumy. Gdyby zatem zachęciła go, by wziął odwet na swoim pogromcy, być może nie pętałyby jej się pod nogami, przeszkadzając opracować plan dalszych działań.

- Poszukaj zatem trudniejszego wyzwania na placu ćwiczebnym - zasugerowała.

Spojrzał na nią groźnie.

- Rano zdarzyło mi się jeno drobne potknięcie - oświadczył.

- Bez wątpienia. - Uśmiechnęła się doń współczująco. - Każdy miewa gorsze dni. - Niektórzy częściej niż inni, lecz tę uwagę zachowała dla siebie.

Baldwin wyciągnął drżący palec ku Maude.

- Zajmij się nią. Inaczej ja to zrobię, wówczas zaś bądź spokojna, że nie znajdą nawet ciała, żeby urządzić jej pogrzeb.

Edith odprowadziła go wzrokiem, gdy opuszczał izbę, zastanawiając się, czy rzeczywiście wystarczyłoby mu śmiałości na taki postępek. Chętnie sypał pogroźkami, nigdy jednak nie widziała owoców jego niecnym poczyną. Coraz mocniej skłaniała się ku podejrzeniu, że nie staje mu odwagi, by wprowadzić groźby w życie. Rozważała, czy Baldwin zdoła wypełnić zadania, które zamierzała mu powierzyć.

O dobrych zabójców zawsze jest trudno.

Z westchnieniem ukłękła obok Maude. Skierowała ku górze zapłakaną twarz dziewczyny i beznamiętnie obejrzała pojawiającą się już na niej opuchliznę. Jedno musiała przyznać bratu: umiał zrobić użytek z pięści.

- Powiedziałam ci, żebyś wzięła tylko odrobinę - ozwała się cicho.

Maude jedynie zakwiliła.

- Pokusa okazała się zbyt silna, zgadza się? - zapytała Edith.

Dziewka skinęła głową, pochlipując.

Edith westchnęła. Najwyraźniej Maude właśnie stała się bezużyteczna, przynajmniej jeśli idzie o najbliższe dni.

- Odpocznij teraz - rzekła Edith. - Żadnych więcej knowań, zanim nabierzesz sił. W rzeczy samej najlepiej będzie, jeśli wstrzymasz się z jakimkolwiek działaniem, dopóki nie wydam ci polecenia. Zrozumiano?

Maude potaknęła gwałtownie.

- Bicie kobiety uważam za nikczemne - ciągnęła Edith. - Nigdy bym się czegoś takiego nie dopuściła.

- N - nie? - upewniła się Maude.

Edith pokręciła głową.

- Czyste zabójstwo wydaje się znacznie bardziej dystyngowane, nieprawdaż? Taką też nagrodę przewiduję za nieposłuszeństwo w trakcie realizacji naszej intrygi.

Dziewczyna wpatrywała się w nią okrągłymi oczami.

- Nie okażesz ponownie nieposłuszeństwa, prawda, Maude?

- Nie, pani - szepnęła służka.

- Cieszę się - oświadczyła z uśmiechem Edith. - Zostań tutaj, dopóki nie poczujesz się lepiej. Jeśli ktokolwiek zapyta o twoje sińce, mów, że spadłaś ze schodów. Nie będą dalej dociekać.

- Tak, pani.

- Nie zrobisz nic bez mojego polecenia.

- Tak, pani.

Skinąwszy głową, Edith wstała i otrzepała ręce. Opuściła izbę. Było już po wieczery, w warowni panowało zamieszanie, tedy dzisiejszej nocy nie znajdzie spokojnego miejsca, żeby usiąść i przeanalizować plany. Przypuszczalnie zresztą i tak niczego by nie wymyśliła. Najlepiej zrobi, jeśli pokaże się rodzinie, wyrażając stosowne przerażenie i oburzenie. Jutro zastanowi się nad następnym krokiem.

Chyba powinna odwiedzić plac ćwiczebny i poobserwować Baldwina. Święci pańscy, jakież czekają tam możliwości. Jeśli zaś nie zdoła wyrządzić tam żadnej szkody, to może przynajmniej pobyt na świeżym powietrzu sprawi, że przyjdzie jej do głowy jakiś pomysł.

Pokręciła głową, zmierzając do wielkiej sali. Zbyt dużo trucizny. Czy naprawdę wszystkim musi zająć się sama?

Rozdział 14

Anne stała na stopniach wiodących do wielkiej sali i na dziedzińcu. Stał tam wóz z ciałem młodego Stephena z Hardwiche. Pani Gwennelyn dosiadła już swojego wierzchowca. Ludzie Rhysa szykowali się do drogi, sprawdzając rynsztunek i temu podobne.

Rhys stał z Robinem na boku, bez wątpienia udzielając synowi ostatnich instrukcji. Anne przyglądała się Robinowi, zdumiona cierpliwością, z jaką wysłuchiwał ojca. Minionej nocy z pewnością nie okazał takowej wobec niej. Zachowywał się jak gbur, kiedy w kobiecej izbie unieruchamiał jej nadgarstek, przy czym Anne podejrzewała, że przeklinał ją na równi ze swoim bratem. Kiedy Nicholas przyniósł ponure wieści, Robin powlókł ją za sobą na dół, usadowił w fotelu w wielkiej sali, a następnie ignorował przez resztę wieczoru. Zarazem wszak ucałował jej dłoń. Na swój szorstki, nieokrzesany sposób.

Spojrzała na rzezoną dłoń, zacisnęła ją w drugiej i schowała obie pod płaszczem, drżące i trupio blade. Nie dygotała bez powodu. Dotarło to do niej, kiedy minionej nocy siedziała w wielkiej sali, patrząc na złożone przed kominkiem ciało młodego Stephena. Zatrząskujące się samoistnie drzwi kobiecej izby dałoby się jakoś wyjaśnić. Podobnie jej potknięcie na schodach: mogła sobie jedynie wyobrazić, że ją popchnięto. Wszakże fakt, że omal nie wypięła wina, które zabiło dziecko?

Znaczenia tego zdarzenia nie sposób było zignorować; nieomal omdlała, gdy w pełni je ogarnęła. Ktoś usiłował ją zabić.

Siedziała teraz w fotelu, dygocąc na całym ciele. Obserwowała zamieszanie wokół i trzęsła się z przerażenia. Nikomu o tym nie wspomniała. Ta teoria wydawała się niemalże zbyt głupia, żeby dopuszczać ją do głosu. Ostatecznie kto twierdził, że wino było przeznaczone dla Anne?

Kucharka znalazła chłopca, gdy osunął się na podłogę w kącie kuchni. Przy jego łokciu leżał pusty dzban. Celem mógł być ktokolwiek, choć Anne wyraźnie pamiętała, jak Robin grubiańsko wyrwał jej czaszę i sprezentował jej zawartość Stephenowi. Gdyby tego nie uczynił, to ona leżałaby teraz na tym otwartym wozie, martwa i obojętna na okoliczność, że wraca do Fenwyck. Pod wpływem tej myśli ugięły się pod nią kolana.

Bezwiednie usiadła na schodach. Zanim zdała sobie sprawę, jak znalazła się w tej pozycji, na jej ramionach spoczęły czyjeś dłonie. Potrząśnięto nią tak potężnie, że aż zaszczękały jej zęby.

- Żle się czujesz? - dopytywał się natarczywie Robin.

- Przystań mną trząść - powiedziała. Zaczynało jej się nieprzyjemnie kręcić w głowie. - Robinie, proszę, przestań.

Ukląkł stopień niżej i spojrzał na nią z chmurną miną.

- Dlaczego usiadłaś?

- Rozbolęła mnie głowa - skłamała.

Nie było sensu wyjawiać mu prawdy. Zresztą pewnie i tak by jej nie uwierzył.

Jakaś wysoka postać przycupnęła obok na stopniu. Spojrzawszy w lewo, Anne zobaczyła Milesa. Na jego tradycyjnie ponurym obliczu malowało się większe niż zwykle przygnębienie. Otoczył Anne ramieniem, po czym spojrzał na brata.

- Myślisz, że to była trucizna, Rob?

- A cóżby innego?

- Nieświeży węgorz?

Robin spiorunował brata spojrzeniem. Ten przeprasząco wzruszył ramionami.

- Nie słyszałem o chorobie, która zabijałaby równie szybko - stwierdził Robin. - To musiała być silna trucizna.

- Ale dlaczego? - dociekał Miles. - Kto chciałby zabić nieszczęsne dziecko?

- Nie wiem. I nie zazdroszczę ojcu wyprawy do Hardwiche.

- Stephen był hołubionym synem - szepnęła Anne. - Najmłodszym, lecz zarazem najukochańszym.

- Chociaż tyle, że twój ojciec także jedzie - podsunął Miles. - Jego obecność może się okazać pomocna. Są spokrewnieni, nieprawdaż?

- Owszem - potwierdziła. - Mąż mojej przyrodniej siostry jest młodszym bratem Hardwiche'a.

- No cóż - odezwał się cierpko Robin - przynajmniej twój rodzic mimo wszystko na coś się przyda.

Podniósłszy wzrok, Anne dostrzegła ojca stojącego za plecami Robina. Geoffrey usunął rycerza z drogi co najmniej niedelikatnie.

- Anne, pozwól na słówko - rzekł lakonicznie.

Robin odzyskał równowagę, wstał i poda Anne rękę. Wspomagana dodatkowo przez otaczającego ją nadal ramieniem Milesa, szybko znalazła się na nogach.

- Mam zostać? - zapytał Miles, nieznacznie marszcząc brwi.

Geoffrey pchnął Robina, tak że ten, potykając się, zbiegł ze schodów. Następnie złapał Milesa za tunikę i posiał go w ślad za bratem. Anne spojrzała na rodzica.

- To nie było konieczne - stwierdziła.

- A to jest ostatni raz, kiedy okazujesz mi taki brak szacunku - odparł gniewnie Geoffrey. - Widzę, że pobyt tutaj wykształcił w tobie impertynencję, nie będę dłużej tego tolerował. Wrócę najpóźniej za miesiąc.

Bądź gotowa do podróży, kiedy przybędę. Pojmowała doskonale, że nie zdoła w żaden sposób opóźnić sądnego dnia. Z trudem przełknęła ślinę.

- Wedle twojej woli, ojczu.

- Żadnych więcej odroczeń, Anne. Rhys nieomal zemdlął z wysiłku, usiłując mnie przekonać, żebym zostawił cię tutaj do zimy. Nie zrobię tego, rozumiesz?

- Tak, ojczu.

Geoffrey chrząknął, odwrócił się i zszedł po schodach. Udało jej się dostrzec gniewne spojrzenie, jakim obrzucił Robina, kierując się do swojego wierzchowca. Dosiadł konia i zniknął za bramą, nie oglądając się ani razu. No cóż, przynajmniej wyjeżdżał, aczkolwiek Anne podejrzewała, że z wielką niechęcią. Jej wolność potrwa jeszcze cztery tygodnie. O więcej nie mogła prosić.

Reszta konnych także ruszyła z dziedzińca, a za nimi potoczył się wóz z ciałem chłopca. Anne odetchnęła, dopiero gdy zamknięto bramę.

Kiedy opadł kurz, Robin oddalił się na plac potyczek, ani chybi zamierzając wdeptać w ziemię tych kilku rycerzy, których tam zastanie. Miles uklonił jej się nisko, potem zaś podążył za bratem, niewątpliwie po to, żeby sprzątnąć zaśmiecające plac ciała, kiedy Robin zakończy swoje dzieło. Anne na powrót usiadła na stopniu i obserwowała dziedzińiec, aż zupełnie opustoszał. Zadręczała się wizją własnego wyjazdu, wyobrażając sobie, jak konno mija bramę, oglądając się, by po raz ostatni spojrzeć na ukochany dom. Łzy napłynęły jej do oczu.

Zachowywała się niedorzecznie. Nie do wiary, że tak ochoczo nurzała się w swoim nieszczęściu. Bezsensownie rujnowała sobie ostatnie dni wolności ponurymi myślami o tym, co przyniesie przyszłość. To niczego nie zmieni. Najlepsze, co mogła zrobić, to cieszyć się czasem, jaki jej pozostał. Wstała, rozprostowała kończyny i ostrożnie zeszła ze schodów. Jedną z przyjemności, jakich zaznawała w Artane, a których odmawiano jej w Fenwyck, była swoboda spacerowania, gdzie tylko zapragnęła. Zwykle okrążała plac ćwiczebny, jako że ta odległość pozostawała w granicach jej możliwości, a przy tym w razie potrzeby zawsze mogła tam liczyć na pomoc.

Wytrwale odpychała od siebie myśl, że tego ranka w trakcie ćwiczeń zazna też przyjemności obserwowania Robina. Dotarcie na plac potyczek trwało dłużej, niżliby sobie tego Anne życzyła, wszakże nie narzekała.

Dzień wstał ładny, słoneczny, a płaszcz chronił ją przed chłodem. Zarówno piękna pogoda, jak i jej wolność wkrótce się skończą, zatem rozkoszowała się nimi w pełni, póki mogła.

Posuwała się blisko muru, starając się nie wchodzić nikomu w drogę. Plac ćwiczebny nigdy nie świecił pustkami, wszelako od powrotu Robina i Nicholasa miejsce stało się ruchliwsze niż zazwyczaj. Najwyraźniej Robin otoczył się ludźmi, których podobnie jak jego rozpierała energia - albo też starannie dobrani przezeń przybocznicy obawiali się, że faktycznie ich powybijają, jeżeli nie będą trenować równie ciężko jak on.

Nie chcąc sobie pobłażać, jak zwykle wyznaczyła dla siebie cele do osiągnięcia. Zrobi jedno okrążenie placu, zanim pozwoli sobie spojrzeć na Robina. Kolejną rundę wykona, zerkając nań ukradkiem co kilka kroków. Za trzecim razem, jeśli podoła takiemu wyzwaniu, będzie patrzeć nań otwarcie i bez skrępowania. Jeżeli bowiem pokona taką trasę jednego ranka, zasłuży na każdą dostępną dla niej przyjemność.

Szła wolno, przy każdym kroku z wysiłkiem prostując chromą nogę, przenosząc na nią ciężar ciała, ćwicząc mięśnie, które wolałyby raczej pozostać bezczynne. Kiedy przeszył ją ból biegnący od stopy aż do uda, skłęła się siarczysto za niedawne lenistwo. W przeszłości dostatecznie często płaciła wysoką cenę za spokojne siedzenie nad wyszywaniem. Powinna była czegoś się nauczyć...

- Anne! - krzyknął męski głos.

Poderwała głowę zaskoczona, potem zaś wrzasnęła, kiedy została powalona na ziemię. Z płuc uszło jej całe powietrze. Cieszyłaby się, gdyby na tym się skończyło. Jednakże rozciągnięty na niej mężczyzna w kolczudze w szybkim tempie wyduszał z Anne życie.

- Rusz się - rzekła bezgłośnie, usiłując zaczerpnąć tchu.

Mężczyzna zsunął z głowy kaptur kolczy i odwrócił się, żeby spojrzeć przez ramię, a jego ciemne włosy opadły Anne na twarz.

- Robinie - wysapała. - Nie mogę oddychać. - Do oczu napłynęły jej niechciane łzy bólu.

Robin udami miażdżył jej chromą nogę; obawiała się, że lada moment ją złamie.

- Proszę!

Robin uniósł się nad nią, po czym wstał, zostawiając ją w błocie. Anne spróbowała usiąść, lecz zadanie ją przerosło. Wpatrywała się w niebo, zastanawiając się, czy jakimś cudem kiedykolwiek zdoła jeszcze normalnie oddychać.

Stopniowo płuca Anne odzyskiwały sprawność, wszelako poruszanie się nadal przekraczało jej możliwości. Spojrzała na Robina; trzymał w dłoni głowicę maczugi.

- Czyje to?! - ryknął.

Jakiś rycerz przypadł mu do kolan.

- Panie, to był wypadek!

- Ty przeklęty sukinsynu, prawie ją zabiłeś! - zagrział Robin. Poderwał rycerza na nogi i pchnął mocno. - Czy twój nauczyciel nie wpoił ci, że należy sprawdzać broń? Masz piekielne szczęście, że z drużyny mego ojca, inaczej ubiłbym cię tu na miejscu!

- Prędej bym zginął, niżli skrzywdził panią Anne - zapewnił żarliwie rycerz. - Przysięgam, panie. Sprawdziłem broń przed użyciem.

- Ja zaś twierdzę, że tego nie zrobiłeś - warknął Robin. - Skoro tak wysoko cenisz życie pani Anne, jakimż to sposobem omal nie pozbawiłeś jej głowy?

Rycerz sprawia wrażenie równie pogwałconego, jak Anne. By jednym z przybocznych Rhysa, dobrym wojownikiem. Nie wierzyła, żeby faktycznie usiłował ją skrzywdzić. Z drugiej strony, nigdy by też nie pomyślała, że ktoś spróbuje ją otruć.

Robin rozejrzał się, przeklinając głośno i zapalczywie.

- Miles! - krzyknął.

Anne uzmysłowiła sobie, że Miles klęczał przy niej, dopiero kiedy ów krótko uściśnął jej ramię, zanim wstał i podszedł do brata.

- Tak?

- Zabierz tego głupca do lochu.

Rycerz zaklinał się, że jest niewinny, lecz najwyraźniej Miles reputacją niewiele ustępował Robinowi, wystarczyło bowiem, że dobył ostrza, by mężczyzna raptownie umilkł. Anne nie zdołała odwrócić głowy, żeby się przekonać, czym zakończyła się ta scena, przypuszczała jednak, że Miles sztychem miecza popędził nieszczęśnika ku wielkiej sali.

- Sir Richardzie - rzucił ostro Robin. - Cała broń ma zostać ponownie sprawdzona. Przez ciebie osobiście.

- Tak, panie.

- Dotrzymasz sir Edwardowi towarzystwa w lochu, jeśli mnie zawiedziesz.

Anne uniosła brew na te słowa. Richard z Moncrief należał do drużyny Rhysa i poniekąd dziwne, że przyjął od Robina taką zniewagę. Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie oglądała Robina równie wściekłego. Niemalże jej schlebiał, że tak się przejął tym zajściem. Później Robin skierował wzrok na nią.

Z całego serca pożałowała, że nie jest w stanie podnieść się i spiesznie oddalić.

Podszedł do niej ciężko i dłuższą chwilę mierzył ją z góry groźnym spojrzeniem, zanim wreszcie ujął za ramiona i postawił na nogi.

- A ty! - wrzasnął. - Co ci, u diabła, strzeliło do głowy, żeby tu przychodzić?

Oddech wrócił Anne na tyle, by zdołała przemówić, aczkolwiek podejrzewała, że jej słowa nie ostudzą gniewu Robina.

- Często tu spaceruję...

- To nie jest miejsce dla kobiety! - ryknął Robin. - Zwłaszcza takiej, której nie staje rozumu, żeby patrzyła, dokąd idzie. Nigdy więcej nie chcę cię tu widzieć samej, czy to jasne?

Czy Anne rzeczywiście żywiła kiedyś ciepłe uczucia dla tego człowieka? Ależ była głupia.

- Będę chodzić, gdzie mi się spodoba... - zaczęła hardo.

- Zamknę cię w twojej sypialni, jeśli mnie nie posłuchasz! Durna dziewczucho, co ty sobie myślała? - Potrząsnął nią. - Mogłaś zginąć! Chcesz śnić na jawie, oddawaj się temu z dala od placu ćwiczebnego.

Nigdy w życiu nie doświadczyła takiego wstydu. Drużyna stała niespełna pięćdziesiąt kroków dalej, tedy Anne nie mogła liczyć na to, że rycerze nie usłyszeli połajanki, jakiej udzielił jej Robin. Wyrwała mu się i odwróciła, żeby wrócić do donżonu. Zrobiła zaledwie dwa kroki, kiedy załamała się pod nią chroma noga, tak że Anne upadła na czworaka. Jej upokorzenie się dopełniło. Robin podszedł i zatrzymał się przed nią.

- Pozbieraj się i zmykaj do domu - warknął. - Nie ma tu dla ciebie miejsca, Anne.

Odprowadzając wzrokiem jego oddalające się buty, Anne skonstatowała, że nigdy nie nienawdziła Robina z Artane tak mocno jak w tej chwili.

Przed nią przykucnął Richard z Moncrief, wyciągając ręce.

- Pozwól, pani, że ci pomogę - rzekł cicho.

- Odsuń się ode mnie, ty kmiotku - wypluła, zmagając się z potężną falą wstydu i pogwałcenia. - Nie potrzebuję pomocy. - Uniósłszy głowę, z nienawiścią spojrzała na pozostałych mężczyzn.

- Idźcie sobie! Nie jestem kaleką, niech was diabli! Precz stąd!

Powinna była wstać, lecz to zadanie ją przerastało. Pozostała zatem na czworakach, zwieszając głowę. Przynajmniej tym sposobem nie widziała gromady mężczyzn, którzy bez wątpienia nadal ją obserwowali. Cofnęli się, wiedziała wszakże, że tam są. Jakież widowisko musiała sobą przedstawiać! Nie zamierzała dłużej dostarczać im tej rozrywki. Uniosła głowę, rozglądając się za czymś, na czym mogłaby się wesprzeć, żeby stanąć na nogi. Pod murem dostrzegła ławkę, lecz dzieliła ją od niej spora odległość. Cóż, i tak nie miała wyboru, jako że nie zauważyła niczego innego. Zaczęła się czołgać.

Rozdział 15

Robin wsparł się dłońmi o mur, usiłując złapać oddech i ulżyć bólowi w piersi. Zamknął oczy, pomodlił się, żeby wszystko okazało się jedynie grą jego wyobraźni. Biorąc pod uwagę, ile przeszedł w ostatnich dniach, wydawało się zrozumiałe, że jego umysł nie pracował najsprawniej. Życie pełne jest zbiegów okoliczności. Niewykluczone, że Robin po prostu doświadczył niedawno większej ich liczby, aniżeli staje się to udziałem przeciętnego mężczyzny.

Z drugiej strony, inny mężczyzna zapewne nie oglądał ukochanej kobiety tuż po tym, jak spadła ze schodów.

Inny mężczyzna nie powstrzymał onegdaj tej samej kobiety przed wypiciem zatrutego wina. Inny mężczyzna ani chybi nie przyglądał się, jak ciężka, najeżona kolcami głowica maczugi mknie ku głowie tej kobiety. To zdarzenie najbardziej wytrąciło Robina z równowagi. Jedynie czystym przypadkiem szedł akurat w jej stronę. W ostatniej chwili zorientował się, co się dzieje, i zdołał ją uratować. Nie potrafił opędzić się od wrażenia, że nie chodzi o zwykłe pasmo zbiegów okoliczności.

Odepchnął się od muru, przeciągnął dłońmi po włosach i wypuścił powietrze z płuc. Wróci do donżonu i przeprosi Anne. Zapewne uważała, że przemawiał do niej zbyt ostro. Być może wybaczy mu, gdy usłyszy, że uczynił tak z przestrachu, nie zaś ze złej woli.

Odwrócił się, lecz zanim zrobił pierwszy krok, jego oczom ukazał się widok nieomal tak potworny jak ten, którego prawie że stał się świadkiem. Anne pelzła na czworakach. Patrzył na nią z przerażeniem. Święci pańscy, nigdy nie chciał jej tak poniżyć!

Czołgała się w stronę ławki. Już ten wysiłek zdawał się ją wiele kosztować. Robin zerknął na drużynę. Na obliczach rycerzy malowały się rozmaite emocje. Przeważało współczucie. Nawet Sedgwick zachował powagę. Jego szczęście. Robin ani chybi zabiłby go za inną reakcję.

Część mężczyzn odwróciła się ku niemu, Robin zaś poczuł pewne zaskoczenie na widok ich zagniewanych teraz twarzy i oskarżycielskich spojrzeń - jakby to on postawił Anne w takiej sytuacji! Natychmiast uzmysłowił sobie, że w istocie to uczynił. Mógł jedynie domyślać się, jak bardzo się czuła upokorzona, przy czym niewątpliwie była to jego zasługa. Co gorsza, ucierpiała nie tylko jej duma. Święci pańscy jeno wiedzą, jaką Robin wyrządził jej krzywdę, miażdżąc ją swym ciężarem. No, ale lepiej być pogruchotanym niż martwym. Odpowiedział mężczyznom piorunującym spojrzeniem, podszedł do Anne i zatrzymał się przed nią.

- Anne...

- Z drogi - szepnęła chrapliwie.

Kolczuga zachrzęciła głośno, kiedy Robin pochylił się, ujął Anne za ramiona i podniósł na nogi.

Zachwiała się niczym pijana, toteż przygarnął ją do siebie, żywiąc nadzieję, że zbytnio jej nie uciska aczkolwiek wątpił, by mógł zadać jej więcej bólu niż dotąd.

- Puść mnie - powiedziała, usiłując go odepchnąć.

Ani myślał tego robić. Ann na czworakach. Po raz drugi nie zniósłby tego widoku. Wsunął Annę ramię pod kolana, drugim opasał jej plecy, po czym poderwał ją z ziemi.

- Postaw mnie, przekłety sodomito - wysapała.

Zignorował tę potwarz, świadom, że to on za młodych lat nauczył ją przeklinać.

Nie przejął się także policzkiem, jaki mu wymierzyła. Przypuszczał, że sobie na niego zasłużył. Upokorzył ją, lecz, do diabła, czegoż oczekiwała? Czy miał spokojnie stać, przyglądając się, jak Annę ginie?

Niósł ją do sali, wytrwale ignorując płynący z jej ust nieprzerwany strumień przekleństw. Czy rzeczywiście uważał niegdyś Anne za nieśmiałą i pełną rezerwy? Słownictwo tej kobiety przyprawiałoby o rumieniec zatwardziałego wojownika.

- Anne, proszę - rzekł wreszcie poirytowany. - Wiem już dokładnie, co sądzisz na mój temat.

Przekleństwa ustąpiły miejsca łzom. Robin poczuł, że także jego zaczynają piec oczy. Okoliczność, że to za jego sprawą Anne zanosila się takim szlochom, stłamsiła go dokumentnie. Zgrzytając zębami, wspiał się po schodach do wielkiej sali. Do diabła, co jeszcze mógł zrobić?

W środku zastał jedynie siedzącą przy kominku Amandę. Zatrzymał się, krzywiąc się z niezadowoleniem. Jego siostra wpatrywała się w przestrzeń, jakby nie miała pilniejszych obowiązków niżli oddawanie się dziewczęcym marzeniom. Robin spiorunował ją wzrokiem, przechodząc, i rad odnotował, że poczuła na sobie owo spojrzenie, bowiem zaskoczona podniosła nań oczy.

- Co się stało? - zapytała.

- Później ci powiem - odparł lakonicznie. - Idź po Nicholasa, niech przyjdzie do sypialni ojca. Nie jedz ani nie pij niczego, dopóki nie porozmawiamy.

Amanda zamrugła, po czym spojrzała na Anne niesioną przezeń w ramionach.

- O czym on papie, Anne?

- Święci pańscy, Amando, choć raz po prostu mnie posłuchaj! - rzucił ostro Robin. - Idź po Nicka, natychmiast!

Siostra podniosła się z westchnieniem, którym ani chybi pragnęła zdmuchnąć go z nóg. Cóż, przynajmniej wstała z fotela. Robin przystanął, kiedy do głowy przyszła mu kolejna myśl.

- Kiedy już przekazesz wiadomość Nickowi, poszukaj także Milesa, bliźniaków i Isabelle - zawołał za nią. - Przyprawdź ich na górę.

Amanda machnęła mu ręką w odpowiedzi i opuściła wielką salę. Robin wspiął się po schodach, a potem przemierzył korytarz, zatrzymując się przed ojcowską sypialnią. Nie widział powodu, żeby nie zająć dla swej pani najznakomitszego pomieszczenia w donżonie, skoro chwilowo został panem na Artane. Kopnięciem otworzył drzwi i opuścił Anne na podłogę w korytarzu.

- Zostań tu - polecił, zdejmując ze ściany pochodnię.

Dobył miecza i wszedł do izby, oświetlając każdy kąt i zaglądając pod łożo. Święci pańscy, człek już nie może się czuć bezpiecznie nawet we własnym domu.

Po powrocie zastał Anne wspartą ciężko o ościeżnicę. Otoczył ją ramieniem, wprowadził do izby i usadowił w fotelu przy kominku. Rozpalił ogień, nieco przy tym mitrząc, albowiem winien był swej pani wyjaśnienia, nie miał zaś pojęcia, od czego zacząć. Zyskał dzięki temu trochę czasu, żeby choć częściowo zebrać myśli. Kiedy uporał się z zadaniem, pozostał na klęczkach. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Policzki miała uwalane błotem, w którym lży wyłobity polyskujące czystością bruzdy. Robin obawiał się tego, co mógłby wyczytać w jej oczach, zwrócił się tedy znów w stronę ognia. Wziął głęboki oddech, zbierając się na odwagę, by zadać jej niezbędne pytania.

- Wcale nie spadłaś ze schodów, prawda? - odezwał się cicho.

Milczała przez chwilę.

- Nie.

Przeciagnął dłonią po włosach, po czym utkwił wzrok w powale, wolno wypuszczając powietrze z płuc. Zatem jego obawy się potwierdziły. Któż jednak mógłby chcieć ją skrzywdzić?

- Święci pańscy, Anne - rzekł z westchnieniem. - Kogo jeszcze prócz mnie ostatnio rozeźliłaś?

Popatrzył na nią. Spoglądała na niego, lecz wyraz jej twarzy go zaskoczył. Bijąca z jej oczu nienawiść na wskroś zmroziła Robina. Przywykł do jej spojrzeń pełnych źle maskowanego uczucia tudzież nieskrywanego gniewu, wszelako nienawiść?

- Anne... - zaczął wolno.

W milczeniu odwróciła głowę.

W tej chwili Robin z radością oddałby wszystkie zęby w zamian za odrobinę elokwencji Nicholasa. Jedyne nienawistne spojrzenia, z jakimi miał dotąd do czynienia, pochodziły od mężczyzn, do których zabicia akurat się szykował. Nigdy nie przeszła go takim spojrzeniem kobieta. Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie pozostawił stratowanej kobiety w błocie.

Być może właśnie z tego powodu Anne była na niego zła. Jak przypuszczał, nie bezzasadnie. Potrzebowała po prostu nieco czasu, żeby uspokoić się i pojąć, że nie uczynił tego złośliwie. Niewykluczone, że jeśli Robin skieruje jej myśli ku innym kwestiom, takim jak ich bieżący problem, Anne zapomni, że to on ją zmaltretował. Odkasznęła stanowczo.

- Gotów byłbym uwierzyć, żeś się okazała na tyle niezdana, by spaść ze schodów - zaczął.

Ani drgnęła. Zmarszczył brwi na ów brak reakcji.

- Mógłbym także uwierzyć - ciągnął mimo to - że Stephen zjadł coś, od czego źle się poczuł, gdyby nie fakt, że Nick przez całą noc miał nudności, a głowice maczug nie wzbijają się w powietrze same z siebie. Chodzi o coś więcej niżli zwykły zbieg okoliczności.

Nadal się nie poruszyła. W żaden sposób nie okazała, że w ogóle usłyszała jego słowa. Robin wstał z ciężkim westchnieniem.

- W porządku - rzekł. - Chyba musisz odpocząć. Zdejmiemy ci buty, a potem zaniosę cię do łóżka. Tutaj chwilowo nic ci nie grozi.

- Nie dotykaj mnie.

Robin zamarł z wyciągniętą ręką.

- Uczyniłbym to samo dla Amandy - oświadczył sztywno. - Aczkolwiek w jej przypadku nie siliłbym się na delikatność.

- Odejdź, Robinie.

Spoglądał na nią z góry, a gniew walczył w nim o lepsze z troską. Jasne włosy częściowo wymknęły się jej z warkocza, tak że twarz Anne okalały luźne kosmyki. Oddychała z trudem, jakby owa czynność sprawiała jej ból. Zawahał się. Czyżby coś jej złamał, kiedy na nią runął? Delikatnie musnął dłonią jej włosy.

- Anne, czy odczuwasz gdzieś ból?

Zignorowała pytanie. Odwróciła się od niego powoli i z widocznym wysiłkiem.

Odstąpił z westchnieniem. Najwyraźniej w tej chwili niewiele z niej wydostanie. Może później, kiedy Anne nieco ochłonie.

Przez moment kusilo go, by poprosić Nicholasa, żeby wydobył od niej opowieść, rychło się wszak rozmyślił. Wizja Nicholasa i Anne samych razem w izbie sypialnej zupełnie nie przypadła mu do gustu.

Czarujący i szarmancki Nicholas mówiłby dokładnie to, co należy. Po powrocie Robin zastałby Anne omdlałą w ramionach jego brata. Nie, zdecydowanie lepiej postąpi, samemu zmuszając ją do otwartości.

Zarazem on chętnie zamieni parę słów z bratem. Pomimo zaiste licznych wad, w znacznej mierze wynikłych z jego rozmiłowania w płci pięknej, Nicholas pozostawał dobrym strategiem. Robin niejednokrotnie skorzystał na przedyskutowaniu z nim taktyki.

- Wróć jak najszybciej - powiedział.

Nic nie odrzekła. W istocie nie poruszyła się nawet, by zasygnalizować, że informacja do niej dotarła.

Ów brak reakcji tym razem nie zaskoczył Robina, a wręcz, wbrew okolicznościom, poprawił mu humor. Wiedział z góry, że Anne się doń nie odezwie. Przynajmniej uczył się przewidywać jej zachowania.

Opuścił sypialnię, zamykając za sobą drzwi. W korytarzu, chociaż dobrze oświetlonym, zdarzały się plamy ciemności. Robin wpatrywał się w mrok, lecz nie zauważył niczego podejrzanego. Zdecydował, że postawi przed drzwiami sypialni strażę. I to liczne. W rzeczy samej najsłuszniej będzie umieścić kogoś także w środku, razem z Anne, dla jej ochrony. Przystanął.

Któż sprawdzi się w tej roli lepiej niż on sam?

Analizował ów koncept, dopóki nie ujrzał nadchodzącego korytarzem brata. Pomysł zdawał się wart rozważenia, lecz to później, kiedy już Robin ustali, jak wielkie jest zagrożenie. Liczył, że Nicholas trafniej od niego zdola ocenić, czy niedawne zajścia stanowią ciąg zbiegów okoliczności, czy też Robin odkrył coś bardziej złowieszczonego.

Ten jeden jedyny raz Robin żywił nadzieję, że wyobraźnia wzięła w nim górę nad zdrowym rozsądkiem.

Nicholas zatrzymał się naprzeciw niego pod ścianą. Kiedy Robin spojrział na brata, przez moment zmroziła go myśl o tym, jak niewiele brakowało, by utracił nie tylko Anne, lecz także i jego. Jakkolwiek niezmiernie irytujący, Nicholas był mimo wszystko jego bratem i Robin srodze go kochał. Miniona noc mocno dała się we znaki Nicholasowi, dręczonemu przez gwałtowne nudności. Teraz nie wyglądał wiele lepiej.

- Co? - zapytał chrapliwie. Zachwiał się, po czym ciężko oparł o ścianę. - Nie mam nastroju na zgadywanki.

- Głowica oderwała się dziś od maczugi - rzekł Robin.

- No i?

- Gdybym nie przewrócił Anne na ziemię, trafiłaby ją w twarz.

Nicholasowi opadła szczęka.

- Nie.

- Ponosi mnie wyobraźnia czy widać w tym pewną regularność? - zapytał Robin.

- Nie było w pobliżu nikogo innego? Innych potencjalnych celów?

Robin pokręcił głową.

- Szedłem akurat w jej stronę, lecz nie we mnie mierzono.

Nicholas pobladł, jakkolwiek wcześniej coś takiego wydawało się niemożliwe.

- Najwyraźniej coś się święci - odezwał się słabo.

- Też tak pomyślałem.

- Możemy omówić tę sprawę na siedząco? - zapytał Nicholas. - Nie utrzymam się na nogach ani chwili dłużej.

Robin chciał wesprzeć brata, lecz niespodzianie ubiegła go Amanda. Poruszyła się całkiem cicho, ilekroć odpuszczała sobie skrzekliwe utyskiwania. Zarzuciła sobie na barki ramię Nicholasowi i pomogła mu wejść do sypialni. Robin poczekał na resztę nadchodzącego właśnie korytarzem rodzeństwa. Kiedy tak patrzył na zmierzających ku niemu bliskich, pojął, że zapewnienie im wszystkim bezpieczeństwa może się okazać trudniejsze, niż pierwotnie sądził. Jakkolwiek dotychczasowe ataki wydawały się skierowane na Anne, ich faktycznym celem mógł pozostawać kto inny.

Zapędziwszy rodzinę do sypialni, Robin zamknął i zaryglował drzwi. Przyglądał się, jak wszyscy zajmują miejsca przy kominku. Nicholas usiadł obok Anne, lecz Robin przyznał, że brat wygląda na zbyt chorego, by wykorzystać sytuację. Amanda najpierw pokręciła się przy Anne, potem zaś przyciągnęła sobie stółek, zajmując miejsce u stóp Nicholasowi. Montgomery i John usiedli na podłodze po obu jej stronach. Oparli się o siostrę, oplatając ją ramionami, jakby była poduszką umieszczoną tam specjalnie dla ich wygody. Isabelle i Miles walczyli o jedyny pozostały fotel. Najwyraźniej tego dnia rycerskość Milesa znalazła się w pełnym rozkwicie, jako że rychło ustąpił pola siostrze i spoczął u jej stóp.

- Pomasujesz mi plecy, Iz? - poprosił.

Obserwując owo typowe rodzinne zamieszanie, Robin z całego serca pragnął móc po prostu rozbawić bliskich jakąś dykteryjką. Przecież był za nich odpowiedzialny. Odpowiadał nie tylko za własne tudzież ich poczynania, lecz także za bezpieczeństwo całej gromadki. Zaczynał się zastanawiać, czy ojciec nie popełnił błędu, powierzając mu pieczę nad tymi duszyczkami.

Odrzucił te wątpliwości. Odpowiedzialność spoczywała na nim i nie zamierzał się od niej uchylać. Nie miał innego wyboru, jak tylko wrzucić między najbliższych to plugastwo, powinien zatem zrobić to jak najszybciej. Kiedy wszakże znajdzie winowajcę, każe mu zapłacić również i za ich utraconą niewinność. Wziął

głęboki oddech. Utrzyma ich przy życiu, całych i zdrowych. Ostatecznie w walce sprawdzał się najlepiej. Być może jego ojciec mimo wszystko dokonał słusznego wyboru. Stał za fotelem Annę, szykując się do przekazania rodzinie wieści.

- Czy ktoś zechce nas oświecić, dlaczego zostaliśmy tu ściągnięci? - zapytała zgryźliwie Amanda.

Robin zaciął usta. Napadała nań, zanim w ogóle zdążył się odezwać. Zostawi Amandę wilkom na pożarcie, sam zaś skoncentruje się na reszcie rodziny. Przynajmniej wtedy zazna trochę spokoju.

- Znaleźliśmy się tu - odparł energicznie - albowiem w warowni na coś się zanosi, a moim zadaniem jest ujawnić intrygę i położyć jej kres.

- Ty zaś wiesz o tym, ponieważ... - ozwała się wolno Amanda.

- Ponieważ w ciągu minionych dwóch tygodni Annę trzykrotnie omal nie straciła życia - dokończył Robin. - Nie mogę przypisać tego przypadkowi.

- Być może wróg mierzył w ciebie - zasugerowała Amanda. - I, niestety, chybił.

Miles roześmiał się, po czym szybko zamaskował ten wybuch wesołości kaszlem.

- Przepraszam, Rob - powiedział. - Pojmuję, że sytuacja nie skłania do żartów.

- A jużci, skąd wiesz, że chodziło o Anne? - zapytał John.

- Właśnie, może to mści się jakiś rycerz, którego Rob rozgromił? - zasugerował z entuzjazmem Montgomery. - Ani chybi znalazłoby się paru takowych.

Następnie owe tak drogie mu istoty, które Robin dopiero co przysięgał chronić, rozpoczęły wyliczanie, nieprzerwanym ciągiem wymieniając kolejnych potencjalnych winowajców. Robin słuchał, jak recytują listę jego ofiar, rozdarty pomiędzy dumą, że jest ona tak długa, a irytacją, że jego rodzeństwo najwyraźniej nie pojmuje rozmiarów zagrożenia.

Z wyjątkiem Nicholasa, który siedział za Amandą i leniwie rozciągnięty w fotelu pukał palcami w podłokietnik, jakby jego pustej głowy nie nawiedzały żadne troski. Chociaż tyle, że dureń się nie uśmiechał. Czuł się na to zbyt marnie, Robin zaś odkrył, że mimo woli czerpie z tej okoliczności pewną pociechę.

No i była jeszcze Anne. Robin przesunął się odrobinę, żeby widzieć jej twarz - i natychmiast tego pożałował. Nigdy jeszcze nie oglądał na jej obliczu takiego wyczerpania i przygnębienia. Kiedy ich oczy się spotkały, obdarzyła go spojrzeniem do tego stopnia pełnym nieskrywanej wrogości, że aż się wzdrygnął. Otworzył usta, by wystąpić w swojej obronie, lecz tak wymownie odwróciła wzrok, że zamknął je z głośnym kłapinięciem. Na nic mu się teraz zdadzą usprawiedliwienia, zwłaszcza gdy wokół nadal trwały gwałtowne spekulacje.

Niespodzianie Amanda wstała, wyciągając ręce ku Anne.

- Chodź, siostró - rzekła cicho. - Pozwól, że zaprowadzę cię do łóżka. Znać po tobie, że potrzebujesz odpoczynku.

Miles natychmiast poderwał się, żeby im pomóc. Robin również się zbliżył, lecz Anne odepchnęła jego rękę. W pierwszym odruchu chciał jej odplącić kąśliwą uwagą, ugryzł się jednak w język. Zaprawdę, nie mógł jej winić za takie zachowanie. Obawiała się o własne życie, była cała poobijana wskutek jego ratunku i zła, że od razu nie pomógł jej wstać. Niewykluczone, że sen przywróci jej dobry nastrój.

Przyglądał się, jak Miles i Amanda pomagają Anne się położyć, a wtedy przypomniał sobie swój wcześniejszy koncept.

Mógłby odizolować rodzeństwo w sypialni synów. Nicholas by ich tam pilnował. Ilekroć zaś Nick musiałby się zająć innymi sprawami, zastępowałby go Miles. Dziewczęta i bliźniacy byłiby najzupełniej bezpieczni. Nicholas doskonale nadawał się na ich obrońcę. Miles niewiele bratu ustępował, gdy szło o władanie mieczem, a przy tym wystarczało mu przebiegłości, żeby przewidzieć każdy niecny zamiar mordercy.

Jednakże nawet Nicholas przyznałby, że przy takim rozwiązaniu pozostawała jeszcze kwestia sprawowania pieczy nad Anne. A kto zajmie się tym lepiej niż Robin?

Sam. W miejscu, z którego ona mu nie ucieknie. Być może wtedy, po raz pierwszy w ich nieszczęsnym życiu, zdołają porozmawiać bez obelg i wrzasków, a Robin wreszcie zyska pewność co do tego, dla kogo bije jej serce.

Ostatecznie był najlepszym wojownikiem w warowni. Wydawało się wielce stosownym, żeby to on jej strzegł. Jako dziedziczkę Fenwyck należało ją chronić za wszelką cenę.

- Wystarczy dyskusji - obwieścił. - Zajmę się tą sprawą. Dopóki nie zostanie wyjaśniona, schronicie się w izbie sypialnej synów. Chłopcy, wszędzie chodźcie we dwóch. Dziewczęta, nie ruszajcie się nigdzie bez eskorty Nicka lub Milea.

Nicholas spojrział nań, marszcząc brwi.

- Moim zdaniem powinniśmy wszyscy zostać w tym samym pomieszczeniu. Gdyby doszło do walki wewnątrz warowni, łatwiej sobie poradzimy, jeśli będziemy trzymać się razem.

Tak jakby Robin zamierzał dopuścić do tego, żeby jego brat i Anne znaleźli się oboje w jednej izbie! W ostatnich dwóch tygodniach Nicholas prawie przyssał się do Anne. Lepiej go od niej odgradzić. Robin zwrócił na Amandę swoje najsrozsze spojrzenie.

- Zabierz dzieci do mojej izby sypialnej.

Amanda wprawdzie zasznurowała usta, lecz bez większych oporów skinęła głową na znak zgody.

- Wszelako nie zamyślasz chyba... - wybełkotał Nicholas.

Robin zwrócił się do Milesa.

- Nick i ja musimy omówić kilka kwestii. Twoim zadaniem jest chronić rodzinę, dopóki nie opracujemy strategii.

Miles podniósł się bez komentarza czy zbędnych pytań. Trwało wszakże sporą chwilę, nim zdołał wygonić wszystkich z pomieszczenia. Robin słuchał, jak jego rodzeństwo snuje przypuszczenia i domysły, aż niemalże zaczął na nich wrzeszczeć, żeby wreszcie sobie poszli. Nie wysuwali żadnych przydatnych sugestii, gdyby zaś musiał po raz kolejny znosić rozważania bliźniaków na temat tego, jaki rodzaj trucizny dodano do wina, że zabiła tak szybko, własnoręcznie by ich uciszył. Jednakże Miles w końcu odniósł sukces, Robin zaś mimo woli poczuł z tego powodu zadowolenie. Chociaż jedna osoba w warowni stosowała się do jego poleceń.

Kiedy wreszcie drzwi się zamknęły, Robin spojrzął w stronę łóżka. Nie odnotował najmniejszego ruchu. Modlił się, żeby Anne rzeczywiście spała. Przynajmniej nie będzie musiała wysłuchiwać kłótni, jaka zaraz nastąpi. Nicholas nadal leniwie rozpierał się w fotelu, wszelako Robin wiedział, że taki pokaz spokoju nie potrwa długo.

Wyprostował plecy, wziął głęboki oddech i przygotował się do bitwy. Poluzowałby miecz w pochwie, lecz taki gest zaalarmowałby brata. Poza tym walka na miecze obudziłaby Anne, tego zaś Robin pragnął uniknąć. Jego plan zostanie wprowadzony w życie, zanim ona się przebudzi, żeby stanąć po stronie Nicholasa.

Miał nadzieję, że nie popełnia kolosalnego błędu.

Rozdział 16

- Co zamierzasz?!

Anne skrzywiła się na ten grzmiący okrzyk.

- Cicho, głupcze! Ani słowa, dopóki się nie upewnię, że nie obudziłeś Anne.

Wstrzymała oddech. Nader trudno było pozorować sen, kiedy Robin podszedł, żeby się jej przyjrzeć, mamrocąc przy tym pod nosem tak głośno, że dało się go słyszeć w całej izbie sypialnej. Pewnego dnia będzie musiała mu powiedzieć, że ma zwyczaj robić tak, ilekroć myśli zbyt intensywnie. Podejrzewała, że nie zdaje sobie sprawy z tego nawyku i ogromnie się zirytuje, kiedy się o nim dowie. Wyjawiał w ten sposób stanowczo za wiele swych sekretów. Robin oddalił się z przekleństwem.

- Już postanowiłem - szepnął gwałtownie.

- Robinie, nie mówisz poważnie!

Anne żałowała, że nie usłyszała wstępnej deklaracji Robina. Że też, niech go licho, akurat wtedy zdobył się na szept. Jednak nawet nie słysząc nic więcej, czuła, że zgadza się z Nicholasem. Jąkąłkolwiek nową strategię zaproponował Robin, z pewnością zakrawała na szaleństwo.

Poruszyła się na łożu, na co jej ciało podniosło taką wrzawę, że zaparło jej dech. Wraz z falą świeżego bólu powróciły wszystkie złe emocje, jakie wcześniej obudziły się w niej względem tymczasowego pana na Artane.

Gardziła nim. Nienawidziła go. Nigdy więcej nie chciała doświadczyć jego dotyku. A już zwłaszcza nie życzyła sobie, żeby kiedykolwiek ponownie wgniół ją w ziemię niczym wyjątkowo uciążliwego insekta, którego postanowił rozdeptać.

- To jedyny sposób - oświadczył stanowczo Robin.

- Czyś ty oszalał? - Ton Nicholas sugerował przekonanie, że jego brat osiągnął ów stan. - Jej ojciec cię ubije, kiedy się dowie. Nie wspominając o tym, co zrobi nasz!

- Na gardło świętego Grzegorza, Nick, nie zamierzam jej tknąć - odparował Robin.

- Mam nadzieję. Ona jest dziewczicą, na litość boską...

- Traktuję ją jak siostrę...

- Merde! - przerwał mu ostro Nicholas. - Ona nie jest twoją siostrą, głupcze, zaś więzienie jej w tej izbie równa się nierządowi! Rzeczywiście mniemasz, że ktokolwiek uwierzy, iż jej cnota pozostała nietknięta, kiedy wyjdzie na jaw, że spędziła noc w twoim łożu?

- Święci pańscy, Nick, wszak do niej nie dołączę - burknął Robin. - Będę spał przed kominkiem. Moje brudne ręce nie splugawią jej drogocennej cnoty.

- Pozwól jej spać z nami...

- Nie! Zostanie ze mną. Tylko ja jeden tutaj zdołam ją ochronić.

- Ha! - rzucił kpiąco Nicholas. - Ja także bez trudu podołam temu wyzwaniu. W istocie, sprawdzę się w owej roli lepiej od ciebie.

- Po moim trupie - warknął Robin. - Ani chwili wcześniej. Twym zadaniem jest zadbać o bezpieczeństwo Amandy i Isabelle. Oddaj dziewczętom łożo. Chłopcy niech śpią na podłodze.

- Nadal twierdzą, że powinniśmy wszyscy trzymać się razem!

- Ja zaś mówię, że nie!

Na dłużej zapadła cisza, aż Anne zaczęła się zastanawiać, czy aby Nicholas i Robin nie mierzą się wzrokiem, szykując się do zadania ciosu. Potem odezwał się Nicholas.

- Rozumiem - stwierdził cicho.

- Nic nie rozumiesz.

- Ta sprawa nie zakończy się tak, jakbyś sobie tego życzył, Robinie.

- Doprawdy?

- Doprawdy. Zamyślam się do niej zalecać.

- Powtórzę ci po raz kolejny, Nick, że ona nie jest dla ciebie.

- Dlaczego nie? Uważasz, że jest twoja?

Kiedy słońce runie z nieba i obróci nas wszystkich w popiół, pomyślała z goryczą Anne. Robin z Artane był ostatnią osobą, której załotów by sobie życzyła - gdyby w ogóle chciało mu się tak wysilać!

- Ustaw strażę przed waszą sypialnią - rzekł Robin. - Przynajmniej potencjalny napastnik napotka na swej drodze miecz, a nie śpiącego idiotę. Poradzisz sobie z tym?

- Twa ufność w moje umiejętności jest zaiste oszalamiająca, panie.

- Święci pańscy, Nick, ktoś usiłował zabić Anne, i to trzykrotnie! Nie uważam tej sytuacji za powód do żartów.

Nicholas odchrząknął.

- Toteż wcale nie żartuję. Co się zaś tyczy drugiej kwestii, w ogóle mi się takie rozwiązanie nie podoba.

Anne podzielała ów pogląd, lecz ani myślała zdradzać się z tym, że słyszała każde słowo ich rozmowy.

- Niewiele mnie obchodzi, co ci się podoba.

- Jeszcze się nie poddałem - oświadczył Nicholas. - Jej ojciec z pewnością woli mnie od ciebie.

- Ledwie cię zna - rzucił ostro Robin.
- Dopilnuję, żeby poznał...
- Och, święci pańscy, przestaniesz wreszcie! - wykrzyknął Robin. - Idź, zajmij się czymś pożytecznym, na przykład znajdź coś do jedzenia. Anne zapewne obudzi się głodna, a przy tym zbyt obolała, żeby gdziekolwiek chodzić. Rzuć najpierw psom co nieco z każdej potrawy. Kto wie, kogo drań wybierze na swoją następną ofiarę.

Nicholas westchnął głęboko.

- A już ci, tu się z tobą zgodzę.

- I pomóż mi zdjąć kolczugę, zanim odejdziesz.

- Ach, zdegradowany na giermka. Rob, wprost uwielbiam być twoim bratem.

Usłyszawszy, jak Nicholas ze świstem wypuszcza powietrze, Anne pomodliła się, żeby nie wziął odwetu na bracie. Zaprawdę, pozorowanie snu w trakcie bijatyki przerosłoby jej możliwości. Rozległ się przytłumiony hałas, a potem westchnienie.

- Od razu lepiej.

- Czy mam ci także pomóc zdjąć buty? I czy muszę wspominać, że dobędę przeciw tobie miecza, jeśli będziesz przechadzał się nago po sypialni ojca?

- Postaram się nie obrażać Anne widokiem mej żalostnej postury. Chętnie bym coś zjadł. Teraz.

- Wróć z posiłkiem i zostanę, żeby się przekonać, czy przypadł Anne do gustu.

- Przyniesiesz jedzenie, a potem sobie pójdziesz. Nakarmię ją bez twojej pomocy.

Po tych słowach znów na dłużej nastała cisza. Anne przypuszczała, że bracia piorunują się wzrokiem, usiłując zmusić jeden drugiego do ustępstwa. No cóż, przynajmniej nie szczękają miecze.

- Uważam, że popełniasz błąd - oświadczył wreszcie Nicholas, wdychając ciężko.

- Nie wątpię, że tak myślisz.

- Nie zdobędziesz jej, Robinie.

Robin jeno chrząknął. Anne słuchała, jak obaj idą ku drzwiom. Potem kroki ucichły.

- Z góry cię uprzedzam - rzekł Nicholas. - Odpłacisz mi za usługi, jakie ci teraz wyświadczam.

Przynoszenie posiłków - utyskiwał. - Giermkowanie. Święci pańscy, mam te rzeczy dawno za sobą!

Drzwi otworzyły się i zaraz cicho zamknęły. Anne trwała w bezruchu, nasłuchując, jak Robin krząta się po izbie. Stał stuknęła o drewno, kiedy, jak przypuszczała, odłożył kolczugę na krzesło lub skrzynię. Potem rozbrzmiały dwa wyraźne grzmotnięcia - zapewne zżuł buty. Rozległy się wytłumione kroki, następnie zaś syk i trzaski rozniecanego na nowo ognia. Skrzywiła się, gdy głośno zaszurał przesuwany po podłodze stołek, po czym skorzystała z późniejszego westchnienia Robina, żeby przewrócić się na drugi bok, twarzą do kominka. Poczekwała, aż znów nastanie cisza, zanim minimalnie uchyliła powiekę, by spojrzeć na Robina.

Siedział na wprost paleniska, tyłem do niej. Zwiesił głowę, tak że Anne widziała tylko spływające mu z karku gęste włosy. Przygarbił się, wyginając w łuk nagie plecy. Wyglądał na niewiarygodnie zmęczonego. Pod wpływem impulsu Anne zapragnęła doń podejść, rozmasować mu napięte mięśnie i przeczesać palcami włosy, przynosząc ukojenie.

Lecz nie, Robin nie dbał o takie gesty. Nawet jako chłopiec ich nie lubił. Nicholas, dla odmiany, rzucał wszystko na najdrobniejszą sugestię, że Anne lub Amanda byłyby skłonne poskrobać jakaśkolwiek część jego osoby. Robin wzdragał się przed wszelkimi tego rodzaju pieszczotami, oddawanie się im określając jako niemęskie. Nicholas nieodmiennie wyzywał brata od głupców z racji tego, że rezygnował z takich rozkoszy. Anne podejrzewała, że Robin sekretnie tęsknił za podobnymi czułościami, nigdy wszakże nie uległ pokusie.

Także teraz by tego nie zrobił. Ani chybi strąciłby dłonie Anne ze swoich barków, przeklinając ją dotkliwie. Zraniłby ją jak zawsze.

Czy raczej, jak ranił ją zawsze w przeszłości, poprawiła się zaraz. W tej chwili by jej to nie obeszło. Odkąd schroniła się za tą nowo odkrytą niechęcią do młodego pana na Artane, ani jego drwina, ani odrzucenie nie dotknęłyby jej ani trochę. W istocie jedynie utwierdziłyby ją w opinii, jaką powinna była mieć o nim od początku. Był okrutną, bezduszną, pozbawioną ogłady gnidą. Szarmancki rycerz nie wgniata swej pani w błoto ani tym bardziej nie zostawia jej, żeby sama się pozbierała. Nie, Anne nie chciała mieć do czynienia z mężczyzną o tak podłych manierach.

Dlaczego zatem świadomość, że Robin - jakkolwiek dość brutalnie - ocalił jej życie, wyciskała Anne łzy z oczu?

Zapukano do drzwi i Anne natychmiast opuściła powieki. Trwała w bezruchu, kiedy Robin poszedł otworzyć.

- Straże? - zapytał.

- Twoi ludzie - odparł cicho Nicholas. - Przy tych drzwiach i pod sypialnią synów. Jason także tu przyjdzie.

- Co z sir Edwardem?

- Łka w lochu - poinformował go z odrazą Nicholas. - Najbardziej żalostna namiastka rycerza, jaką widziałem.

- Niech tam zostanie. Być może rozwiąże mu się język.
- Przysięga, że nie miał z tą sprawą nic wspólnego.
- Wierzysz mu? - dociekał Robin.
- Należy do drużyny ojca. Nie wyobrażam sobie takiej nielojalności.
- Potrzymamy go tam parę dni i zobaczymy, czy w tym czasie coś się wydarzy - stwierdził Robin, wzdychając ciężko. - A teraz, jeśli pozwolisz, muszę chronić pewną panią i obejdę się bez twojej pomocy.
- Robinie, nadal nie jestem przekonany...
- Wiem, co robię. Ty dopilnuj realizacji reszty planu. I miej baczenie na Amandę. Nie chciałbym, żeby dziewczę ubito, zanim jeszcze kilka razy przetrzępię jej skórę.
Nicholas prychnął.
- Nie wątpię. Przekazę jej twoje pozdrowienia, bracie.
- Psy kosztowały tego jedzenia?
- Tak. Wszystkie nadal dychają.
- W porządku.

Drzwi się zamknęły. Robin wrócił do kominka i postawił na podłodze kosz pełen jedzenia, którego zapach Anne czuła ze swego miejsca. Od jej ostatniego posiłku upłynęły całe godziny i jej brzuch głośno dał wyraz oburzeniu z tego powodu.

- Anne?

Uzmysłowiła sobie, że Robin na nią patrzy. Dalsze pozorowanie snu zdało jej się głupie.

- Tak?

- Chodź jeść - powiedział, odwracając się do niej plecami i siadając na podłodze.

Ach, cóż za uosobienie galanterii. Usiadła, krzywiąc się, kiedy jej ciało oprotestowało tę nieskomplikowaną czynność. Czuła się tak, jakby ją pobito. Albo jakby rozgniół ją na ziemi bardzo ciężki rycerz w kolczudze. Niewykluczone, że uderzenie maczugą okazałoby się mniej bolesne. Odepchnęła się od materaca, zachwiała, po czym dla odzyskania równowagi wykonała szybki krok naprzód, od którego zaszczękały jej zęby. Powłócząc nogami, ostrożnie zbliżyła się do kominka, zbyt wściekła na grubiaństwo Robina, żeby wstydzić się swojego nieporadnego chodu. Niechby chociaż ruszył ten swój gnuśny tyłek i zaproponował jej ramię!

Nawet nie podniósł wzroku, kiedy stanęła obok niego, obmyślając, w jaki sposób - inaczej niż upadając - osiągnąć poziom podłogi. Robin chrząknął ze zniecierpliwieniem.

- Siadaj, Anne.

Zgrzytnęła zębami.

- Próbuję.

- Guzdrasz się.

- Niech cię diabli, Robinie, mógłbyś mi pomóc!

Posłał jej mroczne spojrzenie.

- Nie lubisz, kiedy ktoś się z tobą cacka, toteż tego nie robię. Siadaj i jedz, Anne, póki jeszcze coś zostało.

Z chęcią by go uderzyła. Owszem, nie chciała, żeby koło niej skakano, od czasu do czasu nie wzgardziłaby wszakże szarmancko zaproponowaną pomocną dłońią. Zamrugła, odpędzając łzy frustracji, i rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby się wesprzeć. Jeśli ugnie nogę, niczego się nie przytrzyma, ta się pod nią załamie. Ciało miała dostatecznie obolałe i bez nowych sińców. Uchwyciła się kamiennego wspornika kominka, kłękając na zdrowej nodze, podczas gdy tę niesprawną wyciągnęła przed siebie. Podrapała sobie dłońie o kamień, lecz przynajmniej szczęśliwie opadła na podłogę. Jeśli pominąć utratę godności w drodze na dół. Spiorunowała Robina wzrokiem. Spieszenie odwrócił twarz.

Więc wzbudza w nim odrazę. Ani trochę jej to nie obeszło. Nienawidziła go. Powtarzała to sobie w duchu raz po raz, kiedy posilała się pieczonym ptactwem i chlebem, popijając je winem z butelki, którą zabrała z rąk Robina. Skończywszy jeść, przesunęła się odrobinę w prawo, tak by znaleźć się na wprost swojego porywacza.

- Nie chcę tu z tobą zostać - oznajmiła.

Wpatrywał się w płomienie.

- Nie musisz się obawiać o swą cnotę.

Anne roześmiała się gorzko.

- Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Wiesz równie dobrze jak ja, że fakt utraty przeze mnie cnoty nigdy nie wyszedłby na jaw. Nie zechce mnie żaden mężczyzna.

- Głupia dziewczka - wymamrotał Robin.

- Mężczyźni nie biorą sobie kulawych żon.

- Cicho - rzekł ostro, przyszpilając ją spojrzeniem. - Gadasz głupstwa.

Wysunęła brodę.

- Prawda przedstawia się tak, że nie chcę tu pozostać, albowiem nie mogę znieść przebywania z tobą w tym samym pomieszczeniu.

- Do wyboru masz najpewniej śmierć. Przypuszczam, że stojąc przed takim wyborem, zniesiesz moje towarzystwo.

- Wolałabym śmierć - oświadczyła wyniośle.

Chlusnął w płomień zawartością swojego kubka, aż zasyczało.

- Nie wiedzieć czemu mnie to nie dziwi - skomentował.

Poderwał się na równe nogi, krewko wzuł buty i chwycił tunikę z oparcia fotela. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Anne odwróciła się i beznamiętnie wpatrzyła w ogień, z rozmysłem ignorując okoliczność, że pieką ją oczy. Każdy gest Robina, każdy jego oddech świadczyły o niechęci i odrazie, jakie żywił wobec niej. I czemuż by nie? Dlaczego kiedykolwiek miałby poczuć wobec niej co innego? Choć ani chybi przepłoszył co bardziej bojaźliwe dziedziczki w Anglii, te śmielsze się go nie bały.

Zarówno z dworu, jak i z kontynentu docierały do uszu Anne opowieści o jego niecnym dokonaniach. Rhys wściekał się z powodu splodzonych przez Robina bękartów, aczkolwiek zakładał, że ich liczba jest przesadzona. Lecz czy ów fakt cokolwiek zmieniał? Anne widziała kobiety, które chętnie się tym, że gościły Robina w swych łóżach. Piękne, eleganckie, o doskonałych figurach, idealnych fryzurach i wysmienitych manierach. Żadna z nich nie była kulawa. Miałaby kiedykolwiek spojrzeć na Anne, skoro miał taki wybór?

Zresztą Nicholas jej pragnął. Czy tego nie powiedział? Czy nie starał się wkraść w łaski jej ojca z entuzjazmem, jaki Robin wykazywał jedynie w trakcie zartej walki?

Żał wtedy, że Nicholas nie był tym bratem, którego kochała.

Zamknęła oczy, nie zważając na wymykające jej się spod powiek łzy.

Rozdział 17

Robin oparł się plecami o drzwi i wolno wypuścił powietrze z płuc. Potem zdał sobie sprawę z obecności straży pod ścianą naprzeciw. Cudownie. Do pełni rozdrażnienia brakowało mu jeszcze tylko rozsiewanych w drużynie wieści o jego dziwnym zachowaniu. Wyprostował się, obrzucając mężczyzn istic królewskim spojrzeniem.

- Nikogo nie wpuszczać - rozkazał.
- Panie? - U boku Robina pojawił się Jason.
- Zostań tu - polecił Robin. - Strzeż pani Anne.

Jason potaknął, robiąc wielkie oczy. Uzyskawszy kolejne potaknięcia od straży, Robin oddalił się korytarzem, zanim ponownie zrobił coś głupiego. Przynajmniej strażnicy byli jego ludźmi, tedy w razie konieczności da się ich zastraszyć. Ponadto im ufał. Anne nic w tej izbie nie groziło. Zaiste, kiedy teraz miał okazję zastanowić się głębiej nad tą kwestią, zaczynał podejrzewać, że może być bezpieczniejsza bez niego. Natomiast z całą pewnością wiedział, że prędzej zgnije w piekle, niżli dopuści do tego, by Nicholas znalazł się tam z Anne sam na sam. Ciężkim krokiem zszedł po schodach, nawet nie próbując rozewrzeć zaciśniętych szczęk. Gniew buzował w nim tuż pod powierzchnią. Do czego, u diabła, zmierzał Nicholas? Bez wątpienia nie kochał Anne. Zarazem wszakże nie był okrutny, przeto Robin musiał przyznać, że brat nie bawiłby się z nią li tylko dla rozrywki. Nie wykorzystałby też Anne po to, żeby dopiec Robinowi. Nie potrafił rozwikłać tej piekielnej zagadki.

Natomiast w kilku innych kwestiach miał jasność. Chociażby co do tego, że jego ojciec pozostanie poza domem co najmniej przez miesiąc, a zatem równie długo potrwa nieobecność Geoffreya z Fenwyck. Być może przez ten czas Robin zdoła obmyślić strategię, dzięki której zyska uznanie rodzica Anne.

Kolejny problem stanowiło wyznaczenie osoby do pilnowania Anne, kiedy Robin będzie doglądał spraw warowni. Mimo swych wcześniejszych deklaracji pojmował, że niemożliwe będzie dlań strzec Anne przez okrągły dzień. Należało zrekrutować kogoś, kto przejmie ów obowiązek w czasie, gdy Robina pochłoną inne zajęcia.

Niemniej, do diabła, na pewno jego wybór nie padnie na Nicholasa. Robin przypuszczał, że Miles podołałby zadaniu, tedy jego kandydatura wydawała się warta rozważenia. Ponadto Anne zapewne chętniej przystanie na towarzystwo Milesa niż Robina.

Ta refleksja przypomniała mu o ostatnich słowach Anne i na czole Robina pojawił się mars. Zatem nie mogła znieść jego obecności. Niewykluczone, że zmieni zdanie, stanąwszy w obliczu obnażonego miecza. W istocie może wówczas odkryje, że mimo wszystko potrzebuje Robina. Jemu samemu z kolei trzeba było teraz solidnego napitku. Liczył, że zdoła w nim utopić jej oszczerstwa.

Znalazł brata siedzącego samotnie przed kominkiem z kubkiem w dłoniach. Robin usiadł naprzeciw niego i sięgnął po dzban. Z faktu, że Nicholas nadal oddychał, wnioskował, że piwo nie jest zatrute.

Tyle że kiedy już trzymał w dłoni kubek z piwem, odkrył, że stracił na nie ochotę. Zapatrzył się w ogień, nie blokując dłużej dostępu prawdom, które niestrudzenie torowały sobie drogę do jego umysłu.

Ktoś usiłował zabić Anne.

Anne wolała umrzeć, niżli przebywać z Robinem w jednym pomieszczeniu.

Zaś Nicholas ani chybi cieszył się większymi niż on łaskami u ojca Anne.

Robin ponuro skonstatował, że ma za sobą wyjątkowo nieprzyjemny dzień.

- Zasugerowałbym ci, żebyś udał się na spoczynek - odezwał się Nicholas - wiem atoli, do jakiego łoża skierowałbyś wówczas swe kroki, i przysięgam, że do tego nie dopuszczę.

Robin spojrzął na brata, wszelako nie zdołał zgromadzić w sobie dość irytacji, żeby grzmotnąć go za te słowa.

- Nie musisz się o nią obawiać - rzekł ze zmęczeniem. - Jestem jej zupełnie obojętny.

- Ach tak? - Nicholas ożywił się, nadstawiając uszu. - Tak sądzisz?

- A jakże, wiem to. Nie potrafi znieść mojej obecności.

- Wspaniale - skomentował jego brat takim tonem, jakby żadna inna informacja nie zdołała mu sprawić większej radości. \

Właśnie ów ton wyrwał Robina z otepienia. Zmierzył brata nieprzychylnym spojrzeniem.

- Przypuszczam, że ciebie także nie mogłaby ścierpieć, gdybyś to ty wgniół ją dziś w błoto. Przynajmniej ocaliłem jej cenną skórę. Co natomiast ty zrobiłeś dla niej ostatnio, nie licząc obśliniania jej rąk?

- Byłbym dla niej dobrym mężem.

Robin nawet nie sięgnął po miecz. Wolno pokręcił głową, modląc się w duchu, żeby poważna rozmowa z Nicholasem nie okazała się błędem.

- Niewykluczone - przystał - lecz nie kochasz jej szczerze. Mam rację?

Przez błogosławioną chwilę, która dla Robina mogłaby trwać i całą wieczność, Nicholas milczał. Potem westchnął.

- Łatwo bym się tego nauczył.

- Ona jest moja, Nick - oznajmił Robin, rzucając się na głęboką wodę, nim opuściła go odwaga. - Była moja, odkąd ją po raz pierwszy ujrzałem.

- Wrzuciłeś jej robaka za kołnierz. Wątpię, czy z sentymentem wspomina to zdarzenie.

- A co miałem zrobić? - zapytał gniewnie Robin. - Przykleknąć przed nią i wyznać jej miłość? Byłem jeno chłopcem! Chłopcom przychodzą do głowy różne dziwne pomysły.

Nicholas przez dłuższy czas przyglądał mu się w milczeniu, potem zaś równie długo wpatrywał się w ogień. Robin przypuszczał, że brat usiłuje postanowić, czy opłaca mu się dalej walczyć. Miał nadzieję, że Nicholas podejmie właściwą decyzję. Z wielką niechęcią przeszłyby brata mieczem, niemniej gra toczyła się o rękę Anne.

Przy założeniu, że ona Robina zechce.

A jego szanse zdecydowanie wzrosną, jeśli Nicholas przestanie wchodzić mu w drogę. Zresztą powiedział prawdę. Nicholas może i kochał Anne, lecz było to braterskie uczucie. Robin nie wyobrażał sobie ich dwojga razem. Nicholas pobyłaby jej nadmiernie, Anne wkrótce by się do tego nadmiernie przyzwyczaiła i już po kilku miesiącach oboje staliby się nieszczęśliwi.

Wszakże te rozważania nie miały nic do rzeczy. Anne należała do Robina, nie zaś do jego brata. Od zawsze.

Oczywiście pod warunkiem, że Robin zdoła ją o tym przekonać.

Znienacka Nicholas z westchnieniem wyprostował się w fotelu. Uniósł kubek.

- Dobrze tedy, poddaję bitwę.

- Mądra decyzja - stwierdził Robin, czując niezdrową ulgę.

- Nadal wszak twierdzą, że byłbym dla niej dobrym mężem.

Robin wzdrygnął się w duchu na myśl o słodczy Anne połączonej z ckliwością jego brata. Byłoby tego za dużo jak na jedną rodzinę.

- Poszukaj sobie wybranki gdzie indziej - poradził. - Daleko od Anne, jeśli łaska.

- Mógłbym ją pokochać. Kocham ją.

- Jak siostrę - doprecyzował Robin z nadzieją, że błysk, jaki niewątpliwie pojawił się właśnie w jego oku, wywrze głębokie wrażenie na jego rozmówcy. - Darzysz ją czysto braterskim uczuciem, nic ponadto.

- Jej ojciec woli mnie - zauważył Nicholas, a na jego ustach zaczął się błąkać nieznaczny uśmiech.

- Z czasem do mnie przywykniesz. Jeśli zaś nie do mnie, to do mego dziedzictwa.

- Tu akurat się z tobą zgodzę. Dostrzegam zalety bycia pierworodnym.

Także Robin choć raz je dostrzegął. Wyprostował się.

- Zajmij się sprawami warowni, dobrze? Ja pójdę strzec Anne.

- Pilnuj pleców.

- Nikogo się nie lękam - oznajmił z przekonaniem Robin.

- Anne może cię dźgnąć, kiedy będziesz spał.

Robin wstał z chrząknięciem. W tych słowach kryło się nieco racji. Kto wie, czy nie powinien na powrót założyć kolczugi, zanim uda się na spoczynek.

- Przyjdź do mnie z samego rana - rzekł. - Podzielimy między siebie zadania.

Nicholas skinął głową.

- Wedle twojej woli. Och, i Rob?

Robin przystanął.

- Tak?

- Śpij na podłodze - zasugerował Nicholas.

Jakby Robin ośmielił się wejść do łóżka! Wówczas Anne na pewno by go zabiła. Robin dla czystej satysfakcji przytknął brata w ucho, po czym ruszył na górę, do ojcowskiej sypialni.

Kiedy szedł korytarzem, po plecach przebiegł mu dreszcz. Pewnego dnia będzie kroczył tędy jako lord Artane.

Przy założeniu, że Anne nie zadąga go, zanim Robinowi będzie dane przeżyć ojca.

Otrząsnął się z tych myśli, zbliżając się do sypialni rodzica. Gdy uzyskał od swych ludzi potwierdzenie, że do izby nie przedostali się żaden morderca ani też nie wymknęły się z niej uparte dziewczki, wszedł do środka i zaryglował za sobą drzwi. Natychmiast spostrzegł Anne. Leżała przed kominkiem owinięta w swój płaszcz. Skrzywił się. Czy nie zdawała sobie sprawy, że w ten sposób przeiębi się na śmierć? Cicho przeciął pomieszczenie i kucnął przy niej, rad, że przez chwilę może na nią spokojnie popatrzeć.

Zakrawało na cud, że dotąd się nie zaręczyła. W istocie dziwne. Robin doskonale pamiętał rok, kiedy Anne minęła piętnasta wiosna i jej ojciec przybył do Artane z mężczyzną o dziesięć lat od niej starszym, w jego mniemaniu idealnym kandydatem na męża. Robin wychodził z siebie z zazdrości, aczkolwiek ze wszech miar starał się tego nie okazać. Na szczęście jego ojciec miał więcej rozsądku niż rodzic Anne i wyperswadował Fenwyckowi ów koncept.

Od czasu jej wypadku nie pojawiły się żadne inne propozycje małżeństwa. Robinowi szalenie to odpowiadało. Mężczyźni dostrzegali jedynie jej chromą nogę, on zaś z zadowoleniem przyjmował ich ślepotę.

O tak, była pięknym stworzeniem. Irytującym, niemniej pięknym. Czy jakikolwiek mąż mógł spojrzeć w to anielskie oblicze i nie poczuć przyływu natchnienia, by opiewać je pieśnią? Chyba że był Robinem z Artane i w jej obecności zapominał języka w gębie. Robin uśmiechnął się do siebie ponuro. Niewykłuczone, że mowę odbierał mu opętający tumult, jaki panował aktualnie w jego głowie. Ze wszech miar starał się nie myśleć o Anne, kiedy przebywał poza domem.

Odkąd wszakże powróci! do Artane, nie myślał o niczym innym. Zwłaszcza gdy widział, jak jego bezmózgi brat usiłuje się do niej zalecać. Święci pańscy, jakże pragnął udusić Nicka za te próby! W minionych dniach Robin mógł jeno przypatrywać się jej wieczorami, skryty w cieniu. Obserwował, jak blask ognia tańczy na jej włosach i jasnej skórze, jak jej dłonie miętoszą materiał sukni bądź go wygładzają w zależności od tego, w jakim była nastroju. Pragnął porwać ją w ramiona i dumnie unieść w dal, żeby nigdy więcej nie puścić. Nie uczynił tego wszakże. Anne nie lubiła, gdy się jej narzucano, a przy tym nie żywiła dłań żadnych uczuć. Marzyła o szarmanckim rycerzu o wyszukanych manierach i przyjemnym sposobie bycia.

Czyli o dokładnym przeciwieństwie Robina. Mężczyźni na nic się zdają wykwintne maniery czy gładkość wymowy, kiedy ciężkim krokiem przemierza nasiąkniętą krwią ziemię, starając się zachować głowę na karku. Nie pyta też, do diaska, uprzejmie o zgodę, zanim rozłupie przeciwnikowi czaszkę!

Robin szczerze wątpił, czy zdoła sobie przypomnieć, jak grać możnego pana. Nie wiedział nawet, czy chce mu się próbować. Ostatecznie zyskał sobie reputację człeka bezwzględnego. Byłoby szkoda, gdyby utracił ją jedynie dlatego, że jego ludzie ujrzą go, jak snuje się za Anne niczym bez - przytomne ciele. Nie, winien pozostać twardy i zimny. Tym sposobem zachowa pozycję w oczach przybocznych, a zarazem oszczędzi sobie upokorzeń, jako że Anne ani chybi nieustannie okazywałaby mu wzgardę. Marszcząc brwi, spojrzął na swoją podopieczną. Odnosił wrażenie, że pod jej oczami i bruzdy na czole, których nie wygładził nawet sen. Spanie na podłodze było głupotą. Mięśnie jej zeszywnieją, tak że nazajutrz będzie cierpiała. Tej dziewczynie przydałoby się parę lekcji na temat dbania o siebie. Zawahał się. Ostatecznie pomysł nie wydawał się zły. Robin znał człowieka, którego noga swego czasu uległa zmiążdżeniu w bardzo podobny sposób jak noga Anne. Teraz zaś ów człek cieszył się fizyczną sprawnością i krzepą, twierdząc, że wyleczył się dzięki gorącym kąpielom tudzież wcieraniu oliwy w zeszywniałe mięśnie. Zmuszał się także do codziennych ćwiczeń. Anne powinna pójść w jego ślady. Robin przysłużył się jej, zabierając ją na spacer na dwór, a przy okazji sam odetchnie od uwieżenia we własnej sypialni. Jakkolwiek bez wątpienia Anne nie pozwoli mu dotknąć nogi, mógł jej pokazać, co należy robić.

Tym sposobem zyska jeszcze jeden powód, żeby przebywać blisko niej. Nawet gburowaci, opryskliwi rycerze tęsknią za towarzystwem swych wybranek. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Anne, obudź się. Nie możesz spać przed kominkiem.

- Idź sobie - wymamrotała, zabierając jego rękę.

Robin zawahał się, ponownie rozważając swój plan. Zadanie chyba okaże się trudniejsze, niżli zakładał. Na szczęście był człowiekiem czynu, przeto ani trochę nie zważał na jej słowa. Uniósł ją w ramionach.

- Zadajesz mi ból!

- Ledwie cię dotykam - odparował. - Po prostu niosę cię do łóżka. Nie musisz wrzeszczeć, jakbym cię bił.

Przygryzła wargę i nie odezwała się więcej. Robin położył ją delikatnie i okrył.

- Nie zmarzniesz?

Pokręciła głową, unikając jego wzroku. No cóż, dziewczyna na wpół spała. Nie powinien mieć pretensji, że nie okazuje mu wdzięczności. Wziął swój płaszcz z oparcia fotela i usiadł przed kominkiem. Dolożywszy dREW do ognia, otulił się płaszczem i spróbował ułożyć się wygodnie na twardej podłodze. Zadanie nie było łatwe, a Robin nie wątpił, że rankiem pożałuje tej decyzji. Niemniej tym samym zdobył się na drobny szarmancki gest, który z czasem Anne być może doceni.

* * *

Robin dobrą chwilę rzucał się i wiercił na podłodze, zanim wreszcie się poddał i poszukał wygody fotela. Usiadł, podpierając brodę na postawionych na sztorc palcach, i zamyślił się nad tajemnicą, z którą przyszło mu się zmierzyć.

Z całą pewnością Stephen z Hardwiche nie był faktycznym celem zabójcy. Dzisiejszy wypadek na placu nie pozostawiał w tej kwestii wątpliwości. Dlaczego wszakże ktoś chciałby skrzywdzić Anne? Czy ktokolwiek w warowni coś by na tym zyskał?

Pierwsze podejrzenia Robina padły, oczywiście, na Baldwina, lecz nawet takie wyjaśnienie nie miało sensu. Baldwin waśnił się z Robinem, nie z Anne. Ponadto nie mógł wiedzieć o uczuciu Robina do dziewczyny. Dlaczego zatem krzywdziłby Anne, skoro to Robina nienawdził? Zresztą Robin nie podejrzewał Baldwina o wyobraźnię niezbędną do uknięcia tego rodzaju intrygi. Nie, za tymi zdarzeniami musiał stać ktoś inny, a przyświecające mu motywy pozostawały na razie zagadką. Robin z westchnieniem odepchnął od siebie te myśli. Przed wschodem słońca rozpocznie trening; przy odrobinie szczęścia coś przyjdzie mu wówczas do głowy. Tu w izbie umieści Amandę i Isabelle, żeby dotrzymywały towarzystwa Anne. Zostawi z nimi Milesa. Nicholas nie stanowił już problemu, tedy Robin mógł się skupić na innych kwestiach. W pierwszej kolejności pomoże Anne

wydobrzeć po tym, jak rozgniół ją na ziemi. Niewykluczone, że kiedy Anne poczuje się lepiej, przychylniej spojrzy na jego osobę. Aczkolwiek Robin podejrzewał, że nie zareaguje zbyt przyjaźnie na to, co zamierzał zrobić z jej nogą. Wsparł głowę na oparciu fotela i zamknął oczy. Jutro. Zajmie się tym wszystkim jutro.

Rozdział 18

Maude z Canfield stała w głębi korytarza, kurczowo tuląc do siebie poskładaną bieliznę pościelową.

Przed momentem widziała, jak Robin wszedł do pańskiej sypialni. Drżała. W istocie, dygotała tak gwałtownie, że musiała mocno ścisnąć pościel, żeby jej nie upuścić. Wszelako nie ze strachu tak się trzęsła. Przepęłniał ją gniew.

Nie wierzyła własnym oczom. Wszedł do izby sypialnej, żeby być z tamtą! Maude miała przemożną chęć z wrzaskiem pobiec korytarzem i walić w drzwi, aż oni dwoje przestaną.

Nie mogła wszak tego uczynić. W korytarzu stały liczne straże, umieszczone tu ani chybi po to, żeby chronić tamtą. Ponadto na dole Maude widziała psy, kosztujące wszystkiego, co przynoszono z kuchni.

Będzie musiała znaleźć inny sposób. I to szybko. Zanim między nimi do czegoś dojdzie. Należało powstrzymać Robina przed popełnieniem katastrofalnego błędu. Tamta zaś drogo zapłaci za ból, jaki dotąd zadała Maude.

Maude oparła się o ścianę korytarza, zatapiając się we wspomnieniach. Miała Robina dla siebie przez niemal dwa tygodnie. Oczywiście, w jej łóżu gościł tylko przez jedną noc, a i to po dwóch tygodniach nieprzerwanych wysiłków Maude, żeby go tam zaciągnąć. Kiedy zaś wreszcie go zdobyła, kto wkroczył pomiędzy nich? Tamta.

Odepchnąwszy się od ściany, Maude zawróciła i wycofała się korytarzem. Będzie musiała poczekać, lecz z pewnością niezbyt długo. Edith może i opracowała plan, aliści wymagał on zbyt wiele czekania. Maude zdecydowanie pragnęła uniknąć kolejnego spotkania z pięściami Baldwina, niewykluczone wszelako, że jego także zdoła wywieść w pole. Zresztą nie ufała żadnemu z tych dwojga. Otrzymała obietnicę, że dostanie Robina, jak dotąd zaś nie pozwolono jej nawet z nim porozmawiać. Co więcej, Maude ścięto jej najwspanialszą ozdobę, pozostawiając ją z poszarpanymi lokami, które nie przyciągnęłyby prostego człowieka, a cóż dopiero dziedzica Artane.

Nie, nie zamierzała dłużej zwlekać. Tamta w końcu wychynie z sypialni. Kiedy zaś to zrobi, Maude będzie gotowa.

Szkoda jednakowoż, że brakowało jej talentu Edith do władania bronią. Maude obserwowała ją w trakcie podróży do Artane. Edith rozgromiła paru zbrojów ukrytymi przy ciele sztyletami. Zabijała cicho, bez widocznej przyjemności. Był to przerażający widok.

Maude wyprostowała się, zanim weszła do kuchni. Nieważne, że sama nie posiadała podobnych umiejętności. Edith mogła świetnie radzić sobie z bronią, wszakże orężem Maude był spryt. Miała go znacznie więcej, niż powszechnie sądzono. Musiała jedynie uczynić zeń użytek. Kiedy tamta polegnie, Robin będzie wolny. Wówczas zaś Maude dostanie to, co jej obiecano.

Rozdział 19

Anne obudziła się w pustym łóżu. Na moment wpadła w panikę, zanim dotarło do niej, że nie znajduje się w Fenwyck. Była w Artane. Tyle że nie w tym co zwykle pomieszczeniu, lecz w sypialni Rhysa i Gwen. Z Robinem.

Donośne chrapanie kazało jej przypuszczać, że on nadal rezyduje w izbie. Jak przez mgłę pamiętała, że zaniósł ją do łóża i położył w pościeli. Szybko ustaliła, że nadal ma na sobie wszystkie - z wyjątkiem butów - elementy stroju i nie umiała się zdecydować, czy powinna czuć z tego powodu zawód, czy wręcz przeciwnie. Gdyby obudziła się naga, mogłaby przynajmniej z czystym sumieniem przeszyć go sztyletem.

Niemalże natychmiast dała o sobie znać paląca potrzeba i Anne jęknęła, starając się usiąść. Jak zdoła zająć się tego rodzaju sprawą, mając pod bokiem Robina? Chyba że wymknie się i poszuka garderoby, zanim on zorientuje się w jej zamiarach. Przygryzła wargę, zwieszając nogi nad podłogą. Święci pańscy, odnosiła wrażenie, jakby miała całe ciało w sińcach. Przynajmniej teraz ból w nadgarstku stał się prawie nieodczuwalny. Kusiło ją wielce, żeby wczłochać się z powrotem pod koce i pozostać tam, póki nie wydobrzeje.

- Anne?

Do licha, że też łajdak w końcu nastawił uszu.

- Śpij dalej - powiedziała stanowczo, żywiąc nadzieję, że on rozpozna ten ton i podporządkuje się jej bez dalszych pytań.

Odczekała chwilę. Kiedy uznała, że Robin na powrót zasnął, przeniosła ciężar ciała na stopy, opierając je na podłodze. Kotary łóża rozsunęły się raptownie, ukazując stojącego przy nim Robina. Rozespany pocierał twarz.

- Co robisz, na litość boską? - zaburczał. - Uciekasz?

- Muszę wyjść za swoją potrzebą.

Ziewnął szeroko, po czym wskazał narożnik izby.

- Tam stoi nocnik. Skorzystaj z niego.

- Robinie!

Zamrugnął.

- Co znowu? Co tym razem zrobiłem?

- Nie zrobię tego, kiedy ty tu jesteś!

- Anne, spędzimy razem w tej izbie kilka dni. Równie dobrze możesz już teraz do tego przywyknąć.

- Nie - odparła. - Musisz wyjść.

- Minionego wieczoru przyniosłem parawan. Z pewnością wystarczy, żeby ochronić twoją skromność.

Zgrzytnęła zębami. Nie tylko o swoją skromność się martwiła, lecz nie zamierzała głośno przyznać, że obawia się tego, czy utrzyma się na nogach dostatecznie długo, by dokończyć dzieła.

- Nie w tym rzecz - wymamrotała.

- Ach - rzekł ze zrozumieniem. - Głupiec ze mnie, że o tym nie pomyślałem. Będziesz potrzebować pomocy.

Sporunowała go wzrokiem.

- Jeśli ci się zdaje, że kiedykolwiek pozwolę ci zbliżyć do mnie na tyle, żebyś pomógł mi przy tej czynności, to jesteś większym dumniem, aniżeli sądziłam. Zejdź mi z drogi. Skorzystam z garderoby.

Na czole Robina pojawił się mars.

- Nie opuścisz tej izby.

- Nie jestem twoim więźniem. - Zmusiła się, żeby wstać.

- Owszem, jesteś. Dopóki nie wyjaśnimy tej tajemnicy, będziesz chodzić tam, gdzie ci powiem, i zostawać na miejscu, gdy tak rozkażę.

- A cóż to dla ciebie za różnica? - zapytała gniewnie. - Czy przeżyję, czy umrę?

- Żadna - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Dlatego właśnie niemalże oberwałem wczoraj w głowę nabitą kolcami głowicą i także z tego powodu nie zmrzyłem w nocy oka, śpiąc w tym przeklętym fotelu! - Z każdym wypowiedzianym słowem jego głos przybierał na sile, aż w końcu przerodził się w krzyk. - Jestem bezmózgim głupcem, a ty złoźnicą! A teraz skorzystaj z tego przeklętego nocnika i wracaj do łóża.

Zebrało jej się na płacz, lecz niech ją lichy, jeśli dostarczy mu tej satysfakcji. Splotła zatem ręce na piersi i obdarzyła Robina spojrzeniem budzącym grozę - a przynajmniej taką miała nadzieję.

- Wyjdź - poleciła, zaciskając zęby.

- Nie.

Zanim Anne zdążyła się dobrze zastanowić, chwyciła tkwiący za jego pasem sztylet. Z niejakim podziwem obserwowała swą dzielną rękę, gdy ta wymierzyła niewielkie ostrze w pierś Robina.

- Z drogi - powiedziała.

Robin spojrział na nóż, po czym prychnął.

- Nie pchnęłabyś mnie.

- Pokusa wydaje się wręcz nie do odparcia - stwierdziła Anne.

Niech diabli porwą tego mężczyznę za to, że nawet nie próbował się bronić. Anne chciałaby mieć odwagę, żeby dźgnąć go mocno między żebra, przy odrobinie szczęścia nader boleśnie. Kto wie, czy nie czekałaby go powolna śmierć w męczarniach. Nic nie sprawiłoby Anne większej przyjemności, niż siedzenie przy jego łożu i obserwowanie, jak tygodniami cierpi katusze, by wreszcie wydać ostatnie, pełne bólu tchnienie.

- Ty, pani - oznajmił, stojąc nadal przed nią, jakby nigdzie mu się nie spieszyło - skorzystasz z nocnika.
- Robinie, ty durniu - rzekła wzburzona. - Nie jestem jednym z twoich ludzi, żebyś mną komenderował!
- I wielka szkoda! Wszystko stałoby się wówczas prostsze!

Ukłuła go sztyletem.

- Z drogi, w tej chwili. Nie staję mi już czasu ani tchu, żeby z tobą dyskutować. Nawet ty powinieneś dostrzegać różnicę między sypialnią twego ojca a namiotem na polu bitwy.

- A jakże - odparował gniewnie. - Tutaj jest nocnik! Gdybyś należała do drużyny, stałabyś teraz za drzewem!

Robin z Artane był irytującym, beznadziejnie prymitywnym gburem. Brakowało mu jakiegokolwiek obycia w relacjach z kobietami. Anne uznała, że próżno strzepić sobie dalej język. Cisnęła weń sztyletem, po czym minęła Robina, kiedy starał się odeprzeć atak. Przecięła izbę tak szybko, jak tylko pozwoliło jej na to obolałe ciało, lecz przy drzwiach i tak natknęła się na zagradzającego jej drogę rycerza. Spiorunowała go wzrokiem.

- Robinie...

Spojrzał na nią, po czym wolno uniośł dłoń w geście poddania.

- Nie podoba mi się to...
- Mało mnie obchodzi, co ci się podoba.
- Jeśli wszakże jesteś zdeterminowana...
- Wielce.

Westchnął.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek miałem nieszczęście...

Odepchnęła go na bok, zanim skończył mówić. Dokonała tego bez trudu, ani chybi dlatego, że jej na to pozwolił. Gdyby planował udaremnić jej zamiary, tkwiłby nieruchomo jak głaz. Przytrzymał ręką drzwi, zanim całkiem je otworzyła.

- Pozwól przynajmniej, że pójde z tobą, żeby cię chronić - rzeki cicho. - W razie ataku będziesz bezpieczna.

Podniosła nań wzrok. Potem zaś tego pożałowała.

Miał poważny wyraz twarzy, lecz nie była to powaga noszona przez mężczyznę niczym tarcza, gdy staje wobec odrażającego zadania bądź zmaga się z nieprzyjemną sytuacją. Jego zatroskanie rzucało się w oczy - nawet Anne je widziała. W blasku pochodni szare tęczęwki Robina zdawały się niemal czarne, a cała jego postawa sugerowała ogromne znużenie. Z pewnością mógłby po prostu pozwolić jej wyjść, samemu zaś umożliwić się na jej miejscu w łożu. Mimo to stał tutaj, gotów strzec jej w drodze do garderoby.

- Robinie, nie będziemy się wszak przedzierać przez pole bitwy - zauważyła, stopniowo odczuwając niedorzeczność sytuacji.

- Gdyby tak się zdarzyło, pani Anne, mym przywilejem byłoby cię chronić.

Z tymi słowy ujął ją za rękę i pociągnął za sobą na korytarz.

Podążyła za nim, usiłując odnaleźć w sobie nienawiść, którą czuła doń minionej nocy. Kopała głęboko w poszukiwaniu okruczeństwa czy irytacji, jakie towarzyszyły jej przez ostatnie dwa tygodnie. Na szczęście, kiedy jej ciało protestowało przeciw każdemu ruchowi, Anne bez trudu na nowo odkryła w sobie te emocje.

Jednakowoż przez owo morze zranień i gniewu wytrwale torowało sobie drogę nieśmiałe uczucie spokoju, jakby posiadała coś cennego. Jego przywilejem byłoby ją chronić...

Te słowa zmiękczyły jej serce, a jego czyny wlały ciepło w jej duszę. Ogólnie rzecz biorąc, jawiło jej się to dosyć niepokojącym.

Do tego dochodziło jeszcze nowe doznanie, gdy pewnie trzymał jej dłoń w swojej, schowanej za plecami. Zapewne nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył ów gest. Niewykluczone też, że obawiał się, że przyniesie mu wstyd, jeśli ktoś ujrzy go akurat w jej towarzystwie. Wszelako nie puścił Anne, dopóki nie znalazła się bezpiecznie w garderobie. I natychmiast znów ujął jej dłoń, kiedy wyszła z powrotem na korytarz.

- Panie!

Anne została zmiażdżona między ścianą korytarza a pokaźną sylwetką Robina tak raptownie, że uszło jej z płuc całe powietrze. Usłyszała odgłos wysuwanego z pochwy miecza. Potem poczuła, że Robin się rozluźnia.

- Jasonie, do diabła - rzucił ostro. - Nie zakradaj się w ten sposób!
- Wybacz mi, panie, lecz pani Amanda śle wiadomość, że znużyło ją przebywanie w zamknięciu.

Westchnawszy ciężko, Robin schował miecz do pochwy. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Anne.

- Nadal oddychasz? - zapytał.
- Z trudem - wyrzęziła.

Otoczył ją ramieniem, wzdychając ponownie.

- Jasonie, przyprowadź Amandę i Isabelle do izby sypialnej ojca. Niech Miles też przyjdzie.

Ostrożnie zaprowadził Anne z powrotem do sypialni Rhysa, gdzie usadowił ją wygodnie w fotelu. Następnie zajął się kominkiem. Nic nie powiedział, ani słowem nie przeprosił za to, że po raz kolejny ją zgniół. Chyba powoli przywykał do tego. Anne przyglądała mu się, kiedy potężnymi dłońmi pewnie rozniecał ogień. Pomimo jego licznych wad musiała to przyznać, że nie wymarzyłaby sobie lepszego obrońcy. Uporawszy się z zadaniem, Robin otrząpiał ręce i przysiadł na piętach. Spojrzał na nią.

- Muszę potrenować, jak również dogłębnie spraw warowni - rzekł.

- Wiem.

Zmarszczył brwi.

- Pierwotnie planowałem nie opuszczać cię ani na chwilę, teraz jednak widzę, że to niemożliwe.

- Oczywiście.

- Wróć, Anne.

Zdobyła się jedynie na potakujące skinienie. Wiedziała, że powinna mu powiedzieć, żeby trzymał się z dala od niej jak najdłużej, że nie pragnie ponownie go oglądać oraz że nie potrzebuje jego ochrony. Jednak ta dziwna miękkość, jaka zaległa się w jej sercu, zaczynała podkopywać jej zdrowy rozsądek. Oglupiała ją na tyle, że Anne prawie podziękowała Robinowi za jego starania.

- Dopilnuję, żeby przysłano ci posiłek - ciągnął. - Chcesz zająć czymś ręce?

- Chętnie - odparła. - Skoro nie mogę cię nimi udusić.

Jednakowoż odkryła, że nie znajduje w sobie jadu, który włożyłaby w ten docinek. Na Robinie jej słowa nie zrobiły wrażenia. Wstał z cichym prychnięciem.

- Znajdę ci twoje szycie - rzekł. - Jeśli zaś to nie zapewni ci dostatecznej rozrywki, możesz przez cały ranek wysłuchiwać mojej siostry. Święci pańscy, już się niosą jej narzekania!

Rzeczywiście, także do uszu Anne docierały złorzeczenia Amandy pod adresem Robina. Bez problemu rozróżniała słowa, jako że sama częstokroć używała identycznych. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Amanda wparowała do izby.

- Nie pozwolę się więzić we własnym domu! - wykrzyknęła. Podeszła gniewnie do Robina i dźgnęła go palcem w pierś. - I nie będziesz przetrzymywał tu Anne, głupcze! Masz pojęcie, jakie plotki już sprowokowałeś?

Anne przyglądała się, jak Robin zaciska szczęki. Spuściła wzrok. Zacisnął również pięści, a to nigdy nie był dobry znak.

- Mym obowiązkiem jest ją chronić - oświadczył sztywno. - Jeśli w tym celu muszę więzić ją w izbie, to tak będzie.

- Sama byłabym dla niej lepszym obrońcą...

- Amando - westchnęła Anne.

- Co, może nie? - rzuciła Amanda nader zawadiacko, jeśli wziąć pod uwagę, kogo właśnie obraziła.

Anne spojrzała na Robina, zastanawiając się, czy dobiedzie ostrza przeciw siostrze, by dowieść jej, że się myli. Ktokolwiek ośmielił się podważyć sprawność Robina z Artane we władaniu mieczem nie dożywał chwili, by o tym opowiedzieć. Anne mogła powątpiewać w plotki o jego bękartach, ale opowieści o tym, jak bronił honoru, zawsze brzmiały prawdziwie.

Jednakże Robin najwyraźniej czuł się wycieńczony po nocy spędzonej w fotelu, względnie usiłował zaimponować wszystkim swoim opanowaniem. Rozwarł pięści, kilkakrotnie poruszył szczęką, jakby mu zdrętwiała, po czym głęboko zaczerpnął powietrza.

- Siostro - oświadczył z godną podziwu powściągliwością. - Przyrzekłem dbać o bezpieczeństwo Anne. Nie chcę mieć na rękach jej krwi, skoro mogę zapobiec jej przelaniu. Jeśli zaś realizacja tego celu wymaga przetrzymywania Anne w mojej izbie przez cały boży dzień, to tak właśnie postąpię!

- Ha. - Amanda spojrzała nań spode łba. - Moją krew ani chybi zmyłbyś z rąk bez trudu.

- Doprawdy?

- A jużci!

Anne z fascynacją obserwowała ów pojedynek. Robin i Amanda od zawsze toczyli boje na słowa i poszturchiwali się nawzajem, ona zaś częstokroć zastanawiała się, kiedy w końcu poleje się krew. Jednakowoż tym razem rozgrywka rodzeństwa przybrała poważniejszy obrót, zatem Anne ciekawiło, jak się to wszystko zakończy.

- Wobec tego, siostro, zupełnie mnie nie znasz - oświadczył cicho Robin. - Albowiem także w twoim przypadku zrobiłbym wszystko, co w mej mocy, żeby cię chronić.

Z tymi słowy chwycił Amandę za ramiona, przyciągnął do siebie i złożył na jej czole delikatny pocałunek. Potem wyszedł.

Anne spojrzała na Amandę. Szczęka jej przybranej siostry niemalże wsparła się o pierś. Anne nie zdołała powstrzymać przepelnionego czułością śmiechu. Święci pańscy, kiedy zechciał, Robin potrafił być słodki. I żeby Amandzie odebrało mowę? O tak, ten wyczyn zasługiwał, by opiewać go pieśnią.

- Dureń - wykrztusiła wreszcie Amanda. Popatrzyła na Anne. - Widziałas, co zrobił?

- Owszem - przyznała z uśmiechem Anne.

Amanda się nachmurzyła.

- Przeklęty łajdak. Głupiec zeń, jeśli mu się zdaje, że tym sposobem zatrzyma mnie w tej izbie na cały dzień.

Niemniej Amanda usiadła, rezygnując z dalszych komentarzy, i nie narzekała na swoje uwięzienie. Kiedy zaś przybył Miles z jedzeniem i robótkami, Amanda przyjęła dary, nie wygłaszając ani jednej obraźliwej uwagi pod adresem najstarszego brata.

Anne zajęła się wyszywaniem, lecz nie miała do tego serca. W końcu odłożyła robótkę na podolek i zapatrzyła się w przestrzeń, na nowo przeżywając poranne zdarzenia i głowiąc się nad ich interpretacją.

Dzień zaczął się zaiste wyjątkowo.

Nie mogła się doczekać, co przyniesie wieczór.

* * *

Robin wrócił późnym popołudniem i od razu przegnał rodzeństwo z izby. Anne podniosła się z trudem, po czym została nieomal stratowana przez mężczyzn taszczących wielką drewnianą balię. Następnie przyniesiono wodę, Anne zaś znalazła się pod ostrzałem badawczych spojrzeń, których nie umiała zignorować. Czowała, że płoną jej policzki. Wysunęła brodę, odpowiadając na rzucone jej wyzwanie. Nie zrobiła niczego niestosownego. Zresztą nikogo nie powinny obchodzić jej poczynania ani też to, gdzie sypia. Chyba tutejsza służba nie wierzyła, że Anne dzieli łożę z Robinem! Jednakowoż wielce jej ulżyło, kiedy mężczyźni wreszcie wyszli, a Robin zaryglował drzwi. Z politowaniem pokręciła głową nad swym żalonym losem. Tkwiła zamknięta w izbie sypialnej z jednym z najdzikszych wojowników w królestwie, niespełna pięć kroków od niej stała balia z wodą na kąpiel, tymczasem Anne czuła ulgę, że jej potencjalni wybawiciele właśnie sobie poszli? Święci pańscy, traciła rozum.

- Pospiesz się, póki woda jest gorąca - odezwał się Robin, gwałtownie wyrrywając ją z zamyślenia.

- Słucham?

- Wskakuj - rzekł, wskazując balię.

Gapiała się nań oniemiała. Robin przewrócił oczami.

- Chcę, żebyś wzięła kąpiel, Anne. Mięśnie ci zeszywniały, jesteś obolała. Kąpiel ci posłuży.

Anne zażyła w życiu wielu kąpeli. Początkowo protestowała, potem wszakże odkryła, jak dobroczynny wpływ wywierają one na jej nogę. Wszelako kąpać się na oczach Robina z Artane? Nigdy, choćby wodę podgrzewał sam ogień piekielny, zaś diabły widlastymi ogonami zapędzały ją do balii!

Rozejrzała się za jakimś schronieniem. Minionej nocy łożę dobrze się sprawdziło w roli bezpiecznej przystani. Obrąła zatem na nie kurs, jednakowoż rychło natknęła się na Robina zagradzającego jej drogę. Niezgrabnie postąpiła krok w bok, a on natychmiast uczynił to samo. Sięgnął ku niej, lecz porywczo odtrąciła jego ręce.

- Co robisz? - rzuciła ostro.

- Usiłuję ci pomóc. Dasz radę unieść ramiona? Nie? Tedy pochyl się, ja zaś postaram się delikatnie zdjąć ci suknię.

Anne nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Nie wezmę kąpeli w twojej obecności, ty idioto!

- Anne, widać po tobie, że ledwo się ruszasz. Uczyniłbym to samo dla każdego z moich ludzi.

- Nie jestem jednym z twoich ludzi! - Ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby grzmotnąć Robina w czerep i tym sposobem przywrócić mu rozum. - Nie rozbierzesz mnie - wybulgotała w zaciętrzewieniu. - W dodatku przyglądając mi się przy tym!

Z westchnieniem przeciągnął dłonią po włosach.

- Odwróć się do ciebie plecami i zrobisz to sama.

- Nie ufam ci!

Drgnął, jakby go uderzyła. Anne natychmiast dopadło poczucie winy, które wszak znikło, kiedy Robin znów się odezwał.

- Dlaczego miałbym cię podglądać, Anne? - zapytał gniewnie. - Sama powiedziałaś, że nie zechciałby cię żaden mężczyzna.

Na te słowa, które zdały jej się ciosem, w oczach Anne gwałtownie wezbrały łzy. Zanim wszak zdecydowała, czy powinna opuścić izbę godnym krokiem, czy też z niej wybiec, Robin położył jej ręce na ramionach.

- Anne, święci pańscy...

Zapała się dłońmi o jego pierś, nie pozwalając mu się zbliżyć. Może to i lepiej, że wreszcie poznała uczucia Robina wobec niej? Jeśli rzeczywiście znajduje ją tak odrażającą... Ale... jeżeli tak było, dlaczego właśnie usiłował ją przytulić?

Zdjął z piersi ręce Anne, rozpostarł jej ramiona, po czym przystąpił do niej. Delikatnie uwolnił jej nadgarstki, potem zaś z czułością, o jaką by go nie podejrzewała, objął ją i przygarnął do siebie. Anne cała ta sytuacja tak zaskoczyła, że nie potrafiła się poruszyć. Wówczas jego dłoń z wahaniem musnęła jej włosy. Tym ją pokonał.

Wiedziała, że powinna być nań nadal zła. Dostarczył jej dostatecznie wielu powodów, by do końca swych dni podsycala w sobie płomień urazy.

Nie mogła wszak zaprzeczyć, że sama zraniła go równie dotkliwie.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek w ich życiu nastanie czas, gdy rozmowy nie będą natychmiast przeradzać się w kłótnie. W ślad za tą myślą napłynęła kolejna, najbardziej dla Anne przykra: czy martwienie się tą kwestią miało w ogóle sens?

Wkrótce wszak zostanie wydana za jakiegoś nieczulego wielmożę i nigdy więcej nie zobaczy Robina. Stopniowo wrażenie wywołane dotykiem dłoni Robina na włosach odciągnęło uwagę Anne od ponurych rozważań. Westchnęła cicho. Trapienie się przyszłością do niczego nie prowadzi. Powinna raczej skupić się na teraźniejszości. Jak często bowiem zdarzało jej się znaleźć w objęciach Robina z Artane, w dodatku w błogim milczeniu? I to wahanie, z jakim ją dotykał.

Jakby naprawdę starał się być wobec niej delikatny.

Wolno, ostrożnie odwróciła głowę, przyciskając ucho do jego piersi. Robin przygarnął ją mocniej do siebie. Poczula, jak westchnął. Wsparł policzek o czubek jej głowy. Nie poruszał się, nie odzywał. Po prostu gładził włosy Anne i tulił ją do siebie. Zamknęła piekące oczy. Mimo to nie zdołała powstrzymać paru łez, które wymknęły jej się spod powiek.

Znienacka jakieś nienazwane uczucie przetoczyło się przez nią potężną falą, niemalże zwalając z nóg. Rychło pojęła, co to takiego. Wróciła do domu.

Stali tak we dwoje, aż Anne nabrała pewności, że doznanie, które spowodowały otaczające ją ramiona Robina, na zawsze odcisnęło się w jej duszy.

Później on się poruszył i zrozumiała, że czarowna chwila minęła. Nie miało to wszak znaczenia; odtąd mogła przywołać ją z powrotem na każde życzenie.

Odsunęła się i spojrzała na niego. Po raz pierwszy od lat z jego oblicza spłynęła szorstkość, ta maska, która, jak zapewne sądził, chroniła jego serce. Odpowiadał na jej spojrzenie, a choć wyrazu jego twarzy wielu nie określiłoby jako łagodny, Anne tyle łagodności najzupełniej wystarczyło.

- Nie chciałem... - zaczął, lecz zaraz umilkł, zaciskając wargi w wąską kreskę, jakby już wyjawiał więcej, niżli zamierzał.

- Ani ja - rzekła cicho.

Zasznurował usta, niemniej i tak przemknął przez nie cień uśmiechu.

- Być może nie powinnaś mi ufać, Anne. Niejedną piękną kobietę zgwałcono w kąpielu.

- Nie jestem...

Raptem potężna dłoń zamknęła jej usta.

- Dosyć - rzekł krótko Robin. - Wymocz się, zanim woda ostygnie na tyle, że nie przyniesie ci to żadnej korzyści.

Uwolniła się od jego dłoni.

- Ty zaś będziesz na zewnątrz, jak mniemam?

- Możesz potrzebować mojej pomocy...

- Robinie!

- Anne, daję ci uroczyste słowo honoru, że nie spojrzę na ciebie, kiedy będziesz w kąpielu.

Popatrzyła na niego wilkiem. Westchnął.

- Schowam się za kotarami łoża. Czy to zadowoli twoją dziewiczą powściągliwość?

Zaplotła ręce na piersi.

- Do diabła, zawiążę sobie oczy!

- To by mnie może zadowoliło - stwierdziła wolno.

- Dałem ci słowo - przypomniał.

A Robin dotrzymuje słowa. Akurat w ten fakt nigdy nie wątpiła.

Zresztą czyż dopiero co nie przyznała, że mu ufa? Nie powiedziałaaby tego, gdyby tak nie myślała. W każdym razie to sobie powtarzała, obserwując, jak Robin skrywa się za kotarami łoża. Spoglądała w tamtą stronę jeszcze przez kilka chwil, upewniając się, że nie wyjrzy sprawdzić, jak Anne sobie radzi. Kiedy wreszcie zyskała przekonanie, że Robin zostanie tam, gdzie jego miejsce, odwróciła się i pokuśtykała do balii. Miał słusność co do korzyści, jakie przynosiło wymoczenie się w ciepłej wodzie. Przy odrobinie szczęścia Anne zyska też nieco czasu, żeby podumać nad tym, co właśnie między nimi zaszło. Wyglądało na to, że zawarli rozejm.

Rozdziała się, przygryzając wargę, żeby nie jęknąć przy tej czynności. Westchnęła na widok pokrywających jej ciało sińców. Dziw brał, że Robin nie pogruchotał jej połowy kości, gdy uwzględnić, jak się na nią rzucił. Aczkolwiek nie mogła zaprzeczyć, że z pewnością nie zamyśla! jej skrzywdzić, jak również, że uratował jej życie. Być może zatem zasłużył na odrobinę przebaczenia. Zanurzyła się w balii, mimowolnie wydając z siebie jęk.

- Anne, coś ci się stało?

- Nie - odparła szybko. - Wszystko w porządku.

Usłyszała, jak Robin łapczywie nabiera powietrza.

- Święci pańscy, co ty sobie zrobiła?
- Robinie, nie! - zawołała, szaleńczo usiłując osłonić się ramionami, gdy za jej plecami kotary łóżka rozsunęły się gwałtownie, potem zaś w ciszy izby rozbrzmiały jego kroki. - Przysięgałeś nie patrzeć...
- Wtedy jeszcze nie widziałem tego! - wykrzyknął, zbliżając się do niej spiesźnie. - Pochyl się, Anne.
- Och, Robinie, proszę - rzekła błagalnie. - Proszę, zostaw mnie w spokoju.
Milczał przez jakiś czas, tak że mogłaby pomyśleć, że wrócił na swoje miejsce, gdyby nie fakt, że słyszała jego ciche mamrotanie. Wreszcie odkaszlnął.
- Anne, jesteś potwornie posiniaczona!
Powiódł palcami po jej skórze w górnej części pleców. Potem jego dłoń zamarła.
- Zrobiłem to wczoraj, czy tak?
- Oczywiście!
- Resztę ciała ani chybi masz równie potłuczoną?
- Czy jeśli powiem, że tak, pójdziesz sobie?
Zamilkł na tak długo, że omal nie obejrzała się, żeby sprawdzić, o czym myśli. Słyszała, jak z wahaniem przestępuje z nogi na nogę.
- Czy mam, ehm, umyć ci włosy? - zapytał szorstko. - W ramach pokuty?
- Nie. Poradzę sobie.
- Byłbym delikatny.
- Wiem - powiedziała, z całego serca pragnąc, żeby wybrał sobie szczęśliwszy moment na przeprosiny. - Proszę, czy możesz teraz odejść?
Odpokutujesz później.
- Obawiam się, że wczoraj zbyt się przeraziłem, żeby działać z wyczuciem.
Anne zgrzytnęła zębami. Święci pańscy, siedziała naga w kąpielni, tymczasem on gawędził, jakby się przechadzali po ogrodzie!
- Sądziś, że coś ci zламаłem? Czujesz ból w żebrach? Na Boga, twoja noga! - Sięgnął bokiem, kładąc dłoń na jej obnażonym kolanie. - Nic dziwnego, że ledwie się ruszasz...
- Robinie! - wrzasnęła. - Odsuń się!
- Anne, starałem się jeno pomóc...
- Jestem naga, głupcze!
Raptownie cofnął dłoń.
- Oczywiście.
- Wracaj na łoże - rozkazała.
Natychmiast posłusznie tam podreptał.
- Zasuń kotary - dodała.
Wspiął się na łoże i szarpnięciem spełnił jej polecenie.
- Nie rozsuwaj ich.
Westchnął tak potężnie, że prawie zdmuchnął kotary z mocowań.
- Obiecujesz? - ponagliła.
- Tak!
Cóż, przynajmniej znów na Anne krzyczał, miał ją obmacywać. Odczekała, póki nie przestał wiercić się na łożu, po czym spiesźnie umyła włosy i całe ciało.
Później po prostu siedziała w wodzie, która rozluźniała jej zeszywniałe mięśnie. Przed wypadkiem zupełnie nie miała przekonania do owej praktyki, jednak w trakcie miesięcy rekonwalescencji Gwen wkładała ją do balii z gorącą wodą tak często, że Anne zasmakowała w kąpielach.
Cierpiała, unosząc ciężkie wiadra, żeby się opłukać, lecz ani myślała prosić o pomoc Robina. Dostatecznie źle się stało, że ujrzał to, czego nie zdołała osłonić włosami i ramionami. Ba, nie tylko ujrzał, również dotknął!
Zastanawiała się, czy coś takiego można uznać za utratę cnoty.
Ubrała się spiesźnie i usiadła na stołku przed kominkiem, żeby rozczesać włosy. Słyszała, jak Robin krząta się po izbie, wszelako nie spojrzała na niego. Nie śmiała. Święci Pańscy, widział części jej ciała, których od lat nikt nie oglądał! Po chwili poczuła na plecach jego dłoń.
- Służba zaraz przyjdzie po balie. A Nick przyniesie nam coś do jedzenia.
Skinęła głową. Nie patrzyła na pacholków, którzy pojawili się, aby zabrać pozostałości po kąpielach. Mogła się jedynie domyślać, co teraz wyrażały ich spojrzenia. Wolała nie wiedzieć.
- Jak tam w jaskini lwa?
Anne podniosła wzrok na dźwięk głosu Nicholas. Stał obok niej. Wyglądał o wiele lepiej niż dzień wcześniej.
- Na razie się nie pozabijaliśmy - odparła z uśmiechem.
- Anne, nie musisz tu zostawać, jeśli nie chcesz... - zaczął Nicholas.

- Ona zostaje, ty wychodzisz - warknął Robin, chwytając brata za tunikę na plecach. - Dopilnuj, żeby ludzie poszli spać.

- A jakież to plany masz na wieczór? - zapytał Nicholas.

- Nie martw się - odrzekł Robin, popędzając brata ku drzwiom. - Znajdziemy sobie jakąś rozrywkę.

- Trzymaj łapy z dala od niej.

- Chętnie, dzięki temu będę ci mógł nimi po wielekroć przyłożyć, jeśli nie przestaniesz gadać bzdur. Idź pilnować dzieci.

Anne usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Podniosła wzrok na Robina, kiedy ten wrócił do kominka.

- Nie musisz zostawać...

- Pójdę, jeśli sobie tego życzysz - rzekł szybko.

Nie poruszył się wszakże. Ona również.

Z łatwością przywołała wspomnienie chwili, gdy otaczał ją ramionami i czule muskał włosy. Wzięła głęboki oddech. Powinna dotrzymać rozejmu.

- Zostań, jeśli chcesz - powiedziała. - Nie będę się z tobą spierać.

- Choć raz - mruknął. Uniósł ją razem ze stołkiem i przysunął bliżej ognia. - Zmarzniesz.

Aczkolwiek zapewne Nicholas zachowałby się przy takiej okazji bardziej dwornie, Anne nie mogła zaprzeczyć, że był to szarmancki gest.

Szarmancki jak na Robina, oczywiście.

Uśmiechnęła się mimo woli, kiedy rozkładał wieczerzę, mamrocąc pod nosem. Nie wykluczała, że sarka na nią, choć mogło też być inaczej. Miała pewność jedynie co do tego, że stopniowo przyzwyczajają się do jego cichych utyskiwań, a nawet zaczyna żywić do nich odrobinę sentymentu. Kto wie, może mimo wszystko była dla nich nadzieja.

Rozdział 20

Zbliżała się pora nony, kiedy Robin wciąż siedział przy stole w wielkiej sali. Wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Upłynął kolejny dzień, on zaś nie był ani trochę bliżej rozwiązania zagadki. Tego ranka na placu ćwiczebnym bacznie przyglądał się rycerzom, polując na najdrobniejszą oznakę niepewności w ich oczach albo najmniejszy niespokojny ruch w trakcie jego przemowy. Niczego takiego nie odnotował. Nawet Baldwin nie wzdygnął się, przygwoźdzony groźnym spojrzeniem Robina. Odpowiedział na nie tradycyjnym szczerzeniem zębów, nie zaproponował wszakże, by skrzyżowali miecze. Robin obserwował Sedgwicka podczas treningu. Podejrzywał, że furia, z jaką ćwiczył, w znacznej mierze wynikała z pragnienia, żeby skompensować sobie wcześniejsze upokorzenie z rąk rywala. Ta myśl sprawiała Robinowi nie lada przyjemność. Jak cudownie było dla odmiany znaleźć się w tej walce w roli zwycięzcy.

Wszelako nikt więcej nie patrzył na Robina krzywo. Własnym ludziom ufał. Przybocznych Nicholasa, tak czy owak nielicznych, znał równie dobrze - z pewnością nie było wśród nich mordercy.

Pozostawiali zatem tylko ludzie jego ojca. Robin rozgromił ich tego ranka jednego po drugim w bezpośredniej walce. Żadnemu z nich nie brakowało umiejętności, żaden też nie zachowywał się podejrzanie. Sir Edwarda przesłuchał i wypuścił z lochu, uznając jego niewinność. Rycerz odzyskał wolność, wszelako Robin stracił potencjalnego winowajcę. Zaczynał się zastanawiać, czy rozwikłanie zagadki go nie przerasta.

Oczywiście za jego kłopoty z zebraniem myśli po części była odpowiedzialna Anne. Kto by przewidział, że przytuliwszy ją, Robin do tego stopnia utraci zdrowy rozsądek? Z wielką wyrazistością pamiętał moment, kiedy przestała mu się opierać i zatonęła w jego objęciach. Spłynął nań wówczas spokój, miękko i pewnie torując sobie drogę do jego serca, gdzie wyciszył wszystkie uczucia z wyjątkiem tych najłagodniejszych.

Gdyby nie fakt, że ów stan ducha przypadł mu wielce do gustu, Robin poczułby się przerażony. Natomiast zatrwożył go widok sińców na jej ciele. Okrutnie ją poturbował; mógł jedynie żywić nadzieję, że Anne wie, jak głęboko Robin żałuje, że został do tego zmuszony. Szczęśliwie się stało, że w porę dostrzegł zagrożenie. Ta refleksja na powrót zwróciła jego myśli ku pytaniu, jakież to niecny wróg upatrzył sobie Anne. Czy na pewno chodzi o nią? Bez wątplenia zabójca nie okazałby się tak nieudolny, by mierzyć w Robina, a za każdym razem trafiać w Anne.

Raptem potarł oczy wnętrzem dłoni i wstał. Niczego nie osiągnie, siedząc tu i międłąc ów problem. Fakt, że w ogóle przyłapał się na takim zachowaniu, dobitnie świadczył o zamęcie, jaki panował w jego głowie. Jednak chyba zasługiwał na przebaczenie, jeśli wziąć pod uwagę, jaki miał za sobą ranek.

Naturalnie dzień rozpocząłby się dla Robina przyjemniej, gdyby nie spędził kolejnej podłej nocy, na wpeł śpiąc w fotelu. Skoro świt ruszył na plac potyczek, gdzie wszakże zastał błądź, jakie zniechęciłoby nawet lochę. Na początku spotkało go zatem niemiłe zaskoczenie, a po powrocie do donżonu było jeszcze gorzej. Ledwie wkroczył do sali, dopadł go zarządca ojca, tak że Robin nawet nie zdążył wrzucić czegoś na ząb. Omawianie spraw warowni trwało znacznie dłużej, niżliby sobie życzył, musiał podejmować decyzje dotyczące zaopatrzenia w żywność i temu podobnych. Jak gdyby nie wystarczyło mu tego kłopotu, usłyszał sam siebie, jak zgadza się przejąć zadania ojca związane ze sprawowaniem sądów.

Aczkolwiek teraz, kiedy miał okazję spokojnie się zastanowić, dostrzegał korzyści płynące z nadzorowania tej sprawy. Niewykluczone, że ktoś poczuł się na tyle pokrzywdzony, że postanowił ukarać ich wszystkich, uderzając w Anne. A jakże, warto będzie poświęcić temu cały dzień. W tej chwili wszakże Robin pragnął jedynie odrobiny ciszy i spokoju. Na górze rodzeństwo niewątpliwie czekało na jego relację, ale kiedy się z tym upora, zapyta Anne, czy nie miałyby ochoty spędzić popołudnia w komnacie Rhysa. Zapewne powoli zaczynało jej się nudzić w sypialni. Wspiął się po schodach i cicho ruszył korytarzem. Strażników zastał na stanowiskach, nie wydawali się jednak uszczęśliwieni jego widokiem. Natychmiast dopadło go złe przeczucie.

- O co chodzi? - rzucił, zbliżając się ku nim. - Czy moja rodzina przebywa w środku?

- Tak - odparł z wahaniem jeden z mężczyzn. - W przeważającej większości.

Robin szarpnął drzwi, zanim mężczyzna zdolał dodać coś więcej. Ostatecznie strażnicy mieli nie wpuszczać do izby morderców. Nie poinstruował ich, żeby zabronili komukolwiek wychodzić. Błyskawicznie upewnił się, że w pomieszczeniu są wszyscy oprócz Nicholasa i Anne.

- Zabiję go - warknął Robin. Spojrzał na Milesa. - Nie mogłeś go powstrzymać?

- Anne chciała iść - wyjaśnił Miles.

Amanda wstała, zebrała w garście materiał i wepchnęła go Robinowi.

- Zanieś jej to.

Zaskowyczał, zacisnąwszy w pięści igłę.

- Święci pańscy, dziewczyno, czym ty mnie usiłujesz zabić?

- Wierz mi, bracie, gdybym próbowała cię zabić, nie poprzestałabym na marnej igle.

Robin już zaczynał piorunować ją wzrokiem, kiedy odnotował malujący się na jej twarzy wyraz. Nie włożyła w tę obelgę serca, Robin zaś nieoczekiwanie poczuł do siostry coś w rodzaju sentymentu. Niemniej i tak nasrożył gniewnie brwi, żeby niczego nie spostrzegła. Kto wie, jak wykorzystałaby wiedzę o jego słabości.

- Chciała wyjść? - zapytał.

Amanda z westchnieniem wzruszyła ramionami.

- Nie mogła znaleźć sobie miejsca i Nicky zaproponował, że zabierze ją do komnaty ojca. Uznał, że nie jej tam nie grozi.

U boku Amandy stanął Miles. Otoczył siostrę ramieniem, uśmiechając się blado do Robina.

- Jeśli pragniesz poznać moje zdanie, chciała poszukać ciebie.

- Jakkolwiek dlaczego zrodziła się w niej ta chęć, pozostaje zagadką dla każdej racjonalnie myślącej duszy - dodała Amanda.

Robin spojrział na nią wilkiem. Cóż, przynajmniej Amanda nie zagubiła się doszczętnie pośród tych jakże jej obcych życzliwych uczuć względem najstarszego brata. Poniekąd podniosło go to na duchu.

- Och, Amando, ależ z ciebie jędza - powiedział Miles, potrząsając nią nieznacznie.

- Tobie zaś brak rozumu - odparowała, piorunując wzrokiem młodszego brata. - Skąd możesz wiedzieć, czego chce Anne?

- Mam oczy - stwierdził spokojnie Miles. - Kobieta nie wpatruje się przez większość czasu w drzwi, chyba że czeka na mężczyznę, który ma przez nie wejść.

- Mogła czekać na posiłek - zauważyła cierpko Amanda.

- Nie masz w duszy ani krzty romantyzmu - odciął się ze śmiechem Miles.

- Nie staję mi czasu na takie bzdury - oświadczyła Amanda. Spojrzała na Robina. - No? Co tak stoisz i się gapisz? Pędź szukać swojej pani, zanim Nicholas z nią ucieknie.

- Słusznie - burknął Robin, po czym odwrócił się i opuścił izbę. Popatrzył na strażę. - Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi bez mojego pozwolenia. Jeśli zajdzie taka konieczność, użyjcie mieczy. Zwłaszcza wobec mojej siostry Amandy.

Czterej mężczyźni gorliwie potaknęli, aczkolwiek przynajmniej jeden z nich wyraźnie miał obiekcje co do tej ostatniej kwestii. Nawet Robin przyznawał, że jego siostra jest piękną. Może tedy dźgając ją, postarają się nie zszpecić jej oblicza.

Spiesznie podążył do komnaty ojca, po czym wparował do środka. Fakt, że drzwi nie były zaryglowane, jedynie podsycił jego gniew.

Jednakże właśnie kiedy Robin miał wyrzucić z siebie potok wściekłych słów, do jego nieszczęsnego, przemęczonego umysłu dotarło, co właściwie widzi przed sobą i jakie są tego potencjalne implikacje. Nicholas siedział w fotelu, czytając jakiś manuskrypt. Robina ani trochę nie interesowała jego treść, podobnie jak nie poruszyło go, że brat tak pożytecznie spędza czas. Natychmiast uderzyło go, że Anne nie siedzi na kolanach Nicholasa. Ani też w fotelu obok niego. Robina ogarnęła ulga, która błyskawicznie ustąpiła miejsca zaniepokojeniu, że Anne nie ma tam, gdzie się jej spodziewał. Wówczas spostrzegł ją na ławie we wnęce. Wyglądała przez okno. Zbeształby ją za wybór tak niebezpiecznego miejsca, wszelako nawet on musiał przyznać, że - jako że komnata ojca znajdowała się na piętrze - wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś dosięgnął Anne przez otwór okienny. Przy tym wyglądała na tak zadumaną, że Robin postanowił jej odpuścić.

Natomiast ani myślał odpuszczać Nicholasowi. Pochwyciwszy spojrzenie brata, wskazał mu głową drzwi.

- Wygodnie mi tutaj - oznajmił Nicholas.

- Lada moment przestaniesz ci być wygodnie, jeśli stąd nie pójdziesz - poinformował go Robin. - Precz!

Nicholas westchnął, schował manuskrypt do skrzyni i wyszedł, darując sobie dalsze komentarze czy protesty. Załatwiwszy tę sprawę, Robin zaryglował drzwi i popatrzył na Anne. Nie odwróciła się, żeby nań spojrzeć, co go zdenerwowało. Z cichym przekleństwem rzucił jej robótkę na fotel, chwycił koc i podszedł do niej. Najwyraźniej nie stało jej rozśądku, żeby przebywać w ciepłe, inaczej bowiem siedziałyby przy ogniu. Zakrawało na cud, że przeżyła tak długo bez jego opieki.

Zarzucił jej koc na ramiona, usiadł obok, po czym się zawahał. Rezygnując z ostrożności i dumy, delikatnie wsunął palce pod jej włosy i wyciągnął je spod koca.

- Dlaczego siedzisz tu w chłodzie? - zapytał szorstko, jakkolwiek starał się nadać głosowi łagodne brzmienie.

- Uwielbiam deszcz - odparła, nadal nań me patrząc. - Rozmiękcza wszystkie kontury, nie sądzisz?

Prychnął.

- Pośpij przy takiej pogodzie na dworze kilka tygodni z rzędu, a przekonamy się, czy nie zmienisz zdania.

Spojrzała na niego przez ramię z bladym uśmiechem.

- Jak zawsze rozsądny.

- Jak zawsze marzycielka - odparował.

Wzruszyła ramionami, powracając do kontemplacji ogrodu w dole.

- Dzięki temu życie staje się prostsze.

Posłał zęby, zastanawiając się, co powiedzieć. Początek rozmowy nie przebiegł dokładnie tak, jak Robin by sobie tego życzył. Z pewnością nie dopatrzył się w jej słowach ciepłego powitania. Czyżby minionej nocy jedynie wyobraził sobie zawieszenie broni między nimi? Dlaczego Miles sądził, że Anne wybrała się szukać Robina? Ani chybi raczej się przed nim ukrywała. No cóż, lepiej dowiedzieć się prawdy od razu, niżli później doznać zawodu.

- Zostawiłem cię w sypialni - zagaił.
- Nie potrafiłam tam wysiedzieć.
- Tak nisko cenisz własne życie, żeś nie mogła odrobinę się poświęcić dla własnego bezpieczeństwa?
- Nicky ze mną poszedł.
- A jakżeby on miał cię ocalić? Zagadując napastnika na śmierć? Odwróciła się wówczas, a na jej twarzy, ku zaskoczeniu Robina, malował się uśmiech.
- On umie władać mieczem, Robinie. Z pewnością nie tak dobrze jak ty, lecz można mieć przy nim nadzieję. Robin chrząknął.
- Nie oglądałaś go ostatnio na placu, skoro żywisz takie przekonanie.
- Och, Robinie - rzekła, kręcąc głową. Potarł ramiona.
- Czy możemy przynajmniej przenieść się bliżej ognia? Piekielnie tu zimno.
Pokręciła głową.
- Pozwól, że jeszcze chwilę popatrzę przez okno.
Westchnął.
- Jak chcesz.
Wstał, ale przyniósł drugi koc, żeby ocalić ją przed nią samą. Okrył nim jej nogi.
- Dziękuję - powiedziała.
- Uczyniłbym to samo...
- ...dla swojego konia, wiem - dokończyła za niego.
- Ależ z ciebie uparciucha. Zamierzałem rzec, że uczyniłbym to samo dla mojej siostry. - Tym bardziej tedy dla ciebie, dodał w myślach.
- Bez wątplenia doceniłaby ten gest, podobnie jak ja doceniam. Lecz dosyć o tym. Spójrz, widzisz mgłę tam, w dali? - zapytała, wskazując ponad murami.
- Tak.
- Nie wydaje ci się piękna? - dociekała. - Pełna przeróżnych widmowych kształtów, nie sądzisz?
Robin zdawał sobie sprawę, że odwróciła głowę, żeby nań spojrzeć, wszelako nie potrafił oderwać oczu od kłębiącej się mgły. Święci pańscy, jakżeby pragnął widzieć w niej jeno wróżbę na przyszłość. Niestety, gwałtownie obudziła w nim wspomnienia, od których teraz nie potrafił się uwolnić.
- Wiesz, co widzę? - zapytał wolno, retorycznie. - Widzę Coyners we Francji, w październiku, przed dwoma laty. Widzę zlaną krwią ziemię i mgłę przesłaniającą ciała poległych. Słyszę krzyki mych towarzyszy oraz krzyki wroga, rżenie koni, niosące się zewsząd odgłosy bitwy. - Odetchnął głęboko, niespiesznie wypuszczając powietrze. Wahał się, czy kontynuować. Wtedy ona nakryła jego dłoń swoją. Odetchnął ponownie i podjął opowieść.
- W ustach czuję smak strachu, nozdrza wypełnia mi woń krwi i wszechobecnej śmierci, słyszę świst strzał i szcęk mieczy. Jestem przemoknięty do suchej nitki, marznę, od deszczu grunt pod stopami staje się śliski i zdradliwy. - Uśmiechnął się gorzko. - Zabiłem tamtego dnia wielu ludzi i widziałem, jak deszcz splukuje ich krew z mego miecza i odzienia.
- Och, Robinie, tak mi przykro.
Pokręcił głową. Zaglądając w jej oczy, modlił się, żeby znaleźć w nich coś, co zdjęłoby z jego duszy ten ciężar. Chciał, żeby wiedziała, co przeżył, a także, jak rozpaczliwie marzył w głębi serca, żeby pragnęła jego powrotu do domu, pragnęła mieć go przy sobie, odczuwała dumę z tego, kim się stał.
Po jej policzkach potoczyły się łzy. Robin pokręcił głową.
- Nie powiedziałem tego, żeby cię zasmucić.
- Głuptasie - jęknęła. - Wiem o tym.
Spojrzał na swoje splecione dłonie, odkrywając, że pobielają mu knykcie. Na wierzchu spoczywała dłoń Anne.
- Przykro mi, Robinie.
- Nie ma nad czym wylewać żalów - rzekł z westchnieniem. - Wojna to wojna. Nie chwała, a krwawa jatka.
- Wracasz tam wkrótce?
No właśnie, oto padło pytanie, które wymagało wielce ostrożnej odpowiedzi. Nie śmiał podnieść na nią wzroku. Chciała, żeby wrócił do Francji, czy też, żeby został? Obawiał się tej wiedzy. Wszelako nie był tchórzem, zebrał się więc na odwagę i spojrzał jej prosto w oczy.
- Nie wiem jeszcze.
- Ojciec cię tutaj potrzebuje, Robinie.
Ach, oczywiście. Ojciec go potrzebuje. Westchnął. Ani słowa o tym, czy ona go potrzebuje, wiedział wszakże, że nie powinien był oczekiwać podobnego wyznania.
- Ogromnie mu ciebie brakowało.
Robin zasznurował usta.
- Ma wielu innych synów - wyrzucił z siebie.

Nie odpowiedziała.

Zamarł, nie wierząc, że rzekł coś takiego. Oto uwolnił swojego najgorszego demona. Umknął wzrokiem przed jej spojrzeniem. Jego ojcem był baron Ayre, swego czasu potężny pan. Robin rozerwałby sobie żyły i upuścił z nich krwi, gdyby dało się ją zastąpić krwią Rhysa de Piageta. Niczego w świecie nie pragnął bardziej, mając zarazem świadomość, że jego marzenie nigdy się nie spełni. To znaczy, niczego, nie licząc Anne.

- Jesteś jego pierworodnym, Robinie - ozwała się miękko. - Bardzo cię kocha.

- Toleruje mnie, lecz wiesz równie dobrze jak i ja, że nie jestem jego pierworodnym - odparł formalnie Robin. - Milesa spotkał ów honor. Mój ojciec był nędznym sukinsynem.

Zerknął na nią z ukosa, ciekaw, czy zgodzi się z jego opinią. Jedyne łagodnie się uśmiechnęła.

- Doprawdy? Być może gdy będziesz w lepszym nastroju, podzielę się z tobą moimi przemyśleniami na ten temat.

- Nie ma nad czym rozmyślać, Anne. Nie zmienisz faktów.

Jej uśmiech wyrażał teraz rozbawienie.

- Jesteś niemożliwym młodzieńcem, Robinie. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek spotkała równie upartą osobę.

- Nie jestem młodzieńcem. Masz przed sobą dorosłego mężczyznę. Twój brak szacunku uważam co najmniej za wielce obraźliwy.

Na powrót oparła się o kamienną ścianę, lecz nie cofnęła ręki. Robin nie śmiał się ruszyć, żeby jej nie przepłoszyć. Znów wyjrzała na dziedziniec.

- Nie pamiętasz, jak uwielbialiśmy deszcz jako dzieci?

Zmusił się, żeby się rozluźnić. Oczywiście, pamiętał doskonale. Deszczowe dni zaliczał do ulubionych, albowiem tylko wtedy mógł się lenić od rana do nocy. Zwykle spędzał czas z Anne, jako że jej słodycz odpowiadała mu zdecydowanie bardziej niż docinki Nicholasa czy ostre, szacujące spojrzenia pozostałych chłopców. Długie godziny upływały im w tym właśnie miejscu na grze w szachy lub cichej rozmowie, podczas gdy Rhys tuż obok zajmował się sprawami warowni. Robin przechwalał się, jakim zostanie znamienitym wojownikiem, ona zaś słuchała go w milczeniu urzeczona. Była takim nieśmiałym, marzycielskim dzieckiem, a on wcielił się w rolę jej obrońcy i mistrza. Uczył ją gry w szachy na tej samej ławie, którą właśnie zajmowali, od czasu do czasu pozwalając jej wygrać jedynie po to, żeby usłyszeć jej śmiech. Ach, jakże ją wówczas kochał!

Po przeżytych upokorzeniach nigdy już jej do siebie nie dopuścił. Próbowana się doń na powrót zbliżyć, cicho pukała do drzwi, błagając, żeby pozwolił jej wejść. Z czasem pukanie ustało i Robin mógł w samotności przetykać łzy, pełen zranionej młodzieńczej dumy.

- Pamiętasz, jak leżałeś z głową na moich kolanach i płaciłeś mi, żebym ci śpiewała?

Zamrugał wyrwany z przykrych wspomnień. Spojrzał na nią.

- Co?

- Nie pamiętasz?

- Niczego podobnego sobie nie przypominam. Brakowało mi czasu na takie głupstwa. Gdybym zaś nawet nim dysponował, z pewnością nikt by mnie nie zmusił, żebym ci płacił.

Uśmiechnęła się smutno.

- Masz krótką pamięć, panie.

Wstała i wolno pokuśtykała do paleniska. Robin obserwował, jak bierze ozdoby do naszywania i siada w fotelu przy kominku. Pochyliła się nad robótką, tak że widział już tylko blask ognia tańczący w jej jasnych włosach.

Oparł głowę o ścianę. Płacił jej?

Ach, oczywiście. Kiedy teraz o tym myślał, doskonale wszystko pamiętał, choć nie traktował jako zapłaty spełniania prośb Anne o jego asystę. Błagała go, żeby każdego ranka odprowadzał ją na mszę, nie mogła bowiem znieść kpin giermków. Dzień w dzień eskortował ją zatem na miejsce, otaczając ramieniem dla osłony przed wścibskimi spojrzeniami i drwiną. Nigdy nie rozumiał, dlaczego tak jej dokuczano. Nie posiadała wprawdzie uderzającej urody Amandy, lecz mimo to była niebrzydkim dzieckiem. Tyle że nieśmiałym. A jednak skupiło się na niej dziecięce okrucieństwo.

No cóż, mszy już dziś nie będzie, lecz być może Robin zdoła przysłużyć się jej w inny sposób. Wszak miał dopilnować, żeby ćwiczyła nogę. Przechadzka po korytarzach powinna spełnić to zadanie. On zadba o bezpieczeństwo Anne. Spacer dobrze jej zrobi, Robina zaś na co najmniej godzinę powstrzyma przed dalszą głupią paplaniną. A jakże, tyle z powodzeniem mógł dla niej uczynić.

Wstał i zdecydowanym krokiem przeciął komnatę. Zatrzymał się przed Anne, wyciągając ku niej rękę.

- Przejdźmy się.

Przestała szyc i spojrzała na niego.

- Słucham?

Odebrał jej robótkę, odłożył na bok, po czym znów wyciągnął rękę.

- Chodźmy na spacer, pani.

- Wolność? - zapytała z taką miną, jakby obiecał jej coś o wiele bardziej atrakcyjnego niżli odrobina bolesnych ćwiczeń.

- Owszem - przytaknął, pomagając jej wstać.

Potem zgaśnił się w myślach za pośpiech i rozejrzył za potrzebną mu rzeczą. Podeszedł do skrzyni.

- Czego szukasz? - dociekała Anne.

- Tego - oznajmił, wyjmując płaszcz, który jego matka nosiła przed kilku laty.

Zarzucił go Anne na ramiona, naciągając jej na głowę kaptur, żeby zasłonić wspaniałe włosy. Spuściwszy wzrok, z zaskoczeniem odnotował zmianę, jaka zaszła na jej obliczu.

- O co chodzi? - zapytał.

- O nic - odparła cicho.

Kusiło go, żeby poświęcić chwilę na analizę jej reakcji, odrzucił jednak tę myśl. Zabierze ją stąd, póki nadal przychyliła się do tego konceptu. Poprowadził ją ku drzwiom, otworzył je i wyjrzał, żeby upewnić się, czy korytarz jest pusty. Popatrzył na stojącą za nim Anne. Wyraźnie straciła wiele z pierwotnego entuzjazmu; zapewne po prostu zaczęła sobie uświadamiać, że spacer nie będzie dla niej czystą przyjemnością. Robin ujął ją za rękę i wyprowadził z komnaty.

- Najpierw pójdziemy wolno. Nie wiem, dlaczego oszczędzasz tę nogę, Anne, lecz nie powinnaś tak postępować. Im mniej jej używasz, tym bardziej będzie cię bolała.

Wyrwała mu dłoń.

- Skoro moje utykanie tak cię denerwuje, to idź precz!

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Musisz ćwiczyć tę nogę, Anne. Jestem tu, żeby dopilnować, byś robiła to, jak należy.

- Doskonale - oświadczyła. - Jak sobie chcesz. Dla mnie to bez znaczenia.

Kobiety... Czy Robin kiedykolwiek je zrozumie? Aczkolwiek niewykluczone, że to tylko Anne tak zbija go z tropu. Kobiety na dworze nie były dla niego zagadką. Chciały mieć go w swych łóżach, gotowego do działania. Nie dbały o to, czy jest szarmancki. Zadowalał je, one zaś następnego dnia miały o czym opowiadać w kobiecej izbie.

Wszelako Anne była inna. Robin jej nie rozumiał i wątpił, czy kiedykolwiek się tego nauczy. Chyba nie rozumiał jej nigdy. Wszystko wskazywało na to, że nie może znieść jego dotyku, a jego wspaniałomyślna propozycja, że pomoże jej odzyskać sprawność, ewidentnie ją uraziła. Robina kusiło, żeby usiąść i poczekać, aż przestanie go boleć jego biedna, skołowana głowa. Święci, nigdy nie czuł się tak niepewny siebie. Przy kobietach na dworze wiedział przynajmniej, jak się zachować. Zwykle wystarczyło jedno uniesienie brwi, żeby zaznać uciech łoża. Jednakowoż unosił brew naprawdę rzadko. Nie miał ochoty rozważać dlaczego. Szedł z Anne korytarzem i kłął cicho. Do diabła, nie umiał delikatnie zalecać się do kobiety. Potrafi! żądać, owszem; brać, jak najbardziej; lecz zalecać się? Nie. Nigdy wcześniej nie musiał tego robić.

Potknęła się, Robin zaś natychmiast objął ją w talii. Kiedy odzyskała równowagę, wsunął sobie jej dłoń pod ramię. Wyrwała ją tak gwałtownie, że byłaby się przewróciła. Robin odwrócił się i przytrzymał ją za rękę. Zanim zdołał się odezwać, zerwała z głowy kaptur.

- Zejdz mi z oczu, bezduszna świnię - wypluła.

Robinowi opadła szczeka.

- Święci pańscy, Anne, co, u diabła, znowu zrobiłem?

- Ty hipokryto. Zasłaniaś mi twarz, żeby nikt mnie nie rozpoznał, lecz zarazem Igniesz do mnie, jakbyśmy byli kochankami. Znajdź sobie dziewczkę głupszą ode mnie i z nią uprawiaj te niesmaczne gierki.

Określiła się na pięcie i pokuśtykała przed siebie. Robin stał niczym wrośnięty w ziemię. Hipokryta? Hipokryta?! Niech ją diabli, zasłonił twarz Anne jedynie dla jej bezpieczeństwa! Co zaś do spacerowania na modłę kochanków, ta kobieta nie miała pojęcia, o czym mówi. Być może powinien jej pokazać, tak by nigdy więcej nie pomyliła uprzejmego dotyku ze zmysłową pieszczotą. Snop słabego światła padł na nią, kiedy mijala schody. Robin przysięgłby, że w oddali rozległ się cichy brzęk.

- Anne! - zachłysnął się, rzucając się do przodu.

Przestraszona potknęła się i runęła na podłogę. Po schodach ze stukotem zsunęła się kusza, lądując u jej stóp.

Robin z poślizgiem zatrzymał się przy Anne. Popatrzył na wciąż naciągniętą broń, a potem w górę schodów.

- Straże! - ryknął.

Spojrzał na Anne rozdarty wewnątrz. Miał do wyboru: puścić się schodami w pogoń za złoczyńcą, zostawiając Anne samą, albo też zabrać ją do izby sypialnej ojca i zamknąć w środku, żeby już nigdy jej stamtąd nie wypuścić.

Znienaacka uderzyło go, że Anne się nie rusza. Zaklął, z żalem żegnając się z nadzieją na pojmanie jej prześladowcy. Ukłękł przy niej i ostrożnie pociągnął ją do siadu.

- Otwórz oczy - rozkazał. - Anne, spójrz na mnie!

Przyłgnęła doń, otoczywszy go ramionami. Robin był zbyt zdenerwowany, żeby odczuć zaskoczenie. Podniósł wzrok, kiedy grupka jego przybocznych z tupotem zbiegła ze schodów, zatrzymując się przed nim chwiejnie.

- Widzieliście kogoś? - zapytał.

- Tylko służbę i strażę, panie - odparł dowódca.

Robin wstał, unosząc Anne w ramionach.

- Nikt nie wbił się wam w pamięć?

Patrzył, jak się namyślają, po czym spochmurniał, kiedy wszyscy czterej pokręcili głowami. No cóż, chyba nie powinien zanadto ich winić. W donżonie przebywało wielu służących i zbrojnych, którym z pewnością nikt nie zakazywał wstępu na korytarze. Robin westchnął. Skinął na mężczyzn, żeby podążyli za nim, kiedy wnosił Anne po schodach, kierując się do sypialni ojca.

Bracia i siostry zerwali się z miejsc na jego widok. Nie zwracając na nich uwagi, podszedł do ognia i, nadal z Anne w ramionach, opadł na fotel.

- Anne, nic ci już nie grozi - rzekł cicho. - Nie opuszczę cię więcej, przysięgam.

Nie miał pewności, jak tego dokona, ani nawet - czy rzeczywiście Anne będzie bezpieczna u jego boku. W tej chwili wszakże te słowa wydały mu się najwłaściwsze.

- K - kto t - to robi? - zapytała, szcękając zębami.

- Nie wiem, ale dowiem się tego.

- Co się stało? - dociekał Miles, meldując się u boku Robina.

- Właśnie - zawtórował mu Nicholas, stając przed starszym bratem. - Co zaszło? I czemu nie zachowałeś większej ostrożności?

Robin udzielał wyjaśnień i odpowiadał na pytania, aż myślał, że oszaleje, jeśli rodzeństwo zaraz nie da mu spokoju. Kiedy już mu się wydawało, że wreszcie nasycił ich ciekawość, Anne spróbowała uwolnić się z jego objęć.

- Nie mogę tak z tobą siedzieć - powiedziała, usiłując mu się wywinąć.

- Siedzisz tak ze mną od dłuższego czasu. Przetrawsz jeszcze kilka chwil. Poza tym jestem potwornie skołatany. Musisz mnie mocno trzymać, inaczej załamie się i zacznie łkać.

- Nie kpij ze mnie!

- A jużci, nie kpij - poparła ją Amanda, wymierzając Robinowi efektowny prztyczek w ucho.

Robin rzucił siostrze groźne spojrzenie, po czym z powrotem skupił uwagę na swojej pani.

- Nie kpię z ciebie. Nie czujesz, że cały drzę?

Ani myślał jej mówić, że to drżenie jedynie po części wynika ze strachu. Święci pańscy, kiedy ostatnio tulił ją w ramionach? Jako czternastolatek? W wieku dziewięciu wiosen Anne raczej nie była kobietą jego marzeń.

- Robinie, dlaczego komuś zależy na mojej śmierci?

- Nie wiem. - Na Boga, jakże pragnął to ustalić.

Skinęła głową, po czym łapczywie zaczerpnęła powietrza, kiedy podjęła próbę rozprostowania kończyn. Robin uzmysłowił sobie, że przygniata Anne chromą nogę, zadając jej ból. Z westchnieniem wstał i zaniósł ją na łożo. Okrywszy ją kocem, odwrócił się ku rodzeństwu, zdecydowany wyprosić wszystkich z izby sypialnej.

Widział, że nie mają ochoty wychodzić, lecz nie zdzierżyłby kolejnych pytań. Zaświtała mu także myśl, że gdyby zostali z Anne sami, mógłby na powrót wziąć ją w ramiona, a takiej perspektywy nie dało się zlekceważyć. Ponadto Nicholas i bliźniacy pokierowaliby przeszukaniem donżonu, podczas gdy Miles zadbałby o bezpieczeństwo dziewcząt. Robina czekało dostatecznie dużo pracy w związku z jutrzejszym sądem. Czy dziś zdołałby lepiej wykorzystać resztę dnia, niżli zalecając się do swojej pani?

Potem o czymś sobie przypomniał. Spojrzał na Anne.

- Zasłoniłem ci twarz dla twojego bezpieczeństwa, nie zaś dlatego, że się ciebie wstydzilem.

- Robinie...

- Zrozumiano?

Westchnęła.

- Tak.

Nie dała wiary jego słowom, lecz, do diabła, nic go to nie obchodziło. W końcu mu uwierzy, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Robin osobiście tego dopilnuje. Nie bez kozery zyskał sobie reputację człowieka bezwzględniego.

Wyprostował się i wyrzucił rodzeństwo z izby. Jednakowoż Nicholas ociągał się z wyjściem. Robin na chwilę się zadumał. Powinien opracować strategię działania, odkrył wszelako, że zupełnie nie ma do tego serca.

Jak zahartowany w bojach rycerz, którego maniery pozostawiają wiele do życzenia, zaleca się do delikatnej pani? Nicholas z pewnością by to wiedział. Jego brat swoim urokiem osobistym nawet księżę nakłoniłby do zrzucenia ubrań.

Robin zawahał się przy drzwiach, marszcząc brwi. Niech go diabli, jeśli poprosi o radę młodszego brata. Nicholas ani chybi udzieliłby mu takowej z kamienną twarzą, potem zaś odszedł i wył ze śmiechu, aż by się

pochorował. Zresztą Robin nie potrzebował jego wskazówek. Do diaska, przecież świetnie znał Anne. Dorastali razem. Lubiła... no, cóż, lubiła... Westchnął. Nie miał pojęcia, co ona lubi.

Wyprężył się. Po prostu będzie musiał nieco wyteżyc pamięć, żeby to sobie przypomnieć. Ostatecznie przez ostatnie dziesięć lat nie miał z Anne za wiele do czynienia. Dziewczęce gusta się zmieniają.

Prędzej wszak pójdzie do piekła, niżli przyzna się do niewiedzy przed Nicholasem. Nie zamierzał przy każdej okazji oglądać irytującego uśmiešku brata.

Nicholas wstał i zbliżył się do niego. Robin bez zastanowienia wpakował bratu pięść w brzuch, tak że ów zgiął się wpół, kaszląc.

- Co takiego zrobiłem? - sapnął Nicholas, kiedy się wyprostował.

- Daruj sobie ironiczne uśmiešky, arogancki sukinsynu - warknął Robin, wywlekając go na korytarz. Na wszelki wypadek zgromił spojrzaniem strażników, po czym popchnął brata ku schodom. - Wiesz doskonale, coś zrobił.

- Oszalałeś! Z czego niby miałbym się podśmiewać?

Robin pchnął go ponownie.

- Potrafię zalecać się do niej bez twoich wskazówek, głupcze.

- Zalecać się do niej? - Nicholas okręcił się na pięcie, żeby nań spojrzeć. - Zalecać się?

I oto pojawił się uśmiešek. Rozdrażnił on Robina dokładnie tak, jak się spodziewał.

- Gdybym był na twoim miejscu... - zaczął Nicholas.

- Nie jesteś, zamilcz tedy.

- Ułożyłbym kilka wybornych wersów opiewających jej urodę - ciągnął Nicholas, cofając się przed Robinem. - Wszelako rymowanie nie wchodzi chyba w zakres twoich umiejętności.

Robin zacisnął pięści, rozważając, czy mocny cios w głowę uwolniłby tego głupca - a przy okazji całą nieszczęsną Anglię - od jego własnych mizernych talentów na rzeczonym polu.

- Może zatem ulóż balladę? - podsunął Nicholas. - Umiesz grać na lutni?

Robin zgrzytnął zębami. Przecież brat doskonale wiedział, że umiejętności Robina ograniczają się do spraw związanych z rozmaitymi ostrzami tudzież przeciwnikiem, w którego się je wbija.

- Taniec? - zapytał z powątpiewaniem Nicholas. Pozostawało zagadką, jakim cudem udawało mu się myśleć tak głęboko i zarazem ciągle iść tyłem. Ani chybi zawdzięczał to niezliczonym godzinom, jakie spędził, pływając w wielkich salach przy dźwiękach muzyki. Piekielnie niemięskie zajęcie, zdaniem Robina. Nicholas westchnął ciężko.

- Nie wiem, jak tego dokonasz, Rob...

- Precz! - ryknął Robin.

Brat puścił oko, odwrócił się i susami zbiegł po schodach. Wszelako Robin wiedział, że nie poszczęści mu się na ryle, by uniknąć finalnej szpili.

- Wyszczotkuj jej włosy - zasugerował z oddali Nicholas. - Z tym zadaniem nawet ty sobie poradzisz.

Robin wypuścił powietrze z płuc, przewrócił oczami i ruszył z powrotem do sypialni.

Rozdział 21

Maude oparła się plecami o drzwi garderoby, usiłując złapać oddech. Wszechobecny smród jej w tym nie pomagał, lecz przywykła do niewiele lepszych zapachów wypełniających dwór jej ojca, więc jakoś go zniosła. Kiedy brała głębokie wdechy, starając się uspokoić szalejące serce, doszła do pewnego wniosku.

Nie radzi sobie z bronią.

Upłynęła dobra godzina od czasu jej nieudanego zamachu na pomiot Fenwycka, godzina, kiedy Maude zastanawiała się, czy jej własne życie nie dobiegło właśnie końca. Słowa pani Edith rozbrzmiewały w jej głowie z taką mocą, że Maude była bliska omdlenia ze strachu.

„Czyste zabójstwo wydaje się znacznie bardziej dystygowane, nieprawdaż? Taką też nagrodę przewiduję za nieposłuszeństwo w trakcie realizacji naszej intrygi. Nie okażesz ponownie nieposłuszeństwa, prawda, Maude?”.

Maude położyła dłoń na sercu tłukącym się dziko w jej piersi i zamknęła powieki. Nie wątpiła, że umrze, jeśli Edith odkryje jej postępek. W duszy tej kobiety nie było litości pomimo jej gładkiego sposobu bycia.

Ale niech ją licho, czego się spodziewała że Maude będzie stała bezczynnie, przyglądając się, jak Robin wpada w sidła tej blond wiedźmy?

Gdyby tylko nie upuściła tej przeklętej kuszy, zanim zdołała wycelować zza węgła...

No cóż, przynajmniej strażę jej nie spostrzegły. Zarazem schlebiali jej, że tak udatnie umknęła, jak i ją to obrażało. Swego czasu niejednemu mężczyźnie zapadła w pamięć. Niejednemu.

Odetchnęła po raz ostatni i otworzyła drzwi. W korytarzu panował orzeźwiający, przyjemny chłód, który przywrócił Maude spokój.

Kierowała się do kuchni, oczywiście. Ani myślała pozostawać w miejscu, gdzie nie było potencjalnych świadków, na wypadek gdyby ktoś usiłował ją okaleczyć. Ktoś taki jak Edith z Sedgwick. Maude zadrzała i przyspieszyła kroku.

Rozdział 22

Anne poruszyła się w fotelu, a potem zmusiła się do skupienia uwagi na powrót na robótce. Pojmowała, że ma wiele powodów do radości, jak chociażby fakt, że znajduje się w kobiecej izbie Gwen, nie zaś w jej sypialni. W istocie sprawy mogły ułożyć się znacznie gorzej. Podniosła wzrok i z uśmiechem popatrzyła na towarzyszące jej osoby. Miles siedział obok niej, zaczytany. Bliźniacy w kącie grali w szachy. Amanda zapoznawała wszystkich z nieskończone długą listą przywar Robina, a Isabelle wytrwale ganiła ją za te słowa.

Ogólnie rzecz biorąc, był to całkiem typowy poranek.

Czy raczej byłby taki, gdyby Anne nie musiała obawiać się o własne życie, ilekroć opuszczała pańską sypialnię.

Zastanawiała się, czy Robin czuł się podobnie, gdy uczestniczył w bitwie. Nie rozumiała, jak można funkcjonować, będąc całkowicie pochłoniętym myślą o zadawaniu śmierci bliźnim. Nie, ona nie sprawdziłaby się w boju. Nie wystarczyłoby jej odporności. Z zamyślenia wyrwał ją jakiś ruch. Spojrzała w lewo. Oprócz wyżej wymienionych, jedyną obecną jeszcze w izbie osobą była Edith z Sedgwick. Anne nieco zdziwiło, że Robin pozwolił Edith do nich dołączyć, wszelako bez wątplenia miał swoje powody. Podejrzewała, że jest mu żal dziewczyny. Ostatecznie Edith przez kilka lat musiała znosić życie w Sedgwick. To oraz fakt, że nawet w Artane nie zdołała się uwolnić od parszywej obecności swojego brata, ani chybi było dostatecznym powodem, żeby jej współczuć.

Anne przyglądała się dziewczynie z zadumą. Były w podobnym wieku, zastanawiało ją więc, dlaczego Edith nie znalazła sobie męża - czy też, gwoli ścisłości, dlaczego jej rodzic nie znalazł go dla niej. Nie była szpetna ani niemila w obyciu. Aczkolwiek Anne przyznawała, że w oczach Edith czaiło się coś, nad czym nie potrafiła przejść do porządku. Chłód.

Edith przyłapała ją na prowadzeniu obserwacji, toteż Anne szybko umknęła wzrokiem. Pochyliła się nad robótką, starając się wyglądać na zaabsorbowaną. Szczęśliwie słońce chyliło się już ku zachodowi i zbliżała się pora zakończenia pracy. Stanowczo zbyt wiele czasu spędziła dziś na rozważaniach, a to nikomu nie wychodzi na zdrowie. Musiała nakłonić Robina, żeby usiadł i z nią pomówił. Spędzili razem ubiegły wieczór, nie znaleźli jednak okazji do konwersacji. Robin przyprowadził z sobą zarządcę i do późnej nocy omawiał z nim sprawy, którymi nazajutrz miał się zająć sąd. Anne przysłuchiwała się tej wymianie zdań, notując w pamięci, by przekazać Rhysowi, że Robin dobrze się spisał - przynajmniej w jej odczuciu. Zadawał niezliczone przenikliwe pytania. Anne podejrzewała, że zarządcy wielce ulżyło, kiedy wreszcie pozwolono mu odejść.

Nagły brzęk bransoletki niemal wydarł okrzyk z jej ust.

- Święci pańscy - jęknęła. - Co to było?

Isabelle uniosła ramię.

- Robby mi ją dał. - Z zakłopotaniem spojrzała na Anne. - Nie widziałas jej jeszcze?

Anne zmusiła się, żeby oddychać wolno i regularnie. Kiedy spoglądała na nadgarstek dziewczyny, dopadła ją krnąbrna, nieprawdopodobna myśl. Czy za tym wszystkim mogła stać Isabelle?

Gwałtownie pokręciła głową. Nigdy nie nawiedził jej bardziej absurdalny koncept. Z najmłodszą córką Artane'a łączyło Anne głębokie siostrzane uczucie. Co więcej, Isabelle nie byłaby zdolna do takiej podłości. Nie, cóż za głupota.

- Jest piękna - wykrztusiła Anne.

- To druga, jaką mi kupił - wyjaśniła Isabelle. Kręciła nadgarstkiem w tę i w tę, podziwiając bransoletkę. - Podobno ta pierwsza była brzydsza, może tedy dobrze, że ją zgubił.

Amanda prychnęła.

- On nie potrafi utrzymać w głowie pojedynczej myśli, nie dziw przeto, że nie upilnował twojej bransoletki.

- Jak miło z jego strony, że wyszukał dla ciebie inną - zauważyła z uśmiechem Edith. - Jest dobrym bratem.

- Owszem - potaknęła Isabelle, spoglądając znacząco na Amandę. - Nie sposób mu tego odmówić.

- Wszelako na pewno się zastanawiasz, gdzie zgubił tę pierwszą - ciągnęła Edith.

Isabelle wzruszyła ramionami.

- Nie ma to dla mnie znaczenia.

- Wydaje mi się, że widziałam już podobną - rzekła powoli Edith.

- Tak? - zainteresowała się Isabelle.

- Nie kojarzę gdzie - powiedziała Edith, marszcząc brwi. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się promiennie. - Przypuszczam, że to nieważne. Najważniejsze, że Robin sprawił ci kolejną.

- A juźci - zgodziła się Isabelle. - Cieszę się też, że ktoś jeszcze oprócz mnie dobrze o nim myśli. Oczywiście Anne podziela moje zdanie, niemniej Amanda jest zaiste niemożliwa, kiedy idzie o Robina.

Anne przysłuchiwała się dalszej ożywionej dyskusji na temat zalet Robina, jaką prowadziły Isabelle i Edith. Amanda prychała, mamrocząc pod nosem obelgi pod adresem starszego brata, na które Miles raz po raz reagował zduszonym śmiechem. Najwyraźniej nikt spośród obecnych nie dostrzegał w Edith niczego niepokojącego. Anne pokręciła głową. Być może to ona traciła zmysły. Edith ani chybi miała za sobą przykre

dzieciństwo. Zapewne to te smutne wspomnienia Anne widziała w jej oczach. Zmienacka otworzyła się drzwi i stanął w nich przedmiot dyskusji we własnej osobie. Anne podniosła wzrok, niezdolna pohamować miłego dreszczyku, jaki ją przebiegł na jego widok. Stanowczo odepchnęła od siebie wszystkie rozważania na temat tego, jak długo jeszcze dane jej będzie zaznawać takich przyjemności. W tej chwili była w domu, Robin zaś zdawał się zdecydowany trzymać ją blisko siebie. Nie śmiałyby prosić o więcej.

Edith wstała raptownie, a jej robótka upadła na podłogę. Robin schylił się i podniósł ją dla niej. Kiedy Edith mijala rycerza w drodze do wyjścia, obdarzyła go takim samym uśmiechem, jak pozostałych. Anne nie potrafiła opędzić się od wrażenia, że w tym uśmiechu coś się kryło.

Triumf?

Przyłożyła dłoń do czoła. Święci pańscy, traciła rozum. Chyba zbyt długo przebywała w zamknięciu.

Liczyła, że Robin dowiedział się dziś czegoś, co przywróci jej nieco wolności.

- Miles, zabierz dzieci z powrotem do naszej sypialni - polecił lakonicznie Robin.

- Dzieci? - powtórzyła Amanda. - Kogo dokładnie masz...?

Zanim Anne zorientowała się w zamiarach Robina, ten uwolnił ją od robótki i postawił na nogi. Następnie objął ją i poprowadził ku drzwiom.

- Nick później do was zajrzy - rzucił przez ramię.

Przystanął, rozejrzał się po korytarzu, po czym pociągnął Anne za sobą. Tuląc ją bezpiecznie do boku, skierował się ku schodom. Ze zdumieniem patrzyła, jak dobywa sztyletu, zanim ruszył w dół jako pierwszy.

- To jakiś obłęd - szepnęła.

Odpowiedziało jej chrząknięcie.

Kiedy znaleźli się piętro niżej, Robin znów przygarnął ją do siebie i powiódł korytarzem. Przed drzwiami sypialni stały strażę.

- Coś się działo? - zapytał Robin.

- Nie, panie - odparł strażnik. - Nic.

Robin schował sztylet do pochwy. Wprowadził Anne do izby. Zmierzając w stronę fotela, pokręciła głową.

- Pospaceruję trochę - powiedziała. - Zbyt długo dziś siedziałam.

- Gdybyśmy tak oboje mogli wybrać się na rundkę wokół placu - rzeki ponuro. - Także mnie dokuczyciło dziś przebywanie w zamknięciu.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytała, przystając obok niego.

Ukląkł przed paleniskiem, by rozbudzić żar do życia.

- Owszem. Więcej niż kiedykolwiek chciałem wiedzieć o ludzkiej małostkowości.

Uśmiechnęła się w reakcji na jego malkontencki ton.

- Czy nie dość często zasiadałeś u boku ojca, kiedy rozstrzygał spory? Nie powinienesz czuć się zaskoczony.

Spojrzał na nią wilkiem.

- Zgadza się, nigdy atoli, nieszczęsny, nie usiłowałem wymierzać sprawiedliwości. Święci pańscy, Anne, dlaczego ludzie nie mogą odnosić się do siebie serdecznie?

- Zaiste, dlaczego - stwierdziła z zadumą.

Otworzył usta, lecz zaraz zacisnął je w wąską kreskę.

- Czy ten przycinek odnosi się do mnie, lady Anne?

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Do nas obojga, panie.

- Po dzisiejszym dniu przysięgam, że będę szczęśliwy, nigdy więcej z nikim się nie wadząc - oświadczył.

- Nawet ze mną?

Zawahał się.

- Tak - rzekł. - Zwłaszcza z tobą.

Niech go diabli, czy nigdy nie przestanie brać jej z zaskoczenia? Odkaslnęła, zdeterminowana odwrócić uwagę Robina od swojej osoby.

Pod wpływem intensywności jego spojrzenia w Anne narastało zdenerwowanie.

- Powiedziałbyś to samo w odniesieniu do Amandy? - zapytała, rozpaczliwie usiłując zmienić bieg jego myśli.

Spojrzał na nią z błyskiem w oku.

- Ona jest moją siostrą. Ty nie.

Zanim zdołała znów zaczerpnąć powietrza po tym, jak to wyznanie zaparło jej dech w piersiach, Robin podniósł się z kłęczek, otrząpął ręce, następnie zaś rozsiadł się wygodnie w fotelu. Popatrzył na nią.

- Chodź tutaj. - Poklepał się po kolanach.

- Słucham?

- Chodź, usiądź tutaj. Teraz.

- W żadnym wypadku!

Zahaczył stopą o stółek i przyciągnął go przed fotel.

- Zatem tutaj. Chcę, żebyś tu przysła.

Uniosła brwi najwyżej, jak się dało. Osiągnęłyby lepszy efekt, gdyby umiała unosić tylko jedną brew, podobnie jak Robin i Nicholas. Żywiła wszakże nadzieję, że i obecnie emanuje wyniosłością.

- Dlaczego miałabym zechcieć do ciebie podejść, skoro brak ci manier, by mnie o to uprzejmie poprosić?

Nachylił się ku niej.

- Bowiem nie pragniesz szarmanckiego rycerza. Jestem tego pewien. Chodź tutaj, póki nadal humor mi dopisuje.

- Po co?

- Masz mnie słuchać, nie zaś przesłuchiwać. Czy moja matka niczego cię nie nauczyła?

- Nauczyła mnie myśleć za siebie!

- Wielka szkoda.

Spojrzała nań bacznie.

- Co zamierzasz? Udusić mnie?

- Jakem już rzekł, nie jesteś moją siostrą. Ten los ci nie grozi.

Anne zaczęła się zastanawiać, nim wszelako zdecydowała, co sądzić o jego zachowaniu. Robin wstał, zaprowadził ją do stołka i łagodnie na nim posadził.

- Moje dzisiejsze ustępstwo na rzecz galanterii - mruknął, siadając za jej plecami. - Nie za daleko od ognia? Nie za blisko?

- W sam raz, lecz co...? Położył jej dłoń na czubku głowy, zanim zdołała się odwrócić.

- Nigdy nie spotkał równie gadatliwej kobiety. Twe milczenie wielce mnie ukontentuje.

Otworzyła usta do riposty, ale nagle poczuła, że jego dłonie próbują zdjąć jej z głowy kwef i welon. Zwykle rzadko je nosiła, lecz tego ranka Robin nalegał, żeby zasłoniła włosy, zyskując tym sposobem odrobinę anonimowości.

- Irytujący wynalazek - utyskiwał.

- Robinie - spytała, z trudem przetykając ślinę. - Co robisz?

Westchnął tak ciężko, że zdmuchnął jej welon na twarz.

- Zamyślam wyszczotkować ci włosy - wyjaśnił z rozdrażnieniem. - Jeśli tylko pozwolisz mi się tym zająć!

Szarpnął zdrowo i jej nakrycie głowy wreszcie zostało mu w ręku.

Przeciągnął dłonią po włosach Anne, a ta delikatna pieścizna przeczyła szorstkości jego wypowiedzi. Odebrało jej mowę. Słyszała szuranie fotela Robina, kiedy przysuwał się bliżej. Zdawała sobie sprawę z jego bliskości, albowiem kolanami dotykał teraz od tyłu jej ramion. Kiedy szczotka dotknęła skóry jej głowy, Anne zamknęła oczy i przelknęła spazmatycznie. Święci pańscy, nie mogła uwierzyć, że nie śni. To naprawdę jego dłoń manipulowała szczotką z takim wahaniem, jakby obawiał się zadać jej najmniejszy ból. On zaś uważał siebie za bezwzględne! Dobrze, że nie widział go w tej chwili żaden z jego ludzi, inaczej bowiem świat obiegłaby inna plotka. Drgnęła, kiedy delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

- Zabolalo?

- Nie - szepnęła.

Upewniwszy się, że rozplątał wszystkie sploty, Robin zaczął przeciągać szczotką po jej włosach długimi ruchami, od których Anne przesywały dreszcze. Zadrzała.

Jego ręka zamarła.

- Mam przestać?

- A jakże, jeśli ci życie niemiłe.

Parsknął śmiechem. Obejrzała się przez ramię zaskoczona. Minęły lata, odkąd słyszała śmiech Robina. On wszakże tylko położył dłoń na czubku jej głowy i na powrót odwrócił Anne twarzą do kominka.

Opuściła powieki i po prostu rozkoszowała się doznaniem. Czekala, kiedy Robinowi się znudzi i przestanie, on jednakże wydawał się całkowicie kontent ze swojego zajęcia. Wyszczotkował jej włosy, a potem zaczął przeczesywać je palcami. Wreszcie jedynie prześlizgiwał się po nich otwartą dłonią.

- Rozumiem już, dlaczego zakrywasz włosy - rzekł cicho.

- Tak? - podchwyciła. - Nie wytrzymują porównania z włosami Amandy i Isabelle. Ich są takie bujne i ciemne.

- Ja zaś myślałem o tym, że twoje przypominają jasne złoto - stwierdził rozbawiony. - Uznałem, że zakrywasz je, nie chcąc zawstydząć dziewcząt.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego ze zdumieniem.

- Nie wierzę.

Uśmiechnął się, jej zaś ten widok wydał się tak piękny, że jeszcze chwila, a musiałaby odwrócić wzrok.

- Anne, zbyt nisko się cenisz - rzekł, kręcąc głową.

- Mam oczy - stwierdziła cierpko.

Ujął jej dłoń.

- Ja także i wiem, co widzę. Nie masz powodu wstydzić się w towarzystwie moich sióstr, jako że zaiste jesteście sobie równe.

Poczuła, że opada jej szczęka. Nie umiała się zdobyć na odpowiedź. Z pewnością nie uważał jej za piękną!

- No cóż - odezwał się znów, marszcząc nieznacznie brwi. - Chyba nie odnosi się to do Amandy.

Z kłapnięciem zamknęła usta. Proszę, teraz zaczynał mówić rozsądnie.

- Ona przez swój cięty język traci na urodzie, podczas gdy ciebie to nie dotyczy.

Uniósł jej dłonie do ust i pocałował. Dreszcz, który obudził się w jej nieszczęsnych, wziętych w niewolę palcach, wspiął się wzdłuż ramion Anne, docierając do głowy. Dostała gęsiej skórki. Jego uśmiech przygasł; Robin spoglądał na nią teraz z powagą, jaką rzadko oglądała na jego obliczu.

- Anne...

Zdumiała się, kiedy się ku niej nachylił. Z wyrazu jego twarzy wносиła, że zamierza ją pocałować.

Z zaskoczenia omal nie spadła ze stołka.

Wsunął dłoń pod jej włosy, dotykając karku. Przekrzywił głowę, nie odrywając oczu od twarzy. Nie śmiała oddychać, mrugnąć ani nawet myśleć zbyt intensywnie, żeby nie przerwać czaru tej chwili.

Nosił się z zamiarem pocałowania jej.

Chwila, na którą czekała przez całe swoje życie, zaraz nastąpi.

- Anne - szepnął z ustami już prawie przy jej ustach.

A wtedy wściekle łomotanie do drzwi niemal powaliło go na jej łono.

Anne przytrzymała Robina, zanim się na nią przewrócił. Wyprostował się i zamrugnął, jakby właśnie solidnie oberwał w głowę.

- Robby! - Wołaniu towarzyszyło dalsze łomotanie. - Przyniosłem wieszczę. Otwieraj.

Robin spojrział na Anne, nadal mrugając. Wyglądał na równie oszołomionego jak ona.

- Zabiję go - wykrztusił. - Słowo daję, że tym razem to zrobię.

Łomot nie ustawał.

- Pospiesz się! Pólmisek jest ciężki!

Robin podniósł się, gniewnie przeciął izbę i szarpnięciem otworzył drzwi.

Do środka przepchnął się Nicholas, wbijając bratu łokieć w brzuch, żeby utorować sobie przejście. Wcisnął pólmisek w ręce Robina, po czym ruszył ku Anne. Nie stać jej było nawet na uśmiech. Po prostu wpatrywała się weń niemo.

- Coś ty zrobił tej dziewczynie?! - wykrzyknął Nicholas. - Sprawia wrażenie wstrząśniętej.

- Wyszczotkował mi włosy - szepnęła Anne.

Nicholas usiadł w fotelu Robina, moszcząc się wygodnie.

- Wobec tego chętnie się podszkolę. Bracie, chodź, pokaż mi, jak to się robi.

Wstał raczej szybko, pociągnięty przez brata za włosy.

- Wyłóż swoją sprawę i wynocha - warknął Robin, odpychając Nicholasa.

Postawił wieszczę na podłodze.

- Zostawiając cię z nią samego? Nigdy.

- Masz dla mnie jakieś wieści? - rzucił ostro Robin.

- Nie.

- Zatem precz stąd. Nie potrzebujemy cię tutaj.

- Nie zgadzam się...

Anne przyglądała się, jak Robin niczym pasterski pies zagania brata na korytarz. Potem z hukiem zatrzasnęła i zaryglowała drzwi. Odwrócił się powoli. Anne nie umiała zdobyć się na nic więcej, jak tylko na to, by odpowiedzieć spojrzeniem na jego spojrzenie. Robin wziął głęboki oddech, po czym wyprężył pierś.

Przeczuwała, że tym razem nie dopuści, by cokolwiek pokrzyżowało mu plany. Kolana zmiękły jej tak bardzo, że wątpiła, czy zdoła wstać.

Zmierzał ku niej zdecydowanym krokiem. Stał przed Anne, ujął ją za ramiona i pociągnął na nogi. Zachwiała się i oparła dłońmi o jego pierś, żeby odzyskać równowagę.

Robin otoczył ją ramieniem w talii, potem zaś znów wsunął Anne dłoń pod włosy, podtrzymując od tyłu jej głowę.

- Och - wyrwało jej się.

Święci pańscy, nigdy by nie oczekiwała, że doświadczy takiego mrowienia na całym ciele na samą myśl o zbliżającym się pocałunku z Robinem z Artane.

Z całą pewnością nie czuła niczego podobnego, kiedy pocałował ją Nicholas.

A później nie miała już czasu na myślenie. Robin nachylił głowę, przygarnął Anne mocniej do siebie i pojął jej usta swoimi. Inaczej nie da się tego określić.

To nie był grzeczny pocałunek.

Zadrzała.

On również.

Oplotła ramionami jego szyję. Wydało jej się to najwłaściwszym rozwiązaniem, jako że dzięki temu mogła lepiej wykorzystać Robina jako podporę, nie chcąc osunąć się na kolana. Zamknęła oczy, oddając się przygniatającym, przesywającym ją na wskroś doznaniom. Całował ją nieprzerwanie, aż zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek odzyska oddech.

Potem zaś, jak gdyby dotychczasowe doświadczenie okazało się nie dość kompletne, Robin pogłębił pocałunek.

Wyzbyła się wszelkich myśli. Czuła jedynie dłoń Robina pogrzebaną w jej włosach, jego wargi na swoich wargach...

Żywiła szczerą nadzieję, że on także zamknął oczy i nie widzi jej rumieńca. Wnętrze ust Anne badał dotąd jedynie cyrulik, kiedy bolał ją ząb, ów człek zaś jedynie zaglądał w nie, nie używając...

Robin zamknął jej usta krótkim, mocnym pocałunkiem, po czym odstąpił o krok. Dyszał ciężko. Twarz mu płonęła, co przyniosło Anne ulgę, podejrzewała bowiem, że sama wygląda podobnie.

Milczał. Po prostu trzymał ją za ramiona i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że mógłby spalić ją tym na popiół.

Potem zamrugął i odkaszlnął.

- Wieczera - wychrypiał.

- Tak - wykrztusiła.

- Inaczej wystygnie.

- Ani chybi - zgodziła się.

Owładnęło ją niemożliwie bolesne pragnienie, żeby znaleźć się z powrotem w jego objęciach i nigdy więcej ich nie opuszczać. Posmakowała tej bliskości i to doznanie całkowicie ją przytłoczyło. Mniejsza zresztą o wrażenia, jakie towarzyszyły pocałunkowi. Podejrzewała, że już nigdy nie będzie taka sama.

Rozdział 23

Robin czekał niecierpliwie, aż giermek zajmie się jego kolczugą. Poruszał ramionami i toczył wkoło głową, starając się ulżyć zdrętwiałej szyi. Spędzi jeszcze kilka nocy w fotelu bądź na podłodze, a przyczyni się to do jego zguby. Co innego wiedzieć, że twarda ziemia jest jedyną alternatywą, co innego zaś - spać dziesięć kroków od wygodnego łóża ze świadomością, że przed umoszczeniem się w nim powstrzymują człeka jedynie dobre manieri.

Tych zaś Robin ani chybi nie posiadał w nadmiarze.

Aczkolwiek po wczorajszym pocałunku z Anne zrodziło się w nim przekonanie, że spanie obok niej w łóżu mogłoby się okazać fatalnym pomysłem.

- Pospiesz się, Jasonie - szepnął.

Anne nadal spała, Robin zaś pragnął umknąć z izby, nie budząc jej. Nie miał pewności, jak ona będzie się zapatrywać na wydarzenia minionego wieczoru, przetrawiwszy je we śnie.

Wiedział wszelako, jak sam się czuje. Nie tylko skradł ów pierwszy, oszalamiający pocałunek, lecz również dwukrotnie pokonał ją w szachy, w efekcie czego znowu po wielokroć zakosztował jej słodkich warg. Nie ośmielił się jednak ponownie pocałować jej tak jak za pierwszym razem. Nadal nie otrzeźwiał po tym doznaniu. Z tej też przyczyny, między innymi, spał na podłodze, miast obok niej w łóżu.

Uniósł ramiona, kiedy Jason pomagał mu założyć na kaftan, potem zaś przypasał miecz. Zrobiło mu się ciepło na sercu, kiedy spoglądał na giermka, który zawsze tak sumiennie dbał o jego ekwipunek. Niewykluczone, że dla przyszłego barona Ayre było to nazbyt podrzędne zajęcie, aczkolwiek, święci pańscy, Robin jako giermek także świadczył podobnie służalcze posługi. Poklepał Jasona po plecach.

- Mam tego ranka chęć na dobrą rozrywkę, chłopcze. Może staniesz przeciwko mnie?

- Ja? - Jason nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- A owszem, ty - potwierdził Robin, wyginając usta w półuśmiechu. - Władasz mieczem dostatecznie sprawnie. Wiem to, jako że sam cię szkoliłem.

- Oczywiście, panie.

Robin zawahał się. Na końcu języka miał przeprosiny za to, że ciągał Jasona w te wszystkie okropne miejsca - na pola bitewne, pod oblegane bez końca twierdze, na pełne intryg dwory. Dziw brał, że Jason nadal potrafił się uśmiechać.

- Czy zgotowałem ci bardzo nędzne życie, Jasonie?

Giermek spojrzał na niego, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

- Panie, źle się czujesz?

No cóż, tyle chyba powinno starczyć Robinowi za odpowiedź. Odwrócił Jasona ku drzwiom i pchnął go delikatnie.

- Idź po Milesa i wróć z nim tutaj. Trzeba, żeby przez jakiś czas ochraniał Anne.

Kiedy Jason podreptał wypełnić polecenie, Robin z westchnieniem poprawił miecz u boku. Wkrótce Jason ruszy własną drogą, a Robinowi będzie go brakowało. Był to dobry chłopak, zapewne poniekąd także dlatego, że nie dorastał w Ayre.

Nie dlatego, że miejsce było podłe. Ostatecznie Ayre należało do Robina za sprawą jego rodzica. Wszelako Robin nigdy nie pragnął tam zamieszkać ani też zostać tam panem. Ojciec Jasona, John, młodszy brat Alaina z Ayre, chętnie wziął na siebie zadanie doglądania tych ziem.

John okazał się dobrym panem, Robin nie otrzymywał żadnych skarg na jego rządy. Jason ani chybi pójdzie w ślady ojca, kiedy nastanie jego czas. Robin uśmiechnął się do siebie. Przynajmniej wiedział, że jeśli Jason mu się narazi, z łatwością zloi mu skórę na placu ćwiczebnym. Wydawało się to całkiem niezłym sposobem rozstrzygnięcia sporów.

Spojrzał w stronę łóża. Bez wątplenia Anne nadal spała. Zawahał się, po czym podszedł i chwycił kotary. Tylko zerknie, żeby się upewnić, że jest jej wygodnie. Trudno byłoby go winić za okazywaną troskę, nieprawdaż? Odchylił kotarę i spojrzał na Anne, na jej oblicze ledwie widoczne w panującym w izbie półmroku. Mimowolnie drgnął, kiedy otworzyła oczy.

- Myślałem, że śpisz - wykrztusił.

Pokręciła głową.

Pohamował chęć nerwowego przestępowania z nogi na nogę. Minionej nocy całował tę kobietę do utraty zmysłów, teraz zaś czuł się jak nieopierzony giermek. Czy żałowała? Pod jakimi względami wydawał się jej niegodny?

- Muszę dziś potrenować, żeby oczyścić umysł. - i dać ci czas na podjęcie decyzji, czy mnie chcesz, dodał w myślach.

Potaknęła.

- Miles zaraz przybędzie.

- Dziękuję.

Skinął głową, po czym opuścił izbę, nie chcąc popełnić kolejnego głupstwa. Poczeka! na brata, poinstruował go, żeby ów pozostał w korytarzu, dopóki Anne nie wstanie, potem zaś popchnął Jasona przed

sobą, kierując się do wielkiej sali. Tutaj przystanął, by wychylić kubek piwa, rad, że czymś się zajmuje, miast siedzieć i bić się z myślami.

- Panie?

Robin spojrzął na giermka spod nasrożonych brwi, licząc, że nakłoni go tym do milczenia.

- Panie - powtórzył Jason, wierząc się niespokojnie. - Ach, bo pani Anne...

- Co z nią? - rzucił Robin. Jason splótł ręce za plecami.

- Ach - zaczął znowu z wielce nieszczęśliwą miną. - Chodzi o jej cnotę, panie. Z wahaniem poruszam tę kwestię...

Pięć lat temu Robin podniósłby Jasona jedną ręką i wrzeszczałby nań, trzymając go w górze. Teraz giermek liczył sobie szesnaście wiosen i znacznie przybrał na wadze. Robin z niechęcią pomyślał, że przybyło mu także odwagi.

- Ona nadal jest dziewicą - mruknął.

- Aliści, panie, wiem, że minęły miesiące, odkąd brałeś sobie kobietę...

- Dostyc - przerwał mu ostro Robin. - Nie mam w zwyczaju hańbić cnotliwych panien i ty dobrze o tym wiesz.

Jason żałośnie skinął głową.

- Aliści, panie, kiedy Fenwyck się dowie...

- Zajmę się nim w stosownym czasie, jeśli takowy nadejdzie. Najwyraźniej nie pojmujesz, chłopcze, że ona nigdzie nie będzie równie bezpieczna jak w mojej izbie, z moim mieczem na jej usługi. Chyba że mniemasz, że sam okazałbyś się dla niej lepszym niżli ja obrońcą.

- Oczywiście, że nie, panie. Jesteś mistrzem.

Robin chrząknął, odstawiając kubek.

- Pójdźmy tedy na plac, a dowiodę ci tego po raz kolejny.

Giermek posłusznie podążył za nim. Robin przewracał oczami, słuchając niezliczonych odkaslnięć Jasona, kiedy szli przez wyższy dziedziniec, potem zaś minęli bramę w drodze na plac potyczek. Wreszcie nie mógł tego dłużej zdzierżyć. Okręcił się na pięcie.

- Co znowu? - zapytał ostro. Jason wpadł na niego, potem zaś odskoczył i uklonił się płytko.

- Nic, panie.

- Przestań się trząść. Muszę się tobą dopiero zająć, rozpieszczony gałganie. - W tym ostatnim względzie Robin nie mijał się z prawdą. Być może traktował surowo pozostałe osoby ze swojego otoczenia, wszelako zachował miękkie miejsce w sercu dla tego chłopca o jasnych, niebieskich oczach i nieskończenie niewinnym spojrzeniu. - Mów otwarcie, Jasonie. Zresztą i tak odnoszę wrażenie, że to zrobisz - mruknął ciszej.

Jason wytarł dłonie o uda.

- Panie, wiem, że ty i pani Anne nie byliście sobie bliscy w minionych latach...

Robin chrząknął.

- Aliści, panie, obchodź się z nią delikatnie, dobrze? - ciągnął Jason, z powagą spoglądając na Robina.

- Dałem ci słowo, że pozostanie dziewicą.

- Mam na myśli jej serce, panie - wyjaśnił cicho Jason.

Robin zniechęca zobaczył swojego giermka w innym świetle. Chłopak z dziecka stał się młodzieńcem na pograniczu męskości. Splótłszy ręce na piersi, Robin obrzucił go baczny spojrzeniem.

- Jakie ty masz pojęcie o jej sercu? Czy w ogóle sercu jakiegokolwiek kobiety?

Jason splonął rumieńcem.

- Nieobce mi są relacje między kobietą a mężczyzną, panie.

- Naturalnie.

- Mówię o sprawach uczuć, panie, nie zaś łoża. - Jason umilkł na chwilę i wziął głęboki oddech.

- Ona cię kocha, panie.

- Oczywiście, że nie - zachnął się Robin. - Marzy o szarmanckim łobuzie o przystępnych manierach, który prawilby jej komplementy.

Jason pokręcił głową.

- Nie zgodzę się z tobą, panie. Nawet jeśli twierdzi, że tego właśnie chce, jej oczy mówią co innego.

Wnikliwemu obserwatorowi nietrudno odczytać jej pragnienia.

- A cóż tobie wiadomo o odczytywaniu kobiecych pragnień, chłopcze?

- Wiem, jak patrzy na mnie Isabelle - obstawał przy swoim Jason. - Wiem także, co ja do niej czuję.

Wystarczy zajrzeć w oczy, panie...

- Isabelle?! - sapnął Robin, któremu na moment odjęło mowę. - Moja siostra Isabelle?

Jason zaczerwienił się po korzonki włosów.

- Tak mi się tylko powiedziało, panie.

Jednym skokiem Robin powalił giermka na ziemię.

- Isabelle - powtórzył z niedowierzaniem. - Jasonie, toć to jeszcze dziecko!

- Jej wiek pozwala już na zrękowiny - upierał się Jason.

Robin nie potrafił się zdecydować, czy bardziej zszokowały go słowa giermka, że Anne go kocha, czy też wiadomość, kim jest kobieta, która zawładnęła sercem młodzieńca. Jak do tego doszło? Od ich powrotu do domu nie upłynął nawet miesiąc!

- Ledwie ją znasz!

- Niekiedy na te sprawy nie trzeba wiele czasu - wykrztusił Jason.

- Czy mój ojciec wie?

- Święci pańscy, nie - odparł szybko Jason, energicznie kręcąc głową. - Ani chybi by mnie powiesił, gdyby się dowiedział.

- Tknąłeś ją? - dociekał ostrym tonem Robin.

- Nie śmiałbym!

Robin odchrząknął.

- Dopilnuj, żeby się to nie zmieniło, inaczej odpowiesz przede mną. - Stoczył się z giermka i wstał. - Głupiec, Jasonie. Nim właśnie jesteś. Posiwiejesz przez nią, zanim zdobędziesz ostrogi. - Pomógł giermkowi podnieść się z ziemi.

- Jak ci się zdaje, panie, czy lord Rhys mi ją odda?

- Pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego ją chcesz.

- Jest piękna. I dobra. W jej towarzystwie pragnę stać się odważniejszy i bardziej rycerski. Czy to nie dość dobre powody?

Robin pokręcił głową.

- Zapewne tak, chłopcze.

Jason szedł obok Robina, wpatrując się w ziemię.

- Czy wypowiesz się na mój temat łaskawie, panie, gdyby lord Rhys cię o mnie pytał?

Robin ujął giermka za kark i nim potrząsnął.

- Zobaczę, jak się dziś sprawisz, Jasonie, zanim postanowię, co rzec o tobie ojcu twojej pani.

Zaskoczyło go, że niczego nie zauważył. Czyżby był tak mało spostrzegawczy, czy też Jason potrafił ukrywać uczucia lepiej, niżli Robin dotąd sądził?

Krytycznie obserwował giermka na placu ćwiczebnym. Przez minione pięć lat młodzieniec stał się wyśmienitym wojownikiem. Robin uśmiechnął się nawet, gdy odnotował, że Jason stosuje przeciw niemu jego własne techniki. Isabelle mogłaby zapewne trafić gorzej. Trochę wody upłynęło, nim Robin wreszcie obwieścił pokój i położył Jasonowi dłoń na ramieniu.

- Dobra robota, Ayre. Twój ojciec będzie wielce z ciebie kontent.

- A twój, panie? - zapytał z uśmiechem Jason. - On także będzie kontent?

Robin zmarszczył brwi.

- Chłopcze, powinna cię raczej interesować moja opinia. To ja jestem twoim panem, nie mój ojciec.

- Panie, wszak wiem, że jesteś ze mnie rad. Przy tym to nie w twoich rękach spoczywa przyszłość mej miłości. Zapewne sam masz podobne odczucia w kwestii zacnego pana Fenwycka.

- Zamilcz - syknął Robin. - Zdaje ci się, że chcę, by wszyscy usłyszeli twe bezrozumne słowa? Wzdychaj sobie do mojej siostry, jeśli taka twa wola, nie oczekuj wszakże, że do ciebie dołączę.

- Oczywiście, panie - odparł spiesznie Jason. - Żartowałem jeno.

- Opinia Fenwycka nic mnie nie obchodzi - dodał gniewnie Robin. - Pokonałbym go bez względu na to, jaką wybrałby broń.

- A jakże!

Robin podniósł wzrok, kiedy zbliżył się do nich Nicholas, uśmiechając się leniwie jak przystało na idiotę jego pokroju.

Robin się nachmurzył.

- Czego chcesz, półgłówku?

Nicholas objął każdego z nich ramieniem.

- Wy dwaj! Plotkujecie niczym damy dworu. Czyżbyście gawędzili o swoich wybrankach?

Robin brutalnie odepchnął rękę brata.

- Omawialiśmy najlepszy sposób na wypatroszenie szczerzącego zęby durnia. Jasonie, może przetestujesz moją teorię na tymże bałwanie?

Nicholas jeno się roześmiał, mocniej przygarniając do siebie Jasona.

- Wygląda na to, że srodze się zaangażował, zgodzisz się ze mną, Jasonie?

- Trudno mi orzec, panie - odparł z ziewnięciem giermek. - Mój pan mniema, że najskuteczniej jest ciąć sztyletem wzdłuż brzucha. Podzielasz ów pogląd?

Pokazując zęby w uśmiechu, Nicholas mrugnął do Robina.

- Wiesz, wydaje mi się, że minionego wieczoru ją pocałował. Nie umiałem stwierdzić, czy owe zaloty sprawiły jej przyjemność, czy też przyprawiły o nudności. Może wybierzesz się ze mną dziś wieczór i ocenisz...?

Robin schował miecz do pochwy i popchnął brata.

- Nie była zde gustowana!

Nicholas odrzucił w tył głowę, wybuchając szczerym śmiechem.

- Na kości świętego Michała, Rob, zachowujesz się jak zauroczony szczeniak.

Robin z przekleństwem dobył miecza. Nicholas chwycił Jasona za ramiona, zasłaniając się nim jak tarczą.

- No, no, bracie. Nie chciałbyś chyba posiekać własnego giermka! Jasonie, co też wprawilo go w tak okrutny gniew? Czyżby miłość?

- To już przestało być zabawne - warknął Robin. - Puść chłopaka i stań przeciw mnie jak mężczyzna, jeśli potrafisz. A może zbyt wiele wieczorów spędziłeś, doskonaląc umiejętność gry na lutni, żeby teraz utrzymać w dłoni rękojeść miecza?

W mgnieniu oka Nicholas odepchnął Jasona na bok i dobył broni. Robin kontrolował jego uderzenia ciosami tak potężnymi, że powinny trwale uciszyć Nicholasa bądź przynajmniej ostrzec go, co mu lada moment grozi. Jednakowoż brat nie przejmował się ostrzeżeniami, jeśli wnioskować z tego, jak nacierał. Gdzieś na dnie umysłu Robina zagościł podziw dla dystansu i precyzji przeciwnika. Nie poświęcił tej kwestii wiele uwagi. Płonął w nim gniew, a Robin unosił się na tej fali żaru obojętny na fakt, że może pociąć brata na strzępy, zanim się opamięta.

Zwykle nie walczył w ten sposób. Wiedział, że zyskał sobie reputację brawurowego wojownika, podczas gdy Nicholas uchodził za chłodnego i metodycznego. Jednakże nawet w ogniu bitwy, kiedy krew huczała mu w uszach i przepelniała go furia, niewielka część świadomości Robina pozostawała doskonale spokojna, doskonale racjonalna, doskonale przytomna. To rozum prowadził jego rękę.

W tej chwili nie potrafił odnaleźć w sobie tego opanowania. Palił go wstyd. Niby nastawił się na docinki Nicholasa, lecz tego, że brat będzie się zeń naigrawał tak uporczywie, mówiąc na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli, nie spodziewał się po nim, nawet biorąc w rachubę ten jego beznadziejny romantyzm. Niech Nicholasa diabli, powinien był okazać więcej poszanowania! Cokolwiek intymnego zaszło między Robinem a Anne, nie był to temat do rozmów na placu ćwiczebnym. Nie chodzi o to, że Robin liczył na kolejne intymności. Do diabła, jeśli płacił taką cenę za jeden pocałunek, nigdy więcej nie zbliży się do niej bardziej niż na wyciągnięcie ręki!

- Robinie!

Usłyszał ostrzegawczy okrzyk brata i odskoczył do tyłu, w ostatniej chwili unikając ostrza Nicholasa, które przeszłoby mu ramię. Skończyło się na pokaźnym rozcięciu na rękawie tuniki.

- Święci pańscy, Rob, o czymś ty myślał? - wykrzyknął Nicholas. Upuścił miecz i podszedł do brata. - Nieleddie ściałem ci głowę.

Robin nie znalazł na to dobrej odpowiedzi.

- Jasonie, chodź ze mną - rzekł, strącając z ramienia dłoń Nicholasa. - Nick, dopilnuj, żeby każdy zajął się swoją pracą. To nie jest dzień wolny.

- A gdzie ty będziesz? - zapytał Nicholas.

- W donżonie, upewniając się, że wszystko tam w porządku - odparł Robin.

Ruszył przez plac, marząc jedynie o tym, by zejść wszystkim z oczu, dopóki nie odzyska panowania nad sobą.

- Artane, chwila!

W stronę Robina ze znaczącym błyskiem w oku zmierzał Baldwin. Robin rzucił przekleństwo i zbyt mężczyźną machnięciem ręki. Nie miał dziś dla niego czasu.

- Stój! - zawołał Baldwin. - Zatrzymaj się i staw mi czoło!

Robin przystanął, spoglądając gniewnie na rycerza.

- W jakim celu? Żeby znów cię pokonać? Poprzedni raz ci nie wystarczył?

Przeklinając, Baldwin zamasyżycie dobył miecza. Robin wymamrotał coś pod nosem. Cudownie! Czy ten dzień mógłby przybrać jeszcze gorszy obrót?

Skinął na giermka, żeby chłopak odstepił na bezpieczną odległość, po czym także dobył miecza, akurat w porę, by skontrolować natarcie Baldwina. Starcie z Nicholasmem nieco rozkojarzyło Robina, teraz wszakże uwolnił się już od owej przypadłości. Baldwin pałał wściekłością, co wydawało się dość zrozumiałe. Ostatecznie przy okazji ich pierwszego i zarazem jedynego starcia Robin srodze go upokorzył. Zapewne od tamtej pory w głowie Baldwina nieustannie rozbrzmiewał śmiech rodziny jego przeciwnika, aż wreszcie rycerz nie zdołał dłużej kontrolować gniewu. Robin uśmiechnął się radośnie, gdy z łatwością odparł lichy atak Baldwina. Lata wojaczki na coś mu się jednak przydały. Wychodził żywy ze znacznie gorszych opresji.

- Zabiję cię - warknął Baldwin.

- Ustawicznie to powtarzasz, a nadal wszak żyję - odparł Robin. - Jak to możliwe?

- Dotąd nie wziąłem się naprawdę do dzieła - rzekł Baldwin, stękając z wysiłku.

- Ach tak? - podchwycił Robin. - Proszę, uprzedź mnie, kiedy nadejdzie ów dzień. Chcę być gotów.

W odpowiedzi Baldwin jeno warknął przekleństwo. Robin obserwował go w trakcie walki i nieoczekiwanie przyszła mu do głowy pewna myśl. Czy za atakami na Anne mógł stać Baldwin? No cóż, czemu by tego nie ustalić?

- Jesteś takim tchórzem, by zaatakować kobietę? - zapytał zniechęcony Robin. Baldwin wykrzywił się w ironicznym uśmiechu.

- Szkoda byłoby mego trudu. Po co, skoro to twoja śmierć mnie zajmuje?

- Rzeczywiście - mruknął Robin.

Niespodzianie odkrył, że znużyła go ta konfrontacja. Jakkolwiek rozumiał, dlaczego jego ojciec chce mieć Sedgwicka na oku, zastanawiał się, czy nadal jest taka konieczność. Jeśli Robin zostanie w Artane, zasugeruje rodzicowi, że życie stanie się przyjemniejsze, jeśli nie będą musieli co dzień znosić afektowanego uśmiechu Baldwina. Z całą pewnością też Baldwin nie był mistrzem miecza. Robin przeszedł do ataku, w możliwie krótkim czasie rozgramiając wroga. Gdy oręż Baldwina poszybował w powietrze, rycerz natarł na przeciwnika z pięściami. Robin westchnął, rzucił Jasonowi swój miecz, po czym szybko pokazał Baldwinowi, że także z pięści potrafi uczynić doskonały użytek. Kiedy Baldwin potknął się i ciężko runął na ziemię, Robin oddalił się bez słowa. Miał dosyć. Zmienił tunikę i zobaczył, jak się miewa Anne. Ostatecznie to jest jego obowiązek. On zaś nie zwykł się uchylać od obowiązków.

Przy okazji przekonał się, czy Anne spogląda nań z odrazą. Przysięgłby, że minionego wieczoru drżała, wszelako powodem tego mogło być obrzydzenie.

Święci pańscy, nie ufał już nawet własnym instyngtom.

- Jasonie.

- Tak, panie. - Jason podał Robinowi miecz.

- Pomożesz mi w izbie zdjąć kolczugę, a później jesteś wolny. Mógłbyś jeszcze trochę potrenować.

- A owszem, chyba bym mógł.

- Albo też dostarczyć wiadomość mojej siostrze Isabelle.

- Jeśli tak rozkażesz, panie, zdobędę się na owo poświęcenie.

Robin mimo woli się uśmiechnął.

- Ach, Jasonie, przeze mnie nie nabrałeś towarzyskiej ogłady.

Jason pokręcił głową.

- Wieleś mnie nauczył, panie. Nie mógłbym prosić o znakomitszego opiekuna. Z chęcią też przyjąłbym każdą poradę, jakiej byłbyś mi łaskaw udzielić w kwestii tego, jak zdobyć względy mej nieprzejednanej dziewczyny.

Robin z ogromnym trudem ukrył zaskoczenie.

- Ja? Winienesz zwrócić się z tym raczej do mego zniewieściałego brata.

- Nie, panie, wolałbym usłyszeć twoją radę. Każdy mężczyzna potrafi zdobyć kobietę pochlebstwem, aliści na Isabelle ów sposób nie działa. Co jeszcze byś mi zasugerował, panie?

Robin zastanawiał się nad odpowiedzią, dopóki nie dotarli do izby sypialnej Artane'a. Tutaj zatrzymał się przed drzwiami.

- Wyszczotkuj jej włosy - rzekł. - Zaklinam się, że nie mam pojęcia czemu, niemniej one wszystkie zdają się to lubić.

- A całowanie?

- Jeśli pocałujesz moją siostrę, nim założy twój pierścień, wypatroszę cię. Tnąc w poprzek brzucha. Ustaliliśmy, że to nad wyraz bolesna i powolna śmierć, nieprawdaż?

Gdy giermek głośno przełknął ślinę, Robin otworzył drzwi.

- Wejdz, Jasonie, i pomóż mi. Potem będziesz wolny.

Anne gwałtownie zaczerpnęła powietrza, kiedy Robin wkroczył do izby. Wstała i ruszyła ku niemu.

- Co ci się stało?

- Nic - odparł lakonicznie.

- Nic? - powtórzyła. - Odzienie zwisa na tobie w strzępach, dla ciebie zaś to nic?

Robin ignorował Anne, kiedy Jason ściągał mu kolczugę, a następnie tunikę. Dopiero potem na nią spojrział.

A wówczas całe jego rozdrażnienie z powodu docinków Nicholas'a znikło bez śladu. Żarty młodszego brata nie dokuczały Robinowi aż tak bardzo, poza tym zawsze w razie potrzeby mógł mu złoić skórę. Zresztą czy cokolwiek z tego się liczyło, kiedy trzymał Anne w ramionach, czuł jej drżące wargi pod swoimi, dotykał jej gładkiej skóry i jedwabistych włosów? Niechże Nicholas śmieje się tak długo i głośno, jak tylko zechce. On nie miał swojej kobiety. Robin ujął rękę Anne i unioś ją do ust.

- Nic mi nie dolega.

- Nie krwawisz - poprawiła go. - Kwestię twego samopoczucia trzeba dopiero rozstrzygnąć. - Spojrzała na Jasona. - Kto to zrobił?

Giermek położył kolczugę Robina na skrzyni.

- Nicholas, pani.

- Czy jego umiejętności są tak mizerne, że potknął się i upadł na ciebie z obnażonym mieczem? Czy też błędził myślami wokół jakiejś dziewczyny? A jakże, bez trudu potrafię to sobie wyobrazić.

Robin prychnął.

- Jako i ja. Jasonie, zgłodniałem. Ztroszcz się o posiłek, nim udasz się na poszukiwanie mej siostry, dobrze?

Wnosząc z tempa, w jakim Jason opuścił izbę, należało przypuszczać, że zamierza także uderzyć w konkury. Biedak.

Robin rozsiadł się wygodnie w fotelu przed kominkiem i spędził dobrą godzinę, ukradkiem obserwując Anne, kiedy szyla. Wreszcie nie mógł dłużej poprzestać na patrzeniu. Bez namysłu pochylił się i delikatnie ją pocałował. Spojrzała nań zaskoczona.

- O co chodzi? - zapytał. - Czy muszę pokonać cię w szachy, nim cię pocałuję?

Patrzyła nań w milczeniu tak długo, że zaczął czuć się niezręcznie.

- Anne, w czym rzecz?

Pokręciła głową.

- Zaiste, nie wiem.

- Nie?

- Dlaczego mi to robisz?

- A dlaczego by nie? - rzucił bez troski. Święci pańscy, co niby miał powiedzieć?

Łamię sobie moją biedną głowę w poszukiwaniu sposobów, by cię zadowolić?

- Ty draniu - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Wstała nieporadnie i spiorunowała go wzrokiem.

- Nie będę dla ciebie zabawką.

Zabawką? Gwałtownie wezbrał w nim gniew, nim wszakże znalazł ujście, Anne pokuśtykała do wnęki okiennej. Robin przysięgłby, że usłyszał, jak pociąga nosem.

Och, święci pańscy. Przewrócił oczami, podnosząc się z fotela. Podążył za nią i objął ją w talii, opierając brodę na jej ramieniu.

- Anne, nie jesteś dla mnie zabawką.

- Oczywiście, że nie - odparła szorstko. - Dlaczego miałbyś się choćby tylko zabawiać z kaleką?

- Skończ! - wykrzyknął. - Wiesz dobrze, jak mnie złości, gdy mówisz o sobie w ten sposób.

- Skąd niby mam to wiedzieć? - zapytała ostro. - Od wypadku prawie się do mnie nie odzywałeś, jeśli nie liczyć przekleństw.

- Nieprawda.

- A i owszem.

Stał, zastanawiając się nad jej słowami. Rzeczywiście tak było? Nie od początku. Najpierw razem dochodzili do zdrowia. Ach, lecz później Robin usiłował bronić jej honoru i doznał upokorzenia. Czy po tamtym zajściu z nią rozmawiał? Chyba nie. Położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją twarzą ku sobie.

- Anne...

- Proszę, nie rań mnie - załkała. - Nie zniosłabym tego, Robinie. Słowo daję, że bym nie zniosła.

- Anne, dlaczego miałbym cię ranić?

- Robisz to już samą swoją obecnością tutaj - powiedziała. Odsunęła się odeń, zwracając się ku oknu. - Idź stąd, proszę. Proszę.

Robin poczuł, że serce w nim zamiera.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Tak - potwierdziła. - Tego właśnie chcę.

Aczkolwiek nie miał ochoty wychodzić, nie bardzo wiedział, co innego mógłby uczynić. Anne uparcie pokazywała mu plecy. Odwrócił się więc i bezszelestnie opuścił sypialnię. Nawet nie spostrzegł, że nie ma na nogach butów. Skinął swoim ludziom, po czym ruszył korytarzem. Przynajmniej Anne nic nie grozi, kiedy drzwi strzegą strażę. Jej łkanie prześladowało Robina przez całą drogę do wielkiej sali.

* * *

Nazajutrz Robin nadal siedział w wielkiej sali w fotelu przed kominkiem, wpatrzony w płomienie. Tkwił tak od ubiegłego popołudnia, teraz zaś znów nastąpiło popołudnie. Słowa Anne raz po raz rozbrzmiewały mu w głowie. Nie chce go. Wrócił do domu na próżno. Uważa, że nie jest jej godzien. Czyż nie to właśnie powiedziała? Cóż innego mogła mieć na myśli, mówiąc mu, że gdyby został, jedynie by ją zranił? Zatrzymały się przy nim obute stopy, a potem na fotel naprzeciwko opadła wysoka postać.

- Co się dzieje, Rob?

Robin posłał bratu zmęczone spojrzenie, nim na powrót zapatrzył się w ogień.

- Żałuję, żeś stracił powód do żartów - rzekł ciężko. - Wybacz, że nie dostarczę ci więcej rozrywki.

- No, Rob, jak często mam okazję się z tobą droczyć? I przepraszam, że niemal cię pocałem. Wiesz, że nie zrobiłem tego celowo.

- Wiem. - Robin westchnął. - To była moja wina. Mój umysł absorbowало co innego.

- Skoro mowa o twoim zaabsorbowaniu, dlaczego nie dotrzymujesz jej towarzystwa?

Robin spojrział prosto w szare oczy brata.

- Odprawiła mnie - rzekł tępo.

- Zapewne potrzebowała chwili prywatności.

- Kazała mi odejść, Nick. Na dłużej niż chwilę. Powiedziała, że ranię ją samą moją obecnością. Co takiego, twoim zdaniem, miała na myśli, jeśli nie to, że nie może ścierpieć mojego widoku?

Nicholas zapatrzył się w ogień. Robin przyglądał się, jak na obliczu brata odmalowuje się powaga, i jeszcze bardziej podupał na duchu. Zatem także dla Nicholasa znaczenie jej słów nie ulegało wątpliwości. Robin jęknął bezgłośnie. Jak mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, że Anne darzy go uczuciem? Wydawało się oczywiste, że ona pragnie kogoś pokroju Nicholasa, mężczyzny uładzonego, który nie zrani jej swoją szorstkością. Nicholas wsparł się przedramionami o kolana.

- Jeśli powiem ci coś szczerze, z głębi serca, wysłuchasz mnie?

Czy Robin mógł uciepieć jeszcze bardziej niż do tej pory? Powoli skinął głową.

- I nie zaczniesz natychmiast podważać moich słów jako chaotycznej paplaniny młodszego, bezmyślnego brata?

- Nie będzie to łatwe, lecz spróbuję.

Nicholas się nie uśmiechnął.

- Robinie, w przeszłości droczyłem się z tobą na różne tematy, w tym twego podłego gustu w kwestii kobiet, wiesz wszakże, żem czynił to wyłącznie z miłości do ciebie. Sądzę też, że traktujesz siebie stanowczo nazbyt poważnie. - Uśmiechnął się przelotnie. - Dręczenie starszego brata jest obowiązkiem młodszego, a jako że nigdy ani na chwilę nie pozwoliłeś mi zapomnieć, żeś jest Bóg wie ile ode mnie starszy, odpłacałem ci za to docinkami. Aliści teraz mówię szczerze.

Robin trwał w bezruchu.

- Kontynuuj.

- Z pewnością także byś dostrzegł tę prawdę, gdybyś mógł cofnąć się nieco w przeszłość i spojrzeć na to, co zaszło między tobą a Anne przez te lata. Ona cię kocha. Kochała cię, odkąd sięgam pamięcią. Kochała cię także tamtego poranka, kiedy to znaleźliśmy się na łasce Baldwina. Nie wiesz wszakże, że ona nie widziała, co się wówczas zdarzyło...

- I nigdy się o tym nie dowie - warknął Robin. - Jeśli napomkniesz jej o tej sprawie choć słowem, ubije.

Nicholas zbył groźbę wzruszeniem ramion.

- Nie w tym rzecz. Ty najwyraźniej nie rozumiesz, że ona nie ma pojęcia, dlaczego jednego dnia radośnie witałaś ją przy swoim łóżu bóleści, następnego zaś wyrzuciłaś za drzwi. Sądzi, że zrobiła coś nie tak.

- Oczywiście, że nie o to chodzi. Nic mi nie zrobiła. Jeśli nie liczyć robienia ze mnie dumia przy każdej nadarzającej się okazji.

- Nie słuchasz mnie, Robinie. Anne ci nie ufa.

- Wszak nie zamierzam jej zranić. Czy tego nie pojmuje?

- Na jakiej podstawie miałyby dojść do takiego wniosku? Ponieważ nigdy się nie zachwiałeś w swym oddaniu dla niej?

- Nie zachwiałem się - warknął Robin. - Moje uczucia do niej nigdy się nie zmieniły.

Nicholas tak długo spoglądał nań w milczeniu, aż Robin poczuł się nieswojo. Wówczas uzmysłowił sobie, co powiedział i jak dalece otworzył przed bratem swoje serce.

- Drażni mnie dokładnie tak samo jak wtedy, gdy liczyła sobie osiem wiosen - dorzucił spiesznie, żywiąc nadzieję, że nadał tej wypowiedzi dostatecznie szorstki ton.

Nicholas uśmiechnął się ponuro.

- Słyszałaś sam siebie?

Robin jeno spojrzał nań spode łba.

- Rob, właśnie przyznałaś, że ją kochasz, by momentalnie temu zaprzeczyć. Czy wydaje się takie dziwne, że Anne bezgranicznie boi się dopuścić cię bliżej? Jak ty byś się czuł, gdyby wyznała ci miłość, a potem natychmiast zbagatelizowała swe słowa? - Położył Robinowi dłoń na ramieniu i delikatnie nim potrząsnął. - Nie bądź głupcem, Robinie. Kochasz ją, a ona kocha ciebie. Gdzieś tam, w twoim głęboko ukrytym sercu, znajduje się miejsce, które musisz jej pokazać. Nie oczekuję, że ktokolwiek z nas pozostałych kiedyś je zobaczy, wszelako Anne na to zasługuje. Jeśli koniecznie chcesz, odnoś się do niej szorstko, gdy przebywacie między ludźmi, lecz nie czyn tego, gdy jesteście sami. - Podniósł się i spojrzał z góry na Robina. - O wiele mniejsza szansa jest na to, że ona zrani ciebie, aniżeli odwrotnie. Ja z pewnością bez wahania powierzyłbym jej swe serce.

Robin odprowadził brata wzrokiem. Walczył ze sobą, dopóki Nicholas nie dotarł do drzwi.

- Ani się waż! - zawołał za nim.

Nicholas uśmiechnął się i płytko uklonił, nim opuścił salę. Robin znów oddał się kontemplacji ognia - a także słów brata. Dostrzegał teraz istotę problemu. Skąd Anne miałyby wiedzieć, dlaczego ją odepchnął? Z jej punktu widzenia przyczyną równie dobrze mogło być jej kalectwo. Zawirowało mu w głowie. Czy rzeczywiście doszła do takiego wniosku? Poszczególne elementy układanki gwałtownie wskakiwały na swoje miejsce. Sądziła, że z powodu chromej nogi nie zechce jej żaden mężczyzna. I dlaczego nie miałyby tak myśleć? Robin odrzącił ją po tamtym wypadku.

Nietrudno było uznać, że przyczyna leży w jej kalectwie. Anne nie widziała, jak doznał upokorzenia z rąk Baldwina; tak surowo zabronił komukolwiek o tym wspominać, że zapewne ta sprawa dawno stała się zamierzchłą historią dla każdego poza nim samym. Robin z jękiem schował głowę w dłoniach. To jego wina. Swoją głupią dumą zranił jedyną osobę, której za nic w świecie nie chciał skrzywdzić. Wstał, czując potrzebę ruchu. Czy jest za późno? Nie, wykluczone. Nie dopuści do tego. To wymaga czasu, wszelako Robin w końcu odzyska jej zaufanie. Nigdy nie podaruje jej kwiecistych słów ani zgrabnie zaśpiewanych ballad, ale może ona weźmie go takiego, jakim był - pełnego wad gbura. A nuż zdoła go ugładzić? Jeśli komukolwiek miałyby się udać ta sztuka, to jedynie Anne.

Najpierw wszakże Robin musiał wziąć kąpiel i zmienić odzienie. Pożyczy coś od Nicholasa, potem zaś stawi się pod drzwiami izby sypialnej w nadziei na to, że Anne mu otworzy.

Rozdział 24

Anne siedziała we wnęce okiennej, obejmując ramionami podciągnięte pod brodę kolana. Taka pozycja sprawiała jej ból, lecz nie zgłaszała pretensji. Pulsowanie w udzie zagłuszało ból w jej sercu. Prawie nie opuszczała tego miejsca, odkąd Robin ją zostawił. Aczkolwiek nie miała najmniejszej ochoty przebywać w izbie sypialnej jego ojca, pamiętała wyraźnie stukot kuszy, która upadła u jej stóp. Tutaj przynajmniej nic jej nie grozi.

Wszelako kiedy tylko winowajca zostanie ujęty, Anne opuści pańską sypialnię, żeby nigdy do niej nie wrócić.

Nie łkała już. Nie płakała minionej nocy, co nieco ją zdumiało. Najwyraźniej albo była na to zbyt zmęczona, albo też spodziewała się słów, jakie padły z ust Robina. A może chodziło o to, że skoro Robin jej nie kocha, nie warto trwonić łez? Nie potrafiła uwierzyć, że całował ją w taki sposób. Zapewne uczynił tak z nudy albo dlatego, że nie mógł wychędożyć kilku dziewczek służebnych Rhysa z rzędu. Cóż, niech sobie do nich idzie. Anne go nie chce. Zaiste, była nie lada kłamczuchą.

Z westchnieniem oparła głowę o ścianę. Najgorsze, że go kocha. I pomimo jego słów nie umiała wyzbyć się wiary, że pielęgnuje do niej jakiś afekt.

Chyba że potrafił całować tak namiętnie, ani trochę nie angażując w to serca. Czy coś takiego jest możliwe?

Z rozmyślań wyrwało ją ciche pukanie do drzwi. Rozprostowała się z jękiem i ruszyła przez izbę, robiąc liczne przestanki. Pukanie rozbrzmiewało uparcie, dopóki nie odciągnęła zasuw. Otworzywszy drzwi, wzdrygnęła się na widok stojącego za nimi Robina.

Wyglądał tak, jakby minionej nocy nie zmrużył oka. Ani chybi dlatego, że chędożył wszystkie dziewczki służebne swojego ojca, jakie mu się nawinęły. Anne zasznurowała usta i zawróciła do wnęki okiennej, zostawiając drzwi otwarte. Mógł wejść albo iść sobie, jego wola. Nic jej to nie obchodziło. Usiadła i ze zdumieniem stwierdziła, że Robin sterczy nad nią, pełen wahania. Okrył ją kocem i dalej stał w tym samym miejscu, zaplótłszy ręce za plecami.

- Wygodnie ci?

Nie podniosła nań wzroku.

- Napalę dla ciebie w kominku.

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź. Anne wyjrzała przez okno. Słyszała, jak Robin roznieca ogień, potem zaś jej uszu dobiegł jego skonsternowany pomruk, kiedy spostrzegł nietknięty posiłek. Opuściła powieki, słuchając odgłosu nalewania wina do kubka, który następnie został umieszczony na nadstawie kominka. Z chęcią napiłaby się wina. Być może uśmierzyłoby ono chłód w jej sercu. Usłyszała zdecydowane kroki zbliżającego się ku niej Robina. Zamknął okiennice.

- Uszykowałem ci miejsce przy ogniu.

- Nie jestem zainteresowana.

Nie zaprotestowała, kiedy uniósł ją w ramionach. Po co? I tak by jej nie posłuchał. Gdyby potrafił słuchać, nie wróciłby tutaj.

Zobaczyła legowisko z futer i poduszek. Została ulokowana na jego wierzchołku. Ciężki fotel służył za podparcie dla jej pleców.

- Nie jestem kaleką - rzekła oschle, kiedy Robin wsunął jej za plecy poduszkę. - Nie musisz się ze mną cackać.

- Anne, to nie ma nic wspólnego z twoją nogą. Ja sam nie wżgardziłbym odrobiną tego rodzaju wygody.

- Tobie najwyraźniej nie przeszkadza spanie na twardej podłodze.

- Przywykłem spać na ziemi. Raz nawet spędziłem noc na drzewie. W porównaniu z tym na podłodze jest mi równie wygodnie jak na stosie wypełnionych gęsim pierzem piernatów. No dobrze, może nie na stosie. Święci pańscy, kobieto, czy musisz wszystkiemu się sprzeciwiać?

Spojrzała na niego, gotowa odpłacić pięknym za nadobne, odkryła wszakże, że Robin spogląda na nią z wielką łagodnością. Zirytował ją tym do tego stopnia, że zmilczała. Odwróciła głowę, usiłując nie zwracać na niego uwagi.

Nie miała szans. Nękał ją wytrwale, żeby coś zjadła. Zadowolili się dopiero, kiedy ledwo mogła oddychać z przejedzenia. Wtedy wetknął jej w dłoń kubek ciepłego wina.

Wychyliła je głównie po to, żeby Robin przestał ją dręczyć, po czym wstała i ruszyła do wnęki okiennej. Ból w nodze stopniowo ustępował. Chyba powinna podziękować za to Robinowi, który bez końca oprowadzał ją po izbie.

- Rad sprawiłbym ci czymś przyjemność - rzekł cicho.

Z trudem ukryła zaskoczenie. Święci pańscy, życie z tym człowiekiem niosłoby z sobą stanowczo zbyt wiele komplikacji. Chyba naprawdę lepiej jej będzie bez niego.

- W ramach pokuty - dodał.

- Za co?

- Za gadanie głupstw minionego wieczoru.

Czekała, lecz on wyraźnie nie miał chęci rozwijać tematu. Mogła się zatem jedynie domyślać, którą ze swoich wczorajszych wypowiedzi uznał za głupią. Dysponowała aż nadto obfitym materiałem, odłożyła zatem te rozważania na później. Zrozumiała tyle, że on spełni w tej chwili każde jej życzenie.

- Zabierz mnie na dwór - powiedziała bez wahania.

Nachmurzył się.

- Nie.

- Zatem do kaplicy.

- Jeśli ci odmówię, los mej duszy zawiśnie na włosku.

Czekała, słuchając jego westchnień, lecz pozostała nieugięta. Wreszcie wstał z głuchym pomrukiem.

- Dobrze.

Poczuła słodki smak zwycięstwa.

- Wezmę płaszcz.

- Nie będziesz dziś klęczeć przy ołtarzu świętego Krzysztofa.

Zapewne nie było już potrzeby zanoszenia modłów, skoro Robin bezpiecznie powrócił. Anne podejrzewała zresztą, że jej błagania wzniosły się jedynie pod powałą kaplicy, jako że bez wątplenia prośby o to, by Robin kochał tylko ją, nie zostały wysłuchane. Nie miała pojęcia, czy święty sobie z niej zakpił, jednakowoż skończyła z modłtwnami do niego.

Podobnie jak z pocałunkami Robina.

Podjęła tę decyzję, kiedy zarzucał jej płaszcz na ramiona. O nie, żadnych więcej pocałunków, gdyby zaś Robin nalegał, ona odmówi. Nie wykluczała natomiast, że wyświadczy znów tę grzeczność Nicholasowi, jeśli wyraziłby taką chęć.

Choć musiała przyznać, jakkolwiek wielce ją to irytowało, że w całowaniu Nicholas nie dorastał Robinowi do pięt.

Ach, do diabła z Robinem.

Ruszyła ku drzwiom. Robin złapał ją za ramię, nim dotarła do celu, po czym spojrzał na nią z pełną namaszczenia powagą.

- Wybacz mi - rzekł.

- Co tym razem, Robinie?

Rozejrzał się bezradnie, jakby liczył na to, że odpowiedź ukryła się za kotarami łoża albo zagubiła za zdobiącymi ściany tkaninami. Fakt, że Robin z Artane przeproszał, jakkolwiek za nic konkretnego, bez wątplenia zasługiwał na odnotowanie. Ciekawe, czy nad tym rozmyślał przez całą noc. Być może Anne powinna zasugerować mu, by kolejną poświęcił na ustalenie, który jego czyn wymagał takiego korzenia się. Robin skruszony i błagający o przebaczenie był zaiste interesującym zjawiskiem.

- Wiele rzeczy - wydusił w końcu.

- Kiedy będziesz w stanie sprecyzować, co takiego mam ci wybaczyć, wówczas rozważę twoją prośbę. A na razie zaprowadź mnie do kaplicy.

Zaczął coś cicho mamrotać, przy czym Anne podejrzewała, że przynajmniej w części są to niepochlebne komentarze pod jej adresem. Jeśli wszakże Robin nie wynajdzie przyzwoitego powodu do przeprosin, trudno będzie je uznać za płynące z głębi serca.

Wszelako teraz nie koncentrował się już na Anne, lecz bacznie lustrował wielką salę, do której właśnie weszli. W drodze do kaplicy zachowywał jeszcze większą ostrożność. Mimo swoich licznych wad przynajmniej potrafił zadbać o jej bezpieczeństwo. Zawsze był to jakiś powód do radości. Zaprowadził Anne do kaplicy i usiadł wraz z nią w pobliżu ołtarza. Pochyliła głowę i odmówiła modlitwy.

Kiedy skończyła, spojrzała na Robina. Siedział z dłońmi splecionymi na podołku, oczy miał zamknięte. Długie, ciemne rzęsy ocieniały mu policzki, przypominając Anne, jak w dzieciństwie się nimi zachwycała. Był takim pięknym chłopcem! I stał się pięknym mężczyzną. Przystojny nie mniej od Rhysa, posiadał także pewną wyjątkową chropawość.

Anne poczuła, że jej zdradzieckie serce znów mięknie. Nie do wiary, że Robin tak długo wytrwał w skupieniu. W dzieciństwie nieodmiennie stwarzał wrażenie, jakby zmierzał w dziesięciu różnych kierunkach jednocześnie, choćby nawet przez chwilę stał w miejscu. Nicholas bywa! leniwy; Robin nigdy nie opanował tej sztuki. Anne zmarszczyła brwi. Zawsze zbyt wiele od siebie wymagał, nieustannie starając się dowieść, że jest godzien. Czego, tego nie wiedziała. Czy nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo Rhys go kocha? Albo Gwen... Anne mogłaby przywołać setki okazji, kiedy Rhys chwalił się dziedzicem, podkreślając, jakim wspaniałym stał się on mężczyzną. Robin zapewne nie dałby wiary tym słowom, nawet gdyby usłyszał je na własne uszy. Uważał, że wciąż musi dowodzić swojej wartości. Tymczasem jedynie doprowadzał się na skraj wyczerpania, nic poza tym. Swojej wartości dowiódł lata temu.

Bez zastanowienia wyciągnęła rękę i założyła mu za ucho kosmyk włosów. Uniósł powieki, zerkając na nią z ukosa.

- Sądziłaś, że się zdrzemnąłem?

Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Wyznam, że tak.

Robin zamknął jej dłoń w swoich.

- Nie, Anne. Mam wiele powodów do wdzięczności. Wznosiłem modły dziękczynne i zdołałem dotrzeć jedynie do połowy listy. Zdaje się, że właśnie podziękowałem za piękne zielone oczy Anne z Fenwyck, a nie zdążyłem jeszcze za jej ognistego ducha. Chyba zachowam resztę twoich zalet na inną okazję.

- Nie, dokończ. To nie potrwa długo.

- Szczęśliwie dla ciebie wiem, że nie mówisz poważnie. Święci pańscy, jak odpłaciłbym ci za taką obrazę mojej pani.

Jego pani? Anne spojrzała na swoją rękę spoczywającą między jego szorstkimi dłońmi i pokręciła głową. Ach, gdyby potrafiła uwierzyć w te słowa! Byłoby zaiste cudownie. Ucisnął jej dłoń.

- Wracajmy. Od tej pobożności srodze zgłodniałem.

Nie protestowała, kiedy pomógł jej wstać i wyprowadził ją z kaplicy. Gdy opuścili budynek, otoczył ją ramieniem. Anne starała się ignorować spojrzenia, jakimi ich obrzucano, gdy szli przez dziedziniec. Chyba nie uchodziło...

- Tedy tak się mnie wstydzisz?

Podniosła nań wzrok.

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego więc się odsuwasz?

- Co ludzie pomyślą?

- Uzmysłowią sobie, że troszczę się, żebyś nie zmarła. Jeśli zaś okażą się wyjątkowo lotni, wywnioskują, że szlachetny i rycerski.

- W istocie.

Zasznurował usta.

- Staram się, Anne. Doceń ów fakt.

- Zatem to takie trudne?

- Co? Układny spacer u twojego boku, podczas gdy barbarzyńca we mnie wolałby raczej porwać cię w ramiona i ponieść dumnie niczym trofeum? A jużci, bardzo trudne.

- Miło tedy z twojej strony, żeś się zdobył na ów wysiłek. .

Z prychnięciem przygarnął ją mocniej do siebie, jako że właśnie wspinali się po schodach. Anne mimo woli westchnęła z ulgą, gdy zamknęły się za nimi drzwi wielkiej sali. Z Robinem u boku me czuła się na dziedzińcu tak, jakby coś jej groziło, jednak nie mogła zaprzeczyć, że pokrzepia ją świadomość, że znalazła się za ciężkimi drzwiami.

Później spostrzegła Amandę, która stała przy palenisku, wymownie tupiąc nogą, i zastanowiła się, czy jednak nie byłaby bezpieczniejsza na dworze. Amanda odciągnęła Anne na stronę, kiedy tylko dotarli do kominka.

- Amando - zagrzmiał groźnie Robin.

- Idź po wino dla mojej przybranej siostry - rzuciła doń Amanda. - Zmarła.

Po chwili Anne siedziała przy trzaskającym ogniu, kuląc się pod ostrym spojrzeniem Amandy.

- Czy on cię tknął?

- Amando!

- Zrobił to? - naciskała Amanda. - Święci pańscy, zadżgam go, jeśli tak było.

- Amando, Robin zachowywał się jak najbardziej...

- ...szarmancko? Ani przez chwilę w to nie wierzę, siostró. Robin tego nie potrafi. Zostaw go mnie. Wyjaśnię mu, co go spotka, jeśli nie będzie się należycie prowadził.

- Amando, jestem pewna...

- Tak, ja również. Straciłam już rachubę, ile spłodził bękartów...

Anne gwałtownie zaczerpnęła powietrza, kiedy jej rozmówczyni została poderwana na nogi. Zobaczyła jeno plecy Robina, gdy odciągał siostrę, by następnie przyprzeć ją plecami do tylnej ściany wielkiej sali. W pomieszczeniu rozległ się odgłos jego dłoni uderzających o kamień. Niczego więcej nie usłyszała, kiedy wszakże Robin z Amandą wrócili w pobliże kominka, oblicze dziewczyny przybrało taki wyraz, jaki zwykle pojawiał się na nim po połajankach Rhyse. Robin usiadł w fotelu naprzeciwko Anne i groźnie spojrzał na siostrę.

- Należ nam wina.

- Niczego ci nie należę, arogancki kundlu...

Amanda wrzasnęła, kiedy Robin szarpnięciem przelożył ją sobie przez kolana. Przytrzymał ją w tej pozycji, przygniatając przedramionami jej plecy i uda.

- Obawiam się, że cię nie dosłyszał - rzekł serdecznie. - Coś mówiła?

- Nędzny sukinsyn!

Anne podskoczyła, kiedy Robin solidnie trzepnął siostrę po tylnej części ciała.

- Możesz powtórzyć?

- Niech cię diabli, Robinie, puść mnie!

- Dla ciebie: zacny panie Artane, nieposłuszna jędo. A zatem, będziesz się zachowywać, jak przystoi kobiecie, czy też mam ci wbić przez skórę poczucie przyzwoitości?

- Ty, zacny panie Artane, jesteś pozbawionym manier wieprzem!

Anne spiesznie zasłoniła usta dłonią, żeby ukryć uśmiech.

- Robinie, puść ją! - Nicholas przesadził stół i stał teraz nad bratem, zjeżony z gniewu.

- Uczę ją należytego zachowania. Siadaj, jeśli nie chcesz otrzymać ode mnie podobnej lekcji.

- Spróbuj tylko - zadrwił Nicholas.

- Nicky - odezwała się ostrzegawczo Anne, ujrzawszy niebezpieczny błysk w oku Robina. - Chyba nie należy go w tej chwili drażnić.

Nicholas pochylił się nad oparciem jej fotela.

- Nie pocałowałaś go dziś, Anne? Ani chybi osłodziłoby mu to humor.

- Przestań - powiedziała, czując, że zaczyna się kłępująco rumienić. Nieważne, że postanowiła sobie nigdy więcej nie całować Robina. Wspomnienia dotychczasowych doświadczeń jeszcze się nie zatarły w jej pamięci. - Zacny pan Artane nie życzy sobie, by mu dziś dokuczano.

- Tedy należy uczynić zadość jego życzeniom - stwierdził Nicholas, skłaniając głowę. - Do dzieła, Rob, objź dziewczę.

- Nicholasie! - zawyła Amanda. - Robinie, puść mnie.

- Dobrze, jeśli będziesz się przyzwoicie zachowywać.

- Nie wspomnę już ani słowem o zastępach twoich przeklętych bękartów. Puszczaj!

Nicholas chwycił Amandę i odciągnął ją na bok.

- Święci pańscy, Amando, myśl trochę! Nie przyszło ci do głowy, że Anne może nie chcieć o tym słuchać?

Anne zbyła jego słowa machnięciem ręki.

- Nie, nic nie szkodzi.

Na Boga, to była ostatnia kwestia, jaką miała ochotę omawiać! Szybki rzut oka na twarz Robina powiedział jej, że on podziela te zapatrywania.

- Mnie by to z pewnością przeszkadzało - oznajmił Nicholas. - Amando, na przyszłość postaraj się więcej myśleć.

- Jeśli wy dwoje skończyliście paplać, możecie odejść - warknął Robin. - I, Amando, zapamiętaj sobie moją rękę. Znajdzie się w ruchu tak często, jak się to okaże konieczne, żeby nauczyć cię manier, których nie wpoił ci ojciec.

- Ha! - rzuciła wzgardliwie Amanda, jednak trzymała się w bezpiecznej odległości od Robina. - Zabierz mnie z powrotem na górę, Nicholasie. Obawiam się tego, co mogłabym zrobić w odwecie, gdybym tu została.

Anne wpatrywała się w ogień, dopóki ona i Robin nie zostali sami. Nie potrafiła na niego spojrzeć.

- Anne?

- Tak? - zapytała, nadal patrząc w płomienie.

- Wiem, za co chcę cię przeprosić.

- Za co?

Westchnął.

- Za moją dawną rozwiązłość.

- To bez znaczenia.

- Wolałbym, żeby było inaczej. Dla mnie coś takiego ani chybi miałoby znaczenie. Gdybyś wzięła sobie kochanka, nie sądzisz, że zapoLOWałbym na niego, by go wykastrować?

Spojrzała na niego niechętnie. Biorąc pod uwagę błysk w jego oku, zapewne mógłby to zrobić.

Zasnuowała usta.

- Co zaś ja mam uczynić z wszystkimi twoimi byłymi kochankami, panie? Wyzwać je na miecze?

- Było ich znacznie mniej, niżli mi się przypisuje. Najlepiej o nich zapomnij. Ja tak postąpiłem.

- Ach! Lecz czy one zapomniały o tobie?

Skrzywił się.

- Zadajesz dziwaczne pytania, Anne.

Jedynie nań spojrzała.

- W porządku, niech cię licho - warknął. - Jestem całkowicie pewien, że każda z tych nieszczęsnych dziewczek dawno wymazała z pamięci żalotne noce, jakim spędził w jej łozu. Nie musisz się obawiać, że ktokolwiek przybędzie, by uraczyć cię opowieściami o mojej jurności. Zadowolona?

- Dlaczego w ogóle miałabym się tym przejmować? - zapytała uprzejmie.

Przez kilka uderzeń serca poruszał bezgłośnie ustami, a tymczasem Anne zaczęła się zastanawiać, czy aby nie osądza go zbyt surowo. Naprawdę niepokoił się, żeby nie stała się ofiarą napaści którejś z jego wcześniejszych kochanek, zależało mu także, by uwierzyła, że jego podboje były mniej liczne, aniżeli sugerowały to plotki, teraz zaś me potrafił sklecić sensownej odpowiedzi na pytanie, dlaczego ta kwestia miałaby ją kłopotać.

No i, co szczególnie godne odnotowania, przeprosił. Więcej niż raz. ^ . Jeszcze przez chwilę mamrotał coś niewyraźnie, po czym zniechęca powstał z przekleństwem.

- Nie powinniśmy tu siedzieć. To niebezpieczne. Chodźmy na górę, do komnaty ojca. Spożyjemy wieczerzę.

Od razu też ujął dłoń Anne. Co gorsza, powoli się do tego przyzwyczajała. Z westchnieniem podążyła za Robinem po schodach, a następnie korytarzem do komnaty Rhysa.

Wkrótce przyniesiono wieczerzę, a wraz z nią przybyło rodzeństwo Robina. W trakcie posiłku Anne milczała, oszołomiona jego przeprosinami. Odkryła, że spogląda nań nowym okiem. Zauważyła, że szorstkie słowa kierował do tych, którzy w jakiś sposób poruszyli jego serce albo wzbudzili w nim gniew. Bez wątplenia był gburowaty i trudny do zniesienia, wszelako Anne podejrzewała, że chropawa powłoka kryje ogromne pokłady miłości do rodziny. Był to wielce pouczający posiłek. A zarazem całkiem typowy, jeśli nie liczyć faktu, że Robin najpierw rzucał psom co nieco z każdej potrawy, którą zamierzał wziąć do ust. Anne mogła coś zjeść dopiero, kiedy on tego spróbował. Poza tym wszakże wieczerza miała zwyczajny przebieg. Amanda i Robin ciągle się sprzeczali. Nicholas usiłował zaprowadzić między nimi pokój i na zakończenie posiłku wyzwał Robina na zapasy. Po raz pierwszy w życiu Robin odmówił. Anne nigdy dotąd nie widziała, by się uchylał od walki, i zastanawiała się, jak to interpretować.

Przeprosiwszy rodzeństwo, Robin zaprowadził Anne do izby sypialnej. Usadził ją w fotelu, a następnie przycupnął przed nią na stołku.

- Wygodnie ci?

Jako że jedyną alternatywę stanowiło łożo, owszem, było jej dość wygodnie. Myśl o łożu przywołała wszelako kolejną, tyczącą związanych z nim uciech, i na policzki Anne wypłynął rumieniec.

- Nie powinienem być w ogóle poruszać tego tematu, lecz uznałem, że jest to dobry powód do przeprosin - rzekł Robin.

- W istocie - zgodziła się.

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, potem zaś wstał, wyciągając ku niej rękę.

- Pozwól, że zaplotę ci włosy, a później się położysz. Nadmiar przeprosin bywa wyczerpujący. Musisz wypocząć, żeby jutro wysłuchać kolejnej tury.

- Jeszcze więcej przeprosin? - zapytała z uśmiechem. - Jak cudownie.

Spojrzał na nią wilkiem, sadzając ją na stołku. Usiadł za nią i zaczął szcztokować jej włosy. Anne zamknęła oczy, rozkoszując się doznaniem. Nadawałby się na dziewczkę służebną. Zrećnie zaplótł jej warkocz, po czym rozparł się wygodnie w fotelu. Anne wstała i odwróciła się, żeby nań spojrzeć.

- Dziękuję - powiedziała.

Z powagą skinął głową.

- Tedy zmykaj do łoża. Nie przejmuj się mną. Doskonale dam sobie radę w fotelu albo i na podłodze.

Zasznurowała usta. .

- Mówiłeś, że spanie na podłodze nie będzie dla ciebie problemem.

- To było, zanim się sforsowałem, szcztokując ci włosy.

- Zatem nie śpij na podłodze - rzekła, zbyt późno gryząc się w język.

Powinna cieszyć się z jego niewygody, skonstatowała wszakże, że nie potrafi się na to zdobyć. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Naprawdę?

- Cóż, mógłbyś spać w ubraniu - zasugerowała znacząco. .

- Nie. - Pokręcił głową. - Zbyt niewygodnie.

- Robinie...

- Łoże jest wielkie, ja zaś daję ci słowo honoru, że pozostaniesz nietknięta. - Odkaslnął. - Nie rozbieraj się, jeśli nie chcesz.

Anne nie mogła uwierzyć, że tak skwapliwie zgodził się spać koło niej. Najwidoczniej miał już szczerze dosyć nocowania na podłodze. Zmarszczyła brwi.

- Zdmuchnij świecę i zamknij oczy. I trzymaj się z daleka ode mnie, jeśli łaska.

Zastosował się do jej poleceń, Anne zaś spieszenie zdjęła suknię. Wgramoliła się do łoża w samej koszuli, modląc się, by tyle wystarczyło, żeby ochronić jej skromność.

Słuchała, jak ubrania Robina opadają miękko na podłogę, i zaklinała go w duchu, żeby uchwycił się jakiejś odrobiny przyzwoitości i pozostawił coś na sobie. Łoże skrzyknęło, kiedy wślizgnął się doń z przeciwnej strony. Anne wzięła głęboki oddech.

- Robinie?

- Tak?

- Masz coś na sobie?

- Jeno mój słodki uśmiech.

- Robinie...

- Twej cnocie nic nie grozi. Przysięgam.

- Och, Robinie...

- Cicho, Anne. Śpij.

No cóż, ostatecznie sama wyszła z tą propozycją, teraz zaś było już za późno na wyrzucanie go z łóża. Zamknęła oczy, żywiąc nadzieję, że nie popełniła kolosalnego błędu. Jednego była pewna: nie zaśnie tej nocy.

Rozdział 25

Energiczne łomotanie do drzwi wyrwało Anne z głębokiego snu. Odsunęła kotarę, lecz izba tonęła w mroku. Bez wątpienia była jeszcze noc. Dlaczego ktoś dobija się do drzwi w środku nocy? Czyżby najechano Artane?

- Święci pańscy - powiedziała, zbierając się, żeby wstać.

Raptem uzmysłowiła sobie kilka rzeczy jednocześnie. Leżała w łóżu z Robinem.

Najwyraźniej zasnęła pomimo przeświadczenia, że nigdy jej się to nie uda.

Ktokolwiek zaś dobijał się do drzwi, wejdzie tu zaraz, jeśli Anne szybko czegoś nie przedsięwzięmie, i nakryje ją w łóżu z Robinem, wyrwaną ze snu, podczas gdy żadna cnotliwa panna nie ośmieliłaby się w takiej sytuacji zmrzyć oka. Kurczowo okryła się kocem pod samą brodę.

- Robinie - szepnęła gorączkowo. - Ktoś puka!

- Każ im odejść - wymamrotał, nakrywając głowę poduszką.

Zerwała zeń koc.

- Idź do drzwi, głupcze!

Z jękiem stoczył się z łóża. Anne usłyszała syk zapalanej świecy, potem zaś zobaczyła znacznie więcej Robina, aniżeli kiedykolwiek miała zamiar ujrzeć. Począł do drzwi, sennie pocierając dłonią oko. Właśnie wtedy Anne uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie widziała nagiego mężczyzny.

Chłopców, owszem, ale mężczyznę?

Nigdy.

Zwłaszcza w takim stanie.

Przypuszczała, że Robin nie czuje się, no cóż, rozluźniony. Ale, być może, ów stan był dla niego naturalny, jako że nic na ten temat nie wspomniał. W istocie zdawał się niczego nie zauważać.

Sarkając, odciągnął zasuwę i szarpnięciem otworzył drzwi.

- Co znowu? - zapytał ostro.

Tyle osób naraz gwałtownie zaczerpnęło powietrza, że Anne nie wiedziała, od kogo zacząć. Po pierwsze, zareagowała tak sama, kiedy ujrzała ojca Robina, który z pochodnią w ręku przepchnął się do sypialni.

Następnie - Robin, gdy uzmysłowił sobie, że jego rodzic wrócił do domu co najmniej dwa tygodnie wcześniej, niż się go spodziewano.

Rhys - na widok swojego dumnie prezentującego nagość syna tudzież zerkającej zza kotary Anne. Wszystkich jednakże zagłuszył Geoffrey z Fenwyck. Wkroczył do izby, z furią rozsunął do końca kotary i wbił w Anne wściekle spojrzenie. Anne kurczowo ścisnęła podciągnięty pod samą brodę koc. Przemknęła jej myśl, że ojciec ją uderzy. Lecz Geoffrey obrał sobie inną ofiarę.

- Ty sukinsynu! - ryknął, rzucając się na Robina.

Anne stoczyła się na podłogę, po czym z trudem się z niej pozbierała, owijając się zabranym z łóża kocem.

- Ojczu! - krzyknęła, modląc się, żeby jej rodzic nie udusił Robina. Geoffrey zacisnął już ręce na gardle rycerza i grzmotnął nim o ścianę. - Przestań! On nic nie zrobił...

- Nic?! - wrzasnął jej ojciec. - Nic?! - Puścił Robina i gwałtownie zwrócił się ku Rhysowi. - Artane, przysięgam, że go zabiję, choćby to miało być ostatnie, co zrobię w życiu!

Rhys milczał. Nie musiał nic mówić. Najpierw spojrział na Anne; pojęła, że oczyszcza ją z jakiegokolwiek odpowiedzialności za zaistniałą sytuację. Później jego stalowoszare oczy zwróciły się na syna. Anne mimowolnie podziwiała spokój Robina w obliczu tego, co niewątpliwie miało się okazać wybuchem wściekłości jego ojca nieporównywalnym z niczym, czego Robin dotąd doświadczył. Oczom Rhysa nie umknął żaden szczegół. Robin stał, dysząc, oparty o ścianę, z rękoma zwieszonymi wzdłuż boków, nie próbując nawet osłonić swojej nagości. Anne obserwowała, jak spojrzenie jego ojca sunie w dół. Robin spąsował i potarł gardło.

- Wydaje ci się, że znajdowałbym się w takim stanie, gdybym właśnie ją wychędożył? - zapytał obronnym tonem.

- Wydaje ci się, że czyni jakkolwiek różnicę, czy ona nadal jest dziewicą?! - wrzasnął Fenwyck. - Głupcze! Co cię opętało, żeby zrobić coś takiego?!

- Miałem bardzo istotny powód...

Ojciec Anne ryknął. Anne zamknęła uszy dłońmi, zaklinając go w duchu, żeby nie uczynił niczego, co sprawiłoby jej przykrość, jak na przykład zabicie Robina.

- Panie... - zaczął Robin.

- Milcz! - Geoffrey dobył miecza, wszelako

Rhys powstrzymał go ruchem dłoni.

- Przyjacielu, zabij go, a pozbawisz córkę męża.

- Męża! - sapnął Geoffrey. - Skąd twoje przypuszczenie, że oddam moje dziecko temu bezczelnemu, wyzutemu z honoru sukinsynowi?!

- Stąd, że może on być ojcem twego wnuka - stwierdził spokojnie Rhys.

Anne zerknęła na Robina i natychmiast tego pożałowała. Na jego obliczu malował się wyraz jeszcze bardziej ponury - jeśli to w ogóle było możliwe - niż na twarzy jego ojca. Nie chciała spekulować na temat krążących po jego głowie myśli.

- Geoffreyu, przejdźmy do mojej komnaty - zaproponował Rhys. - Tam wspólnie coś uradzimy.

- Nigdzie nie idę...

- W mojej komnacie! - huknął zniecierpliwiony Rhys. - Kłótnia tutaj niczemu nie służy.

Raz jeszcze Anne poczuła na sobie wzrok ojca, zanim on, syjąc przekleństwami, opuścił izbę sypialną i głośno zatrzasnął za sobą drzwi. Odrobinię podciągnęła koc i spojrzała na ojca Robina. Od razu pożałowała tej decyzji.

Nigdy jeszcze nie oglądała na jego obliczu tak wielkiej zaciętości. Gdyby mogła, dałaby wszystko, żeby rozpląnąć się w powietrzu, zamiast czytać w jego oczach potępienie.

- Zasugerowałbym, abyście wy dwoje oddalili się każde do innej izby, by się odziać, wszelako najwyraźniej na to jest już za późno - rzekł beznamiętnie. - Robinie, jak najszybciej staw się w mojej komnacie. Nie każ mi czekać. Nieuzasadniona zwłoka nie uśmierzy mego gniewu, a wierz mi, że nie pragniesz mnie dziś bardziej rozdrażnić. - Odwrócił się, żeby wyjść, lecz zaraz przystanął. Obejrzał się przez ramię na Robina. - Spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

To rzekłszy, Rhys opuścił izbę sypialną, cicho zamykając za sobą drzwi. Anne popatrzyła na Robina, on jednak unikał jej wzroku.

- Robinie... - zaczęła.

Krótko pokręcił głową i podszedł do skrzyni. Ubrał się w milczeniu. Anne pokuśtykała do kominka, oszczędzając chromą nogę, i wciągnęła przez głowę suknię. Święci pańscy, to była katastrofa.

- Robinie... .

Nie spojrzał na nią, w ogóle nie dał do zrozumienia, że ją usłyszał. Wzwał buty, spiął pasem tunikę i wyszedł.

Anne stała pośrodku sypialni, obejmując się ramionami. Nie zrobiła nic złego. Nie miała powodu odczuwać tego wszechogarniającego wstydu. Robin jedynie ją chronił, aczkolwiek musiała przyznać, że spanie z nim w jednym łóżu było wielce niefortunnym pomysłem. Bez wątpienia popełniła błąd, wysuwając tę szczodłą propozycję, nie spodziewała się jednak, że ich ojcowie wrócą do domu i przyjmą, że oni dwoje swawolili razem. Cóż jednak innego mieli sobie pomyśleć! Westchnęła, zastanawiając się, co teraz począć. Mogła pozostać w izbie, czekając, aż jej los sam do niej przybędzie, bądź też wyjść mu na spotkanie. Nie zaproszono jej do komnaty Rhysa, lecz nie widziała powodu, żeby nie podsłuchać toczącej się tam rozmowy, poznając tym sposobem swoją najbliższą przyszłość.

Niewykluczone, że przy okazji powstrzyma ojca przed zabiciem jej ukochanego.

Otworzywszy drzwi, przekonała się, że ludzie Robina nadal trwają na stanowiskach. Patrzyli na nią bez wyrazu, tak że pozostawało jej jedynie spekulować na temat tego, co sobie myślą. Wysunęła brodę i minęła ich dumnie. Podążyli za nią, zatrzymała się więc i obejrzała na nich.

- Wyruszam w delikatnej sprawie i obędę się bez bandy tłukących się w ślad za mną rycerzy - powiedziała. Jeden z mężczyzn pokłonił jej się nisko, chrzęszcząc zbroją.

- Pani, nasz pan rozkazał nam cię strzec. Nie możemy go zawieść.

- Wasz pan ma wielkie szanse zginać z ręki mojego ojca, jeśli szybko i dyskretnie nie dotrę na miejsce - odparowała. Rycerze popatrzyli na siebie. Dwóch poruszyło się niespokojnie.

- Tylko jeden - oznajmiła, patrząc na tego, którego uznała za przywódcę. - Ty. Lecz zachowaj ciszę.

Dopiero kiedy już skradała się korytarzem, pojęła, jak śmiało sobie poczyna, komenderując przybocznymi Robina. Pokręciła głową. Szkoda, że nie odnalazła w sobie takiej śmiałości wcześniej, kiedy to mogło jej się na coś przydać.

Zatrzymała się przed wejściem do komnaty Rhysa, dając znak podążającemu za nią rycerzowi, żeby ją minął. Drzwi zastała zamknięte, jednak wiedziała, że temu da się bez trudu zaradzić. Tocząca się w środku burzliwa wymiana zdań zagłuszy skrzypnięcie, jak również inne możliwe hałasy. Anne pchnęła drzwi, uchylając je jedynie na tyle, żeby słyszeć, o czym rozmawiają.

- Kiedyś przemykałem oczy na twoje niedyskrecje - mówił Rhys tonem tak zimnym, że po plecach przemknęły Anne ciarki. - Aliści tym razem nie poswawoliłeś sobie z pospolitą dziewczką.

- Nie tknąłem jej!

- Praktycznie więziłeś ją w swojej izbie! Jak długo? Dwa tygodnie...

- Musiałem! - wykrzyknął Robin. - Czterokrotnie nieomal straciła życie. Nie widziałeś moich ludzi pod drzwiami? Nie zdziwiło cię, dlaczego się tam znaleźli?

- Żeby chronić was przed wścibskimi spojrzzeniami! - ryknął Fenwyck. - Dość tego, Rhys. Spotkam się z nim na placu!

W innych okolicznościach prychnięcie Robina z pewnością wywołałoby uśmiech na twarzy Anne. Przynajmniej nie wątpił we własne umiejętności, zarazem raczej nisko oceniając w tym zakresie jej ojca.

- Czy postąpiłbyś inaczej? - zapytał ostro Robin. - Czy nie uczyniłbyś, co w twojej mocy, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo?

- Moje czyny nie stanowią teraz przedmiotu dyskusji. Twoje - owszem.

- Nie miałem wyboru!

- Leżałeś z nią nagi w łóżu! - zagrział Rhys.

- Dwa tygodnie w mojej sypialni, Robinie. Wydaje ci się, że jakkolwiek rozsądny człek uwierzy, żeś jej nie tknął?

- Wierz sobie, w co chcesz - odparował Robin. - Nie jestem kłamcą.

- Jesteś piekielnym łajdakiem, który zasługuje na stryczek! - wrzasnął Fenwyck. - Rhysie, domagam się zadośćuczynienia!

- Otrzymasz je - odparł Rhys tym samym zimnym tonem, jakiego użył na początku. - Ślub odbędzie się niezwłocznie.

- Nie możesz mnie zmusić do ożenku - warknął Robin.

- Mogę i to właśnie zamierzam zrobić.

- Sam dokonam wyboru!

Na moment zapadła cisza, Anne zaś poczuła, jak jej serce zalewa chłód. Najwyraźniej wybór nie padnie na nią.

- Mówiąc, że się na tobie zawiodłem, Robinie, ani w części nie oddałbym natury uczuć, jakie dokuczają mi w tej chwili - oświadczył cicho Rhys. - Poślubisz wybraną przeze mnie kobietę i zrobisz to dokładnie wtedy, kiedy ci każę. W przeciwnym wypadku utracisz dziedzictwo.

Anne zasłoniła usta dłonią, żeby zdławić okrzyk przerażenia. Z pewnością Rhys nie mówił poważnie. Co Robin pocznie bez ziemi?

Wtedy Robin się roześmiał. Był to najbardziej wyzuty z wesołości śmiech, jaki Anne kiedykolwiek słyszała.

- Takie rozwiązanie by cię zadowoliło, nieprawdaż? - rzekł, znów się śmiejąc. - Oddaj wszystko Milesowi, ojczu. Przekaż mu tytuł, ziemię i złoto. Niech je dostanie twój rodzony syn. W swojej hojności daj mu także Anne, albowiem, do diabła, nie będziesz mi dyktował, co mam robić! Ani ty, ani nikt inny!

- Owszem, będę - odparował gniewnie Rhys. - Poślubisz Anne, kiedy tylko obudzimy księdza.

- Sam wybiorę czas i miejsce mojego ślubu - warknął Robin. - Gdybyś jeno posłuchał...

- Czego? - przerwał mu ostro Rhys. - Jaką żalosną wymówkę znajdziesz dla swoich poczynań? Święci pańscy, Robinie, miałeś ją w swoim łóżu! Do diabła, nie w swoim, lecz w moim łóżu. Powiniennem cię obić za sam ten fakt!

- Musiałem! - krzyknął Robin.

- Wystarczy - uciął Rhys. - Za godzinę bierzesz ślub. Udaj się do kaplicy i poświęć modlitwie...

- Idź do diabła ze swoimi świętoszkowatymi żadaniami! - W komnacie zadudniły ciężkie kroki.

- Robinie...

- Dlaczego w ogóle wróciliście tak szybko? - zapytał Robin, najwyraźniej zatrzymując się tuż przy drzwiach.

- Po drodze spotkaliśmy Hardwiche'a - wyjaśnił krótko Rhys.

- A skąd wiedzieliście, że Anne jest w mojej sypialni?

- Dziewka służebna nam powiedziała, gdyśmy weszli do wielkiej sali - odparł niecierpliwie Rhys. - Ty zaś...

Anne schroniła się w tonącej w mroku niszy na uderzenie serca przed tym, jak Robin szarpnięciem otworzył drzwi, by zaraz je za sobą zatrzasnąć. Oszolomiona wydarzeniami rozgrywającymi się w środku nocy, potrafiła tylko stać i patrzeć, jak Rhys opuszcza komnatę, deptając Robinowi po piętach. Jej ojciec ruszył w ślad za nimi dwoma.

Trwała nieruchomo jak kamień, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zacznie znów normalnie oddychać.

Zatem Robin jej nie kocha. Cóż innego dałoby się wywnioskować z jego słów? Gdyby jej pragnął, wziąłby ją bez względu na okoliczności.

Gwałtownie zacerpnęła powietrza, gdy znienacka wyrósł przed nią jej rodzic. Nigdy jeszcze nie oglądała go w takim gniewie. Zebrała całą odwagę, żeby spojrzeć mu w twarz, miast pokornie się skulić.

- Czy on cię przymusił? - zapytał ostro Fenwyck.

Czy miało sens wdawać się w tłumaczenia? Uwzględniając obecny nastrój Geoffreya, zapewne nie dałby wiary jej słowom.

- Nie - odparła po prostu.

Pacnął się dłonią w czoło.

- Tedy położyłaś się z nim z własnej woli? Głupia dziewczucho, co ty sobie myślała? - Brutalnie chwycił ją za ramię i powłókł korytarzem.

- Panie! - odezwał się zaalarmowany przyboczny Robina.

Geoffrey warknął przekleństwo, dalej ciągnąc Anne.

- Jedyny pożytek z tej sytuacji jest taki, że mimo wszystko wyjdiesz za męża. Za pomiot Artane'a, jako że za jego sprawą nikt inny już cię nie zechce. - Chrząknął z odrazą. - Nie wiem, czy mogę bezpiecznie powierzyć mu swoje włości. Nie powinienem być powierzać mu własnej córki. Wszelako niewykluczone, że z ziemią obchodzi się rozsądniej niżli z kobietami.

Anne słuchała ojca, gdy przytaczał listę zarówno niedostatków, jak i dobrych stron Robina, niemniej z żadnym z jej punktów nie mogła się zgodzić. Pewna była jednego: Robin z Artane nie chce jej poślubić.

Podejrzewała wszakże, że zostanie do tego zmuszony. Geoffrey otworzył drzwi izby sypialnej Rhysa i wpełznął Anne do środka.

- Zostań tutaj - mruknął. - Nie podoba mi się to rozwiązanie, wszelako nie widzę innego. Zrób, co konieczne, żeby się jakoś prezentować. I pospiesz się. Nie chcę, żeby łajdak zmienił zdanie, nim dotrzemy do kaplicy.

To rzekłszy, zamknął drzwi, porzucając Anne samą z jej myślami.

A te nie były przyjemne. Owszem, pragnęła zostać w Artane. Modliła się o to. Nie śmiała nawet marzyć, że pozostanie tu jako żona Robina.

Nigdy wszakże by nie przewidziała, że Robin poślubi ją pod groźbą miecza.

Z trudem radziła sobie z takim upokorzeniem. Wyobrażając sobie przebieg nadchodzącego dnia, miała ochotę usiąść na podłodze i zapłakać. Jeśli Robin stawi się przy ołtarzu, uczyni to w eskorcie przybocznych jego ojca. Jak Rhys bez rozlewu krwi wydusi zeń zgodę na małżeństwo? Nawet jeśli Robin zostanie doprowadzony do kaplicy pod bronią, zapewne wyróżnie w pień połowę drużyny ojca, byle uciec z tego miejsca.

Uciec od niej.

Jeśli podczas minionych dwóch tygodni cokolwiek do Anne poczuł, jeśli w jego piersi zrodziła się jakaś czułość, teraz to wszystko przepadło. Święci pańscy, nie mogła znieść wizji tego, jak on odtrąca ją przy ołtarzu.

Zarazem w całej tej sprawie nie było jej winy.

Anne minimalnie wysunęła brodę. Nikt nie pytał jej o zdanie. Nieistotne, że jej ojcu nawet w stanie najwyższego upojenia nie przyszłoby do głowy, żeby poznać jej opinię w tego rodzaju kwestii. Nikt nie zapytał Anne, czy chce poślubić Robina, czy darzy go jakimkolwiek uczuciem, czy zdoła znieść jego towarzystwo przez resztę życia.

Jeżeli w ogóle ma kogoś poślubić, niechże przynajmniej będzie to człowiek, który jej pragnie - choćby tylko ze względu na jej wiano.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Nie jest bezsilna, może stanowić o własnym losie. Przy odrobinie szczęścia w panującym zamieszaniu opuści warownię niezauważona. Kto wie, może znajdzie się dla niej miejsce na dworze, do czasu aż ostygnie gniew jej rodzica? Wówczas będzie mogła przyjrzeć się ponownie proponowanym przezeń kandydatom i poślubi tego, który będzie dostatecznie mocno pożądał jej ziem. Niewykluczone, że w małżeństwie żądza pozostaje żądzą, bez względu na jej przedmiot. Otworzyła drzwi, gotowa do ucieczki. I stanęła twarzą w twarz z ojcem, który opierał się o ścianę naprzeciw, z rękoma zaplecionymi na piersi. Nigdzie nie spostrzegła przybocznych Robina. Nie ucieknie.

Nim wszakże zdążyła się odezwać, korytarzem nadciągnęła pani Gwennelyn i zagarnęła ją z powrotem do sypialni. W następnej chwili Anne znalazła bezpieczne schronienie w czułych objęciach przybranej matki.

- Słodka Anne - odezwała się Gwen, odsuwając się od niej ze smutnym uśmiechem. - W jakież to skandal wciągnął cię Robin?

- Skandal? - powtórzyła Anne, której raptem zebrało się na płacz. - Mówisz o tej małżeńskiej farsie?

Gwen pokręciła głową, uśmiechając się łagodnie.

- Kochana, to nie farsa. Z czasem wszystko się ułoży.

- On jest nieszczęśliwy...

- Podobnie jak ty, jak sądzę - wpadła jej w słowo Gwen. - Wątpię, byś w ten sposób wymarzyła sobie dzień własnego ślubu.

- To nie było tak, jak wyglądało - zapewniła Anne.

- Wiem. Nicholas wszystko mi opowiedział i nie winię ani ciebie, ani Robina za wasze działania. Zaiste, nie mógłby postąpić inaczej, gdy chodziło o jego najcenniejszy skarb.

- Jego koń przez cały ten czas stał bezpiecznie w stajni - stwierdziła ponuro Anne.

Gwen zaśmiała się cicho.

- Och, moja Anne, wiesz, że mówię o tobie. Robin jest uparty jak jego ojciec, zatem ani chybi długo potrwa, nim się opamięta. Wszelako twoja cierpliwość bez wątpienia doczeka się nagrody.

Jako że Anne nie chciała wyjawiać Gwen, że straciła głowę dla jej pierworodnego, nic na te słowa nie odpowiedziała. Milczała także, kiedy Gwen czesała jej włosy i zakładała na przejrzysty welon znalezione gdzieś skromną obręcz. Przypuszczała, że wygląda jak panna młoda. Wiedziała też z całą pewnością, że jest dziewczicą.

Podejrzewała wszakże, że nikt by w to nie uwierzył.

Nadal nic nie mówiła, kiedy dobrą chwilę później szła u boku Gwen do kaplicy. Nie cieszyła się na spotkanie z Robinem, albowiem mogła sobie jedynie wyobrażać, co wydarzyło się w jego nieszczęsnym życiu w minionych godzinach. Miała nadzieję, że nie polała się krew. Inna niż jego własna, oczywiście.

Rozdział 26

Edith obudziły wrzaski. W zasadzie nie spała już od jakiegoś czasu - zdecydowanie dłużej, aniżeli by sobie tego życzyła - jako że wokół rozlegały się pokrzykiwania. Początkowo sądziła, że jej się to śni. Stęknęła, kiedy coś zważyło się na jej siennik. Usiadła, odpychając winowajczynię.

- Och, lady Edith - wydyszała Maude. - Obudź się, pani!

- Już nie śpię - rzekła szorstko Edith.

Nie śmiała żywić nadziei, że pozostałe dwie kobiety nie obudziły się wraz z nią. Mogło być jeszcze gorzej, gdyby w izbie jak zwykle spała cała gromada dworek Gwen. Tymczasem te, które zostały na miejscu, były albo zbyt głuche, żeby usłyszeć piski Maude, albo też zbyt głupie, by pojąć ich znaczenie. Edith spojrzała na dziewczynę w bładym blasku świtu i bez zaskoczenia odnotowała na jej obliczu wyraz kompletnej paniki. Westchnęła.

- O co chodzi tym razem, Maude?

- Wrócił lord Rhys!

- Cudownie, nie musisz atoli stawiać z tego powodu na nogi całej warowni.

- Nakrył ich razem w łożu!

Edith się zawahała. Nie liczyła na tak smaczny kąsek.

- Ciekawe. Jak wpadł na pomysł, żeby ich tam szukać?

- Powiedziałam mu, lecz nie to jest w tym wszystkim najgorsze!

Edith niecierpliwie oczekiwała dalszego ciągu. Ziewnęła.

- Mów dalej, Maude. Jeno się pośpiesz, bo chce mi się spać.

- Ustalono, że się pobiorą!

Edith gwałtownie zdławiła ziewnięcie.

- Robin i Anne? Skąd wiesz?

- Słyszałam na własne uszy! - lamentowała Maude. - Teraz już nigdy go nie dostanę!

- No cóż, mężczyźni biorą sobie kochanki...

- Nie będę jego nałożnicą!

Edith powstrzymała się przed wytknięciem głupiej dziewczce, że została nią już dawno; choć być może rzeczywiście jedna noc namiętności nie zasługuje na tak szumny tytuł.

- Obawiam się, moja mała, że nic nie zdołasz uczynić - odezwała się współczująco.

- Przeszkodzę im!

- Jak?

- Zabiję księdza!

Edith jeno westchnęła.

- Wobec tego zabiję ją.

Na te słowa Edith przeszył dreszcz niepokoju. Jeszcze nie. Nie taki miała plan. Podręczyć Anne, a jakże. Zmienić jej życie w piekło i tym sposobem dopiec Robinowi, jak najbardziej. Ale zabić?! Na to przyjdzie czas na końcu. Kiedy Edith upora się z całą resztą.

Uspokajająco położyła dłoń na ramieniu Maude, powstrzymując drżenie dziewczyny.

- Nie obawiaj się - rzekła kojąco. - Robin nie dopuści do ślubu.

Jeśli zaś się pobiorą, tym lepiej dla mnie. Utrata ukochanej to bolesny cios. Wszelako utrata żony, być może żony przy nadziei...

Niemalże sama poczuła dreszcze.

- Tak sądzisz? - spytała Maude, unosząc zalaną łzami twarz. - Naprawdę tak uważasz?

- Jestem tego pewna. A teraz zmykaj. Nie rób niczego na własną rękę. Wszystkim się zajmę.

Maude skinęła głową, chociaż z mniejszym entuzjazmem, niżli Edith by sobie tego życzyła. Cóż, przynajmniej dziewczka się z nią zgadza. Po jej wyjściu Edith znów się położyła, dumając nad tym zaskakującym zwrotem wydarzeń. Być może zdoła skierować uwagę Maude na pozostałe dzieci. Gromadka martwych chłopców i dziewcząt.

Uśmiechnęła się. Jakież to byłby uroczy prezent ślubny...

Wstała, żeby się ubrać. Jeśli chce uczestniczyć w ślubie, musi się pośpieszyć.

Rozdział 27

Robin szedł ślepo przed siebie korytarzem, nie zważając na ponawiane przez ojca wezwania, żeby się zatrzymał. Przynajmniej nie ścigały go już wrzaski Fenwycka grożącego mu śmiercią tudzież poćwiartowaniem przy użyciu wyjątkowo tępego miecza bądź innych nieprzyjemnych przyrządów. Gdyby Robinowi było nieco bardziej do śmiechu, zapewne uznałby ojca Anne za całkiem pomysłowego.

Wszelako nie było mu do śmiechu.

Szedł zatem przed siebie, inaczej bowiem pohańbiłby się ostatecznie, załamując się i uderzając w płacz. Święci pańscy, wszystko, o co zabiegał przez całe swoje nędzne życie, legło w gruzach. Ojciec uznał, że jest niegodny.

Nie dało się opisać słowami, jak srodze to Robina zabolalo, jak wielka udreka stala sie jego udzialem. Nie mógł złapac tchu. Umiał tylko kroczyć przed siebie z nadzieją, że kiedy wreszcie się zatrzyma, ustanie również jego ból. Nie zastanawiał się, dokąd zmierza. Pragnął jedynie uciec przed potępiającym spojrzeniem rodzica.

Całą wieczność później znalazł się w kaplicy. Nie tu chciał trafić, wszelako najwyraźniej nogi same przyniosły go w to miejsce. Przeszedł na przód i usiadł na ławie w pobliżu ołtarza świętego Krzysztofa. Ponuro zapatrzył się w wizerunek świętego, dziwiąc się, że Anne zanosila przed nim modly, klęcząc na zimnej podłodze. Cóż otrzymała w nagrodę za swój trud? Męża, którego największym pragnieniem było uciec przed wzgardą w ojcowskim spojrzeniu?

Ta bolesna myśl przywołała inną, niewiele mniej dotkliwą - o wzgardzie, jaką Robin bez wątpienia wyczyta w oczach Anne.

To znaczy, jeżeli kiedykolwiek odważy się ponownie w nie zajrzeć.

Tego ranka pokazal się od najgorszej strony. Na jej oczach stal się z powrotem małym chłopcem kulącym się i skamlącym, gdy spadały nań karcące słowa rodzica. Gdyby był mężczyzną, porwałby Anne w ramiona, kazał ojcu iść do diabła i osobiście zajął się przygotowaniami do ślubu. Zamiast tego pozwolił sobą komenderować jak bękartem zapijaczonej dziewczki i powlókł się do komnaty Rhysa na połajankę. Święci pańscy, jest dorosłym mężczyzną! Nie potrzebował pouczeń ojca, by wiedzieć, że małżeństwo jest jedynym możliwym rozwiązaniem. W istocie wiedział to, nim jeszcze dołączył do Anne w łożu. Zaczynał się zastanawiać, czy nie zdawał sobie z tego sprawy już wtedy, gdy postanowił zamknąć ją w ojcowskiej sypialni i dotrzymać jej tam towarzystwa. Zatopił twarz w dłoniach i jęknął. Nie tak to miało wyglądać. Powinien był się do niej zalecać. Powinien był przełknąć dumę i zwrócić się do Nicholasa o radę, w jaki sposób zdobyć jej względy. Powinien był się ukorzyć i pójść do Geoffreya, by prosić o jej rękę. Prawdopodobnie sam Robin nie zostałby przyjęty z otwartymi ramionami, wszakże jego dziedzictwo obejmowało rozległe dobra, zaś we władaniu mieczem nie miał sobie równych. Przypuszczał, że zdołałby zadbać o należytą płodność swoich ziem, gdyby dano mu czas, by sprawdził się na tym polu.

Gdyby zaś nic innego nie poskutkowało, padłby przed Fenwyckiem na kolana, zapewniając go, że kocha Anne i będzie ją cenił ponad wszystko. Teraz jednak Geoffrey nie dałby wiary jego słowom. Podobnie jak i Anne.

Robin z niedowierzaniem pokręcił głową. Jeszcze nawet nie nastał świt, a całe jego życie zdążyło ulec zmianie. Życie Anne również. Zasługiwała na inny ślub - nie taki jak teraz, pod przymusem.

Pierścień.

Zerwał się na równe nogi. Chociaż tyle mógł jej ofiarować. Być może ów skromny symbol przynajmniej częściowo osłodzi jej ten poranek. Nawet jeśli Anne nie wierzyła w miłość Robina, pierścień o czymś zaświadczy, nieprawdaz?

Ruszył ku wyjściu z kaplicy, lecz raptem zamarł. Rhys stał oparty o drzwi, a na jego twarzy malował się wyraz nieprzejednania.

Ach, do diabła z nim, przecież Robin nie planował ucieczki. Niemniej przy drzwiach drogę zagroził mu obnażony miecz.

- Och, piekło i szatani - zaklął Robin zniesmaczony.

Jego ojciec nie zmienił pozycji. Przybrany ojciec, jak zaraz się poprawił. Człowiek, którego aprobatą dla Robina oznaczała wszystko, ani drgnął. Potępienie, jakie czytał w oczach Rhysa, omal nie złamało mu serca.

To znaczy, mogłoby je złamać, gdyby takowe posiadał. Robin zawrócił i znów zajął miejsce na ławie. Poczul, że wypełnia go chłód. Tym lepiej. Pragnienie, by zadowolić ojca, było zapewne jeno głupią mrzonką. Tak, ani chybi. Powinien się go wyzbyć.

W istocie, nie zaszkodzi, jeśli pozbędzie się także pragnienia, by zadowolić Anne. I gdy tak siedział na piekielnie niewygodnej ławie w głębi kaplicy, zaledwie kilka kroków od miejsca, gdzie ona klęczała, święci pańscy wiedzą jak często, modląc się za niego, Robin pomyślał, że być może wszystkie zdarzenia tego ranka zasły nie bez powodu. Co go opętało, by uwierzyć, że dobrze na tym wyjdzie, jeśli odda komuś swoje serce?

Nie, powinien raczej skrzętnie je chronić. Postąpi zgodnie z wolą ojca i poślubi Anne. Potem zaś opuści dom, żeby oddać się męskim zajęciom. Na przykład we Francji.

Ostatecznie mężczyzna musi pełnić swą powinność, bez względu na to, dokąd go ona zawiedzie. A jakże, wyjedzie jak najdalej stąd i zaangażuje wszystkie swoje siły w wojaczkę, do której najlepiej się nadaje. Nie da

się tego odczytać jako ucieczki od kłopotów. Nikt nie domyślił się przyczyn jego wyjazdu. Anne nie będzie już narażona na naciski ze strony ojca pragnącego wydać ją za mąż. Pozostanie w Artane i będzie szczęśliwa. Robin podejrzewał, że właśnie na tym zależało jej najbardziej. Jeśli faktycznie tak się sprawy mają, niechże jej pierścień spoczywa spokojnie na dnie szkatuły. Tak czy owak, był to głupi koncept.

Usłyszał, jak z tyłu otwierają się drzwi, dotarły doń głosy i czyjeś kroki, ale nawet nie próbował ich zidentyfikować. Podniósł wzrok, kiedy za ołtarzem stanął ksiądz. Zmarszczył brwi. Sądził, że zmówiny odbędą się w wielkiej sali, nie zaś w kaplicy. Tak każe zwyczaj, czyż nie?

Wtedy wszakże u boku księdza pojawił się skryba Rhysa. Robin uśmiechnął się ponuro. Cóż, najwyraźniej umowa ślubna zostanie podpisana tutaj, przed mszą. Widocznie ojciec bał się, że Robin ucieknie, jeśli tylko znajdzie się na wolnej przestrzeni pomiędzy wielką salą a kaplicą. Na jego ramieniu spoczęła ciężka dłoń. Robin nie podniósł wzroku, wiedząc, do kogo ona należy.

- Już czas - rzekł Rhys.

Robin nie spojrział na ojca. Wstał i zajął miejsce przed ołtarzem, sztywno wyprostowany. Przysiadałby, że wyczuł obecność Anne, nim jeszcze usłyszał jej nierówne kroki, gdy zbliżała się nawą. Zatrzymała się obok niego. Z trudem zebrał się na odwagę, by na nią zerknąć, po czym od razu tego pożałował. Była tak blada, jakby miała lada moment zemdleć. Robin ogromnie pragnął ku niej sięgnąć, zapominając o niedawnych postanowieniach, lecz się nie ośmielił. Nie zniósłby, gdyby się odsunęła albo wzdrygnęła pod wpływem jego dotyku.

Zatem utkwiał wzrok przed siebie, utwardzając swoje serce. Tylko w ten sposób mógł je chronić.

Później poczuł, że traci kontrolę nad własnym życiem. Przed nim wyłożono umowę przedślubną. Wiedział, że ojciec ma teraz prawo wyliczyć jego włości. Nie zdziwiłby się ani trochę, gdyby Rhys odmówił mu tego wszystkiego, co Robin dziedziczyłby w zwykłych okolicznościach. Wysunął brodę. Włości Rhysa nie miały dlań znaczenia. Robin posiadał własne ziemie, dziedzictwo po baronie Ayre. Wystarczy aż nadto, żeby ugłaskać rodzica Anne.

Zarazem wszakże, gdyby dodać do tego najwyborniejsze włości Rhysa, Fenwyck ani chybi padłby z zachwyty.

Jednakże, ku zaskoczeniu Robina, Rhys niczego mu nie odebrał. A ponieważ za jego plecami nie rozległ się odgłos osuwającego się na podłogę ciała, Robin domyślił się, że Fenwyck wiedział, co druga strona wniesie do tego małżeństwa.

Prawdziwie przecież zdumiał się, słysząc listę dóbr Fenwycka. Spodziewał się, że wiele z włości Geoffreya przypadnie w udziale jego pasierbicy i jej mężowi. Najwyraźniej wszakże Fenwyck albo nie miał do tamtego mężczyzny ani krzty zaufania, albo też uważał, że Robin lepiej sobie poradzi z zarządzaniem jego lennami.

Mogło być również i tak, że Robin został uznany za mniej przykrą z dwóch odrażających możliwości do wyboru.

Robinowi nie zależało na włościach Fenwycka. Geoffrey nie zdawał sobie sprawy, że dla Robina nagrodą cenniejszą niżli urodzajne ziemie była stojąca obok niego kobieta, która właśnie zaczynała nieznacznie chwiać się na nogach.

Robin już prawie wyciągał ramię, żeby ją nim otoczyć.

Jednak dałby tym do zrozumienia, że ją kocha, tego zaś nie chciał przyznawać. Nie teraz. Nie w sytuacji, gdy zamierzał wyjechać natychmiast po ceremonii...

- Robinie, za tobą!

Na ten okrzyk Robin momentalnie okręcił się na pięcie, jeszcze zanim jego przeciążony umysł w pełni zarejestrował słowa brata. Latami ostrzegali się nawzajem przed niebezpieczeństwem dzięki tej prostej komendzie. Zareagował instynktownie.

Odniosł wrażenie, jakby czas zwolnił. W jego dłoni pojawił się sztylet. W zadziwieniu przyglądał się, jak ktoś pędzi nawą ku niemu, dostrzegł też Anne z uniesionym w górę ramieniem. Wydało mu się, że słyszy brzęk bransoletki.

Postąpił krok do przodu, czując, jak zalewa go wściekłość i frustracja. Szukał tego osobnika wiele dni, przeklinając fakt, że nie potrafi wykurzyć go z kryjówki. Teraz, kiedy wreszcie się spotkali, nie brał nawet pod uwagę możliwości porażki. Pchnął ku górze, wkładając w ów cios cały gniew, jaki kipiał w jego poranionej duszy.

Zakapturzona postać krzyknęła, wybulgotała przekleństwo, po czym zwała się na Robina. Odtrącił ją i przyglądał się, jak pada na podłogę, ciągle zaciskając w dłoni długi sztylet. Na nadgarstku napastnika połyskiwała bransoletka. Robin w końcu oderwał wzrok od leżącej postaci i spojrział na Anne. Z tyłu jej zbryzganej krwią sukni widniało rozcięcie.

Podobnie jak wcześniej wypadki zwolniły swój bieg, tak teraz nagle przyspieszyły go do tego stopnia, że Robin nie wiedział, czym zająć się najpierw. Cofnął się o krok i kurczowo przyciągnął do siebie Anne.

- Jesteś ranna? - dopytywał się gorączkowo. - Dołącz! cię? Pokręciła głową i przyłgnęła do niego.

Robin otoczył ją ramionami i przytulił do swojej piersi głowę Anne, by uchronić ją przed widokiem ciała leżącego na posadzce. Nicholas ukląkł obok napastnika. Ostrożnie przewrócił go na plecy. Robin mimo woli gwałtownie zaczerpnął powietrza.

Nie zaatakował ich mężczyzna.

To była kobieta.

W dodatku nie całkiem mu obca.

Dziewczyna spojrzała na Robina.

- Nie powiodło mi się - wykrztusiła, nim z bulgotem wydała z siebie ostatnie technienie.

W kaplicy zapadła absolutna cisza. Robin rozejrzał się po twarzach obecnych. Malował się na nich szok. Nawet Fenwyck sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

- Dziewka służebna, Artane? - wykrztusił Geoffrey.

- Owszem - odparł wolno Rhys. - Niedawno najęta z polecenia.

Robin zastanawiał się, czy moment sprzyja temu, by napomknąć, że Maude była pańską córką. Z którą swego czasu nawiązał intymną znajomość.

Nie, nie wspominał tamtego zdarzenia z sentymentem. Spoglądając wstecz, zdumiewało go, że w ogóle znalazł się w jej łóżu. Maude była zachłanna, zaborcza i nieustraszona. Wszelako to już przeszłość.

A jakże, mimo obciętych włosów rozpoznał ją od razu. Przyglądał się, jak Nicholas zamyka dziewczynie powieki. Ich spojrzenia się spotkały. Brat wiedział. Choć zapewne Robin mógłby liczyć na dyskrecję Nicholasa, niewiele by ona pomogła. Historia tak czy owak wyszłaby na jaw. Nawet jeśli rano Robin zachował się jak tchórz, pora z tym skończyć. Prawem i przywilejem mężczyzny jest mówić prawdę bez względu na jej cenę. Robinowi pozostawało jeno żywić nadzieję, że tym razem nie przyjdzie mu zapłacić zbyt drogo.

- Ona nie jest dziewczką służebną - oświadczył ciężko.

Zwróciły się na niego wszystkie oczy, aż zapragnął zapaść się pod podłogę. Nawet Anne odsunęła się, żeby popatrzeć. Robin odwrócił się plecami do tłumu, unikając także zagładania w twarz Anne, i zamierzał skierować spojrzenie w przestrzeń ponad ołtarzem, lecz napotkał potępiający wzrok księdza. Żeby to szlag trafił.

- Czyżby jedna z twoich kochanek? - zapytał kpiąco Geoffrey. Niech go diabli porwą.

- Tak - potwierdził krótko Robin.

- Maude z Canfield - uzupełnił Nicholas. - Zdaje się, Rob, że nie oszalała z radości na wieść o twoich zaślubinach.

- No cóż, przynajmniej dopadliśmy naszego napastnika - skomentował ponuro Rhys.

Nie posiadając się z zachwyty, pomyślał kosztownie Robin. Cóż za perfekcyjne wycucie chwili.

- W dodatku jest blondynką - zauważył Geoffrey, nadal z kpina. - Wiemy przecież, co lubisz...

- Dostyc. - Robin spojrzał groźnie na przyszłego teścia. - Moją przeszłość to wyłącznie moja sprawa i nic ci do niej. Obrażasz swoją córkę, ja zaś nie będę dłużej tego tolerował.

- Zamierzałem obrazić ciebie - odparł szorstko Geoffrey.

- Tedy uczyni to na placu, albowiem słownych potyczek nie zdzierzę. - Robin odwrócił się do księdza. - Udziel nam ślubu. Teraz.

- Ale... - zaczął ksiądz, wskazując stygnące ciało za plecami Robina.

- Teraz - warknął Robin. - Mszę sobie darujemy.

- Rzeczywiście, tak będzie chyba najrozsądniej - zgodził się ksiądz. - Zwłaszcza w obliczu... hm...

- Och, święci pańscy, przestańże głądzić! - wrzasnął Fenwyck. - Dalej z tą przeklętą ceremonią!

Robin zgrzytnął zębami, rozważając, czy gdyby grzmotnął ojca swojej pani pięścią w nos, cokolwiek by tym jeszcze pogorszył. Oto przecież stał z krwią na rękach i odzieniu, a u jego stóp leżała martwa kochanka.

Wtedy usłyszał, że czyjś żołądek nie wytrzymał napięcia.

Odwrociwszy się, zobaczył wymiotującą gwałtownie Isabelle. Miles starał się jej pomóc, sam jednak również szybko zieleniał na twarzy. Bliźniacy zasłonili usta dłońmi, Amanda zaś właśnie błysnęła białkami oczu, bliska omdlenia. Nicholas złapał ją, nim osunęła się na podłogę. Anne się rozszlochala.

Przynajmniej nie musieli dłużej wysłuchiwać listy włości. Robin, przeklinając, złożył podpis pod umową przedślubną, potem zaś wepchnął pióro w drżącą dłoń Anne. Wątpił, by ktokolwiek zdołał odcyfrować jej imię, z pewnością też każdy przyjąłby, że działała pod przymusem. Wszelako kontrakt sporządzono przy świadkach, był zatem ważny. Mniejsza o to, że wielu z rzeczonych świadków znajdowało się akurat w różnych dość zaawansowanych stadiach niezdolności umysłowej.

- Błogosławieństwo - zaczął ksiądz.

- Wątpię, żeby pomogło - stwierdził ponuro Robin.

Nie bacząc na okoliczność, że jest uwalany krwią, położył dłonie na ramionach Anne i krótko ją pocałował. Cofnął się, gotów natychmiast czmychnąć do Francji.

Dopiero wtedy naprawdę spojrzał na swoją oblubienicę. Patrzyła na niego.

Nie umiał rozstrzygnąć, czy jej twarz wyraża skrajne przerażenie, czy totalne przygnębienie. A może ironię i rozbawienie?

Czuł się oszołomiony, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. I kiedy tak na nią patrzył, uzmysławiając sobie, że teraz naprawdę należy do niego, zaczął powątpiewać w słuszność decyzji o wyjeździe do Francji.

Ostatecznie zimą jest tam bardzo nieprzyjemnie.

Zamyślił się. Mógłby zostać w Artane. Tutejszy plac ćwiczebny jest znakomity. Spędzałby tam większą część dnia. Przynajmniej tym sposobem od czasu do czasu zyskałby okazję, żeby z oddali spojrzeć na Anne.

Plac potyczek. Oczywiście, tam powinien się udać. Jak najszybciej, zanim nawiedzą go kolejne głupie myśli.

Jak na przykład ta o konsumpcji małżeństwa.

Uniósł Anne w ramionach, zanim ktokolwiek - w tym zwłaszcza ona sama - zdążył zaprotestować. Bez słowa odwrócił się od ołtarza, przestąpił nad ciałem Maude i podszedł do matki.

- Zaopiekuj się Anne, dobrze? - poprosił.

- A ty, gdzie się wybierasz? - zapytał ostro Fenwyck.

- Na plac potyczek.

- Idź, jeśli chcesz - ozwał się Rhys. - Ale twojej matki tu nie będzie, by doglądać Anne.

Robin zamrugał ze zdziwieniem.

- Nie?

- Nie? - powtórzyła Gwen.

- Nie - rzekł krótko Rhys. - Wyjeżdżamy.

- Wszak dopiero co wróciliśmy - zaprotestowała Gwen.

- Fenwyck zaprosił nas do siebie na dłużej - wyjaśnił Rhys.

- Zaprosiłem? - upewnił się Geoffrey, sprawiając wrażenie mało uszczęśliwionego tą perspektywą. - Nie przypominam sobie.

- Dzieci, spakujcie się - polecił Rhys. - Wyruszamy za godzinę.

Robin opuścił Anne na podłogę, ona zaś odstąpiła od niego z entuzjazmem, który stanowczo nie przypadł mu do gustu.

- Wyjeżdżacie? - zwróciła się do Gwen, wyraźnie przerażona. - Teraz?

- Całkiem niezły pomysł - stwierdził Geoffrey, stając za plecami córki. - Nie ma sensu zostawać na konsumpcję małżeństwa, zważywszy na fakt, że ona nie jest dzie...

Robin przyłożył pięścią w twarz swojego teścia, zastanawiając się mimochodem, czy mądrze postępuje. Fenwyck rozciągnął się na podłodze, najwyraźniej zbyt oszołomiony ciosem, żeby się poruszyć. Robin uśmiechnął się z ponurą satysfakcją.

- Wygłoś kolejną uwłaczającą uwagę na temat mojej żony, a nie znajdziesz mnie tak pobłażliwym - oznajmił.

Liczył na to, że Fenwyck pozbiera się z ziemi, tak by mógł solidnie go stłuc, odpłacając łajdakowi za kilka innych irytujących komentarzy, jakie ów skierował do Anne. Fenwyck jęknął, ale się nie poruszył. Westchnąwszy z zalem, Robin ujął dłoń Anne.

- Pójdź, Anne. Zostawmy ich samym sobie.

Nie czekając na jej zgodę, pociągnął ją za sobą z kaplicy.

- Bezczelny łajdak! - Dogonił ich nagły ryk. - Jeszcze osobiście go zabiję!

Robin odchrząknął.

- Przynajmniej nie doznał trwałego uszczerbku.

Anne wydała z siebie zduszony ogłos, całkiem jakby tłumila śmiech. Robin spojrział na nią, lecz spuściła głowę, tak że nie widział jej twarzy. Kiedy już zstąpili ze schodów i dostatecznie oddalili się od kaplicy, zwołnił kroku, dostosowując się do tempa Anne. Puścił jej dłoń, po czym zerknął na nią ukradkiem, żeby sprawdzić jej reakcję.

Jedynie spłotła ręce przed sobą, nie odrywając wzroku od ziemi.

Ach, więc chyba naprawdę go nie znosi. Robin zmarszczył brwi, aby zamaskować konsternację. Nie powinien się temu dziwić. Zapewne najlepiej postąpi, trzymając się od niej na dystans. Wskrzési swój koncept powrotu do Francji...

Które to rozwiązanie nie wchodziło teraz w grę ze względu na ponowny wyjazd jego rodzica. Cicho przeklął ojca. Czyżby przewidział, jakie myśli będą krążyć po głowie Robina, i postarał się zawczasu pokrzyżować mu plany? Niech go diabli!

Robin poczekał, aż Anne wespnie się po schodach do wielkiej sali, otworzył przed nią drzwi, a potem podszedł wraz z nią do kominka.

- Założę kolczugę i pójdę trenować - rzekł.

Skineła głową, unikając jego wzroku.

- Którą izbę sobie życzysz? - zapytał.

Wtedy nań spojrziała.

- Co takiego?

- No cóż, założyłem, że nie zechcesz pozostać w sypialni mojego ojca. Naturalnie, żadna inna jej nie dorównuje, wszelako po dzisiejszym poranku...

- Myślałam... - zaczęła, lecz natychmiast umilkła, przygryzając wargę.

Robin nie wiedział, jak na to zareagować. Czy oczekiwała, że będą dzielić sypialnię? Wziął głęboki oddech.

- Moja jest wygodna, jednakowoż zapewne ustępuje czystością izbie Amandy. Wybór należy do ciebie.

- Oczywiście - powiedziała cicho.

Nachmurzył się. Szlag by ją trafił, jakich słów się po nim spodziewała? „Pójdź do mego łóża”? Ostatecznie, jest już jego żoną, aczkolwiek nie śmiał egzekwować swoich praw.

- Zatem na razie niech będzie ojcovska sypialnia - rzekł z rozdrażnieniem. - Ostateczną decyzję możesz podjąć później.

Przyjrzał się jej. Ręce miała zbryzgane krwią, na plecach jej sukni widniało potężne rozdarcie. Nieład na głowie bez wątpienia sam spowodował, kiedy gwałtownie tulił Anne do siebie.

Bez zastanowienia ujął ją palcami pod brodę i zwrócił twarzą ku sobie. W jej oczach lśniły łzy, była blada - i taka śliczna. Robin z trudem powstrzymał się, żeby nie paść na kolana, przepaszając ją za to, że zrujnował dzień jej ślubu.

Wszelako podejrzewał, że Anne zbierało się na płacz z powodu faktu, że została jego żoną. Opuścił zatem powoli rękę i cofnął się o krok, nie spuszczając z Anne wzroku. Aż wreszcie, niezdolny dłużej tego znieść, odwrócił się i odszedł. Słyszał, że Jason sumiennie podąża jego śladem, i modlił się, żeby giermek zachował milczenie. Liczył, że na placu ćwiczebnym kogoś zastanie, albowiem srodze potrzebował zajęcia, które oderwałoby jego myśli od żalosalnej sytuacji, w jakiej się znalazł.

Jedyny pozytywny aspekt całej tej sprawy był taki, że wiedzieli już, kto usiłował skrzywdzić Anne.

Robin pokręcił głową, szykując się do obrony przed kpinami. Maude z Canfield. Kto by przewidział, że zwykły flirt sprowadzi takie kłopoty?

Fenwyck jednak miał rację. Maude była blondynką. Ten fakt nie był bez znaczenia, jednak Robin pokładał nadzieję, że Anne nie będzie zbyt długo łamać sobie nad tym głowy. Odkrycie prawdy przeraziłoby ją zapewne bardziej niż dzień jej zaślubin.

Rozdział 28

Anne stała przy kominku w sypialni Rhysa i Gwen, przyglądając się tanecznym wygibasom płomieni.

Ten spektakl hipnotyzował ją, więc zastanawiała się, jak długo już tak tkwi, zapatrzona w ogień.

Wreszcie odeszła od paleniska i usiadła. Nie była pewna, czy podoła rozmyślaniom na temat wydarzeń tego dnia, niemniej jednak nie miała wyboru. Musiała podjąć kilka decyzji, a odkładanie ich na później niczemu nie służyło.

Westchnęła i wsparła głowę na oparciu fotela. Jedynym pożytkiem z dzisiejszych wydarzeń było to, że udało się rozgromić tajemniczego napastnika. Anne spojrzała na swoje dłonie. Zmyła już z nich krew, lecz podejrzewała, że znacznie więcej czasu zajmie wyrzucenie z pamięci tego wydarzenia oraz pozbycie się przerażającej świadomości, że tak niewiele brakowało, by skończyła ze sztyletem Maude z Canfield w plecach. Chwata Robinowi za jego refleks.

Zarazem mimo woli żałowała dziewczyny. Jakże musiała się czuć nieszczęśliwa, że posunęła się do takich czynów! Anne zastanawiała się, czy Maude tak mocno kochała Robina, czy też po prostu wpadła we wściekłość, ponieważ ją porzucił. Przypuszczalnie wszystkiego po trosze. Przynajmniej teraz będzie mogła spacerować swobodnie po warowni, nie oglądając się nieustannie przez ramię. Maude zapewne dostała to, na co zasłużyła, Anne zaś w żaden sposób nie zdołałaby zapobiec zdarzeniom - mogła tylko pozostawić je za sobą i skierować wzrok ku przyszłości.

Jednakowoż właśnie spoglądając w przyszłość, napotykała najbardziej dokuczliwy problem. Choć tego rodzaju rozmyślania nie wychodziły jej na dobre, nie potrafiła pozbyć się dręczącego ją pytania, czy Robin kiedykolwiek uczyni ją swoją żoną w pełnym znaczeniu tego słowa. Jego wypowiedzi sugerowały coś wręcz przeciwnego.

Uśmiechnęła się do siebie. Jakże zachłanna się stała. Miesiąc temu zadowolili ją sam fakt, że zostaje w Artane, nieważne, w jakiej roli. Teraz, po zaślubinach, odkryła, że nie wystarczy jej tylko miejsce, gdzie złożyć głowę. I to Robin ponosi winę za ten stan rzeczy. Gdyby nigdy jej nie pocałował, nigdy nie wziął w ramiona, nigdy nie stał się jej bezpieczną przystanią, choćby tylko na moment, nie pragnęłaby niczego więcej. Teraz jednak pragnie.

Z westchnieniem opuściła powieki. Być może za jakiś czas Robin będzie tak zlakniony towarzystwa, że ją odszuka. Rhys, Gwen, ich najmłodsze potomstwo oraz ojciec Anne już wyjechali, więc z nimi sobie nie może pogawędzić. Niemniej podejrzewała, że wielce się ucieszył z wyjazdu jej ojca, nawet jeśli ów opuszcza! mury warowni, głośno narzekając na stan swego nosa. Wbrew sobie Anne uśmiechnęła się lekko na to wspomnienie. Bez wątpienia Geoffrey zasłużył sobie na takie potraktowanie. Nie potrafiła też pohamować ciepłych uczuć wobec Robina z powodu tego czynu.

Nie da się tego nazwać inaczej, jak tylko obroną jej zszarganego honoru.

Jednakowoż nad tą kwestią zastanowi się później.

Amanda, Nicholas i Miles nie pojechali z rodzicami. W zamian wybierali się do pobliskich włości Nicholasa. Oni troje doskonale się dogadywali i Anne nieledwie zazdrościła im tego wspólnego wyjazdu. Bez wątpienia będą się wybornie bawić.

Zastanawiała się, czy dla niej najbliższe dni okażą się równie przyjemne.

Nie wspominając o reszcie życia...

Drzwi za nią otworzyły się i Anne z przyzwyczajenia zerwała się na równe nogi.

- To tylko ja - rzeki z uśmiechem Nicholas. - Możesz się już rozluźnić, pamiętasz?

- Mam za sobą dość nerwowy dzień, panie.

Pokręcił głową.

- Robin ma talent do komplikowania spraw. Przynajmniej nie musisz się dłużej martwić o własne bezpieczeństwo. Zawsze to jakiś komfort. Jeśli in ogóle możesz czuć się komfortowo jako żona Robina.

- Nicky, nie potrafie żartować na ten temat - powiedziała. - Naprawdę, nie potrafie.

Nicholas upuścił na skrzynię wypchany worek.

- Rzeczy Roba - wyjaśnił. Przeszedł przez izbę i ujął dłonie Anne. - Daj mu czas. Jest odrobinę tępy.

- Akurat czasu mam najwięcej - stwierdziła z westchnieniem.

Nicholas złożył na jej czole niewinny pocałunek.

- Nie zostawiaj go cały dzień na placu ćwiczebnym. Rozpłynie się w tym deszczu. Albo zardzewieje, a wtedy pomyśl tylko, ile usłyszysz narzekania.

- Jestem pewna, że w końcu wróci.

- Jam zaś równie pewien, że tego nie zrobi. Zachowuje się, jakby coś go opętało.

- Racja, jakby to był wyjątkowo paskudny demon - oznajmiła Amanda, wchodząc do izby.

- Niewykłuczone, że ślub z ukochaną kobietą przywróci mu zmysły - rzekł postępujący tuż za nią Miles.

Anne prychnęła.

- Wątpię, żebym nią była.

Miles tylko ze znanstwem skinął głową.

- Śmiej się, przypuszczając, żeś jest dlań nawet kimś więcej. - Otoczył ramieniem Amandę. - Myśl o nas, kiedy będziesz tu sobie wygodnie rezydować.

Anne spojrzała na Nicholasa.

- Jedziecie do Wyckham?

- Tak - potwierdził. - Muszę dokonać kilku napraw. ..

- Tam nie ma dachu - wtrąciła Amanda, marszcząc nos. - Ani też, pójdę o zakład, przyzwoitej garderoby.

Odpowiedział jej radosny uśmiech Nicholasa.

- Blask słońca i dużo ruchu, jaki zapewnią ci wyprawy do lasu celem zaspokojenia potrzeb, których naturę pomińmy lepiej milczeniem, siostrze. O cóż więcej można by prosić?

- O wypełniony gęsim pierzem piernat i jeden lub dwa znośne posiłki dziennie.

- Na które nie mamy co liczyć, jeśli Amanda stanie przy palenisku - rzekł z czułością Miles. - Gotowanie najwyraźniej spadnie na mnie.

- Niech nas święci pańscy chronią - powiedziała Amanda, zieleńjąc na twarzy.

- Ja będę gotował - oświadczył z westchnieniem Nicholas. - Położę dach. Zbuduję dla ciebie wychodek, który stanie się obiektem zazdrości na całej północy, Amando. Czy to cię zadowoli?

- Osądzę, kiedy ujrzę efekty twojej pracy.

Wbrew sobie Anne się roześmiała.

- No proszę, a ja wam zazdrościłam tych wspólnych wakacji. Uciekajcie, tylko błagam, przyslijcie mi czasem słówko, że wszyscy troje nadal dychacie.

Pokłoniwszy się jej, Nicholas odciągnął brata.

- Chodź ze mną, Miles, zajmiemy się bagażem naszej pani. Wnosząc z jego wagi, nie zamierza odmawiać sobie wygod.

- Ani myślę mieszkać w namiocie! - zawołała za nimi Amanda. Potem odwróciła się ku Anne i mocno ją uścisnęła. - Tak mi przykro, Anne.

Anne pokręciła głową.

- Nie, wszystko w porządku.

Amanda odsunęła się, unosząc brew.

- Brałaś ślub, mając za plecami obnażony miecz mojego ojca, u twoich stóp stygło ciało kochanki Robina, a Isabelle zwracała owsiankę na ołtarz świętej Gertrudy. Przypuszczam, że życzyłybyś sobie bardziej udanego początku.

- Początek nie liczy się aż tak bardzo - stwierdziła Anne, modląc się o to, by się nie myliła. - To koniec ma znaczenie.

Amanda nie wyglądała na przekonaną.

- No cóż, jest twój, chcesz tego czy nie. Życzę ci szczęścia u jego boku. Jeśli źle cię potraktuje, wyślij mi słówko, a przybędę złoić mu skórę.

- Nie zrobi tego.

- Anne, to prostak. Wiem, że go kochasz, aczkolwiek słowo daję, że tego nie pojmuję.

- Starasz się mi pomóc? - zapytała z rozpaczą Anne.

- Cóż, owszem...

- Nie pomagasz. Zmykaj. Ciesz się słońcem i rześkim powietrzem. Będę się modlić, żeby zanadto nie padało. Wzięłaś jakiś płaszcz?

- Nicky przywiózł mi z Francji. Nada się.

- Ruszaj zatem.

Uściskawszy ją mocno po raz kolejny, Amanda z furkotem spódnicy wybiegła z izby. Anne podążyła za nią. Zaczęła zamykać drzwi na zasuwę, kiedy uzmysłowiła sobie, że nie ma już takiej potrzeby. Jednakże pomyśleć tylko, jak bliska była śmierci! Gdyby Robin nie odwrócił się tak szybko... Gdyby nie ocalał jej życia...

Otrząsnęła się z tych rozważań, jak również z obrazów porannych wydarzeń. Robin pojął ją za żonę i podarował możliwość cieszenia się Artane do końca jej dni. Być może tyle Anne wystarczy. Odwróciła się, oparła plecami o drzwi i zlustrowała swoje królestwo. Gwen poleciła jej korzystać z sypialni wedle uznania, zapewniając, że ona i Rhys spędzą poza domem przynajmniej pół roku. Anne podejrzewała, że wrócą szybciej, mimo to nie widziała powodu, by nie zaanektować izby na czas ich nieobecności. Kiedy zaś upora się z mało pasjonującym zadaniem rozpakowania się, będzie mogła zwrócić myśli ku innym kwestiom.

Mianowicie temu, jak zniesie życie z Robinem z Artane, jeżeli on zamierza spędzać cały swój czas na placu ćwiczebnym.

Następnie zastanowi się, dlaczego najwyraźniej woli rozrywki w męskim gronie od jej towarzystwa oraz jak to wróży ich małżeństwu.

Odepchnęła się od drzwi i przystąpiła do działania. Jej ubrania przyniesiono tu już wcześniej i położono na łożu. Uporała się z nimi szybko, jako że w Fenwyck zostawiła dostatecznie wiele rzeczy, by swój tutejszy dobytek określić jako nad wyraz skromny. Aczkolwiek kiedy wyjeżdżali, ojciec i tak krzywił się na rozmiary jej bagażu.

Robin przywiózł z sobą niewiele więcej. Anne otworzyła jego worek i przełożyła ubrania do skrzyni Rhysa. Nie miał żadnych bibelotów czy innych drobiazgów, więc już zamierzała zwinąć płócienny wór, kiedy zorientowała się, że znajduje się w nim coś jeszcze. Sięgnęła na dno, wydobywając sfatygowaną drewnianą szkatułkę. Zaintrygowało ją, co też ona zawiera.

Sumienie walczyło z ciekawością. Nie powinna zaglądać do środka. To były prywatne rzeczy Robina i zapewne nie życzyłby sobie, żeby ktokolwiek w nich szperał.

Z drugiej strony, niewykluczone, że zawartość szkatułki pozwoli Anne wejść w jego serce albo przynajmniej dostarczy wskazówki na temat tego, co się w nim kryje. Czyż nie był to dostatecznie dobry powód, żeby w niej potajemnie pomyszkować?

Wstała, spiesznie zarygłowała drzwi, po czym wycofała się do wnęki. Niebo zasnuwały szare chmury i przez okno wpadało niewiele światła, przyniosła zatem świecę. Postawiła ją w bezpiecznej odległości od szkatułki, nie chcąc podpalić zawartości. Wzięła głęboki oddech i uniosła wieko. Na samym wierzchu spoczywały cztery wstążki, które natychmiast rozpoznała. Wykonała je dla Robina osobiście, z różnych okazji. Ów widok zszokował ją tak bardzo, że przez chwilę nie była w stanie ich nawet dotknąć.

Spojrzała na pierwszą, szeroką wstążkę, którą wyhaftowała dla Robina w trakcie jego choroby. Żywo pamiętała, jak siedziała u jego boku, on zaś pokpiwał sobie z jej nieporadnych starań. Wszelako były to łagodne docinki, a kiedy ukończyła pracę, z pełnym powagi uśmiechem przyjął podarunek, po czym uściskał Anne tak mocno, że omal nie połamał jej żeber. Przysiągł, że nigdy się z tą wstążką nie rozstanie. Z czasem nabrała przekonania, że nie dotrzymał słowa. Teraz wiedziała, że mówił prawdę.

Pozostałe trzy wstążki zrobiono zręczniejszą ręką. Anne dała mu je kolejno: przy jego pasowaniu, gdy po raz pierwszy brał udział w turnieju oraz kiedy wyruszał na krucjatę. Sądziła, że Robin nigdy żadnej z nich nie nosił. Jednak wstążki mówiły jej co innego.

Wprost nie wierzyła, że je zachował.

Wzięła tę, którą podarowała mu z okazji pasowania, i powiodła palcami po herbie Robina - stojącym na tylnych łapach czarnym lwie o błękitnych oczach. Wstążka nie była uszkodzona, ale Anne nawet teraz widziała, w którym miejscu ją zawiązano, żeby trzymała się na ramieniu.

Kolejną podarowała mu, gdy po raz pierwszy po zdobyciu ostróg uczestniczył w turnieju. Spojrzała na jeden z jej końców. Widniał tam obcy ścieg, Anne zaś mogła jedynie snuć przypuszczenia, że Robin osobiście dokonał naprawy. Co z kolei prowadziło do wniosku, że ktoś przeciął wstążkę na jego ramieniu. Chyba zatem nosił ją mimo wszystko.

Wzięła do ręki ostatnią wstążkę. W zasadzie niewiele z niej zostało. Anne doskonale pamiętała, jak wślizgnęła się do izby Robina, żeby położyć mu ją na poduszce w noc poprzedzającą jego wyprawę na krucjatę. Wszystko wskazywało na to, że nosił ją bez przerwy - w każdym razie tak sobie mówiła.

Wszędzie widniały jego nieporadne ściegi. Herb się pruł, wstążka się strzępiła. Była wszakże czysta, jakby obchodzono się z nią nader troskliwie. Anne ostrożnie odłożyła wstążki na bok, nadal tak oszołomiona znaleziskiem, że widok przesłoniły jej łzy, gotowe lada moment potoczyć się po policzkach.

Otarła oczy, albowiem szkatułka kryła więcej skarbów, ona zaś miała niewiele czasu na ich obejrzenie.

Był tu list, który otwarła bez wahania. Po czym rozpląkała się szczerze, czytając zagrzewające do boju, pełne miłości słowa Gwen. Nic dziwnego, że Robin zachował to przesłanie.

Odłożyła list na bok i wydobyła ciężki srebrny sygnet z herbem. Pamiętała, jak Rhys podarował go Robinowi, wszelako, na ile się orientowała, on nigdy go nie nosił. Zawahała się. Dlaczego?

Niewykluczone, że sygnet przeszkadzałby mu we władaniu mieczem. A może powód tkwił głębiej?

Zbliżyła sygnet do świecy i przyjrzała mu się w zadumie. Czyżby Robin nie nosił go, ponieważ uważał, że nie ma do tego prawa? Przypomniała sobie słowa, jakie wyrzekł w komnacie Rhysa: „Oddaj wszystko Milesowi, ojczu. Przekaz mu tytuł, swoje ziemie i złoto. Niech je dostanie twój rodzony syn. W swej hojności daj mu także Anne”.

Rzeczywiście tak myślał? Pokręciła głową, zdumiona jego głupotą. Rhys nie zdołałby kochać rodzzonego syna bardziej, niż kochał Robina. Ani też rodzony syn nie mógłby bardziej przypominać wyglądem ojca, niżli Robin przypominał Rhysa. Anne nie wiedziała, jak do tego doszło, wszelako nie wątpiła w swoje obserwacje.

Odłożyła sygnet na ławę. Niewykluczone, że pewnego dnia zarówno ona, jak i Robin poznają rozwiązanie zagadki, które przyniesie mu ukojenie.

Na dnie szkatułki spoczywała ciężka gemma, którą Anne natychmiast rozpoznała. Rhys dał klejnot Robinowi, żeby wprawił go w rękojeść swojego miecza. Bez wątpienia podarek pozostał w szkatułce z tego samego powodu co sygnet. Niemalże słyszała wyjaśnienie Robina: „Powinien ją otrzymać rodzony syn”.

Anne wyjrzała przez okno. Czy Robin mógł być z krwi Rhysa? Znaczyłoby to, że Gwen i Rhys zlegli razem, kiedy Gwen była żoną Alaina z Ayre. Jak zareagowałby Robin na wiadomość, że w rzeczywistości jest bękartem Rhysa? Świéci pańscy, Anne wolałaby nie stać się świadkiem kłótni, jaka by z tego wynikła. Nie, rozsądniej postąpi, zachowując te podejrzenia dla siebie. Całkiem możliwe, że sam Rhys o niczym nie wiedział, aczkolwiek nie potrafiła sobie wyobrazić, jak w ogóle mógłby w to wątpić. Ludzie bywają ślepi - a Rhys i Robin znakomicie dowodzili tej prawdy.

Odłożyła klejnot, przeczytała dwa kolejne listy od rodziców Robina, po czym zamarła. W szkatułce pozostał już tylko niewielki przedmiot zawinięty w kawałek sukna. Odwinęła je wolno i wstrzymała oddech.

To był pierścień. Anne uniosła go do światła. Nigdy nie widziała piękniejszego zielonego kamienia.

Jasne złoto wyglądało prawie jak srebro.

Rozmiarem pierścienia odpowiadał kobiecej dłoni.

Anne ogromnie kusiło, żeby go przymierzyć. Ale co pocznie, jeśli nie będzie pasował?

Lub, co gorsza, będzie?

Zamknęła pierścień w dłoni i przycisnęła do serca, opuszczając powieki. Święci pańscy, to był fatalny pomysł. Co jej przyszło do głowy, żeby szperać w rzeczach Robina? Dostała nauczkę. Nic dobrego nie wynika nigdy z podsłuchiwania i najwyraźniej to samo dotyczy szperania w prywatnych rzeczach męża. Postąpiła głupio i zasłużyła na ból, który właśnie sobie zadała.

Niemniej, skoro dotarła już tak daleko, równie dobrze mogła dokończyć dzieła. Wsunęła pierścień na palec, ten sam, na którym winien znaleźć się pierścień zaręczynowy.

Okazał się za duży.

Lecz tylko odrobinę. Doszła do wniosku, że lepszy za duży niż za mały. Gdyby taki pierścień był przeznaczony dla niej, czy nie łatwiej byłoby go zmniejszyć, niżli powiększyć?

Szkoda, że nie zna się na sztuce złotniczej.

Aby nie nurzać się dłużej we własnej głupocie, zawinęła pierścień w sukno i odłożyła wszystkie przedmioty z powrotem do szkatułki w tym samym porządku - na tyle, na ile zapamiętała. Być może jeśli Robin domyśli się, że naruszyła jego prywatność, wpadnie w gniew, Anne zaś zyska okazję do zadania mu paru pytań.

Ostrożnie umieściła na samym wierzchu wstążki, czerpiąc z nich pewne pocieszenie. Zachował coś, co mu podarowała. Chwilowo ta świadomość jej wystarczyła.

Ponadto poślubił ją i uratował jej życie, i to więcej niż raz. Było wiele powodów, by Anne żywiła doń ciepłe uczucia. Włożyła szkatułkę do skrzyni, opuściła wieko i usiadła na nim, żeby dokładniej przeanalizować poranne wydarzenia.

Ani chybi Robina ubodło, że ojciec w niego wątpił. Kiedy teraz odtwarzała w myślach jego słowa, w niczym jej nie uwłaczał. Podejrzewała, że czuł się wielce zawstydzony otrzymaną od rodzica reprimendą, zwłaszcza że nie pozwolono mu się wytłumaczyć. Zapewne potraktował sytuację jako osobisty afront, Anne zaś mogła sobie jedynie wyobrażać, jak go to rozwścieczyło. A także, jak bardzo go dotknęło.

Przez dłuższą chwilę rozważała tę koncepcję. Tak, całkiem możliwe, że na tym polegał problem. Robin uznał, że upokorzono go na jej oczach, a to wytrąciło go z równowagi. Przypuszczenie, że Robin z Artane wstydzi się tego, co ona może sobie na jego temat pomyśleć, wydawało się tak niedorzeczne, że Anne zapłonęły policzki. Wprost nie wierzyła, że w ogóle bierze pod uwagę taką ewentualność. Święci pańscy, ależ był z niej głuptas. Jej opinia żadną miarą nie mogła się liczyć dla Robina. Opinia ojca, owszem, lecz nie Anne.

Aczkolwiek spoglądając wstecz na wydarzenia minionych dwóch tygodni, przyznawała, że chyba żywił do niej pewien afekt. Gdyby się jedynie nią bawił, poswawoliłby, zamiast prosić jedynie o kilka dziewczycych pocałunków.

Pozostawała jeszcze kwestia ślubu. Anne westchnęła głęboko. Z pewnością nie tak odmalowała sobie tę ceremonię w marzeniach, choć teraz zdumiewało ją, że kiedykolwiek wyobrażała to sobie inaczej. Robin obronił Anne, pojął ją za żonę i trzasnął w nos jej ojca, nie zostawiając sobie czasu na złapanie oddechu.

Jedynie on mógł dokonać czegoś podobnego. Było też spojrzenie, jakim ją obdarzył, kiedy znaleźli się w wielkiej sali. Wiedziała, że oczekiwał od niej decyzji w kwestii wyboru sypialni, wszelako nie potrafiłaby udzielić mu odpowiedzi nawet za cenę życia. Założyła, że będą spać razem, aczkolwiek unikała myśli o konsumpcji małżeństwa. Zmarszczyła brwi. A jeśli on nie miał takiego zamiaru?

Z westchnieniem pokręciła głową. W tej chwili mogła co najwyżej dogłębnie przygotować do wieczery, przywleć Robina z placu i żywić nadzieję, że z czasem wszystko się ułoży. Rodzina wyjechała, zatem oni dwoje zostali skazani na własne towarzystwo. Niewykluczone, że będą tak zlaknieni rozmowy, że zaczną ze sobą gawędzić, a wtedy kto wie, co się zdarzy.

Wstała i opuściła sypialnię. Zadbła o wieczere, błogosławiąc Gwen, albowiem dzięki jej naukom służba wypełniała polecenia Anne bez zbędnych pytań. Przynajmniej pod tym względem bycie żoną Robina nie sprawi jej trudności.

Założyła płaszcz i udała się na plac potyczek. Zrobiło się już ciemno, padał rześisty deszcz. Anne stąpała ostrożnie po śliskim gruncie, unosząc spódnicę, żeby je uchronić przed błotem. Zmieniła zbrzydzoną krew suknię na nową i nie miałyby się już w co przebrać, chyba że podkraślaby coś Gwen. Zmienacka na kogoś wpadła.

Odkroczyła z krzykiem, po czym stwierdziła, że stoi twarzą w twarz z Edith z Sedgwick. Przyjrzała się jej zaskoczona.

- Edith? - zapytała. - Źle się czujesz?

Zagadnięta jedynie się w nią wpatrywała, i to tak niepokojąco, że Anne najchętniej odwróciłaby się i uciekła. Edith wyglądała na przemoczoną do suchej nitki, jakby stała na deszczu całe popołudnie.

Płaszcz przekrzywił się jej na ramionach, oczy ziały pustką, na twarzy malowało się ogromne zmęczenie. W istocie sprawiała wrażenie, jakby dotknęła ją jakaś wielka tragedia.

- Edith - powtórzyła Anne - źle się czujesz?

Edith przeszył gwałtowny dreszcz; potem zamruwała i spojrzała na Anne. Albo raczej przez nią.

Nie wyrzekłszy ani słowa, ominęła Anne i podążyła w stronę wielkiej sali. Anne nie czekała, żeby się upewnić, czy kobieta dotarła do celu. Znow zebrała spódnice i nerwowo pospieszyła na plac potyczek. Że też Rhys i Gwen nie zabrali Edith ze sobą.

Na widok płonącej w oddali pochodni Anne ogarnęła ulga. Wkrótce dołączyła do Jasona, który stał pod drewnianą wiatą przylegającą od zewnętrznej strony do muru okalającego wyższy dziedziniec. Chłopak dygotał z zimna, wprawiając w drżenie płomień pochodni. Pokłonił się Anne nisko.

- Pani - rzekł, prostując się i spoglądając na nią ze zmarszczonymi brwiami. - Co robisz na dworze przy takiej pogodzie? Strząsnęła z siebie niepokój, jaki wzbudziło w niej spotkanie z Edith.

- A jak sądzisz? - spytała z przekąsem. - Ktoś musi ściągnąć go na wieczerzę. - Wyrzała w mrok. - Gdzie on jest?

Zdawać by się mogło, że wszyscy wrócili pod dach, nikogo bowiem nie zauważyła. Dopiero potem spostrzegła w oddali sylwetkę mężczyzny biegnącego wzdłuż muru. Nieraz widywała Robina, gdy biegł po placu, lecz zwykle robił to dopiero po tym, jak rozgromił własnych ludzi i nie mógł już liczyć na inne rozrywki. Wszelako nigdy przy takich okazjach nie padało. Nie mogła uwierzyć, że oddawał się temu zajęciu, kiedy było wielce prawdopodobne, że zaryje nosem w błoto.

- On nie wejdzie do środka - odezwał się Jason takim tonem, jakby ogromnie pragnął się mylić.

Zerknąwszy na giermka, Anne skonstatowała, że wygląda na znękanego, przy czym za jego stan ducha odpowiadał najwyraźniej nie tylko deszcz.

- Co cię trapi, Jasonie? - zapytała.

- Przykro mi - rzekł z wahaniem. - Wiem, że nie mnie przepraszać za mego pana, aliści on winien być z tobą, pani. Usiłowałem z nim na ten temat porozmawiać, lecz w zamian nad wyraz energicznie przytknął mnie w ucho, nakazując milczenie.

Anne przez chwilę spoglądała na Jasona, potem zaś w zadumie przeniosła wzrok z powrotem na Robina. Jeszcze wczoraj zapewne srodze by ją zraniło, że on woli spędzać czas na ćwiczeniach niżli u jej boku. Skłębaby go, starając się zapomnieć o swoich uczuciach do niego albo też wycofała się do sypialni, żeby tam ronić łzy.

Wszelako teraz sprawy wyglądały inaczej. Zajrzała w jego serce. Podejrzewała, że w tej chwili Robin ze wszystkich sił stara się umknąć swoim demonom.

No cóż, choćby biegł, aż padnie, niczego tym nie zmieni. Być może kiedyś sobie to uzmysłowi. Sam jednak musi dokonać owego odkrycia. Dopóki ten dzień nie nastanie, Anne może tylko pilnować, żeby się najadała i dzięki temu miał siły biegać.

Przyglądała się, jak Robin okrąża plac, zbliżając się do niej i Jasona. Zatrzymał się przed nią, pochylił się, opierając dłońmi o uda, i wielkimi haustami nabierał powietrza.

- Co... tutaj... robisz? - wyrzeźił. - Pochorujesz się... na śmierć.

Anne zasznurowała usta, nieporuszona.

- Chodź do środka coś zjeść.

Wyprostował się.

- Jeszcze nie... skończył.

- Na tę chwilę, i owszem. Wrócisz tu, kiedy zobaczę, że się najadłeś.

Patrzył na nią, lecz w blasku pochodni z jego spojrzenia nie dało się nic wyczytać. Mokre włosy wpadały mu do oczu, kaftan przyłgął do kolczugi. Anne zastanowiła się, czy Nicholas nie rozminął się z prawdą, twierdząc, że Robin zardzewieje. W każdym razie bez wątpienia wyglądał jak podtopiony gryzoń i to raczej jemu grozi śmierć, jeśli nie wejdzie do środka, żeby się rozgrzać. Odnotowała także, że się z nią nie spierał. Po prostu patrzył na nią, jakby nie pojmował, skąd się tu wzięła. Tak go zatem zaskoczyło, że po niego przyszła? Ogarnęły ją wątpliwości. Chyba nie postępowała mądrze, kierując się w swoich działaniach nowo zdobytą wiedzą na jego temat. Czy nie lepiej będzie trzymać się od niego z dala?

Pokręciła głową, zastanawiając się, czy aby zbyt wiele świeżego powietrza nie zmieniło jej umysłu w papkę. Nie będzie uciekać się do głupich gier. Będzie odnosić się do Robina uprzejmie i z szacunkiem. Jeśli w pewnym momencie on postanowi odsłonić przed nią swoje serce, Anne z wdzięcznością przyjmie ów dar.

Gdyby zaś Robin nigdy tego nie uczynił, Anne pogodzi się także i z tą sytuacją - aczkolwiek zapewne nie tak wdzięcznie. Wystarczy jej wiedza o tym, że zachował wstążki. Troszczył się o nią przez minione dwa tygodnie.

Posłubił ją tego ranka. Podejrzewała, że nawet Rhys nie zdołałby go do tego zmusić, gdyby Robin rzeczywiście nie chciał iść z nią do ołtarza.

Wszelako Anne nie wykona pierwszego ruchu. To on musi go zrobić.

Odgarnął włosy z twarzy, marszcząc brwi.

- Przelknę coś szybko, a potem tu wrócę.

Następnie, cud nad cudami, zaofiarował Anne ramię. Przyjęła je, nie zważając na fakt, że woda wlewa się jej do rękawa, a trzewiki grzęzną w błocie. Odniosła zwycięstwo i nie znajdowała powodów do narzekań.

- Posiłek. - Za ich plecami Jason westchnął uszczęśliwiony.

Anne stłumiła uśmiech, nie zwalniając kroku.

Rozdział 29

Edith z Sedgwick stała w izbie na wieży całkowicie nieruchoma pomimo na wskroś przemoczonych ubrań. Nie będzie dygotać. Drzenie uważała za słabość, a tego nie zamierzała tolerować ani u siebie, ani u innych.

Być może dobrze się stało, że Maude nie żyje.

Lord Rhys zabrał ciało ze sobą. Edith nie spodziewała się, żeby Canfield wielce się przejął śmiercią córki. Od jakiegoś czasu była dlań istnym utrapieniem. Nikt też nie będzie winił Robina. Działał w obronie własnej.

To zaś nadało jej myślom nowy bieg.

Zawsze warto dysponować uzasadnionym powodem do morderstwa.

Za jej plecami ktoś gwałtownie otworzył drzwi i zaraz z hukiem je zamknął, wprawiając płomień świecy w szaleńcze migotanie.

- Potrafisz w to uwierzyć?! - wykrzyknął przybysz.

Edith opuściła powieki, sięgając w głąb siebie po cierpliwość. Wiele wysiłku kosztowało ją, żeby nie naskoczyć na brata. Czyżby był aż takim głupcem, że nie dostrzegął, jak bardzo śmierć Maude zaszkodziła jej planom?

- Zabrał ze sobą wszystkie swoje przeklęte bachory! - gorączkował się Baldwin.

Również Edith przeklinała pecha. Najpierw Maude wpadła w szal, a następnie Artane uwiózł ze sobą jej potencjalne ofiary. To nie był udany dzień.

- I dlaczego zostawił tu troje najstarszych? - ciągnął Baldwin. - Co mi z tego?

- Nie zostali w Artane - powiedziała Edith.

- Zdaje się, że pojechali do Wyckham.

- Jak mam pojąć za żonę Amandę, skoro Robin poślubił Anne? - kontynuował Baldwin, jakby nie usłyszał siostry, co, znając go, wydawało się wielce prawdopodobne.

Edith zasznurowała usta.

- Niewykluczone, że możesz...

- Moja zdobycz! - przerwał jej Baldwin, tak zawiedziony, jakby to lis właśnie umknął mu sprzed nosa. - Wyjechali!

- Z pewnością zdołasz ich wyśledzić.

Zamrugał, po czym rozpoczął spacer po izbie - nieodmiennie zły znak. Edith westchnęła, czekając, aż brat skończy wypluwać z siebie kolejne bzdury.

- Wytropię ich - obwieścił znienacka.

- Będziesz potrzebował pomocy - zasugerowała Edith.

- Ach, oczywiście - powiedział, kiwając głową. - Najmę ludzi. - Znow rozpoczął spacer. - Zajmę się Rhysem i jego stadkiem, a potem ruszę do Wyckham.

Edith szczerze wątpiła, by jej brat zastał Rhysa i jego potomstwo z na tyle słabą ochroną, by zdołał ich wszystkich wyróżnić. Cała gromadka zapewne na długo zaszyje się w Fenwyck. Poza tym nie trafiło na głupca. Rhys za młodu sam był najemnikiem, a w jego rodzinie roiło się od szpiegów króla Francji. Z łatwością umknie nieporadnym próbom zabójstwa w wykonaniu Baldwina, nawet na pół senny lub zamroczony trunkiem.

Niemniej poszukiwanie ludzi do pomocy zajmie Baldwina na jakiś czas, a takiej okazji nie należało lekceważyć. Edith przysłuchiwała się knowaniom brata, zachęcając go w razie potrzeby. Potem odprowadziła go wzrokiem, kiedy opuszczał izbę z buńczuczną miną. Później wróciła do rozważań nad własnym dylematem. Jej plany zostały zniweczone. Zniweczone. Ktoś będzie musiał za to zapłacić. Spodziewała się, że bez trudu wybierze odpowiednią osobę.

Rozdział 30

Joanna z Segrave wkroczyła do wielkiej sali Artane o wschodzie słońca rada, że zsiadła z konia, i więcej niż szczęśliwa z racji dotarcia do kresu podróży. Wskazała kucharzowi wejście do kuchni i odesłała go, instruując, żeby przyłożył się do pracy. Choć Gwen i Rhys prowadzili całkiem przyzwoity stół, Joanna ani myślała zadowalać się pospolitym posiłkiem. Czekala ją praca do wykonania i nie stało jej czasu, by troszczyć się o takie błahostki jak zawartość spiżarni jej córki. W sali panowała niespotykana cisza, co trochę zbiło ją z tropu, dopóki nie podeszła do głównego stołu. Jakiś zmęczony osobnik spał tu z policzkiem wspartym na blacie. Towarzystwa dotrzymywał mu giermek, odchyliwszy głowę na oparcie fotela; z jego szeroko otwartych ust dobywało się chrapanie.

Joanna chwyciła pierwszego mężczyznę za włosy i uniosła mu głowę. Spojrzały na nią zapuchnięte szare oczy.

- Jesteś pijany? - zapytała bezceremonialnie.

- Babka - odrzekł rycerz, uśmiechając się serdecznie. - Co za urocza niespodzianka...

Joanna puściła jego głowę, która wróciła na miejsce spoczynku z całkiem głośnym stuknięciem.

- Robinie, gdzie twoja oblubienica?

- Hm - mruknął Robin, mlasnął parę razy i znów zapadł w sen.

Joanna uderzyła obiema dłońmi w stół na tyle mocno, że giermek zadławił się chrapaniem i zerwał na równe nogi. Tymczasem Robin nadal błogo spał. Joanna przyszipiliła Jasona srogim spojrzeniem.

- Potrafisz mi to wyjaśnić, chłopcze?

- Zaledwie parę godzin temu skończył trenować, pani - rzekł Jason, raptem w pełni przytomny.

- A jego małżonka?

- Pozwoliła na to.

Najwyraźniej w tej sprawie kryło się więcej tajemnic, niżli dało się dostrzec na pierwszy rzut oka. Joanna przeniosła wzrok z giermka na Robina i na chwilę się zadumała.

Kiedy usłyszała, że Robin wrócił do Artane, natychmiast zdecydowała się przedsięwziąć podróż na północ. Chłopak już dawno powinien był się ożenić, postanowiła zatem dopilnować tej sprawy. Aczkolwiek nigdy wcześniej nie parała się swataniem, nie wykluczała, że odnajdzie w tym nowe powołanie. W młodości sama została szczęśliwie wydana za mężczyznę, którego szczerze pokochała, by potem długo opłakiwać jego śmierć. Przyglądała się, jak jej córka przez wiele trudnych lat czeka, aż dojdzie do skutku jej małżeństwo z Rhysem de Piagetem. Joanna miała dość czekania, aż Robin odzyska zdrowy rozsądek.

Minionego wieczoru spotkała córkę na drodze do Fenwyck. Pospieszna relacja z wydarzeń minionych dwóch tygodni jedynie pogłębiła determinację Joanny, żeby zadbać o pomyślne ustakowanie się Robina. Anne zasługiwała na stosowne zaloty, a nie ulegało wątpliwości, że Robinowi brakuje niezbędnych predyspozycji. Obowiązkiem babki jest dbać o edukację wnuka w tym zakresie, zwłaszcza jeśli owa babka wydaje się idealną osobą do realizacji takiego zadania.

W tym właśnie celu Joanna przywiozła ze sobą gromadkę duszyczek o rozmaitych talentach związanych z dworskim życiem. Jeśli Robin nie nabierze ogłady pod okiem takich instruktorów, to dla chłopaka nie ma nadziei i nie pozostanie jej nic innego, jak tylko machnąć na niego ręką. Tudzież szczerze współczuć Anne.

Musi szybko brać się do pracy, inaczej bowiem nie doczeka prawnuków, nad którymi mogłaby się roztkliwiać, zanim spocznie w grobie. Nadeszła pora działania.

- Wiadro wody, młody Ayre - poleciła.

Oczy Jasona zaokrągliły się dość dramatycznie.

- Aliści, pani...

- W mig pojąłeś mój plan - rzekła Joanna. - Postaraj się jeszcze szybciej przynieść mi to, o co proszę.

Przelknąwszy głośno ślinę, Jason skinął głową, jakkolwiek zupełnie bez entuzjazmu. Joanna odprowadzała go wzrokiem, gdy przedzierał się przez barwne stadko, które właśnie usiłowało wejść do wielkiej sali. Omiotła spojrzeniem swoją gromadkę, a efekt oględzin ją zadowolił. Były tu rozmaite osoby, które osiadły w jej zamku z przeróżnych powodów, z zamiłowaniem Joanny do wszystkiego co wyrafinowane na czele. Przypuszczała, że istotną rolę odegrała także jakość posiłków serwowanych przez jej kuchnię, odkąd dawno temu została panią na Segrave. Jakiegokolwiek były prawdziwe przyczyny, pozostawało faktem, że Joanna zgromadziła imponującą świątę złożoną z samych mistrzów w swoim fachu.

Teraz zaś ci ludzie przekażą swoją wiedzę nieobytemu nieszczęsnemu młodemu Robinowi. Nieistotne, czy tego będzie chciał.

W wielkiej sali narastał gwar, uniemożliwiający jakkolwiek wymianę zdań. Nieważne. Joanna nie zamierzała krzyżeć, żeby obudzić wnuka. Czekala cierpliwie, dopóki Jason nie wrócił z ciężkim wiadrem wody. Znacząco wskazała Robina.

- Polewaj - rozkazała.

Jason zrobił minę tak nieszczęśliwą, jakby poleciła mu przeszyć mieczem serce Robina.

- Aliści, pani...

- Powiem mu, że pomysł wyszedł ode mnie.

- Wybacz mi, pani, lecz to nie będzie miało znaczenia.

Joanna szukała w myślach sposobu, by nakłonić chłopca inaczej, niż napuszczając na niego swoich przybocznych. Przez lata poznała niezliczone zastępy mężczyzn, do których trafiała przez żołądek, podejrzewała jednakowoż, że Robin wzbudził w Jasonie lojalność, której nie zachwiałby nawet wyśmienity posiłek. Uznała, że ten szczegół przemawia na korzyść Robina.

- Jasonie, im prędzej twój pan się obudzi, tym rychlej nauczy się go sposobów na zdobycie serca swojej pani - spróbowała z innej strony.

- Pani?

- Trening galanterii, Jasonie. Przywiozłam z sobą nauczycieli.

Giermek obejrzał się przez ramię i oczy rozwarły mu się ze zdumienia.

- Ich? - pisnął.

- W rzeczy samej - potwierdziła. - A teraz obudź go, proszę, i bierzmy się do dzieła.

Jason pokręcił głową, wziął głęboki oddech i uniósł wiadro.

- Nie spodoba mu się to, pani.

- Nigdy im się nie podoba, chłopcze.

Jason zamknął oczy, pomodlił się pospiesznie, lecz żarliwie, po czym znów głęboko odetchnął i chlusnął wodą.

Robin z rykiem zerwał się na nogi. Nim Joanna zdołała zaprotestować, wiadro znalazło się w jej rękach, Jason zaś pod stołem. Tymczasem Robin dobył miecza i wyglądał tak, jakby zamierzał zamordować pierwszą osobę, na której spocznie jego wzrok. Ponieważ wszakże to ona okazała się rzeczoną osobą, uśmiechnęła się tylko radośnie.

- Dzień dobry, wnuku - powiedziała, odstawiając wiadro na stół.

Przez chwilę stał, bełkocąc coś pod nosem, nim zaczął mu wracać rozsądek. Furia ścierała się w nim z szacunkiem dla babki. Jako że widowisko było zaiste frapujące, Joannę kosztowało sporo wysiłku, żeby się nie rozeźmiać. W końcu Robin przełknął gniew i skłonił się jej nisko.

- Babko - rzekł. - Wybacz, że moja nie najlepsza forma tego ranka nie pozwoliła mi należycie cię powitać.

Zbyła jego słowa machnięciem ręki.

- Nic nie szkodzi, Robinie, kochany.

- Jak wspaniale, że nas odwiedziłaś - ciągnął.

- Nie jestem tu, żeby się wałkonić - oświadczyła. - Przybyłam do pracy.

- Pracy? - powtórzył z przerażeniem. - Ty?

- Owszem - odparła spokojnie. - Muszę wypełnić pewne zadanie.

- Jakże mianowicie?

Zamaszystym gestem objęła gromadkę za swoimi plecami.

- Ucywilizować cię, naturalnie.

Odjęło mu mowę. Joanna uśmiechnęła się z satysfakcją.

Kto wie, może osiągnięcie celu nie będzie aż tak trudne, jak się obawiała.

Rozdział 31

Robin stał za stołem i z przerażeniem wpatrywał się w tłum wypełniający wielką salę. Dostrzegał tu rzeszę trubadurów i innych różnego autoramentu artystów. Gdyby nie czuł się tak zmęczony, umknąłby do ojcowskiej komnaty i zaryglował się tam do czasu ich wyjazdu. Nawet mąż wielkiej odwagi musiał się odrobinę zaniepokoić na widok takiej hałasty.

- Ach, oto i twoja pani - rzekła z zadowoleniem jego babka. - Anne, kochana, jak się miewasz?

Spojrząwszy w lewo, Robin zobaczył Anne, która właśnie zstępowała z ostatnich stopni w drodze do wielkiej sali. Zastanowił się mimochodem, na ile została wtajemniczona w rozgrywające się tu szaleństwo. Po czym zniechęca uzmysłowił sobie, jak śmiesznie się prezentuje, stercząc tu, ociekający wodą, i gapiąc się na nią.

- Lady Joanno - powiedziała Anne, okrążając stół, by ująć dłonie jego babki. - Jak cudownie cię widzieć. Widzę, że przywiozłaś swoich dworzan.

Joanna się roześmiała.

- Pochlebiasz starej kobiecie, kochana. Nie utrzymuję dworu, wiesz wszelako, że nie znoszę na dłużej rozstawiać się z moimi drobnymi przyjemnościami.

- Z pewnością nam także dostarczą wiele radości - stwierdziła Anne.

Bez wątpienia, pomyślał kwaśno Robin. To nie ją Joanna zamyślała torturować z pomocą tych prostaków. Robin łatwo umiał sobie wyobrazić, co zaplanowała dlań babka, jako że spędził sporo czasu na jej zamku i widział panujące tam zamieszanie. Lecz niech go diabli, jeśli Joannie uda się go upodobnić do tych wyperfumowanych lalusiów stoszących przed nim swe piórka.

Aczkolwiek przeczuwał, wnioskując z wyrazu oczu babki, że dokładnie z takim zamiarem się nosiła. Obawiał się, że utracił kontrolę nad własnym losem.

- Będziesz potrzebować lokum - odezwała się Anne. - Naturalnie, z chęcią oddamy ci najlepszą izbę lorda Rhysa...

- Nie - rzekł Robin, ze zdumieniem spoglądając na Anne. Potem przeniósł wzrok na babkę. - Sypialnia córek nada ci się doskonale.

Joanna jedynie niedbale machnęła ręką.

- Jak sobie życzysz, Robinie. Sami się rozlokujemy. Ty zapewne pospieszysz do swoich zajęć?

Obrzuciła go wymownym spojrzeniem. Popatrzył na nią spode łba. Święci pańscy, to nie on oblał się wodą!

- Muszę potrenować - oznajmił.

- Czy dopiero co nie skończyłeś? - zapytała Joanna.

Robin zmarszczył brwi. Jeśli nie zachowa ostrożności, babka go osaczy.

- Mężczyźni nigdy nie zbywa na treningu - oświadczył stanowczo.

Z tym nie mogła się spierać.

- Ani chybi twej uwagi wymaga wiele kwestii wewnątrz donżonu - rzekła z równą stanowczością jego babka. - Aczkolwiek bez wątpienia na temat zarządzania warownią wiesz znacznie więcej ode mnie.

Robin wbrew sobie prychnął. Jego babka samodzielnie zarządzała Segrave przez ponad dwadzieścia lat i zdołała obronić się przed licznymi zalotnikami, dla których jej wdowieństwo było łakomym kąskiem. Do diabła, przypuszczał, że nawet by się nie spociała, władając całym królestwem. Przekroczywszy sześćdziesiąt wiosnę życia, pozostawała zaiste groźną kobietą o żelaznej woli. Wszelako Robin był ostatecznie jej wnukiem, zatem sporo zaradności krążyło również w jego żyłach. Oparł się o stół i obdarzył babkę swoim najbardziej rozbajającym uśmiechem. Nieczęsto uciekał się do tej sztuczki, znał jednak jej skuteczność.

- Muszę przynajmniej doglądać moich ludzi - powiedział. - Nie zaniedbam cię, babko.

- Nie o siebie się martwię - rzekła, opierając się o stół naprzeciw Robina i zbliżając swe nadal bardzo piękne oblicze do jego twarzy. Zniżyła głos do szeptu. - Właśnie się ożeniłeś, chłopcze, czyż nie?

Spojrzał na nią wilkiem.

- To małżeństwo pełne komplikacji, pani.

- Jak myślisz, czy nie byłoby wobec tego wskazane natychmiast przystąpić do ich rozwikływania?

- Myślenie nieodmiennie wpędza mnie w kłopoty, babko.

Roześmiała się, otoczyła ramieniem jego szyję i pocałowała go w policzek.

- Ach, Robinie, kochany, jakże się za tobą stęskniłam. Uporaj się ze swoimi sprawami i przyjdź zabawić mnie rozmową. Widzę, że mamy wiele do przedyskutowania.

On zaś widział błysk w oku babki, tak więc spodziewał się, że - bez względu na słodycz jej wypowiedzi - otrzymał jedynie krótkie odroczenie. Odpowiedział jej więc chrząknięciem, rzucił znaczące spojrzenie giernkowi, po czym zaczął okrążyć stół. I stanął twarzą w twarz ze swoją oblubienicą.

Nie w tym rzecz, że zapomniał o jej obecności. Po prostu, cóż, zapomniał, że Anne należy do niego. Aczkolwiek gdy stał tak, gapiąc się na nią niczym półgłówek, zdumiewał się, jak taki szczegół mógł mu umknąć.

Wydawała się odprężona i wypoczęta. Wręcz pogodna. Z całą pewnością nie sprawiała wrażenia panny, która spędziła samotnie noc poślubną, łkając z tego powodu w poduszkę.

- Dobrześ spała? - zapytał, jako że nic innego nie przyszło mu do głowy.
- Nie narzekam - odparła, spoglądając nań z powagą. - Na twoim policzku, panie, odcisnął się blat stołu.
Rozpaczliwie szukał jakiegoś wyjaśnienia.
- Nie chciałem cię budzić - rzekł, dotkliwie świadom, jak bardzo sam czuje się niewyspany.

Anne uśmiechnęła się doń łagodnie.

- Jeśli sobie życzysz, dopilnuję, żeby po twoim powrocie z placu ćwiczebnego czekał na ciebie posiłek.

Zmarszczył brwi. Czyżby usiłowała utuczyć go na śmierć? Z roztargnieniem zastanowił się, dlaczego nie wściekała się na niego z racji tego, że zostawił ją na noc samą. Chyba że, oczywiście, odczuwała w związku z tym ulgę. Wszelako nie wyglądała na kogoś, komu ulżyło. Sprawiała wrażenie, no cóż, pogodnej. Zgrzytnął zębami.

Kiedy już przetrwa posiłek od swojej pani, czekały go tortury z rąk babki. Dzień nie zapowiadał się ciekawie. Być może powinien poszukać schronienia w pościeli.

Lecz nie, Anne by po niego przyszła. A jeśli nie ona, to dworacy babki, powątpiewał zaś, czy zniósłby takie upokorzenie.

Plac ćwiczebnny. Uczepił się tej myśli resztkami godności. Z chrząknięciem usunął swoją panią z drogi i oddalił się. Słyszał, że Jason podąża w ślad za nim. Stado artystów Joanny rozpierchło się przed Robinem niczym wątłe liście, gdy uderzy w nie wichura.

- Ach, Anne, kochana, jak dobrze cię widzieć - nadpłynęło z tyłu, a Robin nieledwie się wzdrygnął.

Święci pańscy, jakie spustoszenie babka poczyni w głowie jego żony!

Zatrzymał się przy drzwiach, rozważając, czy nie odizolować ich od siebie na resztę poranka. Zaklął, obejrzawszy się przez ramię. Za późno. Babka już zagarnęła jego żonę, popędzając ją ku schodom. Bez wątpienia zabarykadują się w jednej z komnat, żeby rozmawiać Bóg wie o czym. W zadumie pogładził się po brodzie. Przy odrobinie szczęścia ta konwersacja obejmie także jego osobę.

Przedstawianą w korzystnym świetle.

Choć, z drugiej strony, nie było to takie pewne.

Zdobył rękę Anne, zgoda, nie wiedział wszakże, czy podbił także jej serce.

Czy na ten drugi wyczyn nie jest już za późno?

Spojrzał na domniemanych mistrzów rozmaitych sztuk i mimo woli się nachmurzył. Ci tutaj mieliby mu pomóc? Lalusie, jeden w drugiego.

Postanowił opuścić salę, zanim uszkodzi któregoś z nich. Ostatecznie, może wysuną kilka przydatnych sugestii. Niewykluczone, że z nich skorzysta.

Aczkolwiek wielce w to wątpił.

* * *

Różne sprawy tak go pochłonęły, że zrobiło się późne popołudnie, nim ponownie znalazł się w wielkiej sali. Właśnie trwały przygotowania do wieczery, a Robin marzył o sutym posiłku. Unoszące się wokół zapachy dobrze wróżyły. Chyba jakiś osobnik ze świty babki wziął się ostro do dzieła. Robin ruszył za wskazówkami swojego nosa, który zawiódł go z powrotem prosto do kuchni, gdzie przejście zagroził mu korpulentny mężczyzna groźnie dzierżący w dłoni warzachew. Robin zatrzymał się i zaplótł ręce na piersi, przybierając swoją najsrozsza pozę.

- Z drogi - rzekł bez wstępów.

Kucharz się najeżył.

- Moja pani poleciła, byś dołączył do niej w pańskiej komnacie.

Robin zasznurował usta, uznał jednak, że nader niesłuszne byłoby zaszlachtowanie mężczyzny, który w tak wysokim poważaniu miał drewnianą łyżkę, a przy okazji zapewne władał nią z wielkim entuzjazmem. Kto wie, co Robin znalazłby przed sobą na stole, gdyby obraził tego człowieka. Słyszał o takich, którzy u stołu jego babki otrzymali paskudne jadlo w rewanżu za jedno krzywe spojrzenie. Jakie ohydne kąski przyniosłby mu rozlew krwi?

Tak więc Robin, który nigdy nie cofał się przed walką ani też nie pozwalał się nikomu zastraszyć, odstąpił, poddając bitwę. Wymagało tego dobro jego biednego żołądka.

Udał się do komnaty ojca, wzdychając ciężko co kilka kroków. Przed drzwiami przystanął, odetchnął głęboko i pomodlił się o kontrolę nad sobą. Podejrzewał, że nawet fakt, że powstrzymał się przed ukatrupieniem kucharza babki, nie zostanie mu policzony za zasługę, jeśli zdziesiątkuje resztę jej świty.

Otworzył drzwi i zerknął do środka.

Było gorzej, niż się obawiał.

Jego ojciec padłby trupem na ten widok. Każdy skrawek wolnej powierzchni zajmowały materiały, błyskotki albo „artyści” babki. W dodatku, o zgrozo, wszystkie oczy skierowały się na Robina.

Przez chwilę rozważał ucieczkę, podejrzewał jednak, że te delikatne istoty, na które właśnie patrzył, biegają zaiste szybko. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić upokorzenia, jakiego doznałby, uciekając przed armią trubadurów tudzież innych takich. Wziął zatem kolejny głęboki oddech, wolno wypuścił powietrze z płuc i wkroczył do komnaty.

Ledwie wszedł, zamknięto i zaryglowano drzwi. W okamgnieniu.

- Ach, Robinie - odezwała się babka. Przypuszczała, że uśmiech, jaki mu posłała, w zamierzeniu miał być rozbajający. - Z niecierpliwością oczekiwaliśmy twojego przybycia.

- Nie wątpię - rzekł twardo Robin.

Postanowił zacząć tak, jak zamysłał skończyć: zachowując przynajmniej resztki godności.

- Nasze pierwsze zadanie polega na tym, by należycie cię oporządzić i odziać - kontynuowała radośnie babka. Zamaszystym gestem wskazała stojącą przed kominkiem balię. - Wskakuj, jeśli łaska.

Robin nieco ponarzekał, lecz się nie spierał. Nie widział nic złego w okazjonalnej kąpeli, mimo popularnego przekonania o niebezpieczeństwach związanych z pławieniem się w wodzie. Musiał też przyznać, że znalazł drobną przyjemność w fakcie, że babka umyła mu włosy, czego z pewnością nie robiła dla nikogo od lat.

Jednak gdy już wytrząsnął wodę z uszu po splukaniu mydlin, odnotował, że za jego plecami toczy się cichy spór.

- Zetniemy je - zasugerował męski głos.

- Nie - sprzeciwił się ktoś inny w zadumie. - Ma ładne włosy.

- Aliści niemiódnie długie.

- Przytnijmy je zatem tu i ówdzie.

- Nie, trzeba je mocno skrócić - upierał się pierwszy rozmówca. - Zgodzisz się ze mną, pani?

- Zdaję się na twój osąd, Reynaudzie - odparła beztrąsko Joanna. - Chłopcy, przygotujcie się, żeby go przytrzymać, gdyby stawiał opór.

Robin usiłował odwrócić się w balii i przygwoździć przyszłych napastników srogim spojrzeniem.

- Nie chcę ścinać włosów.

Wszyscy troje spojrzeli na niego, jakby mieli do czynienia z nową odmianą szkodnika, którego muszą natychmiast wytepić, jeśli nie chcą cierpieć przez resztę życia.

- Obcinamy - zarządziła Joanna.

- Lubię długie! - wykrzyknął Robin.

Jeden z rozmówców ruszył ku niemu z nożem, Robin rozejrzał się więc gorączkowo w poszukiwaniu broni. Spozregł swój oręż - skryty bezpiecznie za drobną sylwetką babki. Potem otoczyła go kręgiem zbieranina mężczyzn, których bez trudu pokonałby gołymi rękami.

Chociaż może i nie... Przyjrawszy się baczniej, u kilku młodzieńców z tej grupy zauważył błysk w oku świadczący o tym, że spędzili aż nadto czasu w miejscach mniej cywilizowanych niżli wielka sala Segrave. Robin na powrót zanurzył się w balii, w każdej chwili gotowy do ataku.

- Dobrze przeto - rzekł. - Lecz nie życzę sobie, żeby obnażano mi głowę na modłę tych dworskich głupców. - Kurczowo uchwycił się krawędzi balii. - Nie za krótko - powtórzył.

Kiedy nóż rozpoczął swoje nieczne dzieło, Robin zamknął oczy. Nie chciał patrzeć na haniebny stos swoich nieszczęsnych włosów.

Gdy tortura dobiegła końca, kazano mu wstać. Nie śmiał dotknąć głowy z obawy przed tym, czego już na niej nie zastanie. Osuszył się, potem zaś pozwolił, by go ubrano. Odzienie było wyborne - tyle nawet Robin musiał przyznać, aczkolwiek postarał się zrobić to możliwie nieprzystępnym tonem. Ani myślał wzbudzać w babce przekonania, że może sobie z nim poczynać wedle woli.

Kiedy jednak kolejny prostak zbliżył się do niego z obuwiem, Robin zagapił się na noski wyszukanych pantofli.

- Co to ma być? - zapytał, wskazując je drżącym palcem.

- Najnowsza moda z Paryża - odparł sługa, pieszcząc nosk z pełnym zachwytem westchnieniem. - Piękne, nieprawdaż?

Robin nigdy w życiu nie widział czegoś równie niedorzecznego i nie potrafił uwierzyć, że ci durnie zamierzają założyć mu owe dziwaczne twory na nogi. Jego męskie stopy domagały się ciężkich butów, zdatnych na błoto i gnój, a także na wszystkie inne męskie zajęcia. Szczerze wątpił, czy w tych tutaj pantoflach zdołałby przejść po wyścielających podłogę matach, nie lądując natychmiast na zadku. Jeśli zaś uwzględnić prześladowającego go ostatnio pecha, przy tej okazji zapewne nadziałyby się okiem na ów idiotyczny nosk!

- Wykluczone - oświadczył Robin, zaplatając ręce.

Ujrzał kilka sztyletów, które wyłoniły się z obszernych rękawów. Jego babka odkaszlnęła znacząco.

- Niech to diabli - warknął Robin, wystawiając stopy na upokorzenie, jakiego nie doświadczyły nigdy wcześniej.

Czarno widział resztę wieczoru.

Jednakowoż kiedy z tłumu wyłoniły się dwie szwaczki i ruszyły na niego, dzierżąc błyskotki, igły i nici, Robin pojął, że musi przystąpić do działania.

- Nie przyczepicie tego do moich ubrań - oznajmił kobietom, posyłając im swoje najbardziej przerażające spojrzenie. - Wykluczone. Nigdy. Odmawiam i stawiam opór.

- Zwiążcie go - poleciła z westchnieniem babka.

- Co takiego? - zaskrzeczał Robin.

Ledwie mógł uwierzyć, że to on wydał ów odgłos. Nigdy nie skrzeczał. Ryczał. Warczał. Krzykiem podporządkowywał sobie legiony. A teraz spójrzcie, do czego przywiodły go spiczasto zakończone buty i obcięte włosy.

Nim zdołał pogodzić się z faktem, że babka mówi najzupełniej poważnie, został obezwładniony, przygnieciony i spętany. Kiedy tłum napastników odstał, Robin odkrył, że siedzi w fotelu. Przywiązany i całkowicie niezdolny się poruszyć. Spiorunował babkę wzrokiem.

- Jeśli ci się wydaje...

- Wydaje mi się, że pragniesz zdobyć swoją panią - ucięła. - My zaś jesteśmy tutaj, żeby ci w tym pomóc. Im szybciej opanujesz lekcje, tym prędzej Anne będzie twoja. Czy nie tego chcesz?

Robin nachmurzył się, lecz nic nie odrzekł. Skinął tylko krótko głową, po czym zamknął oczy, kiedy przypuszczono atak na jego ubranie. Być może babka miała rację i w zdobyciu Anne przyda mu się odrobina ucivilizowania. Być może kiedy Anne zobaczy Robina wytwornie odzianego, nabierze doń upodobania.

Przy założeniu, że nie omdleje ze śmiechu.

- Teraz pióra - poinstruowała Joanna. - Poczynajcie sobie śmiało, dziewczęta. Przy jego barbarzyńskiej posturze efekt i tak się wyrówna.

Robin warknął przekleństwo, lecz nic więcej nie mógł zrobić. Święci pańscy, jak też Anne zareaguje na jego widok.

Rozdział 32

Anne siedziała przy stole w chacie uzdrowiacza, dumając nad dwiema sprawami. Po pierwsze, że może sobie tak spokojnie siedzieć, nie zadając sobie pytania, kiedy jakiś zabłąkany nóż trafi między jej zębra. Drugiego tematu do rozmyślań dostarczył jej widok ziół leżących przed nią w pęczkach. Rozpoznawała większość z nich, nie dlatego wszakże, by niegdyś pilnie je studiowała.

Kiedy zdrowiała po wypadku, stosowano je na niej tak często, że potrafiła wiele z nich zidentyfikować wyłącznie po zapachu.

Posiadanie tej umiejętności nie wydawało jej się znanym przyjemne.

- Róża - rzekł mistrz Erneis, wskazując kwiat smukłym palcem.

- Tak - odparła w roztargnieniu Anne. - Wiem.

- Przydatna do kilku celów, aczkolwiek przypuszczam, że pani Gwennelyn hoduje je dla ich piękna. Te kwiaty pochodzą z dobrze ukorzenionych roślin.

- Zostały przywiezione, kiedy zaczynało wznosić warownię - wyjaśniła Anne.

- Na długo przed tym, nim tu nastałem - uzupełnił. - Przypuszczam, że ich sadzenia doglądała mistrzyni Berengaria.

Uśmiechnęła się, słysząc w głosie mężczyzny ton nabożnej czci - w jej mniemaniu w pełni uzasadniony. Berengaria była pierwszą uzdrowiaczką w Artane i to ona swego czasu wyprowadziła Anne z kłopotów. Anne wiele razy zastanawiała się, czy kobieta nie dodaje do wywarów czegoś ekstra, aczkolwiek nie potrafiłaby powiedzieć czego. Berengaria miała pewne dłonie, rozległą wiedzę zielarską i łagodność, która działała niczym kojący balsam. Anne żałowała wielce, kiedy uzdrowiaczką wyszukała Erneisa i przywiodła go do Artane, aby nauczyć go swej sztuki, tak by samej móc wyruszyć w świat. Wszelako nie Anne było decydować, kto odchodzi, a kto zostaje.

Jednakowoż mistrz Erneis nawet teraz pracował jakby pozostawał w cieniu tej kobiety. Anne nie wątpiła w jego wiedzę ani umiejętności, lecz mimo wszystko był tylko zwykłym człowiekiem. Tymczasem Berengaria zdawała się posiadać kilka talentów, jakich nie miewają przeciętni uzdrowiacze.

- Pani?

Anne zamruła, po czym pokręciła głową.

- Wybacz. Błądziłam myślami.

Na powrót skoncentrowała uwagę na stole. Teraz, gdy została panią na Artane, choćby tylko chwilowo, wypadało jej nieco lepiej zapoznać się ze sztuką uzdrawiania. Z tego właśnie powodu zignorowała związane z tym poczucie dyskomfortu, zmusiła się do pokonania dziedzińca i stawiała na lekcję w chacie uzdrowiacza.

Pomimo że tutejsze wonie budziły w niej przykre wspomnienia. Za jej plecami otworzyły się drzwi, Anne zaś wbrew sobie poczuła ulgę na myśl o ewentualnym odroczeniu nauki. Obejrzała się i zobaczyła stojącą w progu Edith. Przeszył ją dreszcz.

- Zimno ci, pani? - zapytał Erneis.

Anne pokręciła głową.

- To chyba z głodu. Powinam zająć się posiłkiem. Dziękuję ci za pomoc...

Zamierzała kontynuować, wszelako kątem oka spostrzegła błysk stali i odwróciła się akurat w porę, by ujrzeć, jak Edith dobywa spod odzienia sztylet. Anne krzyknęła, obserwując mknące przez izbę ostrze.

Przyszpiliło do podłogi szczura. Edith spojrzała na nią z zakłopotaniem.

- Pani?

- Nic takiego - wychrypiała Anne. - Jestem przemęczona.

- Wróć z tobą...

Anne uniosła dłoń.

- Nie trzeba, Edith, niemniej uprzejmie ci dziękuję za propozycję. Nie chciałabym przeszkadzać ci w sprawach, które cię tu przywiodły.

To powiedziawszy, szybko ruszyła ku drzwiom i wydostała się na świeże powietrze. Gdy się tam znalazła, zwróciła oczy ku wieczornemu niebu. Święci pańscy, nie ufała tej kobiecie.

- Lady Anne?

Zamruła, nim spostrzegła stojącego przed nią Jasona. Uśmiechnęła się z ulgą. Z Jasonem u boku nic jej nie grozi. Ujęła go pod rękę.

- Chwała niebiosom - powiedziała z uczuciem, kiedy szli powoli. - Szkoda, żeś się nie pojawił kilka godzin wcześniej, kiedym tkwiła uwięziona w kobiecej izbie.

- Uwięziona, pani?

- Joanna poleciła mi tam zostać, dopóki nie skończy pracować z twoim panem. Słowo daję, chyba bym oszalała, gdybym musiała jeszcze choć raz wbić igłę w tunikę. Dopiero niedawno zdołałam się wymknąć.

Jason odkasznął, jakby z pewnym zakłopotaniem.

- Przypuszczam, pani, że mój pan podziela twoje odczucia.

Anne spojrzała nań z uśmiechem.

- Czyżby miał ciężkie popołudnie?

- Zdarzy się cud, jeśli pokaże się na wieczery - przepowiedział Jason.
- Cóż takiego mogła mu zrobić lady Joanna? - zdumiała się Anne.
- Nie jestem w stanie tego opisać - oświadczył Jason. - Sama ocenisz rezultaty, pani.

Anne pohamowała ciekawość i ostrożnie wspięła się po schodach do wielkiej sali. Gdy zmierzała w stronę paleniska, patrzyła pod nogi, żeby nie potknąć się, pociągając za sobą Jasona. Giermek zatrzymał się, zrobiła więc to samo. Podniosła wzrok. Z trudem powstrzymała przerażone sapnięcie.

No cóż, bez wątplenia był to Robin, jednak taki, jakiego nie oglądała nigdy wcześniej. Pojęła, do czego nawiązywał Jason. Nigdy w życiu nie widziała tuniki tak bogato przystrojonej guzikami, wstążkami i - nie do wiary - piórami. Spuściwszy oczy, zdumiała się spiczastymi noskami jego butów. Jakim cudem Joanna zdołała go przekonać, by je założył? Anne prześlizgnęła się spojrzeniem po nogawicach i, po raz kolejny po zdobnej tunice, by wreszcie napotkać chmurny wzrok Robina. Nie umiała stwierdzić, czy wyraża on rezygnację, czy furię. Podejrzewała, że po części jedno i drugie.

No i jego włosy. Zostały mocno skrócone, Robin zaś ustawicznie za nie pociągał, jakby tym sposobem mógł przywrócić im dawną długość. Widać było teraz jego uszy, których Anne z całą pewnością nie podziwiała nigdy wcześniej.

Po bliższych oględzinach musiała przyznać, że takie uszy rzeczywiście lepiej pozostawić w ukryciu. Niewątpliwie odziedziczył je po matce, przy czym owe okazałe, odstające elementy jej osoby stanowiły istną zmore Gwen.

Znienacka Anne uderzyło najbardziej zdumiewające odkrycie. Robin się do niej zalecał.

Kiedy już Joanna przepytowała ją na wszystkie strony, by upewnić się, że Anne nie modli się o unieważnienie, wyłożyła jej w szczegółach swój plan ucywilizowania Robina. Anne słuchała uprzejmie, pewna, że Robin nigdy, przenigdy nie pozwoli się przyodziać na modłę wymuskanego dworzanina. Najwyraźniej jednak się myliła. Zrobił to dla niej!

Jeśli chociaż przez moment zbierało jej się na śmiech, zaraz jej minęło na widok niebezpiecznego błysku w jego oku. Podejrzewała, że nie zostałoby jej wybaczone do końca życia, gdyby choć otarła się o najdrobniejszy przejaw rozbawienia. Przybrała zatem na twarz wyraz najwyższej powagi i zbliżyła się, żeby zająć miejsce u boku męża. Wtedy kichnęła.

Malująca się na obliczu Robina irytacja ustąpiła miejsca nieznaczej panice. Obwąchał się z zaniepokojeniem. Zmarszczył nos, ale własne ustalenia zbył wzruszeniem ramion. Odwrócił się ku Anne i pokłonił nisko, posyłając w jej stronę nową falę woni perfum.

Kichnęła trzykrotnie, raz po raz, co nie było zbyt przyjemne.

- To od kominka - wyjaśniła szybko, wachlując się dłonią. - Złe drewno.

Konsternacja Robina nie zmalowała, lecz przynajmniej zaprzestał węszenia.

Stopniowo wielka sala wypełniała się rycerzami z drużyny i resztą towarzystwa schodzącymi się na wieczorny posiłek. Anne obserwowała, jak nowo przybyli kolejno spoglądają na Robina, i modliła się - w trosce o ich dobro - żeby żaden nie zachichotał.

Ludzie Robina, którzy albo przeszli dostatecznie dobrą szkołę, albo też byli tak zaprawieni w bojach, że nic nie mogło ich zdziwić, wmaszerowali do sali i skwapliwie zajęli miejsca przy jednym z niższych stołów. Ludzie Rhysa, którzy albo nie do końca opanowali sztukę ukrywania myśli, albo też dopiero co zawitali do warowni na roczną służbę, zatrzymali się raptownie na środku wielkiej sali, powodując zator. Wpadały na nich kolejne osoby, z trudem łapiąc równowagę. Oblicze Robina zauważalnie spochmurniało.

Na twarzach części gapiów pojawiły się uśmiechy, Anne zaś odniosła nieodparte wrażenie, że mężczyźni ci drogą zapłacą za rozrywkę, jaką urządzili sobie kosztem Robina.

Robin skinął jej krótko głową, po czym ruszył przez maty, zatrzymując się tuż przed rycerzem stojącym na czele tej grupy.

- Coś cię bawi? - zapytał ostro.

- Nie, panie - odparł zapytany, wszelako nie udało mu się całkiem zmasać z twarzy uśmiechu.

Robin omiótł wzrokiem pozostałych.

- Ktoś jeszcze nie potrafi pohamować wesołości? Ach, widzę kilku rozbawionych młodzieńców.

- Pióra na twej tunice, panie - odezwał się jakiś mężczyzna, po czym ryknął śmiechem.

Robin odszukał go w tłumie, otoczył ramieniem i zaprowadził do innego niższego stołu. Skinął na pozostałych, żeby także usiedli. Anne stłumiła dreszcz.

- Nacieszcie się posiłkiem - rzeki Robin, klepiąc po ramieniu rycerza, którego odprowadził na miejsce. - Później spotkamy się na placu ćwiczebnym.

Odpowiedział mu chór ochoczych potakiwań. Robin wrócił w pobliże kominka, uśmiechając się z satysfakcją. Pokłonił się Anne nisko.

- Pani?

Nie zdołała ukryć zaskoczenia.

- Nie zabijesz ich?

Robin rzucił szybkie spojrzenie babce, Anne zaś odwróciła się akurat w porę, żeby zobaczyć, jak ta stanowczo potrząsa głową. Robin westchnął.

- Najwyraźniej nie. Tak się atoli szczęśliwie składa, że mój ojciec ma wyśmienitego uzdrowiacza. Spodziewam się, że tej nocy czeka go wiele zycia.

- Robinie - ostrzegła lady Joanna.

- Mówię o okaleczeniach, babko - burknął. - Obiecałem, że nikogo nie zabiję, zgadza się? To nie oznacza, że nie mogę udzielić im lekcji szacunku.

Najwidoczniej ktoś poinformował najbardziej rozbawionych młodzieńców o reputacji Robina, jako że dało się słyszeć jęk i głucho stuknięcie, kiedy jakiś rycerz stoczył się z ławy i zdrowo wyrznął głową o pokrytą matami podłogę. Robin jedynie uniósł brew, proponując Anne ramię. Przyjęła je, zastanawiając się mimochodem, jak Robin zamierza udzielić komukolwiek lekcji na placu ćwiczebnym obuty w te pantofle. Ledwie zdołał dotrzeć do stołu, unikając wyróżnienia nosem w maty.

Chwilę później siedziała u prawego boku małżonka, podczas gdy miejsce po jego lewej ręce zajęła Joanna. Kiedy Anne stłumiła kolejne kichnięcie i zaczęła możliwie ukradkiem odpędzać dłonią woń perfum Robina, naszło ją podejrzenie, że ten posiłek może się okazać najdłuższym w życiu ich obojga.

- Ach, jadło - rzekł Robin, kiedy na stole pojawiły się potrawy.

Położył przed sobą pajdę chleba i zaczął nakładać na nią fury jedzenia.

- Robinie, co ty wyrabiasz? - szepnęła gorączkowo jego babka.

Westchnienie Robina omal nie przewróciło czaszy z winem.

- Jem. Tyle mi chyba wolno?

Urwał z pajdy spory kawałek i doniósł go w pół drogi do ust, kiedy na jego przedramieniu spoczęły kościste palce wiekowej dłoni. Aczkolwiek „spoczęły” nie wydawało się odpowiednim słowem. Joanna gwałtownie przygniotła rękę Robina do stołu.

Robin spojrział na babkę, która na migi pokazywała mu, że powinien odłożyć chleb. Stanowczo pokręcił głową, aż zatrzepotały pióra na jego tunice. Babka wyszeptwała coś do niego z naciskiem. Zaklął i odłożył oderwany kawałek chleba na stół, usiłując na powrót połączyć go z resztą pokiereszowanej pajdy. Babka zaczęła wzdychać.

- Co znowu? - zapytał.

- Dziel się swoją pajdą z Anne, Robinie! - wykrzyknęła Joanna. - Święci pańscy, chłopcze, gdzieś ty jadał w ostatnich latach? Przy korycie?

Robin chrząknął, lecz nic nie odrzekł.

Pajda znalazła się bliżej Anne, ale zaledwie odrobinę. Robin już miał coś zjeść, kiedy ponownie pokrzyżowano mu szyki.

- Najlepsze kąski są dla niej.

- Babko, lada moment omdleję z głodu! - oburzył się Robin.

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma!

- Dla ciebie, wnuku, znaczenie winny mieć twoje maniery!

Robin warknął, porwał czaszę i napił się wina, zanim ktokolwiek zdołał mu w tym przeszkodzić.

- Wytrzymaj miejsce, gdzieś pił, i podaj czaszę swojej pani.

Robin chwycił skraj obrusa, wytarł brzeg naczynia, a potem je całe.

- Najlepiej usunę wszelkie moje ślady - sapnął z sarkazmem przy tej czynności. Następnie z chmurnym wyrazem twarzy podsunął czaszę Anne. - Najwyraźniej, pani, dopiero teraz można z niej pić.

Anne uniosła naczynie do ust, po czym zniecierpliwiona potężnie do niego kichnęła. Robin nachmurzył się i spojrział na babkę.

- Co teraz, o najmądrzejsza spośród doradczyń?

Ostro trzepnięty w tył głowy pozostał już pochylony nad swoją połową pajdy. Anne nie miała o to pretensji. Atakowana przez płynącą od niego woń perfum oraz łaskoczące ją w nos pióra, ledwie zdołała cokolwiek przełknąć pomiędzy kolejnymi kichnięciami. Z nie lada ulgą powitała koniec posiłku. Robin wyraźnie podzielał jej odczucia. Kiedy tylko otrzymał pozwolenie, porywczo odsunął krzesło.

- Jasonie! - ryknął. - Moje buty!

Wstał i zdarł z siebie tunikę, aż po stole i podłodze posypały się pióra, guziki oraz mnóstwo przeróżnych błyskotek. Kilku członków świty Joanny aż westchnęło z przerażeniem i skoczyło ratować swoją pracę. Robin usiadł, zerwał z nóg pantofle i cisnął je przez wielką salę. Anne przysięgłaby, że któryś z ludzi Joanny zapłakał.

Robin wstał i odkaslnął znacząco. Przyniesiono i założono mu kolczugę. Odwróciwszy się, ujął dłoń Anne. Pochylił się nad nią, lecz powstrzymała go babka, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie całujesz - powiedziała.

Wytrzeszczył na nią oczy.

- Co proszę?

- Czy nie tak, Stephenie? - zwróciła się babka do kogoś ze swojej świty.

- A jakże, pani - odparł z entuzjazmem Stephen, doskakując do jej boku. - To nowy zwyczaj na dworze, wszelako bardzo sprytnie pomyślany, jeśli wolno mi wyrazić własne zdanie. Mężczyzna pochyla się nad dłonią kobiety i udaje, że składa na niej pocałunek. Dzięki temu jej palce nie zostają obślinione, co mogłoby wszak wzbudzić w niej odrazę, zanim jeszcze ów mąż zacząłby się do niej zalecać.

Robin otworzył usta ze zdumienia.

- O co w tym chodzi?

- O sztukę, panie. Sztukę uwodzenia.

Popatrzwszy nań chwilę, Robin przeniósł wzrok na Anne. Nigdy na niczym obliczu nie widziała wyrazu takiej konsternacji.

- Głupiec - stwierdził Robin. Puścił dłoń Anne i odstąpił. Spojrzał na Stephena. - Idę na plac potyczek, gdzie nikt niczego nie udaje! Święci pańscy, nic nie rozumiem z tych zalotów!

Z tymi słowy przesadził stół i ciężkim krokiem przeciął wielką salę.

- Na zewnątrz - rzucił do uprzednio wybranej wieczornej rozrywki. - Mam z wami wszystkimi sprawę na dworze. Na placu - dodał znacząco, oglądając się przez ramię na babkę. - Gdzie mężczyźni są mężczyznami i oddają się męskim zajęciom!

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem. Podążający jego śladem rycerze otworzyli je z nieco mniejszym entuzjazmem. Anne odprowadziła ich wzrokiem, a potem spojrzała na Stephena i Joannę, którzy zgodnie kręcili głowami.

- Władam mieczem - obruszył się Stephen. - Nawet bardzo dobrze, jeśli wolno mi się pochwalić.

- Oczywiście, że władasz - powiedziała Joanna.

- Po prostu ostatnio zdecydowałeś się poświęcać więcej energii zgłębianiu szlachetnych niuansów dworskiej etykiety. To żaden wstyd.

- Spójrzcie, co zrobił z tą tuniką! - wykrzyknęła szwaczka Joanny, prezentując wszem wobec sponiewierane odzienie.

- A buty! - zawołał z wielkim oburzeniem mężczyzna najwyraźniej u Joanny sprawujący pieczę nad obuwem. - Trafił mnie pantoflem między oczy!

- To barbarzyńca - oświadczył inny, wzdrygając się.

- A juści - potaknęła uszczęśliwiona Anne.

- Tak być nie może - oznajmiła z dezaprobatą Joanna. - Jutro musimy znów nad nim popracować, przyjaciele. Dobrze wypoczniemy i wstaniemy skoro świt, zanim umknie nam, święci pańscy wiedzą dokąd.

- Drugi raz nam się nie podda - stwierdził mężczyzna, który obnosił się z mocno spuchniętym okiem.

Anne przypuszczała, że człowiek ten brał udział w pierwszym pogromieniu Robina.

- Zrobi to - rzekła Joanna, patrząc na Anne. - Jeśli zależy mu na nagrodzie, ulegnie.

Kręcąc głową, Anne przeprosiła i udała się na górę do sypialni Rhysa i Gwen. Zapewne mogłaby nazwać ją swoją sypialnią, aczkolwiek bez wątplenia tej izby nie przewidziano dla jednej osoby.

Robinowi ani chybi wystarczyło na resztę życia prób ucywilizowania go, wątpliwe więc, by dało się go odtąd zobaczyć gdziekolwiek indziej niż na placu ćwiczebnym.

Kiedy jednak Anne szykowała się do snu, nie zdołała powstrzymać ani ostatniego kichnięcia, ani też uśmiechu z powodu jego dzisiejszych wysiłków.

Pióra i guziki, w rzeczy samej.

Rozdział 33

Robin obudził się w komnacie ojca, lecz na razie nie umiał się zmusić do otwarcia oczu. Leżał więc wciąż na podłodze owinięty w koc i poważnie się zastanawiał, czy warto poddawać się tym wszystkim machinacjom. Z całą pewnością mało który mężczyzna wystawia się na takie tortury, żeby zalecać się do swojej oblubienicy.

Oczywiście, że nie, prychnął w duchu Robin. Mężczyźni przeważnie poślubiają kobiety, które ledwie znają i jeszcze mniej je kochają, a temat zalotów ani na chwilę nie gości w ich myślach. Jego przypadek był całkowicie odmienny.

Przyznawał, że Anne należą się zaloty. Ostatecznie przez długie lata musiała znosić podle maniery Robina. Ponadto zrujnował dzień jej ślubu przez owo niefortunne zajście w kaplicy, aczkolwiek nie zamierzał brać odpowiedzialności za gwałtowność, z jaką Isabelle rozstała się ze swoim śniadaniem. W istocie ledwie mógł uwierzyć w wydarzenia, jakie rozegrały się w najświętszym miejscu Artane. Powinien był zachować większą czujność. Powinien był więcej czasu poświęcić śledztwu, choć przecież kilkakrotnie bacznie przyglądał się służbie. Ani razu nie widział Maude.

Czy też patrzył na nią, lecz jej nie rozpoznał?

Przyznawał, że nie można tego wykluczyć. Przeciągnął się. Zabić kobietę - dotychczas czegoś takiego nie było na długiej liście dokonań Robina. Westchnął ciężko. Gdyby tylko wiedział, kim jest napastnik, nie zrobiłby tego - nie mógłby. Jakżeby? Nigdy nie uderzył kobiety ani pięścią, ani nawet otwartą dłonią. To znaczy z wyjątkiem Amandy, lecz w tym wypadku spełniał swój braterski obowiązek, wymierzając jej parę przyjacielskich klapsów.

Kobieta to najcenniejszy dar, jaki mężczyzna otrzymał od Boga. Robin głęboko wierzył w tę prawdę. Nigdy nie zdradził owej wiary.

Miał żarliwą nadzieję, że Anne zrozumie. Nie takiego ślubu dla niej pragnął. Uczyni wiele, by wszystko jej wynagrodzić.

Jednakowoż, mimo tak obciążonego sumienia i szczerego pragnienia odkupienia win w oczach swej pani, Robin powątpiewał, czy zniesie kolejny dzień nauki oglady. Rozgromienie przeciwników na placu ćwiczebnym minionego wieczoru przyniosło mu satysfakcję, aczkolwiek nie znajdował się wtedy u szczytu formy i za ów stan winił babkę. Trawiąca go przed wieczorą obawa, że potknie się w tych przeklętych pantoflach, srodze go wyczerpała. Z całą pewnością nigdy więcej nie założy na nogi czegoś równie niedorzecznego.

Otworzył oczy i krzyknął zaskoczony. W fotelu tuż obok siedziała babka. W rzeczy samej niewiele brakowało, by siedziała wprost na Robinie. Nie mógł uwierzyć, że nie usłyszał, jak nadchodzi.

- Jesteś podstępna staruchą, pani - powiedział, podnosząc się.

Chciałby, żeby serce przestało mu tak walić.

Jej usta ułożyły się w uśmiechu tak nieprzyjemnym, że Robin dostał gęsiej skórki. Święci pańscy, co też uszykowała na dzisiaj?

- Doprawdy? - zapytała wesoło.

- A jakże. Dziś możesz wszak zaniechać knozań. Muszę się zająć kilkoma sprawami.

- Już się nimi zajęto - odparła gładko.

- Co takiego?! - wykrzyknął. - Skąd miałabyś...

- ...wiedzieć, jak się zarządza warownią? - dokończyła za niego. - Potrafię wiele rzeczy, szczeniaku, w tym także uchronić piękny zamek twojego ojca, by nie popadł w ruinę w ciągu jednego dnia.

Robin zasznurował usta.

- Są sprawy, które wymagają mojego osobistego nadzoru.

- Nie sądzę. Wyznaczyłam jednego z chłopców do doglądania twoich interesów. Nic się nie stanie, jeśli przez jeden dzień nie poświęcisz im uwagi. Zresztą winienes się dziś skoncentrować na innych kwestiach.

Robin rozważył, czy zostałyby mu policzone na niekorzyść, gdyby zamknął babkę w górnej izbie wieży strażniczej, jak najdalej od donżonu, ma się rozumieć, tak by nie było słyhać jej niewybrednych przekleństw. Pozostawiłby ją tam jedynie na tak długo, na jak długo by się to okazało konieczne, na przykład do czasu, aż straciłaby serce do intryg i przyrzekła spokojnie wrócić do domu.

- Taniec - oznajmiła Joanna. Robin pokręcił głową.

- Nie będę...

- Owszem, będziesz.

- Babko, czekają na mnie sprawy, których nie powierzę żadnemu z twoich wystrojonych głupców!

Przyglądała mu się. Robin wręcz widział krążące w jej głowie myśli, aż stopniowo zaczął go ogarniać niepokój.

Święci pańscy, ta kobieta była naprawdę niebezpieczna.

Joanna skinęła krótko głową.

- Dobrze tedy. Uporaj się z nimi do jutrzni.

- Wykluczone. Zejdzie mi co najmniej do południa.

- Do nony i ani chwili dłużej, w przeciwnym razie przyprowadzę cię do środka za ucho.

Robin żywo pamiętał, jak jego elegancka babka oddawała się temu właśnie zajęciu za jego szczenięcych lat, tak więc zapobiegawczo potarł ucho. Spojrzał na nią chmurnie.

- Żadną miarą...

- Nie nauczysz się tańczyć? Oczywiście, że się nauczysz. Nawet twój dziadek, świeć Panie nad jego duszą i drewnianymi stopami, po niewielkim przeszkoleniu umiał wykonać kilka kroków.

Robin zawahał się.

- Jak niewielkim?

Jego babka zignorowała pytanie, przekonując tym samym Robina, że czeka go kolejny dzień udreki.

- Nona - oświadczyła, wstając. - I nie spóźnij się.

Robin odprowadził ją wzrokiem, kiedy opuszczała komnatę. Gdy spoglądał na zamknięte już drzwi, uderzyła go pewna myśl.

Był niemal pewien, że minionego wieczoru zarygłował je od środka.

Nachmurzył się. Albo spał jak zabity, odurzony odorem własnych perfum, albo też jego babka wiedziała rzeczy, których wiedzieć nie powinna, oraz posiadała umiejętności zupełnie niestosowne u kobiety w jej wieku.

Nie miał ochoty spekulować, które z tych wyjaśnień jest bliższe prawdzie, jako że oba uważał za wielce niesmaczne.

Wstał. Musiał mądrze wykorzystać czas, dopóki pozostawał panem swego losu.

* * *

Skończył trening w porze nony. Rozważał koncept pozostania na placu jeszcze przez chwilę jedynie po to, by przekonać się, czy babka spełni swoje groźby. Pomysł wydawał się tym bardziej kuszący z racji tego, że - ku niewyobrażalnej radości Robina - Baldwin z Sedgwick nie zaszczycił ich tego ranka swą obecnością. Od jednego z ludzi ojca Robin dowiedział się, że minionej nocy Baldwin wyjechał, nie mówiąc dokąd, co zasadniczo powinno go zastanowić. Wszelako Baldwin przypominał odór z kloaki, nieustannie obecny, znikający na krótko, żeby zaskoczyć niczego niespodziewającą się osobę nagłym powrotem w pełnej chwale. Robin przypuszczał, że wkrótce znów ujrzy kuzyna. Cieszył się zatem tą odrobiną wytchnienia od jego obecności.

Niestety, chwila odpoczynku od katuszy zadawanych mu przez babkę dobiegła właśnie końca. Nie umknie przed nią. Ponuro powłókł się z powrotem do donżonu, dumając, jak sobie poradzi na lekcjach tańca. W swoim dwudziestoczteroletnim życiu parę razy zdarzyło mu się zatańczyć, lecz nie nazwałby tego doświadczenia przyjemnym - ani dla siebie, ani dla swoich nieszczęsnych partnerek. Zapewne odziedziczył po dziadku drewniane stopy.

Joanna stała u szczytu schodów wiodących do wielkiej sali, przytupując niecierpliwie.

- Nie spóźniłem się - burknął Robin.

Obdarowała go uśmiechem.

- W istocie nie. Po prostu przygotowuję stopy na dzisiejszą intensywną lekcję.

- Moje stopy czułyby się znacznie szczęśliwsze, gdyby mogły cieszyć się muzyką, spoczywając leniwie na stole.

Joanna ujęła go pod rękę i pociągnęła do sali.

- Bez obaw, wnuku. Spodoba im się. Najpierw jednak musimy zaopatrzyć je w coś bardziej stosownego do tańca. Ciężkie buciorzy są przekleństwem każdej panny.

Spojrzał na nią wilkiem. Sama wymyśliła to diabelskie porzekadło, czy przekazywały je sobie z pokolenia na pokolenie kobiety przejawiające skłonność do maltretowania swoich mężów frywolnym zachowaniem? Aczkolwiek nawet on dostrzegał w tych słowach pewną logikę. Lepiej, jeśli podepcze Anne w innym obuwiu.

Wkrótce Robin siedział w fotelu przy kominku, gdzie zdjęto mu ciężkie buty, zastępując je delikatnymi pantoflami.

- Pantofle do tańca - oznajmił laluś ze świty babki, wzdychając z zachwytem.

- Cudownie - mruknął pod nosem Robin.

Wymamrotał jeszcze kilka komentarzy, kiedy grajkowie Joanny stroili instrumenty i wykonywali rozmaite inne czynności, przygotowując się do tortur. Robin nie posiadał talentów muzycznych ani nawet ucha do melodii, więc słyszał tylko piski i zgrzyty. Rozejrzał się po wielkiej sali, z ulgą odnotowując, że świeci pustkami. To znaczy, jeśli nie liczyć świty babki. Nie dostrzegł służby ani zbrojnych, którzy staliby się świadkami jego upokorzenia.

Uniósł brew. Chyba nie docenił starej damy. Nawet jeśli postawiła sobie za cel poniżyć go prywatnie, zdobyła się przynajmniej na drobny wysiłek, żeby ocalić jego dumę na gruncie publicznym. Joanna odkaszlnęła.

Grajkowie wstrzymali przygotowania. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Robin także spojrzał na babkę. Ani chybi pociągnęłaby go za ucho, gdyby tego zaniedbał.

Zamaszystym gestem wskazała grupkę osób na środku wielkiej sali.

- Oto twój nauczyciel tańca - powiedziała. - Wulfgar.

Stadko rozstało się. Robinowi opadła szczęka. Nie wierzył własnym oczom.

Mężczyzna, który tam stał, z entuzjazmem wyłamując palce, był wyższy od Robina o pół głowy i zapewne także szerszy odeń w barach. Zdawał się stworzony raczej do podnoszenia rycerzy w kolczugach wysoko w górę i ciskania nimi na znaczne odległości, aniżeli do płaśw w rytm muzyki.

- Oczywiście, Wulfgar oczekuje pełnej współpracy z twojej strony - poinformowała go radośnie Joanna.

Robin wstał z westchnieniem. Nie wątpił, że powaliby tego mężczyznę, narobiłby atoli przy tym bałaganu, tak że podłoga wielkiej sali wymagałaby potem solidnego sprzątnięcia. Poza tym, jeśli taki osiłek zdołał nauczyć się tańczyć, niewykluczone, że Robinowi także się powiedzie.

Znienacka odebrano mu oręż. Nie protestował. Przeszedł przez wielką salę, zaplótł ręce na piersi i spojrzał groźnie na swego nauczyciela.

- Zaczynamy - rozkazał.

Mężczyzna pokłonił się.

- Wedle twojej woli, panie. Jak widzisz, skoro ja potrafię poruszać się z taką gracją, leży to także w zasięgu twoich możliwości.

- Doszedłem do identycznego wniosku.

- Pomyśl o tańcu jak o bitwie, panie, w której wojskiem jest twoje ciało - ciągnął Wulfgar chrapliwym głosem, zdawałoby się nawykłym raczej do wykrzykiwania rozkazów, aniżeli łagodnego nauczania tanecznych kroków.

Robin pogładził się po brodzie. Wojaczka? A jakże, to rozumiał.

- Twoim zadaniem, panie, jest w miarę bezkrwawo zdobyć pole bitwy, strzegąc zarazem swojej pani, i osiągnąć cel.

- Którym będzie koniec pieśni? - zapytał ponuro Robin.

Wulfgar ryknął śmiechem, przywodzącym na myśl kufle piwa wychyłane w przydrożnej gospodzie dla uczczenia zwycięstwa. Robin momentalnie rozpogodził się i rozluźnił, a nawet zdobył się na uśmiech.

- Owszem, panie - przystał Wulfgar. - To także. A teraz zaczynamy.

Przynajmniej nie wymagano od Robina, żeby splatał z tym mężczyzną ręce w miłosnym uścisku. Pokazując Robinowi kolejne czynności, Wulfgar zachowywał odległość stosowną dla wojownika. Mimo to Robin podejrzewał, że czeka go bardzo długie popołudnie.

Przecież nie jest tchórzem. Skoro zaś Wulfgar Ogromny sobie poradził, Robinowi także się uda. Aczkolwiek, kiedy ogłoszono krótką przerwę, przyznał w duchu, że cały ten taniec jest trudniejszy, niżli przypuszczał. Stał zdyszany, a jego myśli wirowały wokół tanecznych strategii, układów i taktyk.

Święci pańscy, więcej nie trzeba, żeby mężczyznę rozbolała głowa.

Nie wspominając o jego stopach.

Robin ostrożnie ruszył w kierunku wysokiego stołu. Raptem ukazał mu się widok, który w tej samej chwili wywołał rumieniec na jego twarzy i zmroził go do szpiku kości.

Na ostatnim stopniu schodów siedziała Anne. Łokcie wsparła na kolanach, pięściami podparła brodę i obserwowała go.

Skamieniał. Do diabła, od jak dawna mu się przygląda? Wahał się, czy powinien na nią wrzasnąć, czy też zapytać, co sądzi o jego umiejętnościach. Gwałtownie zamknął usta i zgromił ją spojrzeniem.

Potem uderzyła go kolejna myśl. Czy Anne zdoła tańczyć z chromą nogą? Tego ranka Robin poznał wiele skomplikowanych kroków. Czy ona podoła takiemu wyzwaniu?

Nim wszakże podjął jakąkolwiek decyzję, do Anne pospieszyła jego babka.

- Dobrze mu idzie, nieprawdaż? - zapytała.

- Tak, lady Joanno - odparła z uśmiechem Anne. - Jest bardzo uzdolniony.

Robin zadumał się nad tymi słowami. Pochwała z ust jego pani. Rzecz nie do pogardzenia.

- Chodź, moja droga - powiedziała Joanna, pociągając Anne na nogi. - Przecwiczysz z nim kilka obrotów.

Robin chciał zasygnalizować babce, żeby zamilkła, lecz szybko uznał, że ona lepiej od niego potrafi ocenić taneczne możliwości Anne.

Znalazł się więc na środku sali, z dłonią swej pani w swojej i niespodzianie odkrył, że z głowy wywietrzało mu wszystko, czego dopiero co się nauczył. Niech to diabli!

Gdy dla każdego z obecnych, z Anne włącznie, stało się jasne, że kompletnie się zagubił, Joanna dała znak, by grajkowie przestali się wydzierać i szarpać struny lutni. Znowu zawezwano Wulfgara, który zajął miejsce u lewego boku Anne. Robin stanął po jej prawej stronie i obserwował nauczyciela, kiedy na nowo ćwiczyli kroki. Wtedy też pojął, jak przemyślnie babka ułożyła dlań plan nauki. Robin wykonywał mnóstwo idiotycznych wygibasów, podczas gdy Anne musiała jedynie od czasu do czasu przejść parę kroków i pięknie wyglądać. Tańczyła z wdziękiem i wyraźną radością, lecz zarazem ów wysiłek nie powinien zanadto jej zmęczyć.

Kiedy katusze wreszcie ustały i Robinowi pozwolono zająć miejsce przy wysokim stole, odprowadził tam swą panią i spoczął obok niej, wzdychając z uszczęśliwieniem. Ogromnie mu ulżyło, gdy w końcu usiadł.

Trwał w owym błogostanie, dopóki babka nie zbliżyła się doń wojowniczo.

- Wieczorem znów potańczymy - obwieściła. - Tak, by Robin utrwalił sobie ciężko zdobyte umiejętności.

Robin nachmurzył się, pojmował wszakże, że nie ma odwrotu. Poza tym, gdy zerknął na Anne, odkrył, że ona zdaje się rada temu pomysłowi. Taniec. Żywił nadzieję, że jest to ostatnia tortura, jaką przewidziała dla niego babka.

Rozdział 34

Anne siedziała we wnęce okiennej kobiecej izby i rozkoszowała się odrobiną ciszy i spokoju.

Zaciągnęła kotarę, żeby zapewnić sobie nieco prywatności. Rzadko tak postępowała, nie chcąc urazić innych osób obecnych w pomieszczeniu, chociaż teraz dworki Gwen gdzieś przepadły, Joanna odbudowywała ostatnie rezerwy cierpliwości, zażywając drzemki, natomiast Robin... Święci Pańscy jeno wiedzą, gdzie się podziewał. Wcześniej Anne spotkała Jasona, który zmierzał właśnie do kuchni, jak czyni to każdy rozsądny szesnastoletni chłopak, kiedy chwilowo nie ciąży na nim żadne obowiązki. Giermek poinformował ją, że dostał dzień wolnego i nie ma pojęcia, gdzie przebywa jego pan.

Anne miała nadzieję, że Robin nie udał się do wsi, by wychędożyć każdą chętną dziewczkę, która mu się nawinie.

W każdym razie zyskała cenną chwilę prywatności, kiedy to mogła do woli kontemplować zaistniałą sytuację. Wyjrzała przez okno, uśmiechając się do siebie. Kto by pomyślał, że akurat Robin z Artane zada sobie tyle trudu jedynie po to, żeby ją zadowolić? Jej ojciec bez wątplenia byłby tym zaskoczony, Amanda przerażona, natomiast Nicholas... no cóż, Nicholas pękałby ze śmiechu, co doprowadziłoby do kilku potyczek między braćmi. Więc chyba dobrze się stało, że Robin ćwiczył wielkopańskie zachowania w odosobnieniu.

Kotara poruszyła się nagle, jakby pod wpływem podmuchu. Anne mimo woli podskoczyła. Rozluźniła się, słysząc rozmowę. Jej niedoszła zabójczyni nie żyła, a mąż znajdował się tuż obok, oddzielony jeno płachtą materiału. Nic jej nie grozi.

- Dobrze - rzekł ciężko Robin. - Miejmy to za sobą.

- Panie - rozległ się głos, którego piękno zapierało dech w piersiach - umiejętność gry na lutni pozostanie poza twym zasięgiem, jeśli za jedyną motywację przyjmiesz pragnienie, by „mieć to za sobą”.

- A do czego niby mi się to przyda? - zapytał gniewnie Robin. - Z całą pewnością nie ocali mi karku... ani też mojej pani, jeśli ta romantyczna wizja bardziej do ciebie przemówi, eee, hm, mistrzu lutniarzu.

- Mam na imię Geoffrey, panie.

- Och, tylko nie następny - jęknął Robin.

Anne uśmiechnęła się. Uczucia Robina względem jej ojca nie były dla nikogo tajemnicą. Usiadła wygodniej, wielce ciekawa, jak się to zakończy. Miała szczerą nadzieję, że Robin nie pozbawi głowy trubadura. Już choćby z racji jego pięknego głosu mężczyźnie należało wybaczyć udział w knowaniach lady Joanny.

- Dwie lutnie? - utyskiwał Robin. - Święci pańscy, człowieku, nie masz litości? Nie zaznam chwili wytchnienia przy dwóch tych piekielnych wynalazkach.

- Jedna dla mnie, druga dla ciebie, panie - powiedział gładko Geoffrey. - A teraz bądź łaskaw wziąć instrument. Trzyma się go w ten sposób, o, proszę. Doskonale, panie.

- Skończ, dobrze? - rzekł z irytacją Robin. - Nawet ja zdołam utrzymać lutnię. To gra na niej nigdy mi się nie powiedzie.

- Jeśli władasz mieczem, panie, zagraż także na lutni - obiecał Geoffrey.

Robin odchrząknął.

- Mówisz to samo każdemu półgłówkowi, który trafia w twoje nieczne szpony?

Śmiech Geoffreya przywodził na myśl raczej szum wodospadu aniżeli męski rechot. Anne kusiło, żeby wyjrzeć zza kotary i upewnić się, że jej mąż nie zostanie zaraz oczarowany przez leśną wróżkę lub elfa. Śmiertelnik nie mógłby posiadać tak pięknego głosu. Joanna miała zaiste wyśmienity gust.

- Najpierw nauczymy się ballady, panie - rzekł Geoffrey. - Zaledwie dwa akordy, w dodatku proste. Proszę, spójrz na moje palce i umieść własne na strunach dokładnie w ten sam sposób.

Brzdęknęła lutnia. Anne założyła, zapewne trochę nieuprzejmie, że to nie palce Robina wydobyły ów dźwięk. Jego następne słowa potwierdziły te przypuszczenia.

- Do diabła, człowieku, jak niby mam dopasować moje grube paluchy do tych pajęczych nici?!

- Wytrwałość i cierpliwość, panie. Wytrwałość i cierpliwość.

W miarę upływu poranka Anne przekonywała się, że żadnej z tych cnót Robin nie posiada w nadmiarze. Padające z jego ust przekleństwa zagłuszały każde słowo Geoffreya.

- Odetchnij głęboko, panie - powiedział Geoffrey na tyle głośno, że zdołał przekrzyknąć Robina.

Na błogosławioną chwilę Robin umilkł.

- Jeszcze tylko raz, panie - przymilał się Geoffrey. - Dla twej pani.

Robin westchnął ciężko, jakby z przeogromną frustracją, potem zaś wyprodukował coś, co od biedy dało się nazwać akordem. Towarzyszył temu brzdęk niewłaściwie uderzonej struny i, oczywiście, nieustający ciąg przekleństw. Wszelako nastąpił pewien postęp.

- Doskonale, panie! - wykrzyknął Geoffrey.

Robin milczał. Znów uderzył w struny. Tym razem efekt był wyraźnie lepszy; Anne srodze żalowała, że nie widzi w tym momencie jego twarzy.

- Nie było całkiem beznadziejnie, nieprawdaż? - zapytał Robin, z niejakim zaskoczeniem w głosie.

- Poczyńłeś ogromne postępy, panie. Zostaniesz doskonałym lutniarzem, jeśli tylko zechcesz.

Robin prychnął.

- Nie, mój brat gra znacznie lepiej, niż ja kiedykolwiek zdołam się nauczyć. To nie ma sensu.
- Ach, lecz czyjej gry chętniej posłucha twoja pani? Twojego brata czy twojej, panie?

Zapadła cisza. W końcu przerwał ją Robin.

- Jeszcze parę akordów, jeśli łaska, Geoffreyu. Jestem przekonany, że jeśli co dzień poświęcę nieco czasu tego rodzaju ćwiczeniom, zwiększą one moją sprawność we władaniu mieczem.

- Bez wątpienia, panie.

Anne oparła się o ścianę i ze zdumieniem przysłuchiwała się, jak Robin usiłuje opanować sztukę, z którą nigdy dotąd nie miał do czynienia. Z żalem powitała słowa Geoffrey'a, że powinni na dziś zakończyć lekcję gry na lutni, inaczej bowiem Robin nauczy się tego pierwszego dnia tak wiele, że przytłoczy swoją panią ogromem umiejętności.

- Pójdę tedy - rzekł z wyraźną ulgą Robin.

- Ach, lecz co z rymami? - zapytał szybko Geoffrey. - Z pewnością nie chcesz ich zaniedbać, panie.

- Nie chcę?

- Nie, panie.

Rozległo się ciężkie westchnienie, a następnie głuchy odgłos, jakby Robin z bezbrzezną niechęcią zajął z powrotem swoje miejsce.

- W porządku. Skoroś już zaczął wbijać mi nóż w plecy, wbij go po rękojeść.

- Dobrze powiedziane, panie - pochwalił Geoffrey. - Przypuszczam, że nowe zadanie nie sprawi ci trudności.

- Jeśli tak twierdzisz - rzekł z powątpiewaniem Robin. - Od czego zaczniemy?

- Od wybrania tematu pieśni. Zapewne będziesz miał najwięcej do powiedzenia o swojej pani, czy tak?

- Tak - odparł Robin.

Anne przysięgłaby, że usłyszała w tym potwierdzeniu nutkę melancholii. Z drugiej strony, niewykluczone, że poniosła ją wyobraźnia. W przypadku Robina człowiek nigdy nie wiedział na pewno. Mogła mu na przykład dokuczać niestrawność spowodowana tańcami po wieczery minionego wieczoru. Nie widziała Robina od rana. Albo ukrył się w wieży strażniczej, albo też nadal bolały go stopy po ciężkiej pracy, jaką wymógł na nich jego nauczyciel tańca, i Robin wylegiwał się w łóżu, odzyskując siły. Ta wizja wywołała uśmiech na twarzy Anne. Biedak. Ani chybi wielce mu ulży, kiedy uwaga jego babki zwróci się ku innym potomkom Rhysa i Gwen.

- Gdybyś miał coś rzec o swej pani, co by to było?

- Jest najbardziej upartą niewiastą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Zdziwione sapnięcie Geoffrey'a świadczyło tylko o tym, że bard nadal zbyt krótko przestawał z Robinem. Anne zasznurowała usta. Z niecierpliwością czekała, co jeszcze Robin będzie miał do powiedzenia na jej temat.

- Wszelako, panie - odezwał się Geoffrey, wyraźnie wstrząśnięty - musisz wyrazić o niej coś pochlebnego.

- To był komplement. Nieugiętość to cenna cecha.

Na moment zapadła cisza. Potem najwyraźniej Geoffrey pozbierał się na tyle, żeby odzyskać mowę.

- Spróbuj czegoś innego, panie.

- Cóż - zaczął wolno Robin - ma więcej odwagi aniżeli każdy doświadczony w bojach mąż, z jakim w życiu walczyłem. Nieustannie stawia czoło własnym demonom i wychodzi z tych potyczek zwycięsko. A także - mówił z narastającym entuzjazmem - cechuje ją odwaga dziesięciu najbardziej pociętych, obitych i okaleczonych mężczyzn, z jakimi miałem przyjemność skrzyżować miecze...

- Panie, nie możesz na jednym oddechu śpiewać o krwawych bitwach i swojej pani.

- Dlaczego nie? - obruszył się Robin. - Nie gardź jej odwagą, człowieku. Znalazłbyś gorszych obrońców niż moja Anne.

„Moja Anne”. Mruganiem odpędziła łzy. Nigdy nie słyszała bardziej nieoszlifowanego wersu, choć przecież zdarzyło jej się nawet wysłuchać paru pieśni opiewających jej nieszczęsną osobę. Ten jednak poruszył ją do głębi.

- Jej oczy, panie - rzekł błagalnie Geoffrey. - Powiedz coś o jej oczach.

- No cóż, ma dwoje...

- O ich kolorze! - wykrzyknął Geoffrey. - Pochwal ich kolor! Porównaj je do berylu, morskogo wybrzeża, rzadkich i cennych klejnotów! Użyj wyobraźni!

Na jakiś czas zapadła cisza, aż Anne zastanawiała się, czy jej mąż właśnie nie dobywa ostrza. Potem Robin odkaslnął.

- Jej oczy... - zaczął powoli. - Kolor jej oczu przywodzi na myśl... hmm... - Umilkł na dłuższą chwilę, po czym nagle rozbrzmiało triumfalne tupnięcie nogą. - Przywodzi na myśl szalwią, a juści, szalwią, która zbyt długo leżała na słońcu.

Rozległ się odgłos nasuwający podejrzenie, że to Geoffrey pacnął się dłonią w czoło. Zgadza się, teraz Anne usłyszała jęk, którego z pewnością nie wydał jej mąż.

- Mówiłem, że nie mam głowy do poezji - bronił się Robin.

- Lutnia - odezwał się słabym głosem Geoffrey. - Skupimy się na lutni. Możesz, panie, śpiewać pieśni ułożone przez innych.

- Zatem skończyliśmy? - zapytał z nadzieją Robin.

- Tak - potwierdził Geoffrey. - Wątpię, by którykolwiek z nas zniósł dziś więcej ćwiczeń.

Otworzyły się drzwi, a zaraz potem rozległo się przekleństwo Robina.

- Babko, wystarczy na dzisiaj - oświadczył stanowczo.

- Czas na naukę ukłonów, wnuku. Pójdź ze mną.

- Nie - wycedził Robin. - Nie pójdę. Pokłonami nie zdobędę mej pani.

- A jak to zrobisz? Snując się za nią w tych buciorach? - zapytała zgryźliwie Joanna.

- Może i nie, natomiast kto wie, czy nie dokonam tego, okazując się najlepszym szermierzem w całej przeklętej Anglii! - odparował gniewnie Robin. - Idę przeto, pani, by na placu dążyć do tego! Za twoim pozwoleniem?

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, z czego Anne wywnioskowała, że Robin nie czekał na zgodę babki. Wstała z jękiem, zachwiała się na nogach i oparła ręką o ścianę. Nie minęło jedno uderzenie serca, kiedy odciągnięto kotarę i jej oczom ukazała się zmartwiona twarz Joanny.

- Złe się czujesz...?

Drzwi otworzyły się nagle i Anne ujrzała jedynie rozmazaną plamę zasuwanej pospiesznie kotary.

- Tak? - zapytała Joanna.

- Podjąłem decyzję - obwieścił Robin. - Ty i moja pani migiem stawicie się na placu. Będę się do niej zalecał na własny sposób, babko, a zacznę od zaprezentowania mej waleczności. Znajdź Anne, jeśli łaska, i przyjdźcie natychmiast, by patrzeć i podziwiać.

Po krótkim milczeniu Joanna odkaszklała.

- Wedle twojej woli, wnuku. Odszukam twoją panią i ją przyprowadzę.

Drzwi się zatrzasnęły, a zaraz potem drgnęła kotara. Nim wszakże Anne zdążyła się odezwać, Joanna odwróciła się, bowiem znów je otwarto.

- Dopilnuj, żeby się ciepło ubrała. I niech któryś z tych twoich strojnisiów choć raz przyda się na coś, przynosząc kilka koców.

Kiedy drzwi zamknęły się po raz kolejny, Anne odetchnęła z ulgą. Joanna odciągnęła kotarę. Pokręciła głową, patrząc na Anne.

- Niemożliwy chłopak.

- W istocie - zgodziła się z uśmiechem Anne. - Lecz lubię go takiego.

- Oczywiście, moja droga. - Joanna ujęła jej dłonie, także się uśmiechając. - Wytrwasz na tym zimnie? Obawiam się, że polecą głowy, jeśli zignorujemy jego rozkaz.

Przechodząc przez izbę, Anne skinieniem pozdrowiła Geoffreya. Ten tylko wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Przez chwilę Anne kusiło, żeby skontrolować odzienie i włosy, zmusiła się jednak, by przyjąć najlepsze, nie zaś najgorsze wyjaśnienie zachowania mężczyzny.

- O co chodzi? - zapytała.

- Jesteś, pani, jego żoną? - dociekał z niedowierzaniem Geoffrey. - Tak.

- On zaś umiał powiedzieć o tobie tylko tyle, że twoje oczy są koloru szafwii?

- Co takiego?! - wykrzyknęła Joanna.

- Najwyraźniej - potwierdziła radośnie Anne.

Geoffrey pokręcił głową.

- Ja ułożę dla niego tę pieśń, albowiem mam wiele do powiedzenia na temat twojej urody, pani. Twojemu panu brak wyobraźni.

- Akurat talentów artystycznych los mu poskapił - przyznała Anne. - Wszelako stara się jak może.

Joanna prychnęła.

- Miłość cię zaślepiła, Anne, i modłę się, żeby Robin pewnego dnia to docenił. A teraz pójdźmy, miejmy już tę przygodę za sobą. Nie nęci mnie wizja popołudnia spędzonego na taplaniu się w błocie, lecz proszę, czego to nie zrobimy, żeby zadowolić mężczyznę.

Anne ruszyła wraz z babką Robina do wielkiej sali, lecz zatrzymała ją przed drzwiami.

- Czujesz się zawiedziona? - zapytała.

- Zawiedziona? - powtórzyła Joanna. - Postępami Robina? Skądże, współpracował znacznie dłużej, aniżeli się spodziewałam. Musi cię ogromnie kochać, skoro przetrwał takie katusze.

Anne uśmiechnęła się lekko.

- Okazał się zadziwiająco uległy, bez względu na powód. Żal mi wszakże tamtego odzienia. Było nader wykwintne, a Robin dobrze się w nim prezentował.

Joanna prychnęła.

- Mnie także ta kwestia zasmuca, co mu atoli po wysmienitych ubraniach, jeśli i tak zniszczy je na deszczu? Słowo daję, Anne, nigdy nie uwolnisz się od błota i innych niespodzianek, jakie będzie wnosił na swoich butach.

- Moim zdaniem jego maniery się poprawiły - podsunęła Anne.

- Moja droga - rzekła Joanna, otaczając Anne ramieniem, żeby ją uściskać. - Staralam się jedynie przywołać go do rozsądku, jako że byłam pewna, że sam z siebie nigdy go nie odzyska. Zasługiwałaś na zaloty. Zalecanie się do ciebie jest prawem i obowiązkiem Robina, tym lepiej więc, jeśli robi to w sposób, jaki mu odpowiada. Jeśli udało mi się choć trochę przyczynić do tego, że szybciej przelamał swój upór i zabrał się do dzieła, czuję się ukontentowana.

Anne zaśmiała się krótko.

- Jesteś przebiegła, pani.

- A po kim, twoim zdaniem, Robin odziedziczył tę cechę, jeśli nie po mnie? - zapytała Joanna, unosząc brew. - Chodź, dziewczyno, ruszajmy, zanim sam po nas przyjdzie. Przy wszystkich swoich wadach bez wątpienia wysmienicie włada mieczem. Nie zmuszajmy go, żeby tego dowiódł, zapędzając nas szyćchem na miejsce.

Anne skinęła głową i udała się po płaszcz, po czym spiesznie zeszła do wielkiej sali. Joanna okutana w futra czekała na nią przy wyjściu w asyście mężczyzn dzwigających wygodne fotele, koce i jedzenie. Zdumiewające, że nikt nie niósł elementów niezbędnych do postawienia pawilonu.

- Skoro już musimy się tam znaleźć, niechże przynajmniej będzie nam wygodnie - wyjaśniła lakonicznie Joanna, kiedy Anne podeszła bliżej.

Anne ani myślała się spierać. Szła u boku babki Robina, starając się nie uwaląć błotem spódnic. Pokładała cichą nadzieję w tym, że jej ojciec okaże nieco rozsądku i przyśle tu resztę jej rzeczy. Nie było ich wiele, posiadała wszakże jeszcze kilka sukni, te zaś przydadzą się, jeśli będzie zmuszona regularnie pojawiać się na placu ćwiczebnym, żeby podziwiać swojego męża. Ostatecznie Robin zalecał się do niej na własny sposób. Świadomość tego natychmiast przywołała uśmiech na jej twarzy.

Robin krążył po placu wyraźnie porytowany, dopóki nie zobaczył, że nadchodzą. Zagapił się na postępujący za nimi orszak, po czym wzruszył ramionami. Chwilę później Anne siedziała w wygodnym fotelu, wspierając nogi na wyściełanym stołku, otulona kocami i futrami. Pod ręką miała stoliczek z przekąskami i kubkiem ciepłego wina.

Przemknęło jej przez myśl, że należałoby częściej zapraszać Joannę na północ.

- Chyba zdołamy jakoś przetrwać w tych prymitywnych warunkach - odezwała się Joanna, kręcąc głową.
- Wygodnie ci, moja droga?

Anne potaknęła radośnie, wspominając niezliczone godziny, jakie spędziła, obserwując trenującego Robina, i usiłując nie rzucać się w oczy. W tym celu zwykle kuliła się pod murem bądź przysiadła na niewygodnej ławce. Otoczona takim jak teraz luksusem mogłaby patrzeć na Robina przez cały dzień. Podejrzewała zresztą, że taki właśnie miał plan.

Spojrzała na plac i zamruwała ze zdziwieniem. Po lewej stronie stał samotnie Robin, wylamując palce i rozprostowując ręce nad głową. Naprzeciw niego zgromadziła się drużyna Artane złożona z ludzi jego i Rhysa. Anne zmarszczyła brwi. Czyżby zaplanował walczyć z nimi wszystkimi naraz? Godzinę później pojęła już, że zaplanował rozgromienie ich jednego po drugim. Wiedziała także, że takie dokonanie jak najbardziej leży w zasięgu jego możliwości.

Miecze fruwały w powietrzu. Mężczyźni wołali o pokój. Świeżo pasowani młodzieńcy błyskawicznie poznawali smak porażki, lecz także wojownicy o wielkim doświadczeniu w końcu musieli się poddać. Anne nie potrafiła oderwać oczu od swojego męża. Nie wypila wina, nie tknęła przysmaków, a podsuwane smakołyki odpychała z irytacją. Święci pańscy, ależ był urodziwy!

Kręciła głową zadziwiona, że taki mężczyzna należy do niej, nawet jeśli tylko formalnie. Niewykluczone, że gdyby wcześniej zdawała sobie sprawę z waleczności Robina, nie docinałaby mu aż tak śmiało. Był niezmordowany. Gromił jednego przeciwnika po drugim, nie zostawiając sobie choćby chwili na zaczerpnięcie oddechu. Przeważał nad wszystkimi sprytem, jako że ani razu nie dał się wciągnąć w pułapkę mającą na celu wytrącenie mu miecza z dłoni. Nikt też nie dorównywał mu umiejętnościami, albowiem żaden mąż nie pokonał go tego bardzo długiego popołudnia.

Kiedy kolejka przeciwników się skończyła, Robin dla czystej rozrywki ze śmiechem wyrzucił miecz w górę.

Anne obawiała się, że nigdy nie otrząśnie się z wrażenia, jakie wywarł na niej ten widok.

Robin złapał miecz, odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył w ich stronę. Wbił ostrze w ziemię u stóp babki i spojrzał na nią, dysząc ciężko.

- To właśnie, babko, robię najlepiej - oświadczył wyniośle. - Czy masz mi teraz coś do zarzucenia?

- Oczywiście, że nie, Robinie kochany - odparła pogodnie Joanna. - Nigdy nie miałam.

Robin posłał jej chmurne spojrzenie, po czym przeniósł wzrok na Anne.

- A ty, pani? Co sądzisz?

Anne z trudem przełknęła ślinę.

- Sądzę, panie, żeś jest...

- Tak? - ponaglił.

- Wspaniały - dokończyła, zastanawiając się, czy wygląda tak lubieżnie, jak się czuje.
Święci pańscy, najchętniej zerwałyby się z miejsca, opasała ramionami jego spocone ciało i zażądała, by wziął ją tu i teraz. Robin zamrugał zaskoczony, lecz szybko się otrząsnął.

- Słowo, którym sam bym siebie opisał - rzekł. - A teraz, moje panie, pójdźmy wieczerzać. Przydadzą się wam siły na jutro.

- Ach tak? - zapytała z wahaniem Joanna.

- Zaplanowałem coś dla was, kiedy już uporam się z moimi porannymi sprawami.

- Zaplanowałaś? - dociekała Anne.

- Będę was oczekiwał w komnacie ojca w porze nony. Nie spóźnijcie się.

- Czy zabawisz nas grą na lutni? - W głosie Joanny pobrzmiwała nadzieja.

- Ha! - rzucił wzgardliwie Robin. - Opowieściami o bitwach, babko! Rozlewie krwi! Zwycięstwach!

Na czole Joanny pojawiły się bruzdy.

- Będzie ekscytująco - obiecał Robin.

Anne nie potrafiła sobie wyobrazić niczego bardziej ekscytującego niż doświadczenia tego popołudnia, uznała wszakże, że zaczeka cierpliwie. Z Robinem nigdy nic nie wiadomo.

Rozdział 35

Edith stała w bramie, przyglądając się, jak całe towarzystwo rusza z powrotem do donżonu. Nie do wiary, że Joanna z Segrave pławi się w takim luksusie! Święci pańscy, nawet wizytując plac potyczek, korzystała z wygód, jakich Edith nie zaznała przez całe swoje życie.

Być może pozyska uwagę Robina, jeśli najpierw uderzy w staruchę.

Wytrzeła dłonie o nogawice, po czym spuściła wzrok i cicho zakłęła. Krew zbyt już zaschła, żeby dało się ją zetrzeć; usunie ją tylko solidne szorowanie, przy czym Edith będzie musiała poszukać wody poza murami warowni. Nie mogła wydobyć swoich ubrań z kryjówki w stajni ani też wejść do donżonu z zakrwawionymi dłońmi.

Polowała.

W ten sposób doskonaliła swoje umiejętności.

Wszelako króliki były marną zwierzyną, zbyt mało przebiegłą, by dostarczyć Edith prawdziwej rozrywki. Nie, do tego potrzebowałyby stworzenia o lepiej rozwiniętym sprycie. W trakcie pościgu za nim musiałaby zrobić większy użytek z własnego rozumu. Jednakowoż ten pościg mógł zaczekać.

Nie zależało jej na czasie. Była przecież kobietą wielkiej cierpliwości.

Zdąży zrealizować wszystkie swoje plany. Śmierć Maude była zaskoczeniem, lecz dziewczka nie zasługiwała na nic innego. Edith poleciła jej trzymać się z dala od ceremonii zaślubin, aczkolwiek podejrzewała, że Maude nie zdoła oprzeć się pokusie. Dziewka postąpiła krnąbrnie.

Zasłużyła na śmierć.

Teraz ta kwestia należała już do przeszłości. Obecnie Edith zamierzała skupić się na własnych planach. Dzisiejsze polowanie dostarczyło jej nowych pomysłów. Wszak czy i w jej grze nie chodziło o podkradnięcie się do zwierzyny, wypłoszenie jej z kryjówki, a potem szybkie i pewne zadanie śmiertelnego ciosu?

Podejrzewała, że tak właśnie jest.

Najpierw jednak wypadało umyć ręce.

Dzięki temu jej zwierzyna zgubi trop.

Rozdział 36

Robin susami pokonał schody i powędrował korytarzem do komnaty ojca. Do tej pory dzień był udany. Powiodło mu się na placu ćwiczebnym, w warowni panował spokój, niczego nie zniszczono ani nie skradziono, a teraz Robina czekało wolne popołudnie, które zamierzał poświęcić snuciu swoich ulubionych historii. Z każdym upływającym dniem życie stawało się lepsze. Ostatnimi czasy Anne uśmiechała się do niego nader często. Przypuszczał, że to dobrze wróży ich małżeństwu.

Wtargnął do komnaty ojca i z zadowoleniem skonstatował, że zarówno jego pani, jak i zdradziecka babka siedzą wygodnie, oczekując, by je zadziwił opowieściami o swoim męstwie na polu bitwy. Robin energicznie zatarł ręce.

- Od czego zaczniemy? - zapytał, zatrzasnąwszy stopą drzwi za sobą.

- Od wielkiego pucharu czegoś mocniejszego - odparła natychmiast babka. Zamrugła niewinnie. - Dla ukojenia naszej delikatnej natury, oczywiście.

Robin prychnął. Widział, jak jego babka żywcem obdziera ze skóry niejednego nieszczęsnego konkurenta do jej ręki, używając do tego celu wyłącznie ostrego języka. Z całą pewnością nie określiłby jej jako delikatnej.

Jednakowoż humor mu dopisywał, Anne sprawiała wrażenie uradowanej jego widokiem, Robin zaś miał całe popołudnie i wieczór na to, by wzbudzać podziw obu pań ulubionymi opowieściami bitewnymi. Dolewanie babce od czasu do czasu wina wydawało się niewygodną ceną za taką przyjemność.

Napełnił więc jej puchar, doglądnął ognia i odsunął na bok parę foteli, żeby zrobić sobie miejsce do spacerowania, wiedział bowiem, że snując zapierające dech w piersiach opowieści, nie zdoła usiedzieć na miejscu. Spojrzał na swoje słuchaczki, upewniając się, że skupiły na nim uwagę, po czym zakręcił młynka ramionami, strzepnął dłonie i kilkakrotnie przestąpił z nogi na nogę.

- Zaczniemy od Hiszpanii, dobrze? - zapytał.

Jego babka westchnęła.

Anne się uśmiechnęła, zaś Robinowi wystarczyła taka zachęta. Zerknąwszy na nią ponownie, przypomniał sobie, jak mówił jej o okropieństwach wojny, i krótko się zawahał. Albowiem jego waleczne dokonania miały także ciemną stronę, która często nawiedzała go w snach. Jakaś część Robina z chęcią nigdy więcej nie wzięłaby udziału w bitwie.

Niemniej bitwa to także chwata i trud, satysfakcja z rozgromienia wroga, z odniesionego zwycięstwa, naprawienia krzywd. Wyprostował się. O tym właśnie będzie mówił.

- Opowiem wam tedy o potyczce, w której uczestniczyliśmy z Nickiem w pewnym miasteczku pod Madrytem. W zasadzie nie powinniśmy byli się tam wcale znaleźć, lecz pogoda dopisywała, raczyliśmy się wysmienitym winem, a przy tym słyszeliśmy, że ta sprawa może nam przynieść nieco złota.

Tam również Robin znalazł kamień na pierścień dla Anne, niemniej o tym powie jej później, kiedy już trafi na odpowiednią chwilę, by jej go wręczyć.

- Naprawdę potrzebowałeś złota? - zapytała Anne.

Zamrugął ze zdziwieniem.

- Tak. Jak zawsze.

Patrzyła nań skonfundowana.

- Wszak masz rozległe ziemie.

- Owszem, lecz na to złoto sam zapracowałem. W pocie czoła.

- A nie robisz tego, chroniąc swoje włości?

Zanosilo się na bardzo długie popołudnie, jeśli jego historie miały spotykać się z takim odzewem. Zmarszczył brwi.

- To zupełnie co innego. Byłem po prostu kolejnym najemnikiem, nie zaś synem Artane'a.

Przez chwilę spoglądała nań w milczeniu, aż wreszcie uśmiechnęła się lekko.

- Rozumiem.

Babka pociągnęła solidny łyk wina, a Robin, obserwując ją, pomyślał, że ona także go rozumie.

- Bardzo to głupie, jeśli chcesz znać moje zdanie, lecz mężczyźni pozostaną mężczyznami - rzekła zgryźliwie Joanna. - Do dzieła, wnuku. Te stare uszy nie zniosą wielu bitewnych opowieści w ciągu jednego dnia.

Natomiast mogą godzinami słuchać brzdękania strun i cudzych pisków, pomyślał z sarkazmem Robin. Obrzucił babkę przeciągłym, chmurnym spojrzeniem.

- Byliśmy w Hiszpanii - podjął.

Kiedy uporał się z tą potyczką, zabrał się do bitew. Opisywał zdarzenia wiernie, jako że nie było potrzeby upiększania czy pomnażania jego dokonań. Czyny Robina mówiły same za siebie, a on relacjonował je z największą pokorą, na jaką umiał się zdobyć.

Później przerzucił się na dykteryjki o aroganckich rycerzach, którym utarło nosa, głupich panach, których spotkało upokorzenie, i przebiegłych oberżystach, którzy trafili na sprytniejszych od siebie. Następnie zaczął opowiadać o najwspanialszych starciach i najśmielszych eskapadach. Popołudnie zamieniło się w wieczór.

Robin na chwilę zaprzestał spaceru, żeby ocenić wrażenie, jakie wywarła na słuchaczach jego najbardziej jak dotąd ekscytująca opowieść.

Głowa Joanny spoczywała na oparciu fotela, a pomiędzy jej warg od czasu do czasu wymykało się ciche chrapnięcie. Jego czcigodna małżonka nie spała - jeszcze nie. Przyglądał się, jak Anne tłumi potężne ziewnięcie, a po chwili zdaje sobie sprawę, że jest obserwowana.

- Interesujące - powiedziała, kiwając głową. - Zapiera dech w piersiach. Naprawdę. - Uśmiechnęła się zachęcająco.

Robin zasznurował usta, dając do zrozumienia, że nie wierzy w jej zaangażowanie.

Z drugiej strony, wszak uśmiechała się i słuchała go z miłym - nawet jeśli odrobinę sennym - wyrazem twarzy. Nie powinien narzekać.

Westchnął i przyciągnął sobie stołek, żeby usiąść przed nią. Być może wystarczy już tych krwawych historii. Zyskał chwilę sam na sam ze swoją panią i winien mądrze ją wykorzystać. Babka chrapała miarowo, lecz cichutko, nie groziło mu więc, że ich samozwańcza przyzwoitka spojrzy znacząco, jeśli Robin popełni jakąś niedopuszczalną gafę. Spojrzał na swoją panią nieco zaskoczony, że czuje się w jej obecności tak swobodnie. Bez wątpienia zobaczyła go od najgorszej strony - ustrojonego piórami i przeróżnymi błyskotkami - wszelako nie wysmiała. Przydepnął jej palce u stóp tyle razy, że starczyłoby na dwadzieścia tańców, jednak nadal wydawała się rada jego towarzystwu.

Mimo to, mając ją teraz dla siebie, Robin nie bardzo wiedział, co począć. Nawet jemu snucie kolejnych opowieści z pola bitwy wydawało się odrobinę niestosowne. Łamał sobie głowę w poszukiwaniu inspiracji. Przyglądał się, jak Anne wierci się w fotelu, i nagle olśniło go, jak może ją rozbawić. A przynajmniej pokazać jej, że myślał o niej przez te lata. Ostatecznie, czyż pomszczenie jego pani nie było czynem iście szlachetnym? Nastal chyba czas, by się o tym dowiedziała.

- Anne - rzekł.

- Tak?

- Pamiętasz Petera z Canfield?

Zawahała się, po czym jej twarz przybrała całkowicie obojętny wyraz.

- Tak - odparła ostrożnie.

Nic dziwnego, że go pamiętała. Mniejsza o to, że chodziło o brata Maude, choć akurat o niej Robin wolałby nie rozmawiać. Peter zamknął kiedyś Anne w stajni i urągał jej, aż wpadła w histerię. Robina przy tym nie było, usłyszał jednak o sprawie od jednego z obecnych przy zdarzeniu bliźniaków. Kilkrotnie pogromił później Petera na placu ćwiczebnym, wydawało mu się to wszakże niedostateczną karą. Szczęśliwie nadarzyła się kolejna okazja do rewanzu.

- Spotkałem go trzy lata temu na turnieju we Francji - zaczął. Milczała.

- Pewnie zainteresuje cię wiadomość, że pokonał go na kopie i zatrzymał dla okupu. Wziąłem, oczywiście, całe jego złoto, konia i kolczugę.

- Oczywiście.

- Pozwoliłem mu jednak zachować namiot.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Miło z twojej strony.

- A jakże. Kiedy spał w tymże namiocie, na środku placu potyczek, nie znalazł bowiem nikogo, kto pomógłby mu go przestawić, jako że jego giermek i reszta świty dostali takie cięgi od moich chłopców, że nie byli w stanie się ruszyć, zakradłem się do środka i zabrałem wszystkie ubrania, jakie mu pozostały.

- Nie zrobiłeś tego.

- Zrobiłem - potwierdził figlarnie Robin. - Nie zostawiłem mu nawet nitki.

Milczała wyczekująco.

- Nazajutrz na trybunach pojawiło się wielu szlachetnie urodzonych. Jako człek nader sumienny, rozgłosiłem, że tego ranka należy się spodziewać niezłej rozrywki, zatem kto żyw w okolicy powinien stawić się na miejscu jak najwcześniej, żeby niczego nie przeoczyć.

Roześmiała się.

- Och, Robinie...

Mimo woli także się uśmiechnął.

- Jak możesz sobie wyobrazić, trybuny były pełne, kiedy Peter, potykając się, wyszedł nagi z namiotu. Przepędzono go śmiechem z placu, a potem z Francji. Od tamtej pory nie odważył się pokazać na turnieju.

Anne pokręciła głową.

- Jesteś niepoprawny.

- Robię, co w mojej mocy, żeby bronić prawdy i sprawiedliwości - odparł łagodnie. - Przypuszczam, że rozbawi cię też opowieść o losie Rolonda z Berkhamshire. Pamiętam, że był prawym tudzież szlachetnym młodzieńcem.

W istocie Rolond należał do grona najgorszych. Robin wiele razy słyszał, jak wyzywał Anne od szpetnych. Przynajmniej w tej chwili nadal się uśmiechała. Wtedy nie było jej do śmiechu.

- Pamięć zawodzi mnie w kwestii jego charakteru, lecz wierzę ci na słowo - powiedziała. - Jakież to nieszczęście sprowadziłeś na jego biedną duszę?

- Mniej więcej rok temu - zaczął Robin - przez krótki czas przebywałem na dworze, zgodnie z oczekiwaniami pochlebając królowi i zabiegając o jego względy, kiedyś się przypadkiem dowiedział, że Rolond ze swoją pulchną małżonką, Alice, także przybyli z wizytą. Wypada też wspomnieć o jego kochance, Marcie, którą ulokowano w sąsiedniej izbie.

Wstrzymała oddech.

- Nie poważyłeś się.

Robin uśmiechnął się skromnie.

- Tak się zdarzyło, że zobaczyłem Rolonda, kiedy wchodził do izby kochanki. Zatraskany o los jego nieśmiertelnej duszy, spieszyłem poszukując słuźącego i posłałem go, żeby poinformował Alice, że jej mężowi grozi pogrążenie się w otchłani grzechu.

Anne przyglądała mu się z uśmiechem.

- Jakże troskliwie z twojej strony.

- A owszem - zgodził się. - Słuźący nie zwlekał z przekazaniem wieści. Ledwie chwilę kryłem się w niszy, com czynił, oczywiście, jedynie żeby się upewnić, że dobrze wypełniłem swój chrześcijański obowiązek, kiedy nadeszła lady Berkhamshire, miotając gromy, w swej furii podobna aniołowi zemsty. Nie zawracała sobie głowy pukaniem, lecz po prostu wtargnęła do środka. Uratowała swojego małżonka ze szponów kobiety upadłej, wywlekając go z izby z nogawicami opuszczonymi do kolan i dłońmi nadal w takiej pozycji, jakby zaciskały się na wydatnych pośladkach kochanki.

- Nie wierzę, żeś to zrobił!

Uśmiechnął się.

- Mój udział ogranicza się do roli szpiega i opowiadacza. To lady Berkhamshire dostarczyła całej rozrywki. Z tego, com później słyszał, od tamtej pory nasz drogi lord Berkhamshire nie opuścił murów swojej warowni. Najwyraźniej małżonka rządzi nim żelazną ręką.

Anne odchyliła głowę na oparcie fotela i uśmiechnęła się do niego.

- Sprowadzasz na ludzi potworne kłopoty, lordzie Artane.

- Mam w zanadru jeszcze kilka historii, jak sądzę, równie zabawnych, jeśli tylko życzysz sobie, abym przedłożył je twojej ocenie.

- Panie, jesteś niezwykle szarmancki.

Jego uśmiech nieco zbladł.

- To minie.

- Nie szkodzi.

Westchnął.

- Nie lubię odgrywać czarującego dworzanina, Anne. Jak zapewne zdążyłaś się zorientować.

- Robinie, dlaczego sądzisz, że tego właśnie chcę? Nie zniosłabym mężczyzny, który afektem maskowałby pustkę. Nie pojmuję, dlaczego tacy mężowie cieszą się atencją.

Spróbował zapanować nad zaskoczeniem.

- Z pewnością pragniesz szarmanckiego rycerza. Każda kobieta takiego pragnie.

- Do tej pory galanterii zaznałam jedynie od pewnego chłopca, kiedyś była jeszcze dzieckiem. Później i tak nie widziałam dla niej zastosowania. - Spojrzała mu prosto w oczy. - W miłości chodzi o coś więcej niżli tylko o galanterię, Robinie.

Nie wierzył własnym uszom, lecz na jej obliczu nie doszukał się nawet sugestii żartu. I kogo miała na myśli, mówiąc o szarmanckim chłopcu z czasów dzieciństwa? Wszak z pewnością nie jego. A może jednak?

Robin spojrzał na jej splecione na podolku dłonie. W nagłym odruchu zamknął jedną z nich w swoich. Oczywiście robił to już wcześniej. Nigdy dotąd jednak nie trzymał ręki Anne ze świadomością, że należy do niego, że jego przywilejem jest cieszyć się takimi prostymi przyjemnościami małżeństwa. Wziął głęboki oddech.

- Anne, muszę cię przeprosić za wiele rzeczy.

- Znowu? - spytała zaskoczona.

Nachmurzył się. Reakcja Anne nie była szczególnie zachęcająca, choć z drugiej strony, jego przewiny były na tyle liczne, że chyba zasłużył na taką karę. Szybko zerknął na babkę, upewniając się, że nadal śpi, i znów utkwiał wzrok w swojej pani.

- Złe cię traktowałem - rzekł, gromadząc całą swoją odwagę.

- Doprawdy? - zapytała. - Kiedy?

Spróbowała unieść jedną brew, lecz w górę powędrowały obie. Prawie się uśmiechnął, kiedy pomogła sobie palcem.

- Kpisz sobie ze mnie - rzekł z przyganą.

- A ty się korzysz. To bardzo niepokojące.

- Anne, mówię poważnie. Z młodego półgłówka przemieniłem się w dorosłego głupca.

Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się lekko.

- Chyba rzeczywiście chętnie tego posłucham. Kontynuuj, proszę.

Nie okazywała Robinowi ani jego wyznaniu należytego szacunku. Spiorunował ją wzrokiem, zastanawiając się, czy przeprosiny się liczą, jeśli w trakcie ich wygłaszania przepraszanego wielce kusi, żeby udusić przepraszaną.

- Mogę przestać - burknął.

Pokręciła głową, nadal leciuteńko uśmiechnięta.

- Nie, Robinie, rada przyjmę twoje przeprosiny. Atoli nie ty jeden zawiniłeś.

Odechrząknął.

- Możesz pójść w moje ślady, kiedy skończę. Najlepiej wyrzucę to z siebie szybko, dopóki jeszcze potrafię.

- Zatem, naturalnie, kontynuuj, panie.

Znów spojrzął na nią wilkiem, niejako z przyzwyczajenia, po czym skoczył na głęboką wodę, nim duma zamknęła mu usta.

- Odwróciłem się od ciebie w młodości...

- Dlaczego, Robinie?

Niech ją diabli. Nigdy nie skończy, jeśli ona nie przestanie mu przerywać.

- To nieistotne...

- Moim zdaniem bardzo istotne - stwierdziła. Patrzyła nań wyczekująco. - Dlaczegoś się ode mnie odwrócił?

Rozpoczął spacer po komnacie, nim w ogóle uzmysłowił sobie, co zamierza jego ciało. Zaraz wszakże dotarło do niego, że Anne nie będzie go przecież ściagać, żeby wydusić zeń prawdę, wrócił tedy i stanął przed nią. Zerknął na babkę.

Nadal spała.

Rozejrzał się w poszukiwaniu bardziej intymnego miejsca, gdzie mógłby wyrzucić z siebie ów mroczny sekret.

Jedynym sensownym wyborem wydawała się wnęka okienna. Tonęła w mroku, lecz to tym lepiej. Robin pomógł Anne wstać, poczekał, aż pewnie stanęła na nogach, po czym poprowadził ją do wnęki i usiadł obok niej na ławie. W ciemności ujął jej rękę i zamknął w swoich dłoniach. Milczała, uściśnęła wszakże jego rękę. Odetchnął głęboko. Serce zaczęło tłuc mu się w piersi, w kończynach czuł mrowienie. Święci pańscy, nie doświadczał podobnych doznań nawet przed najcięższą bitwą! Aż nie wierzył, że konieczność zrelacjonowania tak prostego, głupiego zajścia do tego stopnia go zdenerwowała.

Anne oparła głowę na jego ramieniu.

- Robinie, może to dla ciebie nadal zbyt świeże - szepnęła. - Jeśli mówienie o tym sprawia ci taką przykrość, nie nalegam.

Pokręcił głową.

- Nie - zaczął, lecz głos mu się załamał. Odkasznął. - Nie - powtórzył. - Zaslugujesz na to, by poznać prawdę. Zachowałem się wtedy jak głupiec i nie powtórzę tego błędu. - Sapnął. - Zdarzyło się to pewnego ranka w pobliżu chaty uzdrowiaczki. Szłaś przez dziedziniec do wielkiej sali. Powinienem być cię eskortować. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

- Leżałeś w łóżku, zmożony gorączką, Robinie. Cud, żeś nie umarł.

Jej ręka zatrzepotała między jego dłońmi, lecz rychło znieruchomiała.

- Tak, no cóż, jakkolwiek był powód - ciągnął - obserwowałem cię i widziałem... ehm... widziałem...

- Mów śmiało, Robinie. Nie zasmucisz mnie.

- Dokuczali ci, Anne - rzekł, czując przyływ gniewu na to wspomnienie. - Grupa młodzieńców, którzy powinni mieć więcej rozumu. Zwłaszcza jeden z nich.

- Baldwin.

Robin zazgrzytał zębami.

- Ojciec wciągnął cię do środka. Wyzwałem Baldwina, żeby cię pomścić.

- Och, Robinie - rzekła cicho. - Nie miałam o tym pojęcia.

- Tak, no cóż, niewiele jest tu do opowiedzenia. Złoił mi skórę za moją śmiałość, a potem złamał dwa palce Nickowi, który także go wyzwiał. - Urwał na chwilę, po czym znów głęboko odetchnął. - Pozostawił mnie czołgającego się w błocie.

Anne milczała. Robin czekał na jej reakcję, lecz zapewne wstydziła się za niego tak bardzo, że załowała, iż nie poślubiła kogoś innego. Pod żadnym pozorem nie powinien był jej o tym mówić...

- To wszystko?

Zamrugnął zdziwiony.

- Czy to wszystko? - powtórzył. Poczul, że podniosła głowę z jego ramienia.

- Tak. Czy to wszystko?

- Wyśmiał mnie!

- Robinie, on naśmiewał się z każdego - powiedziała wielce skonfundowana.

- Poniżył mnie na oczach innych chłopców!
- Ale co to ma wspólnego z tym, żeś mnie odtrącił? - zapytała, nadal takim tonem, jakby nie ogarniała głębi jego wstydu.

- Poniżył mnie!

- A mnie spotkała za to kara?

- Anne, do diabła - warknął Robin. - Nie chciałem, żebyś ty także się ze mnie śmiała!

W mroku widział zarys jej twarzy. Kręciła głową.

- Myślałam, że to ja zrobiłam coś nie tak - odezwała się cicho.

- Postanowiłem nie dać ci na to szansy - rzekł ponuro Robin.

- Tyle czasu, tyle lat straconych z powodu Baldwina. Święci pańscy, Robinie, potwornie wszystko zagmatwaliśmy.

- My? - rzucił gwałtownie. - To ja byłem głupcem.

- Mogłam zapytać, co cię trapi.

Zazgrzytał zębami.

- Pytałaś, Anne. Po wielekroć.

Uśmiechnęła się. Nie dowierzał własnym oczom.

- Dobrze tedy, byłeś głupcem - odezwała się łagodnie. - Wybaczam ci tę przewinę. Teraz możesz przeprosić mnie za to, żeś tak długo przebywał poza domem. Zakładam, że powód był ten sam. - Poczul, że nagle zeszywniała. - To znaczy... chciałam rzec, żeś ani chybi miał bardzo dobry powód, by się wałęsać po świecie. - Zawahała się. - Wątpię, żeby miało to cokolwiek wspólnego ze mną.

Robin chętnie zapytałby ją, jak taka głupia myśl mogła w ogóle przyjść jej do głowy, lecz przecież dokładnie wiedział, skąd jej się to wzięło. Przez lata dostarczył jej licznych powodów przemawiających za takim wyjaśnieniem. Wstał, pociągnął ją na nogi i otoczył ramionami. Oparł policzek na jej miękkich włosach, zamykając oczy.

Niewiele brakowało, a by się rozplakał.

- Anne - rzekł, krzywiąc się, gdy głos mu się załamał. Święci pańscy, jeśli nie odzyska choć odrobiny samokontroli, ona uzna go za skamlącego idiotę. - Anne - spróbował znowu - nie było dnia, żebym o tobie nie myślał.

Wstrzymała oddech, a później pociągnęła nosem. Robin miał nadzieję, że nie płacze dlatego, że wiadomość zraniła jej uszy.

- Powinienem być cię poślubić od razu, kiedym zdobył ostrogi - rzekł cicho. - Powinienem być wrócić do domu, zażądać cię od twego ojca i pojąć za żonę już wówczas. Zmarnowałem pięć lat i żałuję tego z całego serca. - Umilkł na chwilę, uderzony nieprzyjemną myślą. - Chyba że... - podjął z wahaniem - chyba że ty byś mnie nie zechciała.

- Robinie de Piagecie, jesteś głupcem.

Płakała. Objęła go, Ignąc do niego, jakby tylko dzięki niemu potrafiła utrzymać się na nogach. Albo jakby był jej bardzo drogi.

Wybrał drugie wytłumaczenie. Przygarnął ją, zamykając w bezpiecznym uścisku. Chciał wyznać jej miłość. Równie mocno pragnął poderwać ją z ziemi i zanieść do sypialni, gdzie ani chybi doszliby do porozumienia w kilku innych kwestiach. Ostatecznie była jego żoną. Rozległo się prychnięcie, kaszel, a następnie cichy tupot stóp na podłodze.

- Dzieci, dzieci! - zawołała Joanna. - Gdzie się podziewacie?

- Niech ją licha - wymamrotała Anne.

Robin prychnął.

- Zgadzam się całkowicie. - Odkaszlnął znacząco. - Oddalimy się teraz do sypialni, babko.

- Wykluczone - oświadczyła Joanna. - Przyrowadź Anne z powrotem, chłopcze. Musi odpocząć. Na pewno znajdziesz dla siebie jakieś wygodne łoże. Chodźcie tutaj. Tam jest dla niej stanowczo za wiele przeciągów.

Robin z przyzwyczajenia posłuchał, po czym zarył stopami w podłogę kilka kroków od babki. Spojrzawszy na Anne, odkrył, że unika jego wzroku.

- Jesteśmy małżeństwem - oznajmił dobitnie.

- Czyś zalecał się do niej jak należy? - zapytała surowo Joanna.

- Cóż...

- Nie sądzę - stwierdziła. Wstała, chwyciła Anne za rękę i ruszyła ku drzwiom. - Będę dziś spać z Anne, dla jej bezpieczeństwa. A ty, kochany, poświęć jeszcze trochę taneczne kroki, zanim udasz się na spoczynek.

Anne obejrzała się na Robina, robiąc wielkie oczy, lecz najwyraźniej nie umiała się uwolnić. Robin przyglądał się z chmurną miną, jak jego oblubienica zostaje wywleczona z komnaty. Potem drzwi się zatrzasnęły. Zgrzytnął zębami.

Usiadł, przeklinając, wyciągnął przed siebie nogi i zmarszczył czoło. Jaka kara grozi za zbrojne odbicie ukochanej z rąk własnej babki?

Przypuszczał, że i bez tego lista jego grzechów jest dosyć długa, zrezygnował zatem z pomysłu. Babka po raz ostatni pokrzyżowała mu plany. Wszystko wskazywało na to, że jeśli chce mieć Anne dla siebie, musi wyrwać ją z niecznych szponów Joanny.

Pogładził się po brodzie, dumając nad tym, czy nazajutrz pogoda dopisze na tyle, by można się było wybrać na małą wycieczkę.

Rozdział 37

Anne obudziło energiczne pukanie do drzwi. Zamrugła, usiadła i potrząsnęła głową. Och, nie, nie po raz drugi.

Potem uzmysłowiła sobie, że dzieli łóżce z babką Robina, a Robin spędził tę noc święci pańscy wiedzą gdzie, zaś ojcowie ich obojga spali sobie błogo w odległym Fenwyck. Czyżby jacyś zbójcy szturmowali warownie? W takim wypadku ani chybi dobijano by się do drzwi bardziej zapamiętałe. Anne ziewnęła, gdy tymczasem łomotanie przeciągało się w najlepsze. Lady Joanna spała jak zabita; Anne zaniepokoiłaby się o nią, gdyby nie fakt, że staruszka chrapała wielce żywiołowo. Wstała cicho, otuliła się płaszczem i podeszła do drzwi.

- Tak? - spytała, otwierając je.

Przed nią stał Robin z wyrazem zdecydowania na twarzy.

- Ubierz się, pani. Mamy plany na dzisiaj.

Zdusiła ziewnięcie.

- Plany?

- Owszem, przy czym nie uwzględniają one mojej babki, postaraj się przeto jej nie zbudzić.

Anne przeszły dreszcz; podejrzewała, że to nie strach go wywołał. Natychmiast poczuła się w pełni rozbudzona.

- Tylko my dwoje?

Robin spochmurniał.

- Czy ta myśl zdaje ci się odpychająca?

- Och, nie - wykrztusiła.

Odchrząknął.

- Tedy się pospiesz. I ubierz się ciepło. Poczekam na dole.

Cicho zamknął drzwi. Anne stała, wpatrując się w nie niczym w jakieś szczególne zjawisko. Robin z Artane oznajmił jej właśnie, że zamierza mieć ją dla siebie przez cały dzień. Sam na sam. Bez przyzwoitki.

Nieistotne, że był jej mężem. Nieistotne, że ostatnimi czasy cierpiał rozliczne katusze, żeby ją zadowolić. Fakt, że chciał być z nią sam, właśnie z nią, przekraczał zdolność pojmowania Anne. Drzwi otworzyły się nagle i Robin zerknął do izby.

- Nie słyszę, żebyś się krzątała - wyjaśnił.

Uśmiechnąwszy się do niej, szybko znów zamknął drzwi.

Anne zastanawiała się, czy zdąży się odziać, nim osunie się zemdlona na podłogę. Sam na sam z nim, wystawiona na jego uśmiechy?

Święci pańscy, czegoś takiego się nie spodziewała.

Potrząsnęła głową, starając się odzyskać jasność myśli, po czym zaczęła szukać ubrań. Jako że nie miała pojęcia, co Robin zamierza, starała się być zapobiegliwa. Żywiła cichą nadzieję, że jego koncepcja przyjemnego dnia nie obejmuje dłuższego pobytu na placu ćwiczebnym, niemniej na wszelki wypadek wzięła buty z cholewkami.

Kiedy wreszcie była gotowa, odetchnęła głęboko, wyprostowała się i otworzyła drzwi. Po co się guzdrać? Robin i tak by po nią przyszedł.

Aczkolwiek przyznawała, że ta wizja wydaje się całkiem nęcąca.

Zamknęła za sobą drzwi, podniosła wzrok i... pisnęła. Robin z rękami splecionymi na piersi stał ze zmarszczonymi brwiami oparty o ścianę naprzeciwko. Najwyraźniej nie zaplanował wizyty na placu, nie założył bowiem koczugi. Odepchnął się od ściany i wyprostował. Patrząc nań, Anne poczuła się dziwnie mała i krucha. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Tak będzie dobrze? - zapytała, unosząc odrobinę suknię, by mógł się jej przyjrzeć.

- A jakże - odparł, ujmując ją za rękę. - Doskonale. - Uniósł jej dłoń do ust, lecz zamarł z marszem na czole. - Całuję? - zapytał z irytacją. - Czy nie całuję? Słowo daję, że ci lalusie kompletnie namieszali mi w głowie.

Jakież byłby sens teraz ugryźć się w język? Przez całe życie Anne ostrzyła go sobie na tymże mężczyźnie, powinna zatem wytrwać przy raz obranym kursie. Robin jeszcze by się zaniepokoił, gdyby przestała mówić to, co myśli.

- Całuj - oświadczyła.

- Tak sądzisz?

- Zdecydowanie tak.

Posłuchał.

Poczuła na wierzchniej stronie dłoni mrowienie, które wspięło się po jej ramieniu aż na tył głowy. Zadrżała. A Robin się uśmiechnął.

- Pomyśl tylko, co tracą ci głupi dworzanie - powiedział.

- Jak również ich wybranki.

- Aczkolwiek zabiłbym każdego, kto ośmieliłby się poczynić sobie tak śmiało z tobą - dodał.

- Jesteś barbarzyńcą, panie.

- Lecz czy ci się nadam?

- Idealnie - odparła bez wahania.

Robin przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, po czym spojrział ponad jej głową na zamknięte drzwi i naszył się.

- Ach, do diabła z nią - mruknął.

To rzekłszy, pociągnął Anne za rękę korytarzem. Nie śmiała spekulować, dlaczego żywi taką wrogość wobec własnej babki, lecz najwyraźniej było to związane z faktem, że Joanna zajęła jego sypialnię. Albo raczej jego łóżko.

Ta myśl wydała się Anne niemalże zbyt lubieżna, żeby ją rozpatrywać, nawet uwzględniając ostatnio frywolny stan jej umysłu. Skoro jednak Robin jest jej mężem, ona zaś ma więcej odwagi niż każdy doświadczony w bojach rycerz, z którym on walczył - wedle jego, nie jej słów, które wszakże niezmiernie przypadły jej do gustu - nie powinna oszukiwać się w kwestii własnych uczuć do nie - Albowiem jego pocałunek pozostawił po sobie zaiste niezatarte wrażenie.

Podobnie jak wyznania minionej nocy. Anne nie mogła wprost uwierzyć, że bzdurna konfrontacja z Baldwinem odebrała im tak wiele lat. Spoglądając teraz wstecz, w pełni rozumiała zachowanie Robina. Odkąd go znała, pragnął dowieść, że jest godzien miłości Rhysa. Obawa przed porażką i związaną z nią hańbą nieustannie pchała go poza granice możliwości.

Nie miało znaczenia, że Robin dopiero co wydobrzył po długiej chorobie. Upokorzenie na oczach rówieśników było druzgocące.

Pomyśleć tylko, że to opinia Anne liczyła się dla niego najbardziej. Dureń.

Westchnęła, zstępując w ślad za Robinem z ostatniego stopnia dzielącego ją od wielkiej sali. Choć w wielce bolała nad tym, co oboje stracili, równie wielkim smutkiem napełniało ją cierpienie, jakiego doświadczył Robin. I po co? Żeby dowieść wyższości nad Baldwinem? To przecież nigdy nie ulegało wątpliwości. Żeby dowieść swojej wartości przed Rhysem? Nigdy żaden ojciec nie kochał syna równie mocno. Żeby dowieść, że jest jej godzien?

Wolałaby raczej, by jej nie odtrącił.

Jednakowoż te sprawy odeszły już w przeszłość. Kiedy prowadził ją za rękę przez wielką salę, Anne odnosiła wrażenie, jakby tych smutnych lat nigdy nie było, tak ogromną radość czerpała z bieżącej chwili. Robin należał do niej, ona do niego, i nic więcej się nie liczyło.

Podejrzewała nawet, że Robin spotka się ze swoim ojcem, nim minie zima. Owszem, Rhys wściekł się na syna, lecz zarazem przecież pchnął go do ołtarza, ponieważ wiedział, że Robin tego właśnie pragnie w głębi serca.

Czy sam Robin nie wyznał jej minionej nocy, że powinien był poślubić ją wcześniej?

Co się zaś tyczy Anne, jej serce zawsze należało do niego. Podziękuj Rhysowi, kiedy tylko znów go zobaczy, i wymierzy mężowi prztyczka w ucho, jeśli nie weźmie z niej przykładu.

Opuścili wielką salę i Robin zwolnił kroku, dopasowując się do jej tempa, kiedy zstępowali ze schodów na dziedziniec. Pomimo wypełniających Anne ciepłych myśli nie potrafiła opędzić się od pytania, czy Robinowi nie przeszkadza jej kalectwo. Spojrzała na niego.

- Przepraszam - powiedziała.

- Za co? - zapytał z powagą. Westchnęła.

- Że przeze mnie idziemy tak wolno.

Pokręcił głową.

- Nie ma powodu przepraszać. Dzięki temu mam mnóstwo czasu, żeby sycić oczy pięknym widokiem.

- Warownia twojego ojca jest zaiste wspaniała.

- Mówiłem o tobie - rzekł. - Aczkolwiek przyznaję, że Artane to cudowne miejsce. Jednakże na ciebie - ciągnął, spoglądając na nią z uczuciem - a już ci, na ciebie rad patrzyłbym całą wieczność.

Z trudem przychodziło Anne uwierzyć w zmianę, jaka w nim zaszła, lecz ani myślała się spierać. Uśmiechnęła się.

- Robinie de Piagecie, czy ty się do mnie zalecasz?

- Owszem - potwierdził radośnie. - Podoba ci się to?

- Ogromnie - przyznała.

Ścisnąwszy mocniej jej rękę, powiódł ją przez dziedziniec do miejsca, gdzie czekała grupka mężczyzn. Robin przystanął, spojrział na nią, po czym w zamyśleniu zmarszczył brwi.

- Zastanawiałem się, jak będzie ci wygodniej, lecz nie umiałem podjąć decyzji - rzekł wolno. - Wolisz własnego wierzchowca czy pojedziesz ze mną?

- Dam radę na własnym - odparła.

- A druga propozycja?

- Dobrze, jeśli tego sobie życzysz - powiedziała.

- Spróbuję cię nie upuścić - dodał.

- Będę wdzięczna.

- Na wszelki wypadek weźmiemy dla ciebie konia. - Ruchem głowy wskazał swoich ludzi. - Oni też jadą, oczywiście.

- Oczywiście.

Spojrzała na mężczyzn zajmujących się ekwipunkiem. Widziała ich wcześniej z Robinem. Patrząc na nich teraz, uznała, że wybrał na tę wyprawę najmniejszych spośród wojów, których przywiódł ze sobą z Francji.

- Byłoby ryzykownie zabierać cię poza warownię bez ochrony.

- Aczkolwiek ty byś mi w zupełności wystarczył - powiedziała.

- Być może, obawiam się atoli, że pewne sprawy pochłoną mnie na tyle, że nie będę w stanie poświęcać otoczeniu należytej uwagi.

Na szczęście chłodne, rześkie powietrze ugasiło ogień na jej policzkach, inaczej bowiem Anne kusiłoby, żeby się powachlować.

- Chłopcy znikną - ciągnął Robin. - Nawet się nie zorientujesz, że są w pobliżu.

Podniosła nań wzrok, marszcząc brwi.

- Przywykli do tego rodzaju sytuacji?

- Jeśli przez tego rodzaju sytuacje rozumiesz moje sekretne schadzki z kochankami, to nie - odparł, naśladując jej minę. - Natomiast bez wątpienia nawykli do przeprowadzania zwiadów. Nie przyniosłoby im korzyści pokazywanie się wrogowi, zanim cokolwiek odkryją, czyż nie?

Solenie przysięgła sobie w duchu, żeby nigdy więcej nie zakładać niczego z góry na temat swojego męża. Jej przypuszczenia ani chybi i tak rozminęłyby się z prawdą. Westchnęła.

- Przepraszam. Źle cię oceniłam.

- Niemądrze jest wierzyć plotkom.

- Teraz to widzę.

Nachylił się ku niej.

- Mam o wiele mniej doświadczenia, aniżeli mi się przypisuje - szepnął.

Spojrzała nań zaskoczona.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Wszelako...

- Zbyt mało przestawałaś z damami dworu, jeśli wierzysz ich przechwałkom. Cóż innego miałyby powiedzieć, skoro ilekroć udawałem się na spoczynek i zastawałem jedną czy drugą w moim łożu, wykopywałem taką z izby, nie nagradzając jej trudu choćby tylko pocałunkiem?

- Z wyjątkiem jasnowłosych dziewcząt, naturalnie - uzupełniła, rozważając, czy nie dostanie od Robina pięścią w nos za powtarzanie słów swojego ojca.

Przyjrzał się jej bacznie.

- Masz zadziwiający tupet.

- Jakże nudna bym ci się zdała, gdyby było inaczej. - Ucisnęła jego rękę. - Zostawmy w spokoju twoje kochanki, panie, bez względu na ich liczebność i kolor włosów.

- Z chęcią - wymamrotał, prowadząc ją do wierzchowca.

Wskoczy! na niskie siodło, tak że widać było, że Anne z łatwością zmieści się przed Robinem na kłębie. Miała nadzieję, że nie będzie jej niewygodnie.

Jeden z rycerzy podsadził ją, a Robin usadowił ją sobie w poprzek ud. Chwyciwszy wodze, cmoknął na konia.

- Coś ci dokucza? - zapytał.

- Zależy, jak daleko jedziemy - odparła.

- Wytrzymasz do plaży?

- Jedziemy nad morze? - Spojrzała nań zaskoczona. - Naprawdę?

- Pomyślałem, że sprawię ci tym przyjemność.

- Miałaś rację - powiedziała uszczęśliwiona.

- A jakże, z przyjemnością tam pospaceruję. Brakowało mi tego w tym roku.

Milczał, kiedy mijali zewnętrzną bramę i oddalali się od warowni. Anne przyzwyczaiła się do ruchów jego konia i cieszyła się, że znajduje się w objęciach Robina. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Wiesz - odezwał się cicho - nie mam innego zamku tak blisko morza. To znaczy, nie licząc jednego we Francji, lecz ten nie nadaje się do zamieszkania.

Zastanawiała się, co Robin usiłuje jej powiedzieć.

- I?

- Nie sądzę, żeby ojciec wyrzucił nas za bramy, niewykluczone wszakże, że przyjdzie nam spędzić trochę czasu poza Artane, z dala od morza. Czy będzie ci wtedy przykro?

Popatrzyła na niego.

- Co to ma za znaczenie?

- Oczywiście, że ma - odparł skonfundowany. - Nie chcę, żebyś czuła się nieszczęśliwa.
- Robinie, miejsce nie liczy się tak bardzo jak kompania.

Chrząknął w zadumie, lecz nie odpowiedział nic więcej. Anne spoglądała przed siebie, na plażę opadającą ku morzu, zachwycona pięknem widoku, czerpiąc dodatkową rozkosz z faktu, że podziwia go z bezpiecznego schronienia w ramionach męża. Jej mąż. Z trudem przyzwyczajała się do tego określenia, choć zarazem odnosiła wrażenie, że powinna była nazywać tak Robina od zawsze. Kiedy dotarli do wybrzeża, Robin wstrzymał wierzchowca i zsunął się z siodła. Zwierzę stało spokojnie, gdy wyciągnął ręce, pomagając Anne zsiąść. Rozejrzała się, ze zdziwieniem odkrywając, że nikt im nie towarzyszy.

- Twoi ludzie nadal tu są? - zapytała.

Skinął głową.

- Owszem. Sprawdzają okolicę. W takich zadaniach są najbardziej biegli, a przy tym lubią je wykonywać.

- A dla ciebie ta okoliczność jest istotna?

Uśmiechnął się z przekąsem.

- Niejeden powiedziałby, że ludzie winni po prostu słuchać rozkazów, przekonałem się wszelako, że większą korzyść wymaganie od podwładnych właśnie tego, do czego mają największy talent. Spotkał mnie ten luksus, że mam własną drużynę i środki na to, żeby dobrze ją opłacać. Wybrałem mężów stosownych do moich celów, a przy tym takich, którym owe cele odpowiadały.

- Cenią cię, jak sądzę - stwierdziła.

Wzruszył ramionami.

- Wątpię, czy rozważania nad tą kwestią spędzają im sen z powiek, przypuszczam wszakże, że są mi dostatecznie oddani. - Poprawił Anne płaszcz na ramionach, po czym ujął ją za rękę. - Dzisiaj jednak ich zadaniem jest popaść w zapomnienie, pozwólmy im tedy się z niego wywiązać. Przywiozłem cię tutaj, aby mieć cię tylko dla siebie.

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek przywyknę do słuchania takich deklaracji z twoich ust.

Westchnął.

- Zapewne kolejne przeprosiny...

- Nie - przerwała mu ze śmiechem. - Tych mi już wystarczy. Słowo daję, że jeszcze nie otrząsnęła się po poprzednich.

Zawahał się.

- Może, pani, powinniśmy zacząć od nowa?

- Co masz na myśli? - dociekała.

- Udajmy, że nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej i nie ciąży na nas żadne przykre wspomnienia.

- Czy tak się da? - zadumała się.

- Czy nie warto spróbować? Nie sądziła, by taka próba mogła się okazać bolesnym doświadczeniem, skinęła przeto głową.

- Chyba warto.

Przez chwilę spoglądał na nią z namysłem, aż wreszcie puścił jej rękę i wykonał gest, jakby ją odpędzał. - Idź na spacer.

- Proszę?

- Idź na spacer - powtórzył. - Brzegiem morza.

- Sama?

- Nic ci nie grozi, jeśli to cię trapi. Poza tym nigdy nie wiadomo, kogo spotkasz na opustoszałej plaży na północy kraju.

Zawahała się.

- Po piasku nie chodzi się zbyt łatwo.

Natychmiast zmarszczył brwi.

- Sprawci ci to ból?

- Zawstydy mnie.

Przewrócił oczami tak gwałtownie, że obawiała się, że nie odzyskają zwykłej pozycji.

- Święci pańscy, Anne, ta kwestia nie ma dla mnie znaczenia - rzekł srodze poirytowany. - Czy w żaden sposób nie zdołam cię o tym przekonać?

Uśmiechnęła się.

- Właśnie ci się to udało. - Odstąpiła od niego i pomachała mu lekko. - Wyruszam tedy na spotkanie z przystojnym, niebezpiecznym nieznanym.

Odechrząknął, splatając ręce na piersi. Anne odwróciła się i skierowała swoje kroki na północ. Piasek był tu gładki i szlachetny. Gdyby od morza nie ciągnęło tak przenikliwym zimnem, zzułaby buty. Szkoda, że nie świeci słońce, które nagrzałoby piasek. Anne spojrzała na szare, zasnucone chmurami niebo, zastanawiając się, czy przypadkiem dziś nie zmoknie.

Usłyszała tętent końskich kopyt. Obejrzawszy się, zobaczyła jadącego ku niej Robina z jej wierzchowcem na uwięzi. Zatoczył wokół niej spory łuk, po czym zawrócił zwierzęta, zatrzymał je i zeskoczył na ziemię. Podszedł do Anne, przystając dwa kroki od niej.

Ciekawiło ją, co by zrobiła, gdyby faktycznie go nie знаła. Przypuszczalnie osunęłaby się zemdłona na piasek.

Wiatr zdmuchnął mu z twarzy ciemne włosy, odsłaniając surowe rysy. Jego oczy przypominały barwę chmury nad ich głowami. Bez wątplenia Anne nigdy nie widziała przystojniejszego mężczyzny, choć przecież w swoim życiu napotkała ich wielu. Uśmiechnął się z powagą i pokłonił jej nisko.

- Nadobna pani, ujrzałem cię idącą brzegiem morza i dech mi zapało, a umysł mój uczeplił się twego piękna niczym ulotnego snu, nie mogłem tedy postąpić inaczej, jak tylko zatrzymać się i błagać, byś wyjawiała mi swe imię, abym odtąd nosił je w sercu.

Zamrugał, po czym na jego obliczu zagościł wyraz wielkiej konsternacji, jakby nie dowierzał, że te słowa padły z jego ust.

- Święci pańscy - rzekł zdumiony. - Ci lalusie mnie zdeprawowali.

Anne mimo woli parsknęła śmiechem. Nachmurzył się.

- Ach, widzę, pani, żeś zuchwała. Zapewne nie zdajesz sobie sprawy, z kogo się śmiejesz.

- Zaiste, nie - odparła, zdoławszy powściągnąć rozbawienie do zwykłego uśmiechu. - Aczkolwiek wyglądasz, panie, na męża nader gwałtownego.

- Twój wygląd zaś onieśmiela - odparł. Omiótł wzrokiem jej postać i zmarszczył brwi. - Utykasz, jak się zdaje.

Nie dopuściła, by uśmiech spłynął jej z twarzy, choć dokonała tego z trudem.

- Owszem.

- Stara bitewna rana?

- Można to tak określić.

Chrząknął.

- Sam mam ich wiele. Może później je porównamy? Teraz bowiem winienem zapoznać cię z mą rozkoszną osobą, byś oceniła, czy znajdziesz w niej upodobanie.

Śluchając, jak Robin bagatelizuje jej kalectwo, Anne zastanawiała się, czy umiałaby postąpić tak samo. Czemu nie? I tak tego nie zmieni.

Podobnie jak nie zmieni przeszłości, uzmysłowiła sobie nagle.

Robin miał chyba rację. Powinni zostawić bolesne sprawy za sobą i zacząć od nowa. Skoro on potrafił przejść do porządku nad jej chromą nogą, dlaczegoż nie miałyby w ten sam sposób potraktować głupstw, jakie popełnił w minionych latach? Podejrzewała, że nie byłoby to takie trudne. Wsunęła dłonie w rękawy płaszcza, czekając cierpliwie, aż Robin rozpocznie swoją grę.

- Robin de Piaget, do usług - rzekł, kłaniając się płytko. - Sprawnie władający mieczem, zdecydowanie gorzej radzący sobie z lutnią i stanowczo niezdolny do sklecenia przyzwoitej pieśni.

Roześmiała się cicho.

- W rzeczy samej.

- Ponadto nie tańczę. W każdym razie nie za dobrze - poprawił się natychmiast.

- Doprawdy?

- A jużci - potwierdził. - Niemniej posiadam kilka zalet, które mogłyby znaleźć uznanie w twych oczach.

- Wymień je tedy i pozwól mi dokonać oceny.

- No cóż - rzekł, gładząc się z namysłem po brodzie. - Mam piękne szare oczy.

- W istocie.

- Jestem rozsądny...

- Ach tak?

- Tolerancyjny - kontynuował łobuzersko - miły aż do przesady i nieodmiennie uprzejmy wobec każdego.

- Całkiem pokaźna lista - skomentowała.

- Dopierom zaczął. Powiedz, gdy słuchanie cię zmęczy, a przyniosę ci coś do siedzenia.

- Jaki jesteś troskliwy, panie.

- Dodaj i tę zaletę do listy.

Przyglądała mu się z uśmiechem, kiedy w szczegółach opisywał swoją osobę. I gdy słuchała, jak wychwalał swoje przymioty, jakby chodziło o wystawionego na sprzedaż ogiera, uzmysłowiła sobie, że Robin w istocie posiada wiele znakomitych cech. Gdyby został zaprezentowany Anne jako konkurent do jej ręki, czy nie padłaby na kolana, aby z wdzięczności ucałować stopy ojca? Z pewnością tak właśnie by postąpiła.

- Wszelako - rzeki - nie wyjawilem ci dotąd najważniejszej rzeczy na mój temat, sekretu, który pielęgnowałem w sercu najdłużej, znanego jedynie nielicznym. - Spojrzał na nią z namaszczeniem.

- Jakież to sekret, panie?

Zawahał się. Długo patrzył na Anne w milczeniu, a potem wyciągnął ku niej rękę. Oswobodziła dłonie z rękawów płaszcza i podała mu. Poczowała zgrubienia i szorstkość wnętrza jego dłoni, tak naprawdę zauważyła jednak głównie to, że były ciepłe i trzymały ją delikatnie. Podniósłszy wzrok, ujrzała na obliczu Robina wyraz ogromnej czułości. To znaczy, jak na niego.

- Taki, że cię kocham - rzekł cicho.

- Och - wykrztusiła, mrugając ze zdumieniem.

Chciała mu coś odpowiedzieć, lecz potrafiła jeno wpatrywać się weń w oszołomieniu. Spodziewała się wyznania, że Robin uwielbia dzieci albo darzy wyjątkową sympatią ogary. Czekał. Stopniowo zaczął się chmurzyć.

- No i? - nalegał.

- Nadal otrząsam się z wrażenia, panie. Błagam, powiedz, że nie chowasz w zanadru kolejnych takich rewelacji.

- Byłoby nader miło z twojej strony, gdybyś także wyjawiała mi coś na swój temat! - rzekł płomiennie.

- Coś w podobnym rodzaju!

Spojrzała nań zaskoczona.

- Oczywiście, że cię kocham, durniu.

Przez chwilę bulgotał, po czym spiorunował ją wzrokiem.

- Zgrabnie powiedziane.

- Och, Robinie - rzekła ze śmiechem. Padła w jego objęcia, tuląc się doń mocno. - Bez wątplenia zawsześ to wiedział.

Pokręcił głową.

- Nie, Anne. Żywiłem nadzieję, że tak jest. I powtarzałem sobie, jakie piękne miałbym życie, gdyby tylko zagościła w nim twoja miłość.

Podniosła nań wzrok.

- A teraz, kiedyś już ją zdobył?

Uśmiechnął się.

- Wiedząc, że nie jest ci obojętny, z chęcią spełnię każde twoje życzenie.

- Już to zrobiłeś.

- Co? - zapytał. - Przywiozłem cię na brzeg morza i podarowałem swe serce?

- Tak - potwierdziła. - Właśnie to.

- Biorąc w zamian twoje?

Odchyliła w tył głowę, żeby nań spojrzeć.

- To także.

Uniósł brew.

- Czy chciałabyś zażądać ode mnie czegoś jeszcze, skoro już obnażam przed tobą mą duszę?

- Pocałunku?

- Doskonały pomysł.

- Tak mi się też wydawało.

- Pani pozwoli?

- Ani chybi zaraz zażądam, jeśli nie skończysz z tą paplaniną. Uśmiechnął się, przygarniając ją mocniej do siebie.

- Życzenie mej pani jest dla mnie rozkazem - rzekł, nachylając się ku niej.

Dokładnie w tej chwili zaczęło padać. Przy czym nie był to przyjemny deszczyk. Niebiosa rozwarły się i runęły na nich potoki wody.

Robin złapał się za głowę.

- Jesteśmy przekłęci! - wykrzyknął.

Zerwał się wiatr.

- Później będziesz narzekać! - zawołała, starając się osłonić dłońmi głowę. - Teraz znajdź jakieś schronienie!

Zaklął.

- Dasz radę jechać konno?

- Z chęcią!

Podsadził ją na siodło i dosiadł własnego wierzchowca.

- Do lasu! - zawołał, przekrzykując wiatr. - Jedź za mną!

Dopiero wówczas zorientowała się, że skrócił dla niej strzemiona. Ze zdziwieniem odkryła, że o wiele łatwiej jej się jedzie konno z mocno podkurczonymi nogami, niż gdy miała je wyprostowane. Bez trudu nadązała za Robinem, popędzając go, ilekroć oglądał się przez ramię, żeby sprawdzić, jak sobie radzi, tak że w końcu nieomal frunęli nad ziemią. Wybuchnęła śmiechem, niezdolna się opanować. Spozregła, że jadą za nimi przybocznicy Robina, utrzymując stosowną odległość. Ten widok przyniósł jej ulgę. Nie dlatego, że miała jakikolwiek powód do strachu, lecz dodatkowa ochrona nigdy nie zaszkodzi.

Las znajdował się dość daleko od brzegu, przy czym to skupisko roślin nie w pełni zasługiwało na tak szumne miano. Rosły tam drzewa, owszem, jednak bez porównania mniejsze od tych, jakie Anne знаła z okolic Fenwyck, z pewnością też nie tworzyły typowego dla północnych ziem gąszczu, jaki знаła z opowieści. Ale przynajmniej częściowo ochronią ich przed nawałnicą.

Kiedy już znaleźli się pod osłoną drzew, Robin zeskoczył z konia i pomógł jej zsiąść. Anne brakowało tchu po radosnej, szaleńczej jeździe, a także ze śmiechu. Robin pociągnął ją pod drzewo, oparł plecami o pień i objął.

- Święci pańscy, ależ jesteś piękna - rzekł na bezdechu. Z błyszczącymi oczami i włosami w nieładzie wpatrywał się w nią tak płomiennym wzrokiem, że Anne obawiała się, że lada moment zacznie się topić. - Aż nie mogę uwierzyć, żeś moja - szepnął.

Później nachylił głowę, żeby ją pocałować. Anne cieszyła się, że ma się o co oprzeć. Zamknęła oczy, kiedy zanurzył dłonie w jej włosach i skierował jej twarz ku górze. Gdy zaś wpił się w jej usta, zadrżała, tracąc oddech.

Szczegóły otoczenia rozmyły się, cały świat ograniczał się do warg Robina na jej wargach i obejmujących ją silnych ramion. Oddała mu się całkowicie.

Straciła poczucie czasu. Wiedziała tylko, że nigdy nie zdoła nasycić się pocałunkiem Robina. Co więcej, nie była pewna, czy całowanie zaspokoi tęsknotę, jaką w niej wzbudzał. Nie uważała, że to coś złego. Ostatecznie chodziło o jej męża.

Stopniowo Anne zaczęła znów dostrzegać otoczenie. Deszcz ciągle padał, bębniąc o ostatnie jesienne liście nad ich głowami. Dął wiatr, targając im włosy. Spostrzegła, że z Robina ścieka na nią woda. Oderwał się od jej warg, po czym wsparł czołem o jej czoło, z trudem chwytając powietrze.

- Źle się czujesz? - zapytała, oddychając równie urywanie.

- Zapytaj mnie za godzinę, kiedy odzyskam siły.

Dostrzegła łobuzerski błysk w jego oku i nasrożyła brwi.

- Stroisz sobie żarty moim kosztem? - spytała, ocierając twarz z deszczu.

- Nie, kochana - szepnął, znów miękko ją całując. - Udzielam ci szczerzej odpowiedzi. Chwała niebiosom, że znajdzie się tu suche miejsce, żeby usiąść, wątpię bowiem, bym zdołał gdziekolwiek iść. - Rozejrzał się, po czym uśmiechnął do niej. - Zjesz coś?

Odpowiedziała kwaśnym uśmiechem. Troska Robina o napełnienie własnego brzucha była do przewidzenia. Chyba dały mu się we znaki kulturalne posiłki u stołu jego babki.

- Wedle twojej woli, Robinie.

- Tedy spocznij na tej kłodzie, a ja przyniosę sakwy. Nakłoniłem kucharza babki, żeby spakował nam coś smacznego.

- Uciekłeś się do swego uroku osobistego, panie?

Prychnął.

- Raczej do obnażonego miecza. Ów człek nie chciał wstać z łóżka na grzeczną prośbę.

Zadrżała.

- Módlmy się przeto, żeby w sakwach znalazło się coś jadalnego.

- Och, bez wątpienia się znajdzie - zapewnił, podchodząc, żeby usiąść obok niej. - Widziałem, jak przed zapakowaniem kosztował każdej potrawy. Nie ma się co dziwić jego tuszy.

Anne obserwowała go w trakcie jedzenia, zaskoczona tym, jak często się uśmiechał, a nawet śmiał serdecznie. Od dawna go takiego nie widziała; uświadomiła sobie, jak ogromnie jej tego brakowało. Robin sprawiał wrażenie, jakby ubył mu lat i ciężaru trosk. Podniósł wzrok znad placka i uśmiechnął się do niej.

- O co chodzi?

Pokręciła głową, także uśmiechnięta.

- Nic takiego.

- Za dużo zjadłem? - spytał z wahaniem.

Objęła go ramionami za szyję i nachyliła się, żeby pocałować go delikatnie.

- Nie, Robinie. Po prostu na ciebie patrzyłam.

- I najwyraźniej przypadłem ci do gustu.

- Najwyraźniej - zgodziła się.

Przytrzymał rękę Anne, wspartą na swoim ramieniu.

- Wiesz, Anne, moja babka mogłaby znaleźć sobie inne miejsce do spania.

- W istocie, mogłaby.

Zamilkł na chwilę.

- Uważasz, że powinna?

- A ty?

- Jam dawno wyrobił sobie zdanie na ten temat - odparł. - Interesuje mnie twoja opinia.

Przygryzła wargę, lecz zaraz odrzuciła wszelką powściągliwość. Na cóż jej ona?

- Myślę - powiedziała wolno - że jest wiele innych miejsc, gdzie twojej babce będzie nader wygodnie.

Robin zerwał się na równe nogi, zanim skończyła mówić.

- Ruszajmy zatem - zarządził. - Im wcześniej zadomowi się w innej izbie, tym mniej będzie narzekać.

Pomógł Anne wstać, po czym zostawił ją, żeby wziąć sakwę. Anne zauważyła coś na ziemi obok miejsca, gdzie siedzieli. Podeszła i podniosła znalezisko.

- To musiało ci wypaść - powiedziała, podając Robinowi skrawek pergaminu. - Miłosne przesłanie od kucharza?

- Bez wątpienia sugestie babki odnośnie do zalotów - prychnął. Rozwinął pergamin - i zamarł.

Widok tego, jak jej mąż zmienia się z kochanka w wojownika, przyprawił Anne o gęsią skórkę. Chyba nie chciała poznać przyczyny tego przeobrażenia.

Rozdział 38

Robin stał pod osłoną drzew zatopiony w myślach. Aż do tej chwili był to cudowny dzień. Robin otworzył przed Anne serce, a ona go nie odtrąciła, wyraźnie też nie miała nic przeciwko jego pocałunkom. Deszcz należało uznać za zdarzenie mało przyjemne, rychło jednak dało się temu zaradzić. Robin niecierpliwie wypatrywał powrotu do donżonu, gdzie na resztę dnia zaszyłby się w sypialni ze swoją żoną, oddając się konsumpcji małżeństwa. Sądził, że czeka go rozkoszne popołudnie. Obawiał się wszakże, że ta nowa rewelacja unicestwi jego plany. Spojrzał na liścik i stłumił dreszcz, o jaki przyprawiała go jego treść.

Wiem, gdzie sypiasz, i tam właśnie umrzesz. Nie spoczne, dopóki Artane nie będzie moje.

Zanim zdołał ją powstrzymać, Anne wyrwała mu skrawek pergaminu z rąk. Zamarła, czytając słowa groźby. Potem z przerażeniem spojrzała na Robina.

- To się jeszcze nie skończyło.

- Nie, kochana. Najwyraźniej nie.

Padła mu w ramiona, a Robin mocno ją przytulił. Sfrustrowany zazgrzytał zębami. Chyba zbyt naiwnie założył, że to wyłącznie Maude stała za tamtymi atakami. Ale jeśli nie Maude, to kto? Kto pożąda Artane na tyle mocno, by zabić?

Uczepił się jednego imienia z siłą zrodzoną z pewnością. Baldwin z Sedgwick.

Zagwizdał, naśladując ptaka, i natychmiast otoczyli go jego ludzie. Robin przeczytał im liścik, nie dodając żadnego komentarza. Nie było takiej potrzeby. Rozumieli, że mają czuwać nad bezpieczeństwem Anne, jako że wcześniej powtarzał im to po wielokroć. Spojrzał znów na swoją panią.

- Dasz radę jechać konno?

Bez wahania skinęła głową. Podsadził ją na swojego wierzchowca i wskoczył za nią na siodło.

- Wracamy do domu? - zapytała.

- Na krótko.

- Robinie, co my zrobimy?

- Zabijemy łajdaka - warknął.

Chwycił wodze i dźgnął boki konia, popędzając zwierzę do galopu. Pół godziny później wpadli na wyższy dziedziniec. Robin zeskoczył z siodła i pomógł zsiąść Anne. Gromkim głosem wezwał dowódcę przybocznych ojca.

- Gdzie Sedgwick? - zapytał ostro.

- Nie widziałem go od wczoraj, panie - odparł mężczyzna, szeroko otwierając oczy.

Wiadomość wprawiła Robina w konsternację. Skoro Baldwina nie było od niemal dwóch dni, jak zdołałby podrzucić mu liścik do sakwy?

Przeklinając pod nosem, pociągnął Anne za sobą po schodach do wielkiej sali. W środku zastał babkę kręcącą się przy kominku i zagarnął ją, kierując się na górę. Jeśli naradzą się wspólnie, może zidentyfikują autora groźby.

Spojrzał na podążającą za nim Anne; tuż za nią postępowali jego przybocznicy. Uśmiechnął się ponuro.

- Jak sobie radzisz?

Pokręciła głową.

- Nie mogę spędzić w ten sposób reszty życia. Oszalejemy.

Całkowicie się z nią zgadzał.

Dobry miecz i za nosącym pochodnię rycerzem wszedł do sypialni ojca. Dokładnie przeszukał izbę, a potem wprowadził do środka Anne i babkę. Kiedy już rozpałił w kominku i usadowił je obie wedle swojej woli, wręczył babce liścik.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

Joanna z uwagą przeczytała wiadomość, po czym zasznurowała usta.

- Zwykła złośliwość - orzekła lekceważąco.

- Nawet jeśli masz rację, nie da się tego tak po prostu zignorować - stwierdził Robin.

- Anne opowiedziała mi co nieco o tym, co zaszło przed moim przyjazdem - przyznała Joanna. -

Sądziłam wszakże, że owym problemom położono kres w kaplicy.

Anne zadrżała.

- Też tak myśleliśmy. - Spojrzała na Robina. - Sądzisz, że to tylko żart?

Usiadł, potarł dłońmi twarz i ciężko westchnął.

- Jakkolwiek ogromnie chciałbym wierzyć w tego rodzaju wyjaśnienie, nie mogę narażać nas obojga w oparciu o taką nadzieję.

- Mógł to napisać służący - zaprotestowała Joanna.

Robin skrzywił się z niezadowoleniem.

- Po francusku miał w chłopskiej angielszczyźnie?

- Moi ludzie znają francuski - stwierdziła Joanna, po czym zamrugnęła. - Uważasz, że stoi za tym...?

Pokręcił głową.

- Te ataki zaczęły się na długo przed twoim przybyciem.

- Wszelako wtedy ja byłam celem - wtrąciła Anne. - Z pewnością nie chodzi o tę samą osobę.
- Niewykluczone - rzekł wolno - że poprzez ciebie zamyślali uderzyć we mnie.
- Przecież to bez sensu! - zaprotestowała.
- Jak można najdotkliwiej zranić mężczyznę? - zapytał z ponurym uśmiechem. - Atakując najpierw to, co kocha najbardziej.
- Och! - westchnęła cicho Anne. - Rozumiem.
Joanna klasnęła w dłonie.
- Chwała niebiosom - ozwała się radośnie. - Bez wątpienia to moje zabiegi o ucywilizowanie cię, wnuku, pomogły ci dokonać tego odkrycia.
Robin spiorunował babkę wzrokiem.
- Liścik - oznajmił. - Przeanalizujmy go dokładniej, jako że to nasz najlepszy ślad. Zgadza się, że nie napisał go sługa...
- Maude była dziewczką służebną - wpadła mu w słowo Anne.
Groźne spojrzenie Robina zwróciło się na nią.
- Sugerujesz, że w kuchni ukrywa się kolejna pańska córka pragnąca mojej śmierci?
- To całkiem możliwe - nalegała.
Chrząknął.
- Jakież inne propozycje?
- Skryba - podsunęła Joanna. - Ksiądz. Inny szlachcic. Osoba, która potrafi pisać bez błędów.
- Tedy musimy chyba wyeliminować Sedgwicka - stwierdził z prychnięciem Robin.
- A ktoś ze szkockich nizin? - zapytała Anne. - Granica nieustannie się przesuwają, a twój ojciec raz po raz trafia w środek jakiejś awantury. Ciągłe ma z nimi problemy.
- Owszem - zgodził się Robin, kiwając wolno głową. - Jednak na co im ta warownia? Mogliby ukraść ojcu córkę, a jakże, lecz jego donżon? W mig by ich stąd przegnano.
- To mógł zrobić ktokolwiek, Robinie - powiedziała bezradnie Anne. - Przez bramy twojego ojca przewijają się tłumy. Autorem może być każdy, kto żywi do ciebie urazę.
- Wszelako ilu z tych ludzi pragnie Artane?
- Ilu nie pragnie? - zripostowała z półuśmiechem. - Robinie, to wspaniały zamek.
- Może to ktoś, kogo obraziłeś, sprawując sądy - odezwała się nagle Joanna. - Ile duszyczek rozeźliłeś tamtego dnia, kochany?
Robin zasznurował usta.
- Staralem się rozstrzygać sprawiedliwie, babko.
Wzruszyła ramionami.
- Ludzie to skomplikowane stworzenia. Na twoim miejscu zajrzałabym do rejestrów. A kiedy ty zajmiesz się tą sprawą, Anne i ja wygodnie się tu rozlokujemy. Po drodze przyślij nam trubadurów, kochany.
Robin ani myślał dać się tak łatwo odprawić. Wstał, pociągnął babkę na nogi i mocno ją przytulił.
- Kocham cię, babko - oświadczył, całując ją w oba policzki - i doceniam wszystko, co uczyniła dla mej nieszczęsnej osoby. Jestem przekonany, że Anne do końca życia będzie czerpać pożytek z dworskich umiejętności, jakie zdołali mi wpoić twoi nauczyciele. Wszelako zajmujesz moje łóżko małżeńskie, ja zaś żyję sobie, byś je opuściła.
- Jednakże...
- Najlepiej zabierz swoją świętą i ruszaj do domu.
- Jednakże...
- Tak będzie najbezpieczniej. Anne i ja pojawimy się z wizytą, kiedy tylko ta sprawa się wyjaśni.
- Nie - powiedziała Joanna, kręcąc głową. - Nie przedstawiam sobą żadnej wartości dla jakiegokolwiek napastnika, chłopcze. Po prostu nadal będę korzystać z wygodnego schronienia w sypialni twojego ojca.
- A jeśli ktoś wejdzie? - dopytywał się Robin. - Co wtedy?
Na usta jego babki wypłynął uśmiech, bynajmniej nie przyjemny.
- Czy w istocie sądzisz - rzekła, pochylając się i wpatrując weń bacznie - że dożyłabym tak sędziwego wieku, przeżyła tylu królów i obroniła się przed tyloma niepożądanymi konkurentami, nie nauczywszy się tego i owego?
- Cóż...
- Zdaje ci się, że trzymam moich chłopców jeno dla ozdoby?
- Owszem, babko. Tak właśnie uważam.
- Tedy niezbyt dokładnie się im przyjrzałeś. - Z pobłażliwym uśmiechem usiadła z powrotem w fotelu. - Zajmij się sobą, Robinie, a mnie pozostaw moje drobne wygodki. Nic mi tu nie grozi.
Robin rozważył jej argumenty. Widział, że babka także się zadumała, aczkolwiek podejrzewał, że staruszka nie wątpi w wynik potyczki. Ostatecznie, ona sama najlepiej wie, co potrafią członkowie jej świty. W końcu Robin westchnął.
- Dobrze, babko. Zwyciężyłaś.

- Obmyślę w tym moim więzieniu jakiś plan - oznajmiła, pukając palcem w podłokietnik fotela. - Wkrótce wykurzymy nikczemnika.

- Oby dopisało ci więcej szczęścia aniżeli mnie - rzekł Robin, kiwając głową.

Spojrzał na Anne.

- Pakujmy się zatem, pani.

- Wyjeżdżamy? - zdziwiła się.

- Na jakiś czas. Nie będę więźniem we własnym donżonie.

- Lecz gdzie się podziejemy?

- Tam, gdzie nawykł sypiać.

- W namiocie? - zapytała wstrząśnięta Joanna.

- Owszem - rzekł Robin, rad tej perspektywie. - Anne uwielbia wybrzeże, ja zaś niezwykle sobie cenię własne życie. Zatrzymamy się na otwartej przestrzeni, poza zasięgiem łuków, i przekonamy się, czy ów łotr odważy się stanąć przeciw nam w uczciwej walce.

Joanna westchnęła.

- Nie wydaje mi się to bezpiecznym rozwiązaniem, jeśli atoli ktokolwiek potrafi obronić Anne, tą osobą jesteś ty, kochany. - Poklepała go po policzku. - Ruszajcie zatem. Chyba że - dodała, szacując ich spojrzeniem - chcielibyście, żebym przygotowała małżeńskie łóżko...

- Nie! - wykrzyknął Robin, po czym uzmysłowił sobie, że Anne mu zawtórowała. Zastanawiał się, czy spąsował równie mocno jak ona.

Joanna zasznurowała usta.

- Robinie, czyś nie powinien posłać po ojca?

Pokręcił głową.

- Wolę, żeby on i dzieci trzymali się bezpiecznie na uboczu. Ten atak wymierzono we mnie, nie w niego.

Zajmę się tym. - Urwał i spojrzał na nią. - Bądź ostrożna, babko.

- Zawsze jestem.

- Ty zaś, pani - rzekł Robin, odwracając się ku Anne i pomagając jej wstać - pozostaniesz u mego boku.

Z góry przepraszam za monotonię, jaka się z tym wiąże.

- Będę z tobą. Jakże mogłoby to grozić monotonią?

Uśmiechnął się ponuro, żywiąc nadzieję, że Anne nie uszkodzi go na ciele, kiedy w pełni ogarnie istotę sprawy.

* * *

Wczesnym popołudniem Robin stał na dziedzińcu, przyglądając się, jak ładowano ekwipunek na wóz. Obrzucił spojrzeniem zajętych tym mężczyzn. Wszyscy przysięgali mu wierność i każdemu z nich bez wahania powierzyłby własne życie.

Wiem, gdzie sypiasz...

Nie potrafił przestać myśleć o liściku. Ledwie mógł uwierzyć w to, co przeczytał, wszelako na dowód miał w dłoni ów przeklęty skrawek pergaminu.

A zakładał, że za wszystkim stała Maude.

Jakimże okazał się głupcem.

Ponownie rozważył omawiane niedawno z babką wyjaśnienie. Czy liścik mógł napisać jej sługa?

Wątpliwe. Cała sprawa zaczęła się na długo przed przybyciem Joanny.

Wiem, gdzie sypiasz, i tam właśnie umrzesz.

Tym bardziej nie należało szukać schronienia w obrębie murów warowni. Oczywiście, że to ktoś wewnątrz zamierzał go zabić. Robin postąpiłby głupio, ryglując się w izbie. Cóż by mu z tego przyszło? Sam siebie uczyniłby więźniem.

Nie, nie będzie siedział beczynnym. Ani też nie spędzi kolejnego dnia, oglądając się przez ramię za każdym razem, kiedy będzie musiał przejść korytarzem.

Nie spoczne, dopóki Artane nie będzie moje.

Nie, jeżeli może temu jakoś zaradzić. Nie ma innego wyboru, jak tylko wywabić nikczemnika z kryjówki, zmierzyć się z nim na własnych warunkach i zniszczyć.

Albowiem Robin nie odda niczego, co należy do niego - ani Anne, ani warowni, ani swojego życia.

Dlatego właśnie w tej chwili przyglądał się załadunkowi. Po krótkim, ale intensywnym zastanowieniu podjął decyzję. Zabierze Anne daleko od warowni, otoczy swoimi ludźmi i poczeka, czy napastnikowi wystarczy odwagi, żeby na nich ruszyć.

Zaiste, Robin palił się do walki.

Podobnie jak jego ludzie.

Rozejrzał się i zastanowił, czy Baldwin już wrócił. Czy za tym wszystkim mógł stać jego kuzyn?

Niewątpliwie Baldwin nie wzgardziłby Artane, gdyby mu je ofiarowano. Lecz zdobyć je poprzez morderstwo?

Robin mocno wątpił, czy jego kuzynowi starczyłoby wyobraźni na taką intrygę. Nie, inwencja Baldwina ograniczała się do zaszarżowania na przeciwnika z opuszczonym łbem. Liścik przerastałby możliwości łajdaka.

Wszelako jeśli nie zrobił tego Baldwin, to kto?

Robin pokręcił głową. Nie był pewien, jak przeprowadzi skuteczne śledztwo w warowni, przebywając poza jej murami, lecz nie widział innego rozwiązania. Anne będzie bezpieczniejsza z dala od donżonu.

Być może na otwartej przestrzeni Robin wypatrzy zakradającego się napastnika.

Przeciagnął dłonią po włosach. Ktoś chce dostać Artane. Ktoś zamierza go zabić. Nie do wiary! Przynajmniej do tego drugiego Robin zdążył się przyzwyczać, jako że przez lata dorobił się wielu wrogów. Wszelako zachowywał ostrożność i sprawnie władał mieczem, zatem nigdy nadmiernie nie martwił się o swoje życie. Teraz wiele się zmieniło. Ponościł odpowiedzialność za inne osoby. Za jedną osobę, poprawił się od razu. Obejrzał się i zobaczył ją stojącą u szczytu schodów do wielkiej sali. Wcześniej krążyła między wnętrzem donżonu a dziedzińcem, oczywiście zawsze w eskorcie dwóch jego ludzi. Robin z ulgą zobaczył ją znów na dworze.

Słabe promienie jesiennego słońca padały na jej jasne włosy i ciemnozielony płaszcz. Robin pokręcił głową w zadziwieniu. Czy wydawała mu się jeszcze piękniejsza, ponieważ ją kochał, czy też rzeczywiście wypiękniała pod wpływem jego miłości? Nie umiał tego rozstrzygnąć. Przy odrobinie szczęścia będzie miał całe życie na podjęcie decyzji w tej kwestii. Odwrócił się, żeby dalej doglądać załadunku.

Rozdział 39

Anne stała na dziedzińcu, z całego serca żałując swojej zbyt pochopnej deklaracji, że będzie szczęśliwa u boku Robina w każdym miejscu, bez względu na jego aktualne zajęcie. Kompletowanie ekwipunku i zabezpieczenie warowni na czas jego wyjazdu, mimo że wybierali się niedaleko, okazało się, delikatnie mówiąc, irytujące. Spakowali się dość szybko, potem wszakże przyszedł czas na zgromadzenie prowiantu, zebranie dokumentów, które Robin chciał przestudiować, i przesłuchanie każdego z jego ludzi. Brał wyłącznie przybocznych, wyraźnie zresztą nawykłych do pospiesznych przenosin.

Odpowiedzialność za warownię powierzył zarządcy ojca. Anne bacznie przyglądała się mężczyźnie, kiedy Robin wyliczał jego obowiązki. Człek ów ani nie mrugnął na wiadomość o możliwych kłopotach. Rzut oka na jego bazgroły upewnił Anne, że to nie on napisał liścik.

Nawet ksiądz nie uniknął badania Robina. Jego pismo, aczkolwiek nader staranne, nie przypominało schludnych, pedantycznie nakreślonych liter tamtego przesłania. Anne zaczęła się zastanawiać, czy nie wyszły one spod kobiecej ręki. Choć nie znała zbyt wielu kobiet potrafiących pisać, sama posiadała tę umiejętność, podobnie jak cała rodzina Gwen. A jej dworki?

Ta koncepcja wydawała się tak niedorzeczna, że Anne natychmiast ją odrzuciła. Nikt znany jej z kobiecej izby nie poządał dla siebie Artane. Nawet Edith bez wątplenia nie była zainteresowana warownią. Poza tym ona raczej wolałaby poślubić Robina, niżli go zabić. Czy nie tak?

Anne pokręciła głową, czekając na Robina na dziedzińcu. Niewykluczone, że za sprawą krył się goszczący tu przejazdem szlachcic, którego Robin niedawno obraził. Uznała to za całkiem prawdopodobne. Ustalenie jego tożsamości było zapewne jedynie kwestią czasu.

A później powrócą do ciepłej izby sypialnej, albowiem, jakkolwiek Anne uwielbiała morze, obawiała się, że czekają ją piekielnie zimne dwa tygodnie.

* * *

Nastało późne popołudnie, zanim rozstawiono wielki namiot Robina. Przed wejściem zapłonęło ognisko i Anne przycupnęła przy nim, drżąc z zimna. Tymczasem zjedli, co powinno było ją rozgrzać, wszelako lodowaty północny wiatr skradł jej całe ciepło. Podniosła wzrok, kiedy Robin opadł na ziemię koło niej.

- Święci pańscy - odezwał się, marszcząc czoło. - Pomyślałabyś, że zwykłe przenosiny pół mili od domu okazały się tak kłopotliwe?

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Obawiam się, że nie mam porównania, jako że nigdy nie robiła czegoś podobnego.

- Zapewniam cię, że zwykle wszystko przebiega znacznie prościej - rzekł ponuro. - Lecz przynajmniej nic nam tu nie grozi. - Spojrzał na nią. - Wargi ci zsiniały, pani.

- Lada moment zamarznię.

Nasrożył brwi.

- Słowo daję, Anne, nie pomyślałem o tym. Skoncentrowałem się na zapewnieniu nam bezpiecznego miejsca do spania.

- Dam radę - powiedziała. - Wolę się obudzić skostniała z zimna, niż nie obudzić się wcale.

Sięgnął po jej dłoń i splótł z nią palce.

- Przykro mi - rzekł. - Naprawdę nie tak to miało wyglądać.

- Jak tedy, panie, by się wszystko odbyło, gdyby nie wisiała nad nami groźba śmierci, pogromu czy przejścia warowni? - zapytała z uśmiechem.

- Nader przyjemnie. Odprawiono by dla nas krótką mszę, a potem na kilka tygodni zaszylibyśmy się w przytulnej sypialni, dokąd dostarczano by nam posiłki, my zaś raczylibyśmy się nimi bez obawy, że skonamy po ich spożyciu.

Wzruszyła ramionami.

- Nudy.

- Przyjemność - upierał się Robin.

- Skoro jednak twoja wizja nie ma szans na spełnienie, będziemy musieli zadowolić się tym, co mamy - stwierdziła.

- Obiecuję ci, pani, że nastanie czas, kiedy dni będą nam upływać w spokoju.

Anne miała nadzieję, że pożyją na tyle długo. Spojrzała na Robina i zobaczyła, że on w zamyśleniu wpatruje się w morze. Wzięła zeń przykład i wkrótce monotony szum uderzających o brzeg fali wpędził ją w półsen. Ocknęła się przestraszona. Czy na ludzi Robina morze wywrze podobnie kojący wpływ i w efekcie zaniedbają swoje obowiązki? Znienacka od morza znów nadciągnął podmuch lodowatego wiatru i Anne zamrugnęła. Chyba są bezpieczni, dopóki tak wieje. Mocno wątpiła, by w taką pogodę napastnik odważył się wychylić nos na dwór.

Szkoda, że oni muszą.

- Anne?

Spojrzała na Robina, uśmiechając się bezwiednie. Podejrzewała, że niełatwo przywyknie do tego, że teraz należy do niej. Jeszcze trudniej będzie jej przyswoić sobie, że on najwyraźniej jest z tego rad. - Mam coś dla ciebie - rzekł, wydobywając spod płaszcza szkatułkę. Jego szkatułkę.

Anne rozpoznała ją natychmiast i pomodliła się w duchu, żeby wystarczyło jej aktorskich umiejętności. Nie byłoby dobrze, gdyby Robin się domyślił, że myszkowała w jego rzeczach, kiedy zajmował się innymi sprawami.

Przyglądała się, jak unosi wieko, a potem osłania zawartość szkatułki przed wiatrem. Zauważyła, z jaką troskliwością przytrzymał wstążki, jakby w istocie wielce je sobie cenił. Przez chwilę szperał w pudełku, aż wreszcie wyjął zawiniątko.

Anne zmusiła się, żeby nie osądzać przedwcześnie jego poczynań.

Robin odłożył wstążki na miejsce, zamknął wieczko i wsunął szkatułkę do namiotu. Następnie ostrożnie odwinął pierścień i zbliżył go do ognia. Anne przygryzła wargę. Był to ten sam pierścień, który oglądała wcześniej, zastanawiając się nad jego przeznaczeniem.

Przez chwilę Robin polerował drobiazg kawałkiem sukna, aż wreszcie spojrzał na Anne z uroczystym uśmiechem.

- Chciałem dać ci go w kaplicy, atoli wówczas musiałbym skrzyżować oręż z moim ojcem, żeby po niego pójść. - Popatrzył na pierścień, a jego uśmiech okrasila melancholia. - Jakkolwiek trudno w to uwierzyć, mam go niemal od pięciu lat.

- Planowałeś podarować go jakiejś nadobnej pannie? - zapytała, zbyt późno gryząc się w język.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- To twój pierścień ślubny, Anne. W tym celu został wykonany. W przeciwnym razie dlaczego kamień zostałby dobrany do koloru twoich oczu, a złoto do barwy włosów?

- Och - szepnęła niemal bezgłośnie.

- Pamiętasz, jakem ci opowiadał o tej pierwszej potyczce w Hiszpanii?

Nie śmiała zaprzeczyć, skinęła więc głową.

- Przepędziłem Nicka przez najkoszmarniejszą burzę w naszym życiu jedynie dlatego, że słyszałem o mieszkającym pod Madrytem złotniku, którego talent nie ma sobie równych. To u niego nabyłem ten kamień, aczkolwiek szukałbym takiego gdzie indziej, gdyby ów mąż nie dysponował klejnotem o właściwej barwie.

- Ach tak... - wykrztusiła.

- Może być za duży - rzekł, spoglądając na pierścień ze zmarszczonymi brwiami. - Nie umiałem przypomnieć sobie rozmiaru twojej dłoni, przeto użyłem za wzór mojego małego palca, a potem kazałem złotnikowi jeszcze nieco zmniejszyć pierścień. - Spojrzał na Anne z uśmiechem. - Przyjmiesz go ode mnie?

Wyciągnęła drżącą rękę. Ach, jakże niesprawiedliwie go oceniała! Robin ujął jej dłoń i przymierzył pierścień na różne palce. Jedynym, na którym miał on szansę się utrzymać, okazał się kciuk. Robin spochmurniał.

- To na nic - rzekł, patrząc na rękę Anne tak, jakby starał się siłą woli pogrubić jej palce.

Zamknęła dłoń.

- Na razie może tak zostać.

- Owinię go materia, żeby pasował na inny palec.

Wahała się, czy oddać mu pierścień, choć Robin raczej nie zamierzał zmieniać zdania w kwestii подарunku. Ostatecznie zlecił jego wykonanie z myślą o niej.

Co samo w sobie wydawało się zadziwiające.

Usłyszała odgłos rozdieranego materiału i jęknęła cicho, zobaczywszy, że Robin odcina sztyletem skraj tuniki. Spojrzał na nią spode łba, po czym się uśmiechnął.

- Przepraszam - rzekł. - Przrzekam, że sam to naprawię.

Zasznurowała usta.

- Szczerze wątpię.

- Umieć szyc.

- Masz także żonę - zauważyła z przekąsem.

Roześmiał się.

- Pomyślałby kto, żeś właśnie skazała się na dożywotnie łatanie moich ubrań.

- I owszem.

- Będę uważniejszy.

Anne widziała wcześniej odzienie Robina i obawiała się, że nieco więcej dbałości z jego strony nie wystarczy, żeby zaoszczędzić jej długich godzin z igłą w ręku. Zarazem jednak, gdy patrzyła, jak dopasowuje dla niej pierścień, odrobina cerowania wydała jej się nagle całkiem znośnym zajęciem, skoro, wykonując je, będzie mogła spoglądać na otrzymany od męża klejnot.

Wsunął jej pierścień na palec, ujął jej dłoń i powiódł opuszką po złocie.

Później podniósł wzrok na Anne.

Ona zaś zastanawiała się, czy to pod wpływem ognia zrobiło jej się raptem tak gorąco.

- Jest jeszcze jedna kwestia, którą możemy się zająć tej nocy - rzekł wolno.
- Święci pańscy, Robinie - powiedziała, na poły się śmiejąc - mówisz tak, jakbyś w sekrecie szykował się do starcia z bandą najemników.
Spojrzał na nią chmurnie.
- Nigdy dotąd nie miałem żony. Nie wiem dokładnie, jak należy się zabrać do tej... hm...
- Sprawy? - podsunęła.
Zamknął usta i jeszcze bardziej się nachmurzył.
- Defloracji? - zasugerowała.
Zmarszczył brwi.
- Spędziłaś stanowczo zbyt wiele czasu z moją siostrą.
Uśmiechnęła się.
- Gdyby mój ojciec mógł nas teraz widzieć, odżyłyby w nim wcześniejsze podejrzenia.
Robin ze śmiechem pokręcił głową.
- Święci pańscy, Anne, ależ pogmatwaliśmy sobie życie!
Uśmiechnęła się znowu, kiedy potarł kciukiem wierzch jej dłoni. Zakrawało to dla niej na cud, tym większy, że nosiła na palcu jego pierścień.
- Jak, panie, byś to wszystko zorganizował? Gdybyś miał wpływ na wydarzenia tamtego dnia?
- Po pierwsze - rzekł z kwaśnym uśmiechem - nie znalazłbym się w twoim łóżu przed ślubem. Panna powinna usłyszeć chrapanie mężczyzny dopiero po zaślubinach, kiedy jest już dla niej za późno na zmianę zdania.
- Wątpię, żebym to zrobiła - oświadczyła.
- Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie, żeś się w ogóle stawiała w kaplicy - ciągnął. - Uwzględniając okoliczności.
- Działałam nie całkiem z własnej woli - przyznała.
- A winniśmy tam być jeno my dwoje. I tylko jeden obnażony miecz, mój, kiedy złożyłbym go u twych stóp, przysięgając chronić cię moim imieniem i moją osobą - rzekł, poważniejąc. - Zmieniłbym to, gdybym mógł, pani.
- Nie możesz wszakże, przeto nie próbuj. Możesz natomiast zabawić mnie opowieścią o tym, jak wypadki potoczyłyby się dalej.
- Wyśmienita uczta - podjął, ujmując jej dłonie. - Zapewne nieco tańców.
- Na którym to polu posiadasz godne odnotowania umiejętności - wtrąciła z uśmiechem.
- Jak na wojownika o drewnianych stopach - przystał. - Na takie komplementy odpowiedziałbym ci, wychwalając twoją urodę i wdzięk, z jakim się poruszasz. Później, podczas gdy reszta rodziny bawiłaby się wesoło, my wymknęlibyśmy się do namiotu rozstawionego zawczasu nad brzegiem morza i strzeżeni przez moich ludzi cieszylibyśmy się prywatnością, oddając się...
- ...naszej sprawie - dokończyła za niego.
- Oczywiście.
Obejrzała się za siebie.
- Namiot tu stoi, jak widzę. W dodatku solidny.
Uśmiechnął się.
- Posiałem po niego tuż po przyjeździe. Zostawiłem sporo rzeczy w warowni Nicka we Francji, później wszakże stwierdziłem, że namiot może mi się przydać.
- Zatem planowałaś zostać - ozwała się cicho.
- Jakżebym mógł wyjechać? - zapytał. - Tyś tutaj była.
Patrzyła nań w milczeniu. Odpowiedział na jej spojrzenie, lecz kącik ust zadrgał mu z rozbawienia.
- Mamy namiot - rzekł, wskazując go głową.
- W istocie.
- W środku będzie nam cieplej - podsunął. - Kiedy zagrzebiemy się pod kocami i futrami.
Z tym argumentem nie sposób było się spierać. Poza tym wizja ogrzania się odwróciła uwagę Anne od myśli o zbliżającej się konsumpcji małżeństwa, a rozważań na ów temat wzbraniała sobie dotąd tak często, że teraz niemal sprawiała jej ból.
Robin wyjął skądś świecę, zapalił ją od ogniska i wszedł do namiotu, pociągając Anne za sobą. Postawiwszy świecę na stolku, wyprostował się i spojrzał na Anne.
- Jak ci się tu podoba?
- Bardzo przestronnie - stwierdziła, rozglądając się z zaskoczeniem. - Wręcz luksusowo.
- Chyba nie myślałaś, że umieszczę cię w mniej godnym miejscu?
Dźgnęła palcem ciężki materiał jednej ze ścian.
- Solidne.
Uśmiechnął się.
- Nic przez to nie widać, pani. Możemy tu liczyć na prywatność.

- Jak również na futra i koce - dodała.
Spojrzała na Robina, rozważając, co powinna teraz zrobić.
A potem spojrzała na niego raz jeszcze i zobaczyła go naprawdę. Łagodny wyraz jego obliczaomal nie przywiódł Anne do zguby. Dotknęła jego policzka.
- Nie mogę uwierzyć, że jestem tu z tobą - szepnęła. - Żeś mnie poślubił.
- Kogóż innego miałbym poślubić? - zapytał równie cicho, także przykładając dłoń do jej policzka. - Kochałem cię od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy...
- Kiedyś wrzucił mi robaka za kołnierz...
- I zawsze od tamtej pory - dokończył z uśmiechem.
- Nawet kiedyś mnie nie kochał? - zapytała łagodnie.
- Zawsze cię kochałem - powtórzył. - Szczególnie zaś mocno w tych momentach, gdy usiłowałem przekonać sam siebie, że jest inaczej. W głębi serca wiedziałem bowiem, że zaznam szczęścia tylko w jeden sposób.
- Jeden?
Potaknął.
- Z tobą. - Odgarnął jej włosy za uszy. - Nie było dnia, żebyś nie gościła w moich myślach, ani nocy, żebyś nie nawiedzała mnie w snach.
- Szkoda, że o tym nie wiedziała - rzekła melancholijnie.
- Teraz już wiesz. A jeśli dasz mi czas, odtąd każdego dnia będę ci o tym przypominał.
- Jak, panie? - dociekała.
Założył sobie jej ręce na szyję i przyciągnął ją do siebie.
- Mówiąc ci to - odparł, nachylając głowę do pocałunku. - Mówiąc ci to codziennie na tysiąc sposobów, każdym spojrzeniem, każdym słowem, każdym dotykiem.
- Kiedy akurat nie będziesz na mnie warczał - wtrąciła półgłosem.
- Muszę dbać o reputację - stwierdził z uśmiechem. - Nie chciałbym, aby chłopcy pomyśleli, że mi zmięknął.
Wszelako - dodał, unosząc brew - tak będzie jedynie za dnia.
- A kiedy mogę liczyć na co innego?
- Nocą, kochana. Nocami będę ci pokazywał, że cię Kocham.
- Ach tak? - wykrztusiła.
- Może nie na tysiąc sposobów każdej nocy - przyznał - lecz ani chybi na tyle przekonująco, by w twym sercu nie zagościł choćby cień wątpliwości co do tego, że tylko ty się dla mnie liczysz. - Pocałował ją delikatnie.
- Tylko ty, Anne. Podniosła nań wzrok.
- Pokaż mi tedy.
- Pokażę.
I tak też uczynił.

Rozdział 40

Robin otworzył oczy, od razu w pełni rozbudzony. Chwilę jednak trwało, nim pojął, dlaczego jest mu tak ciepło, a pod plecami czuje piasek miast wygodnego piernata wypełnionego gęsim pierzem. Za ciepło odpowiadała jego żona, rozciągnięta na nim niczym koc, plecy zaś bolały go, ponieważ spał nad brzegiem morza.

Aczkolwiek musiał przyznać, że natychmiast dostrzegł dwa pozytywne szczegóły tej sytuacji. Po pierwsze, nadal żyje, a zatem przetrwał minioną noc. Po drugie, było mu rozkosznie ciepło pomimo faktu, że ani on, ani jego pani nie mieli na sobie odzienia. Bez wątplenia mieszkanie w namiocie ma swoje zalety.

Świeca się dopalała, dawała jednak nadal dość światła, by Robin dostrzegł, że powieki Anne zatrzepotały i się rozwarły. Uśmiechnęła się doń sennie.

- Ach, to ty - powiedziała, ziewając.

Roześmiał się mimo woli.

- A jużci, pani, to ja. Gbur, u którego boku zasnąłaś minionej nocy.

- Spaliliśmy? - zapytała figlarnie. - Chyba nie za wiele.

Jemu także utrwaliły się w pamięci raczej inne szczegóły; z pewnością też nie spali zbyt długo. Odgarnął włosy z twarzy swej pani, zastanawiając się, czy aby na pewno się przebudził. To, że była jego, zdawało mu się snem.

- Wiesz - odezwał się zaskoczony - niewykluczone, że jeszcze zostanę poetą.

- Tak?

- Przychodzą mi do głowy poetyckie myśli o tobie, kochana.

- Szkoda, że nie mam pergaminu i inkaustu, by je zapisać. Lutniarz Geoffrey byłby pod wrażeniem.

Zamrugał i spojrzał na nią zdziwiony.

- Powiedział ci? - Potem nasunęło mu się inne podejrzenie i oczy zwęziły mu się w szparki. - Siedziałas we wnęce okiennej.

- Przyznaję się do winy.

- Anne!

Z uśmiechem nachyliła się, żeby go pocałować.

- Tamten ranek jawi mi się cudownym podarunkiem - powiedziała. - Moim zdaniem jesteś wspaniałym bardem. Nadmiar elokwencji psuje pieśń, nie sądzisz?

- Sądzę, pani, żeś właśnie obraziła moje znakomite trubadurskie talenty. Muszę tedy zażądać od ciebie zadośćuczynienia i satysfakcji.

- Och, zrób to, proszę - odparła, uśmiechając się leniwie. - Żądaj, czegokolwiek zechcesz.

Szykował się do tego, zawahał się wszakże.

- Chyba poczynam sobie zbyt śmiało - rzekł cicho.

Na początku martwił się, że zmiażdży swą panią, albo przyprawi ją o ból w chromej nodze. Zachowywał przeto daleko posuniętą ostrożność, aliści musiał przyznać, że raz czy dwa entuzjazm wziął w nim górę.

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Nic mi nie jest. Szczerze.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością. Bierz się do dzieła, panie. Zostało nam chyba jeszcze trochę nocy, a słowo daję, żeś nadal nie zdołał całkowicie mnie przekonać o swym uczuciu.

Spojrzał na nią z wahaniem.

- Nie mówisz tego poważnie, prawda? Żeś nieprzekonana?

Uśmiechnęła się, przyciągając do siebie jego głowę.

- Przestań myśleć, Robinie, i kochaj mnie. Obiecałeś mi, pamiętasz?

Nie zdołałby zapomnieć. Kochał ją zatem, pełen radości. Święci pańscy, spłynęło nań większe błogosławieństwo, niż na to zasługiwał, albowiem w Anne odnalazł swą drugą połowę, nie tylko pod względem intelektu, ale i ducha.

Potem zaś wszystkie myśli wywietrzały mu z głowy.

Jakiś czas później zmusił się, żeby odrobinę unieść płótno namiotu i stwierdzić, czy już dnieje. Spojrzał na swoją panią.

- Powinniśmy wstawać - rzekł z niechęcią.

- Nadal wyglądasz na bardzo zmęczonego - zauważyła. - Chyba będziesz musiał zażyć nieco odpoczynku po posiłku.

- Tak sądzisz?

- Jestem pewna.

Odsunął się, żeby się jej przyjrzeć.

- Zadowolilem cię?

- O który raz ci chodzi? - zapytała grzeczenie.

- No cóż - mruknął - pierwszego nie będziemy omawiać.

- Był nader nieprzyjemny - zgodziła się.
- Potem jednak odnotowałaś poprawę?
- Ogromną.
- Tedy cię zadowoliłem?
- Powiem ci, gdy ustalę, czy w ogóle jestem w stanie chodzić - odparła, siadając z jękiem.
- Och, Anne. - Przeciągnął ręką po włosach. - Obawiałem się, że zrobię ci krzywdę.
- Robinie. - Dała mu prztyczka w ucho. - To miał być żart. Komplement.

Zamrugał ze zdumieniem, zastanawiając się, jakim cudem kiedykolwiek uważał Anne z Fenwyck za nieśmiałą i powściągliwą.

- W czym rzecz? - zapytała z uśmiechem. - Obraziłam cię?
- Święci pańscy, nie - odparł żarliwie. - Cenię twą szczerość.
- Pewnego dnia możesz zmienić zdanie.

Zasznurował usta.

- Przez całe moje życie regularnie smagałaś mnie ostrymi słowami, kochana. Przypuszczam, że wielce by mi tego brakowało, gdybyś przestała. Proszę, mów otwarcie.

Roześmiała się.

- Czy takich właśnie miłosnych deklaracji mogę oczekiwać za dnia?
 - Takich i innych - mruknął. Potem oszacował ją wzrokiem. - Już prawie świta. Nastawiłaś się na słowa czy na razie wolałabyś jeszcze nieco czynów?

Błyskawicznie wsunęła się z powrotem pod koce.

- Wolę czyny - oświadczyła. - Zwłaszcza jeśli można ich dokonać pod przykryciem.

Robin zdmuchnął świecę. Anne z Fenwyck, od niedawna z Artane, należała do niego, on zaś nie przepuścił żadnej okazji, by jej pokazać, jak bardzo się z tego cieszy. Świt może jeszcze trochę poczekać.

* * *

Słońce dawno już wzeszło, kiedy Robin wynurzył się z namiotu, wiodąc za sobą swoją panią. Polecił jej zaczekać, kiedy rozglądał się wokół, żeby stwierdzić, czy wartownicy trwają na stanowiskach. Trochę dalej rozstawiono namiot, który miał służyć za salę jadalną i zarazem lokum drużyny. W odpowiedzi na wołanie Robina wyłonił się stamtąd Jason, pocierając oczy. Robin skinął na niego. Giermek rozejrzał się, jakby się upewniał, czy chodzi o niego, po czym podbiegł.

- I co tam? - zapytał Robin. - Coś godnego uwagi?

- Nic, panie - odparł Jason. - Ludzie całą noc zmieniali się na stanowiskach, lecz nie dostrzegli niczego niezwykłego.

- Nikogo nie brakuje?
- Nie, panie. - Jason pokłonił się Anne. - Pani.
- Panie Ayre - odparła uprzejmie.

Giermek spojrział na Robina, uśmiechając się niepewnie.

- Dobrześ spędził noc, panie?

Robin prychnął, złapał Jasona za kark i nim potrząsnął.

- To nie twoja sprawa, chłopcze, lecz owszem, przetrwaliśmy.
- Pani Anne uroczo dziś wygląda - zauważył Jason.

Robin spojrział na nią, usiłując przywołać na oblicze srogi wyraz. Jej włosy, zwykle starannie uczesane, znajdowały się w nieładzie. Zapewne zbyt często zanurzał w nie dłonie. I te jej usta, nabrzmiałe od licznych pocałunków.

Zaiste, miała wygląd kobiety, która minionej nocy zaznała wielkiej namiętności, a teraz wstała, żeby rozprostować kończyny, zanim wróci po kolejną porcję rozkoszy.

Ów widok natchnął Robina do rozważań, czy nie uciąć sobie drzemki. Ostatecznie, jego obowiązkiem było dopilnować należytej konsumpcji małżeństwa.

- ...rejstry?

- Co? - rzucił Robin, uzmysłowivszy sobie, że Jason o coś go pyta. - Co mówiłeś?

- Rejestry sądowe - powtórzył Jason, spoglądając na Robina okrągłymi oczami. - Życzysz je sobie, panie?

Robinowi nasuwało się na myśl sporo rzeczy, których zyczyłby sobie o wiele bardziej niżli zapisków z dnia, kiedy rozsądzał spory, lecz chyba rzeczywiście powinien zająć się tą sprawą, dopóki jeszcze potrafił zebrać myśli. Poza tym, im szybciej rozwiąże zagadkę liściku, tym prędzej będą się mogli spakować i wrócić do izby sypialnej Rhysa z jej miękkim, wygodnym piernatem wypełnionym gęsim pierzem. Wskutek tej refleksji spojrział znacząco na Anne.

- Rejestry, panie? - powtórzył z naciskiem Jason.
- Niech go diabli. Robin spiorunował giermka wzrokiem.
- Przynieś je - warknął. - Przejrzę je od razu.

Jason wystrzelił jak z procy, Anne zaś się roześmiała. Robin zwrócił srogie spojrzenie na nią.

- Coś cię bawi?
- Patrzysz na mnie jak na smakowity udziec barani, w który zamierzasz się wgryźć.
- To komplement - rzekł łobuzersko.

Uśmiechnęła się doń.

- Wiem. I podziękowałabym ci zań pocałunkiem, lecz właśnie wraca twój giermek.
- Co z tego?
- Musisz dbać o reputację, panie.
- To tylko giermek.
- Racja - zgodziła się.

- Gdyby chodziło o dowódcę moich przybocznych albo jakiegoś wielmożę - rzekł wolno - wówczas byłbym zmuszony odmówić sobie twych słodkich względów w oczekiwaniu na stosowniejszy moment.

- Wszelako to tylko Jason - powiedziała.

- Da się go zastraszyć. - Uniósł brew. - A zatem?

Zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Robin objął ją, nim się cofnęła, przyciskając mocno do siebie. I nagle zdumiał się własną głupotą. Cóż z tego, że gapił się na nich jedynie giermek? Robin nie powinien pozwalać sobie na takie rozkojarzenie.

- Koniec z tym - wydyszał, kiedy się odsunęła. - Święci pańscy, umysł zamienia mi się w papkę.

Anne uśmiechnęła się pogodnie.

- Biedaku. Czy mam usiąść obok ciebie i służyć ci wsparciem?

- Święci niech mnie przed tym chronią - odparł z uczuciem. - Jasonie, mam nadzieję, żeś zabrał wino.

Zimne wino. Cokolwiek zimnego. Migiem.

Wybuchnęła śmiechem, a Robin uśmiechnął się na ten dźwięk. Zerknął ukradkiem na swoją panią i radość wypełniła mu serce. Jej piękne oblicze promieniało zadowoleniem, on zaś zdumiewał się, jak mógł okazać się takim głupcem i tyle lat zwlekać ze ślubem. Przynajmniej wreszcie zmądrzał.

Miał tylko nadzieję, że pożyje dostatecznie długo, żeby się tym nacieszyć.

Z tą właśnie myślą przystąpił do pracy, przedzierając się przez zapiski skryby w poszukiwaniu czegokolwiek podejrzanego. Jason dorzucał do ogniska, Anne zaś czytała Robinowi przez ramię. Można było skończyć z nudów. Wydawało się niewiarygodne, by spór o żywy inwentarz czy wodę zdołał na tyle rozeźlić człowieka, żeby pchnąć go do zabicia jego seniora. Aczkolwiek nierzadko mordowano i z bliższych powodów.

W rzeczy samej, Robin walczył dla ludzi, którzy mieli mniej podstaw do wszczynania wojny aniżeli ci tutaj. Całkiem możliwe, że zdenerwował kogoś tamtego dnia, kiedy sprawował sądy w zastępstwie ojca. Wszelako mocno powątpiewał, by zdołał w kimkolwiek wzbudzić chęć mordu. Choć ani chybi wzbudził takową w Maude z Canfield.

Zadrzał i zerwał się z miejsca. Musiał trochę pospacerować, przynajmniej wokół ogniska, skoro nie powinien się nigdzie oddalać. Liczył na to, że, będąc w ruchu, prędzej wpadnie na jakieś wyjaśnienie. Maude pragnęła śmierci Anne, a Robin w zasadzie rozumiał, co nią kierowało. Nawet kiedy jeszcze spoglądał na Maude z odrobiną sympatii, zastanawiał się, czy jest w pełni zdrowa na umyśle. Obawiał się, że ogłosi zapowiedzi tuż po tym, jak po raz pierwszy dzielił z nią pajdę chleba. Czyżby przyczaiła się w Artane w przebraniu służebnej dziewczki jedynie po to, żeby skrzywdzić Anne? Mało prawdopodobne.

Za tym wszystkim musiał stać ktoś inny, człek dostatecznie sprytny, żeby zaplanować morderstwo. Robin zaczynał się skłaniać ku podejrzeniu, że Maude była zaledwie pionkiem w grze owego nikczemnika. Jednak to by oznaczało, że prawdziwy winowajca wiedział o związkach Robina z Maude.

A to z kolei kazało przypuszczać, że ów osobnik choć raz odwiedził Canfield. Albo też podsłuchał tę plotkę w Artane.

Robin przystanął i spojrzał na swoją panią. Siedziała przy ognisku, wyciągnawszy przed siebie chromą nogę. Drugą zgięła tak, by oprzeć brodę na kolanie. Spływające jej z ramion włosy połyskiwały w promieniach słońca, które pieściły także jasną skórę Anne, nadając jej złoty odcień. Robinowi ścisnęło się serce. Nie może jej stracić. Jakaś częścią siebie żałował nawet, że w ogóle zagościła w jego łóżu i jego sercu. Bez wątpienia zaoszczędziłby sobie zgryzoty, gdyby nigdy jej nie zdobył. Ach, lecz ile by go wówczas ominęło! Podszedł i ukląkł przed nią. Zajrzawszy w jej jasnozielone oczy, po prostu musiał się pochylić i miękko ją pocałować.

- Kocham cię - szepnął. - Święci pańscy, Anne, jakże cię kocham.

Ze łzami w oczach dotknęła jego policzka.

- Ja także cię kocham - odparła cicho. - Tak bardzo, że twój widok zadaje mi ból.

- Tedy z nami obojgiem nie jest dobrze, pani, jako że podzielam twe odczucia.

- Cóż zatem poczniemy? - zapytała melancholijnie.

- Będziemy żyć - odparł. - Bardzo długo.

- Mam nadzieję - powiedziała. - Mam taką nadzieję.

Robin spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, utrwalając w pamięci jej uśmiech i miłość, jaką czytał w jej oczach. Później podniósł się z ziemi i rozejrzał w poszukiwaniu giermka. Im rychlej zacznie działać, tym prędzej rozwikła tajemnicę.

Kiedy ujrzał Jasona i towarzyszącą mu osobę, pomyślał, że rozwiązanie zagadki ma szansę nastąpić szybciej, aniżeli zakładał.

- Kogóż to przyprowadziłeś? - zapytał szorstko, kiedy Jason zatrzymał się przed nim.

- Reynaud z Agin - odparł mężczyzna, kłaniając się nisko. - Ostatnio z Segrave, dzięki łaskawości lady Joanny.

Laluś ze świty jego babki. Cudownie. Robinowi wydawało się przy tym, że ten właśnie człowiek był odpowiedzialny za pantofle ze szpiczastymi noskami. Robin miał trudności, żeby ich wszystkich odróżnić, wszelako tego akurat osła oglądał przynajmniej o jeden raz za dużo.

- Przynoszę wiadomość od mej pani - rzeki Reynaud, kłaniając się po raz kolejny. - Oto ona. - Afektowanym gestem wręczył Robinowi zwój.

Przeczytawszy szybko list, Robin z ponurym wyrazem twarzy zapatrzył się w niebo. Odnosił, że jest bezchmurne - rzecz niespotykana o tej porze roku. Zwykle wybrzeże spowijała mgła. Robin rad witał odrobinę słońca.

We mgle zabójca mógłby zakraść się tu niepostrzeżenie. Podjął decyzję. Oddał zwój Reynaudowi.

- Przekaż jej, że się zgadzam - rzekł lakonicznie.

- Wedle twej woli, panie - odparł mężczyzna, kłaniając się tak zamaszyście, że o mały włos nadziałyby się okiem na swe niedorzeczne obuwie. - Natychmiast wyrusz z powrotem.

- Nie zwlekaj - zachęcił go Robin.

Odprowadzał posłańca wzrokiem, dopóki nie zniknął za ostatnią wydumą. Potem odwrócił się i poszedł usiąść obok swej żony.

- Co się stało? - zapytała.

- Babka obmyśliła plan.

- Naturalnie.

- Uwzględniający tańce.

- Jakżeby inaczej - stwierdziła ze śmiechem Anne.

Spojrzał na nią chmurnie.

- Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

- Nie spodziewałabym się po tobie innej reakcji.

- Babka postanowiła zaprosić okolicznych panów na uroczystość na naszą cześć.

- Przesłucha gości przy wejściu do wielkiej sali czy też zaprosi ich do lochu, gdzie potraktuje ich rozgrzanym do białości żelazem? - dociekała wesoło Anne.

Robin chrząknął.

- Święci niech nas przed tym chronią.

- To się może udać.

- Możemy także oboje zginąć.

- Naucz mnie posługiwać się nożem - zasugerowała.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, czy zdobędzie się na spełnienie jej prośby. Słodka Anne ze sztyletem w dłoni? Pokręcił głową. Owszem, jego siostra świetnie władała rozmaitymi ostrzami i Robin bez trudu wyobrażał sobie, jak wbija dowolną ich liczbę w dowolną liczbę napastników. Wszelako Amanda miała w sobie bezwzględność, której Anne brakowało.

- Poradzę sobie - dodała.

Robin przyjrzał się jej baczniej, ponownie rozważając pomysł. Być może źle ją ocenił. Z pewnością sprawiała wrażenie dostatecznie zdeterminowanej. Ponadto nie zaszkodzi, jeśli będzie umiała przynajmniej się obronić.

- Potrafiłabyś zabić? - spytał cicho.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Broniąc ciebie. Albo dziecka. Tak, potrafiłabym.

- Nie mogłabyś się zawahać - przestrzegł. - Zawahasz się, a zginiesz.

- Naucz mnie.

- Nie chcę.

- Musisz.

Przysunął się do niej i otoczył ją ramieniem. Nie usatysfakcjonowało go to. Delikatnie posadził ją sobie na kolanach i objął. Zamknąwszy oczy, zanurzył twarz w jej włosach.

- Och, Anne - szepnął. - Nie wiem, jak...

- Uda ci się - powiedziała. - Pomogę ci.

Tulił ją, dopóki niechęć do tego brutalnego pomysłu nie wysączyła się z jego duszy. Fale monotonicznie uderzały o brzeg, ich szum sprowadzał nań ukojenie, tak że wreszcie Robin zdołał planować ów pomysł, nie krzywiąc się przy tym. Kiedy uznał, że może na nowo podjąć rozmowę, westchnął.

- Dobrze - rzekł ciężko.

Anne odsunęła się od niego uśmiechnięta.

- W twoim głosie słysząc zmęczenie, panie.
Zdobył się na półuśmiech.
- Sądzisz, że przydałby mi się odpoczynek?
- Prawdziwy odpoczynek, Robinie - powiedziała łagodnie. - Złóż głowę na moje łonie i zdrzemnij się trochę. Ja będę czuwać.
- Nie stracę cię, Anne. Przysięgam.
- Odpocznij, Robinie.
- Tylko kilka chwil - przystał.
Usadowił ją wygodnie i wyciągnął się na ziemi, składając głowę na jej podolku. Obnażony miecz leżał u jego boku, w zasięgu ręki. Robin z westchnieniem opuścił powieki. Nie zaśnie, lecz mimo to odpocznie. Nieznacznie się uśmiechnął.
- Odpoczynek ani chybi mi się przyda - rzekł cicho.
- Tak?
- Przy odrobinie szczęścia tej nocy znów czeka mnie ciężka praca.
- Wyczerpująca - zgodziła się. - Bez wątplenia.
Uniosł jedną powiekę.
- Tak sądzisz?
Zasłoniła mu oko dłonią, zdążył wszakże zobaczyć jej uśmiech.
- Sądzę bardzo wiele na temat twych wysiłków, panie, zachowam atoli te uwagi na później. Nie zasnąłbyś, gdybym teraz się nimi z tobą podzieliła.
- Zadowolilem cię.
- Owszem, Robinie. Zadowolileś.
Zamknął jej dłoń w swoich.
I zaczął liczyć godziny dzielące go od chwili, kiedy znów będzie mógł wyrazić swoją głęboką miłość do żony inaczej niżli tylko słowami.
A czyniąc to, niewątpliwie przypomni sobie, jak daleko gotów jest się posunąć, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.
Żał mu było głupca, który ośmielił się wystąpić przeciw niemu.

Rozdział 41

Anne stała plecami do kominka, zmuszając się, by trzymać ręce opuszczone luźno wzdłuż boków. Już samo to nosiło znamiona bitwy. Naturalnie było jej przyjemnie, że ogień ogrzewa jej skostniałe z zimna palce. Jakkolwiek w minionym tygodniu nie narzekała na brak żaru nocami, dni zebrały swoje żniwo.

Była jeszcze sprawa ostrza przymocowanego rzemieniem do jej przedramienia, pod rękawem, gdzie pozostawało niezauważone.

Nie umiała opędzić się od nieprzyjemnego wrażenia, że jest najemnikiem.

W dodatku wyjątkowo mało biegłym w swym rzemiośle.

Aczkolwiek czerpała pewną pociechę z faktu, że Robin stoi u jej lewego boku. Powtarzał Anne po wielokroć, że nie odstąpi jej ani na chwilę, gdyby zaś zostali zaatakowani, bez trudu obroni ich oboje.

Powinno ją to uspokoić. Ostatecznie jako szermierz Robin nie miał sobie równych.

Niemniej nawet on nie zauważyłby bełtu wystrzelonego z przeciwnego krańca sali.

Zamknęła oczy i zmówiła krótką modlitwę za bezpieczeństwo ich obojga. Niewykluczone, że święty Krzysztof jednak wysłuchiwał modłów, jakie zanosila u jego stóp przez wszystkie te lata, i Robin przetrwa wieczór bez uszczerbku. A kiedy nadejdzie pora spoczynku, schronią się w izbie księdza. Sam zainteresowany nie zapalał nadmiernym entuzjazmem do tego pomysłu, lecz Robin zignorował jego obiekcje. Twardo obstawał przy tym, że nie zostaną schwytani w pułapkę w sypialni jego ojca.

- Anne, pamiętasz lorda MacTavisha, nieprawdaż? - zapytał dwornie Robin. - Właśnie przybył ze swojego zamku na północy.

Jeden z najbardziej kłopotliwych sąsiadów Rhysa, odnotowała Anne, potakując z uśmiechem.

- Miło mi, panie.

MacTavish chrząknął.

- Lepiej szybko daj mu dziecko - rzucił obcesowo. - Twój mąż nie jest już młodzieniaszkiem.

To rzekłszy, oddalił się ciężkim krokiem, wołając o napitek.

- Cóż, jego możemy skreślić z listy podejrzanych - skomentował cicho Robin.

- Zbyt oczywisty?

- Zbyt żarłoczny. Już miał sos na koszuli. Wątpię, żeby porzucił uctowanie na czas potrzebny na dokonanie mordu.

Anne uśmiechnęła się, a później lekko poruszyła. Wtedy znów poczuła ciężar ostrza na przedramieniu i natychmiast otrzeźwiała. Święci pańscy, sytuacja nie skłaniała do żartów. Anne nie wątpiła, że morderca się pokaże, choćby po to, żeby dowieść własnego męstwa. Jak mogła zakładać, że zdoła się obronić ukrytym w rękawie nożem? Ręka jej drżała, ledwie po niego sięgała. Robin miał chyba słuszość, nie potrafiłaby zabić. Zawahałaby się, a potem byłoby za późno.

Jakby odczytując jej myśli, Robin otoczył ją ramieniem i mocno uściśnął. Spojrzał na nią z powagą bez słowa. Anne odetchnęła głęboko, wyprostowała się i skinęła głową. W stosownej chwili zrobi, co będzie konieczne. Robin nachylił się ku niej, zbliżając usta do jej ucha.

- Zaplanowałem coś dla ciebie.

- Tak? - zamruczała.

- Na później. Wepchniemy księdzu do uszu trochę sukna, żeby go nie denerwować.

Jego wiara, że nastanie jakieś później, działała na nią pocieszająco. Anne wiedziała, że starał się ją rozluźnić, lecz nie zdołała powstrzymać fali smutku na myśl o grożącej jej stracie. Mieć Robina tak krótko, by zaraz jej go odebrano? Jeżeli zaś przetrwają obecne kłopoty, Anne nie przeżyłaby, gdyby znów wyruszył na wojaczkę.

- Przystań rozmyślać - szepnął Robin. - To cię rozprasza.

- Wedle twojej woli, panie.

- Różni strojniesz kręcą się po sali, słuchając i zapamiętując. Wszędzie rozstawiłem strażę. Nawet babka zaopatrzyła się w parę ostrych igieł i święci pańscy wiedzą, co jeszcze. Wszystko będzie dobrze.

Spojrzała na niego i spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie zostawisz mnie samej?

- Ani na chwilę - obiecał.

- W przeciwnym razie musiałabym ochraniać ci tyły.

Wygiął usta w półuśmiechu, czytała wszakże z jego oczu, że te słowa przyniosły mu ulgę. W jego spojrzeniu widziała także miłość i obiecała sobie, że poświęci sporo czasu na kontemplację owej tajemnicy, kiedy zabójca zostanie wreszcie ujęty i stosownie potraktowany.

Zbliżyła się do nich Joanna, za którą postępowało kilka osób z jej świty. Ucałowawszy Anne, spojrzała na Robina.

- Wygląda na to, że wszyscy zaproszeni już przybyli, wnuku. Zaczynamy uroczystość?

- Jakąś przemowę? - zapytał ponuro Robin.

- Oczywiście.

Gospodarz musi powitać swoich gości.

Robin miał taką minę, jakby polecono mu gołymi rękami oczyścić dół kloaczny. Westchnął ciężko, ujął Anne za rękę i poprowadził do pańskiego stołu. Anne zmusiła się, żeby nie oglądać się z niepokojem do tyłu, gdzie stali dwaj przybocznicy Robina i ich dowódca, a także Jason. W rzeczy samej wielką salę otaczał pierścień ludzi Robina i Joanny, przy czym Anne o wiele łatwiej rozpoznawała tych drugich, a to za sprawą ich barwnych strojów.

- Czcigodni goście - rzekł głośno Robin, unosząc puchar w geście toastu. - Witam was na mej uczcie weselnej. Jedzcie do syta, pijcie, ile dusza zapagnie, i radujcie uszy pieśniami wyśmienitych trubadurów, którzy są tu dla waszej przyjemności.

Obserwując go, Anne uzmysłowiła sobie, że nie skosztował wina. Biesiadnicy zapewne sądzili, że to zrobił, uniósł bowiem puchar ust - nie napił się z niego jednak.

Potem zaczął rozmawiać z najbliższymi sąsiadami. W istocie konwersacja pochłonęła go do tego stopnia, że nie miał czasu nic zjeść. Rzucił psom po kasku z każdej ze znajdujących się przed nimi potraw. Kiedy żadne zwierzę nie padło na podłogę, powalone nagłą niemocą, Anne sięgnęła po jedzenie.

Robin chwycił jej dłoń i przytrzymał w swojej, nie przerywając rozmowy z siedzącym obok niego wielmożą.

Najwyraźniej obawiał się trucizny o powolnym działaniu.

Anne zastanawiała się, jak przetrwa tę noc z pustym żołądkiem.

- Chleb - odezwała się siedząca u jej prawego boku Joanna. - Wyśmienity i pożywny.

Anne spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Żadnych niepożądanych dodatków?

- Żadnych. Mój kucharz za to ręczy.

Takie zapewnienie w zupełności Anne wystarczyło. Na tle potraw, jakimi zastawiono stół, był to posiłek nader skromny, lecz przynajmniej nie zagrażał jej życiu. Żywiła głęboką nadzieję, że to samo da się powiedzieć o tańcu.

Trubadurzy od początku przygrywali biesiadnikom do posiłku, jednak w pewnym momencie uderzyli w struny raźniej i Anne wiedziała, że nastąpiła pora, by ona i Robin zaprezentowali się gościom. Joanna poinformowała ich zawnazu, że spoczywa na nich obowiązek odtąnczenia tylko we dwoje jednego tańca na oczach całego towarzystwa.

Goście cofnęli się pod ściany, kiedy Robin prowadził ją wokół wysokiego stołu. Pozostałe sprzęty odsunięto na bok, żeby zrobić miejsce. Robin spojrzał na nią tylko raz, kiedy rozbrzmiała muzyka, i Anne wiedziała, że oboje pomyśleli to samo. Niechże to nie będzie nasz ostatni taniec.

Robin nie zmylił kroku, Anne zaś mimochodem podziwiała ów fakt, odnotowując w pamięci, żeby później skomplementować męża. Zarazem wyczuwała, że jego uwaga koncentruje się na czym innym; także ten szczegół zasługiwał na pochwałę przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Ponad dźwięki lutni nie wybił się brzdęk zwalnianej cięciwy.

Nikt nie rzucił się przez stół z ostrzem w dłoń.

Anne zaczynała rozważać, czy nie popełnili błędu. Czy wiadomość mogła być tylko marnym żartem?

Rozejrzała się. Nie zauważyła nikogo z Canfield przybyłego pomścić śmierć Maude. Nawet Baldwin nie powrócił, żeby ich dręczyć.

Ten spokój wydawał się wręcz denerwujący.

Potem rozpoczęły się właściwe tańce.

Robin pozostał u jej boku mimo licznych próśb, by asystował czyjejś żonie lub córce. Wykrecał się skromnie, odpowiadał wymijająco, otwarcie odmawiał. Anne żywiła nadzieję, że nie obraził połowy okolicy, wszelako ani myślała puszczać go, żeby schlebiał komu innemu.

Kiedy muzyka umilkła, stali naprzeciw siebie. Robin ujął dłonie Anne i spojrzał na nią z powagą.

- Jak na razie bezpiecznie - stwierdził.

- Owszem - zgodziła się. - Może to wszystko było...

W tejże chwili narósł zgiełk tak potworny, jakby rozwarły się wrota piekieł.

Przy wejściu się zakotłowało. Anne straciła rachubę, ilu mężczyzn wplątało się tam w bijatykę. Kiedy zaś tłum się rozstał, trzy postacie wystąpiły chwiejnie na środek wielkiej sali i tam upadły. Nicholas, Amanda i Miles.

Robin chwycił Anne za rękę i pociągnął ją za sobą. Potknęła się kilka razy, usiłując za nim nadążyć, kiedy wściekle stawiał kroki. Ukłąkł obok rodzeństwa.

- Co się wam przytrafiło? - zapytał gwałtownie.

Amanda lkała tak rozpaczliwie, że nie umiała dobyć z siebie choćby słowa. Również Nicholas i Miles zdawali się niezdolni do udzielenia odpowiedzi. Wyglądali tak, jakby właśnie zbiegli z pola bitwy. Wszyscy troje byli uwalani krwią, najwyraźniej w znacznej mierze ich własną.

- Robinie, trzeba ich opatrzyć - powiedziała Anne, szarpiąc męża za rękaw. - Zabiorę ich do mistrza Erneisa.

Zawahał się, lecz rychło skinął głową.

- Poślę z wami przybocznych. - Na jego czole pojawił się głęboki mars. - Ja chyba powinienem uspokoić naszych gości.

- Tak, zajmij się nimi - zgodziła się. - Może w tym zamieszaniu ktoś się z czymś zdradzi.

Ucałował jej dłoń.

- Postaram się jak najszybciej do ciebie dołączyć.

- Nic mi nie będzie. Uważaj raczej na siebie.

Skinął głową i dał znak swoim ludziom. Anne poczuła nie lada ulgę, kiedy otoczyli ją budzący respekt przyboczni Robina.

Zebrań rannych z podłogi i doprowadzenie ich do chaty uzdrowiacza trochę trwało. Anne weszła z nimi, zostawiając ludzi Robina na dworze. W środku nie wystarczyłoby dla nich miejsca, a poza tym uznała, że bardziej się przydadzą, pełniąc wartę przed drzwiami.

Rany Nicholasa okazały się najpoważniejsze; Anne aż się krzywiła, asystując przy ich zszywaniu. Gwałtowne łkanie Amandy przeszło w drżenie i pociąganie nosem. Dziewczyna siedziała u wezłowania Nicholasa, na przemian to łałamując ręce, to znów przecierając rękawem twarz.

- To tylko parę zadrapań - zachrypiął Nicholas.

Anne spojrzała na Amandę.

- Co wam się przydarzyło?

Amanda pokręciła głową.

- Na razie nie jestem w stanie o tym mówić. Zajmijcie się Nicholase, wyciągnijcie go z tego.

Anne popatrzyła na mistrza Erneisa, modląc się, aby podołał zadaniu. Choć nie odmawiała mu umiejętności, żalowała, że nie było tu mistrzyni Berengarii z jej jakże skutecznymi miksturami. Mimo wszystko jednak Erneisowi nie brakowało bystrości, nawykł też do leczenia ran z różnorodnych potyczek. Świadomość tego przynosiła Anne ulgę.

Z drugiej strony, sir Montgomery'ego powaliła rana znacznie mniej groźna od którejkolwiek z odniesionych przez Nicholasa. Odsunęła od siebie tę myśl.

Spojrzała na Milesa, który leżał na sienniku, cierpliwie oczekując na swoją kolej. Zaczęła rozcinać na nim tunikę.

- Dasz radę mówić? - zapytała.

- Zawsze - odparł ze słabym uśmiechem.

- Opowiedz mi, co zaszło.

- Zbójcy - wyjaśnił, zanosząc się kaszlem. - Wypadli na nas spomiędzy drzew.

- Dlaczego w ogóle opuściliście warownię? - dociekała ze zdziwieniem Anne. - Sądziłam, że udaliście się tam na dłużej. I gdzie się wtedy podziewali przyboczni Nicky'ego?

Miles jęknął, kiedy wyciągała mu materiał spod pleców.

- Pojechaliśmy przodem, zostawiając ich, żeby się zajęli ekwipunkiem. Wszystko z powodu wiadomości, którą nam przysłaliście.

- My? - zdumiała się Anne.

- Uznaliśmy, że Robin miał nieźle w czubie, kiedy to pisał - wtrąciła głuchym głosem Amanda.

- Pismo było prawie nieczytelne.

- Z licznymi... błędami - dodał przez zaciśnięte zęby Miles.

- Nie słałiśmy wam żadnej wiadomości - powiedziała zaskoczona Anne.

Przez chwilę Amanda patrzyła na nią, mrugając w milczeniu.

- Stało w niej, że pilnie nas potrzebujecie - odezwała się wreszcie.

- To było kłamstwo - odparła Anne, a po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz. - Nigdy...

Poczuła na karku podmuch, jakby ktoś wszedł do wewnętrznej izby mistrza Erneisa. Zerwała się na równe nogi i okręciła na pięcie. Przed nią stała Edith z Sedgwick.

- Pomyślałam, że przyda się wam pomoc - wyjaśniła spokojnie.

Wszelako Anne ujrzała w oczach tej kobiety znacznie więcej niżli tylko spokój. W istocie czający się w nich chłód przyprawił ją o dreszcze, których nie ukoilby żaden ogień. Wiedziała - po prostu wiedziała - że patrzy w oczy śmierci. Kompletnie zaschło jej w ustach. Spróbowała przełknąć ślinę, daremnie jednak.

- Pomoc by się nam przydała kilka godzin temu - stwierdziła ze zmęczeniem Amanda.

Anne kazałaby jej zamilknąć, nie umiała wszakże wydusić z siebie ani słowa. Spoglądała tylko w oczy Edith, widząc w nich koniec własnego życia.

- Wszędzie roi się od zbójców - zauważyła Edith cichym, opanowanym głosem, na dźwięk którego Anne miała chęć krzyknąć. - Podróżowanie stało się bardzo niebezpieczne.

Miles prychnął.

- Rzekłbym, że nawet śmiertelnie.

- Niech będzie, że śmiertelnie - zgodziła się Edith, wzruszając ramionami.

Potem wsunęła dłoń pod płaszcz. Anne przyglądała się temu z trwogą, świadoma, że w tej właśnie chwili powinna sięgać po sztylet. O zgrozo, odkryła, że nie potrafi.

Patrzyła śmierci prosto w twarz i czekała, bezsilna i przerażona.

Za plecami Edith otwarto i z hukiem zamknięto drzwi. Ktoś zatupał ciężkimi buciorami, a następnie zatarł ręce.

- Piekielny ziąb - pozałił się Robin. - Przepraszam cię, Edith. Muszę sprawdzić, jak się miewają dzieciaki.

Edith wyjęła dłoń spod płaszcza, spojrzała na Robina i obdarzyła go przyjaznym uśmiechem, od którego niejednemu zrobiłoby się ciepło na sercu.

- Twoi przybocznicy byli uprzejmi, mnie przepuścić - odezwała się. - Sądziłam, że na coś się tu przydam, lecz najwyraźniej nie ma takiej potrzeby.

- Wielkie dzięki - rzekł Robin, klepiąc ją zdawkowo po ramieniu. - Pewnie chętnie wrócisz do donżonu. Weź sobie do ochrony jednego z moich ludzi.

Anne chciała krzyknąć, że ów człek wystawi swoje życie na niebezpieczeństwo, lecz jeno gapiła się na Edith, niezdolna dobrać do siebie głosu.

Robin zajął się oględzinami rodzeństwa, Anne zaś po raz kolejny stanęła twarzą w twarz z Edith. Kobieta uśmiechnęła się.

Dla Anne był to zaiste potworny widok.

- Pani - szepnęła Edith, po czym odwróciła się i opuściła izbę. Anne stała, dygocąc.

Kiedy wszakże drzwi się zamknęły, natychmiast doskoczyła do Robina. Zachwiał się zaskoczony, lecz rychło odzyskał równowagę i mocno ją przytulił.

- O co chodzi? - zapytał zbity z tropu. - Coś nie w porządku?

- To ona - syknęła Anne. Wskazała palcem drzwi za plecami. - Ona!

- Kto? - dociekał, mrugając bez zrozumienia.

- Edith, głupcze!

Spoglądał na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- O czym ty mówisz, Anne?

- Edith! - szepnęła gorączkowo. - To ona jest morderczynią!

Robinowi opadła szczęka.

- Chyba żartujesz.

- W żadnym razie!

- Anne, to przecież Edith - powiedział takim tonem, jakby samo imię kobiety stanowiło gwarancję jej niewinności i dobroci.

- Ona za tym stoi!

Z jękiem przytulił ją do siebie.

- Anne, wierzę, żeś jest o tym przekonana - rzekł cicho. - Zdaję sobie sprawę, że masz za sobą dwa piekielnie ciężkie tygodnie...

- Które w twoim towarzystwie bez wątpienia jawiły jej się niczym dwa piekielnie ciężkie lata... - wtrąciła Amanda.

Anne przytrzymała męża, zanim zdołał wziąć odwet na siostrze.

- Dwa piekielnie ciężkie tygodnie - powtórzył z naciskiem Robin - i ani chybi z tego powodu zawodzą cię nerwy.

- Nie zawodzą mnie nerwy.

Odsunął się, spoglądając na nią z powagą.

- Anne, co by Edith przyszło z zabicia mnie?

- Być może chce jedynie mojej śmierci, żeby zdobyć cię dla siebie - odparła Anne, znów cała drżąca.

- Dlaczego miałyby pragnąć Robina, to jest dopiero tajemnica - wymamrotała Amanda.

Robin wzniosł oczy ku powale i wolno wypuścił powietrze z płuc. W tej tak dlań typowej reakcji Anne znalazła pocieszenie. Robin sięgał w głąb siebie po cierpliwość, która pozwoli mu znieść docinki siostry. Przynajmniej to jedno pozostało niezmienione w świecie, gdzie wszystko inne uległo właśnie przeobrażeniu. Dzięki temu Anne skłonna była uwierzyć, że jest dla nich nadzieja na spokojne życie. Wszelako nie spełni się, dopóki Robin nie dostrzeże tego, co dla niej stało się oczywiste.

- Mylisz się - oznajmiła mu bez ogródek.

Spojrzał na nią chmurnie, z wolna jednak malujące się na jego obliczu niezadowolenie ustępowało miejsca zadumie.

- Co chcesz, żebyśmy zrobił?

- Powiedz swoim ludziom, żeby więcej jej nie wpuszczali.

Przez chwilę przyglądał się Anne w milczeniu, aż w końcu skinął głową.

- Wedle twojej woli, pani. Nie wierzę wszakże, by była zdolna do takiego zła.

- Czas pokaże - stwierdziła ponuro Anne.

Robin uściskał ją krótko.

- A jakże. Tymczasem wyjaśnijmy bieżące zamieszanie. - Nadal obejmując ją ramieniem, spojrzał na rodzeństwo. - Proszę o relację.

Po chwili Anne siedziała na stolku, podczas gdy Robin przechadzał się, słuchając opowieści. Jej samej zaś trudno było się skupić. Bez względu na opinię Robina wiedziała, co zobaczyła.

Pojmowała też, że zawiodła. Miała broń, a przecież nie zdobyła się na to, by jej użyć. Chyba powinna zwrócić się o wsparcie do Amandy. Ze stanu odzienia przybranej siostry wniosowała, że obrona za pomocą takiego czy innego ostrza leży w zasięgu jej możliwości. Osobiście mogła zaświadczyć o skuteczności ostrego języka i otwartej dłoni Amandy, jako że ta wielokrotnie broniła jej honoru, kiedy jakiś giermek okazał się na tyle zuchwały, by głośno obrazić Anne.

- Gdzie ta wiadomość? - zapytał Robin.

Amanda wydobyła pognieciony, zakrwawiony pergamin i podała go bratu. Robin wygładził go i uważnie obejrzał.

- Ja tego nie wysłałem.

Miles parsknął cichym śmiechem.

- Mówiłem Amandzie, że nie zrobiłbyś aż tylu błędów, lecz obstawała przy swoim.

Robin spojrzał wilkiem na siostrę, po czym przeniósł wzrok na brata.

- Kto to dostarczył?

- Jakiś nieznajomy.

- Czemu tedy daliście się oszukać?

Miles wskazał na tylną stronę listu.

- Twoja pieczęć, bracie.

Robin rzucił Anne krótkie spojrzenie, po czym znów skupił uwagę na rodzeństwie.

- Kto na was napadł?

- Najęci zbójcy - odparł natychmiast Miles. - Wszakże sporą gromadą. Było ich chyba z tuzin.

- Ilu zabiliście?

- Zdaje się, że ośmiu. Szczęśliwie dla nas, przybocznik Nicka przybyli, gdy już niemal ulegliśmy. Pozostali napastnicy uciekli, kiedy usłyszeli jeźdźców. - Miles uśmiechnął się do Amandy. - Nasza siostra poczyniła sobie nader mężnie. Przypuszczam, że kiedy zorientowali się, że jej nogawice i tunika są przebraniem, spodziewali się omdlewającej panny. Zamiast tego przyszło im się zmierzyć z rozszalałym sztyletem.

- Położyłaś jakiegoś? - zapytał siostrę Robin.

Spojrzała nań ponuro.

- Owszem. Jednego.

Robin milczał przez chwilę. Przeciął izbę, pochylił się i objął siostrę.

- Przykro mi - rzekł cicho. - To zawsze ma swoją cenę.

Amanda zdawała się bliska płaczu. Wzięła głęboki oddech, a potem z drzeniem wypuściła powietrze.

- Owszem - zgodziła się. - Miało.

Robin pocałował ją w czoło, a potem podniósł się, spoglądając na nią z góry.

- Widzę, żeś się dorobiła paru blizn.

Na usta Amandy wypłynął niepewny uśmiech.

- Muszę więcej ćwiczyć ze sztyletem, jako że słowa okazały się w tym wypadku mało skuteczną metodą obrony.

Obserwując mistrza Erneisa, który zajął się teraz Amandą, Anne uzmysłowiła sobie, że męstwo dziewczyny rzeczywiście miało swoją cenę. Jakkolwiek nie odniosła ona poważniejszych ran, jedno czy dwa rozcięcia wymagały szycia. Umiejętność władania bronią najwyraźniej kosztowała drożej, aniżeli Anne zakładała.

- Kontynuując tę przykrą opowieść - podjął Miles, pociągnawszy spory łyk leczniczego wywaru - kiedy pozostali zbójcy uciekli, pozbieraliśmy się jakoś i wraz z ludźmi Nicka co koń wyskoczy pognaliśmy tutaj. Z trudem przedarliśmy się przez twoje strażnice. - Spojrzał na Robina. - Przypuszczam, że mieliście nowe kłopoty?

Robin wyjął otrzymany przez siebie liścik i podał go bratu.

- Co tam napisano? - zapytał z wysiłkiem Nicholas.

- Ktoś zamyśla uśmiercić Robina - wyjaśnił krótko Miles. Spojrzał na Nicholasa, wzruszając ramionami.

- Nic niezwykłego.

Anne ścisnęła dłoń Robina. W jej umyśle płonęło jedno imię.

- Anne, kochana - rzekł Robin. - Edith mnie nie chce.

- Nie wiesz tego...

- Jej ojciec ma dla niej konkurentów - nalegał.

- Nie widziałeś, jak ona...

- Ani chybi niedawne wydarzenia zdenerwowały ją równie mocno jak nas.

- Nie jestem przekonana. Westchnął.

- Będę ją miał na oku.
- I Sedgwicka także - wtrącił Miles. - Ten na pewno nie darzy cię miłością.
- Podobnie jak wielu innych - stwierdził ponuro Robin. - Ze strony Baldwina nie mamy się zresztą czego obawiać, jako że ostatnimi czasy nie zaszczycał nas swą dostojną obecnością.

W izbie zapanowała nagle cisza. Także uzdrowiacz zaprzestał udzielania pomocy Amandzie i spojrzął na Robina. Trwali tak kilka chwil - nikt się nie ruszał, zdawało się, że nikt nawet nie oddycha.

- Nie myślisz chyba... - szepnął Miles.

- Wykluczone - zawyrokowała Amanda, kręcąc głową.

- No cóż - zachrypiął Nicholas - błędy w tej wiadomości... były zaiste koszmarnie.

Anne ze zdumieniem podniosła wzrok na Robina.

- Sądzisz, że to możliwe?

- Sądzę - odparł wolno - że każda decyzja, jaką podejmiemy w tej chwili, okaże się niewłaściwa. Wszyscy niedawno zbyt ucierpieliśmy, żeby jasno rozumować. - Spojrzął na rodzeństwo i zdobył się na coś w rodzaju uśmiechu. - Odpocznijmy dzisiejszej nocy, a jutro podumamy nad tą zagadką. Bez wątpienia w dziennym świetle zobaczymy sprawy wyraźniej.

- Ja tam w to wątpię - stwierdził cicho Miles. - Nie pogardzę jednak odpoczynkiem. Chyba że chcesz, żebym pełnił wartość?

- Moi przybocznicy są na zewnątrz. Można też posłać po ludzi Nicka. Tutaj nic nam nie grozi.

- A co z twoją babką? - zapytała Anne. - I Jasonem? Został w donżonie, żeby jej strzec.

Robin zawahał się.

- Jest ostrożna.

- Wszelako może nie patrzeć we właściwym kierunku.

Westchnął.

- W porządku. Poślę jej wiadomość.

- Zamknąłbyś raczej Edith w lochu - powiedziała z drżeniem Anne.

- Jak wtedy moglibyśmy stwierdzić, czy to ona za wszystkim nie stoi? - zapytał z uśmiechem Robin.

- Ataki by ustały.

- Lepiej, żeby trwały nadal - rzekł, nagle bardzo skupiony. - Owszem, jest w tym sens. Chyba niewłaściwie podeszliśmy do sprawy.

- To znaczy jak? - zapytała. - Broniąc się?

- Dokładnie - potwierdził. - Niewykluczone, że odniesie większy skutek, jeśli uczynię z siebie łatwy cel i zobaczę, kto skorzysta z okazji.

- Nie mówisz poważnie - obruszyła się.

- Mówi - orzekł Miles. - Spójrz na ten złowrogi błysk w jego oku. - Pokręcił głową. - To zawsze wróży kłopoty.

Przyjrząwszy się mężowi, Anne przekonała się, że Miles ma rację. Wydawało się przy tym wielce wątpliwe, by w jakikolwiek sposób zdołała odwieść Robina od szalonego planu dojrzewającego w jego głowie.

A skoro zamierzał zginąć nazajutrz, pozostawało jej tylko uczynić dobry użytek z tej nocy. Popchnęła go ku drzwiom.

- Wyślij wiadomość do babki - rozkazała.

Zamrugnął, niemniej poszedł wypełnić polecenie. Anne odwróciła się do przybranego rodzeństwa.

- Wy troje odpoczywajcie.

W odpowiedzi uzyskała trzy mniej lub bardziej zdecydowane potaknięcia. Następnie spojrzała na mistrza Erneisa.

- Gdzie Robin mógłby spokojnie wypocząć?

W izbie stało wiele prycz, lecz nie było tu mowy o prywatności. Biorąc zaś pod uwagę, że Anne zaplanowała dla męża inne zajęcia niżli tylko sen, te ustawione na widoku łóżka nie nadawały się do jej celów.

- A jakże, mój siennik - odparł Erneis, wskazując na drugi koniec pomieszczenia. - Można zaciągnąć kotarę, żeby odgrodzić się od światła.

- Będziesz doglądać mojej rodziny? - zapytał zmęczonym głosem Robin. - Obudź mnie, gdyby coś się działo.

- Oczywiście, panie.

Robin spojrzął na uzdrowiacza i wstrząsnął nim dreszcz.

- Wybacz, mistrzu Erneisie, lecz zbyt wiele życia upłynęło mi w tych pomieszczeniach. Wiedz, że z wielką niechęcią pozbawiam cię łoża.

Anne odciągnęła Robina, nim zdążył zmienić zdanie.

Alkova Erneisa nie zapewniała luksusu takiej prywatności jak namiot Robina, niemniej musiała im wystarczyć. Anne zasunęła kotarę i otoczyła męża ramionami. Zmierzył ją wzrokiem, marszcząc brwi.

- Nie śpimy?

- Później.

Przygarnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Wszystko będzie dobrze, Anne. Przysięgam.

- Jednakowoż, na wypadek gdyby miało się zdarzyć inaczej, chodź tutaj i postaraj się zanadto nie hałasować.

Poczuła na ustach jego uśmiech.

- Ach, Anne, zaiste cię kocham.

- Pokaż mi tedy, jak bardzo - powiedziała, pociągając go na siennik. - Wszak mamy noc.

- Ja zaś dotrzymuję obietnic.

- Obiecaj mi zatem, że nie zrobisz nic głupiego.

- Nie wiem, czy uczciwie jest wymuszać przyrzeczenie od mężczyzny, który właśnie swawoli ze swoją panią.

- Obiecaj mi, Robinie - powtórzyła, przybliżając do siebie jego głowę i całując go namiętnie. - Obiecaj.

W odpowiedzi jeno stęknął, co musiało jej wystarczyć za zapewnienie. Z drżeniem myślała, co też mogło mu chodzić po głowie, i pokładała nadzieję, że ten koncept nie okaże się na tyle ryzykowny, by zakończyć jego życie. Jakkolwiek bowiem nie potrafiła stwierdzić, kto stał za napaścią na Nicholasa, Amandę i Milesa, nie miała wątpliwości co do tożsamości autora znalezionej przez Robina liściku.

Jednej kwestii jednak wciąż nie rozumiała i to podważało słuszność jej domysłów.

Dlaczego Edith pragnęłaby Artane?

Jeśli zaś rzeczywiście pożądała Artane, cóż by jej przyszło ze śmierci Robina?

- Anne, przestań myśleć - szepnął Robin.

- Nie potrafię...

- Owszem, potrafisz. Pozwól, że ci pomogę.

Nie dało się zaprzeczyć, że posiadał dar przekonywania i umiał sprawnie odwrócić jej uwagę od innych kwestii. Niewykluczone, że miał również słuszność, twierdząc, że rankiem ujrzą wszystko jaśniej. Tymczasem jednak Anne powinna zrobić jak najlepszy użytek z nocy.

Rozdział 42

Pięć dni później Robin stał na schodach wiodących do wielkiej sali i rozdrażniony spoglądał na dziedziniec. Aż do tej pory zajmował się uprzejmym wyprasaniem gości, przy czym osiągnął cel dopiero po zapewnieniu przybyłym kilku dni kosztownych rozrywek i długiego uctowania. Posunął się nawet do zorganizowania walki na kopie, mimo że doskonale wiedział, że jest to dozwolone jedynie na królewskich turniejach.

Nigdy dotąd nie spędził równie nieprzyjemnego dnia na placu potyczek.

Uzmysłowił sobie, że z byciem możliwym panem wiąże się znacznie więcej, niżli pierwotnie przypuszczał, przy czym w znacznej mierze sztuka polega na dokładaniu starań, by nie poniżyć w szrankach potencjalnych sojuszników. Naturalnie Robin wyszedł ze wszystkich potyczek zwycięsko, albowiem nie przegrałby jedynie dlatego, aby polećtać czyjaś próżność, jednak było to wyczerpujące ćwiczenie, jako że każde starcie przeciągał znacznie bardziej, aniżeli mu to odpowiadało. W dodatku musiał nieustannie poświęcać uwagę Anne i babce na trybunach.

I nie zapominać także o własnej skórze, jeśli nie chciał wzbogacić się o strzałę między zębami. Dlatego z wielkim entuzjazmem i ulgą odprowadzał wzrokiem ostatnich sąsiadów wyjeżdżających przez główną bramę. Gdyby tak jeszcze równie sprawnie pozbył się babki i jej świty, mógłby poświęcić się realizacji swojego pierwotnego planu. To znaczy stać się łatwą zdobyczą.

Czyjaś ręka wślizgnęła się w jego dłoń; nie musiał nawet odwracać głowy, żeby stwierdzić kto to. Uśmiechnął się mimo woli. Święci pańscy, co też go niemal ominęło przez jego własny upór!

- Przypuszczam, że niewiele da, jeśli powtórzę po raz kolejny, że mi się to nie podoba.

Odwrócił się w jej stronę i serce mu się ścisnęło. Nie potrafił już patrzeć na swoją panią, nie wyobrażając sobie natychmiast, że ją traci.

Sam siebie doprowadzi do zguby i tym sposobem nigdy więcej nie będzie cieszyć się jej towarzystwem.

- Możesz mi to powiedzieć, aliści masz rację, że niewiele wskórasz - odparł cicho.

- Przeklęty uparciuch.

Skrzywił się, widząc w jej oczach autentyczną troskę.

- Anne, co innego mogę zrobić?

Westchnęła.

- Nic.

- Będę ostrożny.

Uniosła rękę, pokazując mu ukryte w rękawie ostrze.

- Mogłabym zabezpieczać ci tyły.

- Módlmy się, żeby nie było ku temu potrzeby, wszelako rad byłbym z takiej ochrony.

Chociaż widząc, jaki wpływ zabicie człowieka - nieistotne, że w samoobronie - wywarło na jego siostrę, Robin bynajmniej nie był pewien, czy chce, żeby Anne w ogóle zbliżała się do mordercy. Blisko tydzień po zdarzeniu Amanda nadal dygotała.

Robin zapatrzył się na dziedziniec, dumając nad wieloma sprawami. Kto zdołałby użyć jego pieczęci w taki sposób, żeby się nie zorientował? Chyba że wykorzystano pieczęć jego ojca.

Na chwilę zatrzymał się przy tej myśli. Powątpiewał, by ojciec wyjechał bez czegoś tak ważnego, lecz nie dało się tego wykluczyć. Podobnie jak i tego, że w dowolnym momencie minionych dwóch tygodni pieczęć mogło następnie zabrać z komnaty Rhysa wiele różnych osób. Chociażby Baldwin.

Dlaczego jednak Baldwin pragnąłby skrzywdzić rodzinę Robina? Nim Robin zdążył się głębiej zastanowić nad tą kwestią, jego własne słowa uderzyły weń z siłą tuzina pięści.

„Jak można najdotkliwiej zranić mężczyznę? Atakuję najpierw to, co kocha najbardziej”. Wolno wypuścił powietrze z płuc. Kto wie, czy Baldwin mimo wszystko nie odpowiada za tę napaść. Z chwili na chwilę Robin nabierał większego przekonania do tej koncepcji. Ostatecznie Baldwin opuścił warownię przeszło dwa tygodnie temu, miał zatem dość czasu, by zwędzić pieczęć z komnaty Rhysa. I bez wątplenia nie pałał miłością do Nicholasa czy Milesa. Ponadto nie potrafiłby skreślić kilku słów, choćby od tego zależało jego życie; Robin zdumiałby się, gdyby Baldwin umiał się podpisać. Pozostawało tajemnicą, dlaczego Baldwin chciał zranić Amandę, wszelako czyż Miles nie mówił, że zbójców zaskoczył jej widok? Całkiem możliwe, że Baldwin zamierzał pozbyć się braci Robina, Amandę zaś chciał zatrzymać dla siebie. W ten sposób z czasem zdobyłby Artane.

Przy założeniu, że Amanda nie zamordowałyby go w jego własnym łóżu.

Robin pokiwał głową. A jakże, niewykluczone, że za tą sprawą kryje się Baldwin. Mógł zlecić komuś napisanie liściku i podrzucenie go w stosownej chwili do sakwy Robina. W tym czasie przebywał poza warownią, co zdejmowało zeń podejrzenia.

Im dłużej Robin nad tym dumał, tym bardziej przekonywał się do takiego wyjaśnienia. Doskonale rozumiał motywy Baldwina, poniekąd wręcz mu współczuł. Baldwinowi ogromnie dopieklaby rola wasala Robina, pomijając kwestię, że najpierw musiałby przeżyć zarówno swojego brata, jak i jego małego synka. Tymczasem Robin po śmierci ojca bez wątplenia zostanie seniorem Sedgwick. Nie znaczy to, że wielce zabiegał

o te ziemie, niemniej należały do niego. Baldwin nie ma nic. Czyż nie spróbowaliby zdobyć samego Artane, skoro już planował morderstwo?

Za jego plecami otworzy się drzwi i Robin okrcił się na pięcie, do połowy wysuwając miecz z pochwy.

Babka uniosła ręce w geście poddania.

- To tylko ja, kochany. Chciałam się pożegnać. Jeśli pewien jesteś...

- Jestem - odparł spiesźnie Robin, chowając ostrze. - Cudownie było cię widzieć, babko. Życzę ci miłej podróży powrotnej.

Joanna zasznurowała usta, spoglądając na wnuka z marsem na czole. Następnie odwróciła się ku Anne. Przynajmniej ją obdarowała promiennym uśmiechem.

- Niezmiernie się cieszę z twojego szczęścia, kochana - oświadczyła Joanna, całując Anne. - Życzę ci powodzenia z tym tutaj. Jeszcze trochę szlifuj i będzie całkiem znośny.

- Do widzenia, babko - rzekł znacząco Robin.

Anne tylko się roześmiała, kiedy Joanna dała Robinowi prztyczka w ucho, nim zstąpiła ze schodów. Słudzy ulokowali ją wygodnie na przestronnym wozie, po czym całe towarzystwo wyruszyło w drogę. Choć nie tak szybko, jak Robin by sobie tego życzył, to przecież w końcu wyjechali. Kiedy zaś zniknęli im z oczu, odwrócił się ku Anne.

- Idę na plac potyczek.

- Też pójdę.

Zawahał się.

- Wolalbym, żebyś została w komnacie, korzystając z ochrony.

- Nie wątpię - stwierdziła, lecz ani drgnęła.

- Anne...

- Robinie, nie zostawię cię samego. - Podniosła na niego oczy, w których wzbierały łzy. - Sądzisz że zniosłabym choć jeden dzień bez ciebie? Pomyślałeś o tym?

- Robię to nieustannie - odparł, zamykając ją w objęciach. - Każdej chwili każdego dnia ta myśl przesładuje mnie, łamiąc mi serce. - Uścisnął ją delikatnie, po czym odsunął się na tyle, by z powagą zajrzeć jej w twarz. - Pragnę spędzić z tobą całe życie, Anne. Nie będzie nam to dane, jeśli nie zakończę tej sprawy. Dzisiaj.

- Idę z tobą.

Miał opory, lecz ostatecznie ustąpił.

- Usiądziesz pod murem. Moi ludzie...

- Żadnych straży.

Zamrugał.

- Wszelako...

- Sam powiedziałeś, że obecność przybocznych tylko ci przeszkadza. Tedy ja również nie potrzebuję ochrony.

- Jednakże...

- Robinie, jak inaczej ktokolwiek się poważy cię zaatakować?

Rozumiał, że Anne ma rację, lecz nie potrafił znieść myśli o tym, że będzie siedzieć całkiem sama tak daleko od niego. Jakkolwiek ekscytowała się swoim sztyletem, niewiele jej on pomoże, jeżeli ktoś rzeczywiście ją zaatakuje.

Niemniej Baldwin nie uderzy na Anne, jeśli tuż obok będzie miał praktycznie bezbronnego Robina. Robin całkiem poważnie zastanawiał się, czy nie odłożyć także miecza. Tym sposobem stałby się dla Sedgwicka zbyt przystępnym celem, by zdołał się oprzeć pokusie. Ujął w dłonie twarz Anne, pocałował ją delikatnie, a potem wziął za rękę.

- Chodźmy zatem - rzekł. - Położmy kres tej sprawie.

Kiedy zstępowali ze schodów, odruchowo zwolnił kroku, dostosowując się do jej tempa. Także i za to należała się Baldwinowi odplata, albowiem to właśnie on za młodych lat Anne rzucił jej wyzwanie, by dosiadła tamtego ogiera. Robin zacisnął zęby. Baldwin nie spowoduje w ich życiu więcej szkód. Robin dopilnuje tego osobiście.

Krótki spacer na plac potyczek zdawał się trwać całą wieczność. Przy każdym stąpieniu Robin zastanawiał się, czy nie będzie to jego ostatni krok u boku ukochanej. Nim wszakże dotarli do wewnętrznego pierścienia murów, uzmysłowił sobie, jak bezcelowe są takie myśli. Przeżyje albo nie. Niczego nie zmieni, gryząc się tą kwestią.

Najlepiej, żeby nie zawiódł.

Przystanął przy ustawionej pod murem ławce. Spojrzał na swoją panią. Niemrawe promienie słońca połyskiwały w jasnych włosach Anne i na bladej skórze jej twarzy, kiedy zwróciła ją ku niemu. Objął ją i pocałował, wkładając w to całą swoją namiętność, tak by nigdy nie zdołała zapomnieć ogromu jego miłości.

- Nie zawiódę - oświadczył chrapliwie. - Anne, przysięgam na życie.

Pokręciła jeno głową, kurczowo tuląc go do siebie. Potem równie nagle odeń odstała.

- Będę na ciebie czekać - powiedziała cicho.

Robin skinął głową i odpiął pas z mieczem.

- Robinie - westchnęła.

Wyjął ostrze i podał Anne, po czym rzucił pochwę na ławkę. Uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Skoro mam być zdobywcą, niechże to będzie łatwa zdobycz.

- Robinie, nie...

- Wydaje ci się, że moje umiejętności ograniczają się do walki na miecze? - dociekał.

- Posiadasz liczne talenty, panie - odparła żywo - lecz miecz chyba by ci się przydał?

- Wróć po niego. - Usadowił ją na ławce, czemu poddała się raczej niechętnie. Odstąpił i pokłonił się jej nisko. - Do zobaczenia, pani.

Po raz ostatni spojrział na Anne siedzącą z jego mieczem ułożonym w poprzek kolan i dłonią ostrożnie spoczywającą na rękojeści i pomodlił się, żeby zostawienie jej tu samej nie okazało się największym błędem w jego życiu. Co się zaś tyczyło jego samego, to uważał, że wybrał najrozsądniejsze rozwiązanie. Jeśli rzeczywiście za wszystkim stoi Baldwin, to widząc Robina bezbronnego, nie oprze się pokusie.

Tak więc Robin odwrócił się i wyszedł na środek placu. Stał twarzą do drogi łączącej bramy w dwóch pierścieniach murów i splótł ręce na piersi.

Czekał.

Nic się nie działo, jego uszu dobiegało niewiele dźwięków. Niewykluczone, że obecne wrażenie spokoju brało się z kontrastu z panującym tu w ostatnich dniach zamieszaniem. Robin poinstruował wartowników przy zewnętrznych bramach, żeby nie wpuszczali do warowni nikogo, kto do niej nie przynależy oraz żeby absolutnie nikogo nie wypuszczali. Tym sposobem, jeśli Baldwin powróci, zostanie przepuszczony i bez wątpienia rychło pojawi się na placu ćwiczebnym w poszukiwaniu rozrywki.

Jeżeli natomiast za zdarzeniami stoi ktoś z wewnątrz, poczuje, że znalazł się w potrzasku.

Robin czekał wytrwale.

Obejrzał się na Anne. Oparta jego miecz o ławkę. Oczekiwanie wyraźnie ją znużyło. Nie można jej za to winić. Jego także trochę kusilo, żeby usiąść i nieco odsapnąć.

Wtedy dostrzegł jakiś ruch przy bramie.

Baldwin z Sedgwick.

Na twarz Robina wyplął uśmiech. Może jednak sprawy potoczą się tak, jak to sobie zaplanował.

Niecierpliwie tupał nogą, podczas gdy kuzyn się wahał. Robin rozpostarł ramiona, żeby pokazać, że nie ma broni.

Zgodnie z oczekiwaniami Baldwin połknął przynętę. Zawrócił konia i poprowadził go przez plac.

Zatrzymał wierzchowca jakieś trzydzieści kroków od przeciwnika. Robin nie czekał, aż przybysz się odezwie.

- Uporałeś się ze swoimi zadaniami w Wyckham? - zapytał uprzejmie.

Baldwinowi opadła szczęka; Robin wiedział już wszystko. Jego kuzyn gwałtownie zamknął usta i spojrział nań spoje łba.

- Wyruszyłem z misją..

- Pozyskania zbójców? - Robin uśmiechnął się miło. - Jak zrozumiałem, moja siostra bez większego trudu powaliła jednego z nich. Następnym razem bardziej się przyłóż, dobierając najemników, kuzynie. Ci najwyraźniej nie zapracowali na swoje złoto.

Baldwin przez chwilę poruszał ustami, zdawał się wszakże niezdolny do wygłoszenia jakiegokolwiek inteligentnej uwagi. Potem zebrał myśli.

- Ty kurwi synu - wypluł.

Robin uśmiechnął się.

- Moja matka nie jest dziwką, chłopcze. Nie zaryzykowałbym natomiast tego samego twierdzenia na temat twojej.

Wydawszy z siebie ryk, Baldwin dźgnął konia ostrogami. Robin zrobił unik i okręcił się na pięcie. Baldwin zawrócił wierzchowca i spojrział na przeciwnika, najwyraźniej rozważając, czy opłaca mu się ponowić próbę. Nie poruszył się jednakże, więc widocznie rozum wziął górę nad popędliwością. Robin rozważał sięgnięcie po zatknięty za pasem nóż. Taki gest mógłby rozwścieczyć Baldwina na tyle mocno, żeby sprowokować go do działania, a kto wie, jakiej rozrywki by to Robinowi dostarczyło.

- Moja matka była damą - warknął Baldwin. - I ja przynajmniej wiem, kim był mój ojciec.

Robin zamrugał zdziwiony, po czym wzruszył ramionami. Niewątpliwie te słowa zostały pomyślane jako zniewaga, wszelako za żadne skarby świata nie odgadłby, dlaczego winien poczuć się nimi obrażony. Spoglądał na kuzyna, który właśnie zamasztył gestem dobywał miecza, i zastanawiał się, czy zdoła uzyskać kilka odpowiedzi, zanim powali tego idiotę.

- Chciałeś zamordować moje rodzeństwo? - zapytał Robin.

- Twoich braci - odparł Baldwin. - I ciebie, oczywiście.

- Oczywiście. Lecz także moją siostrę? Nader niehonorowo.

- Jej śmierci nie chciałem - rzekł z rozdrażnieniem Baldwin. - Ci przekłeci idioci nie zorientowali się, że walczą z kobietą. Mam wobec niej inne plany.

- Nie przeżyłbyś nocy w jej łóżu - zapewnił go Robin. - Świetnie posługuje się nożem.

- Kobieta nie utrzyma w dłoni noża, jeśli zostanie pierwszej należycie obita - poinformował go Baldwin.

Robin nie dopuszczał do siebie takiej wizji. Prędzej zgnije w piekle, niżli ujrzy Amandę w szponach łajdaka pokroju Baldwina!

- No cóż - rzekł - nie musisz się tym martwić, albowiem nie zbliżysz się do niej na tyle, żeby jej dotknąć, nie mówiąc o tym, byś poczuł ukąszenie jej ostrza. - Robin przekrzywił głowę i spojrział na Baldwina. - Nie pojmuję wszak jednej rzeczy.

- Więcej niż jednej - prychnął Baldwin.

- Dlaczego Maude? Dlaczego Anne?

- Maude była biadolącą idiotką - stwierdził z odrazą Baldwin. - Miała cię dręczyć, dopóki nie nadarzyłaby się okazja, żebym cię zabił.

- I przypadkiem nie lubiła Anne? - dociekał Robin. - Dla uzupełnienia twoich poczynań?

- A jużci. - Baldwin pokiwał głową.

Robin nie czuł się tym zaskoczony. Dziwiło go jedynie, że nie skojarzył faktów od razu. Święci jeno wiedzą, skąd Baldwin wygrzebał Maude, najwyraźniej jednak postawił sobie za cel unieszczęśliwienie Robina.

I niech go diabli, jeśli ów zamysł mu się nie powiódł.

Teraz jednak nadarzała się okazja do zakończenia tej sprawy i Robin palił się do walki. Rozpostarł ramiona.

- Oto jestem, Baldwinie. Pokaż się od najgorszej strony i miejmy to za sobą.

- Nie masz miecza - obruszył się Baldwin.

- Nie potrzebuję.

Oblicze Baldwina spochmurniało.

- Nie będę z tobą walczył w taki sposób. Tak niehonorowo.

- Honorowo wszakże jest otruć dziecko - rzekł wolno Robin. - Tudzież zepchnąć kobietę ze schodów.

- To była robota Maude. Moją jest zabić cię, lecz nie uczynię tego, jeśli uczciwie nie stawisz mi czoła!

Robin westchnął. Takie właśnie miał szczęście - jego przeciwnik okazał się głupcem z ideałami. Zastanawiał się, czy warto tracić czas, przynosząc miecz, czy raczej po prostu dobyć noża i cisnąć nim Baldwinowi w oko. Chociaż to drugie rozwiązanie wielce kusilo Robina, z zaskoczeniem stwierdził, że uważa je za równie niehonorowe jak zapewne uznałby je Baldwin. Święci pańscy, tracił rozum.

- No, trudno - rzekł tonem wyrażającym głęboki zawód. - Liczyłem na to, że będziesz miał jaja, żeby mnie zaatakować, lecz skoro gdzieś je zapodziałeś...

Baldwin zaszarzował. Uskakując przed nim, Robin zrozumiał, że odkrył czuły punkt kuzyna. Najwyraźniej nie było nim jego pochodzenie, siostra ani też honor. W zasadzie Robin nie powinien czuć się zaskoczony, że chodzi o to, co kryły nogawice rycerza.

Koń Baldwina wyraźnie podzielał negatywne uczucia swojego pana względem przeciwnika i Robin musiał rzucić się na ziemię i przekościółkować, by uniknąć młócących na prawo i lewo kopyt. Zerwał się na nogi, cisnął sztyletem, nim zgubiła go własna arogancja.

Nóż wbił się Baldwinowi w nogę. Sedgwick pochylił się, żeby go wyjąć, i dokładnie w tej samej chwili jego wierchowiec po raz kolejny stanął dęba. Jeździec runął na ziemię. Robin stał, dysząc, i czekał, aż przeciwnik się podniesie. Baldwin wyrwał sztylet z rany i rzucił nim z całej siły. Kiedy ostrze świsnęło mu koło ucha, Robin pomyślał, że być może nie docenił kuzyna. Spozrzegł nóż i zanurkował po niego, rad, że w swej nonszalancji nie przywdział kolczugi, albowiem bez niej poruszał się znacznie szybciej.

Wstał ze sztyletem w dłoni akurat w porę, żeby spozrzec atakującego rycerza. Przetoczył się na bok, a miecz Baldwina zarył dziko sztychem w ziemię.

- Niezły cios - skomentował pogodnie Robin. - Sądziś, że zdołasz kiedyś trafić we mnie?

Baldwin ryknął z furją. Robin ledwie zdążył poderwać się na nogi, gdy przeciwnik już potężnie

młócił mieczem. Kiedy o włos uniknął dekapitacji, zaczął rozważać korzyści z udania się po swój oręż.

Znienacka Baldwin upuścił miecz i pochylił się, rżąc.

- Chyba nie zemdlejesz? - dociekał Robin.

Kuzyn zbył go machnięciem ręki. Robin westchnął. Wypadało skorzystać z hojności Baldwina. Odwrócił się, żeby pójść po swój miecz - i zmarł.

W okamgnieniu pojął, jak koszmarnie pomylił się w swoich kalkulacjach.

Trzydzieści kroków od niego stała Edith, przykładając nóż do gardła Anne. W drugim ręku trzymała miecz Robina. Anne była tak blada, że zdawało się, iż lada moment zemdleje. Tkwiła w miejscu niczym skamieniała. Edith spiorunowała brata wzrokiem.

- Skończ z nim - rozkazała.

- On nie ma miecza - wysapał Baldwin. - Nie zrobię tego inaczej, jak tylko w sposób honorowy.

Właśnie kiedy Robin pomyślał, że sytuacja nie może się już pogorszyć, za plecami Edith spostrzegł wędrujące ku nim niemrawo rodzeństwo. Cudownie.

- Stójcie! - krzyknął. - Edith ma nóż!

Cała trójka zatrzymała się chwile. Edith pociągnęła Anne na bok, tak by widzieć zarówno Robina, jak i jego braci i siostrę.

- Nie zbliżajcie się! - zawołała. - W przeciwnym razie ją zabiję! - Spojrzała na Robina i rzuciła w jego kierunku miecz. - Dalej - powiedziała. - Bierz swój oręż.

Robin przyglądał się kobiecie, starając się ocenić, czy może jej zaufać. Jakby nóż na gardle jego ukochanej nie stanowił w tej kwestii wystarczającej wskazówki! Jednakowoż Robin ani myślał zrezygnować z korzyści z posiadania miecza w dłoni. Poszedł po niego ostrożnie, a potem wolno się wycofał. Nie odważył się spojrzeć na Anne.

- Baldwinie - rozkazała Edith. - Wykończ go.

Robin nadal się cofał, dopóki nie stanął tak, że widział zarówno Edith, jak i jej brata. Baldwin tymczasem odzyskał normalny oddech. Drapał się właśnie po głowie, nachmurzony.

- Myślałem sobie... - zaczął.

- Święci niech nas mają w swojej opiece - powiedziała z westchnieniem Edith.

- Co mi dobrego przyjdzie z zabicia go - ciągnął Baldwin, wskazując Robina - skoro to Miles jest z krwi Artane'a? To jego powinienem załatwić. Robin się nie liczy.

- Robin liczy się najbardziej! - wykrzyknęła Edith. - Zabij go, półgłówku!

Baldwin uparcie się w nią wpatrywał.

- Naprawdę chcesz, żeby go uśmiercił? Sądziłem, że pragniesz go dla siebie.

- Pragnę warowni - oświadczyła Edith. - Jeśli o mnie chodzi, Robina może dostać ziemia.

- Nadal nie pojmuję, dlaczego niby on się liczy - utyskiwał Baldwin. - Wszak nie jest synem Artane'a.

- Baldwinie, durniu - powiedziała z odrazą Edith - oczywiście, że jest synem Artane'a. Nie masz oczu? - Wskazała na stojące z tyłu rodzeństwo Robina. - Spójrz na Milesa, a potem na Robina. Są tak do siebie podobni, że mogliby uchodzić za przeklętych bliźniaków! I popatrz sobie na Nicholasa. Wykapany Artane, tyle że jasnowłosa!

Baldwin spojrzał. Robin także. W istocie, Miles i Nicholas byli ogromnie do siebie podobni, wyłączając kolor włosów, Robin atoli zakładał, że wynika to z... cóż, nie miał pojęcia z czego. Po prostu tak było.

- Co ty wygadujesz? - zapytał ostro Baldwin. - Robin jest synem Rhysa?

Edith pacnęła się dłonią w czoło.

- Tak! Spłodzonym z Gwennelyn z Segrave. Wkrótce po moim przybyciu tutaj podsłuchałam, jak rozmawiała o tym z lordem Rhysem.

Robin zagapił się na nią. Poczul, że jego miecz opada i opiera się sztychem o ziemię.

- Podsłuchałaś?

Edith spojrzała na niego gniewnie, lecz później jej usta powoli wygięły się w uśmiechu. Był to bardzo zimny uśmiech.

- A jużci. Czyżbyś nie wiedział? Ach, widzę, że nie. Pozwól tedy, że cię uświadomię. Rhys spłodził zarówno ciebie, jak i Nicholasa, najwyraźniej w odstępnie paru godzin, w noc poprzedzającą ślub twojej matki z Alainem z Ayre. Nie dziwiło cię nigdy, dlaczego Ayre chciał mieć z tobą jak najmniej do czynienia, zanim przedwcześnie opuścił ten padół? Przypuszczam, że nie mógł znieść twojego widoku, albowiem spoglądałaś nań oczyma jego wroga.

Robin nie potrafił uwierzyć w te rewelacje. Popatrzył na Anne i odkrył, że nawet ona spogląda nań ze współczuciem.

- Wiedziałaś? - zapytał ochryple.

- Podejrzewałam.

W tym momencie Robin przysiągł sobie trzy rzeczy. Po pierwsze, wykończy Baldwina. Po drugie, uratuje Anne i wtrąci Edith do lochu. I po trzecie, kiedy znów zobaczy ojca, ukatrupi go. Bardzo tępym ostrzem.

Jego ojciec. Robin prychnął. Ten człowiek zasłużył na to, by rozczłonkować go w najbardziej okrutny sposób.

Sporunował wzrokiem Anne.

- Sądzisz, że on wie?

- Wątpię - wykrztusiła Anne. - Albo też tak czy owak myśli o tobie jak o własnym synu, zatem faktyczne pokrewieństwo nie ma zna...

Umilkła raptownie, kiedy Edith docisnęła ostrze do jej gardła.

- Dosty tego - warknęła Edith. - Baldwinie, bierz się do roboty. Kiedy się z nim uporasz, zostanie ci jeszcze czworo.

- Kiedy ja nie chcę - oznajmił Baldwin. - Popatrz, on nawet nie jest w stanie podnieść przeciw mnie miecza.

Robin pragnął jeno kilku chwil spokoju, czuł się bowiem jak pijany, tak go ogłuszyły usłyszane właśnie wiadomości. Czyż nie zastanawiało go zawsze, dlaczego są z Nickiem tak do siebie podobni? Czyż nie zdumiewał się, że on i Miles wyglądają prawie identycznie, mimo że mają jedynie wspólną matkę?

- Ale już! - rozkazała Edith.

Robin obiecał sobie, że później dogłębnie przemyśli te rewelacje. W tej chwili musi pozbyć się kuzyna i uwolnić Anne, przy czym obu tych czynów powinien dokonać niemalże jednocześnie. Obawiał się, że jeśli nie dopadnie Anne w mniej niż jedno uderzenie serca po tym, jak powali Baldwina, Edith przeciągnie ostrzem po jej pięknej alabastrowej szyi. Ta myśl prawie go sparaliżowała. Odwrócił się do Baldwina.

- W porządku - rzeki, unosząc miecz. - Dam ci upragnioną walkę.

- Przynajmniej umrzesz jak mężczyzna - zakpił Baldwin.

- Pomarzyć zawsze można - odparł z westchnieniem Robin.

A potem się zaczęło. Robin odepchnął od siebie myśli o tym, ile zależy od jego bieżących poczynań, jak wiele istnień stanęłoby w obliczu zagrożenia, gdyby źle się zaprezentował. Rękojeść miecza wyślizgiwała mu się ze spoconych dłoni, niepewnie stał na nogach. Kiedy stał szcęknięta o stal, Robina naszły wątpliwości, czy podoba wyzwaniu. Cofał się i nie wynikało to z obranej przezeń strategii. Jego oręż zdawał się ciężki i nieruchawy, umysł mąciły mu szok i przerażenie.

Na obliczu kuzyna z wolna pojawiał się wyraz pogardy, jaki tradycyjnie towarzyszył ich starciom w młodzieńczych latach Robina. Przez chwilę Robin sądził, że polegnie.

Miecze spotkały się z łoskotem, klingi tarły o siebie, aż zakleszczyli się jelicami. Oblicze przeciwnika znalazło się na szerokość dłoni od twarzy Robina. Oddech rycerza omal nie zwałił go z nóg.

- Żałosny szczeniak - zakpił Baldwin. - Czy znów mam cię zostawić czołgającego się w błocie?

Na Robina spadło doznane wówczas upokorzenie tak świeże, jakby zdarzenie dopiero co zaszło. Prawie osunął się na kolana.

- Robinie...

Cichy głos Anne nadpłynął ku niemu ponad placem. Robin popatrzył na nią i ujrzał w jej oczach ufność. Stała z ostrzem na gardle, jej życie zależało od tego, jak on się popisze, a mimo to spoglądała nań tak, jakby nie wątpiła w jego zwycięstwo.

Odwrócił się i spojrzał na kuzyna. Przypomniał sobie, kim jest: najlepszym przeklętym szermierzem na angielskiej ziemi.

Ostatecznie w żyłach Robina najwyraźniej płynęła krew de Piagetów, a jego ojciec także piekielnie dobrze władał mieczem.

Niech go diabli porwą.

Odepchnął od siebie Baldwina.

- Dzisiaj nie posmakuję błota - rzekł krótko. - Jak widzisz, głupcze, ziemia jest sucha. Lecz zapewne po kimś tak tępym nie powinienem oczekiwać, że dostrzeże różnicę.

Baldwin zaszarżował, a Robin z łatwością odparł atak. W istocie, zastanawiał się, dlaczego w ogóle początkowo ta walka sprawiała mu trudność. Sedgwick nie dorasta mu do pięt.

- Pospiesz się! - ponagliła Edith.

- Próbuje! - ryknął Baldwin, atakując z narastającą furią. Robin cmoknął z dezaprobatą, bez trudu utrzymując kuzyna na dystans.

- Obawiam się, że te nieporadne ciosy nie przyniosą ci zwycięstwa. Może gdybyś nieco ciężiej trenował w młodości...

- Wykończ go! - wrzasnęła Edith.

Baldwin odwrócił się i splunął na siostrę. Robin nie tracił czasu na myśli o uczciwej walce. Jeśli szybko powali Baldwina, na chwilę rozproszy tym uwagę Edith. Tyle mu wystarczy, żeby uratować Anne. Będzie musiało wystarczyć. Obawiał się, że na nic więcej nie może liczyć.

Stał za Baldwinem, szykując się, żeby przeszyć mu serce mieczem, kiedy tylko rycerz się ku niemu odwróci.

Baldwin się nie odwrócił.

Robin ze zdumieniem patrzył, jak Edith odpycha od siebie Anne, a potem z całej siły wymierza bratu policzek. Następnie określiła go gwałtownie i pchnęła w kierunku Robina.

- Bierz go - rzuciła.

Pchnięty solidnie po raz drugi, Baldwin potknął się, po czym uskoczył w bok, o włos unikając nadstawionego miecza Robina. Edith okazała się mniej zwinna.

Robin z przerażeniem patrzył, jak kobieta traci równowagę i upada. Prosto na jego miecz.

Ostrze przeszło na wylot, rozdzierając jej suknię na plecach, i czerwone od krwi połyskiwało blade w promieniach słońca.

Robin bezwiednie puścił rękojeść. Edith zwała się twarzą na ziemię i legła nieruchomo. Ukłękawszy przy niej, Robin przewrócił ją na bok. Spojrzała na niego.

- Pragnęłam... Artane - wyszeptła.

Potem jej oczy zgasty.

- Ty bydlaku! - ryknął Baldwin.

Podniósłszy wzrok, Robin zobaczył, jak Baldwin rusza z uniesionym mieczem. Z przerażającą jasnością uzmysłowił sobie, że nie zdąży wyrwać ostrza z ciała Edith i zasłonić się nim na tyle szybko, by odparować cios kuzyna. Jego jedyna inna broń, załosny sztylet, także nie podołałaby temu zadaniu, zresztą walała się teraz gdzieś za nim na placu. Niespodzianie Baldwin się zatrzymał. Nadal z uniesionym mieczem, odwrócił się zaskoczony. Robin zerwał się na równe nogi, gorączkowo rozglądając się za sztyletem.

Wszelako okazało się to zbyt szybkie.

Za Baldwinem stała Anne. Dygotała, lecz nie ustępowała pola. Rycerz spojrział na nią, a potem wypuścił z dłoni oręż. Wolno runął w jej stronę. Odskokzyła niezręcznie, w samą porę, tak że padł u jej stóp.

W jego plecach tkwiło ostrze wbite po rękoność. Robin przestąpił nad ciałem Edith, odciągnął Anne kilka kroków na bok i porwał ją w ramiona.

- Jesteś ranna? - dopytywał się niespokojnie.

Pokręciła głową i przyłgnęła do niego cała drżąca.

- Święci pańscy, doskonale zabezpieczasz tyły - oświadczył z uczuciem. - Zabiłby mnie, gdyby nie ty.

- C - cała p - p - przyjemność po m - mojej s - stronie. - Szczękała zębami. - N - nie p - proś tylko, żebym k - - kiedykolwiek to p - powtórzyła.

Mimo woli wybuchnęła śmiechem.

- Módlmy się, żeby nigdy więcej nie było takiej konieczności, pani, niemniej spisałaś się wyśmienicie.

Tulił w ramionach ukochaną i czuł, jak zalewa go potężna fala ulgi. Niebezpieczeństwo minęło. Zamknął oczy, opierając policzek o czubek głowy Anne.

- To już koniec - szepnął.

Potaknęła.

- Edith to wszystko zaplanowała, Robinie. Tyle zdążyła mi wyjawić.

- Powinienem być cię słuchać.

- Powinieneś być mnie słuchać w bardzo wielu sprawach.

Odsunął się, spoglądając na nią spode łba.

- Naprawdę wiedziałaś?

- O twoim ojcu? Tak.

- I nic mi nie powiedziałaś?

- A dałbyś mi wiarę?

- Oczywiście, że nie - odparł Robin. Popatrzył na zbliżającą się do nich wolno grupkę. Wymienił poirytowane spojrzenia z Nicholasem. - Zabiję go - warknął.

- Chętnie ci pomogę - oświadczył Nicholas.

- Daj mi trochę czasu na odzyskanie sił, byśmy zrobili to jak należy.

- Sądzisz, że on wie? - Robin zwrócił się do Anne. - Jak to w ogóle możliwe?

- Zapewne rzecz przebiegła w dość tradycyjny sposób - stwierdził z przekąsem Nicholas. - Jeżeli zaś nie wiesz, o czym mówię, toś jest w większych tarapatach, aniżeli mi się wydawało.

- Wiem doskonale, jak się to stało - warknął Robin. - Chcę tylko ustalić kiedy.

- Hmm - zadumał się Nicholas. - A nuż odkryjemy, że od ciebie starszy.

- Ha - rzucił Robin, lecz owa myśl go ubodła. Przyjrzał się Nicholasowi. - Sądzisz?

- Winieneś zapytać o to ojca - oznajmiła Anne. Uśmiechała się, niech ją licha. - Dlaczego tego nie zrobisz?

- Mam taki zamiar - warknął Robin.

Odczekała chwilę.

- Co cię powstrzymuje?

Sklął ją, lecz Anne nadal się uśmiechała.

- Do dzieła - powiedziała, wskazując punkt za jego plecami. - Oto i on.

Odróciwszy się, Robin ujrzał Rhysa de Piageta we własnej osobie. Przeklęty drań stał tuż za nim, zielony na twarzy. Robin uznał, że na wyjaśnienia przyjdzie czas później, podobnie jak na dociekania na temat tego, jakim cudem Rhys właśnie w tej chwili znalazł się na dziedzińcu Artane. Teraz nastał czas działania. Robin runął na ojca, zdeterminowany wydrzeć zeń życie gołymi rękami.

- Wiedziałaś! - ryknął, powalając rodzica na ziemię. - Wiedziałaś i nie rzekłaś ani słowa!

- Robinie! - zawołała jego matka. - Puść go!

Robin zacisnął dłonie na gardle ojca i na wszelki wypadek raz czy dwa grzmotnął jego głową o ziemię.

- Niech cię diabli! - krzyknął.

Raptem sam znalazł się na plecach, przygnieciony pokaźnym ciężarem Rhysa. Warknął kilka przekleństw, lecz uzmysłowił sobie, że rodzic - niech go szlag trafi po tysiącokroć - w pełni dorównuje mu posturą i siłą. Nic dziwnego. Skoro był jego ojcem i w ogóle.

Robin z wściekłością spojrział na matkę.

- Ty też wiedziałaś!
Sprawiała wrażenie równie zakłopotanej jak jej mąż, niech i ją diabli porwą.
- Dlaczego mi nie powiedzieliście?! - dopytywał się Robin. - Niech was oboje piekło pochłonie!
Musiał przeklinać, warczeć i ryczeć, uświadomił sobie bowiem, że w przeciwnym razie przypuszczalnie załamał się i rozplacze. Przez tyle lat zlorzeczył, że jest synem Alaina z Ayre, nie Rhysa de Piageta. Po wielekroć wypruwał sobie żyły, aby stać się godnym dziedzicem Rhysa. Tyle czasu, energii i trudu. I na co to wszystko?
No cóż, w duchu przyznawał, że te starania przyniosły mu korzyść, lecz prędzej usmaży się w piekle, niżli powie to głośno. Rhys stoczył się z Robina i pomógł mu wstać. Zmarszczył brwi.
- Nie byłem pewien...
- Merde - warknął Robin.
- Niech ci będzie - odparował gniewnie Rhys. - Rozpaczliwie tego pragnąłem, kiedym wszakże nabrał pewności i ośmielił się przedyskutować tę kwestię z twoją matką, byłeś już tak czy owak moim dziedzicem, tak więc po co miałem ci mówić?
- Wiedziałbym, że jest twój! - ryknął Robin, lecz rychło zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak dziecko. Spiorunował ojca wzrokiem. - Byłoby mi miło, gdybym znał prawdę.
- To bez znaczenia - upierał się Rhys.
- Ma znaczenie dla mnie!
- W ten sposób stajesz się bękartem! - krzyknął Rhys, po czym gwałtownie zamknął usta i utkwiał w Robinie gniewne spojrzenie.
Robinowi opadła szczęka. Potem ktoś zaczął się śmiać. Robin spojrzał na Nicholasa, który podszedł doń ocieżale i otoczył go ramieniem.
- Ach - rzekł Nicholas, nadal cicho chichocząc - jakież szczególne pokrewieństwo nas łączy, Robinie. Dwa bękarty.
- Winienem obu was sprać za zuchwalstwo - oświadczył surowo Rhys. - To nie jest temat do rozmów na placu ćwiczebnym.
Robin przez chwilę tylko przenosił wzrok z ojca - swojego rodzzonego ojca - na matkę.
- Nader trudno jest mi ogarnąć to wszystko rozumem - odezwał się wreszcie.
Spojrzał na żonę.
- A tobie?
Anne z uśmiechem zajęła miejsce u jego boku, obejmując go w pasie.
- Kocham cię, bez względu na twoje pochodzenie.
Robin odchrząknął i popatrzył na matkę.
- Mogliście mi powiedzieć. I jak w ogóle do tego doszło? Nie sądzicie, że mam prawo wiedzieć?
- Porozmawiamy w środku - rzekł znacząco Rhys.
- Nie - sprzeciwił się Robin. - Brałem ślub z martwym ciałem u stóp, tedy mogę poznać prawdę o moim pochodzeniu, mając za plecami dwa trupy. Proszę o opowieść. Rhys spojrzał na Gwen.
- Cóż, żono. Zaczynaj. Opowiedz mu.
- Tchórz - skomentowała czule.
Chrząknął i otoczył ją ramieniem.
- W moim sercu pojąłem ją za żonę w noc poprzedzającą jej przymusowe zaślubiny z Alainem z Ayre.
- Masz pewność, że on jest starszy? - zapytał przymilnie Nicholas.
Robin wymierzył bratu kuksańca pod żebra.
- Kontynuuj, proszę.
- A owszem, mam - odparł Rhys, gromiąc wzrokiem Nicholasa - albowiem, w przeciwieństwie do was dwóch, napalonych ogierów, byłem prawiczkim, nim położyłem się z moją panią.
Robin wpatrywał się weń z niedowierzaniem.
- Nie...
- Z całą pewnością tak.
- Jak ci się to udało? - zapytał z podziwem Nicholas.
- Kochałem Gwen od wczesnej młodości i przysiągłem, że jeśli nie zdobędę jej, nie będę miał żadnej. - Spojrzał na Robina. - Tak tedy ją posiadałem. Później ci przekleci bracia Fitzgerald spili mnie do nieprzytomności, kiedym zaś się ocknął, twoja matka została już poślubiona innemu, a ja leżałem w łóżu z... - przeniósł wzrok na Nicholasa - ehm, cóż, z twoją rodzicielką. Nie znałem jej dalszych losów aż do czasu, gdy umarła, a my znaleźliśmy ciebie.
- No cóż - odezwał się Robin, mrugając.
- Tak - zawtórował mu równie zaskoczony Nicholas.
- Nie żałuję żadnego z tych zdarzeń - burknął Rhys. - Jeśli zaś chcecie szukać satysfakcji, krzyżując ze mną miecze, z radością wyświadcę wam tę przysługę.
- Mogłeś nam powiedzieć - wytknął mu Nicholas. - Ja i tak byłem bękartem.

Rhys pokręcił głową.

- Nie zdołałbym kochać was bardziej. Mówienie wam tego wszystkiego uznałem za bezcelowe.

- A teraz, gdy już wiemy? - zapytał Robin.

- Chcesz, żeby cała wyspa usłyszała, żeś bękart?

- To zależy - wtrącił Miles. - Czy w takim razie ja odziedziczę wszystko?

Robin przez chwilę gapił się na brata, nim pojął, że Miles nie mówił poważnie. Rhys tylko spiorunował młodszego syna wzrokiem. Następnie spojrzął na Amandę. Złagodniał.

- Obawiam się, córko, że dla ciebie nie mam tego rodzaju rewelacji.

Nicholas otoczył Amandę ramieniem i przyciągnął ją do siebie, żeby się na niej wesprzeć.

- Wygląda na to, droga siostrze, że jako jedynych w tym gronie nie łączą nas więzy pokrewieństwa.

- Święci okazali się dla mnie nader łaskawi - stwierdziła, spoglądając na wilkiem.

Nicholas ze śmiechem pocałował ją w czoło.

- Kochasz mnie i dobrze o tym wiesz. - Popatrzył na ojca. - Cóż, jeśli nie masz dla nas żadnych więcej smakowitych kąsków, wracam się położyć. - Chwiejnie pokłonił się Robinowi. - Bracie, wyrazy wdzięczności za oczyszczenie warowni z niecnym morderców. Wysłucham całej historii, kiedy nieco dojdę do siebie. Amando, pozwól, że się na tobie wesprę. Zabierz mnie, proszę, z powrotem do chaty uzdrowiacza. Tyle ekscytacji w ciągu jednego dnia znacznie nadważyło moje siły.

Robin odprowadził brata wzrokiem - swojego najprawdziwszego brata - kiedy ten, obolały, powoli wracał na wyższy dziedziniec. Spojrzawszy na matkę, zorientował się, że wpatruje się w niego jakby ze współczuciem.

- Jesteś bardzo zły? - zapytała cicho.

Westchnął.

- Przeżyję.

- Uznaliśmy, że ta wiedza nie zda ci się na nic.

Robin przeniósł wzrok na ojca.

- A ty? Jaką masz wymówkę?

- Nie potrzebuję wymówki. Jestem twoim ojcem i nadal potrafię cię pokonać bez względu na wybór broni.

Niespodzianie Robin znalazł się w miążącym uścisku rodzica. Zastanawiał się, czy wydostanie się z jego objęć bez szwanku.

- Rozpiera mnie duma, żeś jest moim synem - rzekł ochryple Rhys. - Nieważne, jak do tego doszło.

Robin poklepał ojca po plecach, a potem odeń odstąpił.

- Zatem nadal mogę liczyć na to, że odziedziczę wszystkie twoje ziemie i złoto?

Rhys spojrzął na Gwen.

- To ty ponosisz winę za jego chciwość. Jam nigdy tak nie pożądał ziemi.

- Ha - powiedziała Gwen, silnie dźgając męża palcem w pierś. - Ta przywara cechuje wyłącznie twoją rodzinę.

- Dlaczego wróciliście? - przerwał im Robin.

- Banda rzezimieszków usiłowała mnie zabić w trakcie małego wypadu - wyjaśnił Rhys. - Pochwyciłem jednego, wydusiłem zeń imię Sedgwicka i jak najszybciej ruszyliśmy do domu. Dotarlibyśmy wcześniej, gdyby nie opadli nas przekłeci artyści twojej babki.

- Nie potrzebowałem pomocy - rzekł sztywno Robin.

- Przez myśl mi nie przeszło, że jej potrzebujesz - odparł Rhys. - Po prostu nie chciałem przegapić widoku, jak łoisz skórę Baldwinowi. Z całą pewnością sobie na to zasłużył.

- Jednakże Edith - wtrąciła Gwen, kręcąc głową. - Doprawdy tragiczne.

- Nie uważałaś tak, gdybyś spędziła tu miniony miesiąc - stwierdził ponuro Robin.

Spojrzał na ojca.

- Skoro wróciliście, Anne i ja wyjeżdżamy.

- Tak? - zdziwiła się Anne.

- Tak - potwierdził lakonicznie Robin. - Nad morze.

- Nie zostajemy - rzekł Rhys.

- Nie? - zapytała Gwen, wyraźnie bez entuzjazmu witając wiadomość o kolejnej podróży.

- Twoja matka domaga się naszej obecności - wyjaśnił Rhys, ewidentnie dzieląc jej odczucia, zwłaszcza że mieli się udać do Segrave. - Kiedy dowie się o sprawach, które właśnie omawialiśmy, a nie wątpię, że wieści o nich dotrą do niej, zanim sami zdołamy jej to opowiedzieć, nigdy już nie zakosztuje przyzwoitego jadła u jej stołu. Poza tym - dodał, klepiąc Robina po ramieniu - mój syn doskonale sobie radzi jako pan na zamku. - Uśmiechnął się do Gwen. - Nie sądzisz?

- Niech to licho - wymamrotał Miles. - To by było wszystko w kwestii mojego dziedziczenia.

Robin wydał kilka pomruków, żeby zamaskować coś, co do czego nie potrafił się zdecydować, czy jest ulgą, czy radością. Objął ojca, następnie matkę, a wreszcie spojrzął na swoją żonę.

- Nadal obstaję przy wyprawie nad morze, pani. Co ty na to?

- Jak sobie zyczysz - odparła, dało się wszak zauważyć, że perspektywa nie jest jej niemiła.

Robin obdarzył ją swoim najbardziej promiennym uśmiechem, niemniej zreflektował się, że przed wyjazdem musi załatwić kilka spraw. Odwrócił się, spoglądając na dwoje zabitych. Pokręciwszy głową, podszedł, żeby wyjąć miecz z ciała Edith. Przewrócił kobietę na plecy i zamknął jej powieki. Padł na niego cień; to jego ojciec ukląkł naprzeciw.

- Kto by się tego po niej spodziewał - odezwał się cicho Rhys.

- Pragnęła Artane - wyjaśnił Robin. - Wyłącznie Artane.

- Dziwisz się jej? - zapytał z bladym uśmiechem Rhys.

- Nie wiem, czy zabiłbym z takiego powodu - odparł Robin, również nieznacznie się uśmiechając. - Ostatecznie, to tylko kupa kamieni.

- Dom tworzy coś zupełnie innego - zgodził się Rhys.

Robin spojrzął na Anne i raptem poczuł, że cały jego świat ulega przeobrażeniu. Przepelnił go pogodny spokój. Wiedział, bez cienia wątpliwości, że dopóki ma ją u swego boku, miejsce nie gra roli. Aczkolwiek ona uwielbiała morze. Artane zaś wznosi się nad jego brzegiem. Robin poklepał ojca po plecach.

- Wezmę twoją warownię, ojciec - rzekł.

- A także, ani chybi, moje złoto - utyskiwał Rhys.

- Nie wydam wszystkiego pod waszą nieobecność.

- Nie wyjeżdżamy tak od razu - zastrzegł Rhys. - Zamyślam pomówić z zarządcą i ustalić, jakich dokonałeś spustoszeń. Jak rozumiem, w minionym tygodniu odbył się tu przyjemny zjazd. Czy jest drobna szansa, że w mojej spiżarni cokolwiek się ostało?

Robin powstał.

- Porozmawiamy na ten temat jutro. Dziś muszę załatwić inną sprawę.

- Nie przejmuj się tym - rzekł z przekąsem Rhys, zamaszystym gestem obejmując donzon. - Wszystkim się zajmę.

- Potraktuj to jako prezent ślubny dla mnie - poradził Robin.

- Dałem ci już przekłętą prezent ślubny i, o ile sobie przypominasz, było to niemal wszystko, co posiadam!

- Do diabła - sarknął głośno Miles.

Robin uśmiechnął się do brata, wziął za rękę swą panią i razem ruszyli przez plac ćwiczebny.

- Wyglądają na szczęśliwych - dobiegł go głos ojca.

- Są tacy? - zapytała matka.

- A jakże. Z powodu tego ich szczęścia przez tydzień prawie nie zmrzyłem oka - pozałił się głośno Miles. - Radujmy się, że przenoszą się do namiotu Robina. Przynajmniej dane nam będzie zaznać snu tej nocy.

Robin spojrzął na Anne, czując, że się czerwieni.

- Przepraszam - szepnął.

Otoczyła go ramieniem w pasie i przytuliła.

- Przeżyją. - Z uśmiechem podniosła nań wzrok. - Jesteś szczęśliwy?

- Do szaleństwa. Znalazłem się wręcz w stanie upojenia, teraz, kiedy mogę cieszyć się naszym szczęściem w spokoju. I za to z całego serca ci dziękuję.

- Drobnostka.

- Nie, kochana, dokonałaś wielkiego czynu, wymagającego nie lada umiejętności i odwagi.

- Zrobiłbyś to samo dla mnie. W istocie, próbowałeś.

Robina przeszył dreszcz.

- Nader mało brakowało, Anne. Omal nie padłem bez ducha, ujrawszy ją z nożem na twoim gardle. - Spojrzął na nią. - Jeśli chcesz, możesz ponownie wytknąć mi pomyłkę.

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Będę delektować się tą świadomością w milczeniu.

Prychnął, lecz nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Kocham cię - powiedział, kiedy zmiierzali ku stajniom.

- A ja ciebie.

Robin kroczył drogą prowadzącą na wyższy dziedziniec ze swoją panią u boku i uśmiechał się do siebie. Nie mógł wprost uwierzyć, że niespełna dwa miesiące wcześniej wrócił do domu, zakładając, że ucieknie stąd przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Teraz wydawało się całkiem możliwe, że nigdy nie będzie musiał wyjeżdżać. Kiedy zaś słuchał odległego szumu fali i czuł ostrą woń morskiego powietrza, snującą się nad dziedzińcem, nie potrafił wyobrazić sobie innego życia. Odpowiadał za wspaniałą warownię, a przy tym los obdarzył go piękną, odważną kobietą, która kochała to miejsce równie mocno jak on. A także kochała jego. Uśmiechnięty spojrzął na swą panią.

Zycie bez niej?

Nigdy.

Wieczność z nią?

A jakże, i jeszcze dłużej.
Z uśmiechem pokręcił głową, nie zwalniając kroku.

Epilog

Kobieta stała w drzwiach chaty uzdrowiacza i spoglądała na dziedziniec, na błoto i bruk. W głowie wirowało jej od uzyskanych tego ranka wiadomości na temat ziół, i nie tylko. Niespodzianie odkryła, że czeka ją bardzo wiele pracy. Wszelako przyda jej się nieco wiedzy leczniczej, skoro tymczasowo została panią na Artane. Ten ranek obfitował w niespodzianki.

Albowiem dowiedziała się czegoś, co bez wątpienia odmieni jej życie. Wiosną wyda na świat dziecko. Spojrzała na odległość dzielącą ją od wielkiej sali i, oceniwszy ją jako możliwą do pokonania, puściła ościeżnicę i ostrożnie zstąpiła ze schodów na kamienną ścieżkę, prowadzącą do donżonu. Słabe jesienne słońce migotało w jej jasnych włosach i na złotym hafcie zdobiącym zielony płaszcz. Podarował jej go ukochany, jako że zieleń należała do jego ulubionych kolorów.

- Jak się tego ranka miewa najpiękniejszy kwiat w ogrodzie Artane? - rozległ się głos za jej plecami.

Drgnęła zaskoczona i odwróciła się szybko, żeby spojrzeć na mówiącego. Potem na jej twarz wypłynął uśmiech.

- Wątpię, żebym nim była - odparła, lecz te słowa nie sprawiły jej bólu.

- Jesteś najpiękniejszym kwiatem w moim ogrodzie - oświadczył jej pan, obejmując ją i przygarniając do siebie. - A czyż moja opinia nie liczy się najbardziej?

Nie znajdując żadnego kontrargumentu, po prostu uśmiechnęła się w odpowiedzi. Poszli razem do wielkiej sali. Dopasował się do jej tempa, potem zaś otworzył przed nią drzwi, kłaniając się nisko.

- Pani pierwsza.

- Jaki jesteś szarmancki, panie.

- Nikomu tego nie wyjawiaj.

- Oczywiście. Zagroziłoby to twojej reputacji.

Chrząknął i wprowadził ją do środka.

Znalazłszy się w wielkiej sali, Anne z Artane rozejrzała się wokół, czując, jak ogarnia ją radość, która bez wątpienia nigdy nie przygaśnie. Oto bowiem przy kominku zgromadziły się osoby najdroższe jej sercu. Były tam wszystkie dzieci Artane'a, śmiejąc się i rozmawiając na przyjemne tematy. Brakowało jedynie pana i pani na Artane, wszelako ostatnimi czasy ich nieobecność nikogo nie dziwiła. Sporo teraz podróżowali, Anne zaś nie żałowała im tej odrobiny wolności. Wezwie się ich na czas, żeby powitali swojego pierwszego wnuka.

Kiedy tak stała, z dłonią zamkniętą w mężowskim uścisku, uzmysłowiła sobie, że oglądana przez nią scena nie pozostanie na zawsze taka jak w tej chwili. Nicholas się ożeni, podobnie wyjdą za mąż Amanda i Isabelle. Miles ruszy własną drogą i zapewne nawet bliźniaków odciągną od domu różne ważne sprawy.

Dom. Na sam dźwięk tego słowa w Anne rosło serce, a oczy wzbierały łzami. Dostała więcej, niżli śmiała marzyć.

I nawet jeśli wszyscy, których widziała teraz przed sobą, opuszczą Artane, nie umniejszy to jej szczęścia czy zadowolenia z życia. Albowiem jej domem nie były osoby zebrane przy kominku ani też otaczające ją mury.

Jej dom stał tuż obok, trzymając ją ukrytą pod fałdami płaszcza, z surowym wyrazem twarzy, któremu zadawała kłam pieszczota, z jaką gładził jej palce. Cokolwiek jeszcze się zdarzy, ktokolwiek zamieszka w donżonie bądź go opuści, z Robinem u boku Anne zawsze będzie miała owo spokojne, ciche miejsce, za jakim tęskniła przez całe życie.

- Znowu płaczesz. - Robin spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- To ze szczęścia.

Pokręcił głową, sznurując usta.

- Słowo daję, kochana, że nigdy nie pojmę tego rodzaju radości. Wszelako jeśliś szczęśliwa, nie mogę narzekać.

Podejrzewała, że wkrótce Robin doskonale zrozumie jej odczucia, lecz zatrzymała ten komentarz dla siebie. To nie było stosowne miejsce na czułą wymianę zdań. Odłoży tę rozmowę do czasu, kiedy znajdą się w odosobnieniu ich izby sypialnej. Wtedy przekaże mu wieści o dziecku i przekona się, czy nie wycisną mu one z oczu jednej czy dwóch łez radości.

Na razie jednak owa radość należała wyłącznie do niej, Anne zaś będzie się nią rozkoszować, nosząc ją przy sercu. Odwróciła się i objęła Robina w pasie, opierając skroń o jego pierś. Zamknęła oczy i westchnęła.

Otoczyły ją silne ramiona, a na jej głowie łagodnie spoczął policzek.

- Coś ci dolega, kochana?

- Nie - szepnęła.

- A z jakiegoż to powodu opasują mnie twoje słodkie ramiona?

Znów westchnęła, uśmiechnięta.

- Bez powodu. Innego aniżeli radość z bycia w domu.

- Dom - powtórzył, tuląc ją mocniej. - A jużci, kochana. Jesteś w domu.

Anne się uśmiechnęła. Zaiste, była w domu.